

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WACŁAW GAŚSIOROWSKI

KSIEŻNA ŁOWICKA

Powieść historyczna z XIX wieku

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

TOM PIERWSZY

I

Wiosna roku 1818 dla ziem polskich zdawała się być wierną strażniczką postanowień kongresu wiedeńskiego. Bo choć po staremu, po dawnemu miała jeden i ten sam płaszcz zieleni na pokrycie całego chrobrowego władania, choć tymi samymi warkoczami słonecznych promieni grzała wszystkie złomy Rzeczypospolitej, przecież dla każdej poszczególnej części nowego rozbioru inne hołubiła nadzieje, inne budziła tęsknice, inne zawołania, inne troski serdeczne.

Więc gdy Warszawa rozbrzmiewała ochotą wskrzeszonego, a ledwie co ukończonego sejmku, gdy jako stolica Królestwa Kongresowego bramy triumfalne stawiała swemu monarsze, a kwiatami słała każdą piędź ziemi, stary gród Zygmuntowy stroił się równocześnie w kiry, żałobne przywdziewał szaty, a w grobach królewskich gotował spocznienie zwłokom Kościuszki.

Więc gdy Wilno roilo jedynie, aby „król-odnowiciel” ziścił co prędzej swe miłościwe napomknienia i Litwę obdarował statutami Kongresówki – Lwów marzył już tylko o takiej wspaniałomyślności Wiednia, która by nareszcie pozwoliła Galicji zakosztować pełni austriackiego obywatelstwa.

Każda poszczególne połać dawnej Rzeczypospolitej w inną ciążyła stronę, każda zabiegała o wytrzeźwienie się, o pojednanie z losem, o wyzbycie niedogodnych wspomnień. Każda na swój sposób zamyślała bytować, każda swoją własną rozpoczynała politykę.

I może by wiosna roku 1818 przywiodła naród polski do uznania tego nowego rozbioru Rzeczypospolitej, może by raz na zawsze rozszczepiła dzieci jednej ziemi, gdyby nie poszmer idący sponad Warty, gdyby nie rozhowor lip osłaniających prastare siedziby rycerskich rodów wielkopolskich, gdyby nie zawziętość ludu poznańskiego, co nie tylko na „świętym przymierzu nie umiał się poznać, ale nawet nie chciał się pokłonić takiemu „odnowicielowi” Polski, który dzieło odnowienia począł od przyznania królowi pruskiemu kolebki Piastów.

Boć tu jedynie na pograniczu Brandenburгии, tu jedynie na ziemi Mieczysława nie próbowano nowym życiem żyć, nie kwapiono się nowemu panu, hołdować, nie przyznawano do obłąkania napoleońskiego, nie wypierano wczorajszych haseł. A jeżeli i tu przyjmowano niby uroczyste nadania królewskiej mości, to przecież snadź mając własne sprzed roku 1806 racje o pruskich przyrzeczeniach, niewiele obiecywano sobie nawet z uroczystych zaręczeń wiedeńskich.

Ponoć i sam książę Radziwiłł, namiestnik poznański a królewski kuzyn, stracił po kongresie grunt dla swych rachub, a choć na czele nowego księstwa stał, ani wiedział, dokąd iść,

kędy prowadzić. Bo nie tylko Radziwiłł, ale i nikt nie wiedział, dokąd sięga zagwarantowane przez króla pruskiego prawo rozwoju narodowego, bo nikt nie zdolen był pojąć onego swobodnego bytowania skrawka Rzeczypospolitej bez Rzeczypospolitej.

Stąd cisza i przygnębienie panowało na ziemi poznańskiej; stąd tyle bywało tu wesela, ile ochoty przedostało się spoza świeżo usypanych kopców granicznych, znaczących posiadłość Królestwa Kongresowego; stąd tyle bywało myśli jasnej, ile mocy w spojrzeniu marszem okrytych twarzy, i stąd tyle tu bywało wiary w przyszłość, ile tchnienia w piersi bohaterów spod Raławic, Dubienki, Novi, Możajska, Saragossy i Lipska.

Lecz była chwila w Poznańskiem, iż zdawało się, że chmurne oblicza napoleończyków rozpromieniały; była chwila, iż nie tylko spod Targowej Górki, siedziby imci pana Amilkara Kosińskiego, zwanego popularnie „Pierwszym Legionistą”, ale już z samej Winnogóry, kędy gospodarzył umiłowany wódz, Dąbrowski, cale poważne iść zaczęły słuchy o zamysłach ministra Knesebeka, o sympatiach ku Polakom Hardenberga a śmiałych planach Boyena.

Nic by to jeszcze, żeby jeno słuchy chodziły. Lud poznański niewiele by się po nich spodziewał, ale kiedy raptem w styczniu roku siedemnastego ogłoszono nominację generała Kosińskiego na generała porucznika pruskiej armii, nad Wartą aż zakipiało.

Co złuda – to złuda, a co dokument – to dokument.

W tym zaś razie dokumentem było, iż pierwszy legionista nie Prusakom będzie komendował, gdyż sam, Litwin szczery z drohickiej ziemi, po niemiecku nie umiał, a choćby nawet regimenty pruskie legiońskiej mowy się nauczyły, toć jeszcze pan Amilkar nie żadnym rzemieślnikiem żołnierskim był, aby się obcym na instruktora wynajął. Tedy nie bez racji spodziewano się, iż po tym pierwszym dokumencie nastąpi drugi, zgoła rzecz dokładnie wystawiający, bo powołujący pod sztandary narodowe wszystkich polskich oficerów i żołnierzy na ziemi poznańskiej osiadłych.

Dla wyjaśnienia tej wojskowej formacji powiadano, jako król pruski postanowił z cesarzem Aleksandrem pójść w zawody i takież mieć swoje polskie wojsko, i to wojsko, które by mogło w potrzebie równie zagrozić Rosji, jako polskie wojsko cesarza Aleksandra groziło Prusom.

Ten wykład wiódł niby do tego, że w razie zawieruchy wojennej pułki polskie króla pruskiego pójdą na polskie pułki Kongresówki. Nikt atoli tak dalece w dociekaniach się nie zapędzał rozumiejąc, że już by tam generałowie polscy wiedzieli, jak sobie poczynać, aby ławą iść, a jednemu i własnemu znakowi służyć.

W ślad za nominacją imci pana Amilkara gruchnęło, że księżę namiestnik poznański już listę układa na brygadę piechoty i brygadę jazdy, a co z przedniejszą mi oficerami delibereje.

Młodzież hurmem sposobila się do zaciągu; weterani butniej poglądali na „fałdy”; krew zagrała w Poznańskiem.

Aż nagle, pod koniec roku siedemnastego, spadła nowina, iż pułkownik Dezydery Chłapowski, na uczynioną sobie przez księcia Radziwiłła propozycję objęcia dowództwa pułku ułanów, odrzekł, iż na polskim mundurze nie ma miejsca dla pruskiej kokardy.

Dumna odpowiedź Chłapowskiego jednych ucieszyła, drugich rozgniewała. Jedni chwalili pułkownikowi odmowę, drudzy zarzucali niepolityczność i usuwanie się od powinności obywatelskiej. Ci dla tęższego argumentu jęli wyklądać, jako nieprzystojnym jest, aby żołnierz tak zasłużony, jako pan Amilkar Kosiński, pruski mundur wdziewał lub choćby tylko pruskiemu sztabowi się poddawał; tamci zaś, broniąc Kosińskiego, tym zawzięciej nastawali na Chłapowskiego, tym gwałtowniej potępiali tych, co wygórowaną skrupulatnością psuli poczciwe usiłowania.

Tymczasem ci, pod imieniem których się ścierano, milczeli. Pułkownik Chłapowski nawet był wyjechał do Anglii na nauk rolniczych badanie, generał Kosiński zaś, choć siedział w Targowej Górcie, tyle przecież dawał znaku życia, ile że od czasu do czasu jaki artykułik literacki w „Mrówce Poznańskiej” ogłaszał. Zresztą najbliżsi sąsiedzi „Pierwszego Legionisty”

wiedzieli za ledwie, iż generał od dnia swej pruskiej nominacji czegoś spochmurniał, iż prawie nie przyjmował, od ludzi stronił, a jeno coraz częściej do Winnogóry do Dąbrowskiego jeździł.

Jakoż istotnie, gwarny podotąd dom imci pana Amilkara ogłuchł, zawarł wrota swego dziedzińca, okiennicami połowę okien przysłonił i niechętnie ku gościńcowi poglądał.

Nie brakło z początku ciekawych i natrętów, którzy mimo te oznaki łomotali do bramy, a z odwiedzinami się zapowiadali. Lecz że pani generałowa czegoś słabowała, a generał zaś dnie całe spędzał w Winnogórze, więc gość nieproszony rad nierad zawracał sprzed dwora. A że ze swej strony ani generał, ani generałowa zaprosin nie przyjmowali, przeto po pewnym czasie dwór w Targowej Górze przybrał swój dawny, szczerzy wygląd, nie turbując się zbytnio o gości: nikt bowiem ani śmiał przedzeń zajeżdzać.

Stąd łatwo sobie wystawić zdumienie starego Macieja, który za ogrodowego w Targowej Górze służył, gdy pewnego popołudnia czerwcowego ujrzał pędzącą wprost ku dworowi brykę.

Stary Maciej oczy przetaił, jakby własnym nie wierząc źrenicom, za czym z groźnym pomrukiem powlókł się o kiju do bramy wjazdowej. Odsunął podpierające rozwarte wrota kamienie i bramę z zewnątrz zatrzasnął. Aż uporawszy się z wrotami, plecami się o nie zaparł i nastroszywszy siwe, krzaczaste brwi, odwrócił się ku nadjeżdżającej bryce, gotując się do solennej odprawy natręta. Ba, i do tym solidniejszej, iż Maciej żywił od dawna rankor do samego siebie za to, że na Trzy Króle landrata do dworu wpuścił mniemając, iż pan generał rozkazu do tak urzędowej osoby nie stosował, tym bardziej iż landrat wysumitował się uroczyście, jako panu, generałowi wiezie generalską pensję. Z tego Madejowego rezonowania wynikło, że pan generał landrata w antykamerze sfukał i razem z asygnatami kazał mu się precz wynosić, a Macieja zekpał tak okrutnie, jak bez mała onego Latoura, co Mantuę poddał, a niemal całą drugą legię do niewoli austriackiej zaprzedał.

Bryka tymczasem ani myślała zważać na groźną postawę starego sługi i parła wyciągniętym klusem na bramę wjazdową. Dopiero gdy zawarta brama już wprost zagroziła drogę bryce, stangret palnął raz i drugi z bata, a wreszcie konie zdarł i zakrzyknął rażno:

– Hej tam, brama!

Maciej na to wezwanie ani drgnął, zaparł się mocniej o wrota i kijem poszturgiwał kamuszczyki, zda się ani postrzegając parsających tuż przed nim końskich łbów.

Stangret wyczekał chwilę i zakrzyknął ponownie:

– Niechże ta wasan otworzy!

Maciej śmignął kijem po kamuszczykach i bąknął opryskliwie:

– Czego? Ani dudu!

– Zejdz sam i otwórz! – rozległ się za plecami stangreta dźwięczny głos mężczyzny siedzącego w bryce.

Stangret zaczął gramolić się ze swego siedzenia. Maciej w oka mgnieniu przeszedł z obronnej pozycji do zaczepnej.

– Co to? Czego to?

– Do pana generała Kosińskiego! – odparł z lekkim zniecierpliwieniem mężczyzna.

– Nie ma rozkazu! Pani generałowa niezdrowa, a pan generał – nie ma rozkazu. Komu wola popasać, to na folwark do ekonomy. Tu ani dudu!

– Więc pana generała nie ma w domu?

– Jest, nie jest, nie ma rozkazu i kwita.

– Lecz przecież zamelduj, do licha!

– Nie ma rozkazu! – oburknął Maciej i śmignął kijem po kamuszczykach.

Mężczyzna w bryce zachnął się, odrzucił płaszcz z ramion i wyskoczywszy z bryki, szedł wprost na Macieja, zabierając się snadź do gorącej rozprawy. Lecz zanim stanął przed groźnie wyprostowaną postacią starego Macieja, wypogodził twarz ozwał się jowialnie:

– A, mości Jędrzejowski, takiego przywitania się nie spodziewałem !
 Maciej łypnął szklistymi oczyma.

– Bo... a jakże, nie ma rozkazu!

– Tam do diaska, nie poznajeszże mnie, a kto ci przy szturmie Sandomierza sierżantował? Stary drgnął, fyrknął nosem i chude, żylaste ręce ku gościowi wyciągnął.

– Chryste, a toż pan Łukasiński! Ani dudu, pan Łukasiński! Gdzieżbym nie pamiętał! Maciej do ramienia Łukasińskiego się pochylił, lecz ten go szybkim ruchem powstrzymał i za rękę uściskał.

– Nie, nie, mój Jędrzejowski, dziadem moim moglibyście być! Dawaj rękę, w jednym plutonie chodziliśmy. Raduję się, że was widzę zdrowym! No, a teraz mi przystępu nie brońcie, skoro przekonaliście się, żem nie Filistyn.

Jędrzejowski się zafrasował.

– Kiedy bo, panie poruczniku...

– Cóż tedy, pani generałowa cierpiąca? Pana generała nie ma w domu?

– Nie, nie to, tylko że nie ma rozkazu, to jest na odwrót: jest rozkaz, nie przyjmujemy nikogo, chyba pan Szczaniecki albo pan Prądkowski, albo ten... i ani dudu. „Bramę zawieraj i żywego ducha nie wpuszczaj.”

Łukasiński się zasepił.

– Hm! Gdybym był wiedział, pismo bym przodem wyprawił.

– Bramę kazali zawrzeć. Mnie samemu, panie poruczniku, nijako...

Jędrzejowski skrzywił się w tym miejscu z tak komiczną żałością, że aż Łukasińskiego rozweselił.

– Bramę, bramę, powiadasz. No, a furtką można?

– Fu-furtką? – zdziwił się serdecznie Maciej. – O furtce dalipan nie było mowy, więc chyba że furtka, tylko meldować, ani dudu!

– Wybornie! Tedy, mój Jędrzejowski, stawcie czoło bryce, a ja tymczasem opłotkami samotrzcę. W razie czego, nie widziałeś mnie.

Maciej chciał protestować, lecz spojrzawszy na Łukasińskiego, jakby mu serca zabrakło na dłuższe opieranie się.

– Zekpał mnie pan generał raz za landrata, a jak zekpie drugi raz za pana porucznika, to chociaż para, a będzie lżej. Niechże pan porucznik jeno zważa na psy. Pan generał musi w ogrodzie za pałacem.

Łukasiński skierował się ku furtce między opłotkami, a dostawszy się za kamionkę, skręcił w bok dziedzińca, wprost w głąb ogrodu za dwór, upatrując w krzyżujących się a wijących na wsze strony drózkach i ścieżkach postaci pana generała. Aż dotarł tak do kamionki pod cieplarnią i nikogo nie napotkał. Zawrócił tedy w przeciwny kraniec, lecz i tym razem nie był szczęśliwym. Była to dlań okoliczność wielce niepomyślna, Łukasiński bowiem, już wybierając się z Warszawy, słyszał o nagłym i nieubłaganym odludztwie generała, a nadto miał nie lada wątpliwość, czyli samo nazwisko Łukasiński nie starczy generałowi, aby na tym mocniejsze wrzeciądże drzwi przed gościem zamknąć.

Ale nie pora było o odwrócie myśleć, Łukasiński bez wahania z krańca ogrodu jął iść wprost ku dworowi. Lecz gdy w perspektywie alei ukazał mu się spowity winem ganek, Łukasińskiemu raptem tchu zabrakło. Zastanowił się więc, a dostrzegłszy ławeczkę darniową, osunął się na nią ociężale i tak zastygł bez ruchu, bez drgnienia twarzy, bez mrugnięcia powiek, niby pochłonięty graniem słonecznych cieni, padających z przesyconego światłem grąbu, niby zasłuchany w pogwar pszczoł, rozchulanych nad krzakami jaśminów, bramujących rabaty alei, niby w zapatrzeniu szukający wytchnienia dla myśli.

Łukasiński tak bezwładnie poddał się osłupieniu, które go ogarnęło, że ani nie zwrócił uwagi na odgłos żwawych kroków w pobliżu, ani nie spostrzegł drobnej, ruchliwej postaci mężczyzny w białym kitlu, która zarysowała się poza klombem i nadchodziła wprost ku ławce.

Mężczyzna w białym kitlu snadź był baczniejszym, gdyż raptem przystanął, zmierzył bystrym spojrzeniem Łukasińskiego i z wyrazem niepewności ruszył znów, aż zbliżywszy się do siedzącego, zatrzymał się i zagadnął niechętnie:

– Co tu aspan?

Łukasiński na dźwięk głosu mężczyzny w białym kitlu porwał się z ławki, wyprostował całą śmigłością swej młodej a męskiej postaci i uchylając kaszkietu, rzucił gorączkowo:

– Wszak mam honor z panem generałem?

– No tak, lecz co aspan, co tu aspan?

– Jestem Walery Łukasiński, niegdyś porucznik szóstego pułku wojsk Księstwa Warszawskiego.

Generał poczerwieniał z lekka.

– Łukasiński, tak, pamiętam. Więc dziś major czwartego pułku w wojsku kongresowym?

– Tak, panie generale.

Kosiński ściągnął brwi.

– Bardzo miło, ale daruj, że bez ogródki zapytam, co pana do mnie sprowadza?

– Pragnienie przypomnienia się jego łaskowości, chęć zasięgnięcia rady.

Generał zachnął się.

– Mości majorze, o ile mi wiadomo, radzić sobie potrafisz znakomicie, a co do pamięci mej, to ta aż nadto zaprowidowaną została nowinami, na jakiego to personata u jego cesarzewiczowskiej mości wyszedłeś. Stąd wybac, ale trudno mi zgodzić się na tak niespodziewany zaszczyt.

Łukasiński pobladł; drżenie przebiegło jego kształtnie wygięte wargi.

– Generale, mniemałem, że choć tu nie według mizernych obmów ludzi sądzą.

– Nie bierz mi za złe, mości majorze, żyję z dala od ludzi, nie przyjmuję nikogo. Gdybyś się był zapytał, uprzedzono by cię zawczasu. Wina służby mojej...

– Mego urojenia raczej – przerwał gorączkowo Łukasiński – Żegnam tymczasem.

– Bo dalipan pozwól, majorze – zaczął pojednawczo generał, którego wartka odpowiedź Łukasińskiego zakłopotła – nie rozumiesz mnie.

– Aż nadto, że generał raczył nabrać o mnie nowego wyobrażenia i to według potwarczych wieści, sam zaś ani dziwi się, iż stawiając się tu, na wieści o nim chodzące nie zważałem!

– Jak to bo, jak to?!

– Ano, takim ci ja podobno jestem personatem u jego cesarzewiczowskiej mości, jakim pan generał u królewskiej.

Kosińskiemu krew uderzyła do głowy.

– Słuchaj, mości Łukasiński – odrzekł urywanym głosem – mam cię za człowieka honoru. Tak rozstać się nie możemy. Tu, na tym miejscu, musimy rzecz rozstrzygnąć. Pozwól, w tej chwili przyniosę, co trzeba. Wracam natychmiast.

Generał, nie czekając na odpowiedź majora, rzucił się na przełaj ku dworowi. Zanim Łukasiński zdołał ochłonąć z pierwszego wzburzenia, Kosiński już stanął przed nim zadyszany, rozgorączkowany.

– A teraz wybieraj, panie majorze, tu masz pistolet, a tu moją nikiemną łapę: albo mi w łeb wypal, albo podaj rękę swemu dawnemu brygadierowi.

Łukasiński potrząsnął głową.

– Nie żywię urazy, mam honor pożegnać!

Kosiński chwycił majora w ramiona.

– Tak waszmości nie puszczyć! Nie czyn mi tej krzywdy. Zawiniłem, lecz patrz, jakichże to sam doczekałem czasów, żółć mnie zalewa, sobie samemu obmierzłem. Panie Walery, no, już mi nie przymawiaj, korzę się przed waszecią, biję w piersi i całym sercem w dom proszę.

Major bronił się perswazjom generała i odjeżdżać chciał, lecz gdy mu Kosiński bitwę pod Żarnowcem wypomniał, a do czasów adiutanctwa Łukasińskiego sięgnął, major zmiękł i dał się powieść do dworu.

Tu ostatnie lody wnet przysły, bo generał tak zacnie do majora przemówił, że i ten roztajał i zrzucił z siebie przybraną skórę ugrzecznionej rezerwy. A dopieroż kiedy Kosiński, dając folgę poruszeniu, sfukał starego Jędrzejowskiego za to, że śmiał bryce Łukasińskiego wstręty czynić, to już taka zstąpiła pogoda a jasność, że cały dwór w Targowej Górcie poweselał, a rozhovor poszedł aż ku pokojom pani generałowej.

Kosiński podczas gościa swego w kancelarii usadowił, do podwieczorku kazał nakryć, a ugaszczał.

Tu jeszcze półgębkiem odpowiadał Łukasiński, tu jeszcze generał rwanymi zdaniem ci-skał, aż kiedy major, wspominając o swej podróży, bąknął coś o pruskiej granicy, Kosińskiemu potok słów zerwał się z ust:

– Patrzą, na co znów zeszedliśmy! Patrzą na dobrodziejów z kongresu wiedeńskiego! Póty łyż nad nami ronili, aż nas po raz szósty pokawałkowali! No, boć szósty! Trzy były rozbiory stanisławowskie, czwarty Tylża, piąty po roku dziewiątym, szósty teraz, wiedeński! Wy tam, w tym świeżo upieczonym Królestwie, choć tyła macie, że was gromada ludu, a my tu ani jutra, ani spodziewania, ani złudy. Słyszałeś przecież, generałem porucznikiem pruskim mnie zrobili. Przyjąłem, bo mi się Radziwiłł zaklął, iż tu idzie o tworzenie polskiego wojska! I podobno Radziwiłł prawdę mówił, bo i minister Hardenberg toż samo w oczy mi powtórzył. Ale cóż, Peterburkowi się to nie spodobało i królewska mość zwinął chorągiewkę.

– Więc istotnie formacja pogrzebaną została? A też uroczyste przyrzeczenia?!

– Pod ziemią już ich nie znajdziesz. Uważ tedy, co ze mną! Ani się do Prusaków napraszałem, ani myślałem komu innemu niż swoim służyć. A tu cóż? Kosiński się na pruskiego dygnitarza wypromował, a o polskich regimentach ani słycho. Z tego, po latach tułaczki, wojowania tyłem się doczekał, że mnie lada chmyza szameruje, a prusackość zarzuca! Powiedz no, panie Walery, czyli możesz teraz dziwować się, iż na cudaka zeszedłem, iż mi wątroba do rozumu się dobiera, iż rad bym każdego żgał jęzorem a przymawiał? Do czarta, a tu na ostre nie ma z kim iść, bo za plecami gadają. A przecież nie wdziałem onego munduru, którym mnie obdarzono, a przecież landratowi, co mi żołd pruski przywiózł, drzwi pokazałem! Cóż więcej uczynić mogłem? Miałem się sam zaprosić do lochu magdeburskiego na rehabilitację? Tfy! Lepiej nie mówić, bo jak ruszysz, to byś trzy dni pomstował i jeszcze żółci nie ułał. Rzecz w tym, iż u nas źle się dziać zaczyna. Książę Antoni niby wywodzi, kalkuluje, pomyślniejszego wiatru wyczekuje, aleć są to koszałki opałki. My tu z pruską mością nic nie mamy do zyskania, a wszystko do stracenia.

– I my nie w lepszym jesteśmy położeniu.

Generał spojrział uważnie na Łukasińskiego i bąknął niepewnie:

– He? Bo jakże to? Wszak ci wy w Kongresówce?

– Mamy ten sam punkt wyjścia, a nim jest powstanie! – zakonkludował z mocą Łukasiński.

Generał odsapnął, sięgnął w milczeniu po lulkę, napchał ją tytuniem, skrzesał skier na hubkę, rozżarzył ją, przyłożył na tytuń i pyknął błękitnym dymem i niby zapomniawszy o definicji majora, zagadnął flegmatycznie:

– A teraz powiadaj mi, panie Walery, jakże ci na nowej służbie pod cesarzewiczem.

– Toć pewnie pan generał słyszał: „Łukasiński oczko w głowie, Łukasiński faworyt. Chłuba dywizji, chwala brygady”.

– No, a naprawdę?

– Naprawdę: tyle racji, iż o żołnierza dbam, służby pilnuję, karność strzegę, unikam hałasów o lada sprzeczkę, no i zęby ściskam.

– Twój pułk jest pod Mycielskim, w brygadzie Grabowskiego?

– Był; w roku zeszłym mianowali nam Bogusławskiego na dowódcę, a na brygadiera awansował Blumer. Grabowski został trzecim dyrektorem generalnym w Komisji Wojny.

– A cóż myślisz o Konstantym?

Łukasiński zachmurzył się i odrzekł głucho:

– Panie generale, pozwól, że zamilczę. Nie chciałbym błahaego słowa powiedzieć, a na sąd bezstronny o cesarzewiczu mnie nie stać.

– Pochwalam waszmościna powściągliwość, w twoim położeniu rzekomego ulubieńca je-
no ci to zaszczyt przynosi.

Major oczy przysłonił powiekami, jakby dobywające się spod nich blaski chciał skryć.

Kancelarię chwilowa zaległa cisza, aż Kosiński ozwał się zmieniając przedmiot rozmowy.

– Bardzo się cieszę, że cię oglądam, majorze. Świat czasu nie widziałem waszmości. Zmężniałeś, anibym cię poznał. Ale, ani zgadniesz, kto mnie niedawno wypytywał o ciebie, wojewoda-generał.

– Dąbrowski?!

– Tak, zmówiło się o tobie. Generał nie mógł się dość nachwalić postawy czwartego pułku na paradzie cesarskiej.

Łukasińskiemu pulsa na skroniach napęczniały, chciał coś rzec, lecz się zmógł. Kosiński, jakby myśli majora przenikając, dodał:

– A że słyszał, iż jesteś duszą pułku, tedy wypomniał waszmości. Nie prezentowałeś się generałowi-wojewodzie?

– Nie miałem sposobności. Podczas sejmu dzień i noc trzymali nas w koszarach; a potem do generała-wojewody przystęp trudny, szpiegów jak nabił.

Kosiński pyknął z lulki, spojrział spod oka na Łukasińskiego i nic nie odpowiedział.

Kancelarię po raz drugi cisza zaległa. Kosiński znów niby puścił mimo uszu uwagę Łukasińskiego, major zaś, nie doczekawszy się słowa, zasunął się znów w żółwią skorupę.

Milczenie obustronne ze zwykłego przestanku w rozmowie przeistoczyło się w nieznośnie niemłą pauzę. Na chudej, pomarszczonej twarzy pana Amilkara zarysowała się wyczekująca, skupiona flegma. Wyniosłe czoło Łukasińskiego falowało bruzdami wewnętrznej walki.

Aż wreszcie major poruszył się i zapytał raptownie:

– Czy wojewoda-generał przebywa obecnie w Winnogórze?

– Powinien lada godzina wrócić, czekam nawet na wiadomość, wyjechał w Krakowskie.

– Myślałem, że zastanę. W Warszawie mówiono mi, że wojewoda-generał wprost z sejmu do Winnogóry powrócił.

– No tak, lecz wypadło mu w rodzinne strony.

– Wszak pan generał z wojewodą-generałem w bliskiej pozostaje zażyłości?

Kosiński zasunął szyją w wystające nad chustką patermordery.

– Pych... pan Dąbrowski rad dawnemu towarzyszowi broni a podkomendnemu. Juści człek garnie się do tego jedynego serca, które zawsze jednakowo grzeje; ale gdzie tu o zażyłości mówić!

– Powiadano mi.

– Bzdury ludziska prawią! – uniósł się raptem Kosiński. – Ja w zażyłości z panem Dąbrowskim! A organista ze świętym Józefem! Nie, nie, mości Łukasiński, nie na to osiwiąłem przy Dąbrowskim, abym za pan brat był z tym, nad którego nie było jeszcze! Tak, nie było i nie będzie, bo jak ziemia takiego jednego wyda, to już jej musi na całe bytowanie starczyć!

– Prawda, generale – przyznał cicho Łukasiński.

Lecz pana Amilkara to przyznanie racji nie uspokoiło, bo bęcnął lulką o stół i ciągnął tchem jednym:

– Dąbrowski! Nasze prawnuki zbutwieją, dwadzieścia pokoleń robactwo stoczy, a on jeden zostanie! Generał i generał! Generalskich bulionów narosło niby pleśni, a iluż generałów mamy?! On jeden był od Maciejowickiej bitewki i on jeden generałować będzie póty, póki ta

rozerwana ziemia się nie zewrze, póki duch piastowy nie zmartwychwstanie. Wam kongresowiakom cesarskie przepychy zaćmiły bystrość, was oszołomiły wiedeńskie przysięgi a uroczyste deklamacje wilków, którzy rok cały wyli ze wspaniałomyślnej troski o dolę barana, aż ci go porwali na części! Widzisz waszmość tę pięść? To jest mój kongres!

– Złote słowa, panie generale!

Kosiński spojrział na rozognioną twarz Łukasińskiego i ochłodził, lecz major nie zważał już na widoczną znów powściągliwość pana Amilkara, do kieszeni surduta sięgnął, dobył papier we czworo złożony i podał Pierwszemu Legionście.

– Oto, z czym przybywam.

Generał z pewnym zdziwieniem wziął papier, rozłożył i do oczu podniósł. Ale zaledwie przebiegł kilka wierszy, drgnął, zaszeleścił nerwowo papierem i szepnął:

– Od Wierbołowicza... więc waszmość... waszmość jesteś tym, na którego my tu czekamy od dwóch miesięcy?!

– Na rozkazy generała!

Kosiński raz i drugi papier do oczu podniósł, jakby jeszcze mu nie dowierzał, jeszcze sprawdzał.

– Więc Wierbołowicz w imieniu waszmościny?

– Nie tylko w moim, generale, boć gromada nas jest.

– Tak, tak, aleć duszą tej gromady waszmość jesteś... waszmość...

Kosińskiego kurcz chwycił za gardło, poruszył wargami, lecz nie mogąc głosu dobyć, porwał Łukasińskiego za ręce i ścisnął je, a w dłoniach tulił.

– Generale, nie zasłużyłem sobie niczym.

– Stokroć, stokroć! Upatrywaliśmy w tajemniczym naczelniku wszystkich, krom ciebie! Nie umiem politykować. Owóż myśleliśmy, żeś jest jednym z tych, którzy dorwawszy się do pańskich względów, o sobie jeno myślą. A bolało nas to, dokuczało nam, boć zdolnościami się wyróżniasz, boć, co nam nie obcym, całego pułku cieszysz się miłością. Stąd dwakroć większa radość. Panie Walery, a toż dopiero siurpryzę panu, Dąbrowskiemu zgotowałeś! A patrz oczajduszę Wierbołowicza! Była o tobie mowa przy nim, słowa nie pisnął, nawet mrugnięciem się nie ujął. A przecież szwagrem ci jest.

– Obligowałem go. I trzeba, generale, żeby i dalej tak, a nie inaczej o mnie mówiono. To boli czasem, ale i to chroni, to rozwiązuje ręce.

– Masz słusność, majorze. Za pocziwą ofiarę podwójna spotka cię nagroda! Czekajże, dziś na noc pachotka do Winnogóry pchnę dowiedzieć się, czy pan Dąbrowski wrócił; jeżeli tak, to jutro na południe dotrzemy do wojewody. I wiesz, dla większej siurpryzy, ani nie wspomnę o twej misji, jeno wprost zapowiem, że majora Łukasińskiego przywożę.

– Wolałbym generale, żeby to najciszej urządzić. Dostałem urlop do Karlsbadu. Nikt ani nie przypuszcza, że od Krakowa skręciłem na Poznań. Bytność moja w Winnogórze mogłaby obudzić czujność szpiegów warszawskich.

– Hm, widzisz, panie Walery, baka bym strzelił! Oczywiście, że trzeba spotkanie z panem Dąbrowskim inaczej ułożyć. Lecz polegaj na mnie, Kossobudzkiego wyprawię, żołnierzysko z kamienia, włodarzuje u mnie.

Generał się zakrzętnął, na kredensowego zakrzyknął, po ekonomą posłał i naradziwszy się z nim, do kancelarii powrócił.

Teraz dopiero rozmowa z Łukasińskim potoczyła się rażno, aż stopniowo przeszła w poszmer bratni dwóch jednakowo czujących dusz, jednakowo pragnących serc.

Zarówno generał, jak i Łukasiński nie próbowali rozbierać słów Aleksandra I, wyrzeczonych na dopiero co odbytym sejmie warszawskim, ani wypominać ostatnich awantur cesarzowicza, ani zastanawiać się nad kręactwem Nowosilcowa czy też deliberować, ku czemu mość pruska zmierza. Starczyło im dwóch zdań, aby zaniechać kwestii jasnych, oczywistych i

przesądzonych dla każdego, który nie swego, lecz ojczyzny dobra pragnął, który nie ochłapu z pańskiego stołu, ale przyszłości ludu polskiego szukał.

Jakoż generał bez wstępów jął napomykać o swoich i Szczanieckiego pułkownika planach ku skupieniu patriotów, utworzeniu gromady, która by nie dała zgnuśnić ludowi, która by ducha w nim nieciła, a tężyzną zaprawiała, no i która podałaby ręce braciom z Galicji, Kongresówki, Litwy, Wołynia i Podola.

Łukasiński wysłuchał uważnie Kosińskiego, a gdy ten skończył, zwierzył się ze swoimi zamysłami.

– Jest nas kilkunastu do dzisiaj, przy najsilniejszych zabiegach, za lat kilka może być nas kilkuset – to za mało na Polskę, a za wiele na dochowanie tajemnicy, na ustrzeżenie się wykrycia. Werbunek jest niebezpiecznym i trudnym. Dlatego też inną drogę rad bym obrać. Królestwo i Litwa aż się roi od wolnomularstwa, wolnomularstwo jest dozwolonym, toć nawet cesarzewicz w loży zasiada. Owóż zdało mi się, iż można by własne otworzyć loże, zmienić statuty i nie ku odbudowaniu świątyni Salomona dążyć, lecz ku odbudowaniu Rzeczypospolitej zmierzać. Do łóż takich można zgoła otwarcie namawiać upatrzonych i tam ich z wolna zaprawiać i wypróbowanych dźwigać do łóż drugiego stopnia i jeszcze trzeciego, a dopiero w stopniu czwartym pracować otwarcie.

Kosiński na ten wywód potarł zmarszczone czoło.

– Śmiały rzut, ale diablo trudny. Próbowałem tego chleba, ciężki do przełknięcia. Tłumowi nie wierzę nigdy, gromadce dzielnych zaufam zawsze.

– Niezawodnie, gromadka dzielnych znaczy więcej, ale wówczas gdy tłum jest urobionym, choć ociosanym z grubego. Zresztą, generale, nie upieram się przy moim układzie, a raczej przy układzie naszej garstki. Przeciwnie, rad będę najsurowszemu poddać go sądowi, w tym celu przybyłem. Przywiozłem szczegółowy opis.

– Doskonale, dziś jeszcze na noc do przewertowania go zasięde, żebym się przed generałem nie zblądził. Ściągniemy Szczanieckiego, a bodaj i Mielżyńskiego. No, no, panie Walery, przekonasz się, że i tu ludzie nie śpią na laurach.

– Więc generał-wojewoda nie odmówi?

– Jak to? Co?

– Bo, generale, nie mam czego kryć, garstka nasza nie z potentatów się składa, sędzia, adwokat, szlachcic wołyński, a co Wierzbołowicz: jako podpułkownik, największym między nami personatem.

– Do czego waszmość zmierzasz?

– Do tego, generale, że Dąbrowskiego pragnęlibyśmy mieć za przewodnika, za wodza, a wobec naszej ubogiej w zasługi czeredy obawiamy się, aby nam nie odmówił.

Kosiński położył rękę na ramieniu Łukasińskiego.

– Dąbrowski nie odmawia nigdy dobrej sprawie!

Major nie zdążył odpowiedzieć generałowi, gdy na progu ukazała się wyprężona postać starego kamerdynera.

– Co tam? – zagadnął niecierpliwie generał.

– Jaśnie pani marszałkowa Brońcowa!

Kosiński otworzył szeroko oczy.

– Kto? Kto?

– Jaśnie pani marszałkowa Brońcowa z panną.

– Powiedzieliście?

– Kazała się zameldować do pani generałowej i do pana generała.

Pan Amilkar strzepnął z determinacją rękoma.

– Ano cóż, leć, proś do salonu, zaraz przybędę, jeno surdut wdzieję.

Kamerdyner wyszedł, generał odwrócił się do Łukasińskiego.

– Masz ci bal z Brońcową! Trzy dni będzie plotkowała, zanim się ruszy. A w dodatku żona mi słabuje! No i nie lubię tej baby! W porę się wybrała. Ale bo, panie Walery, wam coś jest?

– Mnie? Nic zupełnie.

– Darujesz waszmość, muszę się ogarnąć i gościowi się ucieszyć.

– Niech pan generał mną się nie kłopotuje. O jedno bym prosił, aby mnie pan generał gdzie na ustroniu zasadził i o bytności mej Brońcowej nie mówił. Lepiej, żeby mnie nie widziała.

– Więc znasz ją, znasz?

– Dobrze.

– Masz słuszość, majorze, tak będzie lepiej. Baba się znudzi i prędzej wyjedzie. Chodź tędy do sionki, w gościnnym pokoju cię ulokuję, wybacz jeno z góry samotność chwilową. Po wieczery czmychnę Brońcowej.

Kosiński zaprowadził majora bocznymi schodami na pięterko, naniósł mu kopersztychów do oglądania i przeprosiwszy solennie, na powitanie marszałkowej podążył.

Łukasiński, zostawszy sam, pochylił się nad kopersztychami, lecz te zmęczyły go czegoś, więc przeszedł się po izdebce, otworzył okno i sięgnawszy do mantelzaków podróżnych, które generał kazał z bryki przynieść, dobył zwój papierów i próbował raz jeszcze ułożony plan wolnomularstwa patriotycznego. Ale nawet ta ukochana, najdroższa mu sprawa nie zdołała rozpedzić natrętnych myśli, cisnących się do głowy majora.

Daremnie Łukasiński próbował rozbierać punkty organizacyjnego statutu, daremnie zastanawiać się chciał, który postulat może wydać się słabszym, a który generałowi zgoda dziwnym może się przedstawić, jak ten, aby, dla upozorowania legalności, w każdej łoży mieć biusty cesarskie na honorowym miejscu, z każdego wiersza czytanego skryptu wychylały się ku niemu wielkie, spłoszone, czarnogranatowe oczy, a w uszach brzmiały mu echa zgiełkliwego rozgwaru na ostatnim zebraniu u Brońców.

I Łukasiński odrzucił trzymany skrypt, głowę wsparł na framudze okiennej i poddał się natrętnym wspomnieniom.

Toć ledwie rok minął, jak Łukasiński stałym bywał gościem u marszałka Królewskiego Zamku, jak żył jeno myślą oglądania panny Żanety, jak ścigał ją każdym pulsu uderzeniem, jak śnił cudny sen, jak roił! I nie tylko roił przecież. Boć i pan Broniec mile przyjmował zabiegi Łukasińskiego skierowane ku swej najstarszej pasierbicy, i pani Brońcowa nie szczędziła słów zachęty, ba, nawet hrabia Grudziński, ojciec, choć z dala, Wierzbolowiczowi się zwierzył, że rad by Łukasińskiego mieć za zięcia. Wszystko składało się ku dobremu, aż potem Gutakowski ministrowicz spadł jak kula, a nim jedną z trzech panien Grudzińskich sobie upodobał, dwom naraz się zalecał. Zjawienie się Gutakowskiego było pierwszą chmurą, i groźną. A potem dom Brońców zhardział, matka o większej karierze dla córek zaczęła myśleć, panna Żaneta posmutniała, ochłodła. Lecz to podobno były jeszcze dobre, jeszcze szczęśliwe chwile. Aż w saloniku Brońców ukazał się wielki książę Konstanty! Zanim ktokolwiek spostrzegł, zorientował się, odgadł intencje cesarzewicza, następcy tronu, Łukasiński już je w lot chwycił, już je zgłębił, już nie wątpił. Małe, świdrujące oczy księcia wpijały się w Żanetę, ruda głowa ku niej się chyliła, ku niej szeroka, ceglasta szczyrzyła się twarz. I zaczęły się dla majora noce długie, dni męki, bezsilnego gniewu. Na nic się nie zdały napomknienia Łukasińskiego, na nic usiłowanie przekonania Brońców. Marszałkostwo ani myśleli zawiązywać losu Żanecie i zbywali majora półsłówkami. Łukasiński upatrzył sposobność i do Żanety wprost się odwołał, lecz cały jego impet osadziło jedno jej spojrzenie, cały żar wystudziło w nim jedno uprzejme słowo. Odtąd Łukasiński snuł się jak cień po komnatkach Brońców, już nie szukał oczu Żanety, już nie żądał uśmiechu, już nie napawał się czarem idącym z jej postaci, lecz trwał, aby do dna wychylić gorycz, aby nic z bólu nie uronić. Potem, potem, tuż przed księciem, wyrósł niby spod ziemi Rembieliński. I bez ubiegania się o względy, o rękę Żanety się deklarował, bo i ani myślał pannie się naprzykrzać lub mieszać się do jej rozmów z księciem. Łukasiński zrozumiał grę. Czemu opierała się dotąd Żaneta Grudzińska, do tego

dałaby się skłonić cesarzewiczowi pani Rajmundowa Rembielińska. Majora na te sidła bezecne opanowała wściekłość. Do oczu Brońcowej prawdę wypowiedział, a gdy ta całe do serca rzeczy nie brała, wszczął sprzeczkę z Rembielińskim, wyzwał go i nazaczył. Od tej pory przestał bywać u Brońców. Od tej pory raz jeden podczas parady na Saskim placu widział Żanetę, jak z okna mieszkania generała Tolińskiego wraz z kilku damami wiała chustką na powitanie pędzącej czwórki książęcego kabrioletu.

Major odetchnął ciężko i mocniej ku ogrodowi się wychylił, jakby przestworu szukając dla tłoczących go wspomnień, gdy naraz, tuż za sobą, usłyszał zafrasowany głos generała:

– Rób, co chcesz, panie Walery, musisz zejść na dół. Nie udało się *incognito*.

– Ależ, generale...

– Nie moja wina, z Brońcową to tak: zanim karczmę minęła, już zdołała języka zasięgnąć, a wyrekonesansować, że major czwartego pułku bawi w Targowej Górcie.

Major nie wiedział, co odpowiedzieć. Kosiński wziął to za konfuzję.

– Co tam, przecież cię baba nie zje! Ażebyś stąd gawęd niepotrzebnych nie miał, zełgałem, żeś po sumkę lokowaną u mnie wstąpił w drodze do „badów”. Dalej, dalej, panie Walery. Wąsa nie każe ci podkrecać, bo go, biedaku, według arcystrategii cesarzewicza, jako piechur golić musisz, aleć chociaż faworycyny nastrosz, bo dalipan, córuś Brońcowej warta grzechu! I baba nie bez kozery napała się ciebie, wodzi przecież ten swój towar macierzyński nie tylko na pokaz.

– Więc i panny Grudzińskie są z marszałkową?

– Tatarzynie, bisurmanie, zaraz mu się pluralisu zachciewa! Jedna jest, łania nie dziewczyna, starczy za mendel. Mnie samemu nie bardzo tacy goście, ale że mi z tobą tyle dziś ukontentowania spłynęło, to niech tam i Brońcową! Nie marudź, nie zmęczysz się dyskusją, Brońcowa za nas dwóch nagada.

Łukasiński chciał się wymawiać, lecz pan Amilkar pod ramię go ujął i pociągnął za sobą.

Major zmógł się. Opierać się było niepodobna. Spotkanie z Brońcową nie uśmiechało mu się, ale i nie miał racji kryć się, bo mógł jej nie tylko spojrzeć, ale i ostro spojrzeć w oczy. No, a z panną Grudzińską, jeżeli to była jedna z sióstr Żanety, łączyły go raczej miłe wspomnienia.

Tuż przed drzwiami do salonu, zdjęła Łukasińskiego wątpliwość: a gdyby Żaneta?

– Pozwól, panie generale – zapytał niepewnie Łukasiński – czy pani Brońcową jest z panną Józefiną?

– Nie umiem ci powiedzieć, ale masz, przekonaj się – odparł rażno Kosiński i drzwi przed majorem rozwarł.

Łukasiński przestąpił próg i zamarł w powitalnym ukłonie: o trzy kroki przed nim, wsparta na klawikordzie, stała Żaneta Grudzińska.

II

Łukasiński sam nie zdawał sobie sprawy, jak przebrnął pierwsze ognie przywitania, jak zdołał wyjąkać kilka zdawkowych frazesów i jak nareszcie krzykliwy głos Brońcowej wpadł w znane majorowi tempo bezładnego paplania.

Niegdyś ta paplanina pani marszałkowej dokuczała Łukasińskiemu. Dziś była mu miłą, błogosławioną, bo dzięki niej mógł zasunąć się w róg fotelu i ochłonać z wrażenia, a raczej oswoić się z myślą, że to, co mniemał być stygnącym, żarem wionęło, że to, co przypuszczał być obolałą jeszcze blizną, było raną piekącą, raną krwawą.

I major podniósł czoło, niedostrzegalny uśmiech przemknął mu się po ustach, bólem je naczynu i szczył w męskim załamie warg.

Ha, toż winszować sobie mógł śmiało, ha, toż jeżeli przeznaczeniem jego było spłonąć w ogniu beznadziejnej miłości, gdzieżby znalazł piękniejszą, gdzież wdzięczniejszą zwodnicę, gdzież taka druga korona lśniących, jedwabistych ciemnoblonde splotów zdołałaby się zbratać z takimi ostrołukami brwi, z taką przedziwnie rytą twarzyczką, z tak mieniącymi się głębiami wielkich, podługowatych oczu!

Głos Brońcowej przeraźliwiej zaskrzeczał:

– Słów nie mam dla obojga najjaśniejszych państwa. Powiadam ci, generale, popłakaliśmy się ze wzruszenia. Wierz mi, miewaliśmy zacnych królów, ale takiego jeszcze nie było.

– Prawda, że nie było – zauważył oschle pan Amilkar.

– A cesarzowa matka – sama dobroć. Wystaw sobie, moje panienki były jej prezentowane, a jakże, ucałowała jedną po drugiej, a już Żanetkę... Przecież chyba Beauperek do łez nie jest skory, a łzy, łzy miał w oczach!

– Beauperek? Cóż to za Beauperek?

– Mój mąż. Żanetka bardzo się całej rodzinie cesarskiej podobała. Pozwól, Żanetko, ale co prawda, to prawda.

Twarzyczka panny Grudzińskiej zapłonila się z lekka.

– Jesteście panie pod urokiem.

– Nie, nie, generale, zapytaj kogo chcesz; jeden głos uwielbienia, czci, zachwytu i radości. Pod berłem króla Aleksandra tylko dobre nas czeka, a że jacyś krzykacze, jak ten Niemojowski i Ledóchowski, usiłowali zakłócić skupienie wiernych najjaśniejszemu panu, serc, nad tym jeno ubolewać, jeno się rumienić. Zresztą król jegomość bardzo godnie i pięknie im odpowiedział: „Nie kwapcie się do korzystania ze swobód”, co znaczy po prostu: „Zostawcież mi przywilej czynienia wam dobrze, niechże i ja mam jakieś zadowolenie”.

– Przepraszam, nie próbuję oponować, mościa marszałkowo, bo widzę, że lepiej ode mnie znasz się na arkanach.

– I prawdę powiedziawszy, drogi generale, to tak, sto razy tak. Przecież wszystko działo się tuż obok nas. Beauperk od rana do nocy na pokojach królewskich bawił, no a sosem angielskim wprost furorę zrobił. Cesarzowa matka napała się przepisu i do Peterburka go zabrała. A nie mówiąc już, że hrabia Nesselrode ani jednej okazji nie opuścił u nas. Któż może lepiej od nas znać intencje króla jegomości. Po prostu grzech, grzech śmiertelny upatrywać cienia w tym, co samo przez się jest słońcem!

– Szkoda jeno, że owo słońce na takim skrawku Rzeczypospolitej wzeszło.

– Idzie ci, generale, o Litwę, Wołyń?

– Nie, pani marszałkowo, idzie mi o to, co w Polsce było i jest najszczerzej polskim; idzie mi o to, że siedzę tu na ziemi Chrobrego i że mnie za granicę wyrzucono i kazano zostać gapiem bez mała.

– Ależ, generale, czemuż nie przeprowadzisz się do Warszawy?

– Prawda, o tym radykalnym sposobie nie pomyślałem. Ale pozwolisz, mościa marszałkowo, że pójde na chwilę do żony; musiała się obudzić, a nie darowałyby mi, gdybym ją w czas o przyjeździe pani marszałkowej nie uprzedził.

– Byłeś jej nie trudził, generale.

– Cóż znowu, sprawi jej to prawdziwą dystrakcję.

Generał wysunął się z salonu. Brońcowa westchnęła i zauważyła z rezygnacją:

– Najlepszy w świecie człowiek, ale zawsze jakobin.

– Nie sądzę – bąknął Łukasiński.

– Wszyscy oni tacy; jak z legionów wyszedł, to aż parzy czerwonością. Zadne antyki, godne podziwu, ale gdzie do naszych czasów!

– Pewnie, myśmy już na przeciwległym brzegu przepaści.

– Mówisz tak, majorze, iż gdybym cię nie znała, gotowa bym cię także posadzić! Nawet bardzo łatwo, bo wiesz, jak cię nazywa Żaboklicki? No, powiedz, Żanetko, powiedz majorowi.

– Nie przypominam sobie.

– Katonem czwartego pułku! Cesarzewicz, jak usłyszał, śmiał się do rozpuku. Lecz nie dopuszczaj sobie niefortunnej myśli. Wielki książę wypomina cię z całym uznaniem, stawia zawsze za wzór oficera. Nieprawdaż, Żanetko?

Panna Grudzińska skłoniła głowę na znak potwierdzenia.

– Jego cesarzewiczowska mość bardzo łaskaw – ozwał się głucho major.

– Powiem ci więcej, majorze. Kilkakrotnie zapytywał Beauperka, dlaczego nie bywasz u nas. Spodziewam się, że za powrotem do Warszawy nie zapomnisz o nas. Zawsze mamy cię w miłym zachowaniu. Wszak ci to kuzynami prawie jesteście, rodzisz się z Łucji Grudzińskiej. Mój dawny małżonek, pan Antoni, skoro od pruskiej mości hrabstwo otrzymał, do paranteli jest nieskory. Jam zawsze wierna szlacheckiemu obyczajowi, więc nie zapominaj, majorze.

Łukasiński wyprostował się na fotelu i odparł z ukłonem:

– Pani marszałkowo!

Wejście do salonu, generała i słaniającej się u jego ramienia pani generałowej uwolniło majora od dalszych wynurzeń Brońcovej.

Rozmowa potoczyła się teraz spokojniejszym torem, ile że pani Kosińska umiała zręcznie unikać aluzji do polityki i wymijać zachwyty Brońcovej nad parą cesarską i dworem petersburskim. A że nadto i generał nie zdradzał ochoty do prostowania światopoglądów marszałkowej, przeto ta ostatnia zawróciła na ulubiony temat warszawskich plotek.

Przejście do jadalni na wieczerzę było jedynie dalszym ciągiem popisu marszałkowej, przeplatany ledwie monosylabami gospodarstwa.

Łukasiński nie brał udziału w sekundowaniu Brońcovej, bo i zresztą nie było miejsca po temu i poprzestawał na zwykłej uprzejmości współbiedniaka, w czym harmonizował z Żanetką, która tak dalece nie zważała na opowiadania matki, że nie potrafiła ani razu w porę przyznać jej słuszności.

Lecz jeżeli milczenie Żanety i majora było zgoła usprawiedliwionym gadatliwością Brońcowej, to zachowanie się ich względem siebie – dziwnie nienaturalnym.

Siedzieli tuż obok siebie, służyli sobie wzajem, wymawiali towarzyskie komunały, pamiętali o sobie, a jednocześnie ani razu na się nie spojrzeli, ani razu nie zamienili najpospolitszego uśmiechu, najbanalniejszego grymasu porozumienia myślowego dwóch spotykających się przechodniów, dwojga ludzi dla się obojętnych, obcych.

Oczy Łukasińskiego-i Grudzińskiej nawet w promieniu swym ku różnym padały punktom, nawet strzegły się zetknięcia na tym samym załamie adamaszkowego obrusa, na tym samym odbłasku kryształowego pająka.

Po wieczerzy pani Kosińska wymówiła się strudzeniem i do komnat swoich odeszła. Generał zaś wysłuchał cierpliwie raz jeszcze powtórzonej historii amorów ministrowej Wielhorskiej do Witwickiego, oficera z kwatermistrzostwa, jej zazdrości o pannę Maisonville, guwernantkę córki, w której znów kochał się adiutant namiestnika, Miroszewski, no i wynikłej stąd gmatwaninie, połączonej z wykradzeniem guwernantki, szukaniem zaginionej przez generała Różnieckiego i powstałych stąd arcykomicznych komplikacjach. Aż ją wypominać późną godzinę i do pokojów gościnnych ofiarował się prowadzić Brońcową.

Ale pani marszałkowa nie dała generałowi dokończyć.

– Musisz mi, drogi generale, co najmniej jeszcze godzinę poświęcić. Jutro trzeba nam ruszać dalej, mamy jeszcze być u Dąbrowskich, u podczaszego Chłapowskiego, u Działyńskich, no i w Popowie kilka dni zabawić. A mnie tu, krom przyjaźni, i sprawa ważna sprowadza. Idzie mi o Popowo! No, nie mogę sobie dać z nim rady, gospodarstwo nic nie przynosi, opieka licha, więc zamierzam się starać, aby Popowo do amtowych dóbr odkupili: nikt przecież lepiej nie może zapłacić.

Generał westchnął nieznacznie.

– Miałem już honor przed rokiem...

– No tak, no tak, ale cóż, zeszło mi na niczym. Teraz chcę niebo i ziemię poruszyć.

– Wątpie, czy się to zda na co, amty ziemi mają zadość.

– Mój drogi generale, tylko mi nie odmawiaj. Poradź co, jak – a choćby reskrypt królewski z Berlina wydostanę i Popowa się zbędę.

– Zbyć łatwo.

– Otóż, otóż właśnie, tajemnicy nie ma, hipoteka zapisana, więc byle czego wziąć nie mogę. Ale nie sądz, iż będę nadużywała twej uczynności. Chodźmy do ogrodu, przejdziemy się, a rozpowiem ci wszystko dokładnie.

Generał podał w milczeniu ramię Brońcowej. Żaneta podniosła się. Major wstał, nie wiedząc, co mu czynić wypada, lecz tu marszałkowa wybawiła go z kłopotu, bo odwróciwszy się ku Łukasińskiemu, zdecydowała z całą swobodą:

– Podaj, majorze, rękę Żanetce i ruszajcie przodem, was ta rozmowa nie zajmie.

Łukasiński zawahał się, ale tuż obok żwawiej zaszeleściały muśliny panny Grudzińskiej i ręka jej wsunęła się niepostrzeżenie pod nachylające się machinalnie ramię majora.

Szli długo w milczeniu śród mrokami spowitych alei, brnąc w falach jaśminowych tchnień, ani zważając na białe kiście akacjowych pąków, które zwieszały się co kroku nad ich głowami, a poić chciały swą słodyczą.

– Pan dawno w podróży?

– Czwarty dzień.

– W drodze do Karlsbadu?

– Tak, do Karlsbadu.

Równy, płynny chód panny Grudzińskiej splątał się raptownie.

– Może pani życzy sobie wracać?

– Dlaczego? Idźmy jeszcze, taki piękny wieczór, lecz może pana trudzę?

– Bynajmniej.

– Więc idźmy, tędy ku grabom.

Łukasiński odchrząknął z lekka i starając się nadać swemu głosowi ton wyszukanej galanterii, odezwał się:

– Nie miałem sposobności złożenia pani moich powinszowań.

– Powinszowań? Nie rozumiem.

– Względy okazywane pani przez cesarzową matkę upoważniają mnie do tego.

Panna Grudzińska drgnęła.

– Bardzo dziękuję, istotnie, cesarzowa była łaskawą wyróżnić mnie cyfrą frejliny.

– I tak dalece, że wróżą pani przyszłość, wielką przyszłość, wspaniałą!

– Wróżby zawodzą.

– I często, lecz w tym razie nie ma mowy o przepowiadaniu królewicza z bajki, boć królewicz jest żywy i wcielony. Królewicz, więc szczęście, więc sen ziszczony, więc panowanie krociom, więc tron! Alboż to wszystko, a wdzięczne zadanie poskromienia rozhukańca, a duma ugłaskania tego, który dołą milionów igra?

– Czemu tak do mnie mówisz, panie majorze...? – szepnęła urywanie panna Grudzińska.

Łukasiński zaśmiał się spazmatycznie.

– Cha, cha, czemu? Mówię to, o czym mówią wszyscy i o czym mówić mi wolno.

– Jesteś niesprawiedliwym, majorze, nigdy nie starałam się budzić w panu, sentymentów.

– Prawda, wyznaję, święta prawda. Ja sam własny ból wykołysałem i do własnej poczuwam się winy! Lecz usunąłem się, odszedłem, ustąpiłem z drogi. Powiem więcej, gdy zaczął Gutakowski w domu państwa bywać, mniemałem, iż ku pani się deklaruje, widziałem me nadzieje pogrzebane, ale się opanowałem i dość siły znalazłem, aby milczeć. Boć i jakże z Gutakowskim iść mogłem w zawody, ja żołnierz-pospolitak z paniczem wytwornym, bogaczem, ministrowiczem skoligaconym i przyznam, nie tylko dorodnym, ale i zalet charakteru pełnym. Za Gutakowskim przemawiało wszystko. Żalność szarpała mnie, gdym widział was razem, obok siebie, zajętych rozmową, a tak zdawało mi się pogrążonych we wzajemnym zaciekanieniu, tak ku sobie się skłaniających...

Grudzińska nerwowym ruchem uwolniła rękę spod ramienia majora i osunęła się na stojącą w pobliżu ławkę.

– Tak, żalność wielka szarpała mną i nękała zawiść, żem nie tak, jak tamten jest możliwym, dorodnym, że nie mogę krociami wynieść się nad tamtego, zgasić kawalerskość jego obejścia, zaćmić wysokością urodzenia, a zabłyszczyć świetniejszym mundurem, niżli uniform fligela-diutanta jego królewskiej mości i ciebie, Żaneto, nawrócić ku sobie i ciebie wywalczyć!

Łukasiński wpiął palce w oparcie ławki i pochylił się ku Grudzińskiej, jakoby odpowiedzi czekał. Żaneta siedziała bez ruchu, w pół ku poręczy przytulona.

– Powiem więcej, na co krzyć? Nikczemne skradały się ku mnie porywy, ssały ze mnie żołnierską uczciwość, padalczymi oplątywały kręgi. Nienawidziłem go, szukałem zwady, lecz Gutakowski umiał mnie z godnością przetrzymać, umiał broń wytrącić, a zastawionych nań sideł unikać. Lecz ta jego rozważa, ta jego oficerska stateczność, miast ostudzić mnie, podnieciła, miast ukorzyć, gwałtowniejszym, niecniejszym zatrąła jadem, postanowiłem go zabić.

Grudzińska skuliła się, niby pod ciosem, fale muślinu, szeleściły febrycznie pod dotknięciem jej drobnych, smukłych palców.

Major dyszał ciężko, zdawało się, że szukał dość potężnego tchnienia, aby z głębi piersi resztę ołowianych słów dobyć, aż wargi jego spłynęły cichym, smutnym poszmerem:

– Pewnego wieczora, gdym przyszedł, aby się napawać widokiem własnego bólu, aby zasunięty w kącie salonu, poić krwawe mary, ty z nim siedzieliście pochyleni ku sobie, zaprząt-nięci rozplątywaniem kolorowych włóczek. Nie zauważyliście mego przybycia. Żgnęło mnie, chciałem iść między was, spłoszyć, goryczą bluznąć, lecz zawahałem się. Byłaś, Żaneto, tego wieczora tak piękna, tak bardzo piękna, po raz pierwszy tak piękną, jakby śnionych linii posąg marmurowy życiem zakolętał, kolorami zagrał! Oczy twe mieniły się, od fioletowych

błysków ku chabrom szły, na przemian – to piły, to dawały pić, to skrami rzucały, to ku skrom spragnione rozszerzały źrenice. I czoło twe ku jego skłoniło się czołu i niesforne promienie włosów twych wiły się ku niemu i ręce twe biegły po zwojach włóczki śladami jego rąk. Wiedliście rozmowę urywaną, obojętną, pustą, lecz równocześnie wiedliście inną. Słyszałem obie. I łamałem się, i chciałem zmiażdżyć was, zadławić, lecz widok twego szczęścia mnie ubezwładniał, pętał, skuwał. Odszedłem nie postrzeżony, aby nie wrócić więcej. W miesiąc potem wpada do mnie na kwatery Skrobecki, adiutant Haukego, plotki prawic i nowych szukać, i naraz zapowiada mi nowinę, że Gutakowski o hrabiankę Józefinę się oświadczył. Myślałem, że imiona przekreśli. Dla pewności idę do Kubickiego, z którym pan marszałek w zażyłości, potwierdza wiadomość. Tego samego wieczora stawilem się u państwa, jeszcze niepewny, jeszcze nie ważący się wierzyć szczęściu. Byłaś, Żaneto, wówczas chorą; gdy się przekonał, że to nic niebezpiecznego, byłem rad twej chorobie, bo sam potrzebowałem wytchnienia, uspokojenia. Ale nim się ocknałem, nim ze wstydem moich niegodnych pokuszeń się rozprawiłem, zjawił się on! Książę cesarzewicz, Konstany, satrapa, ciemiężca!

Grudzińska odrzuciła pochyloną głowę i rzekła bezbarwnym, przytłumionym głosem:

– Mości Łukasiński, już powiedziałam. Cenię wielce jego osobę i boleję, że stałam się mimowolną przyczyną... Drogi nasze są różne. Nie masz prawa tak do mnie przemawiać.

– Mylisz się, Żaneto, nie sądz, iż łudzę się jeszcze, iż marzę o przejednaniu cię, o zdobyciu twej wzajemności. Ale i nie dziw się, zapragnąłbym bodaj widokiem twego szczęścia się radować, że pragnąłbym cię oglądać daleką od małych rachub, nie skalaną żadnym posądzeniem.

– Do czego zmierzasz, majorze.?

– Do tego, żebyś głosu serca własnego słuchała, za nim szła. Szukaj bodaj i znakomitego imienia, patrz na bogactwa, jeżeli tak uczy cię rozwaga, sięgaj na szczyty, jeżeli podpowiada ci ambicja, lecz odwróć się od tego, który jeno cię sponiewiera, jeno podepce, jeno splugawi w tobie godność Polki.

– Nie znasz go, mości Łukasiński.

– Znałaś żeś pani Wilczka?

– Zaczny oficer, lecz nad wyraz egzaltowany w poczuciu honoru. Odebrał sobie życie w napadzie uniesienia. Książę bolał serdecznie. Wy, panowie wojskowi, służbowe swoje zatargi wystawiacie nade wszystko.

– Nie miałem ani razu zatargu służbowego z księciem.

– I stąd zdumiewam się, że za tyle zaznanych względów...

– Względów – podchwycił major – nazywasz to względami! Zdaje ci się, że mu się zaprzedał, że już nie widzę, co się wokół mnie dzieje, że przymknę oczy i zatkam uszy, aby pańskie ochłapy pożywać w zaciszu, nie słyszeć jęków katowanych żołnierzy, ponieważ tych, co dziesiątki lat walczyli za wolność, dzikiej nienawiści do każdego wyzwolonego odziewu, do każdego szczerego drgnienia polskiego ducha?! Lecz tego nawet Konstany nie ujmie w halsztuki, nie zdławi haftkami!

– I pomyśleć, że książę uważa waszmości za jednego z najbardziej oddanych!

– Więc go, mościa hrabianko, oświeć!

Grudzińska dźwignęła się gwałtownie z ławki.

– Pozwolisz, majorze, że odejdę.

– Jeszcze słowo, więc go pani kochasz?

– Najpierw, szanuję w nim to, czego tobie podobni nie są zdolni postrzec na mustrze; dalej, żywię dlań przyjaźń, a dalej... dalej, mości Łukasiński, wolę cię zostawić w mniemaniu, że jestem tylko pustą, tylko chciwą i tylko samolubną.

Grudzińska odwróciła się i szybkim krokiem podążyła ku dworowi.

Łukasiński patrzył za nią długo, patrzył, aż mu nie znikła biel muślinów, aż szelest za klombem nie umilkł, aż roztrącone krze nie steżały w bezruchu.

Noc zapadła. Księżyc parł ku mlecznej smudze podniebieskiej, coraz ostrzejszymi kontury cienie drzew rysował, coraz baczniej każdy zakamarek ogrodu przezierał, wreszcie zawisł pod stropem gwiaździstym i poglądał natrętnie ku ławce w grabowej alei, kędy siedział Łukasiński.

Major ani drgnął, ani postrzegł wysrebrzonej tarczy księżycy, ani twarzy ukrytej w dłoniach nie odchylił. I księżyc muskał go swym trupim światłem, niby życia szukał, niby przenikać chciał, lecz snadź daremnymi zabiegami się zraził, a może zamarłe złomy ruin wykrył, bo zsunął się po wierzchołkach grabów i skrył za gąszczem koron.

– Hej, hej! Mości Łukasiński! – rozległ się w pobliżu ławki dźwięczny głos generała. – Co waszmość? Ani cię znaleźć! Jesteś, jesteś! Chodźże, chodź! Przejdziemy się, pogadamy trochę. Baba mi natarabaniła tak, że aż muszę wytchnąć.

Major wstał z ławki i ruszył z generałem.

– Nie bierz za złe, żem cię tak długo zostawił, ale z Brońcową ani weź krócej. Mało mnie nie ususzyla z tym swoim Popowem! Radź i radź! Kiedy tu nie ma nad czym radzić, bo jej tylko w głowie, jak by ziemi się wyzbyć i za to, co warte dukata, wziąć dwadzieścia. Skąd, jak? Ano, bo majątek zrujnowała, bo o gospodarstwo nie dba, bo niech sobie kongres drugi zwołają, a niech ją za obdłużone Popowo ozłocą. Racja fizyka, pan Broniec sosy królowi przyprawia, cesarzewicz łaskaw, Nowosilcow podwieczorku nie opuści, więc amt musi Popowo przepłacić! A już ten pobyt cesarza Aleksandra w Warszawie i uprzejmości cesarskie do reszty ją zbeltowały. Miał rozum Grudziński, że się z nią rozwiódł. Owego Brońca nie znam, a żal mi go. No, młyn, wiatrak, pytel, nie kobieta. A zawsze wyczupurzona, napsztęczona, wyciuciana, niby podskok małolatek. Do pani Dąbrowskiej chce, żeby przez Radziwiłła do Berlina kołatać. Pan Dąbrowski musi, Radziwiłł musi, pruska moc musi, bo murgrabinie Zamku Warszawskiego nie dość, że ją przez grzeczność marszałkową tytułują, wszyscy jako równej muszą służyć. A juści! Co zasługa, to zasługa. Pan Broniec przecież już w szóstym roku sosy Napoleonowi smaczył, a potem smaczył księciu warszawskiemu, teraz smaczy Aleksandrowi, a jak jutro Napoleon z wyspy się urwie i do Warszawy zawróci, to pan Broniec znów smaczyć mu będzie. Pan Dąbrowski z Napoleonem szedł, pan Broniec także.

Generał szurgnął nogą po żwirze.

– A gdzie ci się panna zapodziała?

– Wróciła do dworu, była zmęczona drogą.

– Niebo do ziemi z matką. Grudziński zadłużył się na córki, na pensjonacie u pani Vauché je chował, a potem aż je do guwernantki do Paryża wyprawił. Edukacji nabrały wielkiej, ale jak tam z sercem, nie wiadomo. Jedna, słyszę, za Wacława Gutakowskiego wychodzi, niechby się wszystkim równie poszczęściło. Dzieciakami je znam. Grudziński nie wymyślnego lotu człek, ale ot, człek dobry. Jest tu u nas komisarzem granicznym, żeni się drugi raz z sędzianką Białobłocką i bieduje. Obszaru ziemi dużo, ładu i składu lichy. Ale Brońcowa mi nowinę powiedziała! Zajacek księciem od razu został! Panu, Dąbrowskiemu też chcieli tytuł księcia dać, ale odmówił: juści jemu nic po tym.

– Przed moim wyjazdem z Warszawy ogłosili właśnie dekret.

– Hm, hm, sam się nie spodziewał pewno, że mitra na głowę mu spadnie. I wart jej, dali-pan wart, od dziewięćdziesiątego drugiego roku generala. Pomyśl, majorze! Grunt w nim zawsze poczciwy był, jeno charakter do namiestnikowania u was za słaby. Widzisz, poczuli to w nim i naprzód wysunęli.

– Namiestnik pilnie na każde skinienie Konstantego zważa.

– Wiem, wiem. Zajacek sam zgaduje swoją chwiejność, do pana Dąbrowskiego rad się zwraca cichaczem, ale rzadko w porę. Alboż dawno, jak mi pan Dąbrowski powiadał: „Zobaczysz, że Józef wszystkie swoje zasługi za życia pogrzebie. Bóg go strzeż. A Hauke? Gdybyś go był znał jak ja! A Blumer? Nie miałeś bodaj odważniejszego a zajadlejszego w legionach. Dziś to podobno nie ci sami ludzie, nie ci sami”.

– Jeden Chłopicki umiał cesarzewiczowi okoniem stanąć i do dymisji się podał.

– Nie ujmuję. Żebym wszakże był wodzem i gdybym jednym batalionem chciał dywizję nieprzyjacielską na bagnety wziąć, tobym Chłopickiego posłał; ten bo, albowy dał się w pień wyciąć, albo nieprzyjaciela by wykłuł co do nogi. I prędzej by wykłuł, niż legł, bo w hardości bitewnej nikt mu nie sprostą. Lecz gdybym z Chłopickiego miał mieć naczelnika sztabów, generała dywizji, tobym wolał się bez niego obejść. A wiesz, majorze, dlaczego? Bo on nie tylko na mnie o byle co by się uraził, lecz przedtem wszystkich swoich podkomendnych od ostatnich za lada sposobnością by zekpał. Zresztą mogę się mylić, powiadam, bo Chłopicki, gorączka, żołnierza w pasji umie pięścią zdzielić, a u nas, chwała Bogu, nie było pruskiej mody. Toć oni do dziś oficerom trzciny do okładania żołnierzy każą nosić. A Chłopicki na starość zsierdział. Sam jestem za karnością, ale i za uszanowaniem w żołnierzu brata i obywatela.

– Niezawodnie – mruknął Łukasiński.

Generał zadumał się. Szli wolnym, ociężałym krokiem.

– Wiele by o tym mówić – ozwał się po chwili Kosiński, kończąc w głos tok myśli. – Ale pora nam wracać. Pozwól, panie Walery, wejdźmy na ten pagórek, na nim zawsze kres mej wieczornej przechadzki. Tędy, tędy.

Kosiński wgramolił się szparko po wężykowatej ścieżce, aż stanął na ściętym szeroko wierzchołku i rozejrzał się z upodobaniem.

Z pagórka roztaczał się malowniczy krajobraz.

Krajobraz niewyszukany, nie zdumiewający skurczami natury, nie przerażający grozą żywiołowych śladów i nie odrzucający wyrafinowaniem południowych krain, lecz w zamian zharmonizowany, szczerzy, zbożnymi wystrojony garby, białymi zrębami chat przybrany, kępami lip, jaworów, brzóz i olch przetykany, wieżyczką dzwonnicy kościółka ozdobiony, a cały do ramion czarnych krzyża przydrożnego tulący się, a w niebo srebrem poglądujący – polski krajobraz.

– Patrz, patrz, majorze! Jak tu ziemi tej kochanej nie miłować! Siła świata zeszedłem, a nigdzie podobnej nie oglądałem. Ech, ech, kiedy tak sobie tu czasem stanę, a pomyślę o naszej doli, to dalipan, żałość nurtuje, żeśmy tak mało dla tej rodzonej uczynili i rwie człeka na koń, w pole, do obozu, na bitwę! A cóż! Targowa Górka, mniemasz sobie, folwark tęgi, gospodarski, ot, sadyba pierwsza lepsza, kłopotarstwem skibnym zapocona. Ho ho, panie Walery, a ja ci mówię, spróbuj jeno tu na tym pagórku pobudkę zagrać... A będzie komu się zebrać, nawet koniska są, co się z kantarów pozrywają. Kręcisz głową. He? A widzisz ten wiatrak, wiesz kto w nim miele? Ogniomistrz Kulerski, pod Friedlandem nauczył się ci mleć. Tu, pod zagajnikiem, sierżant ósmego pułku tymczasem za polowego jest. Nad drogą kowal Wiczorek, w ułanach Konopki na majsterka się wypromował... Tam przy cmentarzysku od strony Mystek...

Generał urwał nagle i bystrym wzrokiem wpatrzył się w faliste, księżycowym światłem wybielone pasmo gościńca.

– Dalipan, rwie ktoś co koń wyskoczy! Zważ, majorze, ten obłoczek pyłu. Co za licho po nocy! Chyba koń mu się zbiegał.

Major zwrócił oczy we wskazaną przez generała stronę.

– Ani chybi, jedzie ktoś.

– Hm, hm, a może posyłka z Winnogóry wraca? Nicpoń konia mi na nic ochwaci!

Tymczasem hen, z oddali, tętent kopyt końskich iść zaczął; najpierw przytłumiony, niewyraźny, a potem coraz pełniejszy, coraz mocniejszy. A równocześnie ciemna sylwetka jeźdźca, pochylonego na łuku, silniej się odcięła.

Generał nie tracił z oczu jeźdźca i konia, a dogadywał:

– Kiej diabeł! I sady opętaniec, jakby ci rozkaz do szarzy szwoleżerom wiózł. Szczaniecki Lutek tego w siodle się trzyma, ale by temu nie strzymał. Jak to konia prowadzi równo! My-

ślałbym, że Maciej Mielżyński z Miłosławia, bo tego nosi aż z amorów do Prokopówny, swej familiantki, ale i ten by nie potrafił...

Naraz jeździec w bok od gościńca skręcił i na drogę ku dworowi generała wpadł.

Kosiński się zaniepokoił i pociągnawszy za sobą majora, ku bramie ruszył.

– Kto to może być? Kto to może być? Idźmy, idźmy!

W kilka chwil później generał z Łukasińskim dopadli bramy. Generał odsunął zaworę i wyszedł na drogę.

Jeździec rósł w oczach. Już widać było, jak koń rwał kopytami ziemię, jak płątami piany ślady swe znaczył, jak zatoczył się pod kamionką przydrożną i nogi do kłusa chciał zebrać i jak mu jeździec jednym uderzeniem ostróg nogi do galopu wyciągnął. Aż koń stęknął chrapliwie, obłokiem kurzu się okrył, zarył kopytami i stanął tuż przed bramą.

Kosiński, który w jakimś niepewnym skupieniu nadjeżdżającemu się przyglądał, rękami strzepnął i zakrzyknął rażno:

– Szczaniecki! A waszmość, co za harce wyprawiasz?!

Zagadnięty zsunął się z siodła, postąpił ku Kosińskiemu i naraz stężał, niby w ziemię wrósł.

Kosiński rzucił się ku Szczanieckiemu, za ramiona go ujął i targnął nim.

– Panie Ludwiku! Przez miły Bóg! Mówcie, mówcie, co wam. Co wam?

Szczaniecki zatoczył się jak pijany, powietrza chwycił i wyrzucił:

– Wódz kona!

Kosiński zatrzęsł się. Kiście jego rąk wpiły się w ramiona Szczanieckiego, z gardła dobył mu się charkot zajadły, uporem niewiary przepojony, buntem wrzący.

– Wódz? Nasz wódz? Co tobie za wódz? Jeden jest, słyszysz? Jeden!

– Dąbrowski – szepnął Szczaniecki i pierś mu zadygotała spazmatycznie.

III

W pół godziny po przyjeździe Szczanieckiego do Targowej Górki kocz generała, czwórka gniadoszów oprzęgnięty, zajechał przed dwór.

Pan Amilkar jeszcze jakiś rozkaz ekonomowi Kosobudzkiemu wydał, za kaszkiet porwał i do pojazdu wskoczył; za nim pośpiesznie Szczaniecki. Major, który był w pobliżu stał, rozumiał, że mu zostać wypada, i generała chciał żegnać, lecz Kosiński skinął nań i wskazał mu miejsce.

– Jedziesz także.

Łukasiński nie śmiał się wymawiać. Konie ruszyły z kopyta. Jechali długo w milczeniu, jakby wsłuchując się w przytłumiony turkot kół a kołatanie orczyków. Wreszcie generał dotknął ramienia Szczanieckiego.

– Panie Ludwiku, powiadajcie mi wszystko.

Szczaniecki pochylił głowę i zaczął cichym, nierównym głosem:

– Z sejmu warszawskiego wrócił smutny, zasepiony. Ani go rozerwać, ani czym ucieszyć. Zabiegamy z Prądyńskim, aby „naszego starego” orzeźwić. Gdzie, z której strony zaczniesz, ku legionom wraca, Tremona i Liberadzkiego wypomina, o śmierci Rymkiewicza pod Adygą rozpowiada. A co i rusz, mówi: „Pora i mnie do swoich, do rodzonych”. Albo: „Dziw, dziw, że jeszcze po świecie chodzę”. Raz mnie dojeżdża i powiadam: „Generale, gdzie tu dziw, toć zaś szósty krzyżyk panu, generałowi się skończył”. A on mi: „Bajesz, Lutek, patrz wokół, co się dzieje, i dopiero rachuj, a zobaczysz, że takim dawno czas!” I tak ciągle. Na dobitek następnym generałowi Gąsiorowski ze Zberek, który służył w dziewięćdziesiątym czwartym roku, bydgoską wyprawę odbył, a pod Łabiszynem przez huzarów Szekelego był usieczon. Jużci końca nie miały wypominki. Mnie z Prądyńskim pasja brała, bo z tego zawsze naszemu staremu na smętek, ale gdzie byś Gąsiorowskiemu gębę zamknął! Z tej jednej rany dwie rzeki krwi utoczył, a co Prusaków więcej musiał zatłuc, niż Szekeli miał. Aż tu niebo nam zsyła pismo rotmistrza Kępińskiego z zaprosinami na kuma. Nasz stary się otrząsł i z Prądyńskim do Krakuszowic ruszył. Tam ci pono zdjęła go raptem ochota do Pierzchowic zajrzeć, a ojcowiznie się napatrzeć. Ziab był, kapuśniak, samotrzeć konno, w surduciku się wybrał. Nazajutrz na wyjezdny już czegoś słabował. Po drodze, w Krakowie, Prądyński chciał medyka wołać, lecz generał nie pozwolił. „Poddawać się nie myślę, mówi, jadę do domu”. Ledwie Prądyński ubłagał go, żeby dwa dni wypoczął. Aleć wypoczynek na nic się nie zdał. Duszność napadła generała, ledwie co do ust wziął. Trzeciego dnia Prądyński gwałtem medyka się napierał. Generał mu: „Nie ma kiedy, do domu mi pilno, do domu muszę,

siła spraw muszę”. Prądyński ustąpił, bo myślał: „Pani generałowa łacniej sobie z naszym starym poradzi”, więc jeno do pośpiechu nakłaniał. Ale generał sam jakby go paliło, na przepręgach się niecierpliwił, a pędzić konie przykazywał. Aż gdy nareszcie przed pałac winnogórski zajechali, generał, jakby go poderwało, niby młodzik skoczył ku gankowi, noga mu się podwinęła i runął na ziemię. Było to wczoraj. Akurat nadjechałem dowiedzieć się, kiedy generał wraca. A tu gwałt, rejuwach w Winnogórze. Chirurg z Wrześni, medyk ze Środy, cyrulików trzech, generał chory, żar odeń bije, płucami zarabia, noga od stłuczenia szerniała na węgiel. Noc zeszła jako tako. Leżał na wznak, ani się użalił, ani słowa nie rzekł, ani się nie zachnął.

Rano przywłókl się labuś Radziwiłła, lekarz zawołany. Opatrzył generała, potem do mnie: „Płuca pół biedy, ale z nogą strach, bo może gangrena”. Na południe generał się niby ocknął i woła mnie z Prądyńskim. „Na mnie czas – powiada – do roboty trza się wziąć, żeby nieładu nie było”. Mnie jakby kto pałką w ciemię. Mocuję się. „Generale – powiadam – nie dopuszczaj takich myśli”. A on uśmiechnął się dobrotliwie. „Znam ją, staruchę, nabiegała się za mną, napatrzyłem się jej w ślepią, już mi nie sfolguje, do jutra chyba wytrzymam”. I zaczęło się. Prądyński musiał zasiąść do pisania. Generał ostatnią wolę zadyktował, potem panią generałową przyzwał i mówił z nią długo na osobności. A gdy ta łzami się zalewała, cieszył ją, a otuchy dodawał; potem dzieci pieścił a tulił, aż mówi Prądyńskiemu: „Wołaj proboszcza, niech co należy uczyni!” Prądyński po klechę na plebanie, a generał do mnie znów: „Lutek, poadiutantuj mi raz jeszcze, Amilkara wezwij, niech go uścisknę przed śmiercią!” Chciałem ruszać, a on: „Czekaj, czekaj, przyjacielu, a może nie zdążysz, rad bym po dniu odejść, ale kto wie, kto wie... daj mi rękę, czuwaj nad moimi sierotami”. Szczaniecki odechnął i zakończył:

– Tak było, a co teraz, w tej chwili...

Kosiński rzucił się na siedzeniu i zakrzyknął na stangreta:

– Hej tam, konie wypuszczaj!

Kocz zadudnił gwałtownie po kamienistej drodze.

Generał tarł czoło, niby myśli szukał.

– Widzisz, pułkowniku, da Bóg, że się to ku dobremu wyklaruje; no, bo choć niepodobna, cóż byśmy bez niego? Gdzieżby tam gangrena? Taki labuś też potrafi siebie i drugich obełgać. Żeby medykom wierzył, tobym już od dwudziestu lat ziemię gryzł.

– Ja też nie wierzę – mruknął Szczaniecki.

– I dobrze! – podchwycił żywiej Kosiński. – Strachu napędzili i tyle.

– Nie w tym rzecz.

– Aa?

– Generał powiedział! – wybuchnął groźnie Szczaniecki.

Kosiński stęknął, zasunął się w róg koczka i słowa nie rzekł. Łukasińskiego, który był niemym świadkiem całej Szczanieckiego misji, dziwne targały uczucia. Oto te bóle serdeczne zmalowały mu, uciszyły się, zmiłkły, a mózg cały przejęła groza śmierci tego, z imienia którego wzrósł, którego miłował jeszcze, zanim wielbić umiał, ku któremu pragnął się garnać, u którego spodziewał się znaleźć pomoc i wskazanie dla swoich zamierzeń.

Major prawie że wyrostkiem na służbę się zaciągnął, ale nie wiodło mu się pod Dąbrowskiego dostać, a choć kampanię roku dziewiątego odbył, do dywizji wodza legionów się nie docisnął, ile że go na garnizon do Zamościa z batalionem szóstego pułku zasadzili. Tu jeszcze i rok dwunasty przesiedzieć musiał, aż go wprost po pogromie do Krakowa na organizację w trzynastym roku książę Józef wziął. Lecz i tu znów ani się spodział, jak w Dreźnie uwiązał i razem z korpusem marszałka Saint-Cyra, przez złamanie przez Austriaków kapitulacji, do niewoli był zawleczone i dwa lata na Węgrzech pokutować musiał. I tak się stało, że od czasu kiedy jako pacholę raz jeden w Warszawie, po wejściu Francuzów, Dąbrowskiego zobaczył, to go wtóry raz oglądał dopiero w tym roku na cesarskiej paradzie.

Teraz bodaj że zamysły Łukasieńskiego przepadły. Wszak ci i Wierzbołowicz, i Machnicki, i Szreder, i pan Sobański od słowa Dąbrowskiego czynili zawisłym każdy krok naprzód; bez przyzwolenia wodza legionów nie wazyli się działać. Generał kona, a może już wielka dusza żołnierza-obywatela uleciała? A jeżeli nawet kołacze podotąd w zacnym sercu, gdzie myśleć o przedkładaniu planów organizacyjnych walczącemu ze śmiercią, gdzie racji dowodzić umierającemu?

Na marne poszły zabiegi, na marne. Ta wycieczka w Poznańskie, upozorowana podróżą do Karlsbadu, przysporzy mu za powrotem nieprzyjemności, narazi na wściekłość księcia, na karę, na podejrzenia, na indagacje. Nie żał by mu było zresztą i na reformę pójść, dymisję wziąć, a choćby rok na odwachu pokutować, gdyby droga jego osiągnęła cel, gdyby mógł rzec towarzyszom: „Dąbrowski z nami!” Te wyrazy starczyłyby za najkunsztowniejszy plan, najteższe hasło, za najbarwniejszy sztandar.

Winnogóra czuwała. Mimo późnej nocy wszystkie bramy na ścieżaj rozwarła, łunami świateł i światełek biła, a gorączkowym niepokojem w każdym zakątku pulsowała.

Nic to, że i sam pałac bramy rozwarł, a jasnością tu i ówdzie tryskał, nic, że u podjazdu dziesiątek kałamaszek, koczobryków zebrał, a u podsieni czeredę pstrą skupił. Bywało tak, i nieraz bywało, że towarzysze broni, oficerowie, a pana Dąbrowskiego podkomendni, chmarą do Winnogóry zjadą, wodza obsiądą i dalej wypominać, rozpowiadać, skarżyć się a tęsknić, a słowa mocnego wyglądać. Aż dopiero pan Dąbrowski wysłucha uważnie, w oczy prosto spojrzę i powie. Powie krótko, jasno, a tak płomiennie, tak serdecznie, że każde rozmazanie tężeje, każde samolubstwo milknie, każda zawiść głuchnie, każde zniechęcenie wiarą kipi, każda miernota myśli ku wielkiej idei się rwie. Rwie się nie dlatego, aby pan Dąbrowski rządów Agamemnona się napierał, gromami raził lub w katońską stroił się togę, lecz że błękit nieba nawet ponurozielone fale Atlantyku na szmaragdy zamienia, że słońce nawet alpejskie lodowce topi w wartkie strumienie.

Bywało tak, że stałą ryte oblicze Chłopickiego gniewem się zapali, że Sokolnicki szarpie z alteracji orderową wstęgę, że twarz Haukego spływa zimnym wyrachowaniem, że Zajączek stuka drewnianą kulą, a nie wie, ku której przechylić się stronie, a młódź adiutancka i wojskowa waży się w rozterce, gdy wtem Dąbrowski się ozwie i rozpraszają się chmury, jedna jest ziemia rodzona. Bywało, że w noc późną pałac winnogórski światłami tryska, a wokół niego cisza, cisza wielka. Wódz mówi – słuchają kommilitoni; wódz mówi – nikt przerwać nie śmie, Polska słucha cała.

Lecz teraz snadź ustał rygor, snadź zepsowała się subordynacja, bo koniuchy nawet z poszmerem ku podsieniom się cisną, bo dudnią kopyta konnych posyłek, bo ognie mrugają nawet w chatach winnogórskich, bo choć nie rezurekcja, a ludek do kościółka się ciśnie, kędy proboszcz Sołecki po nocy Panu, Bogu się naprzykrza, a świętym pańskim wczasy zakłóca.

Juści coś na opak w Winnogórze. Dość rzec, że stary Wawrzon, co od lipskiej potrzeby z kurami spać chodził, a nogę drewnianą na kołku wieszał, po północy do izby się dowlókl i miast do snu, się układać, na córkę swą, włodarzową, zakrzyknął, aby mu munduru ze skrzyni dobywała.

Włodarzowa, choć rozespana, przestraszyła się.

– Co ojciec?

Wawrzon machnął kijem.

– Głupiaś, smarkata! Wyłaż z pościeli, dawaj mundur!

Włodarzowa ulękła się groźnej miny rodzica i jęła co tchu dobywać wojskowego odzienia, a pomagać w ubieraniu. Wawrzon zrzędził, prychał, a wąsiska ocierał.

– Jakże w pałacu? – zagadnęła po chwili włodarzowa.

Stary obruszył się.

– Co w pałacu? Nie lepiej?

Wawrzonowi oczy zaszklily się, po mundurze spojrział. Włodarzowa pokiwała smutnie głową.

– Ojciec, ojciec, położylibyście się, wytchnęli.
– Milczeć jeden z drugim! Gdzie krzyże? Przypnij krzyże, niech pozna, z kim ma do czynienia!

– Albo gdzie ojciec myśli?

Wawrzon zawahał się i niby rękoma otrzepując, odrzekł niepewnie:

– Ano... do ten... do kościoła!

Włodarzowa aż przykucnęła ze zdumienia. Toć od czasu, kiedy to rodzic, jak mówił, papieża w Rzymie bijał, nikt go jeszcze w kościele nie widział.

Wawrzonowi to nieme zdziwienie dokuczyło.

– Czegóż gębę wyciągasz?

– Nic sobie – wykręciła politycznie włodarzowa – właśnie Józek poszedł. Mówił, że ksiądz proboszcz nabożeństwo o zdrowie będzie odprawiał; to ja się zbiorę.

– Tyś tam niepotrzebna; taka baba to u niego nic!

– Kiedy ksiądz proboszcz...

– Co mi ksiądz proboszcz! – uniósł się Wawrzon i kij ku niebu wzniosłszy, wybuchnął groźnie:

– Ja z nim pogadam! Ja mu powiem, kto papieża bijał!

I Wawrzon chwycił za czapę grenadierską, nasadził ją, kijem młynka wywinął i stukając drewnianą nogą, ruszył groźny, nasepiony do kościoła, do Pana Boga, o zdrowie generała się prawować.

Kocz generała Kosińskiego zatoczył się cicho przed pałac winnogórski. Nikt go nie witał, nikt nie przyjmował.

Generał wysiadł, rzucił zapytanie jednemu z cizby sług i ruszył wraz ze Szczanieckim i Łukasińskim do pałacu.

Tu Szczaniecki polecił majora opiece jednego z domowników, a sam za generałem na pokoje poszedł.

Wieści były złe. Pan Dąbrowski pod noc opadł z sił i leżał bez ducha. Medycy radzili między sobą, koncyrowali leki, nadrabiali minami, wywodzili, że byle kryzys przeszedł, to i niebezpieczeństwo minie, raz ufali siłom przyrodzonym pana generała, to znów wyszukiwaniem przykładów uleczenia zgoła podobnych cierpień próbowali i siebie krzepić, i innym otuchy dodawać. Nie udawało im się ani jedno, ani drugie.

Łukasiński w bocznej komnacie, tuż przy antykamerze, pod ścianą zasiadł. Było tu tłumno, rojno, lecz cicho. Przychodzili jedni, wychodzili drudzy, ani się pozdrawiając, ani ze sobą mówiąc. Niekiedy obok drzwi rozwartych do antykamery mignęły akselbanty adiutanckie Prądyńskiego. Ktoś zrywał się i szedł ku nim, nikł; a gdy wracał, ktoś inny rzucał pytanie, nadchodzącemu, następowała odpowiedź i znów cisza zalegała komnatę głębsza, smutniejsza. Niekiedy ktoś zagadywał półgłosem do najbliższego sobie sąsiada, choć go nie znał, choć go pierwszy raz w życiu oglądał. Przedmiot rozmowy i jej forma były zawsze jedne. Niekiedy który z medyków do komnaty zajrzał, znajomego oczyma wyszukał i relację mu zdawał. Wówczas jeden i drugi z najbliższych do mówiącego podchodził i słuchał, za czym tworzyła się gromadka, nikt na dyskrecję nie zważał.

Dniało. Dopalający się pajak resztkami świec swych praw dowodził. W komnacie osób wciąż przybywało, tak że do sali obok już drzwi otworzono, aby miejsca przysporzyć.

Łukasiński siedział nie ruszając się z miejsca. Choć wokół obce napotykał twarze, przecież swojsko mu było, bratnio. Toć wszyscy tu jednym niepokojem się trwożyli, jedną i tą samą skrå nadziei się krzepili. Nad ranem dopiero w komnacie ukazał się generał Kosiński. Był błądy, wyczerpany. Podszedł do majora, szepnął:

– Nie poznał mnie.

I osunął się obok Łukasińskiego na krzesło.

Major wyczekał i zagadnął:

– Jednakowo wciąż?

– Nieprzytomny.

Mijały godziny. Słońce dźwignęło się, roziskrzyło różową tarczę, rozpałało ją do białości i wzbilo się pod niebiosa, piękny, jasny dzień czerwcowy w całej ukazując krasie.

Wódz legionów, od wczorajszego wieczora na poły obumarły, odetchnął głębiej, poruszył się i oczy otworzył. Postać niewieścia u wezłowania czuwająca zerwała się i bez szelestu do ręki chorego przypadła.

– Daj mi pić, Basiu.

Postać wśród półmroku komnaty pośpieszyła do stolika i podała napój. Wódz pił długo, chciwie.

– Późno już?

– Po południu.

– A tak mroczno.

– Przywarliśmy okiennice.

– Otwórz je, otwórz... niech widzę, niech patrzę...

Fale światła wpadły do komnaty. Wódz oczy zmrużył, oswoił je z jasnością i rozwarł znów, a poglądał wokół.

Tak, toć w tej komnacie zawarł całą swoją tęsknicę, wszystkie smutki i radości spławił, a najmilsze zebrał pamiątki. Toć w tej komnacie roilo się od skarbów nad skarbami, od relikwii, od świętości.

Więc ściany miały kunsztownymi freskami wyrażone cmentarzysko bohaterów a towarzyszków broni. Tu, na tle italskiego nieba a apenińskich łańcuchów, wśród żalonych cyprysów a rzymskich zwalisk, szły pomniki umiłowanego Tremona, Liberadzkiego prawego, Darewskiego, konfederata-legionisty, Lipczyńskiego, szefa, kapitana Zadery; dalej, pod palmami, Jabłonowskiego, co na San Domingo umarł, i Sułkowskiego, co w Egipcie poległ; i tak wokół komnaty aż do rogu, kędy strzęp olszyny nad imieniem Godebskiego się unosił.

W komnacie zaś, tuż pod Godebskim, na ziemi dwie armatki mosiężne, a przy nich na kobyłce czaprak, dar rządu włoskiego, złotem haftowany, a kulami spod Novi zryty, na nim siodło i rząd w ogniu złożony. Bliżej okna biurko księgami założone, a czarą króla Jana III harde, a tuż z lewej, we wgłębieniu, mała zbrojowienka generalska, co przytulniejsza, co kochańska. Więc pałasz złoty, dar Naczelnika, więc starucha żelazna, co dwadzieścia dwa lat wojowała, więc pistolety księcia Józefa, bandolety i ładownice, ryngrafy a epolety od prochu szerniały, czapy i kapelusze ołowiem znaczone, a pośrodku znak legioński, czyli sztandar. W przeciwległej stronie sekretarka kunsztownie wykładana a kryjąca i gwiazdy orderowe, i krzyże, i puzderko ze słynną agrafą brylantową, najwaleczniejszemu a rannemu pod Friedlandem Polakowi przez lud warszawski ofiarowaną, i perspektywę, co tyle rozstrzygała bitew, i pierścień z napisem „Ojczyzna swemu obrońcy”, co go Kościuszkowi od narodu dostał, a panu, Dąbrowskiemu oddał, i papierzysków co niemiara; papierzysków ważkich, pieczęciami królewskimi napuszonych, ministerialnymi insygniami zapstrzonych, co najwyższych imionami cyfrowanych, a na rozmaity sposób sentymenty ku Rzeczypospolitej zaprzysięgających. A przy sekreterce rządem, w ordynku, niby na strażnicy, trzy marmurowe kolumny. Na pierwszej Czarniecki, na drugiej Sobieski, a na trzeciej Bonaparte, chmurny, zadumany. Ponad tym żołnierskim dobytkiem, hen, pod sufitem, godło: tarcza z orłem i pogonią.

Wódz poglądał wokół długo a rzewnie, wreszcie ku kobiecie skinał:

– Daj mi rękę, Basiu... ciężko mi cię opuszczać, ale tak trzeba, trzeba, kochanie...

Kobieta padła na kolana przy łóżku i łkaniem wybuchnęła.

– Przed tobą zadanie wielkie, dwoje dzieci, ku nim patrz, a krzep się. Daj mi pić jeszcze. Tak... teraz mi lżej... Szczaniecki wrócił?

– Jest, Henryku, pan Amilkar przyjechał, starosta Chłapowski.

– Proś ich do mnie, proś wszystkich... i kto z domowych, także wołaj... czasu niewiele zostało. Drzwi do komnaty skrzypnęły. Dwóch medyków weszło na palcach. Pan Dąbrowski postrzegł ich.

– Czego waćpanowie? Czego?

– Miłościwy panie, chcieliśmy aby nogę opatrzyć.

– Niewarta honoru.

– Jedna chwila.

– Więc jej szkoda. Opatrzcie sobie za godzinę. Teraz podnieście mnie wyżej. Dajcie czego, z sił opadam... pragnienie dławi.

– Może wina?

– Co chcecie.

Wódz osłabł nagle, oczy przymknął i dyszał ciężko, aż się targnął i spojrział w głąb, kiedy w rozwartych na ścieżaj drzwiach stała zwarta gromada towarzyszków broni, podkomendnych, sąsiadów, domowników i sług.

I wódz legionów wyciągnął ku nim ręce i żegnał się z każdym, i każdego zwał po imieniu, i każdemu słowo rzekł serdeczne, i każdemu upominek przeznaczył.

I szli do wodza, a chylili się doń, a cisnęli do rąk.

I szedł Amilkar Kosiński generał, i szedł Wawrzon, niegdyś sierżant, szedł Chłapowski, starosta kościański, i Balcerzak, chłop z krzyżem żołnierskim na sukmanie, i Niegolewski pułkownik, i Marcin strzelec, i Prądyński adiutant, i Mielżyński, pan na Miłosławiu, i Bolecki ekonom, i foryś Snopek, i wojewoda Wybicki, posiwiwały w jednych z wodzem zabiegach, i pan Kwilecki z Wróblewa, i Ludwik Szczaniecki, z dziewiątego roku, najmilszy pana Dąbrowskiego sztabowiec, i Filip kołodziej, i Janek, sierota po doboszu, pana Dąbrowskiego chrzestny, i Łukasiński major, choć obcy, i Sitko kmieć, i Sołdecki proboszcz, i Zajączkowska szafarka, i stangret Jędrak, i Siamsio Żyd.

I szli jeszcze inni, bo wódz sam jeszcze szukał w gromadzie, nikogo nie pomiął, każdego dojrzał. A potem adiutanta Prądyńskiego przyzywał i ordynans ostatni mu wydał.

– Po żołniersku mnie pochowacie. Mundur legioński, nie inny... Trzy kule moje spod Novi, Tczewa i Berezyny i trzy szable, wierne drużki, do trumny. Nic zresztą: żadnych wstęp, żadnych orderów. Nie chcę okazałości... żołnierzem jestem, nie personatem, nie dygnitarzem...

Po tych słowach znów wódz legionów osłabł i umilkł.

Cisza zalegała komnatę, cisza dławionych łkań, lecz stężonych z bólu, zamarłych serc.

Aż twarz wodza znów płomieniem życia zajaśniała.

– Amilkar!

Generał Kosiński ujął rękę Dąbrowskiego.

– Powiedz im... powiedz, niech się łączą, niech ławą idą, niech na własne liczą siły... niech rąk nie opuszczają!

Głos wodza spotęźniał, wielkie, szare jego oczy zabłyszczały.

– „Patrzcież, patrzcież, cóż nam przyniósł tyloletni przelew krwi? Męstwo żołnierza wsławiło wodzów, ale jakież narodowi stąd owoc? Czegóż jeszcze możemy się spodziewać, a czegoż obawiać więcej? Każdy z was drży na los, który ostateczną toń gotuje ojczyźnie. A możeż być inaczej, gdy nie masz węzła, który by wszystkich jednoczył? Marnie straciliśmy z tej przyczyny najpomyślniejsze sposobności. Niech się zjawią nowe, przelejecie znowu strumienie krwi, wsławią się nowe pola walki, pomnoży się liczba ofiar, ale niepodległości i swobody daremnie będziecie szukali. Słabi, bo nie zjednoczeni, poddać się musicie przemocy! Łączcie się w jedną gromadę, zgaście w sobie wewnętrzne rozterki, spiżem jednego celu się przejmijcie – a godzina wolności wybije!”

Głowa Dąbrowskiego opadła na poduszki.

Kosiński oburącz dłoń wodza cisnął.

– Błogosław nam – szepnął – błogosław, generale!

– Miłujcie się, sromajcie niezgody... łączcie się... łączcie! Dzieci moje... Basieńko...

Pani generałowa z dwojgiem sierotek u wezglowia uklękła. Dąbrowski już dyszał, już odchodził, gdy naraz jakaś myśl straszna sfałdowała mu wyniosłe czoło. Szarpnął się, ostatek sił zebrał.

– A od tych... niczego nie przyjmiesz, o nic nie poprosisz! Nie im służyłem... Niech żadne z dzieci moich ani tknie złota najeźdźców... Bóg z wami...

I twarz wodza rozchmurzyła się, ostatni błysk życia źrenicami spłynął, pierś wezbrała raz jeszcze i opadła na zawsze.

Skonał.

Sześć dni biły dzwony winnogórskie, sześć dni głosiły ziemi polskiej wieść okrutną, sześć dni jeszcze widokiem drogiego oblicza wodza legionów krzepiły się tłumy ludu, aż zawarło się wieko trumny, aż ukochane zwłoki dźwignęli posiwiali w komendzie generała żołnierze, aż je ponieśli.

Kościół winnogórski kirem się okrył, zielenią umaił, światłami trysnął, ołtarzy własnych zaniechał, a skupił się cały u stóp amarantem i srebrem zdobnej skrzyni, boć skrzynia ta zawarła w sobie wszystko, co przez ćwierćwiecze było ziemi polskiej chwałą, nadzieją i wiarą.

W głębi, poza trumną, ksiądz Miaskowski, proboszcz katedralny poznański, modły w licznej asyście odprawiał, lecz tłum ani zważał, cały ku amarantom zapatrzony, na ćwiekach srebrnych skamieniały.

Jeszcze kiedy ksiądz Miaskowski na ambonę wszedł, a szczęśliwością niebieską cieszył, tłum ani drgnął, a nawet i budującym przemówieniem księdza Wilkońskiego z Nekli się nie poruszył.

Dopiero kiedy u stóp katafalku stanął w legiońskim mundurze Amilkar Kosiński, na głowni pałasza drżącą wsparł rękę, powiódł dokoła groźnym, a łzami lśniącym spojrzeniem, a huknął:

– Jeden był ziemi naszej generał!

To naraz pierś osłupiałego ludu zatrzeszczała tępym gruchotem, a żalonym zadygotała jejkiem.

A nie dobierał słów Kosiński, nie budował retorycznych zwrotów ani trojańskich nie wspominał rycerzów, ani ewangelicznych nie sztukował cytat, jeno sercem powiadał, a powiadał tak, że chwilami zdało się, jakby łomot bitewny tu się rozlegał, jakby z grobu dźwigali się wojownicy na wtóre za ojczyznę umieranie, jakby skowyt nikczemny zdrajców i sprzedawczyków znów milkł na odgłos Dąbrowskiego pobudki, jakby ognie biwakowe wyгнаńców modlitewnym sekundowały poszmerem, jakby wódz ukochany szedł wciąż na czele, wiódł, prowadził, zwyciężał. Tak powiadał Amilkar Kosiński, a lud płakał a krzepł, tężał, gorzał, hardział, a ze srebra i amarantu trumienneho testament wieczny brał.

I siwa głowa wojewody Działyńskiego dźwigała się dumnie, i prężył się stary Wawrzon, niby do apelu, i matki rozognionym okiem poglądały ku synom, i młodź jednym drżała zawołaniem, i bledli pruscy żołdacy, co tu symulować chcieli królewskiej mości dla zmarłego wodza przyjacielstwo, i lękali się ci wszyscy, którzy z urzędowej dworności przybyli świadczyć, że Dąbrowski umarł.

A kiedy w ostatku Amilkar Kosiński twarz ku trumnie zwrócił i zakończył gromko:

– Panie generale Dąbrowski, a kiedy raport swój niebieski zdasz, wróc na ziemię rodzoną, trwaj w nas i wiedz nasze legiony do Polski, bo my pod twoim dalej chcemy iść przewodem!

– Tysiąc piersi zaszemrało: „Pod twoim dalej iść chcemy przewodem”, niby nowe „Ojczy nasz” zaczynając społem odmawiać.

Major Łukasiński, którego ciżba uniosła i dobyła z kościoła, przystanął za ogrodzeniem, aby adiutanta Prądzyńskiego znaleźć, ile że ten ostatni spotkanie mu wyznaczył dla omówienia sprawy projektowanych łóż masonskich.

Lecz niełatwe to było zadanie. Ścisk i tłok panował okrutny, bo spotęgowany tym, że ten i ów chciał dygnitarzom a personatom się przyjrzeć, a inny znów ze znajomkiem myślami podzielić. Na domiar, sznury pojazdów, bryk i wózków rozmaitych tarasowały wolny przestwór od drogi i zwiększały tumult. Żandarmi pruscy usiłowali co prędzej ład zaprowadzić, lecz swoimi nawoływaniami jeno przysparzali zamętu.

Raz i drugi wśród zwartego pogłowia, hen u drzwiczek landary, ukazały się Łukasińskiemu akselbanty Prądzyńskiego, ale przec ku nim nie mógł, rozumiejąc, że adiutant generała Dąbrowskiego musi i o uhonorowaniu niejednego pamiętać, i jako domowy usłużyć.

Zresztą majorowi nie spieszyło się, potrzebował sam i czasu, i wytchnienia, aby po smutnym obrządku uspokoić się, uciszyć.

Od chwili przyjazdu Łukasińskiego do Targowej Górki dziwna w nim zaszła przemiana. Prawda, że on tu przybył niby z planem, niby z gotowym zamysłem, niby z postanowieniem, niby dla zjednania wodza legionów na patrona związku, niby na szukanie sprzymierzeńców a bratnich duchów. Aleć major w sobie samym czuł jakąś niemoc, jakąś leniwość, jakieś niezdecydowanie, jakieś mgły, które mu dal przesłaniały, a ogromem zadania przerażały. Tymczasem to, co wczoraj jeszcze poczytywał za klęskę, dziś jawiło mu się zwycięstwem. Wszak ci gdyby w Warszawie doszła Łukasińskiego wiadomość o śmierci Dąbrowskiego, to bodaj na miesiące, a może i lata beznadziejnością by go złamała. Któż bo Dąbrowskiego by zastąpił? Kniaziewicz, Kosiński, Chłopicki? Cała generalicja polska razem nie nagrodziłaby jednego Dąbrowskiego! Lecz te dni, przeżyte w obliczu zwłok wodza, te chwile ostatnie Dąbrowskiego, te słowa, którymi uchodzące życie wodza legionów pożegnało ziemię miłowaną, mocą twórczą napęłniły Łukasińskiego. Teraz major nie potrzebował oglądać się za imieniem, za protektorem, za autorytetem, ani głowić, komu z możliwych a poważnych starczy odwagi, siły a miłości ojczyzny, aby na naczelne stanowisko patriotycznego ruchu się deklorować. To imię bowiem, ten protektor, ten autorytet był, trwał i wołał, choć z grobu: „Łączcie się w jedną gromadę, spiszem jednego celu się przejmijcie, a godzina wolności wybije”. Więc łączyć się należy, krzepić, aby nie skarlec w okowach najeźdźcy, aby być gotowym, gdy godzina wybije, aby tej nowej, przyszłej godziny nie zmarnować, nie zaprzepaścić, nie uczynić znów daremnym krwi przelewem.

Fala ludzi, która znów dobyła się z kościoła, popchnęła z lekka majora i przerwała mu zadumę. Łukasiński cofnął się, aby z drogi zejść następującym, lecz w tejże chwili spod czarnego kapelusika spojrzwały ku niemu oczy Żanety. Major pobladł z lekka, lecz nie tracąc pewności siebie, skłonił się i chciał zręcznie wyminąć nadchodzące damy. Brońcowa wszakże przyłożyła szkła do podczernionych oczu i ozwała się:

– *Tiens, je vous croyais partir!*

– Uważałem sobie za obowiązek...

– Bardzo pięknie z pańskiej strony. No, powiedz pan, powiedz, kto by się mógł spodziewać, że ten poczciwy Dąbrowski tak prędko skończy! Ale wcale ładnie go pochowali. Bardzo, bardzo dobrze „aranżowane”. Szkoda tylko, że nie było Beauperka, on do takich rzeczy jedyny. Biedna Basia, no, cios, cios! Dostanie najmniej pięćdziesiąt tysięcy rocznie dożywocia.

– Tak, tak, pani marszałkowo – odparł Łukasiński, chcąc skrócić rozmowę, lecz Brońcowa nie dała mu dokończyć.

– Chociaż wiesz, majorze, pan Amilkar był niemożliwym. Na cóż te zwroty, po cóż to? Z tego tylko niepotrzebne „komeraże”! Kogóż bo on jeszcze chce bić? A, nie, nie, majorze, czas najwyższy skończyć z tym zawadiactwem. Rozumiem, jak to pana szczególnie musiało urazić. Wierz mi, iż jak się mego Popowa zbęde, odetchnę! Na wyprowadzeniu rozmawialiśmy z Tytusem Działyńskim: ani trafić do ładu – no, jakobin, jakobin zdeklarowany. Oni tu wszyscy tacy. Powiadam ci, że jak ta mowa pana Amilkara do cesarzewicza dojdzie, to się zgniewa.

- Nie sędzę, pani marszałkowo, aby kto z obecnych na pogrzebie...
- Cesarzewicz wie zawsze o wszystkim. Nieprawdaż, Żanetko?
- Usłużnych nie brak – zauważyła panna Grudzińska.
- Lecz zdaje mi się, że cesarzowicz nie ma nic do rządu tu, na ziemi poznańskiej.
- Tak się to mówi. A ileż było nas, osób z Królestwa? Gdybym przypuszczała, że pan Amilkar da się unieść takiej zapalczywości, wołałabym pomodlić się za duszę kochanego generała i odjechać przed pogrzebem.
- Co też mama mówi!
- Nie przecz, moje dziecko. I tobie to nie na zdrowie. Jesteś za tkliwą. Powiadam ci, majorze, spłakała się biedaczka.
- Tylko cenić mogę i wielbić w pannie Żanecie...
- A, nie, nie! Panience nic do takich wojackich sentymentów! Nie mówię, uszanować nieboszczyka, boć mąż, sławny żołnierz, dostojnik, ale zresztą ani krewny, ani powinowaty.
- Łukasiński spojrział smutnie a przyjaźnie na Żanetę i odrzekł z naciskiem:
- Pani marszałkowo, jeno chluba dla serca panny Żanety. Życzyłbym tylko, żeby wspomnienie tych łez najdłużej zachowała, bo z nich niejedna stać się może gwiazdą przewodnią.
- Brońcowa zebrała pospiesznie falbany sukni i skrzywiła się niechętnie.
- Nie dolewaj, proszę, oliwy do ognia. Wszystkich was dzisiaj melancholia napadła, każdy kamedulę udaje, a ja wiem, co mówię.
- Marszałkowa nie zdążyła dokończyć, gdy tuż rozległ się przeciągły dyszkant:
- Służby powolne pani marszałkowej dobrodziejce! – I tu ukazał się chudy mężczyzna w szarym, opiętym surducie i skłonił się z wyszukaną grzecznością.
- Brońcowa odwróciła się, rzuciła wzrokiem na bezbarwną twarz przybyłego i wykrzyknęła z pełnym niepokojem zdumieniem:
- Kapitan Skrobecki!
- We własnej osobie, pani marszałkowo. Witam pannę hrabiankę. Cha, cha, kogóż to widzę! Pan major Łukasiński! Już z Karlsbadu?
- Ale pan, skąd pan tutaj? – wmieszała się Brońcowa, z trudem kryjąc nieukontentowanie.
- Z Kalisza, pani marszałkowo. Byłem przypadkowo na misji, w sprawie służbowej. Aż tu piorun z jasnego nieba. Raz, dwa, po urlop do Warszawy – i akurat na pogrzeb zdążyłem. Nie mogłem sobie odmówić, pani marszałkowo, nie mogłem. Miałem tyle estymy dla generała, tyle estymy! A panie tu od dziesięciu dni?
- Od wczoraj! – skłamała raptownie Brońcowa. – Przysłali nam zaproszenie do Popowa, nie mogłyśmy odmówić. Ale bądź łaskaw, kapitanie, odprowadzić mnie do kocza. Stać musi tu, na lewo.
- Marszałkowa uwiesiła się ramienia Skrobeckiego i dodała:
- A ty, Żanetko, opowiedz panu, majorowi, jak nas wczoraj nowina o śmierci generała zaskoczyła niespodziewanie.
- Na ustach Łukasińskiego zagrał ironiczny uśmiech.
- Pani daruje, że uczynię zadość obyczajowi.
- Żaneta bez wahania przyjęła ramię majora. Skrobecki z Brońcową, a za nim Łukasiński z Żanetą zasunęli się w tłum, zmierzając ku cisnącym się pojazdom.
- Major milczał, lecz gdy przed sobą zobaczył, że Brońcowa już się w koczu sadowi, nie mógł zapanować i ozwał się sarkastycznie :
- Więc to wczoraj dopiero dowiedziały się panie o śmierci generała.
- Dlatego, że tak trzeba – rzekła cicho Żaneta, za czym zarumieniła się lekko i szepnęła: – Panie majorze, strzeż się pan... Skrobeckiego.
- Skrobeckiego, tego dudka z kwatermistrzostwa?
- Daj słowo oficerskie, że nie uczynisz użytku z tego, co panu, powiem.
- Ależ, panno Żaneto, nie pojmuję...

- Daj słowo, majorze, zaklinam pana.
 - Więc dobrze, daję.
 - Skrobecki jest jego... szpiegiem.
- Łukasiński stropił się, chciał pytać, lecz Żaneta dotknęła ręki jego na pożegnanie i wskoczyła do stojącego tuż koczka.
- Bywaj nam, mości Łukasiński! A proszę pamiętać o nas za powrotem. Do widzenia się, panie Skrobecki! – zatrzepotała się Brońcowa i skinęła na woźnicę. Kocz ruszył.
- Skrobecki do majora się zwrócił:
- Niewypowiedzianie rad jestem ze spotkania. Więc pan major z Karlsbadu?
 - Hm, trochę z Karlsbadu, trochę do Karlsbadu.
 - Aha, uważam, juści chęć uhonorowania pana generała.
- Major przymrużył drwiąco jedno oko.
- Trochę dla uhonorowania, a trochę dla zobaczenia, co tu się dzieje. Zawsze tu ciekawych rzeczy można się dowiedzieć, no i zobaczyć.
- A, a!
 - Dla jednego droga do Winnogóry na Kalisz, a dla drugiego na Karlsbad.
- Skrobecki próbował się uśmiechnąć.
- Ale nie dziw się, mości Skrobecki, że będę musiał złożyć raport.
 - Jak to, raport, majorze? – wystraszył się Skrobecki.
 - Bo podejrzewam cię, że jesteś bez urlopu.
 - To jest, chyba, panie majora, nie posądzasz mnie, by mnie tu... by mnie tu jakaś myśl niewłaściwa...
 - Ani mi w głowie; tylko jego cesarzewiczowska mość będzie wiedział. Nastrećzasz się, wchodzisz w drogę innym.
 - Przysięgam panu, majorowi...
 - Pomówimy w Warszawie, a teraz radzę panu, stąd zmykać do Kalisza.
- Skrobecki zgiął się potulnie.
- Gdybym przypuszczał, że pan major tutaj, ani bym się ważył.
 - Żegnam waszmości i radzę pilnować tego, co ci każą.
- Skrobecki pożegnał się uniżenie i odszedł.
- Łukasiński zmierzył pogardliwym spojrzeniem oddalającego się, uśmiechnął się gorzko i mruknął do siebie półgłosem:
- I taki nawet zna respekt dla majora czwartego pułku.

IV

Po czterech latach pracy nad zaprowadzeniem ładu i gospodarstwa politycznego na skrawku ziemi polskiej, która na kongresie wiedeńskim otrzymała imponujące miano Królestwa Polskiego, a wraz z nim „króla konstytucyjnego” w osobie samowładcy i autokraty wszechrosyjskiego – ten skrawek ziemi zdawał się serdecznie pragnąć jeno ciszy, jeno pożywania z tych hojności kongresowych, jeno wytchnienia po latach walk i zapasów.

Prawda, kongres wiedeński zawiódł nadzieje Polaków, boć w rezultacie poćwiartował ich, bo trzem różnym mocarstwom oddał ich w poddaństwo, a niepodległość największą ferował im za ledwie na kilkumilowym obszarze „Wolnego Miasta Krakowa”, lecz i tu niepodległość taką, że co Wiedeń chciał albo Petersburg żądał, to Kraków musiał.

Prawda, że i zasmucenia, i chmur, i gniewu między Polakami było zadość na wieść o takim załatwieniu „kwestii polskiej” i o takim oddaniu hołdu „bitnemu a dzielnemu narodowi”. Ale ponieważ kongres gwarantował Polakom swobodę narodowego rozwoju w Królestwie, obdarzał ich konstytucją i wojskiem, a władzę Aleksandra niby do unii osobistej z cesarstwem sprowadzał, przeto, choć i po odczarowaniu ze złud, choć i mając dość niedobitków napoleońskich, aby spróbować szczęścia wojennego, Polacy znieśli mężnie ten cios i już tylko w zakreślonych granicach pragnęli szczerze dalej bytować.

Rezygnacja ówczesnych Polaków była do pojęcia łatwą. Toć od połowy panowania króla Stanisława ziemie polskie stały się pastwą rosyjskich, pruskich a w ostatku i austriackich gwałtów, najazdów, rozbojów, łupieżstwa; a dalej – wojen i rabunku. Gdy zaś po równoczesnej z Francją rewolucji zabłysła gwiazda napoleońska, też same zrabowane, złupione, dziesiątkowane ziemie jeszcze nie zawahały się krwi sobie utoczyć i za Bonapartem pójść. Lecz i ten śniony Napoleon nie uczynił tego dla Polaków, co mógł, czy też nie mógł uczynić tego, co chciał – dość że utworzył raptem Księstwo Warszawskie, a właściwiej utworzył sobie w środku Europy obóz wojskowy. Więc też sama siła sprzymierzonych, która powaliła Napoleona, rzuciła się na obóz po łupy. Służba Polaków dla Francji, oswobodzicielki ludów, była wierną, bo do ostatka trwającą, była długą, bo sięgającą dyktoriau i czasów generała Bonapartego, i była ofiarną, bo samozaprzężoną pełną. Stąd gdy po dwudziestu blisko latach wojowania Polacy znów ujrzeli przed sobą złowrogi mur tych samych trzech sprzymierzonych mocarstw, a gdy nadto widzieli ruinę ojcowizny, pola odłogiem leżące, a widmo nędzy ku najbogatszym skradające się obszarom – ulegli, ustąpili i już jeno spełnienia uchwał kongresu wiedeńskiego pragnęli. To poddanie się wyrokowi losu przyszło tym łatwiej ówczesnym Polakom, że cesarz Aleksander, który krom Kongresówki posiadał już czterokroć razy większą

połączyć ziemi polskiej, umiał napomknieniami obudzić nadzieje, że pod berłem króla polskiego zjednoczy i dawniej zabrane prowincje i tym samym płaszczem konstytucji i prawodawstwa je osłoni.

Nadto tenże cesarz Aleksander tak strzeliste do Polaków pisał manifesty, tyle okazywał im miłości, przyjaźni, szacunku dla „bohaterskiego ludu”, a tyle objawiał zapału dla parlamentaryzmu, wolności obywatelskiej i troski o jak najszcześniejsze bytowanie i własnych poddanych, że nie zaufała wspianemu sercu równało się sprowadzić na się gromy oburzenia już nie samego kongresu wiedeńskiego, ale i całej Europy. Ba, a co smutniejsze, we własnym swym rdzeniu doprowadzić do rozłamu.

I do rozłamu wielkiego, bo Aleksander I, niemal od swego wstąpienia na tron, okazywał Polakom łaskawość, bo podczas wojen napoleońskich rad skupiał przy sobie polskich dygnitarzów i smucił się wraz z nimi hazardami polskimi, bo Aleksander miał przy sobie potężnego Czartoryskiego, bo setki panien i dam polskich w rodzaju Tyzenhauzówny do historycznych doprowadzać potrafił sentymentów, bo nie tylko zapierał się o silną partię spadkobierców dawnej „familii”, ale przecież i Tadeusza Kościuszkę zdołał natchnąć do siebie zaufaniem.

Wielki generał, towarzysz Waszyngtona, głowa rewolucji, twórca kosynierów, Cyncynat, sromający się imienia swego wiązać z awanturnictwem Napoleona – uwierzył w Aleksandra. Czego orzeł nie dokazał, zdziałał przemyślny kameleon.

Jakoż pierwsze lata panowania nowego króla polskiego były dla tego ostatniego jednym wyrazem hołdu ze strony Polaków, jednym hymnem uwielbienia, wdzięczności i ukochania. Najskrajniejsi sceptycy milczeli, ambitni a pominięci w odznaczeniach nie wazyli się otworzyć ust. I ci nawet, którzy na pokawałkowanie Polski skarżyli się, nie mieli prawa okazywać Aleksandrowi niechęci to że przecież on imię Polski wskrzesił, że on odrodzenia narodu bodaj na skrawku pragnał.

Gdzie tu kto śmiał okoniem stawać, krzywić się lub malkontenta symulować, gdy król przemawiał tak, że jeno zdumiewać się było szlachetności monarszej, gdy dla każdej zasługi żywił zachowanie, gdy nie baczył, iż krzyż legii zdobił piersi żołnierza za wyprawę na Moskwę, gdy każdej duszy patriotycznej się radował, a każdemu polskiemu wyrazowi sprzyjał.

Wszak ci najzagorzalsi napoleończycy, ci, co żyli wciąż pragnieniem wyzwolenia cesarza, i ci musieli uchylić głowy przed Aleksandrem, bo ileż ten szacunku dla wielkiego wygnańca okazywał, jakże bolał nad zmiennością losów, jakże zachwycał się prometeuszowym geniuszem Bonapartego i jakże często ze łzą w oku troszczył się o ulżenie doli znakomitego męża.

I kto wie, dokąd zawiódłby Polaków Aleksander I, gdyby wytrwał, gdyby umiał wytrwać, gdyby był wraz z konstytucją nie obdarzył Królestwa wodzem naczelnym wojsk polskich w osobie brata swego cesarzewicza, następcy tronu, wielkiego księcia Konstantego, gdyby uchronił Polaków od tego, co nazywało się urzędownie zaszczytem, dowodem niezmierniej dobroci i wysokiego uznania dla armii polskiej i dla całego narodu.

Stało się inaczej, lecz w pierwszych latach bytowania Kongresówki nikt z Polaków nie wazył się ani wątpić o intencjach Aleksandra, ani tracić przekonania do wartości martwych zaręczeń kongresu, a tym mniej zapominać o splendorze, płynącym na Polaków z tego, że brat cesarza i cesarzewicz w Brühlowskim pałacu zamieszkał i reformą napoleońskich niedobitków się zajął.

Prawda, że już pierwsze posiedzenie Komitetu Wojskowego, powołanego do zorganizowania wojska polskiego, i pierwsze zarządzenia nowego wodza wywołały niezadowolenie wśród polskiej generalicji, a nawet usunięcie się tak zasłużonego żołnierza, jak Kniaziewicz, ale tym nikt się jeszcze nie zrażał. Gdy następnie wódz naczelny na swój ład zaczął zmiany wprowadzać i usuwać starych oficerów, i to jeszcze nie zamknęło mu serca Polaków.

Kwasy i utyskiwania wojskowe przypisywano podrażnionej miłości własnej i nie myślano trapić się upodobaniem wielkiego księcia do parad, rewii, nieskazitelnie czystych mundurów, kapłonich pióropuszków na kapeluszach, zapamiętałości do rygoru i pedanterii.

Przeciwnie, Polacy Królestwa Kongresowego mrużyli oczy i starali się widzieć w Konstantym brata rodzonego Aleksandra. A przecież zadanie to było nie lada, bo trzeba było zaiste wielkiej woli, aby móc utożsamiać tych, którzy tak rażące, tak rzadkie stanowili kontrasty.

Aleksander i Konstanty, więc dwaj synowie Pawła i Marii Teodorówny, dwaj potomkowie Katarzyny II, dwaj bracia rodzeni, dwaj wychowawcy tego samego Laharpa, dwaj dziedzice tronu, zbryzganego krwią ojca.

Aleksander był smukłym, postawnym, urobionym na miarę Apollina. Konstanty był krępy, niekształtnym, pękatym, niby kulawy Wulkan.

Aleksander pociągał obliczem szlachetnym, uśmiechem podbijał, zadumanym czołem szacunek budził, spojrzeniem łagodnym rozbrajał, dźwięcznym, harmonijnym głosem całe poematy uczuć rozsnuwał.

Konstanty odpychał twarzą kanciastą, obrzękłą, o wystającej naprzód dolnej szczęce, o nosie załamany, zadarty i rozplaszczony w dwie małe chrapy, o małych, świdrujących, niespokojnych oczach, zasuniętych głęboko pod zwałami szczecinowatych, gęstych brwi, o czole wypukłym, świecącym, a zlewającym się z czerwonymi plamami na łysiejącej czaszce i z przeraźliwie rudym a konopiastym jej uwłosieniem, wydłużonym około wielkich uszu w krótko strzyżone bokobrody. Każde drgnienie twarzy Konstantego, każdy jej skurcz jeno tej brzydoty był rozwinięciem. Stąd, gdy wielki książe chciał być ugrzecznionym, miłym a uśmiechniętym, to był jeno bardziej odrażającym, bo i głos ochrypli i zakrztuszony jeno przeraźliwsze, ostrzejsze mógł wydawać tony.

Aleksander władał zawsze sobą, Konstanty nigdy. Pierwszy bodaj płomień gniewu zdolen był przyoblec w pozory spokoju; drugi za najbliższym niehumorem wpadał w szal wściekłości, tupał nogami, trząsał się, a zaciskał pięści. Pierwszy nawet w uniesieniu słów dobierał; drugi przy lada sposobności bluzgał potokami najordynarniejszych wyrażań. Pierwszy był subtelnym i delikatnym; drugi był gruboskórnym impertynentem.

Pierwszy mówił pięknie i zawsze to, co chciał; drugi rzucał bezładnymi zdaniem i zawsze wygadał się z tym, z czym był nie powinien.

Aleksander lubił filozofować, odrywać się od korony, a w chwilach wolnych roić, egzaltować się; olśniewać dwór porywami swej duszy i przechodzić nawet w tym swoją babkę. Konstanty na wychnienie czy nudę miał ceratową kanapę do spania, dwie mały i kilka buldogów do zabawy.

Aleksander, gdy karał, skazywał na pałki lub katorgę, to zawsze wzdychał, zawsze smucił się, co zresztą nie wpływało, aby sobie chciał tych westchnień i smutków odmawiać. Konstanty nie tylko, że różgami kazał siec, ale i pilnował, żeby różgi siekły bez litości. Widokiem skrwawionego przestępcy cieszył się, radował, ale i potem jakby ustawał, jakby łagodniał, jakby ciężał w pochopności do karania.

Aleksander był wrażliwym na wdzięki niewieście, niemniej wrażliwym bywał Konstanty. Lecz pierwszy w motylich lubował się nastrojach, z kwiatu na kwiat przefruwał. Gdy pił słodycz rezedy, tęsknił za różą; gdy ssał lewkonię, wypominał tymianki; gdy mu naprzykrzył się zapach narcyza, tedy spieszył ku bratkom; lecz na pożegnanie tyle narcyzowi naopowiadał o rozdartym sercu i cierniach korony, że pocziwy narcyz jeno zabiegał, aby... pożegnanie uczynić nie postrzeżonym dla Aleksandra. Motyl nad motyle, przemyślny czarownik kwiatów niewieścich, nawet dla pyzatyh georginij miał zgrabny komplement, nawet dla podtatusiałych a przekwitłych astr musknięcia zalotne. I miłowały też kobiety Aleksandra, i nosiły na sercu jego miniatury, i strzegły niby świętości każdego śmiecia noszącego na sobie ślad dotknięcia ręki „anioła pokoju”, najszlachetniejszego z monarchów, najbardziej rycerskiego z rycerzów. Petersburg, Moskwa, Berlin, Paryż, Wilno, Warszawa, Kijów czy Wiedeń, Tylża czy Frankfurt – gdzie jeno cień Aleksandra zatrzymał się dłużej, tam motyl w gronostajach miał dziesięć schadzek, dwadzieścia duszyczek bratnich i trzydzieści serc, z których każde i

wyłącznie tylko rozumiało ogrom zacności wypełniającej barczystą pierś cesarza, z których każde dostąpiło zaszczytu wysłuchania jakichś niezwykle doniosłych zwierzeń. Tu królowa, ówdzie mieszcza, tu szlachcianka, tam artystka, tu gąska, tam lwica, tu dewotka, tam pogan-ka, dama i ćwierćdamula, wdowa i panna, rozwodnica i mężatka – a wszystkie ku motylowi zapatrzone, wszystkie olśnione i wtedy gdy oszukane i uwiedzione, a zawsze wierzące, że Aleksander „tylko ją kocha”.

Jedna może cesarzowa Elżbieta, żona Aleksandra, zdawała się czuć i widzieć inaczej, lecz była tak omotaną kunsztownymi wyjaśnieniami męża, usprawiedliwiającymi – każdy protest byłby raczej zaprzeczeniem tych wyjaśnień – stąd milczała.

Konstanty wrażliwość swą na wdzięki niewieście wyrażał inaczej, bo przez nieokiełznaną chęć posiadania, zdobycia i brutalnego nasycenia się. Dla kobiet w ogóle Konstanty bywał uprzejmym i grzecznym, w czym nie tyle było wpływu otoczenia i wychowania, ile samczej wyrozumiałości na przywileje odrębnej płci. No, i dalej, o tyle niegroźnym, iż nie wymagającym i najczęściej nie sięgającym wysoko. Wielki książę był żonatym, i to od dawna, z Anną, księżniczką sasko-koburską, ale z żoną nie żył, a raczej ona nie chciała żyć z Konstantym. Małżeństwo faktyczne trwało cztery lata i to w warunkach, że księżna miesiącami przebywała pod dachem rodziców, aż w piątym roku, tuż po śmierci cesarza Pawła, wielka księżna wyjechała z Petersburga i ani myśleć chciała o powrocie. Powiadano, że mord cesarza do reszty zniechęcił księżną do dworu rosyjskiego, i powiadano, że książę znów skatował żonę. Ile w tym było prawdy, orzec niepodobna; dość że od lat dziewiętnastu Konstanty żył w pojedynkę i wcale się nie troszczył o usprawiedliwianie przed światem tego rozdziału z żoną. Konstanty bowiem nigdy nie myślał rachować się z ludzką opinią. Przybrał sobie za towarzyszkę panią Fryderychs, a poza tym tak niefortunnie się czasem galopował w zapałach, że pomawiano go nawet o zbrodnię.

Głębsze uczucie nie miało podotąd przystępu do wielkiego księcia. Raz jeden Konstanty żywiej i mniej zmysłowiej zajął się księżniczką Czetwertyńską i zamierzał rozwieść się i księżniczkę poślubić, lecz gdy Aleksander oparł się temu, boć księżniczka była rodzoną siostrą pani Naryszkin, jednej z cichych żon Aleksandra, i nadto sama przedmiotem adoracji ukrytego szwagra, Konstanty bez wahania ustąpił i wyrzekł się swych planów, kontentując się na co dzień towarzystwem pani Fryderychs.

Aleksander strzegł pilnie pozorów, nie czynił nic, co by mogło obniżyć urok cesarskiego majestatu, przeciwnie, urok ten powiększał, potęgował. Konstanty nie zważał na żadne pozory, w najuroczystszej chwili zdolen był wybuchnąć gniewem, zdradzić każdą swą najmizerniejszą pobudkę, obrzucić kogoś najniestosowniejszymi wymówkami, co gorsze, najniwiniej potępić.

Aleksander nie mylił się nigdy, posiadał bowiem sztukę udawania nieomyślności; Aleksander przebaczał, lecz nie przeproszał. Konstanty mylił się co dnia, nie darowywał nikomu błahego bodaj przewinienia, lecz gdy błąd swój postrzegł, szedł do ofiary i co mógł czynił, byle mu niesprawiedliwość wyrządzoną nagrodzić. Zdarzało się to rzadko, bo też w mózgu Konstantego promień światła rzadkim bywał zjawiskiem.

Aleksander i Konstanty wychowani w jednym i tym samym blasku dworu Katarzyny, kształceni przez tych samych profesorów, odepchnięci potem zarówno przez ojca-cesarza i dalej pojeni tym samym odgłosem Rewolucji Francuskiej, tym samym huraganem napoleońskim miotani – duchowo ku dwom przeciwnym stoczyli się krańcom. To, co Aleksandra truło zwątpieniem, to, co czyniło go lepszym, przezorniejszym, mniej despotycznym, toż samo w Konstantym wzmagало zaufanie do przemocy, wiarę w pięść i niechęć ku matactwu.

Aleksander dla wyrażenia ukontentowania miał skalę najmisterniejszych odcieni. Konstanty jeden i ten sam gburowaty wybuch śmiechu albo wprost żakowskie podskoki i klaskanie w ręce; a szczytem zadowolenia – wyszczypanie policzków ulubieńcowi i poczęstowanie go kułakiem w bok.

Aleksander na tle swego rodzeństwa był niezawodnie ozdobą, był tym, który z dzieci Pawła najwięcej miał zalet. Konstanty był tego rodzeństwa plamą, był tworem nie przypominającym żadnego z braci, żadnej z sióstr.

Polacy, mimo te wszystkie różnice między Aleksandrem i Konstantym, mimo złowróżbne wieści o charakterze cesarzewicza, powitali go z zapalem na stanowisku naczelnego wodza. Lecz zaledwie wódz naczelny rozejrzał się w obcym mu środowisku, zaledwie Aleksander koronację na króla polskiego odprawił, Konstanty już grozą całe Królestwo Kongresowe przejął.

Zacząło się od wojska.

Wojsko polskie, którego rdzeń stanowili napoleończycy, ludzie zahartowani w bojach, żołnierze doświadczeni a przejęci ideą służenia ojczyźnie, wojsko, które nawykło widzieć na swym czele niepożytej sławy wodzów, a które z ust Małego Kaprala tyle razy odbierało pochwały, zostało naraz wystawione na obelgi, na poniewierkę za lada uchybienie temu, co podotąd nawet na rewii napoleońskiej uchybieniem nie było.

Nie dość mocne postawienie stopy w marszu generalnym, ujęcie karabinu, o cal niżej lub wyżej, mundur nie dopięty na spacerze, najniewinniejsze przekroczenie regulaminu, potknięcie, się nieumyślne w szeregu – sprowadzało gromy na całą dywizję, potokami wymówek obrzucało najprzedniejszych oficerów, karami biło w oddział, do którego bezpośrednio należał winowajca, a dla winowajcy nieszczęsnego zamieniało się już nie tylko w udęrczającą pokutę, lecz i w różgi, i w pałki, i w okaleczenia, i w kalectwo.

W wojsko polskie, zaprawiane podotąd do chlubienia się mundurem, do szanowania zwierzchników, ale i do miłowania ich, do baczenia nie na tresurę bezmyślną, lecz na samodzielność, na bitewną sprawność – uderzyła małostkowa, płytka rutyna, drobiazgowość, nieubłaganie litery przepisu trzymający się rygor.

Wojsko polskie podotąd musztrowano, jak pięściami armaty zdobywać, jak jednym szwadronem kolumnę nieprzyjacielską łamać, jak w czworoboku do ostatniego tchnienia trwać, jak umierać – gdy naraz nowy wódz z tego samego wojska chciał mieć żołnierzy do parady, na pokaz, do sztuk i sztuczek produkowania, do zdobienia nim bram i wejść pałacowych, do służenia mu za ulubioną rozrywkę, za zabawę.

Podobno już od chłopięctwa najmilszym upodobaniem wielkiego księcia było jegrów cesarskich dopaść i musztrować ich bez ładu i składu. Z wiekiem to upodobanie, wspierane we wnuku przez babkę Katarzynę, jako wróżące wojskowe talenty – przeszło w pasję.

Konstanty po całych dniach przesiadywał w koszarach, po całych dniach dobierał żołnierzy, golił ich, strzygł, w warkocze stroił, przebierał. A wzorując się na tradycjach grenadierów Fryderyka Wielkiego, starał się ich doprowadzić do matematycznej równoczesności ruchów. Idealem Konstantego było, aby pułk zamienić w bezduszną maszynę, aby żołnierz i oficer ani jednym mrugnięciem powiek, ani jednym rzutem oczu nie ważyli się zmylić komendy, aby i w koszarach, i na biwakach, i w marszu czynili wszystko na modłę artykułu instrukcji, aby instrukcją żyli, oddychali, czuli i myśleli.

Ideał pomieniony niełatwym przeciw był do osiągnięcia, a dla Konstantego tym trudniejszy, że żołnierze rosyjscy rekrutowali się z niewolników, wyciągniętych przemocą z izb włościańskich, i niewolników zazwyczaj nieokrzyszanych, ciemnych, więc do tresowania trudnych. Konstanty wszakże „cudów” dokazywał i tak wielkich cudów, że już Paweł pierwszy, gdy chciał oficera lub żołnierza ukarać, słał go do jednego z pułków swego syna. Pułki Konstantego sływały żelaznym rygorem, musztrą, porządkiem i okrucieństwem. Trzy pierwsze zalety jednały księciu krwi sławę, czwarta zaś, choć niekiedy przejmowała grozą, nie mogła przeciw umniejszyć trzech pierwszych tam, gdzie życie i zdrowie poddanego ścierało się z upodobaniem wielkiego księcia.

Wprawdzie już w wyprawie Suworowa ku Alpom ani pułki Konstantego, ani on sam nie usprawiedliwiły pokładanych nadziei. Wprawdzie w dalszym ciągu cesarzewicz nie wykazał

się ani jako generał, ani jako organizator wojskowy, ale juści i to nie zdołało odebrać mu miana znawcy i powagi militarnej, no i juści i to nie zgasiło w księciu pasji do musztrowania.

Epoka geniusza wojennego, epoka rozkwitu bitewnej sztuki, epoka, w której marszałek, naczelnik sztabu za jeden atak zwycięski, za jeden plan strategiczny zdobywał często koronę i berło, niczego nie nauczyła wielkiego księcia.

Konstanty brał udział w radach wojennych i w bitwach, patrzył własnymi oczyma na zapasy całych armii: i w rezultacie, gdy po raz setny przychodziło mu uchodzić z głównej kwatery przed naporem żołnierzy nieubłaganego Korsykanina, jeszcze starczyło mu czasu na czynienie uwag, że grenadierzy gwardii napoleońskiej nie potrafią iść dość równo, że szwadrony strzelców konnych łamią się przy ataku, że oficerowie francuscy nie mają wyobrażenia o murze, że generałowie dowodzą bez rękawiczek, że byle ciura obozowy wobec marszałka waży się i tabakę zażywać i siedząc przy ogniu, grać skostniałe członki.

A jeżeli Konstanty zazdrościł czegoś Napoleonowi, to nie geniuszu, nie berła króla królów, nie orlego lotu, jeno tych kroci żołnierzów, tego mrowia mundurów, które dopiero zdumiałyby świat, dopieroż pokazałyby, czym wojsko być winno, gdyby on, Konstanty, mógł te krocie odziewać, przebierać, musztrować i tresować do nieskończoności.

Stąd łatwo sobie wyobrazić ukontentowanie wielkiego księcia, gdy po latach westchnień znalazł się na czele nie wojska napoleońskiego, lecz znacznego i przedniego odłamu tegoż wojska, gdy już nie ciemnych i niezdarnych jęgrów miał pod komendą, lecz bitnego, sprawnego żołnierza i żołnierza umiającego służyć nie z przymusu, nie dla wiszącej nad nim pięści, lecz z dobrej woli, z ochoty własnej, z poczucia obowiązku, z miłości ojczyzny. Te przymioty bowiem polskiego wojska snadź wpoily w Konstantego przekonanie, że właśnie taki materiał nieskończenie lepiej da się urobić, nieskończenie łatwiej da się w machinę zakłać.

Jakoż wojsko polskie dla zadowolenia brata cesarskiego bez szemrania poddało się nowemu ładowi, a jeżeli zrazu spostrzegło płytkość i bezużyteczność rozkazów Konstantego, to jeszcze nie utyskiwało, jeszcze rade było zjednać sobie miłość wodza. Ba, zjednało sobie od razu upragnioną miłość ani przypuszczając, że w niej właśnie największe kryło się niebezpieczeństwo.

Wielki książe pokochał wojsko polskie, pokochał całą dzikością swej natury, a pokochawszy tym żarliwiej pragnął dźwignąć je na szczyt pojmowanej przez się doskonałości.

Żołnierz polski czynił więcej, niż mógł, książe wymagał coraz więcej. Nic, że wymagał, lecz książe za łada sposobnością wpadał w furję, więził, katował szeregowców, oficerów degradował, dymisjonował, lecz co najcięższe, poniewierał, znieważał, hańbił.

Plac Saski, miejsce codziennych parad i przeglądów, zamienił się powoli dla wojska polskiego w plac kaźni i tortury.

Co dzielniejsi z oficerów, a majątkowo niezależni, jeli usuwać się z szeregów. Zostawali bądź ci, którzy musieli służyć dla chleba, bądź których cesarzewicz tak miłował, że puścić od siebie nie chciał, bądź tacy, którzy dla odznaczenia i łaski cesarskiej gotowi byli wyrzec się własnego sumienia.

Lecz jeżeli dla wyższych stopni oficerskich wódz naczelny umiał być nieznośnym, dokuczliwym, jątrzącym, to dla niższych rang bywał i tyranem, i katem.

Skutki takiego postępowania wielkiego księcia nie dały długo na siebie czekać. W ciągu trzech dni czterech oficerów odebrało sobie życie, nie mogąc przenieść wyrządzonych im przez Konstantego w obliczu pułku obelg.

Ale niezawodnie i te tragedie przebrzmiałyby bez echa, gdyby nie piąte samobójstwo kapitana Wilczka, który przed śmiercią nie tylko prawdę do oczu biernej starszyźnie wojskowej rzekł, lecz wielkiemu księciu nie wahał się pozostawić ostrzeżenia, aby nie igrał z rozpaczą, bo ta już nie do samobójstwa może doprowadzić, lecz i do mordy.

Śmierć Wilczka jakby umitygowała nieco księcia, nie na długo wszakże, a raczej do chwili nowego zajścia, nowej tragedii, po której znów do następnego wybuchu panowała względna cisza. Aż i te periody uciszenia się, złagodnienia cesarzewicza przestały być wytchnieniem dla wojska polskiego. Księżę jął nadśluchiwać, co wojsko mówi o danym zajściu, co myśli, iżali nie żywi złych intencji, iżali nie współczuje krnąbrnie winowajcy, a może śmie do konstytucji się odwoływać, a prawa szukać, a może wprost konspirować zaczyna?

Ciekawość cesarzewicza stworzyła zausznictwo, szpiegostwo, donosicielstwo, a wreszcie i przekupstwo. Kongresówka przyglądała się z początku dość obojętnie rządowi naczelnego wodza, łagodziła bodaj żywioł wojskowy i usiłowała sprowadzić każdy wybuch gniewu wielkiego księcia do czysto dyscyplinarnej kwestii, nie dotyczącej ogółu polskiego.

Ten i ów zgadzał się, że Konstanty nie ma pomiarkowania, że jest maniakiem, dziwakiem. Ale zgadzając się, pozostawał w duchu obojętnym na żale wojskowych i chętnie lubił wspominać, że jednakże pod rządami księcia wojsku polskiemu nie można się dość napatrzeć, dość go nachwalić za piękną postawę, sprawność ruchów, ład, czystość i karność.

Tymczasem najniespodziewaniej wódz naczelny zaczął mieszać się i do władzy cywilnej Królestwa. Namiestnik, Rada Stanu, ministrowie, spostrzegli tuż za plecami komisarza rosyjskiego, Nowosilcowa, mianowanego niby dla ułatwienia stosunków Kongresówki z Cesarstwem, rudą głowę cesarzewicza. Królestwo zaniepokoiło się. Wielki książę był wszak tylko wodzem naczelnym, niezależnym od rządu cywilnego, ale i oficjalnie stojący poza granicami wtrącania się do rządu. Prawda, że Konstanty, jako brat Aleksandra i następca tronu, miał prawo bodaj wicekrólować, lecz czemuż otwarcie namiestnictwa nie obejmował, a spoza pleców manekina działał. Czemuż prostą drogą nie szedł, a skradał się i wysuwał naprzód księcia Zajączka? Czemuż nadto wódz naczelny tak drwiąco odzywał się o konstytucji, o prawach obywatelskich i o tym wszystkim, o czym cesarz Aleksander lubił mówić tak szczerze, tak wzniośle?

Na początku roku 1820 te znaki zapytania dopiero krystalizowały się, dopiero zwierzały. Królestwo Polskie bowiem nie podzielało jeszcze zniechęcenia nurtującego wojskowych i jeszcze żyło przeświadczeniem, że powoli stosunki się wygładzą, a i wielki książę utrze się i zwyknie.

A ku tym dobrym nadziejom było zadość i słusznych racji. Więc najpierw po zapowiadanym na rok 1820 sejmie spodziewano się uregulowania wielu spraw, a co ważniejsze, obiecywano sobie nierównie więcej z przybycia cesarza Aleksandra ufając, że czego stany nie zdołają dość wyraźnie powiedzieć, to ojcowska dobroć „odnowiciela Polski” dostrzeże, ułagodzi, usunie, a swobody konstytucyjne na pełne wody pchnie.

Z tych dwóch spodziewań nawet drugie było silniejszym, bo większość obywateli Kongresówki niechętnie poglądała ku kaliskim krzykaczom, którzy sejmowi opozycją grozili i bardziej wierzyła wspaniałomyślności „anioła pokoju”.

Gdy tak na początku roku 1820 krzepiono się w Kongresówce dobrymi wróżbami, naraz gruchnęła nowina przechodząca najśmielsze zamysły, najodważniejsze plany, najprzebiegłe intrygi.

Oto ten, którego podotąd nie można było w porywczosci pohamować, w samowoli okiełznać, w dzikości powstrzymać, ten który od chwili wjazdu do Warszawy był postrachem Królestwa, widomym zaprzeczeniem każdej swobody, każdego przywileju – ten został ujarzmionym, ubezwładnionym czarem Polki, spojrzaniem czarnoniebieskich oczu Żanety Grudzińskiej.

Nowina ta była o tyle osobliwszą, że właściwie znaną, bo już od kilku lat wiadomym było, że wielki książę stałym bywa gościem w domu marszałka Zamku Królewskiego, pana Adama Brońca, i że pasierbicę tegoż, pannę Żanetę, szczególniejszymi darzy względami. Podotąd atoli atencje Konstantego dla Żanety poczytywano raczej za ujmę, za pociąg ku nawiązaniu przelotnej miłości, niż za sentyment zdolny do poważnych doprowadzić rezultatów. Gdy

raptem teraz o Żanecie Grudzińskiej zagadano w Królestwie głośniej, a imię jej coraz częściej łączono z imieniem cesarzowicza.

Wieści było co niemiara, wieści dziwaczych, sprzecznych, niejasnych jak wieści. Chodziły one i po salonach, i po dworkach, kordegardach i po pałacach. Chichotały i w złośliwościach pani Wąsowiczowej, mieniły się w niewyczerpanym dowcipie kapitana Mycielskiego, szeptały i na reunionach u pani namiestnikowej, a nawet ośmielały się wciskać do stylową powagą wiejących komnat pani kasztelanowej Połanieckiej.

Ten i ów, bliżej Brońców stojący, próbował docierać aż do marszałkostwa, lecz pan Brońiec, zazwyczaj wylany i otwarty, unikał wyjaśnień i na pierwsze słowo o cesarzowiczu ku ulubionym kulinarnym tematom skręcał. Pani Brońcowa zaś jeno wzdychała, przewracała oczami na znak, ile walk toczy jej macierzyńskie serce i z niepojętą siłą woli milczała zawzięcie.

Łatwo sobie wyobrazić, że te wieści w najbliższym otoczeniu wielkiego księcia wywołały nierównie silniejsze wrażenie niż gdzie indziej i tym silniejsze, że tu, krom wieści, nie brakło i wielu znamiennych oznak.

Toć lada pacholek cesarzowicza wiedział, że generał Fanshawe kilka razy na dzień do Zamku, do państwa Brońców jeździ, a po każdej takiej wizycie długie raporty cesarzowiczowi zdaje. Toć cały dwór był świadkiem, jak wielki książe przy obiedzie uniósł się na panią Fryderychs i zakazał jej pokazywać się na pokojach, niewoląc do samotnego pokutowania w bocznym pawilonie. Co donioślejsze, że kilkunastu ludzi słyszało, jak generał Różniecki zagadał w tej mierze powiernika Konstantego, a nieodstępного naczelnika sztabu, generała Kurutę, i jak Kuruta odparł uroczyście:

– Jeżeli się jego cesarzowiczowskiej wysokości raczy spodobać, to nie tylko panna Grudzińska, ale i podkoniuszy Gawryłło może zająć mieszkanie pani Fryderychs.

Domysły i niepewność najbliższego otoczenia wielkiego księcia trwały krótko, ile że w pierwszych dniach stycznia mury pałacu Brühlowskiego zabrzmiały echami gwałtownej sceny między cesarzowiczem i panią Fryderychs. Co właściwie zaszło między Konstantym i jego przyjaciółką, o tym podobno wiedział jeden Pasternikow, strzelec przyboczny, bo gdy następnie książe wezwać kazał lejbmedyka Kalischa do pani Fryderychs, ten zastał ją zemdloną na łóżku, a Pasternikowa u wezgowia. Ale z Pasternikowa nie próbowano nawet dobywać prawdy, bo strzelec książe, choć przed lada haftem na kołnierzu przeżył się służbisto, lecz bodaj generała umiał zbyć oświadczeniem, że o niczym nie wie.

Zajściem tym szczególnie był zmartwionym generał świty, Gendre, ile że miał nieszczęście spotkać się oko w oko z wielkim księciem, gdy tenże wychodził z pokoju, w którym rozegrała się scena z panią Fryderychs. Cesarzowicz, na widok Gendra, posiniał ze złości i pomówił o szpiegostwo, i zawezwawszy, zagroził wypędzeniem.

Generała, na taką niesprawiedliwość, żalność zdjęła. Od lat służył cesarzowiczowi, szczerze służył, czym można tylko służyć. Rodzonego brata dla wielkiego księcia by się wyparł, a tu naraz ot, podziękowanie, ot, uznanie.

Alteracja Gendra była tak wielką, że choć nieskory był do wynurzeń, nie mógł zapanować nad sobą i do Kuruty poszedł na piętro, i jął przed nim gorycze swe rozpowiadać.

Kuruta wzruszył ramionami, założył ręce w tył i kołysząc swą pękatą figurę zakonkludował spokojnie:

– I podśluchiwałeś.

– Nawet, choćby... toć jeszcze nie zasłużyłem sobie na podobne traktowanie! No, po prostu książe do mnie: „Milcz, szelmo”, „milcz, kanalio”!...

– Uu! *Vous exagérez, mon ami!* Zaczynasz pan w przesadzonej drażliwości iść o lepsze z Polakami. A panu, to najmniej przystoi.

– Jednakże być potraktowanym kanalią...

Kuruta uśmiechnął się jowialnie.

– *Que voulez vous, il faut etre magnanime avec les princes! Moi, monseigneur m'a dit souvent: „Kuruta, vous êtes une vache”. Eh bien, je n'en suis pas une vache pour cela, tylko jego ekscelencją, generałem i szefem sztabu jego cesarzewiczowskiej mości wielkiego księcia Konstantego!*

Gendre na tę uwagę westchnął.

– Niezawodnie, lecz doprawdy jego cesarzewiczowska mość raczył...

– Zapewniam pana, że pamiętać tego nie będzie.

– Tak pan sądzisz? – rzekł raźniej Gendre, którego bolała najwięcej myśl, że książęce wymysły zapowiadają niełaskę.

– Przekonasz się.

Jakby na potwierdzenie słów Kuruty, do pokoju wpadł adiutant służbowy, wzywając generała Gendre do cesarzewicza. Gendre opatrzył szybko mundur i ruszył do Konstantego.

Wielki książę zmierzył Gendra pogardliwym spojrzeniem i zagadnął ostro:

– Który z polskich generałów jest nieżonaty?

– Książę Adam Wirtemberski!

– Co? Co? Oszalałeś pan!

– Kurnatowski, dowódca strzelców konnych gwardii – poprawił się Gendre.

– Ano Kurnatowski – mruknął chropowato cesarzewicz – wezwij go pan do mnie natychmiast!

Gendre pochylił głowę i wybiegł do izby ordynansowej.

W pół godziny później generał Zygmunt Kurnatowski stanął przed wielkim księciem.

Konstanty obrzucił kształną postać wyświeżonego zawsze Kurnatowskiego łaskawym okiem i zagaił bez wstępów po francusku:

– Jesteś nieżonatym, generale?

– Tak jest, Wasza Wysokość.

– Hem! Więc powinieneś się ożenić!

Kurnatowski skłonił się dworsko.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, rad będę zastosować się do tej słusznej uwagi...

Konstanty zakrztusił się z ukontentowania.

– A co! Cha, cha! Samemu ci starokawalerstwo dokuczyło. *Eh bien, mon général, dépêchez vous!* Niechże mam młodego Kurnatowskiego za chrześniaka.

– *Monseigneur, je ne manquerai pas...*

– *Très bien, très bien!* – bąknął cesarzewicz, za czym przeszedł się po pokoju i ozwał raptownie:

– Co tu szukać. Mam dla pana żonę!

Kurnatowski wyprostował się mocniej.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość.

– No, mam! Tęga baba, dobra baba. Tytuł ma i posag ma. A posag to dla ciebie, generale, ważna rzecz. Partyjkę lubisz, grać lubisz.

Kurnatowski zmieszał się. Konstanty skrył dobrotliwie świdrujące spojrzenie swych oczu między zwałami obrzękłych powiek.

– Nie tłumacz się, generale. Zgrałeś się znów do Mycielskiego i Chłopickiego. Chcę cię ożenić. Majątek weźmiesz i żonę, i ładną żonę. Krótko mówiąc, baronowa Fryderychs zakochała się w tobie na zabój.

Kurnatowski, na dźwięk nazwiska kochanki cesarzewicza, pobladł. Wielki książę rozwdził się dalej o korzyściach, które zapewniało Kurnatowskiemu małżeństwo z baronową.

– Pół miliona rubli srebrnych na rękę i dwa majątki ziemskie pod Kaługą. Tylko warunek: żebyś ani dnia nie zbałamucił, no, bo Fryderychsowej pilno. Rodzina dobra, kurlandzka. Kobieta nie podlotek, lecz stateczna i pełna wdzięków jeszcze; przy tym, moja rzecz, aby wam nie zbywało na niczym. Weźmiesz urlop na rok, a chcesz, dostaniesz dywizję w Petersburgu.

Kurnatowskiemu zimny pot wystąpił na czoło.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość – wyjąkał z trudem Kurnatowski – nie wiem, jak mam dziękować, tylko że...

– Idzie ci o syna? – przerwał wielki książę. – No więc, to nie twój kłopot. Chłopak zostanie u mnie. Dla ciebie baronowa jest wdową. Zresztą, mój generale, bądź sprawiedliwym, przecież i ty masz niejedną grzeszek na sumieniu.

Konstanty zakrztusił się wybuchem śmiechu, lecz spojrzawszy na bladą, zmienioną twarz Kurnatowskiego, zachmurzył się.

– Co? Mało ci rubli? Dam siedemkroć!

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, pomimo najszczerzej chęci, oświadczyłem się dziś... mam narzeczoną...

Wielkiemu księciu zjeżyła się ruda czupryna, oczy błysnęły groźnie, głos zaskrzeczał prze-
rażliwie.

– Oświadczyłeś się dzisiaj! Oświadczyłeś? Akurat się oświadczyłeś.

Kurnatowski wytrzymał przenikliwe, natrętne spojrzenie oczu cesarzewicza.

– Tak jest, stąd nie mogę skorzystać z zaszczytnej propozycji...

– Nie możesz! – powtórzył szyderczo wielki książę. – Ano zobaczymy, za miesiąc spodziewam się być na twoim ślubie, generale, bo skoro się dziś oświadczyłeś, tedy, bodaj dla przekonania mnie, nie będziesz zwlekał. Cha, cha, wybornie się złożyło. Tymczasem radzę ci, generale, pamiętać, że dowodzisz pułkiem strzelców jego cesarskiej mości, a nie batalionem ciurów obozowych! Oficerowie twoi nie pilnują służby!

Kurnatowski poruszył wargami.

– Nie pilnują, powiadam! – wybuchnął książę. – Wczoraj, na paradzie, w drugiej kompanii, trzeciego szwadronu, ani jeden popręg nie był dociągnięty!

– Konie przy kulbaczeniu nadymają się...

– Nadymają się! Cóż, zapatrzyły się pewnie na generalskich wierzchowców! Nieład, lekceważenie obowiązków! Nie tłumacz się pan, dosyć, żegnam!

Kurnatowski wyszedł od wielkiego księcia wzburzony, boć jeżeli uniknął szczęśliwie małżeństwa z baronową, toć równocześnie niezręcznym wykrętem wpakował się w małżeństwo piorunowe nie wiadomo z kim. Kurnatowski nie ślubował bynajmniej kawalerstwa, lecz choć dla ujmującej powierzchowności na prawo i lewo rozmarzone buziaki widział, nie spieszył się, upatrując co wyższej koligacji a świetniejszej partii. Teraz, rad nierad, musiał nie tylko natychmiast się oświadczyć, aby cesarzewicz za odmowę wprost urazy nie żywił, lecz i oświadczyć się takiej pannie, która zgodziłaby się wyjść za generała bezzwłocznie.

Gendre czatował na Kurnatowskiego przy wyjściu z audiencji. Kurnatowski chciał go zbyć, ale zorientowawszy się, że lepiej mieć generała świty za sobą, zwierzył się Gendrowi z fatalnego zbiegu okoliczności, który mu tak pięknej kazał się wyrzec kariery.

Gendre wysłuchał uważnie Kurnatowskiego, ale nim zdołał wyrazić mu swe współczucie, Gendra wezwano znów do cesarzewicza.

Wielki książę sapał, prychał gniewnie a mrucał:

– Ot, panicz! Ot, polski szlachcic! Ot, personat! Ambicja!

– Zawsze fałszywa – wtrącił cicho Gendre, wpadając umiejętnie w tok myśli wielkiego księcia.

– He? Pewnie, że fałszywa! Sam nie wie, czego się wyrzekł. Ale ja go przytrzymam, inaczej precz pójdzie, bo łgarstwa nie zniosę. Dziś się oświadczył! He? Ma naprawdę narzeczoną?

– Do dziś dnia ani mu się śniło.

– Taak, no, pan Kurnatowski mi zapłaci skórą!

Cesarzewicz założył ręce w tyle i w rękawy mundura je zasunął. Gendre stał wyprostowany pod drzwiami.

– Trzeba by kogoś... niech będzie pułkownik, choćby wdowiec.

– Polak?

– Nie chcę Polaka. Znów się taki szlachcic znajdzie!

– Oni wszyscy tacy.

Cesarzewicz brwi szcztokowane zwarł.

– Wiesz, o co idzie?

– Domyślam się.

– Aha. No więc masz kogo pod ręką? Tylko żeby nie hołysz i nie urwipołec.

– Rozumiem, trzeba kogoś godnego zaszczytu.

Wielki książę odwrócił się plecami do Gendra.

– No, tak, godnego, godnego.

Gendre milczał przez chwilę, aż naraz postąpił krok naprzód i odezwał się głosem stłumionym:

– Wasza Cesarzewiczowska Mość...

Konstanty odwrócił się ku Gendrowi i szcztokowate brwi ku sfałdowanemu czołu podniósł.

– He?

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, za szczęście bym sobie poczytywał, gdyby Wasza Cesarzewiczowska Mość raczyła pozwolić mi...

– Co ty?!

– Rad bym poślubić...

Wielki książę wybuchnął serdecznym śmiechem. Gendre poczerwieniał. Śmiech księcia zakotłował się w krtani i umilkł raptownie, przechodząc w syczący poszept.

– Rad byś poślubić. Rad byś nowe gałgaństwo popełnić. A przecież ci powiedziałem, że nie chcę wiązać jej z urwipołciem!

Gendrowi łzy w oczach zabłyśnęły.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, dwadzieścia trzy lat służę.

– No więc służ, a nie nastawiaj kopytka, gdzie żab nie kuja.

W godzinę po tej rozmowie do baronowej Fryderychs zameldował się Weiss, stary pułkownik lejbgwardii podolskich kirasjerów. A choć baronowa ledwie co do przytomności wrócona, wzbraniała się przyjąć gościa, Pasternikow wprowadził pułkownika do Fryderychsowej.

Weiss powitał głębokim ukłonem baronową, za czym postąpił ku zasuniętej w fotelu, po raz drugi się skłonił i rzekł uroczyście:

– Mam honor przedstawić się i prosić o rękę pani baronowej.

V

Wiadomość o bliskim zamążpójściu baronowej Fryderychs już w kilka dni po oświadczeniach pułkownika Weissa, obiegała całą Warszawę, nie żalując sobie ani dowcipnych napomknień, ani ubarwienia szczegółów. Jedni żartowali sobie ze skwapliwości starego kirasjera rosyjskiego, drudzy nie szczędzili przymówek baronowej, trzeci byli zadowoleni, że nareszcie skończyła się niemiła sytuacja spotkania w progach brata cesarskiego damy, której niepodobna było ani uszanować, ani przyjąć u siebie. Nikt jeno nie zajmował się dolą baronowej, nikt jej nie współczuł. Oczywiście, małżeństwo kochanki cesarzewicza wywołało i domysły, podnieciło wróżby, a lekkomyślnie wymieniało domniemaną następczynię baronowej.

Tymczasem, w chwili gdy wiadomość o odprawieniu pani Fryderychs zaledwie z pałacu Brühlowskiego się wydobyła, o skromne pokoiki państwa Brońców już uderzyła wiadomość inna, donioślejsza, potężniejsza; wiadomość, wobec której zerwanie z baronową było błahym, nic nie znaczącym wypadkiem.

Oto, pod noc prawie, gdy pan Broniec, po spożyciu kolacji, zabawiał się lulką, a układał w myśli jakiś bajecznie wspaniały obiad, zawiadomiono go o przybyciu generała Fanshawe.

Pan Broniec, choć nawykły do ciągłych wizyt ulubieńca cesarzewiczowskiego, stropił się tak spóźnionymi odwiedzinami. Ale że mowy być nie mogło o wymówieniu się, tedy westchnął jeno i na powitanie generała do salonu, pospieszył.

Fanshawe, wystrojony w wielki mundur generała świty, z wyszukaną grzecznością i uszanowaniem jął przeproszać za spóźnioną wizytę. Broniec uśmiechnął się prostodusznie i odrzekł z odcieniem smutku:

– Wysoce cenimy sobie, generale, te dowody pamięci. Żanetka bardzo mile przyjęła bukiet, który raczyłeś przesłać. Jest zdrowa. Ano, i że to plucha od rana, więc teatru zaniechała i siedzi w swej komnatce nad książką.

Fanshawe szurnął dworsko nogami.

– Niezmiernie obowiązany, panie marszałku. Każdy drobiazg, dotyczący panny marszałkówny, głęboko obchodzi jego wysokość. Lecz moje stawiennictwo u pana marszałka ma tym razem jeszcze inny cel.

– Proszę, siadaj, panie generale.

– Panie marszałku, pozwól, że spełnię najpierw zlecenie jego wysokości. Przed półgodziną feldjeger z Petersburga przybył z własnoręcznym pismem najjaśniejszego pana. Jego cesarska mość raczył przychylić się do życzenia jego cesarzewiczowskiej mości i zezwolił na rozwód z jej cesarską wysokością, księżną Anną Sasko-Koburską. Manifest cesarski ukaże się niebawem. Jego cesarzewiczowska mość atoli uznał za właściwe podzielić się z tobą, panie marszałku, upragnioną przez się nowiną.

Broniec skłonił się Fanshawe'owi. Generał odpowiedział na ukłon.

– Panie marszałku, pozwól, że dokończę.

Broniec spojrział niepewnie na generała. Fanshawe zadzwonił ostrogami, kapelusz stosowany wdział i salutując, rzekł donośnie:

– Naczelnny wódz, jego cesarzewiczowska mość, wielki książę Konstanty życzy sobie pojąc za żonę pasierbicę pańską, hrabiankę Joannę Grudzińską!

Marszałek na to oświadczenie pochylił głowę ku ziemi.

– I zwraca się przez moje usta do pana, panie marszałku, jako do najbliższego opiekuna.

Broniec rozwarł ręce i jął kłaniać się niezdarnie, próbując na próżno zaparty oddech zmóc. Fanshawe pospieszył marszałkowi z sukursem, bo zdjął kapelusz i wychodząc z roli cesarzewiczowskiego swata, ozwał się uprzejmie:

– Niech mi wolno będzie powinszować panu, marszałkowi.

– Dziękuję... bardzo dziękuję...

– Jestem szczęśliwym, iż danym mi było tyle radości zwiastować rodzinie pana marszałka.

Broniec bąkał bez ładu i składu podziękowania. Fanshawe rozwodził się o splendorze, wypominał raz za razem swe ukontentowanie, służby swe polecał, aż do odejścia zabierać się zaczął.

– Jego cesarzewiczowska mość wyraził życzenie, aby deklaracja jego pozostała w tajemnicy najbliższej rodziny.

– Nie omieszkamy akomodować się.

– Przy tym jego cesarzewiczowska mość byłby szczególnie zadowolony, gdybym mógł mu zakomunikować, jak serdecznie hrabianka Żaneta przyjęła zapowiedź małżeństwa. Gdyby pan marszałek był łaskaw zawiadomić hrabiankę...

Broniec, który był odzyskał panowanie, zmieszał się.

– To jest... samo przez się... natychmiast Żanetkę, tylko, pojmuje generał, trzeba ją przygotować, a nie śmiałybym pana generała zatrzymywać. Zresztą nie ma wątpliwości... taka nowina!

– Będę umiał zadowolnić jego cesarzewiczowska mość – odparł uprzedzająco Fanshawe i pożegnał marszałka.

Broniec, po oddaleniu się generała, posmutniał i powłókł się ociężale do porzuconej lulki, snadź ani myśląc dzielić się z kim nowiną i raczej gotując się do jej rozważenia. Lecz wizyta Fanshawe'a nie uszła oka pani marszałkowej, bo ledwie Broniec lulkę rozzarzył, pokojowa wezwała go do żony. Marszałek z właściwą sobie potulnością odłożył lulkę i zawrócił do sypialni.

Pani Brońcowa kończyła skręcać papiloty.

– Wołałaś mnie, Maryniu?

– Był Fanshawe?

– No, był.

– I cóż, i cóż?

– Ano, wielki książę rozwodzi się.

– I wydaje ją za męż – dokończyła marszałkowa.

– O tym nie słyszałem.

– Ależ tak, z pewnością za pół-Niemca i pół-Rosjanina, Weissa.

– Mówisz, duszko, o baronowej, a ja o wielkiej księżnie sasko-koburskiej.

Brońcowa rzuciła się tak gwałtownie na krzesło, że to wraz z nią odsunęło się od gotowalni.

– Beuperku! Beuperku! Co ty mówisz? Więc rozwód, rozwód z wielką księżną?! Zdecydowany, podpisany?!

– Feldjeger przybył z pismem cesarza. Wielki książę polecił nas zawiadomić o tym.

– Po-le-cił! – zakrzyknęła z radosnym zdziwieniem marszałkowa. Broniec kiwnął potwierdzająco głową.

– Ależ to niesłychanie ważne! No masz, widzisz, przekonałeś się! Cesarzewicz ma najlepsze intencje! Fryderychsowa usunięta, rozwód, więc wyraźne burzenie przeszkód, torowanie drogi.

– Pewnie – bąknął cicho marszałek, na pięknej, męskiej twarzy którego wyraźniej zaryso-
wało się przygnębienie.

– Ciebie to nie cieszy? Wątpliwości nie ma! Ależ tobie coś jest!

– Mnie, skądże, prócz kaszki na mleku, nic nie jadłem na kolację.

– Co więcej mówił Fanshawe?

– Co więcej? Ano zapowiedział, że cesarzewicz postanowił ożenić się z Żanetką.

Brońcowa porwała się z krzesła i chwyciła męża za ramiona.

– Żeni się?! Żeni! Na Boga, mów, mów! Niech słyszę! Wielki książe...

– Uspokój się, Maryniu, podam ci sole. Tak, tak, żeni się, Fanshawe z całą paradą mi to
świadczył.

– Ooo! I ty nic mi nie mówisz!

– Mówię, kochanie.

– O, moje drogie dziecko! No, nareszcie, no, przecież! Złote sny moje! Na koniec do-
dziemy się z tych nieznośnych turbacji! A to dopiero Gutakowska będzie miała nauczkę za to,
że nosa zadzieriała! My jej teraz pokażemy, kto megalians zrobił: czy Wacław, żeniąc się z
Józefiną i wchodząc w rodzinę żony jego cesarzewiczowskiej mości, czy Józefina, oddając
rękę ledwie adiutantowi. Kasztelanowa Połaniecka też będzie miała za swoje żalosne prze-
wracanie oczyma! A Wąsowiczowa pozielenieje! A księżna Zajączkowa! Wiesz, co mi po-
wiedziała na ostatnim zebraniu? Że wielkiemu księciu wypadałoby z żoną się pogodzić i prze-
rwać w ten sposób grasujące wieści! Żebyś ją widział przy tym, jaki sobie ton nadała! Zoba-
czymy, kto komu będzie się teraz kłaniał.

– Tak – wtrącił ociężałe marszałek – ale czy Żanetka będzie szczęśliwą?

– Adeczku, co też ty mówisz?! Przecież wielki książe, cesarzewicz, następca tronu, gdzież
myśleć o świetniejszej partii? Czegóż jeszcze od losu żądać? Czegóż jeszcze?!

W tym miejscu marszałkowa urwała nagle i dodała po chwili wahania:

– Dwór da Żanetce wszystko. Cesarzewicz nie jest młodzieniaszkiem, lecz z tego dla Ża-
netki jeno pewność trwałego przywiązania.

– Ano tak.

To przyznanie racji nie wystarczyło marszałkowej, bo wpadła w ferwor i sama ją zarzuty
przeciwko związkowi z księciem gromadzić, a dalej zbijać je i unicestwiać.

Broniec słuchał potulnie wywodów żony, aż gdy ta umilkła, zauważył:

– Właściwie, moja duszko, choćbyśmy nie chcieli, nie może być inaczej. Idzie tylko o
zgodę Żanetki.

– Jestem jej pewna, zawsze księciu okazuje żywe zajęcie. Poza nim nikomu nie objawiła
podobnego. Dawniej sama mniemałam, że Łukasiński zrobił na niej wrażenie; byłam w błę-
dzie. Łaska boska nad nami, żeśmy Łukasińskiego nie dopuścili; kto wie, co by wynikło.

– Nic złego, człek zacny, oficer zdolny.

– Ależ, Adeczku, książe, cesarzewicz!

– Ano prawda.

– Korona może czeka na Żanetkę! Korona!

Wyraz „korona” olśnił marszałkową i zwrócił jej myśl ku najświetniejszym obrazom prze-
pychu, hołdów i zbytku. Brońcowa tchem jednym zaczęła plany snuć, w dostatki opływać,
dwór własny prowadzić, podróże odbywać, a przyjęcia wyprawiać.

Marszałek potakiwał żonie machinalnie, dopiero gdy Brońcowa na ucztę weselną wspo-
mniała, ożywił się.

– Trzeba zawczasu przygotować, bo pamiętasz, jak to nam zawód zrobili z kasztanami i
bażanty były bez kasztanów. Przy tym szampańskie musi się odstać. Łapu-capu od kupca,

zbełtane, nie ma tego smaczku, co po dobrej piwniczce. Nasz burgund także bokami robi. Trzeba o tym zawczasu, choć nie wiadomo jak, bo na razie, sama powiedziałaś, że musimy oszczędzać.

– Ale chyba nie teraz! A to sobie dobre, mielibyśmy żałować sobie, odmawiać?!

– Sądzisz, że pan Gutakowski pożyczycy?

– Beauperku, chyba na jawie majaczysz! – zaśmiała się marszałkowa. – A niechże sobie Gutakowski z Bogiem siedzi na Grzybowie i pieniądzech! A nam co z jego pożyczania? Za nic bym do Gutakowskiego nie poszła! Matka żony cesarzewicza! Już się nie kłopotz.

– Bo uważasz, kochanie, i serwis nowy by się zdał. Można by królewskiego pożyczycy, lecz nie wypada. I sreberka nasze przetrzebione i węgierskie należy podreperować! Molski wczoraj szepnął mi do ucha, że cienkuszka mamy. I wódki gdańskiej, nie wiem, czy na miesiąc starczy. U Dobrycza wisimy na pięć tysięcy złotych.

– Ach, nie ma nawet o czym mówić. Kupi się, co trzeba. Mnie to zostaw.

– Chociaż z cesarzewiczem trudna sprawa.

– A za pozwoleniem, chyba jemu nade wszystko musi zależeć, aby rodzice żony nie cierpieli niedostatku. Na coś podobnego nie tylko cesarzewicz, lecz po prostu dwór nie pozwoli. Ani myślę obwijać rzeczy w bawełnę. Przy pierwszej sposobności powiem.

– Bo to i pasztetów sztrasburskich wypadałoby sprowadzić – uzalił się marszałek.

– Będą i pasztety.

– I francuskiej czekolady na kremy. Żanetka przepada za kremem czekoladowym.

– Co chcesz, będziesz miał, mój ty nudziarzu niepoprawny. Pójdę do Żanetki.

Broniec fryknął nosem i łzę otarł.

– Idź, kochanie, idź; a ja tymczasem przygotuję wypis, co najpilniejszy. Byle była szczęśliwą, byle była szczęśliwą.

– Mam dobre przeczucie.

Marszałek westchnął, ucałował rękę żony i poszedł do swej kancelarii. Tu zadzwonił na pokojową, kazał wody wrzącej przynieść, naparzył sobie rumianku, odcedził go, łyknął raz i drugi, za czym wykaligrafowawszy na arkuszu papieru „Żanetka”, zabrał się do układania długiej a zawilej listy napoi, przysmaków, specjałów i osobliwości kulinarnych.

Brońcowa równocześnie wsunęła się cicho do komnatki Żanetki.

Panna Grudzińska na widok matki odłożyła trzymaną książkę.

– Nie przeszkadzam ci, drogie dziecko?

– Bynajmniej.

Brońcowa usiadła tuż naprzeciw córki, wpatrzyła się w nią : z rozradowaniem i przyciągnęła ją ku sobie.

– Daj, niechże cię ucałuję! Ślicznie ci w tym szlafrocuku. Był Fanshawe?

– A był.

– Był, droga Żanetko, z wielką nowiną! Z nowiną, która ziszcza najdroższe me nadzieje, która zwiastuje ci los świetny, przyszłość, szczęście!

Twarzyczkę Żanety płomienie przeszły.

– Mnie? Mnie? – zagadnęła niepewnym głosem.

– Tak, kochane dziecko, tobie, tobie, a przez ciebie i mnie, całej naszej rodzinie. Tak, tak i zasłużyłaś na taki los!

– Ja?

– Cesarzewicz oświadczył się o ciebie.

Żanetka pobladła. Brońcowa ujęła ją za rękę.

– Oświadczył się urzędownie!

– Książę bardzo łaskaw, ale...

– Jak to „ale” – zawołała z przerażeniem Brońcowa – więc jeszcze nie postrzegasz dowodu oczywistego przywiązania?

– Jestem zań szczerze wdzięczna cesarzewiczowi – szepnęła cicho Żaneta.

– I słusznie, droga moja, bo ze strony księcia krwi, może przyszłego cesarza, to wiele, bardzo wiele.

– Stąd nie wolno mi złem za dobre płacić: nie kocham go.

– Nie kochasz. Ale któż tu mówi o jakiejś romansowej miłości? Przecież to księżę, wielki księżę, cesarzewicz, a nie żaden poruczniczyna liniowy, któremu się śnią heroiny. Szanujesz go, poważasz, masz dlań przyjaźń, a reszta, drogie dziecko, przyjdzie, samo przyjdzie. Ufaj doświadczeniu matki.

Brońcowa zachłysnęła się własnymi słowami, lecz nie tracąc pewności siebie, po nowe sięgnęła argumenty.

– Moja Żanetko, wszak nie zaprzeczysz, że sprzyjałaś cesarzewiczowi, że okazywałaś i okazujesz mu sympatię.

– Sama nie wiem. Mama życzyła sobie, wielki księżę jest zawsze uprzedzający, nie kryję, iż mnie zjednał, iż mam go za lepszego, niż niejednemu się wydaje.

– No widzisz, widzisz. Nie mówię jeszcze, żebyś pałała dla kogo innego sentymentem, że-bym ci wybierać kazała, lecz co tu ukrywać. Latka idą, dwudziesty piąty rok zaczęłaś, jesteś niezawodnie księżęcej mitry warta, ale i dlatego właśnie wyboru nie masz, boć księząt mało.

– Nie myślę o zamążpójściu.

Marszałkowa załamała ręce.

– Żanetko, zastanów się, skąd ci takie myśli? Świat cały przed tobą, szczęście samo się naprasza, a ty melancholii się poddajesz, urojonych skrupułów szukasz!

Żaneta ukryła twarz w dłoniach.

Brońcowa ulękła się niespodziewanej alteracji córki i tym żarliwiej ją przekonywać.

Marszałkowa mówiła długo i nie tylko o szczęściu, ale i o posłuszeństwie dla rodziców, i o poświęceniu dla najbliższych, i o ciężkim położeniu majątkowym, i o świetności życia dworskiego, i o zaszczytach, które staną się udziałem żony cesarzewicza, i o bezdzietności cesarza Aleksandra, i o szlachetności Konstantego, który tak uczciwą drogę obrał ku poddauce, i o Popowie, które nic nie przynosi, o tym, że Józefina, choć za Gutakowskiego wyszła, a liczyć się musi z groszem, i o Antuanetce, która pisała z Poznania bardzo obszernie o spotkaniu pułkownika Dezyderego Chłapowskiego, z czego oby tylko mariaż dla Antuanetki się ułożył.

Żaneta ani słowem nie przerwała matce. Ta ostatnia, snadź za dobry znak to poczytała, bo gdy na koniec wyczerpała wywody, ucałowała czule córkę i zakonkludowała pojednawczo:

– Nie żądam responsu, ufam twemu rozsądkowi. Zastanowisz się, namyślisz, nie chcę ci się ani sprzeciwiać, ani cię niewolić.

Północ dawno wybiła na wieży Zamku Królewskiego, warty głównego odwachu już do następnej gotowały się zmiany, a komnatka Żanety Grudzińskiej mrugała jeszcze światełkiem, jeszcze czuwała, jeszcze w dal ciemną, a oparami przepastnych mgieł spowitą, słała drżące blaski.

Upłynęły godziny od chwili, gdy pani Brońcowa, złożywszy pocałunek na czole córki, udała się na spoczynek. Upłynęły godziny od chwili, gdy w głębi korytarza mieszkania Brońców umilkły stapania służby, a Żaneta siedziała wciąż jeszcze z twarzą w dłoniach ukrytą, skupiona, na poły zastygła. Serce jej równym uderzało biciem, pulsa tętniały spokojnie, mięśnie nie dygotały kurczowo, pierś nie falowała, myśl bez trudu, bez napięcia długie a szare rozsnuwała pasma. A przecież mimo te pozory, postać Żanety tchnęła ciszą żalu, ciszą skargi.

Lecz Żaneta taką już na świat przyszła, taką się narodziła. Ani mniej, ani więcej, niż jej dwie siostry, kochana przez rodziców, ani inaczej, niż one chowana, ani inaczej edukowana: a jednak Żaneta od dzieciństwa różniła się usposobieniem, różniła się wrażliwością, różniła upodobaniami. To, co Józefinę pobudzało do serdecznego śmiechu, to Żanetę napełniało nudą, to, co Antuanetę gniewało, toż samo Żanetę bolało. Tam, gdzie Antuaneta miała pogodną rezygnację, tam, gdzie Józefina ulegała, nie kryjąc przymusu, tam Żaneta buntowała się, opierała.

Dzieciństwo Żanety było smutnym; i nie dlatego, aby brakło mu warunków materialnych, i nie dlatego, aby poskapiło miejsca dla wybuchów radości, swawoli czy zabawy, lecz że natura Żanety była naturą tej rośliny, której nie tylko słońca trzeba, ale i wielkiego słońca, nie tylko dżdżu obfitego, ale i ciepłego, ulewnego dżdżu, nie tylko ziemi tęgiej soczystej, lecz i gorącej ziemi.

Być może, iż niemały wpływ na Żanetę wywarło i to, że danem jej było przyjść na świat, jako najstarszej z trzech córek hrabiego Grudzińskiego i Marii Dorpowskiej; i że stąd Żaneta najgłębiej z dzieci odczuła niesnaski rodziców, że najwcześniej zetknęła się ze zgrzytami nieodbranego czy poróżnionego stadła. Żaneta bodaj jedna spośród rodzeństwa patrzyła, jak z dnia na dzień pękały ogniwa łańcucha wiążącego rodziców, jak dom wrzał piekłem nieustannych starć małżeńskich, jak ład niszczał, jak szeptały sługi, jak potem zalegała głusza zle udawanych pozorów i jak znów następowało gwałtowne starcie.

I Żaneta od małości umiała już przedziwnie manipulować instynktowną perfidią dziecka, zmuszonego być Metternichem wśród rodzicielskich nieprzyjaźni.

Lecz Żaneta nie przechylała się ani na stronę matki, ani na stronę ojca. Prawda, bywały chwile, gdy podczas nieobecności męża, pani Dorpowska sama wyjeżdżała z Popowa, strojna, piękna, roześmiana, Żanetkę zdejmowała żalosc do matki. Wówczas nawet dziecinnym swym szczebiotem ostrzegała ją, aby wracała szybko, żeby tatuś się nie gniewał. Lecz gdy następnie nadjeżdżał ojciec i pytał o matkę, Żaneta spieszyła znów ucieszyć go wiadomością, iż matka wróci zaraz, że pojechała tylko po pierniczki dla Józefinki, tylko po lalkę dla Antuanetki.

Po jednej z gwałtowniejszych scen Żanetę wraz z siostrami odwieziono do babki Dorpowskiej, do Poznania, a stąd już wprost na pensję do pani Vauché, do Warszawy. Tu już wieść o ojcu zaginęła, na pensji bywała tylko matka.

Żaneta próbowała pytać o ojca, lecz matka zbywała ją ogólnikami, że ojciec musi w Popowie zostawać. Trwało tak lat kilka, aż pewnego razu matka zapowiedziała córkom, że im przyprowadzi nowego tatusia. Za czym w kilka dni przysła z panem Brońcem.

Józefinka nowym tatusiem była zachwycona, ile że pan Broniec zjawiał się często na pensji i zawsze obładowany przysmakami. Antuanetka miała dlań wiele życzliwości od pierwszej chwili. Jedna Żaneta boczyła się długo i uporczywie. Ale pan Broniec zwyciężył oziębłość Żanety, bo ani do serca nie brał dąsów podlotka i był zawsze tak równomiernie dobrym, jasnym, uśmiechniętym i wyrozumiałym dla panienek, że niepodobna było ani nań się krzywić, ani nań się skarżyć. Pani Vauché i ksiądz Malesherbes, Francuz, przez lata całe byli najbliższymi opiekunami pań Grudzińskich, bo aż do czasu, gdy Żanetę z Józefiną pani Brońcowa odwiozła do Paryża, do pani Collins, na dokończenie edukacji. Właściwie pensja pani Vauche w zupełności wystarczała dwom starszym córkom pani marszałkowej, gdyż pani Collins nie dorzuciła nic ani do ułożenia wytwornego, ani do wiadomości, ani bodaj do czyistości francuskiego akcentu. Lecz mimo to pani Brońcowa usilnie przetrzymywała córki nad Sekwaną, bo jak złośliwi powiadali, ciężko było marszałkowej do dorosłych córek się przyznawać, ciężko obok nich między ludźmi pokazać.

Powrót z Paryża do Warszawy, do matki był dla Żanety i Józefiny przejściem wprost z surowej klauzuli pensjonatów do pustoty salonowego życia.

Dom marszałka Zamku, Brońca, jeszcze od czasów Księstwa Warszawskiego był jednym z ognisk towarzyskiego życia, lecz ognisk ani wyszukanych, ani poważnym łączeniem się ludzi słynących. Treścią rozgwaru, panującego u Brońców, był stół wykwintny a suto zastawiony, gospodarz, którego największą radością było uraczyć gościa co najlepiej, i gospodyni rozrzepotana, lubiąca stroje, przyjęcia, zaloty i plotki.

Stąd u marszałkostwa więcej bywało biboszków niż statecznych mężów, więcej pustogłowców płci obojga niż uczonych, więcej zbieraniny różnego autoramentu niż osób do siebie pasujących. Kto jeno raz przestąpił progi marszałkostwa, ten już bez pytania mógł, ile razy chciał, do pełnego zawsze stołu zasiadać, a po całych wieczorach chichotać w salonie z panią Brońcową.

Od czasu do czasu zebrania u Brońców ustawały, lecz bodaj tylko na czas przyjazdu księcia warszawskiego czy następnie cesarza Aleksandra. Marszałek bowiem był zajęty dworskim swym urzędem. Te pauzy przymusowe niegdyś mocno nawet dokuczały Brońcowi, bo książę warszawski był skromnego obyczaju człkiem, wstrzemięźliwym i po trosze lubił skąpić. Tedy marszałek nie tylko, że pola do popisu dla siebie nie miał, lecz w dodatku sam stosować się musiał do książęcego stołu. Jakoż wzdychał żałośnie pan Broniec, a skarżył się, iż taki dobry król tak źle jada.

Ale w zamian, jak po księciu nowy król polski, Aleksander, w Zamku się rozsiadł, to dni służby zamieniły się dla pana Brońca w najczarowniejsze, nieprzebrzmiałe nigdy wspomnienia.

Ba, toć przecież Aleksander I na kuchni się znał, i o winie także potrafił rozprawiać. I jak się znał! Napoleon ze zdobywanych miast wygarniał dzieła sztuki, historyczne pamiątki. Aleksander zaś w czternastym roku sto tysięcy butelek szampana wolał zarekwirować z Epernay, niż Paryżowi malowidła zabierać. Co ważniejsze, cesarz Aleksander umiał jeść i pić, i umiał chwalić.

Tak czy owak, nie trzeba było być moralistą, aby obawiać się dla pańien Grudzińskich tej nieopatrznej gościnności państwa Brońców. Jakoż pojawienie się Żanety i Józefiny niemało dostarczyło okazji do pobożnych przepowiedni, że szkoda edukacji, szkoda tej urody na otoczenie hulaków, że szkoda pańien Grudzińskich.

Aliści, zanim ktoś najzłośliwszy zdołał ukuć plotkę o niewątpliwym objawie złego wpływu gości marszałkostwa na ich córki, wpływ ten objawił się, lecz w odwrotnym dla puszczyków kierunku. Zebrania u Brońców stały się dyskretniejszymi, mniej rubasznymi, przystojniejszymi.

Młodzież gromadą ruszyła do domu marszałka. Bywalce i niestrudzeni bibosze, jak Kubicki i kawaler Żaboklicki, do zakamarka za kredensem ustąpili, raczyć się z Brońcem, a z Molskim, wierszopisem, pałeczkę zalewać. Pani Brońcowa wpadła szczęśliwie od razu w rolę stroskaney o swe pisklęta kokoszy i trzeba przyznać, jeżeli i miała niejedną płochosć romanowego serca na sumieniu, to teraz tym czujniej, tym lepiej strzegła córek.

Co prawda, panny Grudzińskie mogły być obejść się bez tej czujności matczynej, gdyż o ile odziedziczyły po pani Brońcovej całą jej słynną niegdy urodę i z sutym naddatkiem, o tyle nic nie wzięły z jej charakteru, z jej przywar i z jej ubogich przymiotów duszy. Nawet Józefina, która najsilniej z pańien Grudzińskich odzwierciedlała matkę, nie posiadała i części jej wrodzonej przewrotności.

Tymczasem, jeżeli wpływ zjawienia się w domu Brońców pańien Grudzińskich niejednemu złemu językowi figla wyplątał, to rzecz można, iż Żanetce szczególnie boleśny sprawił zawód.

Żaneta była spragniona przywiązania, uczucia, miłości rodzicielskiej, o której tak pięknie rozповідаł ksiądz Malesherbes, ciepła rodzinnego – gdy spotkała ją jeno afektacja kobiety, która nareszcie zdecydowała się przyznać do trzech córek, która w nich próbowała szukać przedłużenia własnej zwiędłej piękności, która mieć je chciała za ambicję, za szczeble ku porośnięciu w znaczenie i szacunek.

Żaneta na razie nie zdawała sobie sprawy z tego zawodu, starała się przezwyciężyć żal, który ją nurtował, starała się wierzyć, iż los dał jej więcej niż posiadała każda z jej rówieśniczek.

Pożycie Żanety z Józefiną było zgodne, przyjazne, siostrzane, lecz nie zharmonizowane, nie złane. Przedsiębiorczy, ognisty, a przy tym giętki i oportunistyczny temperament Józefiny nie znajdował oddźwięku w spokojnym, smętnym usposobieniu Żanety. Józefina z Żanetą nie rozumiały się. W zamian, mimo przeciwieństw, mimo pozornie różnych charakterów, Żaneta z Antuanetą kochały się, miłowały i zgadzały zawsze. Pierwsza dla drugiej była i strażniczką, i opiekunką, i matką. Druga dla pierwszej i powierniczką, i pogodą, i rozweseleniem, i słońcem.

Stąd, gdy po powrocie pod dach matki, nareszcie do domu przybyła i najmłodsza Antuanetka, Żaneta tym żywsze okazywała jej przywiązanie; i bodaj nie z samolubnego poczucia, aby wypełnić pustkę dotkliwą przez matkę nie postrzeżoną, lecz aby Antuanetę przed tą pustką właśnie uchronić. W domu Brońców o Grudzińskim nie było mowy, jakby nie istniał, nie żył. Raz jeden tylko marszałkowa, gdy Antuaneta, nie bacząc, wspomniała ojca, odezwała się raptownie: „Moje panienki, trzeba, żebyście wiedziały, że pan Grudziński się żeni”.

Ta wiadomość zaboląła Żanetę. Zdawało jej się, iż matka do najtajniejszej skrytki serca jej sięgnęła, aby wyrwać zeń to, co Żaneta kryła na godziny smętku, a co było dla niej drogim, miłowanym obrazem bardzo dobrego, a jeno nieszczęśliwego ojca.

Pan Broniec, wedle sił i pojęcia, starał się odpowiedzieć zadaniu ojczyrna, a że po swojemu zadanie to pojmował, więc totumfackim pasierbic został.

Panny Grudzińskie lubiły marszałka, zwały poufale „Beauperkiem” lub „Bronperkiem”, ale i nie trudziły go niczym, chyba frykasem lub sprawunkami. Pan Broniec zresztą rad był ze swego stanowiska, kochał na własny sposób pasierbice, na własny sposób okazywał im pamięć i na własny sposób nimi się chlubił. A jeżeli ktoś w tym chlubieniu marszałka dopatrywał się tego samego tonu, jaki miał Broniec dla tortu wiedeńskiego, omszałej butelki maślacza czy zółwiowej zupy, to jeszcze nie było w tym ujmy dla przywiązania do pasierbic, a raczej dokument, jak wysoce panny Grudzińskie stawiał.

Zresztą, przewodztwo nad pannami Grudzińskimi objęła niepodzielnie pani marszałkowa. Pan Broniec zaś zadawał się stanowiskiem nie żadnego oficera sztabu, lecz urzędnika komisariatu prowiantowego.

Oczywiście przybycie córek do domu stało się dla pani Brońcowej początkiem zabiegów, aby co najkorzystniej, co najlepiej wydać je za męża. Było to zadanie trudne, bo pani marszałkowa miała wymagania ambitne, a panny były biedne, nawet zupełnie biedne.

Spora fortuna państwa Brońców stopniała od dawna, zamieniając się w wiszący na włosku tytuł własności i niezliczoną ilość długów i dłużników. Pensja zaś marszałkowska nie starczyła na opłacenie strojów jednej pani domu. Na domiar Brońcowie ani myśleli o pohamowaniu rozrzutności, o umniejszeniu wydatków, a raczej myśleli zawsze o uświetnieniu przyjęć, o podniesieniu stopy życia.

Jak sobie dawali radę, jak zdołali nie tylko długów nie płacić, lecz wciąż nowe zaciągać, to było przedmiotem podziwu całej Warszawy, a marszałkostwa tajemnicą. Co ludzie mówili, to mówili, a dom Brońców opływał w dostatek, lśnił zamożnością i niczego sobie nie skąpił.

Ta sztuka zachowania pozorów, a właściwiej kunszt wydawania pieniędzy z prózną kieszą za pasem był miłym dla bywalców, przyjemnym dla tych, którzy szukali rozrywki, kompanii, dymiącego komina. Ale nie dla tych, których uroda pańien Grudzińskich nęciła, nie dla tych, którzy trzeźwo patrzyli w przyszłość. Nic bo, że panny Grudzińskie nie posiadały fortuny, że nie miały wiana, lecz że groziły przyszłym mężom nawyknięciami do zbytku, do rozrzutności, do życia nad stan, a bodaj że zapowiadały ciężary, bo długi rodziców. Długi zaś te nie ważyły nawet szali pogłosek, że pan Grudziński ma jeszcze mająteczek i że córkom przekaze, bo pan Grudziński Brońcowej wypłacił więcej, niż mógł, bo sam niewiele posiadał, bo żenił się po raz drugi. Młodzież zalegała pokoje marszałkostwa, hołdowała piękności pańien Grudzińskich, lecz deklaracji się strzegła.

Dla sprawiedliwości trzeba rzec, iż w istocie młodzież strzec się potrzebowała jeno własnych zapałów, jeno powłóczystych oczu pańien Grudzińskich. Pani Brońcowa bowiem mierzyła wysoko, a panny zaś tak były oszołomione nowym, nieznanym im otoczeniem, tak dalekie od zastawiania sieci, a choćby próbowania motyli skrzydeł, że kto ómich porywów się strzegł, ten bez niebezpieczeństwa mógł krążyć i napawać się wdziękami pańien Grudzińskich.

Żaneta, zarówno jak i jej siostry, nie zdawała sobie sprawy ze stanowiska towarzyskiego rodziców ani z zamysłów matki, ani z położenia materialnego. Świat i ludzi znała jedynie ze

starannie dobranych książek, z nauk dystynkcji, o ułożeniu salonowym, z wytwornych rozmów pani Vauché, z mistycznych tłumaczeń księdza Malesherbesa. Ale Żaneta miała wrażliwość, czuła wszystko, co bodaj musnęło ją, co tknęło, co nie odpowiadało snom, które śniła, pięknym zasadom, które wchłonęła, to wszystko warzyło ją, niepokoiło, smuciło.

I Żaneta chwilami była bardzo nieszczęśliwa i kryła się w swej komnatce; a niekiedy, zaskoczona przez Antuanetkę, wybuchała jakimś mimowolnym, niezrozumiałym dla niej samej, a przecież nieutulonym, płaczem.

Pani Brońcowa z początku niepokoiła się łzami Żanety, lecz przekonawszy się, że tryskały zazwyczaj bez żadnego wytłumaczonego powodu, składała je na wrodzone usposobienie i oswoiła się z nimi dowodząc, że gdy Żaneta za mąż wyjdzie, to i takie panieńskie przypadłości ją opuszczą. Ten pogląd marszałkowej sprawił, iż kiedy łzy Żanety przestały już być odruchem niewytłumaczonych tęsknot, nie skryształizowanych żalów, pani Brońcowa miała dla córki tylko tę samą filizankę kwiatu lipowego na ukojenie, tylko tę samą wodę różaną na zaczerwienionych oczu wyklarowanie.

Mijały godziny; Żaneta trwała wciąż jeszcze w bezruchu, w osłupieniu.

Jak to było, jak się to stało. Na balu u pani generałowej Mokronowskiej spotkała po raz pierwszy Waclawa. Jej tylko cały wieczór asystował, z nią tylko tańczył. A trzeciego dnia już wprost do niej, w dom ojczyma przyszedł. I potem zaczęły się wieczory nigdy zadość długie, rozmowy nigdy nie wyczerpane. Matka rada była Waclawowi; mówiła wprost Żanecie, by uprzejmie go witała, by dlań była łaskawa, bo to i ród dobry, i fligeladiutant króla jegomości, i fortuna znaczna. I Żaneta skłaniała się do życzenia matki, lecz nie dla tych racji, boć gdyby Waclaw Gutakowski żołnierzkiem zwykłym był a chudopachołkiem, toć serce Żanety równie mocno by ku niemu kołatało. Trwało tak. Podczas wizyt Waclawa asystowała Żanecie bądź matka, bądź Beauperek, bądź Józefina. Wizyty Gutakowskiego ciągnęły się długo. Matka się niepokoiła, czyli fligeladiutant dość poważne ma zamiary. Żaneta nie podzielała tego niepokoję. Była szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, byle przychodził, byle go widziała, byle go słyszała. Aż pewnego wieczora, gdy Żaneta jak zazwyczaj była w salonie z Józefiną i Waclawem, matka wywołała Żanetę i rzekła:

– Zostaw ich samych... oświadczył się o Józefinkę.

A potem nastąpiły dla Żanety dni długie, noce białe i udręka poglądania na rozradowaną twarz Waclawa, i na owo szczęście, które na dom ojczyma zeszło, i na przygotowania wyprawne, i na przedweselną krzątaninę, i na biały welon Józefiny, i na stulę, która rozerwała w sercu Żanety ostatnią nić złudy.

Na chwilę tego szamotania się z buntem nurtującym Żanetę zjawił się wielki książę, cesarzewicz.

Żaneta była tak złamana duchowo, tak bólem skolatana, że ledwie umiała zdobyć się na należne zachowanie dla księcia krwi. Lecz to bodaj przyzwyczajonemu do dworskich komunalów cesarzewiczowi wraziło się w pamięć, spotęgowało zaciekawienie.

Książę zaczął coraz częściej szukać towarzystwa Żanety. Ta ostatnia oswoiła się z tym, zwykła. Uprzejmość cesarzewicza pochlebiała Żanecie, niekiedy sprawiała nawet zadowolenie, zwłaszcza gdy wielki książę wyraźniej swą sympatię zaznaczył wobec Józefiny. Lecz i poza tym Żaneta nadto była kobietą, aby nie imponowała jej siła i zadufanie bijące z każdego ruchu, z każdego spojrzenia Konstantego. Cesarzewicz przy tym zaciekawiał Żanetę, uosabiał jakiegoś mocarza z bajki, przywodził na pamięć jedno z tych pięknych a rozmarzonych opowiadań o życiu królów i królewiczów. Być może, do pełni obrazu brakło Konstantemu urody, lecz nic do niej było Żanecie. Powoli Żaneta powzięła dla cesarzewicza coś w rodzaju przyjaźni czy wdzięczności za zaufanie, które jej okazywał, za niewinne dowody pamięci. Zresztą nie miała i nie mogła mieć do Konstantego uprzedzenia, bo znała go jedynie z tego, co sam jej o sobie mówił, bo w domu unikano zawsze rozmów drażliwych, a od czasu, gdy cesarzewicz stałym został gościem, strzeżono się ich w dwójnasób. A o ile jakaś wieść niepochlebna o

księciu wdarła się do państwa Brońców, to już oboje marszałkostwo starali się ją tak oświecić, aby cienia na osobie cesarzowicza nie zostało.

Lecz harmonię zażyłości panny Grudzińskiej z wielkim księciem zaczęły zakłócać jakieś niespodziewane, piorunowe zwroty w rozmowie, czynione przez Konstantego. Żaneta bała się ich zawsze, ile że obocześnie twarz cesarzowicza pałała nienaturalnym ogniem, oczy jego świeciły natrętnym, dzikim blaskiem, a głos chrobotał przeraźliwiej. Wielki książę wyglądał wówczas na upiora.

A dalej nastąpiły wizyty generała Fanshawe i jego poszepty, znoszące Żanecie wieści o cesarzowiczu, o tym, że się pyta o zdrowie Żanety, że niepokoi się, czy przeziębienie minęło, czy Żaneta będzie na teatrze. A dalej już i podarki, i kwiaty, i wyróżnienia ze strony święty księcia, i czołobitności generała Kuruty, „cyfra” brylantowa „frejliny” i samego cesarza łaskawe słowa. Żaneta przyjmowała te oczywiście już dowody skłonności cesarzowicza, bo nie przyjąć ich nie mogła, bo przyjaźń księcia była dla całego domu Brońców ukontentowaniem, bo dowody te sprawiały Żanecie dziecinną uciechę, bo nie upatrywała w nich żadnych szczególnych oznak.

A potem, potem skłębilo się wokół Żanety wszystko. Cesarzowicz stał się natrętniejszym, gwałtowniejszym, matka tylko o nim mówiła Żanecie. Fanshawe zanudzał zleceniami Konstantego, najwięksi dygnitarze ku Żanecie się cisnęli na przyjęciach u namiestnikowej, również dręczyły Żanetę zapytaniami. Nawet on, Wacław, o rozwadze mówił, nawet Józefina winszowała jej losu, równocześnie zaś brzmiały wciąż w uszach Żanety złowrogie słowa Łukasińskiego.

Żaneta poruszyła się nagle i spojrzała ku drzwiom, lecz wspomniała, że Antuanetki nie było, że nie było iść do kogo, nie było przed kim się wyznać, że trzeba było samemu pozostać. I Żaneta dźwignęła się ociężale i jęła do snu, się układać. Gdy miała gasić lampę, wzrok Żanety padł na krzyż, wiszący ponad łóżkiem, lecz odwróciła odeń głowę i rzuciła się na łóżko, wyczerpana, znużona. Lecz teraz, miast snu, zmory ją owiały i dręczyły, i szarpały, i łyssały małymi, świdrującymi oczyma spod szcztokowatych, płowych brwi, i charkotały przyduszonym śmiechem Konstantego, i jęczały skargami majora, i odzywały się echemi zajadłej kłótni rodziców, szeptały nosowym, przeciągłym głosem jakieś zaklęcia, jakieś modlitwy, jakieś psalmy ponure.

Aż nagle, tuż nad głową Żanety rozległ się cichy głos marszałka:

– Nie śpisz, Żanetko? Śpij, śpij, kochanie. Wszystko, co trzeba, spisałem. Będiesz miała i werduńskie konfekty...

Tu głos Brońca załamał się, wielka łza padła na twarzą Żanety.

Żaneta wybuchnęła serdecznym płaczem.

VI

Po tym pamiętnym wieczorze dom państwa Brońców spochmurniał, zasepił się, a troską zbruzdził nawet pogodne oblicze marszałka.

Pani Brońcowa nie pokazywała się gościom, panna Żaneta słabowała. Beauperek, choć jak mógł, najusilniej zapewniał ciekawych, że niedomagania pasierbicy i niedyspozycja żony są w ogóle nic nie znaczącymi przypadłościami, jednakże miał przy tym tak płacziwą minę, iż miast ocalić pozory, domysły podniecał. Na dobitkę marszałek ze zwykłą sobie dobroduszością wygadał się, że ksiądz Malesherbes po całych dniach przy Żanecie przesiaduje, a biskup Skarszewski dwa razy ją odwiedzał.

I kto wie, co by za plotki z tych niefortunnych tłumaczeń marszałka wynikły, gdyby nie to, że coś w tydzień nastrój w domu Brońców najniespodziewaniej rozpromieniał.

Marszałek z jednej ostateczności wpadł w drugą. I jak przedtem krzywił się żałością bez powodu, tak teraz bez powodu śmiał się a radował. Pani Brońcowa zajęła swe panujące miejsce w salonie i rej wiodła z tym samym, co przedtem, ożywieniem. Jedna panna Żaneta zdawała się czegoś roztargnioną, nieswoją, lecz ani mniej piękną, ani mniej uprzejmą, ani mniej pociągającą. Cesarzewicz po dawnemu bywał u marszałkostwa, generał Fanshawe po dawnemu kilka razy dziennie Brońcowi się prezentował.

Warszawa podczas rozpowiadała sobie jeszcze historię o usunięciu baronowej Fryderychs z Bruhlowskiego pałacu i o jej bliskim zamażpójściu; aż gdy na początku marca ślub baronowej z pułkownikiem Weissem stał się faktem, stolica Królestwa Kongresowego uprzykrzyła sobie i szczegóły tego osobliwego związku, i dociekania, co skłoniło wielkiego księcia do rozstania się z tyloletnią i zasłużoną kochanką a przyjaciółką.

To znudzenie się Warszawy przyszło tym łatwiej, że z jednej strony nawet ludziom, ocierającym się o dwór cesarzewicza, zabrakło ożywczych półsłówku ku snuciu nowych plotek, a z drugiej, znalazł się nowy żer w postaci zgarbionej pani generałowej Mokronowskiej, damy szósty krzyżyk dźwigającej i dorodnego a młodego jeszcze pułkownika Zielonki. Lecz zanim Warszawa nasyciła się spóźnionymi zapalami generałowej i stęchłym gustem pułkownika strzelców konnych gwardii, ukazał się manifest cesarski o rozwodzie Konstantego z żoną.

Za manifestem gruchnęły słuchy, że w lewym pawilonie Belwederskiego pałacu aż wre, aż roi się od majsterków, zajętych przystrajaniem a odnawianiem całego apartamentu. A z tymi słuchami mocniej zagadała fama warszawska i zakonkludowała: „Cesarzewicz się żeni!”

Na potwierdzenie tej definicji nie brak było argumentów, jeno brakło ich, gdy domysł sięgał do imienia przyszłej małżonki wielkiego księcia. Jedni mówili, że cesarzowa matka wy-

szukała synowi księżniczkę badeńską, drudzy, że wirtemberską, trzeci wspomnieli, iż Konstancy w roku zeszłym, w Paryżu bawiąc, u margrabiny Cubier dnię całe spędzał, a byli i tacy, którzy z uporem twierdzili, że nie bez kozery cesarzowicz coraz dłużej u Brońców z panną Żanetą przesiaduje.

Nim zgodzono się na jedno, pod koniec maja Warszawa stała się świadkiem zdarzenia, które już nie tylko jej murami, zatrzęsło, nie tylko Kongresówkę poruszyło, nie tylko ziemie polskie przejęło, lecz targnęło nawet bastionami Kremlinu, nawet Petersburg wzburzyło, a we wszystkich stolicach Europy zagadało.

Zdarzenie tak doniosłe nie miało żadnych ostrzegawczych dla Warszawy znamion.

W sobotę, dnia dwudziestego czwartego maja 1820 roku, jak zwykle, już o godzinie siódmej z rana zadudnił kabriolet cesarzowicza, jak zwykle popłoch wywołał wśród przechodniów i jak zwykle wpadł na dziedziniec Brühlowskiego pałacu. Okoliczność, że wielki książe sam powoził i jechał bez masztalera, nie mogła zastanowić nikogo, bo Konstancy często miewał ten zwyczaj.

W Bruhlowskim pałacu cesarzowicz odprawił codzienny przegląd wojskowych posyłek i ani z mniejszą pasją, ani z większą łaskawością. Następnie ruszył na plac Saski dla odbycia zwykłego przeglądu, a po ukończeniu tegoż zawrócił kabrioletem do Zamku Królewskiego i przez boczną bramę od strony sejmowej sali wpadł na dziedziniec i przed sień do mieszkania Brońców zajechał. Aliści w kilkanaście minut potem w okolicach zamku zerwała się wieść, że cesarzowicz ślub bierze z Żanetą Grudzińską w kaplicy.

Kto tę wieść pierwszy rzucił, kto ją Zamkowi wydarł, a kto rozniósł, tego nikt nie umiał powiedzieć. Lecz co było dziwniejszym, iż ta wieść od razu znalazła wiarę, że gdzie jeno dosięgła, tam stała się niezaprzeczoną, niezawodną. I zanim wieść ta na krańce Warszawy trafiła, już pod Zamkiem wstęgi mrowia ludzkiego zwarła i dalej, hen, ku Belwederowi je wyciągała.

Aż spod bramy wieżowej Zamku wypadł kabriolet cesarzowicza. Tłumy zakołysały się i wybuchnęły szalonym wiwatem: obok Konstatego widniała kształna, wiotka postać Żanety Grudzińskiej. Gniadosze cesarzowicza wspięły się, niby zaskoczone niespodziewanym przywitaniem. Ale wielkiemu księciu snadź nie przypadła ta owacja, bo brwi ściągnął i smagając konie, jakby chcąc uciec huczącym wiwatom, odezwał się z przekąsem do Żanety:

– *On vous croit être déjà reine de Pologne!*

– *C'est plutôt vous, Monseigneur, que l'on vous considère comme son roi* – odrzekła cicho Żaneta.

Konstancy zakrztusił się wybuchem śmiechu i przyjaźniej ku tłumom spojrział. Tłumy odpowiedziały jeszcze gorętszymi wiwatami.

Rumieńce wytrysnęły na twarzyczkę Grudzińskiej, wielkie a smutne jej oczy zmrużyły się, niby w upojeniu, kształna jej kibić poddała się ruchowi kabrioletu.

Jest żoną cesarzowicza, jest wielką księżną. Lud poddany a korny ku niej wyciąga ręce, ku niej wznosi serca. I nie zawiedzie się. Ona stać będzie na straży jego spraw, ona będzie mu szaf arką dobrodziejstw, ona będzie i jego duchem opiekuńczym, i puklerzem! Tak, wczoraj jeszcze drżała na myśl, że ta świetna partia skazuje ją na pożycie z człowiekiem podstarzałym, z człowiekiem, który jeno wówczas był jej miłym, nieodstręczającym, gdy salonowym obyczajem okiełzanym, granicami swego dostojeństwa skutym. Lecz dziś, lecz teraz te fale rozkołysane ludzkiego pogłowia rozwarły przed nią zasłony całych zaświatów, dźwignęły i uniosły ku promiennym celom. Teraz dopiero objawiła się Żanecie potęga dowodzeń biskupa Skarszewskiego, teraz zrozumiała doniosłość racji księdza Malesherbesa, teraz przekonała się, że i matka, choć po swojemu, ważyła sprawę, a przecież ku wielkim patrzyła zamysłem, że i Beauperek, jeżeli wyrazić nie umiał, to czuł, to zgadywał.

Prawda, prawda, te sny, które wykołysała, prysły, rozwiały się. Los skazał ją nie tylko na zawód miłosny, nie tylko zabrał tego, ku któremu rwało się jej serce, lecz dał jej za rywalkę

siostkę; podwoił męki, bo nie zezwolił, aby mogła bodaj nie patrzeć na utraconego, bodaj zamknąć oczy na jego szczęście z inną, bodaj nienawidzić tę, która jej go odebrała.

Gorzka dola, skrami bólu wiecznie tlejące popielisko to udręka niewygasła, to cierpienie, to męczeństwo.

Ponad melancholią bezbrzeżnej topieli, ponad niszczącej burzy żalosnym szlakiem zabłysła jutrzienka, już jej nie wskrzesić wyrwanych z korzeniami drzew, nie ocalić złamanych kłoci zbóż, nie wrócić zerwanego kwiecica łubinom. Ale i jutrzienka nie ku tym zamarłym szczątkom wschodzi – te muszą tak zostawać, może latami butwieć, próchnieć, rozsypywać się – jeno ku budzeniu nowego życia, ku nowych trawek hołubieniu, nowych roślin kwieceniu, nowych pni budowaniu. Tak i ona, Żaneta. Niczego nie chce dla siebie, a wszystko dla innych. Niech ona będzie jak ta brzoza skręcona wichurą, jak topola rozszczepiona gromem i niech patrzy, jak wokół znów aksamitem zieleni śmieją się niwy, jak sokami młode grają pędy; i niech tak będzie w bólu swoim zapoznana, nieodgadniona.

Wielki, stosowany kapelusz pochylił się raptownie ku Żanecie, oczy cesarzowicza błysnęły ponuro.

– Powariowali z tym wrzaskiem!

– Wedle sił radzi wyrazić...

– Radzi, radzi – przerwał cierpko wielki książę – a z tego do Petersburga pójda donosy, że się królem obwołałem. No tak, tak. Ciebie zagałuszą, mnie zagałuszą i ot rezultat.

– Jak to, Wasza Cesarzowiczowska Mość?

– Myślisz, że jak im będzie trzeba, to się będą namyślali? Nie znasz ich jeszcze.

Cesarzowicz zaciął konie z impetem. Kabriolet znów szybciej pomknął.

Żaneta, widząc poruszenie księcia, nie śmiała pytać, co właściwie znaczyły te obawy. Cesarzowicz zaś brwi nasunął i pochylił się ku koniom, i milczał.

Kabriolet tymczasem dopadł sztachet żelaznych, okalających szeroki dziedziniec przed pałacem Belwederskim.

Konstanty zdarł konie i ku bramie wjazdowej skierował. Kabriolet dźwignął się na mostek i już miał dziedzińcem ku podjazdowi pałacowemu się potoczyć, gdy oczy wielkiego księcia wpiły się w prezentującego broń sztyldwacha i spiorunowały go.

Sztyldwach zbladł. Cesarzowicz jednym targnięciem lejc osadził konie i jak kula ku żołnierzowi się stoczył.

– Jak trzymasz karabin! – wrzasnął chrapliwie Konstanty. Żołnierzowi w oczach pociemniało. Teraz dopiero postrzegł, że z wielkiego rozgorączkowania na widok książęcego kabrioletu, karabin skręcił mu się w rękę i flintpasem do oczu mu się odwrócił, a kurkiem na zewnątrz sterczał.

– Jeszcze tego się nie nauczyłeś! I w gwardii, szelmo, służysz! W ramię broń!

Żołnierz zadygotał, karabin, chciał w dwóch tempach na ramię zarzucić, lecz broń wyśliznęła się drżącym palcom i kolbą o ziemię uderzyła. Cesarzowicz posiniał, zatoczył się i kopnął nogą sztyldwacha w podolek. Żołnierz runął bez ducha.

Po tym zajściu Żaneta sama nie umiała zdać sobie sprawy, jak znalazła się w jasnoniebieskim buduarze pałacu, jak potem do sali wyszła, wsparta na rękę cesarzowicza, jak kamerjunker, książę Golicyn, zaprezentował jej kilkunastu oficerów i urzędników świty i dworu, i jak dalej przesunęła się jej przed oczyma cała gromada służby, i jak znów cesarzowicz powiódł Żanetę do buduaru.

Lecz tu już i Konstantego spokój podczas prezentacji zachowany opuścił, bo nie mogąc pohamować nurtujących go myśli, odezwał się głucho:

– Widziałeś, grenadier gwardii najprostszego nie potrafi! A wczoraj jeszcze Żymirskiemu mówiłem! Patrz, jak pilnuje pułku! Do stu diabłów, przepędzę! I to z kompanii Paszkowicza, a powiedz co takiemu, to ci się odmie i krzyż z legią honorową wypuczy! Ciury napoleońskie!

Konstanty pięście zacisnął, ręce ku sobie zaokrąglił i mierzył wzdłuż i wszerz buduar. Żaneta do okna podeszła, jakby tchu pragnęła zaczerpać, wiewu ożywczego szukać.

Cesarzewicz pomstował na nieuctwo oficerów, na bezwład w wojsku.

Wzrok Żanety podczas błędził po szerokim, a blaskami słońca majowego zalany dziedzińcu pałacowym, aż padł ku miejscu, kędy pod bramą wjazdową, u stóp białoczerwonego „szulerhauzu”, leżało bez ruchu ciało nieszczęśliwego wartownika, którego nikt ani złuzować nie śmiał, ani tknąć potępieńca, gniewem cesarzewicza porażonego.

Żanecie na ten widok krew uderzyła do głowy.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość...

Konstanty ujął rękę żony.

– Wybacz, Żanetko, tobie nic do tego! Gałgany nawet dla tej radosnej chwili nie mają poszanowania. Uniosłem się. Nie nazywaj mnie „mością”. Tyś moja przecież, jedyna, ukochana!

– Lecz ten człowiek... tam...

Konstanty spojrzął w stronę „szulerhauzu”, mruknął coś pod nosem i wybiegł z buduaru.

Zanim Żaneta myśli zebrała, już przed oczyma jej dziedzińiec pałacowy zaroił się od mundurów spieszących ku leżącemu żołnierzowi, a głos Konstantego rozległ się tuż:

– No nic, nic mu nie jest. Wypocznie sobie, podje i będzie zdrow jak ryba. Posłałem mu na wszelki wypadek sztablekarza. Nicpoń się wynygusuje do jutra i będzie się śmiał w kułak, ho ho! Moja Żanetko, ty jeszcze nie wiesz, co to znaczy grenadier gwardii! Wytrzymałość nie do wiary! Osiemnaście stopni mrozu, a on sobie w mundurku parady. Zuch w zucha! Cesarz ma w Petersburgu rozmaitych, z całej Rosji zbieranych, ale gdzie im do tych! Takich drugich na świecie nie ma!

Cesarzewicz wpadł w świetny humor.

– Żebyś była widziała dziś pierwszy batalion czwartego pułku na paradzie! Powiadam ci, Żanetko, niesłychany! Komenderuj, jak chcesz, na włos nie chybi. Czekał, muszę ci ich pokazać! Oficerów nawet nie potrzebują, lada piechur na dowództwie kompanii się zna. A dopiero taki Łukasiński!

– Łukasiński!

– Prawda, że bywał u was, lecz cóż stąd; trzeba, żebyś go na mustrze zobaczyła. Major, a pierwszy z konia gotów zsiąść, od żołnierza karabin wziąć i w szeregu stanąć. Łukasińskiego nie oddałbym za cały sztab cesarski! Żeby takich, jak Łukasiński, bodaj po jednym na pułk mieć! Ba, i materiał jest, dobry materiał, nie może być lepszego. Ale cóż, poruczniczyna żółtodziób, a już mu chodzi po głowie „polska ojczyzna”, „polska niepodległość” i „polska konstytucja”.

Żaneta zapłoniła się z lekka, Konstanty roześmiał się serdecznie.

– Ot, znalazłem sobie temat do poślubnej rozmowy! Ot, ci dopiero gruchanie, ot, pan młody!

Cesarzewicz przysiadł się do Żanety, wpół objął i wycisnął na jej twarzyczce ognisty pocałunek.

– A ot, od czego powinienem był zacząć!

Pora obiadowa przerwała sam na sam Konstantego z Żaneta. Cesarzewicz podał rękę żonie i do wielkiej sali jadalnej ją poprowadził, kędy oczekiwało już kilkunastu generałów, zaproszonych do stołu wielkokiążęcego.

Żaneta próbowała dostroić się do nowego stanowiska, potrafiła nawet bardzo zręcznie odezwać się do hrabiego Nesselrode, który tytułując ją „wysokością”, zdołał ukuć na poczekaniu zgrabny komplement, gdy niespodziewanie spoza pleców generała Kuruty, wyjrzała ku niej pucołowata twarz małego chłopca, wystrojonego w jakiś kadecki uniform. Ta twarz o rysach dziwnie ostrych, dziwnie wydatnych, zdała się Żanecie tak znaną, tak nieobcą, że aż do mary podobną. Grudzińska zmieszała się nagle.

Cesarzewicz czy odgadł myśli Żanety, czy też obyczajowi chciał właśnie zadośćuczynić, bo skinął na chłopca i przedstawił go:

– Paweł Aleksandrow!

Ruda głowa małego Aleksandrowa pochyliła się z zaleknieniem do ręki Żanety, a równocześnie przed nią zgięła się w pałąk długa, chuda postać jegomości w czarnych okularach i granatowym fraku.

– A to Jawickij, jego guwerner! – objaśnił cesarzewicz, wskazując na chudego jegomości.

Żaneta ledwie zdążyła spojrzeć na Jawickiego, gdy Konstanty do stołu ją powiódł.

Obiad zaczął się ociężałe. Generalicja rosyjska, której, krom jednego Polaka, adiutanta Trębickiego, danym było uczestniczyć w obiedzie poślubnym, zachowywała służbową rezerwę i poprzestawała na skwapliwym przyznawaniu racji cesarzewiczowi. A że ten ostatni zrazu nie dość często się odzywał, więc co chwila niezgrabny, zaambarasowany brzęk noży i widelców był jedynym urozmaiceniem milczenia.

Żaneta ze swej strony była tak roztargniona, że ani nie zauważyła tej ociężałości, która ponad stołem biesiadnym się unosiła. Wzrok biegł wciąż w stronę szarego końca, gdzie obok Jawickiego widniała puciołowata twarz małego Aleksandrowa.

Daremnie Żaneta usiłowała wzrok od chłopca oderwać, daremnie usiłowała ku hrabiemu Nesselrode się odwrócić i rozmowę z nim wszcząć: Pawełek całą jej uwagę przykuwał.

Pod koniec obiadu, cesarzewicz ożywił się i dwa guziki munduru rozpiął. Na ten sygnał, znany dobrze gościom Konstantego, przy stole swobodniej zagadano. Pułkownik Trębicki strzelił dowcipem i Kurucie przymówił: wielki książę wybuchnął śmiechem. Knorring anegdotkę wyszeplenił, a Nesselrode z wartką galanterią zwrócił się do cesarzewicza z prośbą o zezwolenie wzniesienia zdrowia „jej cesarskiej wysokości”.

Konstanty pierwszy za kieliszek chwycił. Generalicja huknęła wiwatem, a w tejsze chwili w głębi ogrodu pałacowego zabrzmiała wojskowa fanfara.

Cesarzewicz na dźwięk fanfary rozochocił się.

– Co to? Kto to?

– Pułk ułanów waszej cesarzewiczowskiej mości ośmiela się małżonkę swego dostojnego szefa powitać! – odparł rażno generał Albrecht.

Konstanty klasnął w dłoń.

– Doskonale! Wybornie! Kuruta! Po rublu srebrnym na głowę, a oficerom szampańskiego! Kuruta dzwignął się, aby spełnić rozkaz.

– Czekaj że, i tym, co wartę trzymają, grenadierom! A tamci niech grają, niech grają precz! Kuruta wyszedł. Cesarzewicz wsłuchiwał się w dźwięki fanfary.

– Nieźle, hm, nieźle. Ale polscy lepiej potrafią. Trębicki, powiedzże bezstronnie, co?

– Tamci już rodzą się ułanami.

– Słyszysz, generale? – zwrócił się cesarzewicz do Albrechta. – Dobrze powiedziane, rodzą się na ułanów.

– W pułku ułanów gwardii mamy większość Polaków – bronił się niepewnie Albrecht.

– Jedna trąba orkiestrę zepsuje – odrzekł śmiało Trębicki.

– Uuhu! – zaśmiał się z zadowoleniem Konstanty. – To ci Trębicki na trąbie zatrąbił! Oo! Jedna trąba! A wszystko zmyli. A w polskich pułkach akurat tej jednej trąby brak!

Generał Albrecht chciał bronić swego pułku, lecz cesarzewicz ku nadchodzącemu Kurucie się odwrócił.

– No, przepraszam was, Kuruta! Siadajże, siadaj! I cóż, cóż, kontenci?

– Najpokorniej dziękują za dobroć.

– No, a jakże ten? – zagadnął po pauzie cesarzewicz. Kuruta spojrział pytająco na Konstantego; ten ostatni skrzywił się i rzucił słów kilka po grecku. Kuruta po grecku odpowiedział. Cesarzewicz zachmurzył się. Dźwięki obcego języka uderzyły Żanetę, bo mimo woli ku swemu małżonkowi pochyliła głowę.

Konstanty skrzywił się do uśmiechu.

– *C'est du grec ça! C'est vraiment du grec!*

Za czym najniespodziewaniej na nieuctwo medyków wpadł i zaczął całą sztukę w czambuł potępiać.

Zebrani starali się sekundować cesarzewiczowi, lecz ten tak gwałtownie nacierał, że najbardziej dworackim słów zabrakło.

Żaneta była znużona i tymi wywodami, i obcym otoczeniem, i honorami ciągłymi, i widokiem tej dziwnej twarzy małego Pawła. Z prawdziwą więc ulgą powitała chwilę zakończenia obiadu. A że nadto na progu gotowalni powitała ją wesołym dygiem Rózia, pokojówka, której cesarzewicz pozwolił ze swą dawną panną hrabianką pójść i do fraucymeru pałacowego się zaciągnąć, tedy Żaneta rozruszała się, ożywiła.

Bo też Rózia i z Zamku, z domu marszałkostwa dopiero co przybyła. A nie tylko, że dwie paki drobiazgow przywiozła, ale i pudło cukrów od Beauperka, i list od pani Brońcowej, i bukiet od Żaboklickiego. Grudzińska rzuciła okiem na list matki; na list, a raczej na kilka wierszy błogosławieństw i uścisków i całą litanię jakichś interesów i spraw, zaczynających się od słów „pamiętaj o Popowie”, i zagała do Rózi.

Rózia pociągnęła zgrabnym noskiem i jęła rozpowiadać tchem jednym, jak to pan marszałek się spłakał, jak pani marszałkowa nie wiedziała, komu wpierw wódki kolońskiej nieść, czy panu, marszałkowi, czy pani Gutakowskiej, jak potem pół Warszawy zjechało w gościnę dopytywać się o ślubie, i jak to dziwili się różni dwoistemu ślubowi, bo i w rosyjskiej, i w polskiej kaplicy; i jak to pan kawaler Żaboklicki chwalił wielkiego księcia delikatność, bo gdyby chciał, toby mógł tylko po rosyjsku ślub wziąć i byłby ważnym; i jak pan Molski zaraz takie śliczne wiersze ułożył, że nawet Błażej, lokaj, zbeczał się jak bóbr, i że tam jeszcze i teraz pewnie zdrowie królowej piją. Żaneta poruszyła się nerwowo. Rózia pospieszyła upewnić swą panią:

– Sprawiedliwie, pan Molski w głos wołał, że w kurytarzu było słyhać: „Mamy polską królowę!”

– Bajesz, moja Róziu, nie trzeba, abyś powtarzała.

– Jakże to, proszę panny hrabianki, a na cóż by się cesarzewicz żenił!

– Nie pleć, nie pleć. Zawołaj której służącej do pomocy i rozpakuj kufry.

– Et, albo to potrzeba. Tu wszystko jest! Nawet miejsca wolnego nie ma. W szufladach, szafach ani naparstka nie zmieści! Ho ho, ja już wszędzie zdążyłam zajrzeć. Śliczności tyle, że ha!

Żaneta zdziwiła się tym oświadczeniem i wiedzioną ciekawością, zabrała się do oglądania swego apartamentu.

Apartament Grudzińskiej, choć urządzony wykwintnie i bogato, nie miał w sobie nic z tego, co by imponowało przepychem. Apartament ten poniekąd raził na pierwszy rzut oka niewymyślnością czworokątnych pokoików, a urządzeniem swoim przypominał mieszkanie zamężnej mieszczki, która na nowo się zainstalowała, a wszystko wprost od dobrego kupca w przednim gatunku zakupiła. Lecz apartament ten był tak subtelnie zaopatrzoną w każdy drobiazg, mogący bądź widokiem swym oko rozerwać, bądź wygody, wykwintu czy zadowolenia przyczynić, że zaiste nie lada trzeba byłoby geniuszu, aby brak czegoś postrzec, aby miejsca dla ferfurki jeszcze jednej znaleźć na biurkach i sekretarkach, aby kawałek ściany na zawieszenie kopersztychu wyszukać, aby na niedostatek flakona na gotowalni, wazonika na stoliku, a bodaj puzderka się poskarżyć.

A dopieroż kiedy Rózia do otwierania szaf, szafek, szuflad i szufladek się zabrała, to już Grudzińska, choć ze zbytkiem oswojona, nie mogła powstrzymać się od wykrzykników. Boć od batystów i pajęczych koronek, od sukien srebrnych, tkanych do gronostajów i soboli, od szyldkretu do złota i drogich kamieni, tyle było kobiecego dobytku, że ani go zliczyć, ani ogarnąć, ani przez dziesiątki lat zużyć.

Rózia precz otwierała zamki, a wybuchała zachwytemi. Żaneta już zmęczyła się i patrzeniem, i oglądaniem.

– Jezu! Jezu! Oo, proszę panny hrabianki, ile tego aksamitu gwiaździstego! Jak życie moje nie widziałam! Jej jej!

– Pozamykaj szuflady, cesarzewicz może nadejść, a tu nieład!

– Nie nadejdzie, proszę panny hrabianki, bo po obiedzie to się układnie i śpi. Powiadała ta chuda Moskalka, co za bieliźniarkę jest, a której mąż jest przy koniach. Czasem to i do wieczora przeleży.

Żaneta mimo woli uśmiechnęła się na to zapewnienie spoufalonej sługi.

– Moja Róziu, tylko pamiętaj że, co ci mówiłam. Nie wdawaj się w żadne rozprawy ze służbą pałacową, z tego wynikną niepotrzebne gawędy.

– Najgorszy podobno to ten Kochański, kamerdyner, wszystko donosi cesarzewiczowi.

Żaneta chciała zgromić Rózię za oczywiste plotkowanie, gdy naraz rozległ się jakby za ścianą cichy szczełk. Żaneta odwróciła się, o dwa kroki przed nią stał Konstanty.

Rózia na widok wielkiego księcia zakrzyknęła i przeżegnała się zabobonnie. Cesarzewicz obrzucił bystrym spojrzeniem wiotką postać panny służącej.

– Marsz stąd!

Rózia zafurkotała krochmalonymi spódniczkami i wymknęła się do garderoby. Żaneta ochłoneła z wrażenia.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość...

– Nie „mość”, nie „mość”.

– Wszedłeś tak cicho.

– A co, a co! Jeszcze ciszej potrafię. Nauczysz się i ty. Chciałaś wypocząć, przeszkodziłem ci?

– Broń Boże! Rozglądałam się po moim nowym gospodarstwie i tyle znalazłam dowodów pamięci, tyle czulej dobroci, że nie wiem, jak dziękować.

– Ot, ot, Żanetko! – przerwał dobrodusznie Konstanty. – Nie ma o czym mówić. Nie ma o czym. Wielką księżną jesteś, cesarzewiczową, co chcesz, możesz mieć. Pozwól oczko, niech ucałuję. Uch! Warte to więcej niż ten pałac. Ale trzeba, żebyś się po rosyjsku nauczyła. Jawickij może ci dawać lekcje. Wypada; kto wie, na co się to zdać może. Zresztą, dla Petersburga musisz to uczynić. Jawickij nauczy cię, ani się spostrzeżesz, byle trochę cierpliwości.

– Jawicki?

– Guwerner Pawła.

Żaneta chciała zapytać, kim był właściwie ów Paweł, lecz zbrakło jej odwagi, ile że cesarzewicz zmarszczył się i ją gorączkowo przechadzać się po pokoju.

– Znasz generałową Dąbrowską?

– Znam, bywałyśmy z matką w Winnogórze.

– Prawda, prawda i na pogrzebie byłyście! Was tam jeszcze było potrzeba! Ale nie w tym rzecz. Idzie o to, żebyś przy sposobności od siebie dała do zrozumienia generałowej, że mogłabyś ją poprzeć i wyrobić dla niej emeryturę. Tylko o mnie ani słowa, ja o niczym nie wiem. Dostanie zapomogę jednorazową na dzieci i czterdzieści tysięcy złotych rocznie. Pięćdziesiąt dostanie, ale niech poprosi, niech podanie złoży.

– Owszem, tylko nie wiem, o co właściwie chodzi.

– O porządek! O to, żeby plotek nie było na mieście. Już po szynkach rozprawiają, że wdowa po Dąbrowskim z własnego kawałka ziemi żyje. Dziś znów gadali! Pieniądze leżą dla niej, byle poprosiła. Namów ją do tego, a już resztę mnie zostaw.

Cesarzewicz przeszedł się gorączkowiej po pokoju i nim Żaneta zdołała wyrozumieć znaczenie tej nagłej misji, rzucił gwałtownie:

– Chcesz ze mną do szpitala Ujazdowskiego?

– Jeżeli mogę towarzyszyć...

– Więc pojedziemy, zaraz pojedziemy! Na nikim polegać, nikomu zawierzyć! Wiesz, ten grenadier dzisiaj... do szpitala go wzięli. Posłałem zaraz Kaczkowskiego, wrócił z głupią miłą! Trzy tygodnie, cztery tygodnie. No, osioł, głupiec po prostu! Cztery tygodnie! Chłop jak dąb, najtęższy grenadier pierwszej kompanii! Kazałem, żeby go Szwenckij, dywizyjny obejrzał. Ubierz się, jedźmy, jedźmy! Widzisz, Żanetko, szkoda mi dobrego żołnierza, no i... nie lubię takich historii.

Serce Żanety ścisnęło się i zwawiej zakołatało.

– Jedźmy, jam gotowa. Szlachetność...

– Szlachetność! Żanetko moja, a nie przesadzajże! No, głupstwo, głupstwo się stało, ale i on gamoń! Ja mu „na ramię broń” – a on bęc kolbą o ziemię. Nic, nic, jedziemy zaraz.

W pół godziny niespełna powóz, wiozący cesarzewicza z Żanetą, jak burza zajechał przed bramę Ujazdowskiego szpitala. Konstanty wyskoczył z powozu, podał rękę Żanecie i nie zważając na sprawiony popłoch, ruszył wprost na korytarze szpitalne.

Tu dopadł wielkiego księcia chirurg. Cesarzewicz kazał się wieść wprost do sali, kędy leżał niefortunny grenadier gwardii. Dwóch medyków opatrywało właśnie grenadiera.

Cesarzewicz podszedł szybko do chorego i skinąwszy dwoma palcami medykom, ozwał się łamaną polszczyzną:

– I cóże chiryj żołmirz zdrów?

– Nie tracimy nadziei – odrzekł starszy z medyków w mundurze lekarza dywizji gwardii.

Konstanty wpatrzył się ostro w medyka.

– Nadziei! A wy, panie Szwenckij, o nadziei mi nie mówcie, tylko co choryj! Nadzieja to dobra w waszej konstytucji.

– I tam, proszę Waszej Cesarzewiczowskiej Mości, gdzie ludzkie rachuby zawodzą, a jeno boże się ostają.

– Cóże mu jest? Cóże?

– Trzewia nadwyreżone, błona przerwana.

– Tie, tie, tie! Ot, znaleźli coś nowego, ot, myśleli i wymyślili! Choryj i choryj! A choremu wodka kieliszek dać i budzie zdrowyj!

Wielki książe ku leżącemu żołnierzowi się pochylił.

– I nic ci nie jest, nic nie jest. A co, a co?

Żołnierz poruszył wargami.

– Cha, cha! Przymówić się chcesz. Wstawaj, wstawaj! Dziesięć rubli dostaniesz i giefreitem budziesz! He, a co? Śmieją ci się oczy. Znam ja was, grenadierów! Dać mu wódki!

– Wasza Cesarzewiczowska Mość – ozwał się Szwencki – niepodobna.

—Co niepodobna? Grenadier gwardii! Wstawaj natychmiast.

Żołnierz dźwignął się całym ciałem, lecz zanim wpół się przegiął, jęknął z bólu i padł na poduszki bez ducha.

Szwencki ujął za puls chorego.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, jeszcze jedno takie poruszenie, a za życie nie ręczę.

Konstanty głowę zwiesił. Włosy mu się zjeżyły. Stał tak przez chwilę bez ruchu, aż odwrócił się ku Żanecie.

– Chodźmy!

W powozie Żaneta, aby przerwać milczenie, w którym trwał Konstanty, bąknęła coś o potrzebie ulegania zdaniu lekarzy, ale cesarzewicz nie dał jej dokończyć.

– Nie znasz Szwenckiego: no, to grabarz, puszczyk! Powiedział, więc go zmarnuje, zamoczy na śmierć i jeszcze mi uczony raport napisze.

– Zrobi niezawodnie wszystko, co w ludzkiej jest mocy.

– Kiedy nie wiesz, nie znasz Szwenckiego. On już powiedział, już go skazał na śmierć. Najlepszego grenadiera gwardii mi skazał. Ze Stumerem się zmówią i żołnierza mi zarzną! A gdzie takiego drugiego szukać?

Tu głos cesarzewicza zachrobotał żałością, a łza wielka, bólem brzemienna, zabłysła pod powieką naczelnego wodza.

VII

Gdy pani Brońcowa następnego dnia zajęła po południu przed pałac Belwederski, oparowała ją tak silne wzruszenie, że ledwie jej tchu starczyło, aby opowiedzieć się przystojnie do córki. Dopiero kiedy na drodze do apartamentów żony cesarzewicza ukazała się marszałkowej jasna, roześmiana twarz Rózi, pokojówki, matczyne serce również zabiło, a poczucie nowej godności natchnęło Brońcową pewnością siebie. Lecz gdy z kolei ujrzała nareszcie Żanetę na tle płowej komnatki, skuloną, bladą, z oczyma przygasłymi a podkrążonymi sinymi obwódkami, marszałkowa potrzebowała nie lada wysiłku, aby wykrztusić przygotowane przywitanie, aby nie zdradzić się z odczarowaniem, którym ją widok córki napełnił.

Wrażenie to wszakże przeistoczyło się wkrótce w pewnego rodzaju zdziwienie, ile że marszałkowa odwiedziny swe zaczęła od gruntownego zlustrowania apartamentu córki i całej książęcej oprawy. Stąd przygnębienie i oczywista apatia Żanety wydały się pani Brońcowej taką herezją, że aż odezwała się z intencją:

– Drogie dziecko, raduję się serdecznie widokiem tylu wspaniałości, ile że są mi one dowodem, jak głęboko jesteś miłowaną. Powinnaś się czuć bardzo szczęśliwą.

Żaneta nic nie odrzekła. Marszałkowa dodała po przestanku:

– Zamążpójście ma to do siebie, że na razie niejedną nam kobietom sprawia przykrość, że zbyt gwałtownie ze świata złudzeń rzuca nas ku prozie życia. Powoli jednak godzi nas z tym, co w pierwszym momencie mamy sobie za nieznośne. Im prędzej zaś zdołamy wziąć rozbrat ze złudzeniami, tym więcej sobie i drugim oszczędzamy przykrości.

– Pewnie.

– Rozumiem, rozumiem, drogie dziecko. Nowe otoczenie, nowi ludzie, zgoła odmienne stanowiska, ale nie poddawaj się rozterce. Jesteś wielką księżną, cesarzewicową, jej cesarzewiczowską mością, następczynią tronu, masz u stóp swoich miliony poddanych, masz królowanie, władanie – więc się hartuj, zmagaj, a słabości ducha nie dawaj przystępu. I pamiętaj, droga moja, że masz matkę, która zawsze gotowa stanąć przy tobie, wesprzeć cię radą, ukoić.

Marszałkowa, wzruszona własnymi słowami, rzuciła się w objęcia córki i obsypała ją pocałunkami, za czym usadowiła ją obok siebie, na kanapce i zagaiła:

– A teraz pomówmy o najpilniejszym. Więc jakże teraz z ogłoszeniem małżeństwa? Mówiłam ci przecież, że tak zostać nie może, Cesarzewicz poślubił cię, no, ale o tym urzędownie nikt nie wie! Beauperek powiada (i ma rację), że Konstanty powinien wydać manifest do narodu. Bez manifestu pozycja twoja jest niewyraźną, to jest nie uznaną dworsko. Musiał przecież mówić coś o tym?

– Czekamy na feldjegra z Petersburga.
– Żeby tylko nadjechał, bo nie ma co taić, że ludzie się śmieją po kątach z tego małżeństwa.

Żaneta poczerwieniała.

– Nie bierz tylko do serca, kochanie, źle się wyraziłam. Śmieją się z dziwacznego ślubu. Bo, powiedz sama. Przecież to sensu nie miało. Czterech generałów za świadków i nawet rodzonej matki do kaplicy nie wpuścić! Ale nie wymawiam; cesarzewicz oryginał i koniec. Teraz jednak sprawa wymaga manifestu! Kawaler Żaboklicki był u ministra Potockiego i nagabywał go w tym względzie. I wiesz, co powiedział minister? Że panna hrabianka Grudzińska wobec kościoła jest niezawodnie żoną cesarzewicza, lecz wobec ludzi nie przestała być hrabianką Grudzińską! Tak niby mówi statut rodziny cesarskiej. Bo nie dość, że cesarz zezwolił bratu ożenić się z tobą, trzeba jeszcze, żeby cię uznał. Inaczej będziesz po prostu niczym.

Żaneta uśmiechnęła się smutnie.

– Tylko nie lekceważ sobie tego; to ważne, niezmiernie ważne.
– Lecz cóż ja tu mogę?
– Możesz wiele i więcej teraz niż później. Powinnaś dać do zrozumienia, że stanowisko twoje musi być zdeklarowanym.
– Ależ czekamy właśnie na feldjegra!
– No tak, no tak, byle przybył, byle się gdzie nie zabałamucił. A swoją drogą, przy sposobności, napomknąć nie zawadzi.
– Widziała mama Józefinę? – zagadnęła Żaneta, chcąc zmienić przedmiot rozmowy.
– A jakże! Byli wczoraj oboje, zaraz na pierwszą wieść o ślubie! Wacław ma żal do nas, żeśmy przed nimi zachowali tajemnicę, kazał ci powinszowania złożyć. Juści zgadujesz, że oboje radzi byli jechać do ciebie zaraz z życzeniami, no, ale bez upoważnienia cesarzewicza Gutakowski; choć fligeladiutant króla jegomości, nie ma prawa; no i nawet nie wie, jak cię tytułować.

– Nie było listu od Antuanetki?

– Nie, lecz Beauperek napisał do niej kilka słów, bo właśnie z Poznania spodziewa się porylki, więc chce, żeby Antuanetka ją zabrała, wracając z panią generałową. Ale i wiesz, kto się zjawiał wczoraj? Major Łukasiński! Szuka najwidoczniej protekcji, nawet wypomina jakiegoś podoficera, skazanego na odwach. No, ale umiałam go zbyć. Tyle przecież własnych, bliższych mamy kłopotów na głowie! Różia oddała ci moją kartkę?

– Oddała.

– I załatwiłaś już co? Załatwiłaś?

– Nie, nic jeszcze. Na domiar nie wiem, gdzie się ta notatka zapodziała.

Marszałkowa jęła poprawiać nerwowo koronkowe mankiety u rękawów.

– Rzeczywiście fatalność. Nie mam co kryć przed tobą, droga Żanetko, nasze położenie jest bez wyjścia, cała nadzieja w tobie. Jedno słowo cesarzewicza może nas wyratować z kłopotów. Wystaw sobie, wczoraj musiałam posłać do zastawu mój szmaragdowy garnitur. Mieliśmy na wieczór pełny salon gości, a węgierskiego ani jednej butelki. Beauperek był w rozpacz, bo Fukier odmówił kredytu. Dopiero poczciwy Kubicki lichwiarza sprowadził, ale ten na samym rewersie nie poprzestał.

– Więc już tak dalece?

– Ano tak, droga Żanetko, jesteśmy zrujnowani. Ale się nie trap, toć drobiazg dla cesarzewicza; byle wiedział, od razu nas podźwignie. Dziś to już i jego obowiązek pamiętać o rodzinie żony.

– Niezawodnie, proszę mamy. Tylko jak mu powiedzieć, jak?

Marszałkowa roześmiała się pobłażliwie.

– Bez ogródek, kochane dziecko. „Rodzice mają turbacje pieniężne” albo: „Gdybyś mógł oszczędzić kłopotów moim rodzicom”, a najlepiej: „Poczytuję sobie za obowiązek zawiadomić cię o smutnym stanie majątkowym moich rodziców, ile że wiem, że każda moja troska jest i twoją”. Byle ten wstęp zrobić, reszta przyjdzie ci z łatwością, bo w rezultacie cesarzewiczowi wszystko jedno, czy wydać sto dukatów, czy sto tysięcy dukatów.

– Będę się starała, lecz proszę o kilka dni, może kilka tygodni.. Niech się oswoję z położeniem. Wielki książę jest drażliwym, gotów mnie posądzić o brak...

– Ależ Żanetko, co też ty mówisz! A to skąd? Przecież cesarzewicz, żeniąc się z tobą, z góry był przekonany, że mu jedno, i drugie wypadnie uczynić dla rodziny. Przesadzasz w delikatności. Żebyś miała sposobną chwilę, sama bym mu to powiedziała i sama bym najprościej w świecie, bez ceregieli wyłożyła. I nam teraz niejedno nie uchodzi. Mogli sobie Brońcowie tak i owak radzić dotąd, radziliby sobie niezawodnie i dłużej jeszcze, lecz i oni liczyć się muszą z tym, że należą poniekąd do cesarskiej rodziny! I oni muszą pamiętać o zachowaniu odpowiedniej godności! A to kosztuje, na to pensyjka marszałka nie wystarcza.

Marszałkowa zatrzęsła się z przerażenia: we drzwiach wiodących do buduaru ukazała się wykrzywiona szyderczo twarz wielkiego księcia.

– A, pani marszałkowa! A, pani Brońcowa, miło powitać!

Pani Brońcowa podniosła się do ukłonu, i siliła się na wyjąkanie pozdrowienia. Konstany skrzywił się jeszcze bardziej drwiąco, gdy naraz wzrok jego padł ku Żanecie, której twarzyczkę krwawe rozpały wypieki i cesarzewicz spoważniał, i nawet dość uprzejmie odklonił się marszałkowej.

– Niechże pani raczy spocząć – rzekł po francusku. – Siadaj, Żanetko, siadaj. Przerwałem, przeszkodziłem? No, to przepraszam!

– Cóż znowu, Wasza Cesarzewiczowska Mość – odpowiedziała pani Brońcowa, nie mogąc wciąż jeszcze przyjść do siebie.

– Wiem, wiem, pani marszałkowa ma zawsze tajemnice rozmaite, zawsze sekrety. Ale może tym razem i ja mógłbym do wtajemniczenia należeć?

– Zwykła pogawędka matki z córką.

Cesarzewicz odchrząknął znacząco.

– Zwykła, a czasem i niezwykła, lecz może mi pani marszałkowa co powie?

Brońcowa na to oczywiste wyznanie, chciała cały tłoczący ją ciężar kłopotów przedłożyć wielkiemu księciu, lecz zabrakło jej odwagi. Żaneta zaś ani widziała błagalnych spojrzeń matki, bo głowę pochyliła i zdawała się być zajęta strzępieniem rąbka batystowej chustki.

Konstanty wyczekał, a nie otrzymawszy odpowiedzi, ozwał się sucho:

– Kiedy pani nie chce mi powiedzieć, no to ja pani powiem. Śliczną pani ułożyła litanie dla Żanety.

– Ja? – zachłysnęła się własnym oddechem Brońcowa.

– No, tak: Popowo sprzedać pruskiemu rządowi, marszałkowi podwoić pensję, wyrobić order, zapłacić długi, ozłocić was, tytuł hrabiowski nadać i to wszystko na to, żebyście już odtąd nie tylko drzwiami, ale i oknami pieniądze wyrzucali!

– Wasza Cesarzewiczowska Mość nie zna...

– Znam, doskonale znam! Trwonicie, marnujecie, przejadacie, żyjecie z dnia na dzień, bez zastanowienia, bez pomiarkowania!

Marszałkowa podniosła się, jakby protestować chciała, lecz cesarzewiczowi plamy ceglaste już na czoło wystąpiły, a szpecinowate brwi zwarły się.

– A ja nic nie dam! Szeląga nie dam! Słyszysz pani? Wam się snią protekcje, wpływy, u mnie nie ma wpływów, nie ma orderów, nie ma tytułów, nie ma podszeptów! Ja sam wiem, co się komu należy!

Konstanty odwrócił się od marszałkowej i jął mierzyć pokój wielkimi krokami, roztrzając napotykaną na drodze krzesła, aż przystanął i zakończył z wybuchem:

– Masz pani moją odpowiedź!
– Wasza Cesarzewiczowska Mość – podjęła Żaneta cichym, współsennym głosem – nikt o nic nie prosił i da Bóg, nie poprosi.

Konstanty spojrzął na bezkrwistą twarz Żanety i zmieszał się.

– To jest, ja wolę od razu rzecz wyłożyć, żeby pani Brońcowa wiedziała raz na zawsze.

– Pani Brońcowa jest moją matką.

– Otóż właśnie, właśnie! Więc ja też szczerze, jak należy. Nie bierz, Żanetko, sprawy na opak, bo nie wiesz. Ot, wczoraj: dwadzieścia butelek wina po trzy dukaty, i dlatego po trzy, bo droższego nie było u Fukiera! I po co, i na co ? Żeby napleść toastów i mówek. I głupich toastów, i głupich mówek, bardzo głupich!

– Nie słyszałam ich, więc nie mogę sądzić – odrzekła Żaneta.

Konstanty wtulił szyję w kołnierz munduru, skłonił się marszałkowej i wyszedł szurgając ostrogami.

Pani Brońcowa łzami się zalała i jęła skarżyć się a żalić przed córką. Żaneta chciała pocieszać matkę, lecz słów jej brakło. Na domiar marszałkowa, wpadając z jednej ostateczności w drugą, zaczęła ubolewać nad Żaneta.

– O, jakaś ty biedna! Jakaś ty nieszczęśliwa!

A dalej cieszyć znów i krzepić:

– Byleś wytrwała, byleś umiała! W razie czego powinnaś żądać, stawić się śmiało, upominać się o należne ci prawa. My tymczasem jakoś damy sobie radę. Cesarz zjedzie, to się to musi zmienić. Sama do najjaśniejszego pana pójde. Zobaczysz, że on się wda i nie dopuści, nie zezwoli.

Marszałkowa długo rozwodziła się jeszcze, aż nowej nabrawszy otuchy, pożegnała czule Żanetę i odjechała.

Grudzińska, zostawszy samą, oparła czoło o szybę okienną i poglądała w dal dziedzińca, ku kratom ozłoconym, za którymi wił się spadzisto szeroki gościniec.

– Wasza Książęca Mość – ozwał się w pobliżu niepewny głos.

Żaneta obejrzała się. Tuż przed nią stała Karolina, druga pokojowa, pełna, czerstwa Niemka.

Karolina mówiła coś. Żaneta widziała poruszenie jej krwistych, mięsistych warg, słyszała wyrazy, rozumiała ich znaczenie, lecz na razie myśli uchwycić nie mogła.

– Przebrać... przebrać?

– Czy Wasza Książęca Mość raczy się przebrać? – powtórzyła po raz trzeci Karolina.

– Ach, tak, przebrać.

– Czy mam białą przygotować, czy niebieską?

Żaneta potarła czoło i odrzekła z wysiłkiem.

– Nie wiem, idź do Rózi, Rózia ci powie.

– Rózia, proszę Waszej Książęcej Mości, jest na pokucie – rzekła Niemka skwapliwie.

– Jak to, jak to?!

– Na dwa dni na chleb i wodę z rozkazu Jego Cesarzewiczowskiej Mości.

Żaneta ledwie własnym uszom wierzyła, bo co mógł mieć za związek rozkaz cesarzewicza z Rózia.

– Na chleb i wodę?

– Tak. Pasternikow ją zasadził w lochu.

– Ale skądże ona?

– Nie wiem, proszę Waszej Książęcej Mości, nie zna służby, taki rozkaz Jego Cesarzewiczowskiej Mości.

Żanetę wzburzenie ogarnęło. Nie namyślając się, rzuciła się ku drzwiom na korytarz, aby do Konstantego iść o pokojową się upomnieć. Lecz u podnóża schodów, wiodących na górę do apartamentu wielkiego księcia, tchu zabrakło Żanecie, więc zaparła się o poręcz i stała tak bezsilna, bezwładna.

Aż z głębi korytarza, od drzwi rozwartych na ścieżaj ku parkowi pałacowemu, spłynął ku Żanecie ożywczy wiew i pociągnął ją ku sobie. Żaneta wybiegła ku tarasowi i zapuściła się w najpierwszą a co najcienistą aleję.

Park belwederski lśnił w blaskach chylącego się ku zachodowi słońca całą krasą majowego przepychu. Grał przedziwnymi tonami zieleni, puchami ledwie co roztulonych listków dyszał; kobierce trawników podmuchami zefirów czesał, a chwiał dumnie koronami młodych pędów, jutrzejszych gałęzi zawiązkiem, przyszlých pni zaraniem.

Żaneta szła długo, klucząc na oślep, przebiegając ścieżki i wiszące mosty, szerokie perspektywy i zaciszne gąszcze. Wreszcie ustała i przypadła na półkolistej ławce, osłonionej żywopłotem strzyżonych krzewów.

Lecz tu sto myśli załomotało jej w skroniach, sto zapytań szarpnęło mózgiem i przebrzmiało bez echa. Przeżyła już jeden dzień, cały dzień. Co dalej jeszcze, co jutro? Miałaby ten szyldwach powalony być wróżbą? Toż więc jest tym, co matka zwie przejściem ze świata złudzeń do prozy życia? Więc każda kobieta musi przechodzić przez takie męki piekielne? Więc na toż wychowywano ją we wstydzie a skromności, aby ta była jeno nasyceniem i poniewierką mężowi? Żaneta twarz ukryła w dłoniach, jakby sromając się obrazu, który jej się ukazał.

– Na toż miłość jej zaprzysiągł, na toż poślubił, aby ją tarzać po ziemi, aby się nad nią paścić? Jest wielką księżną, cesarzewiczową. Czy dlatego, że ją wielki książę zbił rzemieniem i skopał, a potem wił się u jej nóg i na to, aby znów hańbić? Nie obiecywała sobie nieba, nie obiecywała, lecz roiała o życiu ofiarnym, cichym. Znała jej była gwałtowność charakteru Konstantego, lecz obcą jego podejrzliwość, nieufność, drobiazgowość, złośliwość. A przecież od dnia wczorajszego niczego jej nie oszczędził: ani upokorzenia, ani pomówienia o wyrachowanie, ani zarzutu, że jest Polką, ani zadawanej udręki, bo jeszcze musiał ją przekonać, że nawet nie wolno jej marzyć, aby bodaj rodzinę mogła podźwignąć. Matkę jej potraktował jak krnąbrnego żołnierza. Nie darował nawet słudze.

– Książd Malesherbes powiadał, ile dobrego przyczynić będzie mogła, zostając żoną cesarzewicza, ile ku chwale bożej pracować, ile wdzięcznych serc posiąść. A tu, na progu małżeństwa, nie może nawet za pokojową się wstawić, aby nowej nie wywoływać burzy. Ha, i przecież powiadają, że pierwsze miesiące poślubne są najpiękniejszymi w życiu, że dopiero później zaczyna się szarzyzna, zobojętnienie.

I Żaneta ręce splotła i zacisnęła kurczowo, i poglądała nieruchomie ku miejscu, gdzie poprzez zieleń krzewów przeświecał na wzgórzu biały, na kolumnach rozparty attyk pałacu Belwederskiego. Naraz ciemna plama zasłoniła Żanecie biel murów pałacowych. Żaneta mimo woli poruszyła się, aby plamę rozeznać, gdy o dwa kroki przed nią zarysowała się kształtna postać młodej jeszcze kobiety.

Grudzińska odwróciła z lekka głowę, aby ujść wzroku natrętnego nieznajomej. Lecz ta ostatnia zatrzymała się tuż przed Żanetą, wpatrzyła się w nią rozognionymi oczyma i do nóg jej padła.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, zlituj się nade mną! – jęknęła nieznajoma.

Żaneta porwała się na równe nogi.

– Pani! Co pani?

– Daj mi tak zostać przed tobą. Ty mnie wysłuchasz! Tyś dobra, tyś szlachetna!

– Ależ, niechże pani się podniesie! Proszę! Proszę! – nalegała Żaneta, którą widok slaniającej się u nóg kobiety przejął do głębi. – Niech pani siada, niech się pani uspokoi.

– Cała moja nadzieja w Waszej Cesarzewiczowskiej Mości. Wasza Cesarzewiczowska Mość, zmiłuj się, nie odpychaj mnie!

– Jeżeli tylko mogę, jeżeli czym mogę...

– Wasza Cesarzewiczowska Mość możesz wszystko!

Żaneta uśmiechnęła się gorzko.

– Czy się tylko nie mylisz? Lecz mów pani, słucham.

Ciemne, piwne oczy nieznajomej zabłysły wdzięcznością, chude jej palce porwały rękę Żanety i do ust poniosły.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, oddaj mi dziecko moje, syna mi oddaj!

– Ja?! Ależ pani, pohamuj wzruszenie, mów spokojnie! Odetchnij chwilę, wyczekaj – tak. Jeszcze, jeszcze.

Nieznajoma wytrzymała pokornie nakazaną pauzę, a gdy ją Żaneta zagadnęła, rzekła, tłumiąc drżenie głosu:

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, o prawo matki jeno kołaczę! Toć to mój syn, moje dziecko! Moje ukochane.

– Gdzie tedy jest, bo nic nie rozumiem, o co pani chodzi.

– Gdzie jest? – powtórzyła przeciągle nieznajoma. – U niego, u cesarzewicza, w pałacu.

– Pani syn, pani dziecko?

– Tak, tak! Wasza Cesarzewiczowska Mość musiała go pewnie widzieć. Jestem od dwóch miesięcy żoną pułkownika Weissa.

– Weiss? Pułkownik Weiss?

– Do niedawna baronowa Fryderychs.

Żanecie przyszło na myśl, że ma przed sobą obłąkaną. Lecz pułkownikowa odgadła inaczej znaczenie niespokojnego odruchu Żanety.

– Przysięgam Waszej Cesarzewiczowskiej Mości, że jedynie o dziecko mi idzie. Niech mi oddadzą Pawła, a odejdę, odjadę, zginę!

– Pawła?

– Pawła Aleksandrowa. Ja wiem, że jemu tam niczego nie braknie, że cesarzewicz łaskaw, że może u cesarzewicza świetniejsza czeka go przyszłość, lecz cóż, będzie zawsze tylko przybłądą, zawsze sierotą, znajdą. A przecież i mnie się coś z praw matki należy. Zresztą i po co Paweł ma świecić swoją obecnością w pałacu, czy nie lepiej, aby odszedł razem ze mną, razem z matką?

Żanetę opanował nagły niepokój.

– Więc Paweł jest synem pani... i czym?

– I jego – szepnęła pułkownikowa.

– Byłaś pani jego...?

– Dwanaście lat.

Żaneta poruszyła zbielełymi wargami, lecz cisnącego się jej do ust nowego pytania zadać nie zdołała.

Pułkownikowa wystraszyła się.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, klnę się, że nie mam żadnych pretensji. Wypędził mnie, zmusił do poślubienia obcego mi dotąd człeka. Niech tak, byle mi syna nie zabierał, nie pozbawiał jedyne kochania! Ja tu od rana samego czaję się, aby do Waszej Cesarzewiczowskiej Mości dotrzeć. W tobie moja cała nadzieja, jedyna nadzieja.

Weissowa znów do nóg Żanety przypadła.

– Błogosławić cię będę, modlić się, nie opuszczaj mnie, nie odtrącaj!

Serce żywiej zabiło w piersi Żanety.

I wyciągnęła ręce do pułkownikowej, aby ją podnieść, przyrzeczeniem uradować, gdy wtem wszystka krew skrzepła w żyłach Żanety.

Ponad żywopłotem ukazała się ruda głowa Konstantego. Cesarzewicz, jak burza wpadł między kobiety, porwał za ramiona pułkownikową i odtrącił ku nadbiegającemu drabowi pałacowemu.

Żanecie w oczach pociemniało. Słyszała jeszcze chrapliwy, wściekły, dyszący głos cesarzewicza, słyszała płacz i krzyki Weissowej, i jej szamotanie się, i tupot bezładny nóg ludzkich, i gwałtowne rozkazy, i błagalne jęki, i groźby, i przekleństwa – aż wokół Żanety wszystko umilkło, wszystko zlało się w bezbrzeżną ciemność.

Zemdlała.

VIII

Wieczór zapadał pogodny, majowy, wiosną tchnący, śpiewem słowików rozegrany.

Warszawa brzmiała ochotą, gwarzyła zapamiętałe na wysepkach zieleni swych ogrodów, ku wolnym przestrzeniom słała tłumy ludu, huczała zgiełkiem na „Wiejskiej Kawie”, ku Marymontowi i „Kaskadzie” sznurami pojazdów ciągnęła, a wszystkimi otworami swych murów chłoneła ożywcze oddechy.

Takie bo już Warszawy prawo, że niech jeno maj wzejdzie, słońce szczerzej spojrzy, a pierwiosnki zbudzi – Warszawa już pulsuje, już wre, już hardziej w przyszłość pogląda, już tężej łomocze.

Stare to prawo, lecz mocne i Warszawie święte, bo wciąż jeszcze tym samym weselem narodu, zaprzysięgającego sobie konstytucję, dumne, bo wciąż jeszcze potęgą braterskiej równości płynące, bo wciąż promiennne, wzywane, śnione.

Ale prawa tego ani myślał uznać pałac Belwederski. Nic mu snadź było do tęsknic Warszawy, do wiosny, do maja. Nic mu było do tego morza zieleni, śród której się rozpierał, nic do srebrnej wstęgi Wisły, na którą ze stromego wzgórza swego patrzy, nic do tych szerokich płaszczyn, zlewających się hen, poza Wisłą, z siną pręgą widnokregu.

W pałacu Belwederskim inne królowały statuty, inne *pacta conventa*, inne w pałacu tym panowało słońce.

A że to słońce Belwederskiego pałacu chmurami się okryło od rana, i to chmurami gromonośnymi, tedy nic dziwnego, że pałac śmiertelną spowił się głuszą, że nawet w izbach służebnych i antykamerach zabrakło poszeptów.

Cesarzewicz już od rana nie był w humorze, już od rana golibroda Makrot hiobowe stawił wróżby; już na paradzie cudem skończyło się na skazaniu dwóch poruczników na odwach.

A potem fatalność chciała, że nieświadoma obyczajów belwederskich, pokojowa rozżarzyła skrę gniewu, który już zdawał się gasnąć. A potem w głębi parku stało się coś, o czym nawet tak gadatliwy adiutant, jak Bezobrazow, pisać się nie ważył.

Pałac Belwederski milczał, a czuwał, a nadśluchiwał, a baczył, aby najlżejszym szelestem nie przerwać ciszy, nie wywołać pioruna księżęcego.

Piorun zaś ten musiał być tuż w pobliżu, boć i człek tak ostrzelany, jak generał Kuruta, wysunął się na palcach do swych pokojów na pięterku i miał zabrać się do ulubionej pogawędki z ziomkiem, Grekiem, którego na łaskawym chlebie miał, a któremu od czterech lat co dnia rozpowiadał, jak to cesarzewicz Konstanty przez carową Katarzynę na greckiego cesarza był wychowań i jak to byłby nim został, gdyby nie to, że carowa nie zdążyła odebrać Turkom

Konstantynopola – nad papierami zasiadł i zatopił się w raportach wojskowych. Toć i Gendre czmychnął do miasta kalkulując, że lepiej szczęścia przy zielonym stoliku patrzeć, niż ryzykować się na spotkanie z cesarzewiczem. Toć i Fanshawe, choć dopiero co ze spełnionymi rozkazami powrócił, nie ważył się zameldować do wielkiego księcia i siedział w przedsionku, dzieląc losy dwóch adiutantów służbowych.

A dopieroż co działo się z nieszczęsnym dowódcą warty? Ten od południa snuł się jak cień od szyldwacha do szyldwacha, od żołnierza do żołnierza, a opatrywał ich, a obciągał kurtki, a liczył, czy przypadkiem guzika nie braknie któremu przy czehczerach, poprawiał kordony u czap, podpinki naciągał, równał pięty, strzepywał niedostrzegalne ślady pyłu, baczył, aby patrontasze jednakowo zwisały i tak bez wytchnienia, bez spoczynku, od pierwszego do ostatniego chodził. A gdy zlustrował wszystkich, to znów do pierwszego zwracał, a wzdychał, byle do capstrzyku się udało, byle do capstrzyku.

Lecz nie tylko dowódca warty pałacowej capstrzyku wyglądał, bo gdy nareszcie dobosz na odwachu belwederskim zatarabanił, a echa parkowe odpowiedziały mu dźwiękami kawaleryjskich trąbek od koszar łaźniowych, to cały pałac, jakby odetchnął swobodniej, jakby ulgi zaznał.

Zawodną atoli była ta ulga, bo nim poszept radosny „śpi” rozpląnął się w korytarzach i zakamarkach pałacowych, już odpowiedziała mu przestroga „nie śpi”. A w ślad za tym ostrzeżeniem posypały się znane jeno pałacowi Belwederskiemu objaśnienia: „chodzi”, „psa skatował”, „żaby ogląda”.

I pałac Belwederski przycisnął się znów, uszy stulił, mrugał dalej niespokojnymi światłkami, a czekał, iżali kamerdyner Kochański cesarzewiczowskiego odzienia lokajom do czyszczenia nie wyniesie. Ale już to jakieś licho uwzięło się tego wieczora na pałac, bo w chwili gdy nareszcie ukazał się Kochański, na dziedziniec wpadł jeździec na spienionym koniu.

I to jeździec hardy a butny, bo wprost do głównego wejścia, pod kolumny zawrócił, z konia zsiadł i zarzuciwszy mu cugle na kark, ruszył do podsieni, brzęcząc śmiało ostrogami, pałaszem dzwoniąc, złotą blachą na czapie łyskając, a kolczykiem srebrnym dygocząc.

Dwóch hajduków wysunęło się z antykamery naprzeciw przybyłemu, lecz ten ledwie im skinąć raczył, lewą rękę na głowni pałasza wsparł, prawą ku zawieszanej na piersiach torbie podniósł i ozwał się dumnie:

– Feldjeger jego cesarskiej mości!

– Feldjeger! – powtórzyli kornie hajducy.

– Feldjeger! – podchwyciło echo korytarzów i porwało służbowych adiutantów na równe nogi, zakołatało do drzwi wielkiego księcia i zmieszało się ze szczekaniem buldogów.

– Co tam? Czego tam?

– Feldjeger!

Ciężka zasuwa zgrzytnęła.

– Kochański! Zapal świece. Podaj mi szlafrok! Precz psy! Wołaj feldjegra! Wołaj!

Cesarzewicz omotał się białym, bawełnianym szlafrokiem, kopnął łaszącego się psa i ku drzwiom się zwrócił, kędy już rysowała się barczysta sylwetka cesarskiego posłańca.

– Feldjeger! Feldjeger!

Posłaniec ryknął jednym tchem pozdrowienie, na kolano przypadł, do torby sięgnął, dobył z niej zapieczętowaną kopertę i Konstantemu podał.

Cesarzewicz odebrał kopertę, na drzwi feldjelowi wskazał i spojrzawszy na pieczęcie, odrzucił kopertę na stół pod świecznik, jakby chcąc odczytanie papierów opóźnić, jakby obawiając się ich tknąć.

Wreszcie otrząsnął się, zygżakiem krzyża pierś naznaczył, porwał za kopertę i pieczęcie rozerwał. Za czym rozłożył papiery i do oczu je podniósł. Ale papiery widocznie trudne do odczytania zawierały pisanie, bo Konstanty wpatrywał się w nie długo, wodził wzrokiem po szeregach liter, targał kartkami, od tytułu do podpisu sięgał i znów od początku zaczynał.

A twarz wielkiego księcia mieniła się, to osłupieniem unieruchomiła ścięga, to niepewnością ćmiła źrenice, to krwawymi plamami wypukłe znaczyła czoło, to woszczyła mu nawet czerwień warg. Naraz nozdrza cesarzewicza gwałtownie się rozwarły, spazmatycznym sapaniem wybuchnęły i zacharkotały w zdławionej krtani. Konstanty zatoczył się, papiery z rąk mu wypadły. Zdało się, że cesarzewicz runie, iż padnie pod gniotem szarpiących go uczuć, że się własnym oddechem zadusi, lecz o ścianę się zaparł, kiście rąk na własnej piersi zacisnął, jakby je kawałami rwać chciał.

Aż targnął się z całej mocy, ku wielkiemu portretowi cesarza Pawła skoczył, nacisnął w rogu ramy sprężynę, otwarł ukryte poza portretem drzwi i zbiegł krętymi schodami do sypialni Żanety.

Ale tu sił snadź zabrakło wielkiemu księciu, bo ledwie rozeznawszy w półświatle migocącej pod obrazem lampki białą postać Żanety, skulonej w fotelu, zachwiał się i z głuchym skowykiem przypadł jej do nóg.

Żaneta uległa się.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość! Wasza Cesarzewiczowska Mość!

Konstanty wybuchnął łkaniem.

– Co wam? Co wam? Wasza Cesarzewiczowska Mość! – szepnęła Żaneta, ujmując łagodnie tulącą się do jej kolan głowę cesarzewicza. – Nie dawajcie się żalowi, toć nie przystoi Wam, zważcie na swą godność!

– Godność, moją godność! – podjął ze łkaniem Konstanty. – Ty mi przynajmniej o niej nie mów! Jestem niczym! Poddanym, tylko poddanym cesarza! Tylko jego pacholkiem, którego on może jutro w dyby zakuć.

– Toć brat Wasz, rodzony brat!

Wielkiego księcia napadł śmiech, dziki, łzami bulgoczący.

– Cha cha, brat! Brat! A wiesz ty, co mi ten brat uczynił dzisiaj?! Cha cha, a ty mi o jego braterstwie mówisz! Ale ty nie wiesz! I ja sam byłem ślepy, byłem głupi, po milion razy głupi! Wierzyłem mu, ufałem, jak pies służyłem wiernie i patrz: kopnął mnie, sponiewierał, nie zawahał się nawet praw przez ojca ustanowionych zgwałcić, byle mnie dosięgnąć w tym, co umiłowalem, co ukochałem! I dlaczego? I za co?!

– Wszak powiadaliście sami, że cesarz...

– Powiadałem! Bom się łudził, bo mnie zaczarował, bom dziś dopiero przejrzał! Feldjegra mi przysłał i wiesz z czym? Z manifestem! Z manifestem, wydanym w tym samym dniu, co i manifest o moim rozwodzie z Koburską! Rozumiesz?! Lecz ten drugi nadesłał mi dziś dopiero, więc wówczas gdy już byłem bezsilny, bezbronny!

Cesarzewicz stęknął i ciągnął głucho:

– Manifest powiada, żeś ty, Żaneto, jest nierównego stanu, że ani ty, ani potomstwo nasze, nie posiada praw rodziny cesarskiej! Jesteś więc niczym, w drodze łaski otrzymasz tytuł księżny łowickiej, będziesz tylko pospolitą jaśnie oświeconą. Nie masz dla ciebie i tyle honoru, co dla bękarta babki Katarzyny, co dla pierwszego lepszego jej kochanka!

– Jeżeli z mego powodu Wasza Cesarzewiczowska Mość...

– Żaneto, Żaneto – przerwał gorączkowo Konstanty – nie ogarniasz sprawy! Przecież za cenę pozwolenia na małżeństwo z tobą matka wydarła mi zrzeczenie się tronu, cesarz kazał mi to sobie zaprzysiąc. Zaprzysięgłem mu, żądając jedynie, aby i Litwę moim pozostawił rządowi i aby ciebie uznał, abys była mi równą. Tego jedynie pragnąłem, o to błagałem, bo to miałem za warunek szczęścia! Przez wywyższenie cię roilem sobie, że nagrodzę ci to, czego idąc za mnie się wyrzekłaś! Nie przecz, znam siebie.

I patrz, miast ci rzucić dziś pod nogi wielkoksiążęcy tytuł, miast cię dźwignąć tam, żeby ku tobie nikt spojrzeć nie śmiał – nie zdolen jestem nawet dać ci tego, co byłby ci dał najpospolitszy szlachcic polski, bo imienia, bo nazwiska!

– Wyznałeś mnie przed Bogiem, to mi wystarcza.

– Wystarcza ci, ale mnie, mnie tego nie dość! Przeczenie nie zawiodło mnie! Aleksander przyrzekł na wigilię naszego ślubu nadesłać reskrypt o tobie – i oszukał, i skłamał! Nie mówiłem ci, a wczoraj krew się we mnie burzyła, miotała mną wściekłość! Obeszli się ze mną, jak z kazańskim gubernatorem, jak z pacholkiem! I kto? Kto? Ten sam Aleksander, który mnie, słyszysz, mnie zawdzięcza, że w koronie chodzi, i też matka, której ja, ja życie ocaliłem!

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, toć matka...

Konstanty dźwignął się.

– Trzeba żebyś wiedziała, trzeba żebyś znała. Car Paweł srogim ojcem był, ale dobrym ojcem, uczciwym. Babka Katarzyna dała mu życie, lecz zabiła mu tego, którego Paweł ojcem miał prawo nazywać. A dalej, zagarnęła mu koronę i trzymała z dala od władzy i dworu. Katarzyna panowała, kochankowie kradli i rządzą Rosją. Ojciec mój widział to, potępiał, lecz choć do pełnoletności doszedł, ruszyć się nie mógł, bo własna matka groziła mu śmiercią. A gdy ojciec nas już miał, to babka nas mu odebrała i przy sobie nas trzymała. Dobra była dla nas, lecz nie lubiłem tej baby cuchnącej. Aleksander był oczkiem w głowie u Katarzyny, i takim, że gdy mój ojciec Zubowa, kochanka sześćdziesięcioletniej staruchy, potraktował należycie, a od siebie przepędził – Katarzyna mego ojca chciała od tronu, usunąć i koronę Aleksandrowi dać. To się już układało, gdy babka zmarła. Ojciec darował Aleksandrowi i rządził, serdecznie rządził. A potem partia starych faworytów Katarzyny się zebrała i nie tylko Aleksandra, ale i matkę moją pociągnęła. Spisek wykryto, car-ojciec wpadł w gniew. Matka z Aleksandrem padli mu do nóg, ale odtrącił; mieli zginąć. Wówczas ja do ojca poszedłem i zakląłem go. Car dobry był. Chciał mnie bić, a rozplakał się i powiedział: „Niech nie będzie krwi synowskiej na mym ręku!” Dobry był.

– Straszne dzieje powiadacie.

– Ale dzieje! – mruknął cesarzewicz i odetchnąwszy zaczął znów gorączkowo. – Więc mnie, mnie winien, że żyje, że panuje, ja go uratowałem, ja ocaliłem! I nie tylko! Potem gdy cara-ojca zamordowali spiskowi, a nikczemne oszczerstwo pomówiło Aleksandra i matkę o zezwolenie na mord, wówczas ja pierwszy stanąłem przy Aleksandrze, ja pierwszy! A przecież mogłem być uczynić inaczej! Znasz senatora Ilińskiego, wiesz, z czym on do mnie przybiegł? Bym koronę wziął, bym się carem ogłosił, bym za oszczercami poszedł. Ba, Iliński namawiał mnie z serca, bo kochał ojca-cara, a wierzył słuchom. Lecz ja zakląłem Ilińskiego, by zaniechał tworzenia partii, a sam do Aleksandra poszedłem i powiedziałem mu prawdę. Tak, żeby istotnie Aleksander rękę do mordu ojca przyłożył, ha, toż chyba po moim trupie na tronie by zasiadł, lecz że on i matka nie zawinili niczym, sromałem się. I rzetelnie służyłem Aleksandrowi i nigdy mu się nie buntowałem. Cóż, on gładszy, on mędrszy ode mnie, on na cara stworzony. A ja cóż? Myślisz, że gdy zażądał, abym następstwa tronu, rosyjskiego się wyrzekł, że się drożyłem, że się targowałem lub darłem do zaszczytu dźwigania czapki Monomacha, do panowania zbójom rosyjskim? Do politykowania z tymi, którzy zamordowali mi ojca i dziada? Przenigdy! Gdyby mi był cesarz nadesłał dzisiaj wstęgę Katarzyny dla ciebie, jako dla żony brata, jako dla wielkiej księżny, tożbym był suto wynagrodzonym, tożbym do końca życia ani się poskarżył, ani zrzeczenia tronu, pożałował! Lecz teraz ja z nim zagram, ja mu pokażę, iż potrafię być wężem. Ja go przekonam, że każde prawo, ustanowione przez cesarza Aleksandra, potrafi zwalić cesarz Konstanty!

– Wasza Cesarzewiczowska Mość...

– Nie tytułujże mnie!

– O jedno błagam, abym nie stała się sprawczynią waśni rodzinnej.

– Alboż tu idzie o ciebie, Żaneto?! Tak, mnie, mnie jednemu, lecz nie tym, lecz nie tam-tym! Aby mnie dosięgać, odmawiają praw tobie!

– Lecz toć bracia wasi, matka!

– Najpierw i tylko tron.

– Lękam się waszych zamysłów, waszych planów, bo nuż dowiedzą się, nuż je odgadną.

Konstanty zadrżał, obejrzał się wokół trwożnie i chwycił Żanetę za rękę.

– Słuchaj, ani się waż wspomnieć o tym, co ci mówiłem; myśleć o tym się strzeż! Inaczej zginiemy! Pamiętaj, że ściany mają uszy, że cesarz ma swoich szpiegów, swoich zauszników. Zadławia nas, nawet westchnąć nie dadzą. Nikomu nie ufaj, nikomu! A już Moskali jak ognia unikaj. Nowosilcowa się strzeż, to szpieg cesarski. Wszystko donosi. I Polakom nie wierz. Aleksandrowi się wdzięczą, Aleksandrowi przymilają, żadnej sposobności nie opuszczają, byle mi rogi pokazać. Ty się z tej polskości waszej lecz, lecz, kuruj. Aleksander rozpowiada im bajki, a ja jeden wiem, czego chce, do czego dąży. On dziś bawi się z wami w konstytucję, a jutro zagra bez konstytucji. Na Polaków trzeba żelaznej pięści, bo bez pięści licho ich porwie. I ja tę pięść mam, i ja im pięści nie pożałuję, bo ja im dobrego życzę, bo ja ich batami do dobrego zapędzę, jak dobrowolnie nie pójda! Im świtają po głowach jakobiństwa, rewolucje, wolności, ho ho! Ale ja ich oduczę tych błżeństw! Bo ja z nimi szczerze chcę, uczciwie chcę!

– Łagodnością, dobrocią można więcej...

– Tie, tie, tie! No, Żanetko, Żanetko, ot konceptem ruszyłaś, ot, sposób znalazłaś! Jeno mi się do tego nie mieszaj. Wiem, jak trzeba! Nie twój kłopot, nie twój! Twoja rzecz być moim skarbem, moim kochaniem i moim szczęściem.

Żaneta pochyliła głowę, długie, jedwabiste jej rzęsy zaperliły się łzami.

Konstanty przytulił swą rozpaloną twarz do rąk Żanety.

– Daruj mi, nie miej żalu: nie władałem sobą! Lecz ani chciałem sprawić ci przykrość, ani chciałem cię zasmucić. Tyś dobra, tyś czysta w każdym tchnieniu! Gdybym miał ciebie dawniej, byłbym innym, byłbym lepszym. Masz jaką troskę? Uczynię wszystko, wszystko, byle cię uradować, byle cię przekonać, że cię miłuję, że pragnienie twoje każde jest mi drogim, jest mi rozkazem.

Tu głos wielkiego księcia zadźwięczał naraz tak serdecznie, tak łagodnie, że zimne ręce Żanety ciepłem spływały, że twarzyczka jej ku cesarzewiczowi się pochyliła.

– Dla siebie o nic nie proszę, dla siebie o nic, mam nadto niż trzeba.

– Chciałabyś dla kogo?

– Tak.

– Słucham cię, jestem gotów!

– Wróć syna pani Weiss.

Konstanty rzucił się, jakby go zmija ukąsiła.

– Co? Co?! Zwrócić syna? Oddać Pawła? No to głupie, głupie! Chyba zdaje ci się jeszcze, żeś jest wciąż panną Grudzińską, a mnie bierzesz za mego własnego adiutanta! Oddać syna Weissowej! A wiesz, co znaczy racja stanu? A wiesz, że gdybym go Weissowej oddał, to Paweł może i dnia by nie przeżył? Że właśnie ocala mu życie to, iż wychowuje się na poddanego, iż nikt nie waży się budzić w nim myśli o tym, że płynie w nim krew dziedzica tronu! No, to śmieszne urojenie mieszczy, ale nie księżnej, nie żony cesarzewicza!

IX

Saski dziedziniec już od wczesnego ranka wrzał przygotowaniami do wojskowej parady, i to parady niezwyklej, osobliwej. Bo choć ani króla jegomości nie było w Warszawie, ani zgoła żadnego cudzoziemskiego dygnitarza, któremu by wódz naczelny chciał wojsko pokazać, a postawą i sprawnością żołnierza zadziwić – rozkaz dzienny cesarzewicza nie tylko wezwał, niby na święto, wszystkich generałów i oficerów sztabowych, lecz do zwykłego kontyngensu dodał i batalion grenadierów, i dwa szwadrony strzelców konnych gwardii, i baterię artylerii, i kompanię ułanów pierwszego pułku aż spod Łęcznej na dzień ten ściągnął.

Stąd od wczesnego ranka na Saskim dziedzińcu dwakroć większy zachód dla komendanta placu, Aksamitowskiego, aby chmarę żołnierzy tak sformować, aby zamętu nie było i aby każdy oddział miał dość miejsca na rozsuwanie szeregów i na zwijanie ich do defilu, i na występowanie oficerów i podoficerów na meldunki, i na te wszystkie zwroty, obroty a sztuki, które cesarzewicz tak lubił.

Zachód wielki był dla Aksamitowskiego, lecz z tym zachodem bodaj on jeden tylko umiał dać sobie radę. Bo nikt nad Aksamitowskiego nie zżył się tak z Saskim dziedzińcem, nikt nie potrafił lepiej naczelnemu wodzowi dogodzić, nikt piękniej linii czworoboku wykreślić, nikt donośniej a potężniej komend cesarzewicza obwoływać, bo nikt może spośród polskich oficerów nie pasował lepiej do Saskiego dziedzińca.

Dość było spojrzeć z dala na wysmukłą, wciętą, opiętą, niby do munduru przyrosłą postać pułkownika komendanta, dość było uchwycić jeden jego ruch zgrabny, zwinny, w jakieś musztrowe tempa wystrojony, zapalem tancmistrza dyrygującego płasami wrzący, aby przekonać się, że jeżeli Saski dziedziniec miał duszę, to duszą tą był niezawodnie Aksamitowski. Kto by zaś o tym wątpił, kto by ku napoleońskim czasom dla ocenienia Józefa Aksamitowskiego zapragnął sięgać, temu dość było na wydatną pierś pana komendanta rzucić okiem, by wnet spozrzeć, że i Krzyż Kawalerski Polski i Legia Honorowa już po pięciu latach paradowania na Saskim dziedzińcu skryła się pod wstęgą Orderu Włodzimierza, znikła wobec pompatycznego Orderu Anny z brylantami.

Jakoż gdy po ukończeniu formowania szeregów, odsuwania, przysuwania, mierzenia odstępów, zawierania i rozstawiania rot Aksamitowski ku stajniom rozjazdowym się zwrócił, kędy gromadzili się generałowie a starszyzna oficerska – Saski dziedziniec już równymi pasmami kolorów grał, już stałą się jeżył.

Więc od strony odwachu pod Białym Orłem batalion służbowy czwartego pułku piechoty, więc wstęga granatu, żółtymi wykładami i rabatami zdobiona, białymi rzemieniami nakrzyżowana, srebrnymi blachami na czarnych czapach lśniąca.

Obok czwartaków w ścieśnionej kolumnie – grenadierzy; takaż sama z pozoru wstęga, jeno pętlcami białymi gwardiackimi na kołnierzach i rękawach mundurów przytykana, jeno czarnymi kitami u czap równomiernie szersza, bo co u czwartaków jest przywilejem wyborczej kompanii, to u grenadierów każdego żołnierza uniformem.

Drugi bok dziedzińca, plecami do sztabu, dwa szwadrony strzelców konnych gwardii zajęły i zielonymi mundurami rozgraniczały grenadierów od ciężby sierżantów i podoficerów różnopolkowych, na utrzymanie parolów przybyłych, a pod pałacem Saskim ustawionych, równoległe do aksamitów i czerwonych kordonów artylerii gwardii.

Za artylerią jeszcze karmazyn z granatem ułanów, a dalej, pod kątem, wzdłuż zabudowań rozjazdowej stajni, gromada strojna, barwna, pałaszami dzwoniąca, bulionami a akselbantami błyszcząca, ówdzie chwiejąca dumnie pióropuszcami na stosowanych kapeluszach, ówdzie migocząca orderami, rozsalutowana, rozbrzęczana, z pozoru bezładna, gwarem zgiełkowej rozmowy pochłonięta, a przecież i w tym bezładzie, i w tym gwarze w rytmu karność zakuta.

Lecz i ta gromada powoli jakby milkła i jakby tężała, i to w miarę gdy ku niej napływać zaczęły coraz sutsze hafty na kołnierzach, coraz zamaszystsze epolety.

Jeden Aksamitowski nie przestał związać się po dziedzińcu, ciągle jeszcze coś poprawiał w szyku wojskowym, ciągle przeinaczał, a jeżeli na chwilę z gromadą starszozny się zmieszał, to i tu nie tracił z oczu czworoboku i adiutanta Daszewskiego słał na przemian do grenadierów, do strzelców, do ułanów, do czwartaków, aby na sekundę bodaj swej pieczołowitości nie dać wypocząć.

Ale pułkownik Aksamitowski za te swoje trudy gorliwe, za codzienne gotowanie parady i jej prowadzenie miał i względy cesarzewicza, i łaski, i wpływy takie, że choć i Różnieckiemu generałowi mógł dopieć do żywego, a i z Rautenstraucha, swego zwierzchnika, niewiele mógł sobie robić.

Tymczasem Saski dziedziniec miał innego jeszcze dostojnika, innego niestrudzonego dygnitarza, innego personata, który pierwszy na paradę zjeżdżał, a ostatni z niej schodził, który pocił się i mordował, i wówczas gdy szyk wojska był sprawionym, i wówczas gdy przegląd szedł jak z płotka, i wówczas gdy cesarzewicz był w dobrym humorze, i wówczas gdy był w złym, i w zimie, i w lecie, i w słońcu, i w pogodę.

Dostojnik ten, choć nie mniej dzielnie od Aksamitowskiego trwał na Saskim dziedzińcu, był zapoznanym, nie uznanym, nie docenionym.

Parada miała dlań co dnia i zawsze dwie ostateczności: albo zwymyślał go Lubowidzki, naczelnik policji, lub Lewicki, gubernator, alboż gawiedź uliczna. A jedynym urozmaiceniem tych ostateczności bywało mu surowe spojrzenie cesarzewicza lub ironiczny uśmiech łobuza.

Aleć że ten dygnitarz wytrwałą posiadał naturę, tedy co ranka łądował swą pękata, brzuchatą figurę w ciemnognanatowy mundur z czerwonymi wypustkami i obrzednim galonikiem, szpadę do boku przypinał i nasadziwszy po uszy szkopek czarny, filcowy, ze srebrną gałką, gramolił się na wielką, srokatą kobyłę.

A potem jechał na Saski dziedziniec i tu pachółków miejskich rozstawiał, barierami miejsce parady ogradzał, za czym znów żandarmom wyznaczał stanowiska i wszczynął bój żarty z gapiami, i wiódł go aż do końca parady, aż do rozejścia się ostatnich maruderów.

Juści im większa parada, tym gapiów bywało więcej, tym trudniej było porządek utrzymać, tym trudniej dla pojazdów generalskich wolną drogę wśród tłumu wyłobić, tym trudniej upilnować, aby gawiedź nie darła się za bariery, aby nie pozwałała sobie na krnąbrne wykrzykniki, a czasem i na przymówki.

Właśnie o te przymówki ów dygnitarz miewał wieczne piekło, bo gubernator o nie najwięcej się irytował, bo płacił za nie dygnitarzowi od srokaty kobyły i czarnego, filcowego szkopka ze srebrną gałką, nie tylko zezwiskami, lecz i groził mu pozbawieniem i kobyły, i szkopka.

Była to krzyżująca niesprawiedliwość, gdyż dygnitarzowi nie wolno było ludu odsunąć od dziedzińca, bo cesarzewicz chciał mieć widzów, no a z drugiej strony, tenże dygnitarz nie posiadał przecież fizycznej siły, aby lud do milczenia zmusić, aby piszczącego w tłumie niegodziwca pochwycić.

Lud zaś warszawski miał swoje widzimisie, swoje własne na reformę wojska polskiego poglądy i swoje o największych personatach wyobrażenia. I tak, nie podobało mu się, że cesarzewicz karmazyn zmienił piechocie na żółty kolor i w wyłogach, i rabatach, i stąd zwał piechotę „jajecznicą”; nie przypadła temu ludowi uproszczona, gładsza forma epoletów i „kotle-tami” je obwołał; za pióropusze, dodane generałom, sztabowcom i adiutantom, lud warszawski mianował ich „kapłonami” i tak dalej „szczyglami”, „kanarkami”, „dudkami” – dla każdej innowacji naczelnego wodza znajdując koncept, każdą zmianę w umundurowaniu witając złośliwością.

Wojsko polskie co dnia słyszało te przezwiska i ani myślało o nie się urażać lub do „fałd” rankoru żywić, gdyż i wojsku nie w smak szły dawnych uniformów przeinaczenie, zacieranie w nich śladów napoleońsko-polskich rosyjską modą. Zresztą wojsko rozumiało do kogo piją przezwiska.

Za to cesarzewicz, a z nim czereda zauszników i faworytów burzyła się na zuchwałość ulicy i rada była każdego śmiałka, pozwalającego sobie na przymawianie wojsku, w dyby zakuć.

Jakoż nie brakło po temu rozkazów, nie brakło surowych rozporządzeń, lecz brakło sposobu na osiągnięcie winnych, bo ci tak zręcznie umieli się kryć w tłumie, tak niepostrzeżenie hukać, że ich nie można było ani rozeznąć, ani pojmać. Nawet tajna policja fryzjera cesarzewiczowskiego, Makrota, nie umiała sobie tu poradzić, nawet pułapki, zastawiane przez Lubowidzkiego, nie chwytaly zwierzyny i tyle raptem zdołały wykryć, że głównymi i jedynymi winowajcami były dzieciuchy, ledwie co od ziemi odrosłe, pędraki, biedota, wałęsająca się samopas.

Następstwem tego wykrycia było, że żandarmi i policjanci nie dopuszczali dzieciaków na Saski dziedziniec i że wyzwiska nieco ścichły w dniu powszednie, gdy gawiedzi bywało niewiele, a parada zwykła. Ale za to w święta i wielkie przeglądy, mimo wysiłków żandarmów i policjantów, dzieciarnia wciskała się między tłum i dwakroć zapalczywiej dokazywała.

Z tego dokazywania i dla Lewickiego, i dla Lubowidzkiego padały gromy niehumoru cesarzewicza, dostawało się po trosze i Makrotowi za niedołęstwo, i pułkownikowi żandarmów, Dulfusowi, za bezsilność podkomendnych; lecz najsrożej, najboleśniej dosięgało tego, który na srokatej kobyłe reprezentował na Saskim dziedzińcu władzę ładu publicznego, bo temu już bez pardonu, wygadywali wszyscy. A przecież ten dygnitarz w czarnym szkopku ze srebrną gałką czynił, co mógł, toć i teraz trząśł swą pękatą figurę w nieustannym truchcie srokatej szkapy, pilnował, aby policjanci i żandarmi nie dopuszczali gawiedzi poza bariery, upominał cisnących się, strofował opornych, prosił, groził, a zabiegał na wsze strony o utrzymanie porządku wokół Saskiego dziedzińca.

Aliści, mimo wszelkie usiłowania, już za batalionem czwartaków dostało się między tłum kilkunastu urwiszów i jęło na wsze strony hukać, a obwoływać się niby żaby na deszcz:

– Kapłony! Kapłony! Jaje-cznica-cznica-cznica! Kapłony!

Dygnitarz w czarnym szkopku na tę zapowiedź targnął cugłami srokatą kobyłę i jął upatrywać śmiałków, żandarmów do baczenia napominać, a gorączkowiej na wsze strony krążyć zezując, iżali winowajcy nie dostrzeże.

Raz nawet baczne oko dygnitarza zdołało rozróżnić w ciżbie, od strony Bruhlowskiego pałacu, wrzeszczącego malca, lecz zanim srokata kobyła dopadła urwisza, ten już znikł w falach mrowia ludzkiego.

Dygnitarz zaperzył się i na mieszczuchów natarł.

– Kto tu z was? Kto się waży?!

Mieszczuchy coś odpowiedzieć chcieli, gdy za plecami dygnitarza z przeciwległej gromady pisnął głos:

– Puchała! Puchała!

Dygnitarz szarpnął srokatą kobyłę, aby ku nowemu zwrócić się nieprzyjacielowi, lecz z boku inny głos zapiszczał:

– Cywiński! Cywiński! – I dalej znów: – Puchała! Puchała!

Dygnitarzowi z pasji aż krople potu wystąpiły na czoło. Jeszcze harcował od ciżby do ciżby, jeszcze groził i klął, jeszcze o ujęcie którego z niegodziwców się kusił, aż ustał i aby ująć piskom, ku wylotowi ulicy Królewskiej zawrócił i tam czuwał, żeby choć napływ hołoty powstrzymać, a większej liczby uliczników nie dopuścić na dziedziniec.

Jakoż tu w samą porę przybył, bo w chwili gdy żandarmi rozkuwali tłum dla przepuszczenia pojazdu generała Krasieńskiego, wyrwał się z tłumu mały obdartus, jeden z typowych wrogów dygnitarza i chciał ku dziedzińcowi pomknąć, lecz dygnitarz spiął ostrogami srokatą kobyłę, wznosił trzcinę i drogę zagroził obdartusowi.

– Ani kroku! Precz stąd, łotrze!

Chłopiec skulił się i uderzył w prośby:

– Wielmożny pan pozwoli, stryj mój w czwartym pułku!

– Ja ci pokażę stryja! Umykaj, bo zdiele!

Chłopiec cofnął się, dał susa w bok i mniemając, że już jest bezpiecznym, wrzasnął drwiąco:

– Gdzie Puchała-Cywiński, tam porządek świński.

Lecz dygnitarz, który choć odwrócony, zezował ku chłopakowi, targnął kobyłę i wpadł na malca. Trzcina gwizdnęła w powietrzu, chłopak zawył z bólu. Dygnitarz zaś na łęku się pochylił i nim urwisz o ucieczce pomyślał, za włosy go porwał.

– Ja cię nauczę, szelmo! W więzieniu zgnijesz, świata nie zobaczysz! – pieniał się dygnitarz, trzymając chłopca i wlokąc przy koniu ku pacholkom policyjnym i ani zważając na majora, który tuż konno na dziedziniec parł.

Rozwścieczony dygnitarz w czarnym szkopku już miał ofiarę swą nadciągającym pacholkom oddać, gdy naraz ręka tarמושąca chłopca omdlała, zdrętwiała w żelaznym uchwycie innej ręki.

Dygnitarz obejrzał się i zobaczył tuż przed sobą nachmurzoną twarz majora piechoty.

– Puść wasan chłopca! – rozkazał major.

Dygnitarz obruszył się.

– Za pozwoleniem, obwieś ubliżył mi.

– Chyba nie na to wasan jesteś, abyś dzieciaków dręczył.

– Pan major daruje, ale mam rozkaz prezydenta Lubowidzkiego.

Major za całą odpowiedź szarpnął ramieniem dygnitarza z taką siłą, że dygnitarz na siodle się zachwiał i chłopca puścił. Urwisz w oka mgnieniu jakby pod ziemię się zapadł.

Tłum wybuchnął okrzykami ukontentowania.

– Panie majorze, będę miał honor skargę podać!

Major skrzywił się pogardliwie.

– A bacz, imię Cywiński, byś trzcina nie wziął!

– Wiwat! Niech żyje czwarty pułk! Masz, Puchało, za swoje! – zawtórowały pomieszane głosy.

Cywiński chciał coś rzec, lecz pomiarkował się i zacisnąwszy zęby, odjechał w inną stronę dziedzińca. Major tymczasem ruszył ku rozjazdowym stajniom, zsiadł z konia i ku starszyźnie się skierował. Tu już nań czekano, bo gdy jeno major się ukazał, już adiutant czwartego pułku, Zaborski, wysunął się ku niemu.

– Majorze, generał Blumer dwa razy zapytywał o pana. Wszyscy są, pułkownik myślał, że przypadek się majorowi zdarzył.

Major uśmiechnął się spokojnie.

– Przecież parada na dziesiątą.

Zaborski nie zdążył odpowiedzieć, bo już pułkownik Bogusławski nadszedł i począł frasobliwie:

– Łukasiński, bójcie się Boga, toć wasz batalion dziś na służbie!

– Więc cóż z tego?

– Panie Walery, panie Walery, co wy, co wy? Blumer mało ze skóry nie wyskoczy, Izidor Krasiński hałasuje, że mu dywizję skompromitujesz, Kurnatowski mówi, iż cesarzowiczka chyba umyślnie chcesz rozszerzyć.

– Et, tam, dużo sobie z nich robię.

– Łukasińsiu, Walereczku, masz rację, masz najświętszą, ale uważ, oni do mnie – a tu gęby nie staje! Chodźże, chodź, jeno, przez litość, zważaj na słowa.

Bogusławski powiódł Łukasińskiego ku miejscu, gdzie aż łunami biło od złotych i srebrnych haftów, a roilo się od pióropuszków na kapeluszach po napoleońsku nasadzonych.

Major ledwie miał czas dwa palce do kaszkietu przyłożyć, gdy barczysty, tęgi Blumer mruknął doń gniewnie:

– Mości majorze, powinieneś być od godziny na placu!

– Rozkaz, generale, był na dziesiątą.

– Lecz przecież – wmieszał się z boku generał dywizji, Izidor Krasiński – pański batalion dziś idzie na służbę.

– Stawił się na czas i jest w porządku!

– W porządku! – podchwycił ze złością Blumer. – Proszę, co za pewnoś siebie! Widziałeśże ich pan, czy przymaszerował cało? A ja tu od godziny stoję. Na przyszłość proszę, abym na majora nie czekał.

– Zastosuję się ściśle do godziny, którą mi generał raczy oznaczyć w rozkazie.

Blumer rzucił się gniewnie. Krasiński pospieszył załagodzić starcie.

– Major się najniefortunniej odwołujesz do rozkazu! A wyobraź sobie, że naczelnny wódz zjechałby na kilka minut przed dziesiątą i nie zastałby waszmości, co by było, he? Już mi waszmość nie odpowiadaj! Wojujesz, aż się doczekasz! Póty jesteś siebie pewny, póki jego cesarzowiczowska mość nie przyłapie ci szeregowca!

– Skoro jego cesarzowiczowskiej mości się spodoba, każdej chwili przyłapać może.

– Co? Jak to?!

– Ile że nie masz w naszym wojsku oficera, który by w znawstwie dorównał jego cesarzowiczowskiej mości! – odrzekł szparko Łukasiński.

Blumer wytrzeszczył swe i tak już wylupiaсте oczy. Krasiński zmieszał się. Drwina była oczywista, lecz i do tyła śmiała, że lada wyraz mógł ją zamienić w obuch dla karcącego.

Krasiński w lot się zorientował.

– Zobaczymy, jak się pański batalion dziś popisie, zobaczymy! Możesz odejść, majorze.

Łukasiński odsalutował i wszedł w gromadę sztabowców.

Tu zjawienie się majora czwartaków wywołało ogólne poruszenie. Wszyscy na prześcigi jęli go witać, a dłonie do uścisku wyciągać.

Łukasiński dość obojętnie przyjmował atencje, odpowiadał uprzejmie, lecz krótko, ani zważając, że nawet starsi rangą koledzy pierwsi nastęrczają się z pozdrowieniami. Ale juści, gdy natrafił na „najgrubszego na świecie ułana”, pułkownika Tomickiego, nawet „niemowność” Łukasińskiego nie starczyła. Zwłaszcza że Tomicki szczególniejszą dla majora żywił sympatię.

– Łukasiński, perło moja, jak się masz! Widzisz, a ja z Łęczny, utrząsony kaducznie na tatarajce spod psa i ani na paznogieć cieńszy!

Major spojrział na baniastą figurę Tomickiego, która w opiętym, ułańskim uniformie pokraccniej jeszcze wyglądała, i uśmiechnął się.

– Rzeczywiście, pułkowniku, widać, że postów nie obserwujecie w Łęcznej.

– Ale gdzie zaś! Jadam, jak pokrzyk, ledwie czego ciupnę, a choćbym najmniej uszczknął, włazi mi gałgaństwo w sadło! Dalipan, innemu taka droga jednym tchem boki by wysuszyła, a mnie co: musiał mi Grześ nową dziurkę w rzemieniu wywiercić! Po prostu zgrubiałem od wczoraj!

– Łut mniej, łut więcej.

– Dworuj sobie zdrów, majorze. A przecież taki gmach cielska dźwigać – to utrapienie. Dobrze tobie mówić, patrzże, z twoich dwóch mundurów jednego dla mnie nie wykroi.

– Panowie – rozległ się w pobliżu głos adiutanta placu, Daszewskiego – parada dzisiejsza zacznie się od defilu!

– Od defilu?! Od defilu?! – zawołano dokoła ze zdziwieniem.

Tomicki obrócił się ku Daszewskiemu:

– Perło moja, adiutancie, więc rewii nie będzie?

– Najpierw defil, a co dalej, nie wiadomo.

Tomicki jął Daszewskiego zarzucać pytaniami, Łukasiński zaś ku Prądyńskiemu podszedł.

Prądyński uściśnął serdecznie dłoń Łukasińskiego.

– Witam majora. Właśnie o tobie mówiliśmy. Pozwól sobie przedstawić: kapitan Bem.

– Dawno pragnąłem poznać – ozwał się cichym głosem, szczupły, mały, niepozorny kapitan artylerii.

– Bardzo mi miło – rzekł major, rzucając Prądyńskiemu przelotne spojrzenie.

Ten ostatni nachylił się i szepnął Łukasińskiemu jakiś wyraz do ucha. Major żywiej ku Bemowi się zwrócił.

– Waszmość z dalekich stron do nas?

– Z Kozienic, z raportem do sztabu.

– Prawda, że to wasza kompania aż w Sandomierskiem kwateruje.

– Rad jestem, majorze, iż danym mi jest natrafić na kolej służbową batalionu, pana majora, a naocznie przekonać się o dzielności a karności jego żołnierzy.

– Niezawodnie, będziesz mógł kapitanie wyciągnąć stąd naukę, do czego niekarność doprowadzić jest zdolna.

Bem zdumiał się. Major dodał z naciskiem:

– Zważaj jeno, kapitanie. Widzisz tam tę kolumnę, zamarłą z bronią do nogi? Wiesz, co ją zaklina w jeden ruch, jeden skurcz, jedno tchnienie? Nic, jeno myśl, że co w oficera uderzy, to i w żołnierza grzmotnie, nic, jeno wspólna troska, aby piorunów uniknąć.

– Więc poczucie obowiązku.

– Nie rozumiesz mnie. Wystaw sobie, kapitanie, gromadę pauprów, rozszalałych, krnąbrnych a oddanych gwałtownemu, zaślepionemu belfrowi, który w chwili rozdrażnienia, basarunek sprawia ryczałtem, nie zważając, kto winny, a niewinny. Juści, niech się belfer między pauprami zjawi, to wszyscy gromadą idą, gromadą lżą, gromadą się wypierają, gromadą zabiegają, byle belfra ugłaskać. Otóż takim i ja w moim batalionie jestem: nie belfrem, jeno pauprem.

Bemowi oczy błysnęły, chciał opowiedzieć, lecz tuż zabrzmiał donośny głos Aksamitowskiego:

– Panowie sztaboficerowie defilowych oddziałów – na koń!

Łukasiński uściśnął rękę Bema i ku wierzchowcowi pospieszył.

Aksamitowski tymczasem coraz donośniej rozkaz obwoływał, aż ogarnąwszy plac, na którym już harcowali przed swoimi oddziałami pułkownicy, dosiadł konia.

Saski dziedziniec zaległa cisza.

Aksamitowski zebrał cugle, ku wylotowi odsłaniającemu wstęgę mrowiem ludzkim bramowanej ulicy spojrzął, wpatrzył się i hen, w dali dostrzegł wzniesioną rękę Lubowidzkiego.

Aksamitowski w lot znak zrozumiał, bo koniem zatoczył i huknął:

– Bacność! Stój!

– Ba-cność! Tuj!

Plac drgnął, po sobie spojrzął i oczy ku wylotowi zwrócił. Lecz, nim głęb wylotu zmierzył, już ukazała mu się czwórka rozpędzonych gniadoszów, już z boku nadjeżdżającego powozu wychylił się żółto-czarno-biały pióropusz cesarzewicza.

– Prezentuj broń! – huknął Aksamitowski.

– W ramię – broń! Tuj – broń! – powtórzyły dziesiątki głosów i zmieszały się z warczeniem tarabanów a graniem trąbek.

Saski dziedziniec zachrzącał, stała łysnął, grzebieniem ostrzów się najeżył.

A komendant placu podczas już i raport zdał cesarzewiczowi, i już rozkaz odebrał, i już na środek dziedzińca pogalopował, i tu zarył koniem, i rękę ku tamburmajorom wyciągnął.

Pałki tamburmajorskie dzwignęły się, zygzakiem przecięły powietrze, zda pod swoje władanie zagarnęły dźwięki trąbek a warczenie tarabanów i takt wybiwszy, porwały muzyki.

Saski dziedziniec zadudnił łomotem generałmarsza.

U wylotu tymczasem, kędy pojazd cesarzewicza się zatrzymał, skupiły się barwy masztalerzów a złote galony koniuszych. Powstał chwilowy zamęt, aż barwy i galony rozsunęły się. Na karym arabie wjechał na Saski dziedziniec wielki książe, a za nim, o krok, na gniadym anglezie, Żaneta Grudzińska.

Na widok Grudzińskiej pióropusze generalicji i sztabów jakby zafalowały, jakby mocniej wyprężyły się szeregi, jakby zawzięciej grzmotnęły bębny.

Cesarzewicz zacisnął prawą pięść, na udzie ją zaparł i skierował konia w bok, po linii czworoboku, od stajni rozjazdowej zaczynając.

Generalicja i sztaby salutowały. Wielki książe odpowiedział, lecz ani zezem spojrzeć nie raczył, bo co chwila za siebie poglądał, a ku Żanecie się zwracał.

Nawet gdy pluton ułanów wrzasnął cesarzewiczowi powitanie, ten jeszcze jakby go nie widział. I strzelcy gwardii, i grenadierzy nie zasłużyli sobie nic nad to niezwykle roztargnienie Konstantego.

Dopiero kiedy ukazała się wielkiemu księciu linia białych naramienników czwartego pułku, jakby do siebie przyszedł, jakby w swoim poczuł się żywo, bo konia wypuścił i zakrzyknął po polsku:

– Nu, jak się macie, chłopcy?!

– Zdrowia życzymy Waszej Cesarzewiczowskiej Mości! – odpowiedział batalion czwartaków.

Cesarzewicz roześmiał się do zdążającej za nim Żanety.

– Ot, zuchy, ot, dopiero! Hej, Aksamitowskij! Batalion czwartego pułku do defilowania plutonami, na odstęp plutonu!

Aksamitowski jął powtarzać komendę. Cesarzewicz ruszył pod linię generalicji i tu przystanął. Żaneta ledwie że się nie zaplątała w tej nagłej wolcie, ile że anglez tuż u prawego skrzydła czwartaków, kędy na koniu obok pułkownika Bogusławskiego widniała harda postać majora Łukasińskiego, splątał się, na domiar lewa noga wypadła Żanecie ze strzemienia. Lecz jadący obok adiutant Turno pospieszył Żanecie z pomocą. Zsunął się z siodła, strzemień podał, a fałd amazonki ani tknął, na koń wskoczył i angleza do miejsca doprowadzić pomógł.

Wielki książe nie zauważył nawet tej drobnej przygody, cały zapatrzony ku linii czwartaków.

– Dyrekcja na praaa-wo! Krok podwójjjj-ny! – huczał Aksamitowski. – Marsz, marsz!

– W ramię broń! Arsz! – odpowiedzieli oficerowie i czwartacy ruszyli.

Więc przodem Bogusławski pułkownik z adiutantem konno, za nim tamburmajor, skrzący się od srebrnych taśm na rękawach, rabatach i szwach, dalej muzyka. Za nią major Łukasiński konno i tuż czerwone kity doboszów gwardii grenadierskiej kompanii. A dalej już równe dzwona plutonów, wysnuwających się z rozwiniętej linii tak, że gdy grenadierska kompania wpadła już w łomot marszowego tempa, wołyżerska dopiero zwijała się, aby na czas pluton pierwszy oddzielić.

Bogusławski nadjechał ku cesarzewiczowi, pałaszem łysnął i w dół go opuścił, za czym koniem zatoczył, zameldował pułk i zajechał w tył, i między adiutantów zapadł.

Muzyka również, ledwie do cesarzewicza się zbliżała, skręciła w bok, pół węża zakreśliła i stanęła naprzeciw, zważając teraz nie na laskę tamburmajora, lecz na pięść wielkiego księcia, który sam już na udzie takt wybijał.

Za muzyką nadjechał Łukasiński. Cesarzewicz na widok majora i kit grenadierskich na meldowanie nie zważał, jeno z konia zsiadł i na piechotę ku linii marszowej nadbiegł. I tu pochylił się, niby do skoku, głowę przekręcił i podniesienie nóg idących żołnierzy jał wzrokiem mierzyć, a kierunkowi stawianych na ziemi stóp się przyglądać, a upatrywać bądź piersi nadto podanej naprzód, bądź ładownicy niesfornie przesuniętej, bądź potknięcia, bądź zбочenia, bądź nierównego odstepu.

Ale daremny był to trud, daremny zabieg.

Czwartacy szli. Chłop w chłopca jednako kusy, jednako przysadzisty, jednako w poruszeniu giętki, zwinny a twardy.

Chłop w chłopca toż samo zawadiackie ślepiów przymrużenie, ten sam łysk szaroniebieskich oczu spod kaszkietu, ten sam nos z lekka zadarty, toż samo ust zaciśnięcie, taż sama mina zadufana, mówiąca zda się: „Z nami nie poradzisz”.

Czwartacy szli. Ramię w ramie, pierś w pierś, noga w nogę – jeden człek, jeden impet, jeden oddech, jeden chrzęst, jedno serca uderzenie.

Czwartacy szli.

Granatowy mundur, żółte rabaty, białe czehczery, białe rzemienie, na czarnym kaszkiecie biała blacha, a na białym naramienniku czerwona dwójka.

Czwartacy szli.

Co trzeci to szewczyk warszawski, co czwarty to warszawski krawczyk, co piąty to urwisz, co drugi to filut, co szósty to szacher, co żołnierz to wojennego majsterstwa czeladnik, co żołnierz to paradowej sztuki artysta.

Takich by cesarzewiczem nastraszyć.

Znają go wskroś, wiedzą, kiedy mu palce u nóg stawić poziomo, a kiedy pod kątem, kiedy mu karabinem zachręścić, a kiedy „szlag” broni stłumić.

A czego nie wiedzą, czego nie dopatrzą, przeoczą, to potrafią taką fantazją zatuszować, osłonić, załgać, że cesarzewicz jeno się zakrztusi a śmiechem wybuchnie.

Czwartacy szli, a szli tak, że ledwie dwa plutony przedefilowały, a cesarzewicz już krzyknął:

– Blumer! Blumer! Wołać Blumera! Jesteś! Ot, batalion! Ot, ozdoba! Nie ma w pańskiej brygadzie lepszego! I nie ma na świecie lepszego! Bogusławskij, winszuj! Uuu! Trzeci pluton maluteczko... No, nie! Dobrze, chłopcy! Dobrze, chłopcy! Raz dwa! Raz dwa! Tak, tak, tak! Porucznik Masłowski, brawo! Tak się trzeba odsadzać. Ot, nauka dla pierwszej dywizji! I Łukasińskij, Bóg zapłać, rozkosz, rozkosz!

Wielki książę dalej perorował, zagadywał do defilujących oficerów, do generalicji się zwracał, a krztusił się z zadowoleniem, a wybijał takt marszowy na własnym udzie.

Aż gdy czwartacy przedefilowali, zakonkludował:

– *Prosto prelest!* Łukasińskij, nu, i Łukasińskij! Czort nie major z pana! Jutro wszystkim wódki! Dziękuj, pozdrawlaju!

– Rad zasłużyć!

Konstanty skinął przyjaźnie Łukasińskiemu i podszedł do siedzącej na koniu Żanety.

– A co, widziałaś? He, a co?!

– Piękny pułk.

– Jak to pułk? – zaperzył się cesarzewicz. – Przecież to batalion i niecały batalion, bo pluton został w koszarach! Hm, żeby nawet o tym nie mieć pojęcia!

– Nie zorientowałam się.

– Nie zorientowałaś się! – powtórzył zgryźliwie Konstanty. – Wracaj do Belwederu, ja tu jeszcze muszę zostać! Trębicki, odprowadź pan księżną do powozu!

Trębicki zsiadł z konia i do Żanety podążył, cesarzewicz na Aksamitowskiego skinął.

Komendant placu odgadł intencję wielkiego księcia, lecz dla pewności zapytał:

– Wasza Cesarzewiczowska Mość raczy rozkazać: batalion czwartego pułku raz jeszcze do defilu, a potem parada od początku?

– Ot, tak! Ot, tak!

Aksamitowski sparł konia ostrogami i na środku dziedzińca jął komendami ku czwartakom hukać.

Żaneta tymczasem, usadowiona w pojeździe przez Trębickiego, mijała zwarte fale ludu.

Lud, na widok Żanety, drgnął, zakołysał się i zawiwatował.

Żaneta ani widziała go, ani słyszała. Łomot bębnow i kotłów głużył wokół niej wszystko, a jasność spojrzenia ćmiły mary, zasnuwały ponure myśli.

A myśli tych tyle naraz szarpnęło mózgiem Żanety, iż zdawało się jej, że go rozsada. Ogarnęła ją żądza wypowiedzenia się, żądza wyrzucenia z siebie tych palących obrazów, żądza skargi, żądza usłyszenia odzewu.

Powóz z Królewskiej ulicy na Krakowskie Przedmieście ku Belwederowi skręcał. Żaneta raptownie na siedzącego na koźle strzelca zakrzyknęła:

– Jedź do Zamku, do mieszkania pana marszałka, wiesz.

Strzelec na ten rozkaz wykręcił się na koźle i salutując, zauważył niepewnie:

– Wasza Wysokość, Jego Cesarzewiczowska Mość raczyli rozporządzić do Belwederu.

– Jedź do Zamku! – rozkazała tak stanowczo Żaneta, że strzelec bez wahania powtórzył rozkaz stangretowi.

Powóz skręcił w przeciwną stronę.

X

Niespodziewane przybycie Żanety do domu matki wywołało popłoch, państwo Brońcowie bowiem w negliżach zajęci byli rozpatrywaniem dostarczonych właśnie przez kupców towarów. A że towarów tych była ilość nieprzebrana i różnorodna, przeto całe mieszkanie marszałkostwa przedstawiało istny skład rupieci, skrzyń, skrzynek, puzder, puzderek, szkła, porcelany, materii, delikatesów, butelek i kobiecych fatałaszek, pod którymi nie widać było ani stołów, ani krzesełek, ani mebli, ani podłogi.

Na dobytek, ponieważ jeszcze znoszono resztę towarów, a drzwi wszystkie na ścieżaj były otwarte, więc Żaneta weszła zgoła niepostrzeżenie. A jeżeli na progu jadalni przystanąła, to jedynie dlatego, że drogę do siedzących pod oknem Brońców zagroził jej wielki toboł z obrusami.

Beauperek, postrzegłszy Żanetę, zakrzyknął, szlafrokiem się omotał i umknął bocznymi drzwiami. Marszałkowa jednakże ocaliła sytuację, bo rzuciła się na przelaj ku córce, przebyła śmiało barykady i chwyciła ją w objęcia.

– Droga moja! Czy się godziło nie uprzedzić? Taka siurpryza, a my tu w takim nieładzie, w takim zamięcie. Układaliśmy sobie właśnie na pojutrze!

– Ja tylko na chwilę.

– Pozwól, kochanie, choć do salonu, pozwól!

Marszałkowa ruszyła przodem, wbiegła do salonu, zrzuciła z dwóch krzeseł zwoje materii na podłogę, usunęła skrzynię, rozdarła sobie falbanę szlafroka o sterczący gwóźdź, lecz usadowiła córkę.

– Wybacz, złoto moje, że cię tak przyjmuję, ale gdybym się spodziewała, gdybym się spodziewała!

– Ależ, mateczko...

– Wiem, wiem, co mi chcesz powiedzieć, a swoją drogą naszym obowiązkiem jest uszanować w tobie godność wielkoksiażęcą! No, tak, tak, droga Żanetko, jesteś właściwie pierwszą u nas osobą, stoisz wyżej od namiestnikowej! Ślicznie ci w tej amazonce! Byłaś na paradzie! Dowiedzieliśmy się właśnie! O, niechże cię ucałuję, powiadam ci, że chwilami zdaje mi się, że to sen, że marzę, że roję!

Żaneta potrząsnęła smutnie głową.

– A tymczasem to już jawa...

– Na szczęście, na szczęście! Jakże się czujesz?

Żanecie łzy w oczach zabłyśły. Pani Brońcowa ujęła serdecznie rękę córki.

– Rozumiem, najdroższa moja, matczynym przeczuciem ogarniam. Onieśmiela cię to wszystko, trudzi, „deranżuje”, *mais c'est toujours comme ça! Crois moi, mon enfant adoré*, gdym, jak ty, znalazła się pod dachem męża, ach, rady sobie nie mogłam dać. Było mi i dobrze, i źle, i smutno, i wesoło, i tęskno, i nie tęskno. Tam, gdzie spodziewałam się powabu, *le*

charme était rompu; a tam, gdzie imaginowałam sobie *désenchantement complet*, tam znalazłam nowe krynice czaru! Każda kobieta przez też same ognie przechodzi.

– Staram się tym krzepić, jednakże to trudne zadanie, bardzo trudne.

– Z początku, a potem będziesz sobie dworowała z tych poślubnych zgryzot. Pojmuję, iż twoja sytuacja przyczynia się na razie, lecz cesarzewicz...

– Tak, cesarzewicz – szepnęła z trudem Żaneta.

– Jest najszlachetniejszym z ludzi! – zakonkludowała z pręcieniem marszałkowa. – Słów nie mam dla niego. Powiadam ci, rumienię się na samą myśl, iż śmiałam wątpić o zacności jego duszy, iż śmiałam posądzić go o brak subtelności!

– Konstanty! – zdziwiła się Żaneta.

– Wyobraź sobie, w godzinę niespełna po mojej u ciebie bytności zjechał Fanshawe i zalał wszystko, wszystko! Beauperek przez delikatność chciał część naszych zobowiązań po prostu zataić. Gdzie tam! Fanshawe przyjechał z gotowym wypisem. Oslupiliśmy na ten dowód zabiegliwości. Beauperek chciał jechać z podziękowaniem, ale Fanshawe doradził, aby tego nie czynić, a czekać okazji. Nadto otrzymaliśmy dwadzieścia tysięcy dodatku rocznego z twojej szkatuły. Nie są to żadne świetności, ale zawsze. I ten Order Włodzimierza czwartej klasy, także nie nadzwyczajność, bo go się nosi w pętelce i ledwie na skraweczku wstążki, ale i to, powiadał Fanshawe, niby konieczna odznaka do otrzymania wyższych orderów. Cesarzewicz zapewne rad by sam niejedno więcej, ale przecież i on musi się liczyć z obyczajem dworskim. Napomknęliśmy Fanshawe'owi, że twoja cyfra brylantowa powinna by się dostać Antuanetce, no i że wypadałoby, abyśmy dostali hrabiowski tytuł, tym bardziej że przecież *primo voto* hrabiną byłam; ale to jeszcze długa historia, bardzo długa.

Tu wzrok marszałkowej padł na gorejącą wypiekami twarzyczkę Żanety.

– Ale nie bierz przypadkiem tego do siebie! Drogie dziecko, toć wiemy, wiemy, rada byś nam nieba przychylić, rada byś, ale to przyjdzie z czasem, powoli. Widzisz, jestem zadowolona, ukontentowana. Instalujemy się na nowo. Beauperek kancelarię swoją urządza w twojej dawnej komnacie, a w kancelarii będzie chiński gabinet! Lecz co to jeszcze trudu z tym! Wystaw sobie, rozesłaliśmy do wszystkich bławatników: nigdzie ani kawałka chińskiej materii! Są lyońskie, tureckie, perskie, a chińskiego ani za tynfa; że też w Warszawie niczego wytworniejszego nie można dostać!

Żaneta dźwignęła się i zaczęła żegnać.

– Nie zatrzymuję cię, kochanie, bo gdzie tobie w tym rozgardiaszu! Ale wyobraź sobie, kto był wczoraj u nas: Skrobecki z atencjami. A po nim Różniecki, gwałtem ciągnął Beauperka na hazard, ale zdołałam temu zapobiec. Dopytywał się o ciebie. Pozwól, a Popowa cesarzewicz kazał nie sprzedawać, ale pojmuję dlaczego. Fanshawe wyraźnie nam powiedział. Lecz nie zaprzętaj sobie tym głowy! Rada bym cię odwiedzić jutro. Jeżeli będziesz mogła, to napisz słówko, kiedy najlepiej. Generałowa Dąbrowska jest w Warszawie.

Żaneta zbiegła szybko po schodach na dół, lecz postrzegłszy wyprostowaną służbisto postać draba książęcego, zawahała się, stropiła i nie mówiąc ani słowa, skreśliła na piechotę w bok, na plac przed Zamkiem, i dalej, ulicą Świętojańską, do katedry.

Katedrę zalegała cisza i pustka dnia powszedniego i spóźnionej pory.

Gdzieniedzie w promieniach tęczowych, padających poprzez ostrołukie witraże, kulily się zgarbione, szare sylwetki ludzkie. Gdzieniedzie mignęła biała komeżka kościelnego sługi. Niekiedy echo tłumionych kroków wzbilo się aż pod strop; niekiedy głębokie westchnienie zerwało się z zimnej kamiennej posadzki i mknęło hen, po gotyckich liniach ku górze, ku węzłom zbiegających się sklepień i rozplýwało w drżącym poszmerze.

Żaneta nie szukała w katedrze ani ołtarza jarzącego świecami, ani kaplicy migocącej z dala lampkami ponad szczególnie adorowanym wyobrażeniem świętego, ani ławki zacisznej, ani kąta przytulnego, lecz tyle zaledwie postąpiła od progu w głąb kościoła, ile trzeba było, aby ująć rozgwarowi ulicznemu i usunęła się na kolana wyczerpana, bezwładna.

Żaneta nie usiłowała nawet modlić się, nie próbowała ani żalów swych wyznawać, ani bodaj myśli zbierać. Żaneta była jak nędzarz, którego mróz odrętwił, a który dotarłszy do buchającego ogniska, nie czuje ani głodu, ani pragnienia, a jeno poddaje się, byle skrzeple mięśnie rozgrzać, byle ciepłem się nasycić.

Tak i Żaneta. Na mroki świątyni, na jej głuszę, na jej chłodne półcienie, na biel jej marmurowych posągów, na smętkiem spływające oblicze jej świętych, na kadzidłem przesycone powietrze, na pyły grające w strumieniach różnobarwnych świateł – poddawała Żaneta swą skolataną myślami głowę, goryczą ociekające serce.

I świątynia chłoneła Żanetę, i unosiła, i porywała w zaświaty, i nowe rozwierała horyzonty, i brała z Żanety rozterkę. A jeżeli i ona nie miała odpowiedzi na dręczące Żanetę pytania, jeżeli i ona nie zdolna była zwątpienia stłumić, to przecież umiała tak nowymi obrazami ją olśnić, że Żaneta zapominać się zdawała o głodzie, który ją tu przywiódł, o pragnieniu, które ją palić nie przestawało.

Lecz skupienie Żanety nie trwało długo, ile że katedra nagle ożywiła się, zagadała, aż zabrzmiała monotonnym pomrukiem organów.

Skąd o tak niezwyklej porze odzywały się organy? Skąd aż trzech księży odprawiać zaczęło jakieś uroczyste modły akurat przed ołtarzem, w pobliżu którego klęczała Żaneta? Skąd o kilka kroków za nią modlił się w stalli ksiądz Malesherbes? Dlaczego Katedra Świętojańska tak pośpiesznie, tak gorączkowo zerwała z tą majestatyczną ciszą, z tą dobrą pustką?

Pytania te, trudne do rozwiązania zarówno dla Żanety, jak i dla skulonych postaci zapóźnionych parafian, były bardzo łatwymi dla tego, który zewnątrz świątyni widział w czwórce koni zaprzęgnięty pojazd cesarzewicza i który miał czas przyjrzeć się niespokojnym ruchom strzelca służbowego, zaglądnącego co chwila do kościoła. No i też same pytania już zgoła jasnymi były, gdy kto miał sposobność podchwycić, ile niepokoju sprawiła w zakrystii wieść o pojawieniu się wielkoksiażęcego pojazdu, a ile z tej wieści wynikło bieganiny w księżych izdebkach, a ile zgiełku aż w arcybiskupim pałacu.

To nagle ożywienie się katedry ocknęło Żanetę, dźwignęło ją z kolan.

Żaneta rozejrzała się, wyczekała chwilę, aż przeżegnawszy się machinalnie, zawróciła ku wyjściu, lecz tu ksiądz Malesherbes powitał ją głębokim ukłonem.

Żaneta odpowiedziała na ukłon, przystanęła i pochyliła się do ramienia swego dawnego prefekta. Ksiądz cofnął się z uszanowaniem i znak krzyża nakreślił w powietrzu.

– Wasza Książęca Mość – rzekł cicho ksiądz po francusku – modlimy się na Waszą intencję, żeby Bóg wszystkie łaski swe zlać na Was raczył.

– Dziękuję z całego serca! Nigdy może opieki Jego nie potrzebowałam tak bardzo! Nie zapominajcie o mnie, księżo prefekcie, w swych modlitwach... Może one, może one...

Żaneta urwała nagle. Ksiądz spojrzał smutnie na jej bladą twarzyczkę.

– Wyroki Boże są niezbadane. Wówczas, gdy nam się wydaje, że nas opuszcza, właśnie czuwa, właśnie gotuje nam coś więcej, niż sięga nasza powszednia, przyziemna troska. Kto wiele cierpi, wiele odbiera u Stwórcy w niebiesiech. Komu wiele dano, ten wiele musi oddać.

– Tak, prawda – szepnęła z roztargnieniem Żaneta – lecz kto tak mało, tak bardzo mało... otrzymał...

– Wasza Książęca Mość nie stosuje tego do siebie.

Żaneta zmieszała się.

– Przed Waszą Książęcą Mością tak wielkie, tak potężne, iż dość nań wspomnieć, aby na najcięższe smutki znaleźć krynice ukojenia. Cały świat katolicki ku Waszej Książęcej Mości pogląda.

– Jestem nikłą, słabą istotą...

– Bóg najwątleszych napelniał już niepożytą mocą, słabych upodobał sobie mieć za narzędzie. Wzór do naśladowania niedaleki, a pracy wokół ilość nieprzebrana!

– Zapewne, zapewne...

– Całą ziemię polską prze niedowiarstwo, frankomasonstwo, napoleońskie jakobiństwo. Kraj, który niegdy był puklerzem naszej świętej wiary katolickiej, dziś trwa w zubożeniu, ani zważając, że do zguby własnej zmierza, ani pomnąc o swym powołaniu wielkim niesienia na wschód godła prawdziwej nauki. Tak, Wasza Książęca Mość, na domiar co dnia siły duchowieństwa słabną, co dnia nowy cios uderza w Kościół.

– Nowy cios!

– Tak, supremacja braci Jezusowych została nakazaną na Litwie, wyrok niebawem dosięgnie i Królestwo! A pomocy znikąd! Toć pan minister Potocki wcale nie ukrywa swego zadowolenia z wypędzenia jezuitów. Toć cały rząd polski lekceważy sprawy Kościoła; toć usuwa go od wpływu na szkoły, zabiega, aby nigdzie szczerzej pobożności nie dać przestępu, aby libertyństwo podtrzymać. I Kościół, miast zdobywać nowych wyznawców, miast potężnieć, chwieje się, zapada, traci grunt pod nogami, nawet tu, w ojczyźnie królowej Jadwigi!

– Księżę, księżę prefekcie, ale cóż ja, ja? To zagadnienia tak doniosłe, że ledwie je ogarnąć mogę, ledwie myślą sięgnąć.

– A jednak one tylko zdolne są dać Waszej Książęcej Mości prawdziwą radość. One tylko lekkim uczynią każdy smutek, ona pogodą natchną Waszą Książęcą Mość, bo one nie będą skarbieniem sobie skarbów na ziemi.

Za powrotem do pałacu Belwederskiego Żaneta nie zwróciła nawet uwagi, że kabriolet cesarzewicza odjeżdżał był właśnie spod podjazdu ku stajniom i poszła do swoich apartamentów.

Tu powitała Żanetę blada, wystraszona twarz Rózi, pokojówki.

– Proszę panny hrabianki, to jest, proszę Jaśnie Oświeconej Mości, okrutny gwałt, że panny hrabianki nie było. Zły, taki zły, że niepodobna!

Żaneta spojrzała ostro na Rózię.

– Ani słowa więcej! Raz na zawsze zabraniam ci!

Rózia rozplakała się.

– Uu! Przecież ja bym chciała co najlepszego.

– Więc nade wszystko nie pozwalaj sobie na podobne odezwania.

Rózia jeszcze rzęsiściej zalała się łzami.

– Wszyscy na mnie. I Jaśnie Oświecona Mość zlitowania nie ma, a ja tyle się nacierpiałam, tyle nacierpiałam!

Żanetę zdjęła ochota za drzwi wyprowadzić Rózię, lecz opanowała się i łagodniej przemówiła.

Rózia jakby na to tylko czekała, bo jednym zamachem fartuszka otarła łzy i pospieszyła się zwierzyć:

– Chwycił mnie wpół i zawlókł do piwnicy! A jakże! Ale co go ugryzłam w rękę, to ugryzłam! A spłakałam się, Jezu Nazareński, póki życie moje! W ciemnicy takiej, na słomie! Ten Pasternikow to najgorszy. Żeby nie kamerdyner, nie wiem, co by ze mną się stało. Przyszedł, zaniósł mi jedzenia, bardzo grzeczny, myśli ze mną się żenić, za łaskawym pozwoleniem Jaśnie Oświeconej Mości...

Żaneta, mimo rozdrażnienia, którym napawały ją relacje sługi – uśmiechnęła się.

– Nie ma więc tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Akuratnie, bardzo był dla mnie grzeczny. Powiadają, że on niby u cesarzewiczowskiej mości zaufany: nie szkodzi, owszem szczerzy człowiek. Powiadał, że to za ten list, co od pani marszałkowej przyniosłam. Niech sobie, jak będzie trzeba, przyniosę i drugi.

W tym miejscu Rózia obejrzała się trwożnie i dodała ciszej:

– Bo to cesarzewiczowska mość przez każdą ścianę potrafi przejść.

Po tej rozmowie Żaneta nie bez pewnego zaleknienia spotkała się z Konstantym w jadalni przy obiedzie. Lecz, wbrew przeczuciom Żanety, wielki książę ani znakiem nie objawił swego niehumoru, ani nie napomknął o jej samowolnej wyprawie.

Dopiero, kiedy po skończonym obiedzie znalazł się sam na sam z Żaneta na werandzie, ozwał się raptownie:

– Jeździłaś do Zamku, byłaś w katedrze?
 – Byłam.
 – Mam nadzieję, że się to nie powtórzy! Mam nadzieję! Nie wolno ci łamać ceremoniału, nie wolno zapominać, kim jesteś.
 – Wszak matka...
 – Obowiązana jest zewnętrznie do tych samych honorów, co i każda poddana! No, a twoja bytność w kościele, w katedrze, to po prostu szaleństwo, wariactwo!
 – Chciałam pomodlić się...
 – Chciałaś! Mało masz miejsca w pałacu! Tego jeszcze trzeba, żeby popom donieśli, jaką jesteś gorliwą katoliczką! Bokiem by ci wyszło twoje łaciniństwo! Całe miasto o tym gada!
 – Nie sądziłam, że potrzeba duchowa...
 – Masz do tego pałac, żeby swoje potrzeby załatwiać – przerwał opryskliwie Konstanty. – Tu sobie sprowadź kapucyna, prałata, diabła rogatego i niech ci odprawia nabożeństwa, a od kościoła z daleka, chyba że dla parady, dla ceremoniału.
 – Konstanty, gdybyś wiedział, jak drogą jest mi...
 – Religia? Modlitwa? Bóg?! I owszem! Ani myślę wtrącać się do twoich zasad! I owszem, no i wasz papież – a cóż, uprzejmy człowiek, miły stary. Przesłał mi błogosławieństwo swoje przez Skarszewskiego, a raczej Skarszewski przygotował je po cichu. U, Skarszewski chytry, musi mieć dobre uszy, że zdążył akurat pieczęć i podpis z Rzymu wydostać! Chytry, ale ja mu z serca podziękowałam, pamiętał, a metropolita petersburski nie pamiętał! Skarszewski węszył, mordował się, żeby w porę utrafić, a metropolita prawosławny wiedział bez kłopotu, a i palcem nie kiwnął – ot, *padlec!* Widzisz, ja sprawiedliwie! Trzeba ci nabożeństwa, zrób sobie kaplicę w pałacu; dlaczego nie, będziesz miała Pana Boga pod ręką.
 – Nie mów tak, religia jest podstawą wszystkiego.
 – No, podstawą, podstawą. Ja też nikomu nie przeszkadzam, byłeś mi do katedry nie jeździła, bo z tego plotki, że łacinnicy i mnie opętali, że cerkiew się chwieje, że czort wie co!
 Żaneta nic nie odrzekła. Konstanty odsapnął z ulgą i dodał:
 – Będziesz miała dzisiaj gości, kazałem przyjechać namiestnikowej, Morenheimowi z żoną, Nesselrodemu z żoną, Sobolewskiej i kilku oficerom. Przyjmiesz ich w żółtym salonie, zostaną na podwieczorku. Rozerwiesz się trochę.
 – Jeżeli o mnie chodzi...
 – Nie swarz się, nie grymas. Daj, niech cię uściskam. Rad bym z tobą, lecz nie mogę, mam cały stos papierów do przejrzania. Jeszcze buzi, uuu! Jakie to dobre! A o wczorajszym nie myśl, niech tam, przyjdzie na nas chwila odwetu. Ja im też zęby pokażę. Jeżeli będziesz potrzebowała czego, to masz pod ręką Golicyna, on ci pomoże, a co należy podpowie, zresztą niczego więcej nie umie.
 Żaneta nierada była tej zapowiedzi, bo wolałaby ze swoimi myślami zostawać, nie przyjmować gości, z którymi, poza bardzo ceremonialną znajomością, nic ją nie łączyło. Stąd, gdy wkrótce potem zameldowano Żanecie kamerjunkra, księcia Golicyna, potrzebowała nie lada wysiłku, aby ukryć niechęć.
 – Wasza Księżęca Mość mam honor z polecenia Jego Cesarzewiczowskiej Mości...
 – Czy księżna namiestnikowa? – wtrąciła nerwowo Żaneta.
 – Nie, proszę Waszej Księżęcej Mości – odparł z ukłonem kamerjunkiery – major czwartego pułku piechoty, Łukasiński.
 Żaneta ledwie uszom własnym wierzyła.
 – Major czwartego pułku, ależ nie rozumiem.
 – Major Łukasiński miał szczęście być na posłuchaniu u Jego Cesarzewiczowskiej Mości i właśnie Jego Cesarzewiczowska Mość, chcąc majorowi dać dowód swej szczególnej łaskawości, polecił mi przedstawić majora, Waszej Wysokości. Nadto wyraził życzenie, aby Wasza Wysokość raczyła zatrzymać majora na podwieczorek.

Żaneta była tak zaskoczona tym oświadczeniem, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Golicyń wyczekał z uszanowaniem i zagadnął:

– Mam wprowadzić majora?

Żaneta odpowiedziała skinieniem. Golicyń wyszedł, a po chwili zaprezentował uroczyście:

– Walory Łukasiński, major czwartego pułku piechoty.

Żaneta pochyliła z lekka głowę, ani ważąc się spojrzeć ku miejscu, gdzie o kilka kroków przed nią stał major.

Golicyń wysunął się dyskretnie z komnaty. Nastąpiło nieznośne długie milczenie.

– Wasza Księżęca Mość – rzekł Łukasiński – proszę darować śmiałość, nie odważyłbym się na nią nigdy, nie ważyłbym się tego progu przekroczyć, gdyby nie wyraźny rozkaz Jego Cesarzewiczowskiej Mości.

Żaneta wskazała ręką na krzesło.

– Proszę, bardzo miło.

Łukasiński przysiadł z dala, pod ścianą.

– Pański batalion odznaczył się dziś na paradzie.

– W łaskawych oczach naczelnego wodza.

– Cesarzewicz wróży panu, wielką przyszłość.

– Rad bym nie zawieść przepowiedni.

Żaneta bawiła się frędzlą, zdobiącą poręcz fotela. Milczenie znów zaległo komnatę.

Major wyczekał, aż podniósł się z cichym brzękiem ostróg.

– Wasza Księżęca Mość pozwoli się oddalić?

– Chciałam właśnie zatrzymać pana na podwieczorku, cesarzewicz rad by majora widzieć jeszcze.

Łukasiński poruszył się. Żaneta spojrzała ku niemu lękliwie i dodała:

– I ja byłabym rada.

– Nie wiem, czym zasłużyłem sobie u Waszej Księżęcej Mości – odrzekł zimno Łukasiński.

– Zachowałam o majorze dobre wspomnienie, pragnęłabym, aby i pańskie było nie inne.

Łukasiński pobladł.

– Ja nie mam wspomnień...

– Ach, tak, więc jeno wieszować szczęśliwego usposobienia.

– To nie jego zasługa, lecz tej przepaści, którą los rozwarł między tym, co było wczoraj, a co jest dzisiaj!

Żaneta skrzywiła się, półcień ironii przemknął po jej ustach.

– Bez wątpienia, świadczy to jednak o chwalebny poddaniu się losowi.

– Śmierć prędzej czy później do poddania zmusza.

Żanetę ukłła ta odpowiedź.

– Śmierć, tak, ale waszmość idziesz dalej, bo o mogiłach nie myślisz.

– Jeno na te mogiły nie pamiętam, które nie tylko ciało chłona, ale i duszę.

– Więc dla majora pójść własną drogą, nie podzielić jej z kimś, to znaczy nawet duszę utracić! Nadto samolubnie waszmość rozstrzygasz!

– Przeciwnie, o sobie nie myślę. Nikt goręcej nie mocen jest pragnąć, aby duch hrabianki Żanety przetrwał, aby nie znikł, aby się nie rozwiął.

– Więc cała ta zawila apostrofa zmierza ku dowodzeniu, że wczorajsza hrabianka wyprze się swego gniazda, swego imienia? Nie znasz, mości Łukasiński, tej hrabianki. Nigdy jeszcze, słyszysz waszmość, nigdy tak szczerze nie czuła się Polką, bo wszak w tę stronę kierujesz?

– Istotnie – przyznał spokojnie major – w tę stronę, lecz z inną intencją. O tym, że hrabianka Polką zostanie ani wątpilem, lecz w tym ani cnoty, ani zasługi. Ale w zamian nie ufam, aby hrabianka miała dość siły, aby została taką Polką, jaką powinna być.

– To znaczy?

– Trudno mi odrzec, na to trzeba by między lud pójść, jego rojeniom się przysłuchać. Lud już zagadał i znów śni, i znów marzy daremnie. Jedna więcej złuda nań przyszła i nic zresztą.

– Doprawdy, majorze, piękne mniemanie urobiłeś sobie o hrabiance. Otóż wiedz, że lud nie zawiedzie się, wiele dobra nań spłynie, wiele łez otartych mu będzie.

– Hm, ale na taki rezultat potrafiłaby zasłużyć i pani Gutakowska, i pani Wąsowiczowa. Lud od hrabianki ma prawo spodziewać się więcej niż dobrodziejstwa, więcej niż chleba. Lecz na usprawiedliwienie hrabianki można przyznać, że nie ona pierwsza. Nasze Polki i jaśniały, i jaśnieć potrafią wdzięcznymi przymiotami i obywatelkami bywają niepospolitymi, tylko nie władne są zamieniać się w Ryxy, Bony, Elżbiety. Lew przy Polce nic z grzywy nie traci, „ciołek” przy niej pazurów nie nabierze. Mieliśmy już i panią Grabowską, i panią...

– Mieliśmy królową Jadwigę!

– Jadwigę? – powtórzył przeciągle Łukasiński. – Pewnie, skoro jednak nie ma drugiej Litwy...

– Dla tych, którzy jej nie spostrzegają.

– Lub którzy widzą otchłań mrowia ludzkiego, w którym jeno utonąć by trzeba.

– Pomyśl, majorze, gdybyśmy zdołali ku jednej z nami religii mrowie skłonić!

– Nic dla nas, krom większego niebezpieczeństwa!

– Wspólna wiara...

– Dała nam zabór Marii Teresy!

– Czyżby nie było to dopuszczeniem boskim, czyż nie było karą nieba za upadek obyczajów, za brak wiary?

– W siebie! – dokończył żywo major.

– Jesteś waszmość masonem.

– Jestem Polakiem.

– Lecz bodaj zaślepionym, zawsze niezadowolonym, zawsze przekładającym mgły nad jasny promień światła. Przeczuwałam w waszmości demagoga, ale wyobrażałam sobie, że przecież nie na jedno zgodzić bym się z nim mogła. Zmieniłeś się, majorze.

– Mniej, niż Wasza Książęca Mość raczy przypuszczać!

– Jesteś jak człowiek, który zaczyna nienawidzić to, czego nie mógł osiągnąć.

– Nie, jestem może tylko jak ten, który szuka w nowej, ciężkiej pracy zapomnienia, który zaniechał myśli o własnej doli.

Żaneta roześmiała się oschle.

– Słuchając waszmości, można dziwować się mundurowi, który nosisz.

– Wasza Książęca Mość, dwa razy już prosiłem...

– O czym tak, o czym ci rozpowiada? – zaskrzeczał w pobliżu głos cesarzewicza.

Żaneta drgnęła. Major wyprostował się i odrzekł spokojnie:

– Jej Książęca Mość raczyła dziwić się, że chodzę jeszcze w tym mundurze...

– I słusznie, i słusznie – podjął Konstanty – pierwszy wakans na podpułkownika dla pana, dla pana! No, tak, no, tak, tylko mi fochów nie rób! Ho ho! Bo ty nie znasz jeszcze Łukasińskiego! Wiesz, co zrobił? Policmajstra na Saskim dziedzińcu sponiewierał i nie dość, że nabroił, ale jeszcze dymisji się napierał.

Tu wielki książę szturgnął żartobliwie majora pod bok.

– Nu, i Łukasińskij, Łukasińskij, a co by ja bez ciebie z czwartakami robił?!

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, oficerów zdolnych nie brak.

Konstanty mrugnął jowialnie ku Żanecie.

– He, słyszysz go! Ot, mi kołki na głowie struże! Struż, bratku majorze, i z Bogiem służ. Ja was znam! Jak się uda polskij szlachcic, to zanim raz jęzorem ruszy, trzy razy zęby ci pokaże!

XI

Rok 1820 nie ziścił nadziei Polaków Królestwa Kongresowego, nic ku lepszemu nie zmienił, żadnej chmury nie rozproszył, żadnego pytania nie rozstrzygnął, żadnego obiecywanego rozwinięcia swobód nie przyniósł, żadnego zgrzytu nie załagodził.

Jeden sejm błysnął płomieniem spokojnej a godnej opozycji, gdy mu chciano narzucić, urągającą wolności obywatelskiej, procedurę sądową. Jeden sejm przyniósł coś, niby dąsy „króla jegomości” i jakąś uwagę „o opóźnianiu restauracji ojczyzny przez Polaków”, a zresztą nic, nic zgoła, co by za wyraz tej bezbrzeżnej miłości Aleksandra dla Kongresówki poczytany być mogło.

Cesarzewicz Konstanty po dawnemu parady odprawiał, katował ofiary swego niehumoru, sforę szpiegów trzymał, karał, kogo chciał, mimo sądy i kodeksy. Po dawnemu był postrachem wszelkiej biedoty ulicznej, po dawnemu drwił z konstytucji, po dawnemu rozkazywał i namiestnikowi, i ministrom, i radzie stanu, po dawnemu życie Kongresówki, a i Litwy zatruchiwał małostkowością ciasnego rygoru, nikczemnością ładu, którego alfą i omegą był guzik, sztych, służalczy ukłon i ślepe posłuszeństwo.

Tak, rok 1820 nic nie dał Polakom kongresowym, bo ani wspominał o przyłączeniu doń wschodnich ziem polskich, bo miał ziemie te równymi z Królestwem obdarzyć prawami, skazywał je na zaciskające się co dnia pazury Nowosilcowa.

Rok 1820 zawiódł Polaków, zawiódł ich, ile że ci nie przeczuwali, że rok ten był już rokiem przełomu, rokiem przejściowym od kilku lat pogodnych do coraz mroczniejszych, coraz groźniejszych, że przyszłość najbliższa długo jeszcze każe im czekać na takie lata wytchnienia, na załamanie cierniowej drogi, że odtąd po latach obłudy, po latach komediantwa pigmejów, zaimprovizowanego na grobie geniuszu napoleońskiego – nastaną lata szczerości.

„Anioł pokoju” już w roku 1821 rozgniewał się na zaburzenia włoskie. Kazał armię gotować na odsiecz Austrii, a w Lublanie, na kongresie, tak po cesarsku przemówił, że aż Metternich zarechotał z radości.

Wiść o mającym nastąpić marszu wojsk rosyjskich na Włochów, zwichrzyła Polaków i może by doprowadziła ich do desperacji, gdyby nie okoliczność, że Austria zdążyła się sama rozprawić z powstaniem.

„Aniołowi pokoju” nie podobała się taka krnąbrność polska.

Właściwie ta krnąbrność wyraziła się najmocniej w denuncjacjach i relacjach szpiegów, lecz i tej było dosyć, aby Aleksander zjechał do Warszawy groźny, zasępiony.

Zresztą dla świadomych charakteru, a raczej „niecharakteru” Aleksandra tyle tu zawinili Polacy, ile to dogadzało kameleonowi. Dworacy petersburscy w lot pojęli, że paroksyzm liberalizmu cesarskiego minął i że nie tylko Polska, ale i konstytucja wszelka przestały być w modzie u Aleksandra. W Warszawie na tym się nie poznano i starano się rozpozgodzić królewskie oblicze. Nie na wiele się to zdało.

Cesarz Aleksander bowiem wcale nie żywił wyłącznego do Polaków żalu o przemykanie sympatii dla Włochów, jeno w ogóle nie podobały mu się znamiona ruchów wyzwoleniczych, które odzywały się nie tylko w Europie, ale nawet w Rosji. Nie podobały mu się, bo przywodziły na myśl Rewolucję Francuską, bo były niegodziwym sięganiem po to, co monarsze wolno było wspaniałomyślnie nadać, lecz o co wara było ludowi się upominać, bo nareszcie Metternich miał teraz u Aleksandra rację, a Arakcejew zaufanie.

Oczywiście zmiana światopoglądu cesarza stała się znakomitą sposobnością do wygłaszania kilkudziesięciu zdań świadczących, że „anioł pokoju”, jeżeli inaczej zamierza, to znów dla miłości i dobra poddanych. Najlepszym zaś dowodem, jak gorąco wciąż troszczył się „król odnowiciel” było, że gdy po powrocie z Lublany okazano mu deficyt w budżecie Kongresówki, cesarz tak się zmartwił, że miast lepszej gospodarki się domagać, oświadczył czarno na białym, iż taki rezultat budzi wątpliwość, czyli Polska ma zażywać samodzielnego bytu politycznego, czy nie.

Tymczasem koniec roku 1821 przyniósł Kongresówce nakaz zamknięcia łóż wolnomularskich i skonfiskowania znacznego majątku masonom. Była to klęska, klęska wielka.

Wolnomularstwo na ziemiach polskich skupiało w owych czasach wszystko, co nie trwało w obskurantyzmie, co zabiegało o rozwój kraju, o podniesienie ludu, o kształcenie ducha, o trwanie jaźni polskiej.

Po zamknięciu łóż zaczęła się nagonka na wszelki pełniejszy odzew, na lada świstek zadrukowanego papieru, na lada pozór wolnomyślności. Tu chwymano niesforenego delegata komisji wojewódzkiej, co się do litery prawa zbyt uparcie odwoływał; tam zakuwano w dyby młodzieńca, który z szeregów rewolucji neapolitańskiej wracał; ówdzie ciągnięto na rozprawy ojca, że syn za granicę bez zezwolenia cesarzewicza wyjechał i hen z burszenszaftami niemieckimi się zadaje. A że nie trzeba było dla potępienia obwinionego ani świadków, ani dowodów, przeto najspokojniejsi obywatele wydani byli na łaskę szpiegów i zauszników.

Kongresówka miała i konstytucję, i jawność sądów, i nieprzebraną ilość przywilejów, chroniących wolność osobistą, lecz te przywileje nie istniały tam, gdzie działali Lubowidzki, Gendre, Fanshawe, Makrot golibroda, Nowosilcow, Różniecki generał i Skrobecki, zbir w mundurze kapitana. Tu znaczyły tylko pieniądze, kogo stać było na okup, ten mógł spać spokojnie.

Równocześnie jednak ten pościg wzmożony mijał się z celem, a raczej wbrew celowi własnemu działał, bo to, co było dotąd jawnym, krył w podziemiu, co było dotąd niezdecydowanym, do działania burzył, podniecał, spychał na kraniec, zaostrzał czujność, a lada stowarzyszenie podejrzliwością do rewolucjonizmu wiódł.

Patrioci polscy za szpiegostwo sfory cesarzewicza odpowiedzieli kontrszpiegostwem, zacieraniem śladów, większym rygorem wtajemniczenia, szybszym gotowaniem się do czynnego wystąpienia, bo już określonym na chwilę wymarszu armii rosyjskiej do Włoch.

Tymczasem najniespodziewaniej uwaga szpiegów wielkiego księcia zwróciła się ku temu, na którego taki Makrot nawet w wyobraźni nie śmiał oczu podnieść.

Rzecz miała się tak.

Cesarzewicz juści najusilniej baczył, aby gangrena ruchu patriotycznego nie szerzyła się w wojsku i dlatego strzegł, aby najbłahsze oskarżenie, zwrócone przeciwko wojskowemu, było z całą surowością osądzonym. Ponieważ zaś dotychczasowi członkowie sądu wojennego niejednokrotnie według Konstantego bywali nadto pobłażliwi, przeto cesarzewicz mianował nowych oficerów na członków sądu wojennego i to oficerów, których poczytywał za zgoła pew-

nych; a między tymi majora Łukasińskiego. Nadto zaś, chcąc raz na zawsze wykluczyć wyroki nie odpowiadające swemu przeświadczeniu, wielki książe zaprowadził bardzo dogodnie dla sędziów uproszczenia. Mianowicie, cesarzewicz przed sprawą rozpatrywał akt oskarżenia i odsyłał go do sądu wraz z gotowym wyrokiem.

Przypadek zdarzył, iż dwa pierwsze posiedzenia nowego sądu wojennego zeszyły się w wyrokach z życzeniem księcia. Lecz na trzecim, gdy już nie dyscyplinarne przestępstwo, lecz sprawa polityczna przyszła – Łukasiński nie tylko sam oparł się podpisaniu potępiającego wyroku, lecz i tak gwałtownie wystawił kolegom niegodziwość podobnego sądu, że ci wbrew rozkazowi uwolnili oskarżonego.

Cesarzewicz zawył z wściekłości na taką zdradę, a ponoć nie tyle o wyrok mu szło, ile o to, że ten bunt wywołał major czwartego pułku, ulubieniec, faworyt – Łukasiński!

W majora uderzyła niełaska, odesłano go do Krasnegostawu, do pułku księcia wirtemberskiego na reformę, a więc na pół żołdu, na usunięcie z listy starszeństwa do awansu.

Wkrótce potem konsul pruski, Schmidt, który od chwili wzmożenia terroru był nie tylko osobistym przyjacielem Gendre'a i Fanshawe'a, lecz i u samego cesarzewicza zwiastunem nowin z Księstwa Poznańskiego i gorliwym szpiegiem, doniósł o słuchach, mówiących o bliskim powstaniu, i wymienił nazwisko Łukasińskiego.

Cesarzewicz wezwał majora do siebie, lecz że dowodów nie miał, a Łukasiński ani mrugnięciem powiek się nie zdradził, przeto sprawa skończyła się na niczym.

Ale tego starczyło na podwojenie czujności szpiegów, na wyteżenie usiłowań.

Skrobecki całą swoją sztukę rozwinął, więc zaczął się; a urobiwszy kamrata swego, Karnickiego, wysunął go na połów. A że jeszcze na Karnickim nie polegał, tedy upatrzył sobie teższe narzędzie, bo dymisjowanego pułkownika wojsk Księstwa Warszawskiego, Szejdera.

Pułkowniczyso nie był orłem, ale nie był żadnym niegodziwcem, a jako napoleończyk cieszył się i mirem, i poważaniem. Aliści Szejder miał nie lada grzech na sumieniu, bo aż trzy żony w różnych stronach świata podczas tułaczki napoleońskiej poślubione. Długo Szejder dychał sobie w Warszawie z trzecią połowicą, ciepłą wdówką, a siedział jak trusia, nie dając znaku życia ani swej pierwszej połowicy, Francuzce, ani swej drugiej, Niemkini. Gdy naraz do kwatremistrzostwa generalnego nadeszło zapytanie przez konsula francuskiego, co się stało z takim a takim Szejderem, którego żona pod Paryżem daremnie wyczekuje. Zapytanie wpadło najpierw w ręce Skrobeckiemu, jako adiutantowi Haukego. Skrobecki jeszcze nie zdeklarował się, ile za ukrycie sprawy zażądać od płochego pułkownika, gdy już i druga żona, Niemkini, o małżonka się upomniała.

Skrobecki powziął szatański plan. Więc najpierw zadenuncjował Szejdera do cesarzewicza. A gdy nad pułkownikiem zawisł kryminał, poszedł doń z zapowiedzią przebaczenia pod warunkiem, że Szejder ku Łukasińskiemu się przybliży, zaufanie jego posiędzie i zdradzi.

Pułkowniczyso wił się niby piskorz, prosił, stękał, zaklinał, byle go nie gubić, a tej misji oszczędzić. Skrobecki zawlókł Szejdera do Fanshawe'a, a wreszcie stawił przed cesarzewiczem. Konstancy nie zawahał się potwierdzić układu. Pułkownik uległ.

W kilka tygodni później Łukasińskiego, a z nim siedmiu innych patriotów zakuto w kajdany i osadzono w więzieniu u Karmelitów.

Cesarzewiczowi zdawało się, iż pochwylił teraz główne nici knowań, lecz się łudził. Najsroższe tortury nie potrafiły nic dobyć z więźniów. Dwóch z nich czując, że słabną, że zadawane im męki wyczerpują ich siłę woli, odebrało sobie życie. Reszta, z Łukasińskim na czele, i słowem nie zdradziła organizacji, ani jednego nie wymieniła nazwiska.

Komisja śledcza, choć była na tropie, choć węchem gończym wiedzioną, miała na oku takich ludzi, jak podpułkownik Prądzyński – przecież wobec braku pozorów, wobec nieugiętego milczenia więźniów, musiała ulec i poprzestać na wywarciu pasji na czterech głównych ofiarach, a szczególnie na Łukasińskim, który chcąc towarzyszyów ocalić, na siebie winę całą zwał.

Złożono tedy sąd nadzwyczajny, drwiąc sobie z przepisów prawa, a bacząc na przeświadczenie wielkiego księcia. Na sądzie co Szejder zeznał, to Skrobecki z Karnickim zaprzysięgli; no, a prezydujący Hauke za dowody poczytał. Wyrok zresztą był gotów od dawna: czterech poszło na ciężkie roboty, Łukasińskiemu dostało się najwięcej, bo siedem lat.

Proces ten, ciągnący się z górą dwa lata, juści był tylko jednym z epizodów w szerokiej działalności wielkiego księcia i jego zauszników.

Cesarzewicz nie ustawał w energii, nie pomijał niczego, niczego nie lekceważył, żadnej sprawy nie poczytywał za błądą.

Dość było Rymskiemu-Korsakowowi donieść, że w gimnazjum wileńskim uczniowie piątej klasy poważyli się jakieś „nieprzyzwoite napisy” w szkole umieścić, aby wnet Nowosilcow otrzymał rozkaz wszczęcia surowego śledztwa, aby kancelaria cesarska odebrała sążnisty o tym raport, aby smyków i wyrostków rozmaitych wleczono na rozprawy polityczne, aby rodziców gnębiono, aby „buntowników” wypędzano z uczelni.

Dość było Gendre’owi bąknąć o tym, że na teatrze padł jakiś wyraz, przywodzący na myśl niepodległość Polski, a teatr trząśł się, a dygotał w posadach pod gromami cesarzowicza.

Tam, gdzie się nikomu nie śniło, tam zausznicy Konstantego umieli dopatrzeć się aluzji, apostrofy, przemycania rewolucyjnej idei, tam uderzała karząca pięść wielkiego księcia.

A konstytucja, a gwarancja, a przywileje obywatelskie? Ano te niby trwały, niby obowiązywały, niby istniały, ale juści nie wówczas, kiedy „wiedzimisię” cesarzowicza chciało inaczej i nie wówczas, kiedy „anioł pokoju” nie był konstytucyjnie usposobionym.

Ba, ale powoli i te martwe ustawy, i te, suchotniczy żywot wiodące, paragrafy, doczekały się uzupełnień.

Więc kiedy postawie kaliscy nadto żarliwie na drugim sejmie w 1822 roku oponowali, a Rada Wojewódzka Kaliska w dalszym ciągu tych samych posłów zaufaniem darzyć pragnęła, to starczyło podpisu Aleksandra, by całe województwo spod prawa wyjąć i w przywilejach ograniczyć.

A wkrótce po tym akcie, już bez żadnego widomego powodu, nowy akt, tuż przed zwołaniem trzeciego sejmiku wydany, zniósł jawność obrad w izbach.

Kongresówka zatrzęśła się w posadach. Ludzić się mogli jeno obłąkańcy, jeno samobójcy. A przecież jeszcze usiłowano się ludzić i łudzono się podobno zawzięcie.

Legitymistów różnego autoramentu było co niemiara.

Tedy u szczytu, tuż za bandą zauszników i faworytów, liczna czereda tych, którzy jak Rautenstrauch, Krasiński Wincenty i Lubecki minister, dorwawszy się władzy, siły, zaszczytów i orderów, liczyli się tylko z Petersburgiem i własną karierą. Za nimi był znaczny odłam panów i panków, wystrojonych w hrabskie, baronowskie i margrabiowskie tytuły, pozbierane z całego świata na szlacheckich herbów zachwaszczenie; no i panków, rojących o zdobyciu po prostu nowej konstytucji, i takiej, która by im, jako „arystokracji”, przewagę zapewniła, szlachcie nie utytułowanej dała ochłap, a mrowie ludzkie zapędziła w dyby posłuszeństwa, juści dla arystokracji.

Dalej legitymistą zdecydowanym było duchowieństwo, bo choć mu ukaz carski jezuitów wypędził, lecz za to nowy prąd polityki tak zajadle na religijność zważał, religijność zalecał, do Jezusowych słów o groszu cesarskim się odwoływał, a wszelką dewocję popierał, że lada infulat przekonany był, iż starczy za Petersburgiem iść, by całą Rosję na katolicyzm przenieść, czyli bez mała samego Mikołaja cudotwórcę Polakiem zrobić.

Oczywiście za plecami duchowieństwa kupiła się gromada klerykałów; a więc tych, którzy Pana Boga wikłają w każdą najbłahszą intrygę, a każdą prywatę potrafią tak zabełtać dogmatami, że dogmat religijny staje się u nich prywatą, a prywatą religijnym dogmatem. No, a na końcu tego oddziału legitymistów była jeszcze spora garść zbieraniny wszelakiej, zbieraniny samolubnej a sytej, tchórzliwej a chciwej; zbieraniny, w której obok takich pijawek, bogacą-

cych się na szynkarstwie, jak Newachowicz, nie brakło ani tak znacznych oficerów, jak generał Blumer, ani tak mizernych parweniuszów rangi, jak Puchała-Cywiński.

Kongresówka łudziła się, legitymiści hukali, dzwonili ostrogami, rozprawiali, przekonywali, choć przeciwników nie widzieli, choć nikt otwarcie im nie oponował, choć z nizin, z pogłowia milionów wciąż głusza śmiertelna, grobowa jedyną była im odpowiedzią.

I legitymiści wpadali w rozdrażnienie. Do tym gwałtowniejszych zabierali się oracji, tym teższe wysuwali argumenty na obalenie innego poglądu, lecz znów też sama głusza biła z nizin. Nic się tam nie działo, nic nie mówiło, zda się, nawet niczego już się nie czuło.

A jednak, komu na początku roku 1825 starczyło rzutu, aby ogarnąć bezmiar przeszłości, która oddzielała Kongresówkę od tego, czym była jeszcze cztery lata temu, jeszcze w roku 1820, ten może uląkłby się i tego odrętwienia nizin, i tej głuszy.

Ale tak baczących, tak spostrzegawczych nie było między legitymistami, a zwłaszcza między tymi z nich, którzy bądź świadomie, bądź nieświadomie tę przepaść ryli, pogłębiali, a którym zdawało się, że właśnie budują mosty, sypią groble, zacierają granice.

Lecz jeżeli i najzarliwszych stronników Aleksandra, cesarzewicza, Lubowidzkiego, Gendre'a czy golibrody Makrota zdejmował niekiedy niewytłumaczony niepokój, potrzeba przekonywania samego siebie, uspokajania w sumieniu, toć podobne uczucie nie mogło mieć przystępu tam, gdzie za cały widnokrąg służyły wciąż te same złocone kraty, okalające podjazd Belwederskiego pałacu, gdzie każda myśl, każdy wyraz, każde drgnienie twarzy ludzkiej przechodziło przez ceremoniał dworski, przez mózg służalca, przez skrytość dyplomaty, przez uśmiech pochlebcy, przez nieufność przechodnia, przez krzyżowe ognie, czających się pod zwałami szczecinowatych brwi, oczu wielkiego księcia.

Tak, i tego uczucia niepokoju nie zaznała dotąd Żaneta Grudzińska, nie zaznała księżna łowicka, nie zaznała ta, którą niedawno uważano za jutrzenkę nowego, lepszego życia, za odkupicielkę, za niechybną opiekunkę i sprawy polskiej niezawodną orędowniczkę. Co więcej, Żaneta nie rozumiała nawet, dlaczego teraz twarz ludu nie goreje ku niej, dlaczego witającym ją tłumom brak tych falistych poruszeń, dlaczego te żwawe, ochocze tłumy tak oziębły, tak szcerniały. I Żaneta i tę zmianę przypisała tej samej fatalności, która wokół niej przeinaaczała, wszystko pokrzyżowała.

Tak, tak, i ludzie, i wypadki, i plany, i rachuby – wszystko w oczach księżny łowickiej na opak poszło, wszystko nie tak, jak ona chciała, jak zamierzała, jak można było, jak należało uczynić.

I co mówić o obcych, kiedy nawet wśród swoich, wśród najbliższych, wśród rodzonych nic, jeno zawód za zawodem, gorycz za goryczą spotykała Żanetę.

Zaczęło się od przyjazdu podpułkownika Dezyderego Chłapowskiego do Warszawy na zaręczyny z Antuanetką.

Księżna łowicka jak najmilej powitała przyszłego szwagra, boć szło tu o ukochaną siostrę, boć uczucie głębokie wiązało przyszłą parę, boć na koniec podpułkownik Dezydery nie tylko, że dorodnym był mężczyzną, lecz i zalety charakteru łączył już z nie lada zasługami i zacnym rodem.

Naturalnie Żaneta uczyniła wszystko, byle cesarzewicza dobrze dla podpułkownika usposobić, a ku podpułkownikowi zbliżyć.

Już pierwsze spotkanie Chłapowskiego z wielkim księciem niefortunnie wypadło, gdyż dawny oficer ordynansu Napoleona od razu postawił się Konstantemu tak, że cesarzewicz, choć nigdy rezonu, i pewności siebie nie tracił, wobec męską powagą a wolą nacechowanego oblicza podpułkownika skonfundował się i ledwie na kilka wyrazów się zdobył.

O wiele gorzej poszło zebranie, które Żaneta na intencję Antuanety wyprosiła u cesarzewicza.

Na zebraniu tym bowiem Konstantemu przyszło do głowy popisać się ze swoim ulubionym konceptem przedrzeźniania polskich mów pogrzebowych, które polegało na tym, że

wielki księżę ściągał mundur i zarzuciwszy go na ramiona, i spiąwszy na guzik pod szyją, odrzucał w tył rękawy i w ten sposób niby wyloty i kontusz udawał. A dalej już plótł trzy po trzy, zazwyczaj drwiąc z jakiegoś niedawno pochowanego nieboszczyka.

Tym razem ofiarą humoru cesarzewicza stał się pułkownik szwoleżerów, bohater spod Somosierry, Kozietułski, żołnierz dzielny, poważny, bliznami okryty. Kozietułski zmarł był właśnie, i to po dwóch latach oblężania.

Jakoż wielki księżę, zaimprovizowawszy swój kontusz, odezwał się ku uciesze dworaków:

– Nu, ja państwu pokażę mowę! – I odchrząknawszy, zaczął z patosem cudaczną polszczyzną:

– Mościa panowie, bracia szlachta! *Dominus vobiscum*, a my otóż stoimy nad zwłokami, znów my nad zwłokami, znów my nad tym, o którym świnty Sobieskij popuszczał pasa, o którym lży się cieką! Och, tak! Och, tak! Pan Kozitulułskij, starościc pulskij, póty szarżował, aż na śmierć zwariował, póty Bonapartu służył, aż się u Żydów zadłużył, póty ojczyzny brunił...

W tym miejscu Konstanty tak uradował się własnemu dowcipowi, że chciał wybuchnąć serdecznym śmiechem, gdy naraz wzrok jego spotkał się z surowym, groźnym spojrzeniem Chłapowskiego. Cesarzewicz zmieszał się, zmarszczył i urwał.

W salonie zaległa cisza. Polacy milczeli, Rosjanie jakby się zawstydzili. Ale Konstantego i tak złość żgnęła. Do Chłapowskiego podszedł i mruknął po francusku:

– A panu, to się nie podoba? Co?

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, o tym, co mnie się podoba, nie może być mowy.

– Jak to? Co? Mów pan, proszę!

– Jako chrześcijanin mam cześć dla śmierci, a jako żołnierz szanuję pamięć walecznych.

Cesarzewicz odwrócił się od Chłapowskiego i poszedł do swoich pokoików, zebranie skończyło się bez wielkiego księcia.

To zajęcie zasmuciło Żanetę. Wszak i ona sama, może mocniej, niż kto inny, odczuwała niewłaściwość tych produkcji karykaturalnych i oddziaływała, aby się nie powtarzały więcej. Czemuż jednakże Chłapowski tak poważnie rzecz wziął, czemuż dla świętego spokoju bodaj nie udał, że nie słyszy?

Od tej chwili cesarzewicz strzegł się spotkania z Chłapowskim, a pomimo tego jeszcze tyle dobrej woli objawił, że gdyby Dezydery był odrobinę politykiem, to bez trudu zjednałby sobie wielkiego księcia, a kto wie, jakie stanowisko by zajął.

Księżna łowicka bezstronnym była świadkiem.

Konstanty wszak nie zawahał się dowieść swej życzliwości dla Antuanetki. Więc najpierw zezwolił Żanecie jechać na wesele w Poznańskie, a nadto sam się nastęrczył z tytułem hrabiowskim dla pułkownika. Chłapowski wszakże na pierwsze słowo o tytule, odrzekł porywczo:

– Za kampanię dwunastego roku nic mi się od cesarza rosyjskiego nie należy! A z Napoleonem jesteśmy na kwit.

Ta odpowiedź rozeszła się i nim Żaneta z Poznańskiego powróciła, już wiedział o niej Konstancy.

I nie tu jeszcze koniec dziwactwa Chłapowskiego. Coś po dwóch latach cesarzewicz, zapomniawszy widocznie urazy, z własnej intencji posłał Antuanetce wspaniałą szubę sobolową. Szuba powróciła z Poznańskiego z podziękowaniem i oświadczeniem pułkownika, że pani Chłapowska nie jest taką magnatką, aby w królewskich szubach chodzić.

Gożej o wiele poszło z Waclawem Gutakowskim. Nie było tu żadnej ze strony Gutakowskiego nieostrożności czy niepolityczności, a już tylko jedna z wielu właściwości usposobienia wieliego księcia.

Cesarzewicz był przekonany, że cesarz Aleksander szpieguje go i że trzyma umyślnie swoich adiutantów Polaków w Warszawie, aby mu donosili o wszystkim. A ponieważ do

Gutakowskiego czuł przy tym niechęć, której Żaneta nigdy wyrozumieć nie zdołała, przeto zobaczywszy raz Gutakowskiego na przyjęciu u Zajączka, odezwał się z przekąsem:

– *Les aides de camp de l'empereur, au lieu de faire leur service à Petersburg, mangent ici l'argent du gouvernement.*

Gutakowski opuścił natychmiast bal, a nazajutrz podał się do dymisji.

Żaneta uczyniła wszystko, byle Gutakowskiego do cofnięcia dymisji skłonić, a z Konstantym pojednać. Cesarzewicz uległ przedstawieniom Żanety, lecz Gutakowski pozostał niewzruszony.

A że ten wypadek nastąpił równocześnie prawie z konfliktem między Chłapowskim a cesarzewiczem, przeto już w rok po ślubie Żaneta jęła się oddalać od sióstr.

Prawda, Żaneta wmawiała w siebie, że zatargi szwagrów z Konstantym w niczym nie zachwiały jej siostrzanych uczuć. Ba, i pisywała do Antuanety, i o Józefinę się dopytywała, i starała się widywać je, i interesowała najdrobniejszą ich troską, ich radością, i w zamian starała się im powiadać o sobie. Były to wszakże jeno wysiłki, jeno chęci. Oddalenie bowiem, różnica stanowisk, różny kąt poglądania na świat i ludzi, a nadto ruda głowa cesarzewicza, śledząca każdy wyraz odebranego przez Żanetę pisma, co dnia nawet serdeczny stosunek do Chłapowskiej, jeżeli nie podkopywała wprost, to go sprowadzała do banalnych wynurzeń, do coraz ogólniejszych napomknień. Tak, bo co dnia Żaneta miała więcej tajemnic, bo co dnia mniej miała do powiedzenia, bo co dnia więcej obawiała się, by nie rzec za wiele.

I stosunek księżny łowickiej do marszałkostwa także chłódł, stygł i znów nie z winy Żanety. Pani Brońcowa miała wciąż niezliczoną ilość spraw do załatwienia, a Żaneta rzadko mogła uczynić zadość życzeniu matki; stąd kwasy. Pani Brońcowa wymawiała córce niezadarność, nieumiejętność, a przy tym do najbliższej rozmowy tyle wplątywała napomknień, tyle ważkich nawiasów, iż każde widzenie się z Żanetą stawało się dla tej ostatniej mordującym. I tym cięższym, że cesarzewicz przy lada sposobności pomstował na rozrzutność państwa Brońców, a nim prośbę zadowolili, zawsze brutalnymi wymówkami bluzgał.

A że w dodatku urząd marszałkowski pana Brońca musiał tym surowszą zachować odległość wobec małżonki wielkiego księcia, boć jemu był poddanym, więc etykieta, ceremoniał dworski do reszty ziębił to, czemu i tak zbywało na ciepło.

Tego zaś ciepła nie dostawało bardzo Żanecie. Dowodem, iż nie wahała się uczynić kroku do ojca, do hrabiego Grudzińskiego. A po widzeniu się z nim w Poznańskim, podczas pobytu swego na weselu Antuanety, zaprosić go do Warszawy.

Pan Grudziński zjechał, przyjęty z całą atencją, bo cesarzewicz sam zaproponował Żanecie wyjazd na spotkanie ojca. I zamieszkał w Belwederskim pałacu.

Żaneta nie posiadała się z ukontentowania. Aliści na drugi dzień, po dłuższej rozmowie z cesarzewiczem, piękne czoło pana Grudzińskiego zasnuło się troską i odtąd jakiś przymus, jakiś wysiłek cechował każde jego odezwanie się. Konstanty udawał, że tego nie spostrzega, i na swój sposób starał się rozruszać teścia, lecz pan Grudziński trwał w grzecznej rezerwie.

Raz jeden tylko, gdy sam na sam był z córką, zagadał o sprawach publicznych. Ale zaledwie Żaneta nadmieniła mu o swoich własnych przekonaniach, jeno potrząsnął głową i od razu o powrocie w Poznańskie zagadał. Wreszcie, po tygodniu, Order Włodzimierza wziął z obojętnym półśmiechem i słowem nie wspomniawszy o swym nieświeżym położeniu majątkowym i nie zauważywszy nawet wymownego oświadczenia cesarzewicza, że gotów jest teściowi czymś się przysłużyć – odjechał.

Konstantego ubodło zachowanie się Grudzińskiego, nazwał go „skrytym szlachcicem” i ani słyszeć nie chciał o ponowieniu zaprosin. Pan Grudziński zresztą, choć pisywał do córki czasami, lecz z powtórными odwiedzinami także nie spieszył.

Żanetę więc i tu zawód spotkał, więc i tu dobre jej intencje rozwiały się.

Gorzej jeszcze wiodło się Żanecie z relacjami towarzyskimi.

Prawda, tych relacji miała Żaneta do przesyty, ale nie takich, jakich pragnęła. Nigdzie szczerości, nigdzie wylania, nigdzie prostoty, a co kroku też same wytarte liczmany komplementów, uśmiechów, uprzejmych pochyłeń głowy i co kroku pułapki polityczne, samotrzaski intryg, ambicyjek i zakusów osobistych.

A jeżeli poprzez zawały ministrowych, generałowych, mitr i koron hrabiowskich, serce Żanety dostrzegło z dala jakąś lepszą czy mniej opuklerzoną osobę, to dość było księżnie łowickiej zbliżyć się do niej, żeby i ta inna przeistaczała się w przeciętną, bardzo przeciętną. Szukać zaś bratniej duszy Żaneta nie miała prawa, gdyż już i z generałowymi nakazano jej strzec się konfidencji, a wiele co najprzedniejszych dam nie dopuszczano do Belwederu.

Prawda, że z początku bywało inaczej, że z początku kto z Polaków mógł dotrzeć do księżnej łowickiej, ten ze zwierzeniami spieszył, ten rozpowiadał jej o więźniach, którzy cierpią niewinnie, o ludziach, których niesłusznie pozbawiano chleba, o niegodziwości tego lub owego urzędnika, o samowoli i konstytucji, i o tym wszystkim, o czym najmniej chciała, najmniej mogła mówić. Żaneta, pomimo tego, nie okazała nikomu niezadowolenia, przeciwnie, z całą dobrocią i otwartością odpowiadała, że są to sprawy dla niej niedosiężne, do których ona mieszać się nie może, a które w istocie nie muszą być tak straszne, gdyż o ile idzie o cesarzewicza, to ten, przy całej zwawości usposobienia, najlepszego pragnie, w czym w zupełności akomoduje się do życzeń jego cesarskiej mości.

Ale snadź odpowiedzi źle były zrozumiane, źle pojęte, bo ci sami, którzy tyle żalów przed nią roztaczali, raptem umilkli i skryli się za mury dworskiej układności.

Co smutniejsze, iż Żaneta niejednokrotnie przekonała się, że czarne było białym, że po prostu ludzie na opak sobie tłumaczyli dobro, że miast współdziałać zacynym pragnieniom przewodników, zatruli im każdą pracę, niweczyli. Żaneta przekonała się niejednokrotnie, jak często lichymi były te poszepty. Bo już nie Konstanty, nie Nowosilcow, nie radca Morenheim, ale tacy, jak biskup Skarszewski, oczy jej otworzyli na wartość tych bajek, pochodzących z kuchni Niemcewicza, pani Wąsowiczowej i tych podobnych puszczyków.

Księżna nie była zaślepioną, wszak i ona potrafiła ująć się za sprawiedliwością, wszak nikt tak blisko, jak ona, nie stał u krateru wulkanu, wszak nikt tyle na uspokojenie go nie pracował.

Żaneta w ciągu kilku lat wiele przeszła, wiele przetrwała, ale i osiągnęła już wiele, niezmiernie wiele. Toć dawniej nie było tygodnia, aby cesarzewicz, wracając z parady lub z objazdu koszar, nie przywiózł ze sobą jakiegoś nieszczęśliwca w kabrioletcie do pałacu i nie kazał go sieć różgami do krwi.

Czasami to bywał żołnierz, który uchybienia się dopuścił, a którego Konstanty na uczynku pojmał; a czasami bywał po prostu obdartus, półidiota, który na ulicy tak się nie spodobał księciu, że go sadzał obok siebie i wioził do pałacu na baty. Czasami zdobyczą cesarzewicza bywał wyrostek, pachole, a czasami kobieta nierządna.

Tych kobiet szczególnie nienawidził Konstanty. Dość mu było, żeby taka nastęrczyła mu się na drodze lub oczy ku kabrioletowi księcia podniosła, a cesarzewicz już ją zagarniał i ani myślał pacholkom oddawać, lecz rad był ich wyręczyć. A potem w stajniach pałacowych kazał jej głowę golić forysiom i dopiero sieć w swojej obecności.

Żaneta długo walczyła, długo przekładała, aż dopięła swego. Cesarzewicz przestał zwozić do pałacu delikwentów. I dla służby pałacowej za wpływem Żanety cesarzewicz złagodniał. A choć i teraz jeszcze tłukł ze złości serwisy przy stole, a rzucał kałamarzem, to przecież już nie w lokajów i nie w pacholków.

Tak, tak, ludzie nie spostrzegli, pojęcia nie mieli, ile ona już uczyniła dobrego, ile zniosła ku skłonieniu cesarzewicza do większej oględności, do panowania nad sobą.

Jeszcze i teraz zdarzało się niekiedy, że Konstantego wybuch gniewu uniósł za daleko, ale za to teraz jakże często, jakże szybko cesarzewicz rehabilitował się, jak gorliwie o nagrodzenie krzywdy zabiegał.

Ale i tych wybuchów było nieskończenie mniej, coraz mniej, stanowczo mniej. Toć dawniej Żaneta prawie z dnia na dzień dowiadywała się jakiejś ponurej historii. A teraz czasami i miesiąc upłynął tak spokojnie, że i gadatliwa Różia, która miała lepsze niż dawniej źródła, bo i przełożoną nad pokojowymi została, i żoną kamerdynera Kochańskiego, nie miała żadnej plotki, żadnej wieści dwuznacznej.

Ach, i niezawodnie cesarzewicz wyzbyłby się i reszty zapalczywości, gdyby go ludzie znali tak, jak go znała Żaneta; gdyby wiedzieli, jak zacne w gruncie serce cesarzewicza boleje na niewdzięczność, jak szczerze dobra i zawsze dobra pragnie.

Ach, bo czy komu przyszło na myśl, ile goryczy przyniósł wielkiemu księciu choćby jeden proces Łukasińskiego? Wszakci ze łzami w oczach wyrok podpisał. A jeszcze, gdy Żaneta, pomna na dawną z majorem znajomość, o złagodzeniu kary napomknęła, cesarzewicz odrzekł z całą prostotą:

– Za to, że służby pilnował, no to niech ma, zamiast dziewięciu lat ciężkich robót, siedem, ale z taczkami na łańcuchu.

A potem, nie chcąc dla siebie szukać chluby z tej wspaniałomyślności, wyrok do Petersburga odesłał, aby cesarz to ułaskawienie podpisał.

Lecz zaślepieniu ludzi, którzy z Łukasińskiego ofiarę zrobili, dziwić się niepodobna: ile że i ona, księżna łowicka, w pierwszej chwili uległa temu wrażeniu i dopiero po pewnym czasie przekonała się, że major dwakroć zawinił, bo i lud na obłęd rewolucyjny chciał wieść i na manowce pogańskiego życia. W programie Łukasińskiego występny, źle pojęty patriotyzm schodził się z masoństwem, z knowaniami przeciwko Kościołowi. I Żaneta Bogu dziękowała, że uchronił ją przed zapałami tak szalonego człowieka, a każde wspomnienie o Łukasińskim miała sobie za podszept złego, za przestrożę.

Tak, cesarzewicz miał może strony ujemne, ale ileż dobrych, ileż szlachetnych! Gdybyż na przykład Żanecie wolno było odsłonić przed światem bodaj tę jedną okoliczność, że cesarzewicz przez miłość do Polski, przez miłość do Warszawy złożył do rąk cesarza pisemne zeznanie, iż zrzeka się korony na rzecz brata, iż nie czuje się ani zdolnym do dźwigania berła, ani dość silnym do podołania tak wielkim obowiązkom. A Konstanty uczynił to dobrowolnie i jedynie, aby mógł do śmierci Polską i Litwą władać, aby mógł do śmierci swej nowo poślubionej ojczyźnie przewodzić. I uczynił to nie dlatego, żeby uchronić się od intryg, które partia Arakczejewa rzekomo snuła ku skłonieniu cesarza do odebrania bratu naczelnego dowództwa i wielkorządztwa polskiego, lecz właśnie dla zadokumentowania swego zupełnego oddania sprawie, ku prowadzeniu której czuł się cesarzewicz już zupełnie zdolnym.

Ale o tym nie wolno było mówić Żanecie, boć była to tajemnica stanu, i wielka tajemnica, i tajemnica, która dumą przejmowała księżnę, bo jej wpływ ubogi zdziałał, że ten układ został zawarty i że harmonia niezmacona zapanowała między braćmi.

Tak, tak, w przeciwieństwie do tych, od których miłości i przyjaźni Żaneta miała prawo żądać, a którzy chłodem za dobro płacili, miłość i przyjaźń spłynęła ku Żanecie stąd, skąd spodziewała się jeno obojętności, jeno grzecznego przymusu.

Rodzina cesarska była dla Żanety bardzo serdeczna, a jeżeli księżna Maria Pawłowna trzymała się nieco sztywno wobec żony brata, jeżeli książę Mikołaj Pawłowicz poprzestawał na wytwornej uprzejmości, to w zamian cesarz Aleksander darzył ją takim zaufaniem, tak ją wyróżniał, tyle przypisywał Żanecie zalet, tak często zwierzał się jej ze swoich trosk, że księżna łowicka bez rozrzewnienia o cesarzu mówić nie mogła.

Cesarzowi zawdzięczała Żaneta niejedną jasną chwilę, zawdzięczała mu nawet utrwalenie swego wpływu. Bo nie kto inny, tylko sam cesarz ujął się za Żanetą wobec Konstantego o prawo najszerzego zadowolenia potrzeb religijnych. Nie kto inny, tylko sam cesarz przekonał cesarzewicza, że właśnie zanik uczuć religijnych doprowadził do Rewolucji Francuskiej, że Kościół zawsze jest sprzymierzeńcem ładu i posłuszeństwa, że właśnie zaniedbanie, post-

ponowanie religii wytwarza jakobinów, spiskowców, gwałcicieli porządku, wrogów korony i rozmaitych neapolitańskich powstańców.

Aleksander żadnej nie opuścił sposobności, aby bądź zagadnąć Żanetę o zdanie, bądź podzielić się z nią swymi myślami.

Księżna łowicka nieraz godzinami krążyła po parku Belwederskim wsparta na ramieniu cesarza, nieraz godzinami słuchała tej pięknej, poetycznej duszy.

Konstanty aż zazdrosny był o te spaceracje z Aleksandrem, lecz gdy przekonał się, jak wzniosłe a szczytne tematy roztrząsają się na tych spacerach, zawstydział się i Żanetę przeprosił.

Każdy przyjazd Aleksandra do Warszawy był dla księżny łowickiej prawdziwą ucztą duchową, do której Żaneta sposobiała się zawczasu, już to przygotowując jakiś problemat, już to nawiązując nowe myśli do zdań, wypowiedzianych przez cesarza.

W całej Warszawie nie było umysłu równie bujnego, równie lotnego, jak umysł Aleksandra. Jeden może radca Staszic miał podobną rzutkość, ale za to nie posiadał ani tej, co cesarz giętkości, ani tej filozoficzności poglądu, jeno zapierał się o zdanie i rąbał wszelki opór. A przy tym Staszic, choć ksiądz, był stronnikiem eks-ministra Potockiego, a na religijność Grabowskiego burzył się i w komisji oświecenia tak często najlepsze zamiary nowego ministra udaremniał, że mimo zasług wielkich, trzeba było namówić Staszica do opuszczenia urzędu. Biskup Skarszewski nie bez kozery powiadał, iż cała ofiarność Staszica nie nagrodzi zgorznięcia, które ksiądz-libertyn rozsiewa wokół.

Był czas, że księżna łowicka koniecznie chciała zjednać go dla stowarzyszenia „Baranka Bożego”, stowarzyszenia, które założyła, a które pomoc biednym łączyło z krzewieniem pobożności, lecz Staszic, nie siląc się na gładki wykret, odrzekł, iż ma za wiele roboty z głuchoniemymi, aby miał czas na „Baranka”. W dodatku, cesarzewicz podchwycił słowa Staszica i cały wieczór dowcipkował o „baranach”, czym Żanetę do łez doprowadził.

Po tak niefortunnej próbie ze Staszicem, Żaneta strzegła się podobnych augurów z Towarzystwa Przyjaciół Nauk i wołała w swym najbliższym a nielicznym pozostawać świątku, w którym generał Kuruta, Diakow, hrabia Nesselrode z żoną oraz radca tajny Morenheim z żoną, Mostowską z domu, stanowili rdzeń zebrań i wieczorów belwederskich.

To ściśle kółko uzupełniały czasem damy warszawskie, choć z tymi księżna więcej zachodu miała i kłopotu niż przyjemności. Bo najpierw wiele pań niepodobna było prosić, jak na przykład panią Bronikowską, której święcie się zdawało, że nikomu na myśl nie przyjdzie pomawiać ją o konkubinat z generałem Wincentym Krasińskim. Wiele znów dam nie cieszyło się względami cesarzewicza; wiele nie posiadało dość znacznego stanowiska na przestąpienie progów belwederskich; wiele traciło nagle prawo wskutek niełaski spadłej na ich małżonków; wiele jeszcze, jak na przykład pani Wąsowiczowa, zbyt jaskrawo zaznaczało swe przekonania polityczne; wiele jeszcze wymawiało się od zaszczytu. A że prócz tego wiele dam nie odpowiadało księżnie łowickiej bądź charakterem, bądź nawykami, bądź usposobieniem, przeto świątek belwederski kurczył się, a jeżeli rozgwarem zabrzmiał, to chyba na jakieś urzędowe przyjęcie.

Rok 1825 zastał Żanetę już pogodzoną zupełnie z losem, zastał ją nawet pełną otuchy i dobrej myśli, i wiary w przyszłość, boć ku lepszemu wszystko zmierzało, boć i jej serdeczne zamysły czyniły postępy, boć i twarz świętej Jadwigi, księżnej śląskiej, poglądała w kapliczce pałacowej coraz jaśniej ku swej wiernej wyznawczyni.

Rok 1825 zapowiadał sejm, a więc i długi pobyt cesarza, a więc dla Żanety cały szereg dni przebywania z tym, którego nikt nie rozumiał, tak nie cenił, jak księżna łowicka.

Jak tam sejm gotował się na przyjęcie „anioła pokoju”, który właśnie obdarzył go przywilejem tajności obrad, z tego Żaneta nie zdawała sobie sprawy, bo musiało to być rozporządzenie godne, skoro pochodziło od Aleksandra. Lecz za to wiedziała, jak ma się sama przygotować do pobytu tego, który przyjazd swój poprzedził serdecznym listem i odznakami Orderu Świętej Katarzyny.

Cesarzewicz na widok orderu, symbolizującego niezaprzeczoną przynależność Żanety do rodziny cesarskiej, nie posiadał się z radości, ścisnął żonę, całował, klaskał w ręce, a powtarzał z zapalem:

– Nu, widzisz, nu, przecież! Zwłoczył, kręcił, mydlił, aż wymydlil. No i Bóg zapłać, no i niech tam – dobry brat, dobry car!

Żaneta, którą więcej ucieszył list Aleksandra niż pomarańczowa wstęga, wskazała cesarzowi na jedno z końcowych zdań

– Przeczytaj tu: to ważniejsze niż order.

Wielki książę zaniepokoił się i jął odczytywać wskazane zdanie, wreszcie roześmiał się.

– Ot, dopiero co ważnego!

– Nie doczytałeś chyba. Patrz tu: „a w modlitwach swoich polecaj mnie swej umiłowanej, jest mi ona coraz bliższą, coraz droższą...”

– Uu! On potrafi pisać! Uu, bardzo zgrabnie! Aleksander to majster! Ale patrz no na ten order! Przymierz go! A co, niekontenta jesteś?

– Chcesz, bym powiedziała prawdę?

– Proszę o nią zawsze.

– A nie rozgniewasz się?

– Uch, tam, o cóż miałbym się gniewać?

– Wolałabym, żeby to był Order Świętej Jadwigi.

Konstanty spowaźniał.

– Hm, hm! Na to trzeba by mieć polską koronę, a my jej nie mamy; i tego... i w ogóle nie wiadomo.

– Nie pojąłeś mnie. Order Świętej Jadwigi mógłby zwać się i rosyjskim orderem.

– Ależ, moja droga, przecież popi są, popi!

– Mogliby być księża.

Konstanty parsknął śmiechem.

– Popów i morową zarazą nie wytrujesz.

– Dobrocią, słowem, argumentem...

– Tie, tie! I nie poradzisz! U was księży święcą, a u nas popi sami się rodzą!

– Gdyby jednakże cesarz...

Wielki książę namarszczył się.

– Lepiej z tym nie zaczynaj, u niego dziś tak, a jutro co innego. Gdyby baronowa Krüdner umarła cztery lata temu, strach, jaka byłaby rozpacz. A że umarła teraz, więc nic. Aleksander napisał „zawsze jej szkoda” i koniec.

– Lecz co ma baronowa Krüdner?

– Nu, ma, ma! Nie przeszkadzam ci, byleś żartów nie brała poważnie, byle z tego gadaniny nie było, wiesz, o czym myślę.

Żaneta nie wzięła do serca sceptycyzmu cesarzowicza i odbyła kilka długich konferencji ze Skarszewskim, obecnie już arcybiskupem i prymasem, a dalej co dnia miała długie rozmowy z księdzem Malesherbesem.

Ale fatalność chciała, że przygotowania księżny łowickiej na razie równie na niczym spełzły, jak gorące zapowiedzi posła Niemojewskiego, który choć i tajne obrady sejmu deklarował się rozruszać, a do przeinaczenia kodeksu napoleońskiego na modłę klerykalno-rządową nie dopuścić. Niemojewskiego, drwiąc z nietykalności poselskiej, aresztowano na rogatkach i w asyście żandarmów odwieziono do domu. Księżnę, juści nie tak obcesowo, ale niemniej skutecznie, obezwładniło dziwne zachowanie cesarza.

Aleksander niby był równie wylanym dla Żanety, równie serdecznym i uprzejmym, a jednak nie tylko że nie odpowiadał na niektóre sentencje księżny, nie tylko że nie wspominał o pytaniach, które obiecywał zgłębić a roztrząsać, lecz po prostu jakby nie rozumiał często, co doń mówiła księżna.

Żaneta zasmuciła się i zwierzyła cesarzewiczowi. Ten ramionami wzruszył i odrzekł:

– Ma on co innego na głowie!

– Czy się co stało?

– Stało się to, co musiało stać. Póty gadał, aż się dogadał; już mu w Petersburgu szczerzą się do konstytucji. Z jednej strony banda Arakczejewów i Orłowów, a z drugiej jakobiństwo, masonstwo, czort wie co. A on by chciał i na lewo trochę i na prawo trochę. Z tego głupstwo za głupstwem. Albo ten sejm znów. Na licho go zwoływał? Myślał, że się Polaczki zbuntują, że mu dadzą okazję do zniesienia sejmu! A Polaczki się zebrali, siedzieli jak trusie. Hu, hu, nie słuchał mnie; liczył, że Polaczki będą winni, a ja mu pokazałem, że Polaczki chytry naród.

– Mówisz tak zagadkowo.

– Aby mówić – uciął Konstanty i przerwał rozmowę.

Lecz na dziwne usposobienie cesarza nie tylko Żaneta zwróciła uwagę, bo wkrótce po Warszawie rozbiegły się wieści o spiskach wojskowych, które w pułkach gwardii rosyjskiej w Petersburgu wykryto, o powstaniu greckim, którego cesarz, wbrew swym dawnym zakłębom, popierać nie chce, o testamencie słynnej wizjonerki, baronowej Krüdner, testamencie, zawierającym jakieś okropne przestrogi, a dopiero teraz Aleksandrowi doręczonym, o zamachu na życie monarchy, o chorobie nieuleczalnej ukochanej córki cesarza, panny Naryszkin, i o rozmaitych zakłębaniach politycznych, zapowiadających niezawodną wojnę z Anglią.

A ponieważ wszystko to łączyło się z odbywanym w tajemnicy sejmem i nieustannymi śledztwami i aresztowaniami, przeto złe wróżby sypały się zewsząd.

Aliści Warszawa nagle się zawstydzila, niby ów astronom, któremu, na przekór chmurom, wiatrom, liczbom a drgnieniom wskazówek barometrycznych, słońce naraz przebija obłoki i całą pełnię pogody rozkoli.

Warszawa się zawstydzila, bo „anioł pokoju” niespodziewanie znów skrzydła do lotu rozpostarł i na balu w Zamku Królewskim taką dobrocią i łaskawością zajaśniał, że serce Polski znów mocniej załomotało, że znów upajać się zaczęło nadziejami, a nadzieje swoje od Bałtyku do Morza Czarnego rozpinąć, a o Smoleńsk i Kijów zapierać.

Żaneta bodaj silniejsze jeszcze przechodziła wrażenia, bo cesarz i do niej zagadał, a zagadał takim smętkiem rzewnym, taką tęsknicą, że i cesarzewicz sarkazmu swego zapomniał i zafrasował się.

Gdybyż bo wiedziano w Warszawie, iż ten mocarz, ten imperator, pan i władca milionów nie zawahał się paść na kolana przed obrazem świętej Jadwigi w kapliczce Żanety i modlić się tak długo, tak gorąco, że księżna łowicka aż go odrywać musiała od klęcznika, gdybyż w Warszawie znano treść bodaj jednej jedynej rozmowy księżny z cesarzem...! Ileż stąd byłoby błogości, ileż uciechy!

Prawda, nie tylko uciechy, lecz obocześnie i wielkiego żalu. Tak, boć Aleksander mówił i o abdykacji, i o życiu cichym, sielskim w ustroni rzymskiej Kampanii.

Aleksander czuł się zmordowanym, wycieńczonym dźwiganiem korony, przytłoczonym ogromem odpowiedzialności. Zresztą tyle lat żył jeno troską o szczęście i dobro innych, że pragnął wypocząć, że i on rad by zaznać rozkoszy skupienia się w sobie samym, że i on o zbawieniu duszy chciał pamiętać.

Na samym wyjeźdźnym z Warszawy Aleksander podobną rozmowę wszczął wobec Konstantego i znów wypomniawszy rzymską Kampanię, jął namawiać brata, aby poszedł za jego przykładem.

– Odżyłbyś, odetchnął i ty, i Żaneta – mówił Aleksander. – Ani ja, ani ty, nie stworzeni jesteśmy do rządzenia.

– W roku przyszłym będziemy obchodzili jednakże dwudziestopięciolecie szczęśliwych rządów!

– Powiedz: dwudziestopięciolecie udreki, zapasów, wysiłków nadludzkich, i jakież dorobek? Niewdzięczność i rozterka, i ciągła niepewność, co dobrym jest, a co złym; i ciągła bezsilność wobec niedoli. Zaledwieś ku łagodności się skłonił, już widzisz, iż łagodność zgubne

sprowadza następstwa; idziesz za surowością, przekonywasz się, że surowość do tego samego prowadzi; wybierasz środek, wywołujesz zamęt niezdecydowania. Trzymasz się litery prawa, więc krocie niewinnych mieszasz z winnymi; nie zważasz na prawo, więc je gwałcisz, więc zły dajesz przykład, targasz podstawami państwa, wywołujesz bunty. I ty, Konstanty, także już jesteś zmęczony. Jest Mikołaj, jest Michał – młodsze od nas siły, bo nie szarpane tak, jak nasze.

Konstanty poczerwieniał.

– Wasza Cesarska Mość chce dać mi do zrozumienia, że jestem niepotrzebnym, że powinienem ustąpić?

– Chcę namówić cię do innego życia, bez ukrytej myśli.

Konstanty odetchnął.

– Więc pozwólcie mi tak zostać, odwołując się do waszych słów. Korony waszej nie pragnę ani nie żałuję, bo z mordercami ojca bratać się nie myślę.

Aleksander pobladł, oczy jego błysnęły ponuro i znów przygasły.

– Bardzo dobrze, iż nie żałujesz korony, bo ta do ciebie nie wróci. Przekażę ją Mikołajowi.

– Wraz z tym, co raczyliście dla mnie gwarantować?!

Aleksander uśmiechnął się.

– No, z tym i z tym, i z tamtym.

Konstanty zachnął się, lecz księżna łowicka zdołała wtrącić pojednawcze słowo i tak rozmowę poprowadzić, że bracia rozstali się w najlepszej zgodzie.

Ale cesarzewicza ta rozmowa do żywego poruszyła, bo odprowadziwszy Aleksandra do pałacu, wezwał Żanetę do swego pokoiku na pięterko i zamknąwszy szczelnie drzwi, zagaił zmienionym głosem:

– Mam dla ciebie nowinę...

– Nowinę?

– Aleksander ma bzika!

– Ależ...

– Nu, zwariował, po prostu zwariował! Hm hm, mówią, że wariactwo idzie z ojca na syna. Ojciec nieboszczyk był trochę...

Żaneta w pierwszej chwili przeraziła się, bo mniemała, że cesarzewicz jakie dowody obłędu posiadał. Ale gdy Konstanty na potwierdzenie swego orzeczenia ją wypominać Aleksandrowe zwierzenia a porywy, uspokoiła się i ze swej strony tak dzielnie obroniła pełnię władz umysłowych cesarza, iż Konstanty posiniał ze złości.

– Nie zwariował? No, to zgłupiał! Chce iść na emeryturę do papieża, to niech sobie idzie, a mnie niech banialuk nie prawi! Ot, mi dopiero szczęśliwość, ot, rozkosz wymarzona! Tfy, tfy! Ale ja wiem, do czego pił! Pułapkę na mnie zastawił! Ale ja się na taki lep wziąć nie dam! Obgadali mnie znów w Petersburgu, i masz pasztet! Zęby sobie połamią, a stąd mnie nie ruszą! Nikt mnie stąd nie ruszy, słyszysz, nikt na świecie! Tu zostanę, tu zdechnę!

– Unosisz się, gdy tymczasem...

– Tyś tego piwa nawarzyła! Nie kto inny, tyś mu do reszty nabełtała dziwolągów. Może nie wiem, coście tam knuli z prymasem?

– Konstanty!

– No i uknuliście. A teraz z tego plotki na mieście: „Cesarz się wychrzci, katolikiem zostanie”. I co z tego, donosy, synod i mnie przeklnie, i ciebie przeklnie. A co trzeba, Orłow z Zubowem dokończą i zrobią nam Królestwo Boże.

– Śmierci się nie lękam.

Konstanty obejrzał się niespokojnie.

– Nie lękasz się, bo jej nie poczułaś. Zresztą, ja mam tego dosyć. Módl się, jak chcesz, chwal Pana Boga, jak chcesz, a do Aleksandra się nie wtrącaj. Masz ochotę nawracać, nawróć sobie Kurutę, Fanshawe’a, Gawryłę! Ja nie mam nic przeciwko panu, papieżowi, dla mnie pan papież niech sto lat żyje!

– Gdybyś wiedział, jak mnie boli...

– A mnie może nie boli? Porządek musi być. Mieliśmy dawniej łoże wolnomularskie, należał cesarz, to i ja należałem i ja zasiadałem za podmistrza. Kazali łoże zamknąć, nie wolno wolnomularzem być, więc nim nie jestem! Ot, co mnie boli!

Po wyjeździe cesarza Aleksandra życie Kongresówki, a z nią i Warszawy, i pałacu Belwederskiego, dawnym potoczyło się korytem.

Nadzieje bladły, chłody, coraz to skromniejsze przybierały formy, coraz rozsądniejsze, lecz podotąd musiały poprzestawać na wyglądaniu upragnionej nowiny z Petersburga.

Aż nareszcie przyszła nowina znad Newy i taka, że od razu wyjaśniła przyczynę zwłoki w ogłoszeniu zbawczego manifestu.

Umiłowana przez cesarza panna Maria Naryszkin umarła.

Kongresówka zmartwiła się serdecznie i z całą prostodusznością kumoszki prawiała, jaki to piękny sentyment łączył „anioła pokoju” z Naryszkinami, jak to Aleksander zakochał się w Polce Czetwertyńskiej i jak potem, z uwagi na umiłowaną córkę, wydał ją za Naryszkiną, i jak potem i matkę, i córkę, i pana Naryszkinę względami obdarzał. I zdumiewali się znów ludzie w Kongresówce „wielkoduszności” swego „odnowiciela” i zazdrościli po cichu tak zaszczytnej paranteli i Naryszkinom, i Czetwertyńskim. Zazdrościli tacy, którzy umieli się śmiać z naiwności wiejskich galantów, co dla krowy i morgi gruntu żenią się z porzuconymi przez dziedziców Kasiami.

Warszawa jeszcze mówiła o śmierci Naryszkinówny, gdy w Belwederze już otrzymano wiadomość o podróży Aleksandra do Taganrogu i o przybyciu tamże cesarzowej, i odkryciach generała Wittę.

Dwie pierwsze wiadomości dostały się do Warszawy wraz z kunsztownymi dodatkami cenzury. Trzecia wyraziła się tylko w postaci wzmożonej działalności szpiegów, agentów śledczych i zauszników. A działalność ta była tym razem tak gwałtowna, tak bezwzględna, tak zajadła, że Kongresówka jękała, że echo do Żanety dotarło.

Księżna łowicka wystraszyła się. A choć od pewnego czasu Konstanty był tak wzburzony, iż doń się odezwać nie śmiała, przemogła się i upatrzawszy porę, gdy był sam na pięterku, poszła doń i zagadnęła go. Cesarzewicz tym razem nie obruszył się.

– Bronimy się przed rewolucją.

– Rewolucja u nas?

– Nie u nas. U nas starczy wyłowić parszywe owce. Wykryto sprzysiężenie w Rosji. Cesarz chory.

– Najjaśniejszy Pan? Czy co niebezpiecznego?

– Pewnie, bo się wali wszystko!

Żaneta chciała pytać o szczegóły.

– Nie mówmy o tym. Jutro powinien nadjechać Michał. Ani słowa, że coś wiesz o chorobie cesarza, ani słowa o czymś. Ale pamiętaj, że od dziś nie wolno ci na krok ruszyć się z pałacu bez mojej wiedzy.

– Konstanty, wszak nie dałam powodu.

– Tak, prawda, ale jesteś moją żoną, a dla zbirów to starczy powód. Za tydzień będziemy mieli dwustu ludzi więcej, teraz nie ma komu cię strzec.

– Mnie strzec?

– No, tak, tak, przecież i dotychczas strzegli cię.

– Nic nie rozumiem.

– Tym lepiej, tym lepiej! Nie mówmy, nie mówmy. Dosyć, dosyć, do samego siebie mówić się boję. Księżna łowicka nie ważyła się nalegać, znając aż nadto dobrze zaciętość męża.

Tymczasem wokół niej działo się coś, czego nie pojmowała, nie ogarniała. Lubowidzki z Lewickim nawet w nocy zjeżdżali do pałacu, adiutanci w nieustannym byli rozgony, kurierzy

za kurierami, feldjegry za feldjegrami zwozili depesze. Fanshawe z Kurutą jak cienie snuli się za cesarzewiczem, a Konstanty co dnia chmurniał, zasepiał się coraz bardziej.

Lecz nie tylko Żaneta daremnie siliła się odgadnąć przyczynę krzątaniny gorączkowej, popłochu, który zapanował w pałacu Belwederskim. Zabiegał o to i wielki książę Michał, brat najmłodszy cesarzewicza. Właściwie Michałowi nie szło o zarządzenia służbowe Konstantego, lecz jedynie o wiadomość z Taganrogu i o ten deszcz feldjegrów cesarskich. Książę Michał nie był wszakże szczęśliwszym od Żanety, bo cesarzewicz zbywał go oschle:

– Był feldjeger? – No, był. – Z Taganrogu? – Z Taganrogu. – Co nowego? – Nic. – Cesarz? – No, cesarz! – Zdrowszy? – Miał febrę! – Więc chory? – Nie, zdrów!

Książę Michał próbował i bocznych dróg, zagadywał generałów, swoich adiutantów rozsyłał po mieście, lecz Fanshawe umiał i adiutantów księcia Michała strzec.

Tak trwało do pierwszych dni grudnia, aż pewnego wieczora, gdy po wieczerzy Konstanty już do odejścia z jadalni się gotował, a bąknął swoje ulubione od pewnego czasu: „Nu, Fanshawe, maluteczki, pomożesz mi”, do jadalni wszedł szybko kamerdyner. Cesarzewicz spojrzął bystro na kamerdynera.

– Feldjeger?! Co?!

– Tak, proszę Waszej Cesarzewiczowskiej Mości.

Konstanty porwał się zza stołu i ku drzwiom się rzucił.

– Gdzie feldjeger? Wołać feldjegra! W jadalni zapanowała cisza śmiertelna. Cesarzewicz wypadł na korytarz, lecz tu, ledwie kilka kroków postąpił, jakiś szary, zmiętoszony cień runął mu do nóg.

Konstanty drgnął.

– Co, feldjeger?!

– Bądź pozdrowiony Najmiłościwszy Panie i Cesarzu Nasz! – ryknął od ziemi zachryply głos.

Konstanty zatoczył się, tchu zaczerpnął.

– Cesarz, co cesarz?!

– Raczyli spocząć w Bogu.

Feldjeger dźwignął się, przyklęknął na jedno kolano i podał wielkiemu księciu zapieczętowaną kopertę z napisem:

„Jego cesarskiej mości Konstantemu I”.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

I

Wiadomość o śmierci Aleksandra I lotem błyskawicy przebiegła ziemię polskie i nim w doniosłości swej dała się ująć ówczesnym statystom a mężom, już potokiem łez wytrysnęła, już łkaniem wybuchnęła.

I płacz powstał, wielki płacz, i tak wielki, że nawet minister, nawet polityk, nawet Aleksandra I cichy antagonist, rad nierad, fularu się imał i ocierał zachodzące oczy, i pokastywał smętnie, i nos swój zwojami chustki otulał, a zmuszał go do wydawania minorowych tonów, byle siako tako spazmom a zawodzeniom małżonki dotrzymać placu.

A ponieważ tu rozpaczała generałowa, tam radczyni, ówdzie hrabina, gdzie indziej szambelanowa czy szlachciana, tu żona, tam siostra, tu córka, tam bratanica, i ponieważ tych rozpaczających dam było naraz nie dziesięć i nie sto, lecz więcej niż tysiąc, i ponieważ ten tysiąc zawierał prawie całą śmietankę polskiego towarzystwa i stanowił tę uroczystą a samozwańczą reprezentację, która uważa się za „wszystkie” Polki – przeto nie dziw, że żal po stracie „anioła pokoju” był nieutulonym i powszechnym.

Co prawda, to właśnie ten żal nieutulony niejednemu wyorderowanemu małżonkowi zgutował niespodziankę, ale że rzecz szła o cesarza, a w dodatku nieboszczyka, tedy po zaaplikowaniu kojących soli, najzgrabniej było akomodować się do żoninego zmartwienia: jakoż i tak czyniono.

Tymczasem, gdy „osieroczone dusze” spowiły się żałobą, krepą zdobiły ukochane miniatury, a zeszcłe „pamiętki” skraplały łzami rezygnacji, po Warszawie gruchnęła ponura, nowina, że cesarza struli Anglicy.

Skąd się ta nowina wzięła? Ano, juści zza kordonu, pruskiego i wprost z Berlina trafiła przypadkiem na zacnego konsula pruskiego, pana Schmidta. A dalej tak się wdzięcznie rozwinęła, że nie wiadomo było, czy hrabia Nesselrode miał ją od swego brata, ministra rosyjskiego, czy Nowosilcow od Konstantego.

Dlaczegoż Anglicy aż do skrytobójstwa się posunęli?! Argumentów potężnych nie brakło.

Aleksander miał zamiar przyjąć katolicyzm i pociągnąć za sobą Rosję. Następnie przygotowywał plany przyłączenia do Królestwa Kongresowego ziem dawniej Polsce zabranych, utworzenia potężnego, samodzielnego państwa i zjednoczenia go w braterskiej unii z katolicką Rosją. A zatem Anglia nie mogła dopuścić, aby na wschodzie Europy urósł taki kolos katolicki i skorzystała z okoliczności, że Aleksander miał za przybocznego lekarza Anglika.

Te argumenty może by nie wystarczyły na oskarżenie Anglii, ale że towarzyszył im pięknie brzmiący frazes „I drugiego mocarza otruli Anglicy”, że frazes ten w porę przypomniał o zgodzie wielkiego więźnia z wyspy Świętej Heleny, więc nowina przyjęła się i wraz z potępieniem dla Anglików zakołatała odezwelem wdzięczność dla zmarłego.

Teraz już nie tylko osierocone przez Aleksandra duszyczki, lecz zgoła poważni obywatele ubolewali nad zgonem tego, który wprawdzie nie dotrzymał wszystkiego, co przyrzekł, który wprawdzie na manowce zbaczał, a często inaczej mówił, niż czynił, ale za to pragnął w ostatku szczerze odrodzenia Polski i niemal za nią poniósł życie.

Teraz już nie elita dam, nie przodownicy narodu, ale naród cały się zasmucił i jął biadać nad niepowetowaną stratą, a trwożyć się o jutro. Teraz bowiem jasnym było dlań, że jeden Aleksander szczęścia Polski pragnął, że on jeden trzymał na wodzy gwałtowność Konstantego, że wszystko dobre pochodziło od Aleksandra, a wszystko złe od Konstantego i że teraz nie było siły zdolnej odparować ciosów cesarzewicza, boć on sam był najwyższą instancją i ostateczną. I biadano tak, i czekano, rychło nowy monarcha do narodu się odezwie.

Nowy monarcha atoli milczał i zachowywał się tak osobliwie, że co najbliżsi mu dostojnicy tracili głowy, że zjeżdżający się z raportami i depeszami adiutanci, feldjegrzy i kurierzy odchodzili od przytomności.

Więc gdy, na przykład, adiutant Demidow przybył do gubernatora moskiewskiego, księcia Golicyna, z pierwszą czołobitnością prastarej stolicy rosyjskiej, no i z głębokim przeświadczeniem, że ta misja zaszczytna nareszcie jego, Demidowa, dobędzie z tłumu współzawodników, a i orderek przysporzy, a bodaj i awans za jednym zamachem – nowy monarcha na impetyczne pozdrowienie zaczerwienił się i zakrzyknął gniewnie:

– Nie jestem cesarzem, lecz cesarzewiczem!

Demidow pobladł, ale nie tracąc fantazji podał Konstantemu depeszę Golicyna.

Cesarzewicz spojrzął na adres.

– Co to? Do kogo? Do cesarza Konstantego I?!

– Tak jest, Wasza Cesa...

– Powiedz Golicynowi, niech sobie gefrejtrami ludzi mianuje, a nie cesarzami! Ot, i Golicyn! Zabierz to z powrotem! Dosyć!

– Czy mam czekać na rozkazy?

– Rozkazy? Nie mam żadnych rozkazów! Jedź pan sobie do wszystkich diabłów! Kuruta! Niech patrol wyprowadzi adiutanta za rogatki.

Nie lepsze przyjęcie spotkało i Nikitina, urzędnika senatu, i kapitana Czewkina, który przywiózł raporty z Odessy, i Nowosilcowa, który jednym tchem z Wilna nadszedł, aby nowemu cesarzowi się pokłonić.

Najwięksi dygnitarze, nawykli każdą myśl Konstantego zgadywać, nie wiedzieli, co czynić, jak się zachować: ile że nie brakło i faktów, sprzecznych faktów, uchylających pogłoski o zrzeczeniu się tronu, przez Konstantego na rzecz Mikołaja.

I tak cesarzewicz nie dopuszczał, aby go tytułowano „cesarską mością”, ale gdy który z dworaków nazwał go „królewską mością”, to ani zgniewał się, ani zaprzeczał, a zdawał się naraz jakby roztargnionym, jakoby czymś innym zajęтым. Dalej, z Petersburga nadeszły urzędowe depesze o przysiędze, złożonej na wierność Konstantemu I przez całą stolicę z wielkim księciem Mikołajem na czele. A że podobneż zawiadomienia przybyły i z Moskwy, i z Odessy, i z Kijowa, i z Taganrogu, od Dybicza i Witta, świadków śmierci Aleksandra – przeto w tym dowód niezbity, iż wstąpienie na tron Konstantego zostało uznane przez całe imperium.

Cóż więc znaczyło to dziwne zachowanie się cesarzewicza?

Powiadano sobie, że właśnie, nie bez kozery, zaraz po otrzymaniu wiadomości o śmierci Aleksandra wysłał cesarzewicz księcia Michała do Petersburga z oświadczeniem, że zrzeka się korony. Ba, kiedy i w tym była niejasność, ile że księżę Michał na odjeźdźnym, gdy Nowosilcow napomknął zręcznie o księciu Mikołaju, jako o przyszłym cesarzewiczu, Michał odrzekł bez wahania: „Nic jeszcze nie wiadomo”.

Chodzą pogłoski, jakoby jego cesarzewiczowska mość Michał przerwał Nowosilcowowi: „O pogłoskach nie może być mowy. W tej chwili panuje nam cesarz Konstanty”.

Lecz nie tylko dostojnicy belwederscy przeżywali nieznośne chwile niepewności. Przez większe bodaj ognie przechodził ten, od skinienia którego, zda się, zawisło berło carów i porządek dynastii, i losy milionów.

Od czterech dni Konstanty oka nie zmrzył, od czterech dni ledwie tyle siły miał, aby na piorunowych posłuchaniach, krótkich spotkaniach ze służbą nie ulec rozterce, nie pozwolić zajrzeć dworakowi w otchłań uczuć, rozpierających pierś dziedzica tronu. Od czterech dni cesarzewicz, zamknięty w swej komnatce, toczył zajadłą walkę z samym sobą. Od czterech dni chwilami stygł, uspokajał się, nabierał pewności siebie, jakieś pisma zaczynał układać, jakieś wielkie oświadczenia koncypować, gdy raptem krew uderzała mu do głowy i darł wygotowane papiery, i deptał je, i znów gorączką pałał, i znów z zaciśniętymi pięściami chodził po komnatce, i znów ku portretowi cara Pawła poglądał, jakby odeń wskazania czekał. Aż nagle rzucił się ku portretowi, otwierał ukryte za nim drzwi i biegł do Żanety, i zasypywał ją potokami słów, falami bezładnych zwierzeń, hardych decyzji, skarg, żalów, gróźb. A potem milkł i nie czekając odpowiedzi, biegł na górę do swych pokoi, na nowe z samym sobą zapasy, nowe szamotanie.

Księżna łowicka niemniej ciężkie przeżywała dni, a bodaj i cięższe. Konstanty bowiem miał choć w sobie samym jakiś logiczny węzeł dla tej gamy różnorodnych uczuć, które nim targały, Żaneta była wystawioną na pociski tych samych uczuć, bez możliwości ogarnięcia ich, skojarzenia. Konstanty przynajmniej posiadał świadomość dziejów, które wypominał. Żaneta słyszała jeno napomknienia, które jej krew ścinały lodem, a które, miast rozjaśniać, zaćmiewały, mroczyły pojęcie. A na domiar udreki, Żaneta nie mogła o nic cesarzewicza zagadnąć, o nic zapytać, bo lada wyraz doprowadzał go do pasji, lada wyraz starczył o pomawianie jej o intencje, jakich nie żywiła, jakich się sromała.

Żaneta była niby łódź uwiązana do burzą miotanego okrętu. Okręt walczy z nawałnicą, opór stawia, dygocze śrubą, kadłubem trzeszczy, sterować usiłuje, a łódź jeno poddaje się bezwładnie i na ciosy bałwanów, i na uderzenia rozprutych przez okręt fal.

Więc po odebraniu depechy o śmierci cesarza Konstanty zamknął się w swej komnatce, a potem przyszedł do Żanety i płakał przed nią, i bolał nad stratą brata. Gdy zaś Żaneta z całego serca jego żal chciała podzielić, a przypadła na kolana, aby modlitwę za umarłych odmówić, cesarzewicz uniósł się gniewem.

– Co ty za głupstwa! Niech się sam za siebie modli! Zwariował, ot, co!

– Umarł – ośmieliła się szepnąć Żaneta.

– Czort wie, co z nim! Ja jestem cesarzem i koniec! Reszta niech sobie, jak chce, będzie! Dziś na noc jedziemy do Moskwy! Ja im z Moskwy pogadam! Ja im pokażę, co Konstanty! Ja im i rewolucję zrobię, i konstytucję! Zabieraj się!

Po tym oświadczeniu, kiedy Żaneta, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zaczęła do drogi się zbierać rozumiejąc, że nade wszystko należy Konstantemu nie okazywać oporu – cesarzewicz wpadł niespodziewanie do sypialni.

– Co to za pudełka? Na co?

– Kazałeś!

– Kazałem! A tobie pilno! He? Pilno ci do korony się dorwać, bodajbym miał głowę pod nóż położyć! Ale mnie ani się śni! Zbójom panować nie myślę! Ojca mi zabili, dziada struli! Na mnie mają chrapkę! Może, nie wiem! Jakby trzeba było, to i ciebie przekabacą, i ciebie namówią, abys mi trucizny wsypała...

– Na Boga, Konstanty!

– Na Boga! Cha, cha! Na Boga się nie zaklinaj, bo gdzie jest tron, tam Boga nie ma! A co, może babka Katarzyna nie kochała męża? Ot, i Bóg dużo mu pomógł! Zadławili go niby szczura, a ona trzydzieści kilka lat temu jaśniała w chwale, trzydzieści kilka lat cerkiew do nóg jej się słała! Cały świat jej się kłaniał!

– Lecz teraz sąd...

– Sąd?! O Piotrze III i słych zaginał, a ona jest, trwa dotąd, pełno jej wszędzie, ona wielka, ona wspaniała caryca! Powiesz: szelma, nierządna, zepsuta, ale wielka, ale sławna, ale mądra! A Piotr III głupi, głupi, gdyby mordował a żywcem grzebał ludzi, jak Piotr I, toby także już pomnik miał! Ot, i sąd! Teraz zdaje ci się to strasznym. Dorwałabyś się tronu, kłopotalabyś się o co innego! Ale ja ci oszczędzę tej pokusy, zrzekam się korony rosyjskiej, jakżem się zrzekł już i szwedzkiej, i finlandzkiej. Lecz nim się zrzeknę uroczyście, nim sam uznam prawomocność świstka, który ode mnie Aleksander wycygał, najpierw zażadam gwarancji, iż nie będę znów pacholkiem pana brata, przedmiotem intryg jakiegoś Arakczejewa, Nowosilcowa, ofiarą szpiegów i zbirów. Ho ho! Bo z tym moim niby zrzeczeniem Mikołaj niewiele zwojuje, bo on ma spiskowców w armii, a ja mam wojsko; bo ja mu pół cesarstwa zbuntuję, bo car-ojciec nie na to ustanowił prawa dziedzictwa, aby mnie brat ich pozbawiał! Potrafię, jak należy!

I znów, nim Żaneta ogarnęła doniosłość tych słów, już Konstanty inne jej wykładał racje, inne snuł plany. Po wybuchu wściekłości wracał, aby płakać. Lecz jeszcze nie osuszył, a znów szydził i drwił z tego, co go właśnie roztkliwiło. Raz panował, rządził, wydawał rozkazy, całą Rosję reformował. Raz dowodził, że szkoda jego sił, jego zabiegów na to, co samo przez się jest nędznym, mizernym. A raz przyznawał się, iż w rezultacie nic mu do Rosji, bo z nią zerwał od dawna, bo Polakiem został.

Nadchodzące wieści i depesze oczywiście silnie oddziaływały na tok myśli cesarzewicza. A choć niektóre uspokajały go, łagodziły, za to inne rozpały do żywego.

Po wyprawieniu księcia Michała do Petersburga zdawało się Żanecie, iż Konstanty zrelektował się, uciszył. Lecz trwało to krótko, bo wraz z przybyciem depesz od wielkiego księcia Mikołaja – cesarzewicza gwałtowniejsze jeszcze ogarnęło wzburzenie.

– Ot, baranek, ot, lis, ot, fałszywiec! Przysiągł mi na wierność i do Petersburga zaprasza. A tam już ma pod ręką swoich Orłowych. A jak pisze chytrze! Testamentu Aleksandra lepiej byłoby nie ogłaszać, bo w testamencie jest moje zrzeczenie, zrzeczenie nadto proste, nadto podkreślające moje przyznanie się do nieudolności. Poczciwiec, cały romans ułożył, aby mi wytłumaczyć, że ogłoszenie testamentu uchybi mojej godności, i wiesz, co doradza? Abym sam ogłosił manifest o zrzeczeniu się tronu, abym podpisał go, jako car Konstanty! Czujesz sidła? Chce i tron zagarnąć, i testamentu się zbyć, a więc mnie wypromować na swego generała świty! Ha, ale ja z nim inaczej zagram! Ja mu w lochu szlisselburskim mój manifest rozpalonym żelazem na plecach wypisać każę! Zmiażdżę go razem z jego Prusaczką!

Żaneta już nie władała sobą.

– Konstanty, toć od czterech dni mnie i sobie męki zadajesz!

– Mniemasz, że w moim położeniu łatwo na panowanie się zdecydować? Mniemasz, że i o ciebie nie będę miał walki?

– O mnie? O mnie?

– Myślisz, że nie spróbują popów judzić, a wmawiać, iż choć prawosławie przyjęłaś, a katoliczką jesteś.

– Ja prawosławie?

– No, cóż, przecież inaczej być nie może! Nie róbże nieszczęśliwej miny – taka forma. Żebyś była księżniczką krwi, tobym ci lada głupstwa nie potrzebował tłumaczyć.

– Lecz nią nie jestem! Konstanty, zastanów się, co zamierzasz. Wszak powiadałeś, że z Warszawy nie wyjedziemy.

– Warszawa pojedzie z nami! Każę wybudować taki sam Belweder, Saski dziedziniec, zabiorę strzelców, grenadierów, czwarty pułk... Ależ oni nie zechcą? Chyba drwisz sobie ze mnie! Ja rozkazuję! Słyszysz? Ja – car! Ja – pan życia i śmierci!

Żaneta padła mu do nóg.

– Konstanty, zaklinam cię, błagam, oddal od siebie te straszne myśli! Wspomnij na twe własne słowa, któreś wyrzekł u trumny ojca.

Cesarzewicz rozśmiał się dziko.

– Boisz się korony Romanowych?!

—Tak, tak, bo widzę przepaść, otchłań, bo czuję, że wleciesz mnie i siebie w odmet, bo pragnę mieć cię szlachetnym, dobrym, bo nie pojmuję...

Konstanty wyprostował się dumnie.

– Nie pojmujesz, boś mieszcza, boś poddanka, boś niewolnica, bo w żyłach twych nie ma ani jednej kropli krwi, która by zakosztowała tego, czym mnie pojono od dzieciństwa, od pieluch, od poczęcia w żywocie matki-carycy!

I Żaneta znów przeżyła noc straszną, pełną krwawych widziadeł, noc bezseną. I znów szukała ościeni dla skołatanych myśli, i znów broniła się okrutnym marom, i znów zadawała sobie pytania, iżali nie jest ofiarą obłąkania, iżali sama przy zdrowych jest zmysłach.

Mglisty, szary poranek grudniowy przyniósł Żanecie uroczystą zapowiedź Rózi, że cesarzewicz wzywa żonę, aby na godzinę dziewiątą stawiała się w sali audiencjonalnej.

Księżna łowicka była tak wyczerpana, tak zgnębiona, iż nawet uwagi nie zwróciła na poszepty Rózi, rozpowiadającej o tym, że gubernator Lewicki od godziny już z żandarmami ład zaprowadza, że na ósmą już wszyscy adiutanci się gotują, że generał Kuruta od północy rozsyłał ordynansów i że zjazd ma być większy niż na Nowy Rok.

Dopiero kiedy znalazła się w komnacie, przyległej do sali audiencjonalnej, a kamerjunker Golicyn po uroczystym ukłonie zapowiedział z przejęciem księżnie, że „Jego Cesarska Mość” tu nadejdzie, aby wejść do sali razem z małżonką – Żanetę lęk zdjął.

Chciała pytać Golicyna, chciała biec do Konstantego, raz jeszcze zakląć go, lecz cesarzewicz wpadł jak burza, namarszczony, groźny, wystrojony w mundur polskiego generał-adiutanta, wyorderowany, pyszny, podał ramię Żanecie i bez słowa powiódł ją do sali.

Sala audiencjonalna na widok cesarzewicza drgnęła, zaszeleściła, łysnęła srebrem i złotem uniformów i zamarła w bezruchu, w bezoddechu.

Żanecie w oczach pociemniało, nie widziała przed sobą ani twarzy, ani ludzi, jeno toń przepastną, głuchą.

A wtem, tuż obok księżny łowickiej, pochylona dotąd głowa Konstantego dźwignęła się hardo, a głos cesarzewicza zadźwięczał tak czysto, tak równo, tak doniośle, tak potężnie, jakby zachryplej krtani księcia spiż mocy swej użyczył.

I Żanetę błogość ogarnęła, jeszcze nie rozumiała słów, a już oczy jej rozgorzały, już serce zakolało radosnym przecuciem. Dopieroż kiedy cesarzewicz wyrzucił jednym tchem:

– Choć mi więc zaprzysięgli wierność, trwam przy tym, co rzekłem. Bratu Mikołajowi berło rosyjskie oddaję. A sam z wami, tu chcę zostawać!

Żanecie ledwie sił starczyło, aby łkaniem nie wybuchnąć, aby nie płakać ze szczęścia...

Nigdy jeszcze Konstanty nie wydał się jej takim potężnym, takim wielkim, takim wspaniałym, takim pięknym!

Ledwie po skończonej audiencji Żaneta znalazła się znów sam na sam z cesarzewiczem, za rękę go porwała i do ust przycisnęła.

– Bóg cię natchnął, Konstanty!

Wielki książę ucałował pieśczośliwie żonę i mruknął:

– Nu, tam, a teraz, co z tego dalej...

– Bóg czuwać będzie nad tobą.

– Bóg i Bóg! Ech, Żanetko, z Panem Bogiem może być łatwiej niż z Mikołajem!

II

Po tej audiencji pałac Belwederski znów zawrzał dawnym rozgwarem, a bodaj większym, bo wódz naczelny wojsk polskich, jakby chcąc dnie mitręgi nagrodzić, podwoił energię, a kancelarię przyboczną i biura kwatermistrzostwa generalnego tylu rozkazami zarzucił, iż pisarzy trzeba było przynająć, a adiutantów do roboty zasadzić. Bo też spraw zwała się hurma.

Więc najpierw las kwestii, wynikających z potrzeby dokładnego określenia, kto i na ile cali ma żalobę swą po zgonie „wskrzesciciela” Polski wyrazić. A że w dziejach Rzeczypospolitej ładu ku ujednostajnieniu zasmucenia powszechnego nigdy nie bywało, przeto stąd podwójna praca, bo co kroku ludzie surowi, bo co kroku ani intencji, ani sprawności. A wszędy zapytania, ile krepy wdziać na bęben, ile na trąbę, ile komu na rękaw, a ile na rękajeść pałasza, ile na grubą żalobę, a ile na cieńszą żalobę. Ponieważ zaś, zapytania takie nie tylko od pułków nadchodziły, ile z urzędów rozmaitych, i od magistratów, i od zwierzchników szkół, od komisji wojewódzkich, i od dygnitarzów dworu, i od tych wszystkich, których dosięgnął nakaz lakoniczny „przywdziać żalobę”, i ponieważ wielki książę nie mógł zezwolić, aby ktokolwiek bądź w Kongresówce, bądź na Litwie, bez jego, cesarzewicza, wiedzy śmiał haftkę przy uniformie przesunąć, a bodaj kieszeń w podszewce nie według regulaminu, wszyć, przeto każdy skrawek musiał mieć i swoje geometryczne wyliczenie, i swój ustalony bezspornie fontaż, i swój matematycznie pewny węzełek, no i nadto dyplom sankcyjny z podpisami kilku dostojników i zygzakiem własnoręcznym Konstantego.

Lecz sprawa żaloby, jeżeli z pozoru przyczyniała cesarzewiczowi najwięcej trudu, kłopotu a ciąglej sposobności do pomstowania na polską niepojętność, ta sprawa nie była może przyczyną gorączki, która już w kilka dni po audiencji ogarnęła Konstantego, a która i Kongresówkę, i Litwę przejęła drzeniem złowrogiego przeczucia.

Spisek wojskowy wstrząsnął murami Petersburga. Na bunt otwarty przeciwko carowi Mikołajowi się ważył, o konstytucji zagadał, pierwszą krwawą hekatombę na ołtarzu rosyjskiej wolności złożył. Hasło pomsty padło z tronu, nowego dziedzica samowładcy, targnęło Rosją i potoczyło się aż ku ziemiom polskim. Hasło wzywało do uwięzienia współników, do wykrycia reszty winnych, do zmiżdżenia każdej dla rewolucjonizmu petersburskiego przyjaźni. sympatii. To hasło zaś było tak szybkie, tak gromowe, że nim piorunowa wieść o petersburskich wypadkach zdążyła Warszawy dosięgnąć, już poraziło, już łańcuchami zadzwoniło, już więzienia przepelniło.

Ha, i nareszcie wiadomość o rewolucji w Petersburgu nie pouczyła Warszawy, aby te gwałtowne aresztowania mogły mieć związek z rewolucją, bo w tropy za tą wiadomością nadeszło zaręczenie, że porządek panuje w stolicy, że zbrodniarzów ujęto, że Petersburg wyje z uciechy na cześć Mikołaja, że w ogóle nie ma o czym mówić.

Stąd wraz z popłochem nastąpiło zdumienie, ile że trudność skojarzenia uspokajających obwieszczeń z poszeptem osieroconych rodzin, a dalej znów trudności pogodzenia nieustającej zawziętości pacholków cesarzewicza z szumnym zawołaniem Mikołaja: „Polacy, przysięgam i przed Bogiem przyrzekam zachować waszą konstytucję”.

Juści, to zdumienie było jeno dowodem nieznamomości wypadków, zamiarów korony i zawsze dobrych intencji Konstantego.

No i juści to zdumienie było obcym księżnie łowickiej, która świadoma była zawiłych arkanów racji stanu, a która co dnia szlachetność tej racji lepiej ogarniała. Spisek rosyjski zapuścił korzenie głęboko i podobno aż Warszawy sięgnął. I spisek tak złowrogi, tak zgubny, tak nieczny, że wszelka pobłażliwość byłaby tylko lekkomyślnym zaniechaniem gangreny w ropiejącej ranie, byłaby jeno wydaniem słabych a niedoświadczonych na nowe zepsucie, nowe knowania.

I nie dość. Nikt bodaj szczerzej od cesarzewicza nie pragnął, aby udział Polaków w rosyjskim spisku zbagatelizować, ukryć, aby dowieść, że niegodziwcy tacy, jak: Pestel, Rylejew, Bestużew nie mogli mieć nic wspólnego ani z Litwą, ani z Wołyniem, ani z Podolem, ani z Kongresówką. Ale fatalność, a raczej nikczemność spiskowych, udaremniła i to zacne pragnienie.

Rozruchy petersburskie wszczęto pod hasłem cara Konstantego i żony jego – „Konstytucji”. Chciano więc wykorzystać zrzeczenie się tronu, chciano otumanić lud rzekomym współzawodnictwem braci, a dalej rzucić go w płomienie wojny domowej, jakobiństwa, gwałtów i bezprawii. Stąd cesarzewicz musiał dwakroć dbać, aby swym zachowaniem dowieść i wzburzonej opinii, i bratu Mikołajowi, że nawet na mgnienie oka, nawet błyskiem myśli nie łączył się z buntem, że trwał i trwa niewzruszenie przy testamencie Aleksandra.

Żaneta wiedziała o tym wszystkim, że krom tego w świetle pałacu Belwederskiego, wiele spraw czarnych bielą, a wiele białych czernią. Tedy piękna twarz księżny znów pogodnym smętkiem jaśniała, znów pokojem tchnęła, a dobre serce małżonki cesarzewicza ku swym kochanym, miłowanym zwróciło się tęsknicom a troskom.

A tych trosk właśnie namnożyło się Żanecie. Nade wszystko śmierć cesarza, śmierć nagła, niespodziewana męża w pełni sił, na progu wielkiego przewrotu duchowego, śmierć zagadkowa niemało przyczyniła księżnie łowickiej i żalu głębokiego, i trudu. Z pierwszym zaś łatwiej było się uporać niż z drugim, bo drugi, mimo wysiłku starania, rozbił się o głuszę Taganrogu.

Księżna czyniła wszystko, byle wykryć okoliczności towarzyszące śmierci cesarza. Nie szło jej naturalnie o bajki, pomawiające Anglię o trucicielstwo, ani o mizerne pogłoski o samobójstwie, a nawet o udanej śmierci dla upozorowania abdykacji – Żaneta daleką była od podobnych dziwołagów – lecz o wykrycie, czy i w jakim stopniu zmarły monarcha dał wyraz swej skłonności ku katolicyzmowi.

Rozstrzygnięcie tego pytania miało nieobliczoną doniosłość dla całego świata katolickiego, dla monarchii rosyjskiej, dla chwały Rzymu, dla wiernej czcicielki świętej Jadwigi.

Niestety, najgorętsze usiłowania poszły wniwecz. Taganrog milczał, Petersburg ogólnikami zbył ostatnie chwile Aleksandra. Relacje, otrzymane przez Konstantego od Witta i Dybicza, nawet choroby, na którą cesarz umarł, nie określały. A w ostatku i te napomknienia, które pozwalały czegoś domyślać się, coś kryć, rozwiały się, szczyły w urzędowych protokołach.

I księżna byłaby niepokieszoną, boleśnie dotkniętą, gdyby nie jej własne przeświadczenie, gdyby nie natchniona pełnia wspomnień o zmarłym, co dnia dzielniej dowodząca Żanecie, że kto tak, jak Aleksander, czuł i pragnął, ten musiał pójść za głosem objawienia, ten w ostatniej godzinie z Bogiem się pojednał.

Cesarze wież dworował sobie z tego przeświadczenia Żanety i zwał je bezsensownym urojeniem. Aliści księżnie przybył niespodziewany sprzymierzeniec ku pokazaniu sceptycyzmu Konstantego.

Sprzymierzeńcem księżny stały się czarne, szerokie bransolety i także pierścionki z białym napisem: „*Notre Ange est au ciel*”...

Kto był inicjatorem tych symbolicznych ozdób, nie wiadomo. Dość że Warszawa została nimi zasypaną, dość że nie tylko wytworne a pełne życia rączki stroiły się w te grobowo-mistyczne emblematy, ale i zgoła brzydkie, zreumatyzowane, a drżące ze starości ręce wdziewały je z rozrzewnieniem.

Żaneta, którą pani ministrowa Grabowska obdarzyła bransoletą, nie bez cienia triumfu zaprezentowała bransoletę Konstantemu.

Cesarzewicz obejrzał nadpis i nie orientując się, zauważył:

– A to ten świętobliwy ksiądz Hohenlohe ci przysłał?

Księżna nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Mylisz się, mój drogi, to dobrowolny talizman, który nosi już cała Warszawa.

Konstanty przeraził się i biorąc bransoletę za jakieś godło rewolucyjne, zaczął na swą kancelarię pomstować, że dotąd mu o bransoletach nie złożyła raportu. Lecz gdy Żaneta wyjaśniła znaczenie nadpisu, uspokoił się i mruknął:

– Nu, i anioła sobie znaleźli! Ot, chodzi im po głowie.

Żaneta nie zraziła się tą uwagą.

– Widzisz nie tylko ja wierzę, iż Aleksander...

– Jak to, nie tylko ty? :- przerwał cesarzewicz.

– Cała Warszawa godzi się na słowa: *Il est au ciel*.

– *Au ciel, au ciel!* Cóż ja, i owszem, niech tylko testamentu się doczekam. Bardzo być może. Dlaczego nie.

Księżna nie posiadała się z ukontentowania, boć ta pozorna flegma i obojętność była u cesarzewicza niechybną zapowiedzią odwrotu i zgody na argument. Na razie jednak Żaneta musiała zaniechać ataków na zwalczanie ostatnich wątpliwości Konstantego, bo naraz już nie nieboszczyk, ale żywy jeszcze Staszic stał się przedmiotem jej zabiegów.

Staszic zachorował ciężko. Lekarze nie robili nadziei uratowania go. Lejbmedyk Niemiec, Kalisch, wysłany przez cesarzewicza, dla zbadania dostojnika, wrócił z wyrokiem śmierci.

O ratowaniu ciała nie mogło być mowy, trzeba było myśleć o duszy. Ba, lecz ksiądz ani słyszeć chciał o porachunku z sumieniem.

Żaneta przeraziła się i tak dzielnie wystawiła Konstantemu zgubny przykład, który wywołać musi niedowiarstwo nie tylko duchownego, ale i dobrodzieja, i uczonego, i dygnitarza, i człowieka szanowanego powszechnie, że cesarzewicz po swojemu do nawrócenia Staszica się zabrał. Więc wezwał do siebie prymasa Skarszewskiego i dodawszy mu adiutanta Mycielskiego do asysty, kazał z sakramentami do Staszica jechać. Prymas przy odbieraniu tego ordynansu, coś rzadką miał minę, ale że Konstanty kazał, a Mycielski o żadnym wykręcie słuchać nie chciał, tedy rad nierad, ustąpił. Księżna łowicka odetchnęła.

Tymczasem już w godzinę niespełna Mycielski wrócił. Konstanty, choć ledwie co do obiadu zasiadł, aby Żanetę ucieszyć, polecił wołać adiutanta.

– I cóże pokropiliście Staszica? – zagadnął żartobliwie ksiązę.

– Właściwie, kto kogo pokropił, to nie wiadomo – odrzekł Mycielski, gotując się do dowcipu.

Cesarzewicz łypnął oczyma wyzywająco ku adiutantowi, lecz spostrzegłszy nieukontentowanie Żanety, dodał poważnie:

– Mów pan, jak było.

– Dotarliśmy z prymasem do sypialni chorego i bez rezultatu.

– Co? Jak? Mówże pan wszystko! – nalegał ksiązę.

– Gdy Staszicowi dano znać o przybyciu prymasa, rzekł w głos, tak że w pokoju, w którym staliśmy, było słyhać.

– Dalej, dalej! – niecierpliwił się cesarzewicz.

– Powiedzcie prymasowi, że mam jeden wielki grzech na sumieniu, bo w dziewięćdziesiątym trzecim roku od szubienicy go uwolniłem.

Konstanty aż się kiwnął na krzesło, ale miast się rozgniewać, mruknął jeno:

– Nu, i pokropił.

Żaneta pobladła i spojrzała niechętnie na Mycielskiego.

– Chciał pan powiedzieć, że biedny Staszic w gorączce prawi niedorzeczności.

– Bynajmniej – odrzekł spokojnie adiutant – o ile mi wiadomo, prymas Skarszewski winien swe ocalenie Staszicowi.

Ta niefortunna wyprawa prymasa dotknęła Żanetę, lecz i podnieciła. Teraz za wszelką cenę należało Staszica skłonić do skruchy, aby zatrzeć wrażenie, które wieść o jego uporze libertyńskim wywołać musiała. Księżna w tym celu obrała inną drogę, pewniejszą, bo przez generałową Dąbrowską, która ze Staszicem w nie lada była przyjaźni, i biskupa Woronicza, który nawet wśród demagogów Towarzystwa Przyjaciół Nauk dobrze był widzianym.

Generałowa Dąbrowska na piękny list Żanety odpowiedziała pięknym listem. Rzecz się więc znów jak najpomyślniej zapowiadała. Gdy naraz inny list generałowej przyniósł nową odpowiedź Staszica. Oto, kiedy Woronicz z całą dobrocią zameldował się do umierającego, że sługa Boży chce z nim mówić, Staszic odparł: „Nie będę ze sługą w rozmowy się wdawał, bo lada chwila zobaczę się z samym Panem”.

Żaneta wzdygnęła się na taką herezję, ale jeszcze rąk nie opuściła i wspomniawszy na ojca Franciszka, kapucyna, poszła do cesarzewicza, aby kuriera do klasztoru do Nowego Miasta wyprawić. Konstanty, który już wiedział o wtórej odpowiedzi zapamiętałca, przyjął żartobliwie prośbę księżny.

– Uu! Żanetko, Żanetko, dajże raz diabłu utargować, i tak sprzątasz mu duszyczki.

– Jesteś niepoprawny.

– Zostaw bo kapucyna w spokoju!

– Ufam, że on potrafi rozbroić nieszczęsnego starca.

– Nu, on się już sam na śmierć uzbroił.

– Umarł?

– Przed godziną.

Księżna załamała rękę.

– Nie było nad nim błogosławieństwa!

Cesarzewicz westchnął pociesznie:

– Co robić, *notre diable est à l'enfer!*

Żanetę uraził ten niewczesny koncept.

– Jeżeli nie dla mnie, to bodaj przez pamięć dla Aleksandra zaniechaj żartów.

Wielki ksiązę zachmurzył się raptownie.

– Masz rację, bo kto wie, czy tego anioła naprawdę nie będę musiał do wszystkich diabłów wysłać?

– Konstanty!

– Wiem, co mówię. Opocznin do mnie pisał. Kręca, łzą, testamentu dojść nie mogą. Nie pytaj mnie, zęby ściskam, czekam i pocziwie czynię, po bratersku czynię.

Księżna łowicka nie miała czasu na długie zastanawianie się nad zawziętością Staszica, bo nowy ciężar spadł na nią, a z nim batalia ku zjednaniu cesarzewicza.

Tym razem szło o urządzenie żałobnego obchodu na cześć zmarłego cesarza, obchodu, którego „cała” Warszawa się dopominała, a który tym solenniej należało wyprawić, że Konstanty, nawalem spraw zarzucony, na pogrzeb Aleksandra do Petersburga jechać nie mógł.

Zamiar tak godny znalazł naturalnie w księżnie żywą protektorkę, a na razie i samego księcia zachwyił. Przygotowania więc rozpoczęto, ceremoniał wypracowano i czekali już na wzory i rysunki dekoracji, katafalku, baldachimów, kap, strojów dla dam, wedle rangi mężów i ojców, i tym podobnych szczegółów, gdy raptem minister Grabowski postawił swoje weto.

Skąd? Dlaczego? Bo w ministrze oświaty legitymista zmógł ultramontanina i zakonkludował, ponieważ zmarły monarcha był prawosławnym, przeto obchód żałoby w katolickiej katedrze uchyla zarówno pamięci cesarza, jak i prawosławiu, zarówno ceremoniałowi dworu, jak i zasadom Kościoła katolickiego.

Weto Grabowskiego trafiało na domiar do przekonania cesarzewiczowi i pozyskało od razu zwolennika w Nowosilcowie.

„Cała” Warszawa zawrzała. Minister Lubecki zyskał jedną więcej sposobność do wystąpienia przeciwko Nowosilcowowi. Mostowski szedł na Grabowskiego, Hauke ścierał się z Wincentym Krasińskim. A sztab żeńskich duszyczek, a wiernych strażniczek dewizy „*Notre Ange est au ciel*” zaniechał wewnętrznych rozterek i ruszył zwartym szeregiem na obronę zagrożonej pozycji.

Wszystkie te atoli zabiegi rozbiłyby się niewątpliwie o upór wielkiego księcia, gdyby nie księżna łowicka, gdyby nie Żaneta. Ona bowiem stanęła do zapasów, ona podjęła, rzuconą przez Grabowskiego rękawicę i rozwinęła taką energię, taką dzielność, że cesarzewicz uległ, że minister musiał cofnąć swój zakaz.

Tak, tak, aby ogarnąć doniosłość osiągniętego zwycięstwa, aby wystawić sobie tytaniczność walki, trzeba było owoczesnym życiem „całej” Warszawy żyć, trzeba było bodaj raz zaznać czaru Aleksandrowego, trzeba było wzniesić się na wysokość alegorii, którą to zwycięstwo upostaciowało.

A dopiero gdy nadszedł ów obchód wiekopomny, o którym i przedtem, i potem zapisano całe kroniki, a który, według najsubtelniejszych, najbardziej otrzaskanych z dworską pompą, nie miał dotąd nic równego, dopiero doniosłość stoczonych walki ukazała się w całej pełni.

Dość rzec, iż cesarzewicz tak bardzo się tym obchodem zachwycił, iż kazał go nazajutrz powtórzyć.

Księżna łowicka triumfowała, ale że ciche, potulne jej usposobienie dalekim było od chępliwości, więc księżna zadowolniła się głębokim przekonaniem o dokonaniu nie lada dzieła i powróciła do swego dawnego, zacisznego światka.

A w tym światku wiele było zawsze do czynienia, gdyż biedactwa moc nieprzebrana cisnęła się do oficyn pałacowych w jałmużnicze dni, a służba dworu nawykła w Żanecie mieć swoją opiekunkę i orędowniczkę niezawodną. I nie tylko służba, bo i dwór sam do księżny się odwoływał, pomocy jej szukał. Nie było dnia, aby Żaneta nie załagodziła jakiegoś zatargu wewnętrznego, nie wyjednała darowania winy, nie otarła łzy niedoli, nie posiała wesela, nie stłumiła zapalczywości, nie wstawiła się bądź do Kuruty, bądź do Fanshawe’a, bądź do radcy Morenheim’a, bądź do samego cesarzewicza. Nie było dnia, aby księżna nie kłopotowała się o cudzy smutek, cudzą rozterkę, cudzą dolę. A przecież i duchowa strona domowników zaprzętała Żanetę, a przecież i tu wiele było do czynienia, i jak wiele!

Ale ileż z tego zadowolenia, ileż uciechy spoglądania na owocność trudu!

Do niedawna niewdzięczna jeszcze była ta niwa, do niedawna usiłowania księżny zazwyczaj rozbiły się o nieufność, o skrytość penitentów, o drażliwość cesarzewicza, a może o własną, Żanety, niezaradność, nieśmiałość. Lecz teraz, niby po latach pieczołowitego chodzenia około roli, plon, lichwiarski plon.

Gdzie okiem rzucić otwarte serca, jasne spojrzenia, skupienie, wylanie. Nawet cesarzewicz, którego przedtem lada przedłożenie księżny burzyło, gniewało, dąsało – teraz, na pierwsze jej słowo, miał zawsze w pogotowiu wesoły pomruk: „Nu, nu, co nowego?”, a potem machał ręką i decydował: „Jeżeli tylko o to, a cóż, i owszem!”

Żaneta wybornie rozumiała, że Konstanty poczytywał jej sprawy za błahe, ale w tym wypadku nie wyprowadzała go z błędu. W tym jedynym razie pozwalała sobie na przebiegłość budowania w ciszy potężnego gmachu z niepozornych cegiełek.

Stąd ani się cesarzewicz spostrzegł, gdy większość służby pałacowej, dotychczas prawosławnej, luterskiej lub co najmniej dla spraw wiary obojętnej, przeistoczyła się w gorliwie

katolicką i bez potrzeby wydalania kogokolwiek. Stąd w ogóle nikt nie zauważył, iż ten sam prąd od stajennych, pachołków i fraucymeru coraz wyżej szedł, piął się po szczeblach dworskich urzędów.

Najwięcej zaś uradowało księżnę, że ten prąd własnym isć zaczął impetem, że nie trzeba było ani do spełniania praktyk religijnych nikogo zachęcać, ani szukać skłonnych do nawrócenia się, sami szli, sami się deklarowali.

Toć, na przykład, profesor Pawła, Jawickij.

Żaneta nigdy, przez wrodzoną delikatność, nie wpływała wprost na profesora. Tymczasem Jawickij, nim księżna, która odeń brała lekcje języka rosyjskiego, doszła do sylabizowania, przypadł pewnego dnia do jej ręki, błagając, aby mu dopomogła przyjąć wiarę katolicką, aby mu pozwoliła klęknąć obok siebie w kaplicy. A tyle w tym porywie zacnego profesora było rzewności, iż księżna do łez się rozczuliła. Naturalnie lekcje rosyjskiego zostały uzupełnione budującymi rozmowami, które już i po przyjęciu upragnionej wiary przez profesora wciąż trwały, ile że Jawickij miał zawsze moc zapytań, moc kwestii do wyświeślenia. Było to poniekąd aż nudnym. Profesor bowiem lichą posiadał pamięć, wracał do tego samego przedmiotu, a choć słuchał Żanety w najgłębszym skupieniu, często nie chwycił wątku. W ogóle był po trosze dziwakiem, po trosze człowiekiem słabowitym i wrażliwym nadmiernie. Bez powodu ogarniało go wzruszenie, bez powodu bladł, jękał się, aż snadź, chcąc ukryć przypałość, przerywał nagle lekcje i uciekał do swej izdebki w oficynie.

Żaneta bardzo lubiła Jawickiego, a jeżeli miała mu co do zarzucenia, to uprzedzenie, które powziął nie wiadomo dlaczego ku lejbmedykowi, skromnemu doktorowi Kalischowi. Nawet okoliczność, że Kalisch porzucił luterstwo, nie zjednała mu Jawickiego. Profesor boczył się na medyka i pomimo iż nic mu zarzucić nie umiał, nie dał się doń przekonać i zwał go „Niemczurą”. Zresztą księżna jeszcze nie straciła nadziei, iż tych dwóch szczególnie miłych i dobrych ludzi do harmonii doprowadzi.

Parafia kaplicy pałacowej rosła, powiększała się i żyła najpiękniejszymi spodziewaniami. Radca Morenheim coraz częściej asystował żonie przed ołtarzem świętej Jadwigi. Hrabina Nesselrode, Górska z domu, a Żanety koleżanka z pensji, również na nabożeństwach zaczęła bywać z mężem. Fanshawe napomykał, że miał matkę katoliczkę, a ojca Anglika. Gendre obdarował kaplicę wspaniałą lampką na srebrnych łańcuchach, a Kuruta zadeklarował się solennie, że jeżeli jego cesarzewiczowska mość będzie sobie życzył, to on gotów od razu bodaj na bernardyna się wypromować.

I dwie tylko plamy kaziły czystość belwederskiego firmamentu, dwie tylko osobistości nie dały się podporządkować wpływowi księżny, dwie tylko nie dały się ani zjednać, ani rozbroić w głuchym milczeniu. Więc mały Paweł Aleksandrow i Pasternikow, drab pałacowy, snujący się wciąż za Żanetą, niby strzelec, niby pajuk, niby gotów na każde skinienie janczar, a w istocie drażal zimny, bezduszny, powtarzający jak papuga kilkanaście najprostszych zwrotów.

Z tych dwóch plam najwięcej dokuczała Żanecie pierwsza. Księżna za obowiązek sobie miała roztoczyć najczulszą opiekę nad Pawłem, przywiązać go do siebie, zastąpić mu matkę, wpoić weń piękne zasady, wyprowadzić na dzielnego człowieka. Lecz niestety, wszystkie jej starania rozbiły się o skrytość i krnąbrność wyrostka. Profesor Jawickij uprzedził był wprawdzie Żanetę o dzikim, nieokiełznanym charakterze Pawła, którego zaciętości ani kara niezdolna jest złamać, ani nagroda zmiękczyć, ale pomimo to z całych sił współdziałał księżnie i Pawła ku niej usiłował pociągnąć.

Paweł słuchał cierpliwie napomnień, poddawał się rygorom, odprawiał nakazane mu przez Jawickiego lekcje. Lecz gdy przychodziło do oparcia swego światopoglądu, to albo milczał, albo bluzgał takim nieokrzesanstwem, jakby nie w pałacu Belwederskim się chował, jakby zasady z końca świata jeno wokół słyszał.

O apelacji do cesarzewicza mowy być nie mogło, Konstanty bowiem bądź przedłożoną mu sprawę na opak brał i żartował sobie z obaw księżny, bądź wpadał w gniew i karał Pawła ró-

zgami. Żarty cesarzewicza ośmielały syna baronowej Fryderychs do tym większej krnąbrności, różgi mroczyły na przeciąg kilku tygodni i tak chmurne spojrzenie chłopca jedne i drugie mijały się z celem.

Po różnych daremnych próbach zjednania sobie Pawła, Żaneta zdobyła się na odwagę odwołania się do imienia baronowej Fryderychs, ku której chłopiec, według napomnień Jawickiego, był bardzo przywiązany, a wskutek czego najbliżej mógł sobie uroić, iż księżna właśnie pozbawiła go macierzyńskiego serca.

Jakoż gdy zdarzyła się sposobność, Żaneta wypomniała Pawłowi matkę przedstawiając, ile by jej radości przysporzył dobrym sprawowaniem a pilnością w naukach.

Paweł na te słowa zmieszał się. Żaneta, aby spotęgować wrażenie, uciekła się do niewinnego kłamstwa, że właśnie baronowa pisała do niej, zapytując o syna, i aby nie martwić jej, księżna najlepszą zdała o Pawle relację. Ale o ile teraz zmianą postępowania tej relacji nie usprawiedliwi, to będzie zmuszoną matce prawdę napisać.

Aleksandrów na to oświadczenie poczerwieniał i wybuchnął:

– I tam akurat się boję! Już drugi rok, jak Weissowa zdechła!

Żanetę oburzenie zdjęło.

– Chłopcze, zastanów się, co pleciesz, toć matka twoja, matka?

Paweł kiwnął energicznie głową.

– Jego Cesarzewiczowska Mość mówił, że Weissowa zdechła.

Księżnie zabrakło cierpliwości, lecz aby tak smutnego objawu nie pozostawić bez skarżenia, wezwała do siebie guwernera. Jawickij poprawił okularów i westchnął płaczliwie.

– Wasza Wysokość, sam tracę często równowagę z Pawłem. Złe doń samo idzie, a dobre jąć się nie chce. W głowę zachodzę, skąd się w nim to wszystko bierze. Dzień i noc go strzegę i sam nie wiem. Natura taka niegodziwa się narodziła: ani prośbą, ani groźbą.

– Lecz skądże mu powstała myśl o śmierci pani Weiss?

Jawickij skrzyżował bezradnie swe długie, chude ręce.

– Wasza Wysokość, Wasza Wysokość, tu już moje siły ustają. Musiał słyszeć i powtarza. Bóg wie, czego nie powtarza. Na to bystry, że ani zrozumieć. Czasem bąknie coś takiego, że nie wiem, co odpowiedzieć. Musiał słyszeć.

– Ale któż by w podobny sposób! Przecież wiedziałabym o tym. Przecież uważałabym sobie za obowiązek o takim nieszczęściu...

– Prawda, prawda, Wasza Książęca Wysokość, ale nie wiem. Powtarzał! Słyszał! A słuch ma i oczy! Desperacja mnie zdejmuję, bierze mnie ochota prosić Jego Cesarzewiczowskiej Mości, aby mnie raczył oddalić, bo sił brak, sił!

Żaneta chciała rzecz przed Konstantego wytoczyć, ale zastanowiwszy się, iż wielki książe niewątpliwie uciekłyby się do różeg, postanowiła istotnie do matki Pawła się odwołać. A gdyby możliwym było, doprowadzić do widzenia się pułkownikowej Weiss z Aleksandrowem.

Z tą intencją wszczęła Żaneta rozmowę z cesarzewiczem, ale ku niemałemu przerażeniu dowiedziała się, iż pułkownikowa umarła w Paryżu niespełna w rok po ślubie i że Weiss ożenił się już po aż drugi z jakąś leciwą tancerką.

Żanecie serce się ścisnęło. Cynizm Pawła zadźwiewał jej tragedią sieroctwa, czuła się winną zdraśnięcia może najlepszej struny w chłopcu, czuła się winną wywołania dzikiej odpowiedzi.

I księżna nie zawahała się nagrodzić Pawłowi mimowolnego zgrzytu i przemówiła doń tak serdecznie, tak gorąco, że chłopak jakby orzeźwił, jakby się ocknął.

Lecz kiedy chcąc rozbroić go do reszty, dodała smutnie o potrzebie pamiętania, że ta ukochana jego matka pogląda nań z nieba i patrzy nań i widzi teraz każdą jego myśl, każdy czyn, Aleksandrów bąknął niespodziewanie:

– Jego Cesarzewiczowska Mość mówił, że żadnego nieba nie ma!

Juści Żaneta najdzielniej starała się przekonać Pawła, że cesarzewicz mógł coś podobnego dla żartu powiedzieć, ale że niebo jest i że w nim Stwórca przebywa w chwale, a dusze prawe tam. właśnie nagrodę za życie na ziemi znajdują.

Od tej chwili Paweł jakby się zmienił, jakby złagodniał. Nie tylko że po dawnemu nie unikał Żanety, lecz widocznie jej szukał, lecz widocznie rad był przesiadywać w salonikach macochy.

Księżna łowicka na razie ucieszyła się temu zbliżeniu i starała je wykorzystać na budujące nauki. Ale wkrótce obecność Pawła zaczęła ją drażnić, dokuczać, niecierpliwić.

Właśnie syn baronowej Fryderychs w obliczu Żanety zachowywał się najpotulniej, słuchał cierpliwie, co doń mówiła. A milczał tak zawzięcie, że nawet na zadawane mu pytania bąkaniem niezrozumiałym odpowiadał, a nigdy pierwszy ust nie otworzył. Całą winą Pawła było, iż oczu nie spuszczał z macochy, iż poglądał na nią.

Księżna starała się nie zwracać uwagi na tę manię wyrostka. Sama siebie przekonywała, że te ciemne, wilgotne oczy Pawła nic nie wyrażają, krom mimowolnego zapatrzenia, że jest to jedna więcej oznaka nie urobionej, chropowatej natury chłopca.

Jednakże bez względu na tak słuszne wywody, spojrzenie oczu Pawła, spojrzenie natrętne, niezmordowanie wyteżone, lśniące, już po tygodniu stało się dla Żanety wprost udęczeniem, wprost katuszą.

Raz księżna, nie mogąc znieść wzroku Pawła, zagadnęła go wręcz o powód tego nienaturalnego wpatrywania. W odpowiedzi atoli oczy wyrostka rozplomieniały tak gwałtownie, iż Żaneta zarumieniła się i nie czekając na odpowiedź, uszła do gotowni.

Księżnę zdjęło niemile przecucie, lecz jeszcze mu się broniła, jeszcze opierała, jeszcze nie chciała brać go za pewność, gdy zaszedł wypadek, który ją przeraził, a który między synem baronowej Fryderychs i Żanetą przepaść rozwarł.

Było to tuż przed jakimś liczniejszym zebraniem w Belwederze. Księżna w pięknym stroju balowym zasiadła do klawikordu, aby skrócić sobie chwile nudnego czekania na początek przyjęcia. Paweł stał za księżną i przysłuchiwał się. Guwerner Jawickij z kamerjunkerem Golicynem i adiutantem Olive de Cubière prowadzili w sąsiednim saloniku ożywioną rozmowę. Cesarzewicz był na górze w swoich komnatkach.

Żaneta grała z przejęciem jakieś bardzo kunsztowne medytacje i ani zważała na Pawła. Gdy wtem, kiedy po głęboki akord sięgała, na ramieniu swym uczuła dotknięcie żarem dyszących ust. Księżna otrząsnęła się z przerażeniem i powstała od klawikordu. Tuż za nią stał Paweł.

Żaneta wskazała mu drzwi. Paweł wyszedł bez słowa i tego wieczora nie pokazał się na pokojach.

Księżna w pierwszym porywie zdecydowała się sprawę przedłożyć cesarzewiczowi, ale wspomniawszy na gwałtowność Kostantego, uzaliła się, lecz odtąd nie tylko, że nie dozwalała przychodzić do swych komnatek, ale wyrobiła to, że syn baronowej Fryderychs jedynie w święta siadał do wielkokiążęcego stołu. Zresztą i to dalekie obcowanie z Pawłem miało się niebawem skończyć, bo Aleksandrow już lada tydzień miał zaciągnąć się do pułku na służbę. Żaneta nawet starała się przyspieszyć termin wyprawienia Pawła z pałacu, ale cesarzewicz był tak pochłonięty różnymi sprawami, że czasu nie miał zająć się instalacją syna baronowej Fryderychs.

I znów kilka miesięcy zeszło Żanecie w ciszy pałacowej i jej serdecznym kłopotarstwie. Raz tylko z przyczyny choroby i śmierci namiestnika, generała Zajączka, życie publiczne pociągnęło księżną, choć na krótko, bo pocziwy namiestnik bez zawziętości symulował Staszica. A że nawykł do ślepego posłuszeństwa Belwederowi, tedy na pierwszy znak cesarzewicza pojednał się z Bogiem i umarł przykładnie.

Dopiero pod koniec lipca znów chmury zawisły nad światkiem belwederskim i zakłóciły Żanecie ciszę.

Juści chmury poczęły się tam, skąd padały gromy.

Cesarzewicza naszedł niepokój o to, co się dzieje w Petersburgu, co w Moskwie, co nowy cesarz zamierza z koronacją, a co zamyśla z Kongresówką.

Niepokój Konstantego był tym większy, iż wraz z widocznym unikaniem odpowiedzi na słane do Petersburga zapytania, nadchodziły słuchy o przygotowaniach do koronacji, o wzmaganiu się wpływów Orłowych i rozmaitych zarządzeniach nowego monarchy.

Wreszcie już i dzień koronacji Mikołaja został ogłoszony, już chmara dostojników cudzoziemskich a książąt krwi jęła ciągnąć do Moskwy przez Warszawę. Cesarzewicz zaś nie odebrał jeszcze ani zawiadomienia urzędowego o przygotowanej uroczystości, ani zaproszenia do wzięcia w niej udziału.

Księżna łowicka ze wszystkich sił starała się uspokajać męża, łagodzić, lecz rozdrażnienie cesarzewicza potęgowało się, wzrastało, aż dosięgło zenitu. Konstanty zaczął gotować się do wyjazdu do Moskwy i bez zaproszenia.

Nic nie pomogły przedłożenia Żanety, cesarzewicz się uparł, o perswazji mowy być nie mogło.

Na wyjeździe księżna chciała zakłócić męża, aby unikał zatargów, aby panował nad sobą, aby raczej dobrocią starał się zacieśnić węzły miłości braterskiej, gdy niespodziewanie z przyczyny Pawła cesarzewicz wpadł w gniew i tak wzburzony odjeżdżał, iż Żaneta rozmówić się z nim nie mogła. A nadto tyle raptem o winie Pawła wiedziała, że Konstanty kazał mu dziesięć różeg wyliczyć i że pokojowa Karolina poszła na dwa dni pod jurysdykcję Pasternikowa.

Księżna, domyślając się sprawy, poleciała ze swej strony Rózi Kochańskiej, aby Karolinę do pralni usunęła. Poczem, ani zważając na półsłówka Jawickiego, który widocznie miał ochotę dokładną zdać księżnie relację, w ustroniu swych saloników szukała skrócenia chwil wyglądania powrotu wielkiego księcia.

Tymczasem na trzeci dzień najniespodziewaniej w buduarze księżny zjawił się Paweł. Żaneta na widok syna baronowej Fryderychs spłoszyła i zagadnęła surowo:

– Jak śmiesz wchodzić tu bez pozwolenia!

Paweł skulił się pokornie.

– Wasza Wysokość daruje, ja sam nie wiem, lecz to nie o mnie, lecz o Karolinę...

– Nie chcę wiedzieć o niczym.

– Wasza Wysokość, toć ona zamrze!

– Co? Dlaczego?

– Na śmierć zamrze, z głodu zamrze – bąkał niepewnie Paweł.

Księżna wyprostowała się zimno.

– Nic jej nie będzie. Powiedziałam, że ma być w pralni. Na pokojach mieć jej nie chcę. Zresztą po nauce, jaką odebrałaś, powinna cię odejść ochota do wtrącania się do służby. Dostyć, wyjdź stąd.

Paweł pobladł, cofnął się ku drzwiom, wreszcie ostatek sił dobywając, ozwał się porywczo:

– Kiedy, Wasza Wysokość, Karolina nie w pralni, lecz w lochu, trzeci dzień bez kropli wody!

Żaneta stropiła się.

– W lochu?

– Jego Cesarzewiczowska Mość kazali Pasternikowowi zamknąć i nawet kropli wody nie dać. Jego Cesarzewiczowska Mość wyjechał i nie powiedział, kiedy Karolinę wypuścić. Tedy Pasternikow, cóż, musi! Choćby zamarała, musi!

Księżnę niepokój zdjął, ale jeszcze nie dając wiary Pawłowi, zadzwoniła na Kochańską.

– Róziu, gdzie Karolina?

– Nie wiem.

– Mówiłam ci, że masz ją wziąć do pralni.

Różia zafrasowała się.

– Tak jest, proszę Waszej Wysokości, ale dotąd nie wróciła od Pasternikowa.

Żaneta, aby rzecz do gruntu zbadać, kazała wołać z kolei Pasternikowa, lecz strzelca nie było, bo właśnie wziął od furiera pałacowego pozwolenie na cztery dni do kuma, forysia w Skierniewicach.

Ślad więc nikł. Ale Paweł pospieszył z wyjaśnieniem, że Pasternikowa zastępuje w lochach Filip Trubin i że Trubin niezawodnie Karolinę wypuści, byle księżna raczyła sama rozkazać.

Wezwany do księżny Trubin potwierdził, że „panna” siedzi w trzecim lochu i że rano jeszcze dychała. A co teraz, nie wie, bo ma rozkaz, aby tylko raz na dzień lochy oprzątać.

Wyjaśnienie Trubina podnieciło i zdeterminowało Żanetę. Postanowiła sama pójść i dobrać z więzienia ofiarę roztargnienia cesarzewiczowskiego.

Paweł chciał towarzyszyć księżnie, lecz Żaneta odprawiła go. A natomiast przywoławszy adiutanta, kawalera Olive de Cubière, prosiła, aby szedł z nią. Rózia pospieszyła za księżną. Trubin wskazywał drogę. Juści Żaneta wyobrażała sobie, iż Karolina siedzi zamknięta w jakiejś komórce piwnicznej i w tym sensie wytłumaczyła de Cubière’owi cel wyprawy. Stąd, gdy Trubin przez wejście do piwnic pałacowych poprowadził bocznym chodnikiem podziemnym do wąskich, żelaznych drzwiczek, Żaneta zapytała machinalnie:

– Więc to tu?

Trubin potrząsnął kluczami.

– Tu, proszę Waszej Wysokości, zaczynają się schody do pierwszego lochu.

Pachołek równocześnie rozwarł zamki i szarpnął drzwiczkami. Woń zgnilizny buchnęła z ciemni.

Księżna zawahała się. Adiutant de Cubière z dworacką galanterią napomknął, że jej wysokość utrudzi się nad siły i że on gotów sam dotrzeć do delikwentki i wyprowadzić ją z zamknięcia. Rózia, której czeluść lochu przypomniła własną pokutę, próbowała zgrabnym wmięszaniem się poprzeć adiutanta. Lecz Żaneta uparła się przy swoim.

Trubin objaśnił stoczek w latarce. Pochód ruszył na dół schodami i dalej sklepionymi korytarzami dotarł nowych drzwi.

– Drugi loch – objaśnił Trubin, porając się z zaworami.

Adiutant spojrział ku latarce.

– Światła masz za mało.

– Starczy, wasza wielmożność, zaraz będzie widno. A jak trzeba, to Nikita ma na dole dowolna.

Na potwierdzenie tych słów Trubin pchnął drzwiczki i poza nimi wskazał na strumień światła dziennego, który u podnóża kilkudziesięciu schodów znaczył jasną plamą mroczne ściany lochu.

– Dziwne budowanie – zauważył adiutant.

Trubin skorzystał z odezwania się de Cubière’a, aby popisać się ze swoją wiedzą wobec księżny.

– Tu właśnie drugi loch. Niby pod ziemią, a tymczasem blisko, ledwie dwa piętra, bo tu góra pałacowa się kończy. Już do ostatka ciągle takie kominy zakratowane do przepuszczania światła. O, tędy nawet topole widać. Wasza Wysokość raczy prawą stroną, bo tu sączy źródelko. Teraz aby, aby, ale co na jesień, to szoruje całym korytarzem! Pobiegnę do Nikity.

Trubin ruszył żwawo naprzód i znikł w głębi wijącego się chodnika, a po chwili ukazał się w towarzystwie draba. Drab skłonił się do ziemi księżnie i jał w bocznej ścianie rygle otwierać.

Żanetę zdjęła raptem jakaś konfuzja, jakieś onieśmienie, jakieś zawstydylenie. Sama nie rozumiała dobrze dlaczego, lecz zdawało się jej, że lepiej byłoby, gdyby raczej do generała Kuruty się odwołała, gdyby nie przedsiębrała była tej wyprawy, gdyby nie oglądała tych korytarzy podziemnych, gdyby choć nie brała ze sobą adiutanta de Cubière.

O odwoicie nie można było myśleć, rygle bowiem już opadły. A wąska szyja nowego korytarza, oświetlonego migotliwym ognikiem lampki olejnej, otworzyła swą gardziel, ukazała dwa rzędy zamczystych drzwi, buchnęła zgnitym zaduchem i zadzwoniła łańcuchami.

Żanetę dreszcz przeszedł.

– Ciemno – szepnęła w pół do siebie.

Adiutant zakrzyknął na Trubina:

– Zapal latarkę!

Trubin w odpowiedzi pchnął jedno z bocznych drzwi – smuga światła dziennego padła z boku.

– Tu widno, proszę waszej wielmożności, w każdej komorze jest komin, a w każdych drzwiach okno, tylko, jak usłyszą zgrzyt rygli, to każdy łeb w okienko ładuje!

W tejże chwili Nikita szturgnął pękiem kluczy w ciemny otwór najbliższych drzwi.

– Odstąp!

Jakaś ciemna masa z groźnym skowytym usunęła się. Otwór we drzwiach spłynął szarzą półmroku.

– A tu jest „panna”, objaśnił Trubin i wskazawszy na celę, skinął na Nikitę.

Ten ostatni zabrał się co tchu do dobierania klucza.

Lecz, zanim Nikita uporał się z otwarciem celi, korytarz już zbudził się, mocniej zabręczał łańcuchami i zachrobotał przeciągłym pomrukiem pomieszanych głosów.

– Milczeć tam jeden z drugim! – upomniał surowo Trubin.

Żaneta stała bez ruchu, nie mogąc słowa wymówić. Róża za każdym odzewem korytarza żegnała się zabobonnie. Adiutant rozglądał się dokoła z niemym przerażeniem.

Nikita z Trubinem wywlekli z celi ślaniającą się postać.

– Wasza Wysokość rozkażą wyprowadzić? No nic, aby się zestrachala. Poradzę sam.

Trubin odsunął Nikitę i ująwszy w pół omdlałą dziewczynę, podniósł ją ku wyjściu.

Nikita przywarł celę i w unizonej postawie czekał na rozkazy. Księżna nie ruszyła się z miejsca. De Cubière pochylił się z uszanowaniem ku Żanecie i rzekł po francusku:

– Wasza Wysokość, czas wracać.

– Masz pan słuszność. Wracajmy! Zdaje mi się, że mary mnie naszły. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

– Ależ ciągle w pałacu Belwederskim, w waszym pałacu, Mościa Księżno – ozwał się po francusku jakiś chrapliwy głos.

Żaneta na dźwięk tego głosu zadrzała. Adiutant odruchowo zwrócił się do okienka celi, skąd głos się rozległ.

– Co to? Kto?

– Krótką masz pamięć, kawalerze de Cubière! – odparł szyderczo ten sam głos. – A przecież chodziłeś do mnie na batalionową komendę.

– Łukasiński! Major Łukasiński! – wyjąkał z przerażeniem adiutant.

– Cha, cha! Poznałeś mnie, kapitanie! Ano, widzisz, przeniosłem się z Zamościa do Belwederu! Jego Cesarzewiczowska Mość założył sobie tutaj drugi sztab.

Łukasiński zaśmiał się ponuro.

Księżna zmogła się.

– Mości Łukasiński, co mam dla was uczynić?

Kajdany poza drzwiami brzęknęły hardo.

– Nic zgoła!

– Straszna dołą zgotował wam nieszczęsny zamysł.

– Bacz, Mościa Księżno, aby ci twój zamysł zgotował lepszą!

– Zapamiętanie was unosi, a przecież jestem przekonana, że gdybyście...

– Niezawodnie, gdybym został sprzedawczykiem, Judaszem, Jego Cesarzewiczowska Mość generałem by mnie zrobił, dygnitarzem! Ale ja wolę ten pałac, wolę te żelazne akselbanty, bo mi pozwalają być sobą.

– Szalony człowiek, szalony! – szepnęła księżna, opierając się o ramię adiutanta.

Adiutant chciał odrzec, lecz głos jego zagłuszył wybuch dzikiego śmiechu Łukasińskiego.

III

Jeszcze Żaneta nie zdołała otrząsnąć się z pierwszego wrażenia po wycieczce do lochów pałacowych, gdy Rózia zameldowała jej, że generał Fanshawe w ważnej sprawie prosi o posłuchanie.

Księżna czuła się rozstrojoną, szukała nawet zręcznej odprawy generała, ale zastanowiwszy się, że pewno Fanshawe chce doręczyć jej pismo od cesarzewicza nadesłane z drogi, wyszła do salonu.

– Witam generała.

Fanshawe skłonił się i wycisnął uroczysty pocałunek na podanej mu ręczce.

– Czy przybył kurier?

– Nie, Wasza Wysokość – odrzekł zmienionym głosem generał – ja nie o to... ja nie dlatego... ja z powodu tego nieszczęścia.

Księżna teraz dopiero, zauważywszy niezwykle wzruszenie malujące się na ściągłej a nieruchliwej zazwyczaj twarzy Fanshawe'a, zaniepokoiła się szczerze:

– Nieszczęścia?

– Tak, Wasza Wysokość, bo sam nie wiem, co teraz, jak teraz, głowę tracę! Jego Cesarzewiczowska Mość póki życia mi tego nie przebaczy, nigdy nie przebaczy! – biadał generał. – A kto winien, Bóg jeden wie! Pasternikowa złe do Skierniewic poniosło, a ten drugi rozum stracił.

– Daruj generale, ale nie powiadasz, co się stało.

Fanshawe stęknął żałośnie.

– Wasza Wysokość, ja o tym uwolnieniu tej pokojowej.

– Jak to mam rozumieć?

– Wasza Wysokość pozwoli sobie przedłożyć.

– Chyba nie może pana zmartwić, że nie dopuściłam do fatalnego zamorzenia dziewczyny przez zapomnienie.

– Niech Bóg zachowa! Starczyłoby słowa Waszej Wysokości na zdobycie pokojowej. Sam wspomniałem na nią i w raporcie generała Kuruty poszło zapytanie do Jego Cesarzewiczowskiej Mości.

– Więc o cóż idzie generałowi?

Fanshawe'owi łzy w oczach zabłyśły.

– Wasza Wysokość raczyła sama się trudzić do lochów, a tam Jego Cesarzewiczowska Mość nikomu nie pozwala. A tu jeszcze adiutant de Cubière i Kochańska! Niech Wasza Wy-

sokość nie poczyta za śmiałość moich słów. Ale tchu brak, z całego serca służę, rzetelnie służę, a tu na mnie, na mnie cios, wszystko wniwecz! Jego Cesarzewiczowska Mość nie przebaczy.

Księżnie zrobiło się żal Fanshawe'a.

– Mogę pana zapewnić, generale, że wolałabym nie zwiedzać lochów belwederskich. Zawiódł mnie przypadek i własna intencja i jeżeli tu kto zawinił, to tylko ja. I bądź pewien, generale, że przyjmę całą odpowiedzialność na siebie.

Fanshawe skłonił się pokornie.

– Ośmieliłbym się dodać, że choć w części można by za zezwoleniem Waszej Wysokości naprawić rzecz. Jego Cesarzewiczowska Mość niechybnie najbardziej zagniewanym będzie, że tajemnica stanu, stała się udziałem adiutanta i starszej pokojowej. Na adiutanta sposób się znajdzie, gdyby jeszcze Wasza Wysokość zezwoliła na usunięcie Kochańskiej...

– Co nazywasz, generale, usunięciem?

– Najprościej byłoby zamknąć ją tam na pewien czas.

– Zamknąć, uwięzić?

– Skoro idzie o zachowanie tajemnicy stanu...

– Nie, generale, nie tylko nie zgadzam się na usunięcie Kochańskiej, lecz zarazem proszę, abyś oszczędził zechciał kawalera de Cubière, bo nie zniosę, aby z mojej przyczyny miał ucierpieć. Zresztą cesarzewicz za powrotem sam rzecz rozsądzi.

Fanshawe westchnął żałośnie, wykrztusił solenne zapewnienie, że rad by każdemu życzeniu księżny zadość uczynić i wyszedł.

Po oddaleniu się Fanshawe'a Żanetę opuściła nagle okazana dopiero co pewność siebie. Rzecz musiała być nie lada wagi, jeżeli aż wytworny a dworski Fanshawe do takiej doszedł alteracji. Raport być może lada godzina odejdzie do Konstantego, a zatem i gniew cesarzewicza może porazić, nim Żaneta zdoła wyjaśnić prosty zbieg okoliczności. A nadto księżna sama odczuwała potrzebę dochowania tajemnicy, toć samo przypuszczenie, że wieść o lochach belwederskich gotowa się rozejść, a niezawodnie znów przeinaczyć niechybną dobrą wolę cesarzewicza, a co najwyżej porywczosć najzacniejszego w gruncie serca, było jej nieznośnym.

Księżna posłała po generała Kurutę. Naczelnik sztabu cesarzewicza stawiał się natychmiast.

Żaneta opowiedziała Kurucie całą swoją wyprawę. Grek wysłuchał ze skupieniem i zakłudował:

– Jedyna rada, aby Wasza Wysokość wszystko powtórzyła Jego Cesarzewiczowskiej Mości.

– Uczynię to niezawodnie.

– Tylko że tu nie ma ani chwili do stracenia. Fanshawe już zapewne pisze raport, więc lepiej byłoby, aby pismo Waszej Wysokości uprzedziło Fanshawe'a.

– Ależ generale, mówisz tak, jakby Fanshawe zdolen był przedstawić sprawę w innym świetle!

– Bynajmniej, bynajmniej! Tylko Fanshawe musi zawiadomić ze swego punktu widzenia, a z tego różnica może wyniknąć.

– A czy nie prościej byłoby poczekać na powrót Jego Cesarzewiczowskiej Mości?

Na śniadej twarzy Kuruty zarysowało się przerażenie.

– Zaczekać na powrót, poczekać? Ależ Fanshawe musi natychmiast napisać.

– Gdybyś, generale, mu przedłożył...

– Niezawodnie, niezawodnie, lecz w takim razie ja musiałbym i Fanshawe'a przed cesarzewiczem oskarżyć i samego siebie na odwach zasadzić!

Kuruta tak płaczącą zrobił przy tym minę, że księżna nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Nie nalegam więc, generale, czyń, co ci nakazuje obowiązek, wygotuję dziś jeszcze pismo do cesarzewicza.

Kuruta rozpromieniał.

- Wyślę przez nadzwyczajnego kuriera.
- Jeszcze słowo, generale. Fanshawe mówił mi o potrzebie dochowania tajemnicy. Różię biorę na siebie, a co się tyczy kawalera de Cubière...
- Siedzi już, proszę Waszej Wysokości, pod kluczem – zapewnił jowialnie Kuruta.
- Lecz przecież to najniewinniejszy człowiek! Starczy zobowiązać go słowem!
- Tak jest, proszę Waszej Wysokości, już go zobowiązałem, ale dla większej pewności zasadziliśmy go na domowy areszt aż do rozkazu Jego Cesarzewiczowskiej Mości. Zresztą nic mu się nie stało. Siedzi w spokoju, ażeby mu się nie przykrzyło, posłałem mu gitarę. Okrutnie lubi grać na gitarze.

Księżna zastosowała się ściśle do rady Kuruty. Napisała długi list do Konstantego do Moskwy i z niepokojem wyglądała odpowiedzi. Po kilkunastu dniach kurier wrócił z lakonicznym oświadczeniem cesarzewicza, że lada dzień wraca i z prośbą, aby Żaneta zajęła się wydaniem potrzebnych zarządzeń do gruntownego odnowienia pałacu Brühlowskiego, dokąd wypadnie przenieść się na zimę. A że nadto tenże sam kurier przywiózł dla Kuruty rozkaz wypuszczenia de Cubière'a, tedy nawet Fanshawe poweselał, upatrując w tym niezawodny dobry humor wielkiego księcia i zażegnanie burzy.

Żaneta z ukontentowaniem przyjęła wiadomość o przenosinach do pałacu Brühlowskiego. Pałac Belwederski bowiem od dnia wyprawy do lochów zbrzydł jej nagle, a w sennych widziadłach ścigał wrazeniem, iż zapada się, iż chłona go podziemia, iż nawet bębny na odwachu szczęku kajdan nie tłumia.

Przyzwała tedy budowniczego Kubickiego, odbyła kilka narad z jedynym do takich spraw Beauperkiem i zarządziwszy, co trzeba, jęła zabiegać, by szykowana na powrót cesarzewicza niespodzianka była gotowa. A niespodzianką tą była miniatura, którą malarz Molinari, choć do miniatur nietęgi, wcale udatnie wykonał, a którą właśnie złotnik w piękny medalion oprawiał.

Niepokój z tego był nie lada, żeby na czas zdążyć, lecz i ukontentowanie w ostatku wielkie, bo wraz z gońcem, że cesarzewicz już nazajutrz zjeżdża, zjawił się złotnik z miniaturą, a krom niego niby z nieba spadła pani Dezyderowa Chłapowska z Turwi.

Księżna ucieszyła się serdecznie widokiem Antuanetki. Rozmowa gwarna potoczyła się między siostrami o gospodarstwie Antuanetki, o najbliższej rodzinie, a w szczególności o dwóch tęgich zuchach, którzy nie lada dumą napełniali matczyne serce podpułkownikowej. Aż gdy Żaneta nasyciła swoją ciekawość siostrzaną, a pani Chłapowska zdradziła ochotę skierowania rozmowy na życie małżonki cesarzewicza, księżna dobyte z puzderka miniaturę i zaprezentowała Antuanetce.

Pani Chłapowska oglądała uważnie miniaturę.

- Bardzo piękna, ale robi wrażenie wymuszonej! Patrz na to wygięcie ust.
- Prawda, lecz jak na Molinariego i tak wiele. Z trudnością go namówiłam. Przyznał mi się, iż to druga jego miniatura w życiu.
- Do miniatur nie masz nad generała Kniaziewicza.
- Kniaziewicz?
- Więc nie wiesz? Powiadam ci, jest zadziwiający w delikatności oddania rysów. Widziałam w Winnogórze jego miniatury oprawne w sygnety! Szkoda wielka, żeś do pani generałowej Dąbrowskiej się nie zwróciła, ona z Kniaziewiczem jest w zażyłości.
- No tak, ale, jakże by generał, nie znając mnie...
- Prawda, a zresztą jest w więzieniu.
- W więzieniu?
- Nie wiesz o tym? Uwięzili go jeszcze w lutym i w Königsteinie zasadzili! Chcieli go nawet wywieźć tak, jak to zrobili z Umińskim.
- Z Umińskim? – zdziwiła się Żaneta.

– Tak, aresztowali go u nas, w Poznańskim, i nie tylko jego, i Mielżyńskiego Macieja, i Szczanieckiego, i gromadę całą co znaczniejszych obywateli. Była chwila, że drżałam o Dezyderego. Od księcia Radziwiłła nadeszła przestroga, aby się miał na baczności. Powiadam ci, zamierałam z trwogi. Na domiar, Dezydery ani sobie wspomnieć o przestrodze nie pozwolił. Pojęcia nie masz, co się działo u nas. Kto żyw z dawnych wojskowych do Francji czmychnął na przetrzymanie zawieruchy. W naszych stronach dwór za dworem pustkami świeci.

– Antuanetko, a toż pierwsze słyszę! Mówże, jak było! Więc mieliście niepokoje? Rewolucję?

– W Poznańskim? Cóż znowu!

– Więc neapolitańska insurekcja i u was zapuściła korzenie?

– Neapolitańska – powtórzyła przeciągle Antuanetka. – Ani słychu o niej nie było.

– Lecz przecież musi być przyczyna?

– Ano jest, naturalnie, niby taż sama, co i tu, w Kongresówce. Rząd pruski prowadzi śledztwo na życzenie... no, wiesz czyje...

Księżna łowicka poczerwieniała.

– Wybacz, Antuanetko, lecz widzę, że dajesz wiarę jakimś niezręcznym bajkom.

Pani Chłapowska spojrzała niepewnie na siostrę.

– Tak mniemasz?

– Jestem tego pewną! Nie ma dnia, aby nie ukuto nowej plotki, nowej wieści! Zdumiewać się trzeba tej lekkomyślności, której chyba jedynym zadaniem, ranić zza płota, płacić niewdzięcznością za dobro, pracować na udaremnienie zacnych intencji, krzewić truciznę nieufności wzajemnej. Antuanetka potrzęsnęła głową z powątpiewaniem.

– Hm, bywa i tak.

Księżnę ubodła ta niejasna odpowiedź.

– A co w tym razie jest niezawodnie. Nie mieszam się do rządów, lecz niestety, zadość mam sposobność przekonać się, że jakobiństwo i wszelkie warcholstwo grasuje co kroku, że najlepsze zamiary rozbijają się o upór stanów, że każde zarządzenie, zmierzające ku pożytkowi publicznemu, poczytywane jest za zamach na polskość. Masz przykład bezsensu w tej nowinie! Przynależność do państwa pruskiego jest tak ściśle przestrzegana, że kto z Poznańskiego pochodzi, ten dziś już na prostego żołnierza przyjętym być nie może. A ty powiadasz, że Rosja generała Kniaziewicza uwięziła w Dreźnie, bo wszak w Dreźnie mieszkał, i osadziła w saskiej fortecy, w Königsteinie.

– Na żądanie rezydenta rosyjskiego Schrödera.

Księżna roześmiała się w głos.

– Przypuszczasz zatem, że rezydent rosyjski może się rządzić w Saksonii, niczym w Jarosławiu?

– Nie wiem, choć wydaje mi się to możliwym. Wszak Umińskiego w Poznańskim pojмали, a siedzi od kilku miesięcy w więzieniu, w Warszawie.

– Umiński w Warszawie!

– I nie on jeden. Znasz Dezyderego, że nie powtórzy tego, czego nie sprawdzi. Umińskiego sprowadzili na śledztwo. Mają go stawić razem z Łukasińskim!

– Ależ Łukasiński od dawna osądzony.

– Nawet skazany na śmierć!

Żanetę na takie bajanie zniecierpliwienie naszło.

– Antuanetko, toć wszystko ludzkie wymysły! Łukasiński miał iść na dziewięć lat do robót, a za intencją cesarzewicza poszedł na siedem!

– Nie przeczę, lecz za bunt w Zamościu już jako więzień został skazany na śmierć. Jest nadzieja, że pójdzie na dożywotnią katorgę. Dezydery mówił, iż w rezultacie to jeno dłuższe konanie.

Księżnie stanęła przed oczyma czeluść lochów belwederskich.

– Sam sobie winien.

- Lubiałam go bardzo.
- Masoństwo zawiodło go na manowce.
- Jak powiada pan podczaszy Chłapowski, dlatego, że masoństwo majora nie miało nic wspólnego z prawdziwym masoństwem.
- Więc i pan podczaszy dał się zjednać niedowiarstwu?
- Niedowiarstwu? Żanetko, toć chyba nie masz bogobojniejszego człeka!
- Co mu nie przeszkadza brać zdeklarowanego wolnomularza w obronę!
- Niesłusznie potępiasz Łukasińskiego.

Księżna łowicka zapłonila się. Antuanetka dodała z pośpiechem:

- To jest niesłusznie poczytujesz majora za masona.
- Mogę jeno zdumiewać się poglądom, których nabrałaś! Nie upieram się o wolnomularstwo Łukasińskiego. Dla mnie człowiek podmawiający nieopatrznych do spiskowania przeciwko władzy, ustanowionej przez Boga, jest przestępcą. Ludzi opętanych, niespełna rozumu – ucięła energicznie księżna i zwróciła rozmowę na kwestię Popowa, które podotąd było przedmiotem kłopotów marszałkowej Brońcowej, a więc i nieustannych apelacji do wpływów Żanety.

Ale że pani Chłapowska coś mało była świadoma turbacji majątkowych matki, tedy nowy temat wyczerpał się rychło, a spóźniona pora znagliła panią Dezyderową do opuszczenia pałacu Belwederskiego.

Żaneta nie usiłowała zatrzymywać siostry. Nadto kochała Antuanetkę, aby jej okazać nieukontentowanie, a słuchać tych dziwolągów politycznych, tych bajd, recytowanych z dobrą wiarą, nie miała siły.

I księżna westchnęła melancholijnie:

- Taż sama Antuanetka, a nie ta, nie taż sama. Zmieniła się, jakże się zmieniła!

Żaneta wyszła na taras pałacu i zapatrzyła się w dal parkową, wyłożoną odbłaskami zachodzącego słońca.

- Wasza Wysokość!

Księżna poruszyła się.

- A, Paweł!
- Ja do Waszej Wysokości.
- Co masz do powiedzenia?

Syn baronowej Fryderychs spuścił oczy ku ziemi i skubał palcami guzik swego kadeckiego mundurka.

- Więc słucham.
- Niech Wasza Wysokość każe Karolinie wrócić do garderoby!
- Co? Co mówisz?!

Paweł nie odczuł oburzenia, drżącego w głosie Żanety.

- W pralni jej źle!
- To nie należy do Pawła! Zabraniam raz na zawsze podobnych instancji.
- Ona w pralni nie może! No, nie może! – mrucał Paweł z uporem.
- Dosyć. Zawołasz do mnie pana Jawickiego.
- A Karolina?
- Karolina pójdzie precz.

Księżna odwróciła się od chłopca i skierowała ku swoim komnatkom. Paweł zastąpił jej drogę.

– Wasza Wysokość, Wasza Wysokość, każcie jej wrócić do garderoby. Dla niej w pralni za ciężko, ona się tam zamęczy, ona niezwyuczajna.

Żanetę, na to widoczne stopienie wyrostka, politowanie zdjęło.

– Twoja rzecz książki pilnować, a nie wdawać się ze służbą. Pomyśl, co by było, gdyby Jego Cesarzewiczowska Mość się dowiedział! Wstydu nie masz, ledwie jedna historia się skończyła.

– Więc wróci do garderoby?

– Nie.

– Wasza Wysokość, miejcie wzgląd. Zmiłujcie się! Przecież tu i o mnie... i o mnie chodzi!

– O ciebie?

– No, bo ja się żenię z Karoliną. Muszę się zenić!

Księżnę zdjął pusty śmiech.

– Cha! cha! Winszuję ci paranteli i rozumnych myśli!

– Jak będę chciał, to Karolina także zostanie księżną.

Żaneta pobladła i zakończyła surowo:

– Tymczasem jednak będzie praczką.

Paweł zacisnął usta i skłoniwszy się, odszedł w głąb pałacu. Żaneta wezwać kazała Jawickiego. Guwerner stawiał się natychmiast skupiony, gotów do uroczystego wsłuchania się w każde słowo księżny. Żaneta bez wstępów odpowiedziała mu o Pawle.

Guwerner stęknął rozpaczliwie.

– Domyślałem się tego, spodziewałem! Już od kilku tygodni się to ciągnie.

– I nie przedsięwziąłeś pan nic, aby temu zapobiec, aby zło w zaraniu stłumić?

– Wasza Wysokość, wszystko, co mogę! Ale cóż ja, cóż ja? Natura taka w nim zakamieniała, przekorna. Ani prośbą, ani groźbą. Błagam, molestuję, przemawiam do serca, do rozumu, do ambicji. Na darmo, na darmo!

Księżnę ta bezradność pedagoga ubodła.

– Jest pan może za miękki, nie każde dziecko da się prowadzić łagodnością.

– Paweł ma siedemnaście lat!

– Tym poważniej należy brać każdy objaw!

Jawickij zawiązał żałośnie chudymi kciukami rąk.

– Wasza Wysokość, z oczu go nie tracę, o wszystkim wiem, nic mej baczności nie ujdzie. Z tą Karoliną już od miesiąca! Podarków jej nakupował, pieniądze wydaje. Skąd je bierze, w głowę zachodzę. Jego Cesarzewiczowska Mość pozwolił dawać Pawłowi dziesięć złotych polskich na miesiąc, a on wydaje po pięćdziesiąt na tydzień.

– Paweł?

– Tak, proszę Waszej Wysokości. Przed dwoma dniami kupił Karolinie sześć fularowych chustek w kwiatki i butelkę wódki kolońskiej. Zdaje mu się, że ja o tym nie wiem; ho ho, choć przez okulary, a dojrzę, co trzeba.

– Lecz chyba w tym jakiś wpływ szkodliwy, towarzystwo.

– O, to, to, proszę Waszej Wysokości! Nic innego, tylko szkodliwy wpływ. Z Pasternikowem po całych dniach, a jak nie z Pasternikowem, to z Nikitą, co tego... co służy... na dole. W piwnicy siedzieć, to mu najmilej. A gdy nie może inaczej, tedy u lejbmedyka Kalischa. Ot, kompania ulubiona Pawła, ot, przyjacielstwo!

– Niesłusznie mieszasz pan Kalischa. Za moją wiadomością zbliżył się do Pawła, aby nań oddziaływać.

– I piękne mamy następstwa.

Księżnę zniecierpliwilo niedołęstwo guwenera.

– Przykro mi bardzo, lecz muszę panu, powiedzieć, że nie pojmuję jego milczenia. Jego Cesarzewiczowska Mość powinien był o każdym podobnym objawie być powiadomionym.

Różowy zazwyczaj nos Jawickiego spąsował.

– Wasza Wysokość, chciałem, chciałem. Jego Cesarzewiczowska Mość wszak sam polecił ukarać niedawno Pawła i tę...

– Lecz, o ile mi wiadomo, dowiedział się nie od pana.

– Prawda! – przyznał płacząco guwerner. – Ale cóż ja mogę! Paweł i tak ma pójść do pułku. Dla niego wszystko jedno, czy miesiąc później, czy wcześniej, a mnie ciężko, Wasza Wysokość, ciężko! Dwunasty rok dochodzi. Odejść stąd to zamrzeć. Gdzie tyle serca znajdę?

– Łączysz pan dwie różne sprawy. Oddalenie Pawła może mieć mniejszy wpływ na pański wyjazd, niż przeświadczenie wielkiego księcia, iż nie dość ściśle powiadamiałeś go o chłopcu.

Guwerner jął poprawiać ze wzruszeniem okulary.

– Wasza Wysokość, rad bym, z całej duszy rad, żeby Paweł sobie poszedł. Na niego nie moje siły, nie moje.

Tu Jawickiego tak niezwykła mowność naszała, że Paweł Aleksandrow szerniał w oka mgnieniu, że w ciele syna baronowej Fryderychs każde uderzenie pulsu stało się dokumentem złych instynktów, niegodziwych myśli, nikczemnych zamiarów.

– Tak, Wasza Wysokość – zakończył z przejściem guwerner – Paweł jest zgubiony.

– Dlaczego pan tego nie przedłożyłeś wcześniej, skoro sam powiadasz, żeś od dawna zauważał?

– Bałem się! – odrzekł z determinacją Jawickij, poglądając spod okularów szklistoczerwonymi oczyma.

– Cesarzewicz nie mógłby gniewać się na pana o spełnienie obowiązku.

– Prawda, Wasza Wysokość, ja też nie o to. Tylko Paweł strasznie mściwy! Okropność, co mu przychodzi.

Księżna łowicka, chciała dać uczuć Jawickiemu śmieszność podobnego tłumaczenia, lecz profesorowi łzy zabułgotały w gardle.

– Pomówimy o tym za kilka dni.

– Wasza Wysokość za złe nie poczyta.

– Nie, nie!

Żaneta tymczasem ani myślała odkładać postanowienia, które powzięła była i nie czekając na cesarzowicę, poleciła Kochańskiej natychmiast wypłacić zasługi Karolinie, wyprawić ją tego jeszcze wieczora z oficyn i zakazać służbie raz na zawsze jakichkolwiek z nią relacji.

Po tym zarządzeniu księżna uspokoiła się nieco. Zarządzenie to było dobrym nawet dla Karoliny. Cesarzewicz bowiem nie omieszkałby skazać pokojowej, co dałoby okazję do rozgłoszenia zajścia. Najlepiej zaś było rzecz załatwić bez rumoru. Dla samej przyczyny Żaneta nie miała zamiaru mówić wszystkiego. Starczyło słowo na ujęcie Pawła w żelazne karby rygoru wojskowego. Na cóż zamykać lekkomyślnemu chłopcu drogę do serca? Zły wpływ zatrzał Pawła, zły wpływ i niedołęstwo; pocziwe, zacne, najgodniejsze w świecie, lecz niedołęstwo.

Różia niebawem zdała relację z wyrugowania Karoliny, a dalej tak zapalczywie ją wystawiać błogość, która zapanować musi we fraucymerze po usunięciu zeń nieznośnej Niemki, że księżna musiała aż wybiegu zażyć na pohamowanie gadatliwości pani Kochańskiej.

– Potem mi powiesz, daj mi miniaturę, jest na mahoniowej toalecie!

Różia podreptała posłusznie do toalety.

– Tu nie ma, proszę Waszej Wysokości.

– Ależ musi być, położyłam ją sama!

– Nie ma.

Żaneta podniosła się i sprawdziwszy, że na toalecie miniatury nie było, przerzuciła zawartość szufladek.

– Pamiętam dokładnie, tu, tu ją położyłam, wiesz...

– Nie, proszę Waszej Wysokości, nie widziałam miniatury, aby tę na półeczce Jego Cesarzewiczowskiej Mości.

– Idzie o moją miniaturę – przynieśli ją od złotnika – pokazywałam pani Chłapowskiej.

Poszukiwania rozpoczęto z ociężałą pewnością, iż miniatura leży na podorędziu, że zasunęła się poza flakonik, poza farfurkę. W miarę ich bezowocności, wpadały w coraz większe rozgorączkowanie, w coraz gwałtowniejszy pośpiech.

W pół godziny cały fraucymer stanął do apelu. Obszukano apartament księżny, opatrzone meble, kobierce, firanki, schowanka, szuflady, konsolki i półki: miniatury nie było.

Nikt do apartamentów księżny nie wchodził od chwili bytności złotnika, nikt miniatury nie widział, nie miał jej w ręku.

Różia przez całe popołudnie z gotowalni, a więc od bocznego wyjścia, na krok się nie ruszyła i żywego ducha nie oglądała. W antykamerze strażujący kamerdyner wypomniął jedynie złotnika i panią Chłapowską. Innego wejścia nie było – to jest było, ale nie dla zwykłych śmiertelników pałacu, lecz tylko dla cesarzewicza.

Do późnej nocy trwały poszukiwania, do późna w nocy chwymano się każdego przypuszczenia: może w fałdach sukni się zaplątała i upadła na tarasie, może w korytarzu, a może na kwietniku.

Wezwano ogrodnika do opatrzenia klombów, posłano zapytanie do pani Chłapowskiej. Różia miała łzy w oczach, martwiły się panny służebne – na próżno. Miniatura jakby się pod ziemię zapadła.

IV

Cesarzewicz powrócił z Moskwy ociężały, przygnębiony. Raporty do następnego dnia odłożył, warty nawet nie zlustrował. A wprost z pojazdu do komnatki swej podążył, w bawelniany szlafrok się przebrał, papucie wdział i usadowiwszy się w fotelu, ku Żanecie westchnął:

– Ano przecież, ano nareszcie!

– Droga cię utrudziła.

– Eh! Starość, moje dziecko. Starość. Taka wyprawa nie na moje kości, nie na moje!

– Pewno bez spocznienia jechałeś, a to najmłodszemu by dokuczyło.

– I, zdaje ci się! Przywiozłem ci tam coś. Nic osobliwego, bo co oni tam w Moskwie mogą mieć – kacapa. Cóż u Brońców?

– Dziękuję ci, zdrowi. Przyjechała Antuanetka na parę dni.

– A wiesz, kogo widziałem? Gutakowskiego! Był, a jakże, paradował w mundurze koniuzszego dworu! Nie lubię go, bo lisem podszyty, tu niby się szczerzy ze swą elegancją, a tam ci buty szyje. Ot, dobre polskie wyrażenie „szyje buty”. Już go nie broń, Żanetko, i nie przystoi ci! A tobie może butów nie uszył, nie ocyganił? Hę? A widzisz, oczki spuszczasz. Daj oczki, niech ucałuję! Za to jedynie nie mam do Gutakowskiego żalu. Uu! Dobre oczka! Jakby sobie eliksiru młodości do serca wlał! Ale, powiadam ci, Gutakowskij tego w świecie wyglądał; po prostu odbijał się na tle tej hołoty azjatyckiej!

– Konstanty!

– Może nie! W całej świecie nie wiem, czy dwóch bojarów znajdziesz. A za to, co rusz to bękart, lizolap, aż od niego na sześć kroków słychać. Lecz co Gutakowskij – phi – doskonale! Mundur na nim, jak przylepił! Gdy go zobaczyłem, wytrzymać nie mogłem i powiadam: „Psiakrew, panie dobradiejju, jeszcze Polska nie zginęła?” A Mikołaj na mnie wołowe oczy. „Co takiego?” A ja mu: „To takie polskie dzień dobry!” Uśmiełem się. Pozwól, wiesz, jak ciebie Moskale nazywają? Konstytucją! Opocznin mi mówił, że w Petersburgu podczas ruchów grudniowych wciąż hukali po stolicy: „Niech żyje Konstanty i jego żona Konstytucja!” Mikołaj się wściekał. Bardzo zabawne.

– Czy aby cesarz nie powziął stąd niechęci?

– Mikołaj? A tobie co do niego? Tego by brakowało. Myślisz, że mu nie powiedziałem, komu właściwie zawdzięcza koronę? Nie bój się, zrozumiał.

– Najmniej sobie życzyłam.

– Miałem kłamać? Ale owszem, oboje po swojemu byli grzeczni. On ciągle grubym głosem: „A Żaneta Antonowna, Żaneta Antonowna, jakże Żaneta Antonowna?” A Charlotta obok niego cienko: „Ach, Żaneta Antonowna, ach, Żaneta Antonowna, cóż Żaneta Antonowna?”

Cesarzewicz dla wyrazistości tak pociesznym falsetem udał głos cesarzowej Aleksandry Teodorowny, iż księżna mimo woli roześmiała się.

– Jesteś złośliwym.

– Taka bo i czułość. Charlotta dała mi dla ciebie sznur pereł. Wypadnie ci napisać parę słów, no i sprawdzić, czy nie są fałszywe.

– Pfe, Konstanty!

– Zdarza się. Katarzyna I zostawiła dwie skrzynie pełne kosztowności, otrzymanych od Piotra I, połowa była ze szkiełek weneckich. Lecz mniejsza z tym, choćby były fałszywe, to samo wypadnie napisać! No, to tak! Hm, to tak! Najmilej w domu, na swoim gospodarstwie.

Konstanty umilkł raptownie. Żaneta nawiązała do ostatnich słów cesarzewicza swą radość z powrotu męża i nadstawiała mu figlarnie uszko do pocałowania.

Konstanty rozochocił się.

– Uch, najpierw pucnę, a potem wytargam, no i znów pucnę.

– Za cóż je targać! – droczyła się księżna.

– Tie, tie! A kto nabroił, kto mi się wałęsał, gdzie nie trzeba, kto?

– Zapomniałeś na odjezdnym, a ta pokojowa...

– Można było tego uniknąć, zresztą, taka tam nicpotem.

– Wydaliłam ją ze służby.

– Taak – to dobrześ uczyniła. A co Paweł? Może znów co nowego?!

– Nie, tylko powinienesz coś o nim postanowić. Chłopak wyrósł. Jawickij już nie wystarcza na panowanie nad temperamentem.

– Jutro pójdzie do koszar, a Jawickij wróci sobie do Petersburga.

– Czy nie lepiej byłoby zatrzymać?

– Masz słuszość, lepiej niech tu zostanie, plotkarzów i tak zadość mamy nad Newą. A Jawickij zaraz by trafił do Marii Pawłowny. Już ja go znam: tu się przechrzczył, a tam by się odechrzczył. Najgorzej, co zrobić z tym de Cubière'em.

– Honorowy oficer!

– Francuzik, gołąbeczek! Teraz to mi tiutiuru-tiururu, i tak szurgnie nóżką, i tak szurgnie, a później da susa za płot graniczny i na cztery strony świata oszkaluje.

Żaneta ujęła się za adiutantem. Cesarzewicz dał się przekonać.

– Ja mu tam niczego złego nie chcę, byle nie plótt! No, nie trwóż się o swego gagatka, adiutancika!

Księżnie na tyle dobroci a wyrozumiałości aż w sercu pojaśniało. Konstanty na przekór raptem spochmurniał i monosylabami odpowiadał. Żaneta, aby rozruszać cesarzewicza, zagałała rażno:

– Ale nic mi nie powiadasz o uroczystościach koronacyjnych! Czytałam kilka opisów procesji w gazetach, musiały być wspaniałe?

– Nic szczególnego.

– A sama koronacja?

Konstanty głowę zwiesił i odrzekł głucho:

– Moja Żanetko, co ci powiem, odśpiewali mi „panichidę”, pogrzebali żywcem i koniec.

– Powiadasz „panichidę”, przecież to, zdaje się, za nieboszczyków się odprawia?

– Zgadłaś, zgadłaś, za nieboszczyków. Nie rozumiesz? Nic w tym zawilego. Po twojemu, po łacińsku tłumacząc, znaczy, że to, co było Mikołajowi „Te Deum laudamus”, to dla mnie wypadło na „Requiescat in pace”...

Tu taka apatia opanowała cesarzewicza, że ani sposobu nie było go rozweselić, ożywić. Księżna zatrzwożyła się przypuszczając, iż może między braćmi do jakiegoś starcia przyszło, lecz Konstanty rozproszył te obawy.

– Nu, skakał około mnie. Wszyscy skakali i ze strachu, żeby im niespodzianki nie zrobił. Pan Mikołaj gorący w miłości braterskiej, jakby się lodem okładał. Przyrzekał i tam, gdzie nie

było potrzeba. Testament Aleksandra przyśle i sam testament dla mnie zrobi i zapisze mi, w razie swojej śmierci, półtorej kostki z całego barana, którego ode mnie dostał! I z tej wielkiej ku mnie estymy chciał Lubeckiego namiestnikiem swoim zrobić w Warszawie. A ja mu bez ogródek: „Ponieważ sam mieszkam w Warszawie, więc w Warszawie nic mi po namiestniku”. A on do mnie: „Tak myślisz!” A ja mu na to: „Tak sobie postanowiłem”. I nic zresztą. Wyściskał mnie na odjeźdźnym. Zobaczymy, co dalej.

Księżna próbowała wysnuć z tych szczegółów dźwięczny horoskop o pogodnej przyszłości, lecz cesarzewicz przerwał jej utyskiwaniami na starość, na strzykanie w łokciu, które mu zatruwa spoczynek, na brak apetytu i na widoczną całego organizmu zgrzybiałość.

– Czyżby niedobrze było wezwać Kalischa?

Konstanty potrząsnął przecząco głową.

– Gdybyś choć chciał odpocząć kilka dni.

– Właśnie zamierzam. Nie ruszam się z pałacu przez miesiąc! Muszę najpierw przyjść do siebie, wytchnąć. Ale gdzie Kochański? Zadzwoń, proszę.

Kamerdynier ukazał się we drzwiach.

– Nu, nu! A co żabki? He?

– Ani wyjrzą ze słoja, proszę Waszej Cesarzewiczowskiej Mości. Pogoda ani chybi.

Konstanty zatarł ręce z zadowolenia.

– A to się pogoda spisała. Wczoraj pod Brześciem lało jak z cebra. Hm, hm! Kochański! Idź do generała Kuruty, niech posyłą wyśle do sztabu polskiego, jutro na ósmą, tak jakby było święto; wszyscy sztaboficerowie. Rozumiesz!

– Uważam, Wasza Cesarzewiczowska Mość!

Kochański wyszedł. Wielki książe mrugnął znacząco do Żanety.

– Robię sobie jutro święto.

– Więc już parada wojskowa. A mówiłeś, sam mówiłeś, że należy ci się wytchnienie.

– A parada, parada to co jest? Może... może to nie wytchnienie? Uu, Żanetko, nie dziwacz!

O ile księżna łowicka wątpiła o zaletach parad wojskowych, to już nazajutrz musiała przyznać im nie lada własności. Cesarzewicz bowiem z Saskiego dziedzińca wrócił żwawszy, weselszy i takiego zapału do wypoczęcia nabrał, że dla zabicia czasu zasiadł do raportów, następnie „wynygusował” się z buldogami i znów dla rozrywki ruszył na objazd koszar, a dalej „bajdurzył” i z Kurutą, i z Gendrem, i z Fanshawe’em i z Lubowidzkim, i z Nowosilcowem, a w ostatku do późna „gryzmolił” podpisy na arkuszach papieru.

Innymi słowy, cesarzewicz od razu wszedł w tryb swych zwykłych zajęć z tą różnicą, iż każdą konferencję zwał gawędą, każdy raport – świstkiem, każdą inspekcję – spacerem, każdą czynność najzawilszą, najzłudniejszą – „zbijaniem bąków”; no, i z tą jeszcze różnicą, że ciągle wypominał swą starość, osłabienie, znużenie i potrzebę zupełnego spokoju.

Żaneta rychło oswoiła się z tym wyrzekaniem męża, co tym łatwiej jej przyszło, ile że cesarzewicz samemu sobie był najlepszym zaprzeczeniem.

Przenosiny do pałacu Brühlowskiego, następnie wysłanie Pawła do szkoły kadetów, do Petersburga, śmierć prymasa Skarszewskiego i przejazd przez Warszawę kilku ksiąząt krwi w powrocie z Moskwy – oto jedyne dystrakcje, które zaważyły na tle cichego życia księżny łowickiej aż po koniec 1826 roku.

Konstanty w ciągu tego czasu był tak dla Żanety dobrym, uprzejmym, tkliwym a wyrozumiałym, że księżna nie wiedziała sama, jak mu wdzięczność swą okazać, że aż nachodziły ją niedorzeczne myśli, iż ten dawny Konstanty, ten co dnia groźny, co sekunda wrzący, tryskający skrami, palący oddechem, dziki w porywie, szalony, straszny, miał jednakże swój urok. Ach tak, miał wielki urok, bo miał to, co choć wdrażało lęk, bojaźń, było wyrazem takiej siły męskiej, takiej tytanicznej mocy, iż ulegać mu, znaczyło poddawać się na fale żywiołu i na muskularnych jego garbach rwać w przestrzeń, w nieskończoność, w upojenie, iż ulegać mu,

znaczyło każdym drgnieniem wyczuwać zdobywcę! A być ofiarą, przeżywać co dnia trwogi, porwanej przez okrutnego rycerza branki, toć w tym i czar, i słodycz. Dobrze było być ofiarą.

Jużci księżna podobnym myśłom nie pozwalała się rozwijać, niszczyła je zapamiętane i potrafiła przekonywać samą siebie do szczęścia domowego, które grało teraz całą pełnią zestroju, a któremu nie dostawało tylko tego, ku czemu już i grunt był uprawiony i ziarno pierwsze rzucone, a co wymagało jeszcze czasu, jeszcze trwałego wpływu, jeszcze pomocy umiłowanej patronki. Jedyńą chmurką, która ważyła się niekiedy przesłaniać lazury księżny łowickiej, a co dokuczliwsze, kazić łagodność sennych widziadeł – był Łukasiński.

Żaneta sama sobie się dziwiła. Wszak ci major czwartego pułku nigdy jej bliżej nie obchodził, chyba tyle, że nastęczał się niefortunnie z deklaracjami i chyba tyle, że czego w stroju Adonisa nie dopiął, to chciał ratować w todze obywatela. Zarozumialec, wszetecznik, niewdzięcznik i gorszyciel. I w więzieniu jeszcze pycha jakobińska go rozpiera i tam zdaje mu się niezawodnie, że cierpi za coś innego, niż swą własną szkodliwość, występność, zbrodni-czość. Ponury los sobie zgotował. Można boleć, ale skoro sprawiedliwość domaga się za-dosćuczynienia, nie masz ratunku.

Takich Łukasińskich jest na świecie, niestety, setki całe. I kto wie, czy na dobre mu to nie wyjdzie. Kto wie, czy nie dlatego sądzoną mu jest ciężka pokuta cielesna, aby i duch sprośny uległ, poddał się. Ale, zresztą nic jej do Łukasińskiego.

Księżna łowicka najgłębiej ufała słuszności swej opinii o majorze i odpędzała od siebie każde o nim wspomnienie, lecz major, pomimo tych zabiegów, ukazywał się Żanecie to na tle złocistego obicia saloniku państwa Brońców, to na czele batalionu, czwartaków, to zapatrzony ku amarantowej trumnie Dąbrowskiego skąpany księżycowym światłem pod grabami parku, w Targowej Górze, to w ciemni zgnilizną wiejącego lochu.

I Żaneta, lubo nie zabobonna, upatrywała w tym jawieniu się majora znaku, wróżby, przestrogi. Dociekała długo, lecz nareszcie znalazła, zjawisko rozwiązała i odtąd obustronne nastąpiło przymierze: bo major nie narzucał się zbyt często jej myśłom i nie tak uporczywie, a Żaneta pogodniej, grzeczniej się z nim obchodziła.

Rozwiązanie, dokonane przez Żanetę, nie tylko jej samej sprawiło zadowolenie, ale ucieszyło niezmiernie księcia.

Szło o pamięć o potrzebach religijnych więźniów, a w szczególności tych politycznych.

Cesarzewicz z początku zdumiał się.

– Patrzaj! Uu! Nigdy mi nie przyszło! To warte próby!

A potem zafrasował się.

– Szkoda, że Skarszewskij umarł. On byłby jedyny! On by potrafił! A Woronicz w pole gotów wyprowadzić, niby tak, a w ostatku na pięcie się wykręci.

– Jestem pewna, że dla więźniów...

– Więc Woronicz do niczego! Kto by tu? Czekaj, czekaj! Ksiądz Paluszkiewicz! Uu! Doskonały, pyszny! Siedzi u marcinkanek, drugi rok siedzi. Taki najlepszy. Dziękuję ci, Żanetko. Hm, hm. Może to pomoże. Zawsze sposób!

– Leżało mi na sercu, nie godzi się odmawiać pociechy duchowej.

– Ooo! Masz rację, masz rację! Tym bardziej że z tego i dla komisji pociecha.

Księżna nie pojęła, o jakiej komisji cesarzewicz mówił.

– Wszystko jedno, co tobie do niej, Żanetko! Najważniejsze, że będą mieli pociechę! I szkoda, żeś mi wcześniej nie wspomniała, szkoda.

Ten entuzjazm Konstantego niedługo wprawdzie trwał, bo po dwóch tygodniach, gdy księżna zapytała o więźniów, cesarzewicz rozgniewał się.

– Nu, gałgany, wszystko gałgany fałszywe, jezuici!

– Powiadałeś, że ksiądz Paluszkiewicz...

– Nicpoń, oszust, łgarz! Dałem słowo, że go wypuszczę, probostwo obiecałem, na kanonika protegować przyrzekłem i co? Nic. Tydzień laził mi po celach, tydzień konszachty odprawiał i masz!

– Odmówili.

– Nie oni, tylko on odmówił!

– Spełnienia kapłańskich posług?

– A jakże! Wyspowiadał, namaścił, czy tam inaczej dyndał na dzwonku od rana do nocy, a w ostatku powiada, że jeden w drugiego same baranki, a on ma pieczęć świętej tajemnicy! Do nieba ich wyprawił! Ale ja ich tymczasem w piekle potrzynam, a Paluszkiewicza tak przypieczętuję, że mu tajemnica na wierzch wyjdzie. Białoros, jezuita!

Żaneta zasmuciła się, lecz cesarzewicz złagodniał i upewnił ją:

– Tobie idzie o to, czy ksiądz? Bądź spokojna, pokropił każdego, z każdym się pokumał. O resztę nie pytaj. Tobie o to, a mnie o tamto.

Przed świętami Bożego Narodzenia Żaneta umyśliła zamówić u Molinariego drugą miniaturę na podarek dla cesarzewicza. O pierwszej bowiem, przypadłej, nie wspomniała nawet mężowi, aby go nie martwić i nie pobudzać do irytacji. Zwłaszcza że Konstantemu zginęły jakieś papiery z komnatki, tuż po powrocie z Moskwy i że z tego powodu służba miała za swoje przez parę tygodni z rządu.

Molinari tym razem daleko zgrabniej wywiązał się z zadania, złotnik zaś gotował daleko piękniejszą od pierwszej oprawę, tak przynajmniej zapewniał Kalisch, którego księżna dla zachowania niespodzianki przed cesarzewiczem o pośrednictwo między złotnikiem uprosiła.

Robota postępowała szybko, lecz gdy dzień doręczenia miniatury nadszedł, złotnik nie przybył. Żaneta zaniepokoiła się i nazajutrz z samego rana wysłała Rózię do Kalischa, aby niesforenego majsterka przynaglił.

Rózia wróciła niebawem z wiadomością, że miniatura będzie gotowa niezawodnie lada moment i że Kalisch do północkska nad złotnikiem przesiedział, byle robota nowej nie uległa odwłóce.

Taka zabiegłość ze strony lejbmedyka ujęła księżnę.

– Pocziwy Kalisch!

Rózi nie w smak poszło to uznanie, bo wydeła policzki i bąknęła:

– Uch, ten Kalisch!

Żanecie wydało się to nieprzystojnym.

– Moja Róziu, odzwyczaj się nareszcie od podobnych wykrzykników, zwracanych zwłaszcza do osób, którym winnaś poważanie!

– Bo ten Kalisch!

– Zabraniam ci się tak odzywać.

Rózia odsapnęła nosem.

– Kiedy tak, to powiem! Co nie mam powiedzieć! Niech Wasza Wysokość zna całą prawdę, niech wilk niewiniątka nie udaje! Karolina... Karolina jest u Kalischa! A jakże!

– Karolina?!

– Tak, też sama! Nie wierzyłam! Jeszcze na jesieni froterka mówiła, że widziała Karolinę, wystrojoną w Saskim ogrodzie na iluminacji! A kolonista z Wierzbna, co jabłka nosi, wprost mówił, że Karolina u Kalischa jest. Dziś na własne oczy się przekonałam! Pukam do drzwi, pacholek mi otwiera, wchodzę – a tuż przede mną Karolina „myrd” i w nogi do innej komnaty!

Rózia miała ochotę domysłem swoim dać upust, lecz Żaneta powstrzymała ją napominając, że gdyby i tak było, to jeszcze daleko do pomawiania lejbmedyka o złe intencje.

Swoją drogą wiadomość o przebywaniu Karoliny w domu Kalischa tak niemile dotknęła księżnę, iż kiedy po południu lejbmedyk zjawił się razem z miniaturą, Żaneta musiała zadać sobie przymus, aby była dość uprzejmą. Lecz wrodzona dystynkcja przemogła i księżna nader wytwornie dobiła do podziękowania medykowi za oddaną przysługę. Kalisch jednak nie wy czuł znaku do odejścia.

– Wasza Wysokość, za szczęście mam sobie każdą taką najdrobniejszą okazję, ale tym razem rad bym upomnieć się o zapłatę.

– Proszę!

– Rad bym uzyskać chwilę posłuchania, mam coś zwierzyć, co mi, wobec Waszej Wysokości, zatruwa pewność siebie.

Żaneta, sama nie wiedząc dlaczego, obrzuciła lejbmedyka zimnym spojrzeniem.

– Wydalona przez Waszą Wysokość pokojowa jest u mnie.

– A! – zdziwiła się nieszczerze księżna.

– Przyszła zrozpaczona, bezdomna.

– Czyż tak dalece?

Kalisch pochylił głowę.

– W pierwszym odruchu chciałem ją zbyć, lecz politowanie mnie zdjęło.

– Wiesz pan zapewne, że sama sobie winna!

– Nie ma wątpliwości, jakkolwiek winą jej podobno była trudna sytuacja, nierozsądna obawa, zamiar ukrycia napaści płochego młodzieńca, pragnienie cichego udaremnienia awansów, które były jej katuszą, cierpieniem. Co do mnie, najnieufniej wysłuchałem jej żalów i postawiłem za warunek – udanie się do mego spowiednika, prowadzenie wzorowe i zezwolenie Waszej Wysokości na pozostawanie u mnie.

Księżnę znudziła ta oracja.

– Cóż mnie do niej? Tym lepiej, że tak pięknie się sprawuje.

– Pojmuję. Lecz, Wasza Wysokość, zezwolenie równa się przebaczeniu, a przebaczenie nie tylko dla mnie jest warunkiem koniecznym, ale i dla niej, boć biedne to stworzenie tyle miłości żywi ku swej dawnej pani, bez łez o Belwederze mówić nie może!

Żaneta z przyjemnością odprawiłaby była Kalischa, ale że sprawiedliwość kazała uznać bądź co bądź wysoką delikatność i skrupulatność lejbmedyka, więc wysłuchała go do końca i zupełnej absolucji udzieliła.

Zresztą drobny ten szczegół nie mógł zająć dłużej księżny, bo przed samymi świętami cesarzewicz wyraził życzenie wyprawienia kilku zebrań w karnawale, ku czemu zawczasu niejedno trzeba było obmyśleć, ułożyć, postanowić. A że nadto spodziewać się należało, iż w ogóle karnawał po żałobie świetniej niż kiedykolwiek wystąpi i że niejednym bal wypadnie parze książęcej zaszczycić, przeto i rwetes w garderobie, i narady z modniarkami.

Żaneta nie była strojnisią. Ubierała się wytwornie, lecz może za skromnie. Cesarzewicz atoli, gdy jeno szło o występ publiczny, oponował przeciwko temu upodobaniu żony i niewolił do zbytku. Bywał zaś w tym razie arbitralnym i nie znosił toalet, które z dala nie wdrażały uszanowania dla swej kosztowności. Z tego warunku powstawała dwakroć większa trudność, bo zawsze niebezpieczeństwo uwikłania się w przesadzony zbytek lub rażącą jaskrawość.

Jedynym ratunkiem w tych kłopotach była dla księżny pani Brońcowa, ona umiała i córkę zadowolić, i Konstantemu dogodzić. Do pani Brońcowej też cesarzewicz miał tu bezwzględne zaufanie.

Więc i teraz w obliczu karnawałowych przygotowań udała się Żaneta do matki po odsiecz w modniarskiej kampanii.

Marszałkowa stawiała się na pierwszy apel, zawsze chętna do rady, zawsze umiejąca wżyć się w treść falbany, w rysunek fałdy, cień koloru i ton materii, ale miast jak zwykle zakończyć swe rady oświadczeniem, że księżna łowicka powinna mieć jeszcze i taką narzutkę, i jeszcze taki kapturek, tylko z puszkiem, i jeszcze taką suknię, lecz z aksamitem, zauważyła flegmatycznie:

– Chcesz czternastu toalet? Sezon się skończy i wyjdą z mody, na wiosnę przepowiadają wielkie zmiany.

– Konstanty sobie życzy.

– Nie wie, że najpiękniejsza toaleta, jak się zleży, traci zawsze cały wdzięk. Karnawał? Myślisz: karnawał? Dużo osób wyjechało z Warszawy. Małachowskich nie ma, Chodkiewiczów nie ma. Z Zabiełłów, Potockich, na palcach nie policzysz, którzy są. Radziwiłłowie jadą, z Zamoyskich mało kto jest, Lubomirskich ani widać. Chociaż może być, może być, lecz nie zdaje mi się, nie zdaje. Żaboklicki nazywa to wyludnieniem. Wyobraź sobie, był u Chłopickiego i partii ćwika złożyć nie mogli.

– Czemu to przypisać?

Marszałkowa rozejrzała się dokoła.

– Ludzie ludźmi, coś sobie upatrzą, wyimaginują, no i tak.

– Znów plotki, obmowy i szumne frazesy.

– Zgadłaś, kochanie. Dawniej ciekawa byłam, a dziś i słuchać nie chcę tych bajań. Ale, miałam list od ciotki Kołaczkowskiej, obawia się o Klemensa. Wprawdzie Klemens poza swoją szkołą aplikacyjną świata nie widzi, lecz w tych czasach ktoś przez samą zawiść może go oczernić i zgubić w oczach cesarzewicza.

– Konstanty nikogo bez wysłuchania i zbadania winy nie potępia.

– Nie ma wątpliwości, droga moja! – przyznała skwapliwie marszałkowa. – Zdarza się jednak, że w najlepszej wierze. Masz, w dziewięćdziesiątym trzecim roku w najlepszej wierze powieszono biskupa! A Klemens jest raptem podpułkownikiem, a to, jak mówi Molski, tyle znaczy, co kanonik. Pozorów zaś nie brak, gdyż Klemens przyjaźni się z Prądyński, pamiętasz, adiutantował nieboszczykowi Dąbrowskiemu, a Prądyński siedzi u Karmelitów. Co gorsze, Seweryn Krzyżanowski jest skompromitowany, a łączy go zaś przez Józefa, męża Anielci Kołaczkowskiej, bliskie powinowactwo z panem Antonim Grudzińskim. Nie tłumacz sobie jeno, kochanie, że cię zamierzam dręczyć suplikami; bynajmniej, powtarzam, co mi Kołaczkowska pisała. Całe nierada byłam z listu, Niby komplementy, przyjaźnie, a zawsze nawias o te dwa tysiące złotych, które kiedyś, za pruskich czasów, miał Beauperek pożyczyć od Kołaczkowskiego. Że też im się chce takie antyczości wywłóczyć! A na liliową ze złotem puściłabym od dekoltu wolant z kokardą na brylantowej muszce.

Pani marszałkowa, dotarwszy do „brylantowej muszki”, w oka mgnieniu zapomniała o swoich ponurych przepowiedniach i zatopiła się w dociekaniach nad doborem strojów. I niebawem, w ogólnym rzucie, całe dwanaście toalet ułożyła, nie skąpiąc ani tiulów, ani muślinów, ani koronek, ani haftów, a z kombinacji jedwabiów, aksamitów i adamaszków dobywając całe poematy linii, barw, imponującej powagi i rozwiewnej lekkości.

– Będą przepyszne, a co więcej, po skrojeniu się ułoży.

– Lecz jeżeli karnawał zapowiada się tak ospale, więc rozsądniej będzie poprzestać na szczęściu.

Marszałkowej żal się nagle zrobiło pomysłów toaletowych.

– Są to pogłoski, przypuszczenia. Od ciebie zależy wszystko. Na twoje bale wiele osób ściągnie do Warszawy. Haukowa układa redutę, u Mostowskich mówią o kotylionie hiszpańskim, a to dopiero początek.

Pani Brońcowa bez trudu zdołała przekonać córkę. Robota w garderobie zawrzała.

Tymczasem, ku wielkiemu zmartwieniu marszałkowej, a całego otoczenia wielkoksiażęcego alteracji, pogłoski o karnawale zaczęły się sprawdzać.

Warszawa pod Nowy Rok nie tylko nie ożywiła się, nie sposobila do zabaw, do piasów, swawoli a ochoty, lecz jeszcze bardziej opustoszała, spochmurniała, sponsepniała.

Pałace szczelniej przywarły okiennice i bramy, w zajazdach panowała cisza, w co bogatszych domach przed północą światła gasły, na teatrze lichy kto bywał. A ród muzykusów wszelkich, grajków a skrzypicielów, bodaj i karczemnych, jakby wyginął, jakby mu i smyków zabrakło i strun nawet na „chmiela” przy oczepinach, nawet na „ostatnią nockę u matki”. Cesarzewiczowi nie spodobała się ta cisza nie w porę. Postanowił ją przerwać, lody przełamać, a

stolicę Królestwa Kongresowego pouczyć, że co trzeba w poście, to nie wolno w karnawale. I w tym celu wielki książę zapowiedzieć kazał na początek bal u siebie w pałacu Brühlowskim, a nadto bal publiczny w ratuszu.

Aliści, gdy kamerjunker Golicyn zasiadł do układania listy przyszłych uczestników balu cesarzewiczowskiego, to tyłu mu naraz zabrakło osób, że aż widział się zmuszonym uprzedzić księcia, iż bal nie da się uczynić dość licznym.

Konstanty wziął na kiel.

– Musi być, rozesać kurierów, dotrzeć wszędzie! Na prowincję? I na prowincję, i do Wilna, i za granicę! Ja im pokażę humory!

Golicyn ściśle wypełnił otrzymane rozkazy. Cały dwór na prześcigi rozwinął starania, byle co najwięcej gości na bal wielkoksiążęcy ściągnąć, byle zjednać gnuśnych, byle kwiatem imion ucieszyć cesarzewicza, byle go zadowolić.

Żaneta nie uczestniczyła w tych zabiegach, nie pojmowała zgoła ukontentowania, z jakim pani Brońcowa zwiastowała jej, że Radziwiłł berdyczowski zjeżdża na bal, że Zielonkowa wzięła na siebie trud namówienia Kossakowskiej lub że Lubomirską uda się mieć. Co więcej, księżna łowicka na pierwsze słowo o trudnościach zebrania dość przystojnej liczby osób, rzadziła zaniechać balu. Ale Konstanty uniósł się:

– Powiedziałem, że ma być bal, więc musi być bal!

Gdy pałac Brühlowski debatował jeszcze, kogo z godnych, a będących w pobliżu dałoby się na ów bal nieodzowny wezwać, ratusz warszawski już doczekał się niebywałej w swych dziejach konfuzji. Na bal publiczny przybyły cztery damy, w czym jedna prezydentowa, dwie mieszcзки i wdowa niepewnego autoramentu. A zanim zawstydzony ratusz pogasił swe na próżno zapalone światła, już na ulicach Warszawy ukazał się wierszyk, smagający nielitościwie „cztery damy”, co niepomne na niedolę powszechną, z halabardnikami satrapy konsultować się chciały.

Cesarzewicz zawrzał. Lubowidzki szukał na wsze strony niegodziwych agitatorów przeciwnikarnawałowych, a śledził, kto kogo od udziału w balu publicznym odwiódł.

Tymczasem, wszczęty przez Lubowidzkiego pościg a echa nieukontentowania cesarzewiczowskiego wręcz przeciwny wywołały skutek.

Oto w ciągu kilku dni kamerjunker Golicyn odebrał kilkanaście listów od różnych personatów polskich z bardzo zawilnymi tłumaczeniami przyczyn, niewołających do wyrzeczenia się tak wielkiego zaszczytu, jak udział w balu u wielkiego księcia.

Istna epidemia chorób, fatalności i przypadków, według tych tłumaczeń, ogarnęła całe rody, całe pnie arystokratyczne. I epidemia niezwykle zaraźliwa, bo odmowy przybywały i od tych, którzy przed tygodniem deklarowali się być na balu, bo naraz dla równie nieprzewidzianych powodów zaniechano i tych kilku zebrań, które na ocalenie reputacji karnawału przygotowywano w domach prywatnych, nawykłych do ulegania woli Konstantego.

Cesarzewicz nie władał sobą. Pomstował na podłość ludzką, groził krnąbrnym gościom, zapowiadał dozgonną niełaskę, odmawiał paszportów za granicę i kłął polską intrygę i polską konstytucję.

Wszystko to jednakże nie ocaliło balu książęcego, na którym krom bywalców i rosyjskich dygnitarzów, zjawiała się garstka mundurów i to przeważnie z hiobowymi wieściami o nagłej niedyspozycji żony, córki, matki lub ciotki.

A że jego cesarzewiczowska mość był w dodatku tego wieczora zły jak chrzan, tedy chęć ocalenia pozorów zabawy rozbiła się o niepokój, udawanie, przymus, szept i nudę.

Księżna łowicka niemniej żywo odczuła oczywiście uchybienie wyrządzone rozmyślnie przez polskie towarzystwo, a bodaj głębiej od cesarzewicza, gdyż zawód zrobiła nawet Zielonka, nawet Sobolewska, nawet rodzona siostra, Józefina.

Pani Brońcowa starała się osłonić Józefinę, a zwalić odpowiedzialność na zięcia.

– To on winien! Wacław winien. Im bardziej go poznaję, tym więcej żałuję, iż Józefinka odmówiła księciu Jabłonowskiemu. Różnica wieku ją przestraszała, a gdyby była rozsądna, byłaby już od pięciu lat wdową i księżną Jabłonowską! Nie potrzebowałaby z fantazjami pana Gutakowskiego się liczyć.

Żaneta odparła, iż przeciwnie, o ile usprawiedliwić może szwagra, o tyle siostrze musi wymówić brak uwagi na to, iż nieobecność jej tym razem nabiera wyjątkowego znaczenia. Z tego wywiązała się dyskusja, zakończona westchnieniem marszałkowej i skrzywieniem ust Żanety.

Pani Brońcowa, aby wybrnąć z nieznośnego milczenia, które między córką a matką zapanaowało, skinęła na stojącego w pobliżu adiutanta Mycielskiego i zagadnęła, siląc się na swobodną konwersację.

– Nie tańczysz, kapitanie?

– Co robić, pani marszałkowno, tancerki nie znalazłem, a generał Kuruta odpalił mnie bez pardonu.

– Bierz przykład z Trębickiego. Patrz, jak sunie z panią Nesselrode.

– I słusznie, bo któż lepiej może salon wypełnić – odrzekł Mycielski, czyniąc aluzję do tuzszy Trębickiego i bujnych kształtów Nesselrodowej.

– Widzę, że i pan skłania się do karnawałowej opozycji – wtrąciła cierpko Żaneta.

– Wasza Wysokość raczy wierzyć, iż nie masz zapamiętaleszego przeciwnika ojców karmelitów nade mnie.

– Co to ma za związek?

– Iż wolę stać na balu, niż siedzieć u karmelitów.

Księżna łowicka zacisnęła usta.

Nieliczni goście wielkiego księcia już po godzinie trwania balu do reszty zalegli kąty. Na sali kilku młodych oficerów z Bezobrazowem na czele wykręcało jeszcze korpulentne małżonki swych zwierzchników. Kamerjunker Golicyn już stracił cierpliwość do nakłaniania do tańca.

Aż po kadrylu, do którego na złożenie przystojniejszej liczby par zaciągnięto i panią Brońcowa, i sędziwą hrabinę Ilińską, taka zaległa ocieężałość, iż dla ożywienia wieczoru Golicyn zaimprovizować chciał popis generała Diakowa, najlepszego w całym sztabie korpusu rosyjskiego śpiewaka.

Diakow do grąków poskoczył i jał im akompaniament wykładać naprędce, gdy cesarzewicz, który był z Haukem na uboczu rozmawiał, nadszedł i mruknął do Golicyna:

– Co to? Diakow ma śpiewać?

– Na życzenie dam.

– Nie potrzeba, nie tańczą, to niech się wynoszą do diabła, czas spać!

Księżna łowicka za powrotem do swoich apartamentów rozplakała się jak dziecko. Złość i niesprawiedliwość ludzka dotknęła ją do żywego, goryczą napełniła, żalem przejęła.

Toć i ten bal im zawadzał, i ten bal im solą w oku był! I tu musieli rozterkę przeschczepić, i tu intrygami bluznać, i tu znaleźć miejsce dla knozań przeciwko Konstantemu.

Tak, dotąd nie wierzyła często wyrzekaniom męża, dotąd jemu nieraz przypisywała winę odstręczania się ludzi, lecz teraz przekonała się, dokąd ta zawziętość i przekora sięgają, teraz zrozumiała, iż całym sensem tych fałszywych patriotów jest kasać rękę dobroczyńcy, złem za dobre się wypłacać, fałszem tumanić, a pianą bluzgać.

I Żaneta wspomniała na zakrwawione serce Konstantego, który tam pewno dwakroć boleśniejszą chwilę przebywa i narzuciwszy peniuar, ruszyła tajnymi schodami do komnatki męża.

Cesarzewicz snadź nie spodziewał się tak spóźnionych odwiedzin, bo na widok Żanety odskoczył od płonącego kominka.

Zaduch spalenizny buchnął na księżnę.

– Nie śpisz?

Konstanty poruszył się niechętnie.

– Nu, nu, co mam spać! A ty czego?

Żaneta skonfundowała się przyjęciem.

– Przyszłam ci powiedzieć dobranoc!

– Ot, co jeszcze, ot, znalazła!

Księżna chciała coś rzec, gdy niespodziewanie wzrok jej padł na kamienną płytę przed kominkiem, na której wiła się a kłębiła w śmiertelnych kurczach na poły zwęglona a kopcząca dymem ciemna masa.

Żaneta wzdrygnęła się.

– Konstanty... toć to... stworzenie jakieś...

– Jak to jakieś – oburknął cesarzewicz – „Martyszka”, małpa i koniec.

– Biedactwo, spaliła się!

Konstanty podskoczył do kominka i pchnął drgającą małpkę w płomienie.

Ogień buchnął, przygasł, aż objął językiem ciało małpki, jeszcze pisk chrapliwy zeń dobył i jął syczeć a skwierczeć. Konstanty roześmiał się dziko. Żanetę dreszcz przeszedł.

—Więc jakże się to stało?

Cesarzewicz potracił nogą leżące na ziemi obcęgi.

– Ot, jak się stało!

– Wywracając ulubione kozły?

– Oo! Właśnie! I oni wszyscy u mnie tak kozła wywrócą! Ja im ślepia wypalę, gęby zapiekę, ja ich lepiej jeszcze! Rok zdychać każę i zdechnąć nie dam! Ja im bal wyprawię! Na gorących węglach zatańczą!

V

Księżna łowicka zbyt dobrą, zbyt łagodną miała naturę, aby żywić długo urazę za balową frondę. Najwłaściwszą odpowiedzią zdawało się jej pogardliwe milczenie i wykreślenie źle wychowanych z listy osób zapraszanych na pokoje cesarzewicza.

Jakoż w tym samym kierunku nie omieszkała Żaneta wpływać na Konstantego, który na wspomnienie balu wciąż jeszcze burzył się, karami groził, a całą Kongresówkę w dyby zakurwał. Lecz że księżna w perswazjach nie ustawała, tedy po dwóch tygodniach Konstanty już tak zmiękł, iż jeno pomrukiwał, co było niechybnym znakiem ochłonięcia z zawziętości. A gdy na koniec Żaneta oświadczyła mu, że już trzy damy winne frondy odprawić kazała oschłą odpowiedzią: „Księżna łowicka zajęta, nie przyjmuje”, cesarzewicz rzekł z ukontentowaniem:

– Oo! I doskonale, najlepiej wcale tych bab nie wpuszczać, baby najgorsze!

I znów cisza z harmonią jęły wokół księżny łowickiej rozścielać swe kobierce, kiedy nagle skrawek gazety angielskiej zniweczył i kojącą pracę czasu, i wiarę w pogardliwe milczenie, i wrodzonej dobroci pogodne błyski, i dzieje pamiętnych balów warszawskich zaprawiwszy oszczerstwem a żółcią, do oczu Żanecie skoczył.

Księżna nie zastanawiała się nawet, skąd ten skrawek akurat znalazł się w jej koszyczku z pelą jedwabną i dlaczego tak wyraziście podkreślił atramentem korespondencję z Warszawy, bo treść ohydna, niegodziwa tej korespondencji wstrząsnęła nią, przeraziła ogromem podłości ludzkiej.

Bo nie dość, że korespondencja szydziła, że plwała na tych, którzy ulegli „Mongolowi”, ale równocześnie zachowanie się Warszawy zwała doniosłym protestem. Rozповідаła o jękach katowanych przez Konstantego ofiar, o gwałtach popełnianych przez jego pacholców, o poniewieraniu konstytucji, o wydaniu Królestwa na pastwę dzikiemu zwierzęciu. A nadto, potwarczość swoją zbroiła tylu zręcznie dobranymi szczegółami, tylu pozorami prawdy, iż Żanecie nawet zabrakło przeświadczenia na ich odparcie, na ich obalenie, na poczytanie ich za kalumnię, za wymysł, za paszkwil.

Księżnę łowicką zdjęła wątpliwość. A jeżeli Konstanty istotnie dał się unieść zapalczywości, a jeżeli rzeczywiście dał powód do oskarżeń, a jeżeli zgrzeszył niezachowaniem pozorów? A może w tym wszystkim tkwi fatalność niezrozumienia się wzajemnego? Czyżby nie było pożytecznym dojść, dotrzeć do rdzenia, naturalnie, nie do uroszczeń burzycielów i szaleńców, ale do tych, którzy bądź co bądź objawiali dotąd uległość, a którzy naraz ostygli w atencjach. Czyż ona, Żaneta, jako Polka, nie powinna by wziąć i na siebie roli pojednawczej, czy nie do niej należało u boku męża zająć się sprawami publicznymi i walczyć z nim na

równi i wpływać, wpływać, i ciągle wpływać? Wszak cesarzewicz nie tylko że się nie strzegł jak dawniej rozmów o polityce, o knowaniach, intrygach, o swych zmartwieniach a nadziejach, lecz widocznie sam szukał często okazji do wywnętrzenia się, do podzielenia myślami. Czyż nie było w tym widocznej zachęty do wyjścia z bierności? Prawda, księżna czyniła niejedno, niejedno przedsiębrała i niejedno osiągała powodzenie, ale czyż to powodzenie nie wskazywało jej obowiązku spróbowania sił na szerszym polu?

I w księżnę łowicką wstąpiła nagle energia czynu, chęć działania, postanowienie zerwania z zaciszem domowego życia. I księżna zdobyła się na krok równie stanowczy, jak i znaczący nie lada zdolność dyplomatyczną. Więc pojęła, iż nade wszystko musi dotrzeć do opozycji, musi poznać wrogie obozy, a raczej dwa najgłośniejsze: ministra Lubeckiego i pani Wąsowiczowej. Na ten koniec starała się znaleźć kogoś, kto by mógł o uroszczeniach i zarzutach, stawianych rządowi Konstantego przez te obozy, dać jej dokładne wyobrażenie.

Najpierw referendarz Ludwik Plater wydał się Żanecie zgoła odpowiednim tak dla przymiotów serca, jak i zalet towarzyskich. Ale zważywszy, iż hrabia Plater niemile był przez cesarzewicza widzianym i że zjawienie się referendarza u Żanety nastęczyłoby okazję do niepotrzebnych domysłów, księżna wybrała generałową Hauke do zapoznania się z machinacjami Lubeckiego.

Lubecki wszakże w oświeceniu Haukowej wyszedł tak czarno, iż księżna żadnego rysu jasnego uchwycić nie zdołała, iż w ogóle zatraciła pojęcie, czemu przypisywać, że Lubecki miał w więzieniu pokutować za swe zbrodnie, jest wciąż i ministrem, i potentatem posiadającym wpływy u dworu i zachowanie cesarza.

Księżna wyczuła stronnictwo Haukowej, stronnictwo sympatyczne, lecz nie dające pojęcia o środkach i argumentach zwolenników ministra. Żeby przeto ustrzec się tego błędu w stosunku do drugiego, skrajniejszego obozu, Żaneta zdobyła się na odwagę zaproszenia do pałacu pani Białopiotrowiczowej, znanej ze swych relacji z Wąsowiczową, Niemcewiczem i całym legionem młodych zapamiętałców.

Zgrabny bilecik, pozorujący zaprosiny chęcią zasięgnięcia rady w sprawie haftu jedwabnego, w którym pani Białopiotrowiczowa celowała, ściągnął ukrytą konspiratorkę do saloniku w pałacu Brühlowskim.

Żaneta była dość bystrą, aby zrozumieć, że przybycie pani Białopiotrowiczowej zawdzięcza złośliwej ciekawości tejże, i że nacierając, sama strzec się musi.

Lecz pani Białopiotrowiczowa bynajmniej nie zdradzała zaczepnych intencji, a jeżeli uchylała się od odpowiadania na rzucane przez księżnę półsłówka, to tak zręcznie skręcała do obojętnych przedmiotów, iż nie było sposobu nawiązać donioślejszej rozmowy.

Księżnę zmęczyła w ostatku podjazdowa walka z pokojowo usposobionym przeciwnikiem i zapytała wprost:

– Jakże się pani bawi w karnawale?

– Nie gorzej od innych.

– Poddała się pani dobrowolnemu postowi.

– Przymusowemu tylko.

– Czy mogę panią prosić o szczerą odpowiedź?

– Wasza Wysokość!

– Jaka właściwa idea tkwi w tej ciszy niezwyklej?

– Idei, moim zdaniem, nie ma żadnej, tylko smutek, udaremniający ochotę do zabawy. Tyle rodzin naraz żyje w trwodze o swych najbliższych.

– Mów, mów pani, nie zważaj na względy.

Białopiotrowiczowa spojrzała niepewnie na księżnę.

– Wasza Wysokość, niewiele mam do powiedzenia. Któż bo nie wolałby kłopotać się o strój, o kulig, o uciechę. Więzienia przepelnione, mnóstwo ludzi niepewnych jutra.

– Czy nie sądzi pani, że bywają okoliczności, w których ten, co z pozoru niczym nie podlega rozkazom, musi karać, musi być bezwzględny, choć pragnieniem jego wciąż przebaczać, wciąż nagradzać, że litera prawa ma swe nieubłagane wymagania?

– Bywa i tak, ale w tym razie litera prawa nie wydaje się groźną. Są tacy, którzy od roku wyglądają sądu, wyroku, są i tacy, którzy nie wiedzą, o co są oskarżeni, których jedyną winą był wyraz.

Białopiotrowiczowa urwała i jakby chcąc osłabić znaczenie wyrzeczonych słów, wyjaśniła:

– Takie chodzą słuchy.

– I w tym bodaj najdokuczliwsze, złe. Jedyną winą był wyraz! Ale daremnie szukać, kogo mianowicie dotknęła taka fatalność! Słuchy kwitują z dowodów, potrafią obejść się bez nazwisk.

– Nie zawsze, na przykład ostatnio wymieniono mi Michała Mycielskiego. Aresztowano go przed kilku dniami za odezwanie się w głos, że woli stać na balu niż siedzieć w więzieniu.

Żaneta zapłoniła się.

– Mycielskiego, adiutanta, kapitana konnych strzelców gwardii?

– Tak jest, Wasza Wysokość.

– Ależ, ależ to niepodobieństwo! Przecieżbym o tym wiedziała. Przed czterema dniami był na służbie.

– We wtorek, a od środy rano jest u marcinkanek.

– W takim razie idzie tu niezawodnie o poważne racje.

– Nie wątpię, powtórzyłam jedynie wieść, którą zasłyszałam mój pokojowiec od kogoś.

– Ano, jeżeli to takie źródło – zauważyła z przekąsem, nie czując złośliwego zmrużenia oczu Białopiotrowiczowej.

– Jednakże, Wasza Wysokość przyzna, iż to odezwanie wygląda na Mycielskiego.

– I tak dalece – rozgorączkowała się Żaneta – że było do mnie zwrócone. No, więc ma pani dowód, co warte są słuchy, chyba pani nie przypuszcza, żebym ja... Mycielski wprost cierpi na manię mówienia dowcipów i żartowania ze wszystkiego, zresztą nie takie mu koncepty wybaczone.

Białopiotrowiczowa odpowiedziała gradem zaręczeń, potwierdzając co do joty „jej wysokości” i dalej tak skwapliwie przyznawała słuszność, iż o nic nie dała zadzierzgnąć nowej nici.

Księżna odczuła nieufność i by nierozwagę naprawić, rzekła przy pożegnaniu:

– Wiem, iż w niejednym światopoglądzie się różnimy, lecz nie umniejsza to mej wielkiej sympatii. Niech pani w wolnej chwili trudność napotykaną przeze mnie... Rada bym, szczerze rada wesprzeć potrzebującego pomocy, ująć się, wstawić, ale znikąd pewnych danych, znikąd jasnego przedstawienia, a tylko wciąż słuchy i słuchy.

– Wasza Wysokość, sam ten szlachetny zamiar...

– Niechże mi pani doradzi, co czynić. Nie posądzaj mnie o zaślepienie, ludzie są ludźmi, o pomyłki nietrudno.

Drobna twarzyczka pani Białopiotrowiczowej spoważniała, diablík znikł w otwartym spojrzeniu.

– Wasza Wysokość władną jest. Słyszałam na przykład takich, dla których możność napisania do więźnia kilku słów byłaby już dobrodziejstwem, dla których pozwolenie nakreślenia kilku niewinnych zdań byłoby balsamem.

– Więc dostań pani te pisma, a doręczę je, niezawodnie doręczę.

– Wasza Wysokość, solennie! Nie dalej, jak wczoraj, błagał mnie ktoś o pomoc w przesłaniu kilku słów Sewerynowi Krzyżanowskiemu, myślałam do pani Brońcowej...

– Niech pani mnie prześle to pismo.

– Ale to znaczy więzień, choć zaręczam, iż w liście słowa nie będzie poza wynurzeniem kochającego serca. List zresztą będzie otwarty.

– Przystaję i ze swej strony nie chcę wiedzieć, od kogo pochodzi. Przyśle mi go pani bodaj dziś jeszcze w zawiniątku z rysunkami haftów.

Białopiotrowiczowa rozpromieniała.

– Wasza Wysokość, gdyby to było możliwe...

Żaneta uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Niech pani będzie spokojna. Krzyżanowski otrzyma go – *il y a des moyens* – przecież to nawet bliski Anielci Kołaczkowskiej. Lecz w zamian stawiam warunek, że pani zbierze dla mnie wiadomości o tych, którzy według jej przekonania padli ofiarą niesłusznych podejrzeń.

Pani Białopiotrowiczowa zmieszana się.

– Wasza Wysokość przypuszcza...

– Nie idzie mi o żadne szczegóły wtóre, a jedynie o to, co może posłużyć ku obronie, ku uwolnieniu. Nie będę pytała o źródło, skąd je poczerpnęłaś. Proponuję pani, abyś odwiedziła mnie pojutrze. Zastanowisz się i jeżeli ci kilku czy kilkunastu biedaków przyjdzie na pamięć, to mi ich wymienisz, ja zaś uczynię wszystko, co w mej mocy. Uporamy się z pierwszymi, spróbujemy innych dobyć.

Pani Białopiotrowiczowa bez wahania przystała na układ i z oznakami radosnego zdumienia pożegnała księżnę.

Żaneta była zadowolona z siebie. Ta droga do pozyskania sprzymierzeńca we wrogiej partii wydała się jej i niezawodną, i szlachetną. Co prawda, Żanecie błysnęło pytanie, czy nie za wiele obiecała, czy nie za wiele przyrzekła, lecz nie kłopotowała się tym zbyt. Tak lub owak, a przecież Konstanty niejedno chętnie wyświadczy.

Tego samego dnia jeszcze wraz z rysunkami haftów Białopiotrowiczowa nadesłała list dla Krzyżanowskiego. Był to więc niezawodny znak, że propozycje księżny zostały przyjęte. Teraz należało działać, aby dokonaniem podjętego zadania ostatecznie lody przełamać. Szczęście sprzyjało Żanecie. Cesarzewicz tego wieczora był w wyjątkowo dobrym humorze. Księżna zebrała się na odwagę i zagadnęła o Mycielskiego.

Konstanty pokiwał głową dobrotliwie.

– Co robić, trzeba go było zasadzić. Miele jęzorem, a czasem zanadto miele! Mnie samemu nijako bez niego! Nie wiesz nawet, w zeszłym tygodniu uśmiełem się na paradzie! Wyobraź sobie, Mycielskij zjawia się w ostatnim momencie, gdy już z powozu wysiadałem, zmiętoszony, błady i w uniformie balowym, no i wprost od ćwika, całą noc grali. Myślę sobie, co tego, to zanadto! Wołam. I ostro do niego! *Comment! Dans la tenue du bal pour la parade?! A on mi na to: Et avec le même plaisir, monseigneur!* Nu, i uśmiełem się! Uu! Dowcipkarz! Żółkowskij nieboszczyk umiał, ale ten całe życie głowę nad conceptami łamał, komediantem był, a Mycielskij! Mycielskiemu rękawem dość trząsnąć! I ćwierci jego figłów nie znasz, bo przy tobie wie, że nie lubię, lecz gdybyś słyszała, jak się rozhula. Rozkosz, rozkosz!

– Czy nie lepiej byłoby go uwolnić? Zawsze adiutant.

– Hm hm! Chciałbym, prawdziwie bym chciał, lecz niepodobna. Zrazu zdawało się, że pleciuga, a wyszło, iż i jemu „Patriotyczne Towarzystwo” światło... Pozwól mi tę teczkę czerwoną! *Merci!* Widzisz, masz zeznanie własnoręczne, Różnieckij mi to przyniósł. A Różnieckij z Mycielskim dobrze, razem grywają w karty! Ale Różnieckij służbista! Po pijanemu, a co należy, dojrzy! Nie ma rady. Musi siedzieć, może co jeszcze zezna, może co napisze. Trzeba dociekać, każdy ślad chwytać, ha, bo trzeba się bronić, inaczej pan Lubeckij buty nam uszyje.

– Jakież ma związek Lubecki ze spiskowcami, o wykrycie których idzie?

Cesarzewicz usta w trąbkę złożył.

– Uu! Żansiu, duszyczko! Uu! Lubeckij to najgorszy. On z Petersburgiem, on na to tu majstruje, aby tam czernić; Co nie chceć, on na złość. Myślisz, że ukaz o skasowaniu czechczarów w piechocie to nie jego robota! Ho ho! Ale ja Mikołajowi napisałem, serdecznie napisałem, tego napisałem. „Czechczery nie dla tego zostały wprowadzone, by je bez potrzeby nosić;

czehczery dają żołnierzowi zgrabność, lekkość, zwinność, a pantaloney to po prostu worki. A na zimno też z pantalonów żadna pociecha, bo się wiuwają na nodze, jak na drągu, gdy kamasz przystaje, opina, ciepło trzyma i zachowuje formę! Sam wiem, co należy żołnierzowi! Na świecie takiej drugiej piechoty nie znajdzie!” Niech lepiej swoich „muzyków” pilnują, a nie wtrącają się do moich czehczarów! I napisałem. Grzecznie, ale ostro. Moja rzecz, a nie jego! Mleko chleptał, kiedy ja już pułkiem dowodziłem! Pójdzie mu po nosie. Dobrze mu tak, niech się nie do swoich rzeczy nie miesza! A czyja to robota? Lubeckiego! Lubeckiego i rozmaitych Orłowych, Bariatyńskich i Zubowych! Ale Lubeckij najgorszy! On mnie chce pokazać, że nie ja rządzę, ale Mikołaj rządzi! Zobaczmy, zobaczymy. Ja politycznie dotąd odnoszę się do Petersburga, dla cesarza mam respekt i czekam testamentu Aleksandra, cierpliwie czekam. A tymczasem tak mu zajechałem, że Mikołaj choćby znów wolał zeza postawić, a odpowiedzi uniknąć – nie poradzi. Już miesiąc mędrkuje i nie wymędrkuje. Opocznin pisał mi, że jego cesarska mość prosi o czas do namysłu. I owszem, i owszem!

Cesarzewicz zatarł ręce z zadowoleniem.

– Najpierw czehczery, potem sąd wojenny, a potem i Lubeckij precz! A rzecz z sądem najwięcej Mikołajowi dokuczy. Uu! Zębami będzie zgrzytał.

– Czy nie lepiej byłoby uniknąć?

– Żansiu, duszyczko, sądzisz, że ja wywołałem, ani mi się marzyło. Sami piwa narobili; ja, przeciwnie, po bratersku, bez wykrętów, uczciwie. O cóż idzie, o wytepienie petersburskiej zarazy. Mikołaj sam błagał mnie, abym poszłak nie zaniedbał, abym nie lekceważył dowodów, że rosyjski spiszek grudniowy miał z Polakami komitywę. I serdecznie się wzięłem. Pojmałem i takiego ptaszka, co z samym Pestlem szachrował, nie pożałowałem niczego, byle dotrzeć, a gniazdo os wytepić. No i są, no i siedzą. Więc komisja śledcza. W komisji prezyduje Zamoyskij! U u! Ten by na manowce rad wyprezydować, a diabła na anioła awansować, ale nie ugryzł, bo w komisji jest i Nowosilcow, i Hauke, i Kuruta, i Kozaków i Krywców. Tedy śledztwo gotowe, idzie o sprawiedliwość o sąd wojenny. Buntownicy są, zakala jest, zdrada stanu, co drugi to nicpoń, co mundur żołnierski hańbi, więc słuszna, aby przed wojennym sądem odpowiadał.

– I mnie się tak zdaje.

– Zdaje! Tu nie ma mowy o „zdaje się”. Tu jest wojskowa ustawa, paragraf i skończone. Są papiery, są zeznania, raz, dwa – sąd, zebrać, skazać jak należy; i był wrzód – nie ma wrzodu! A wiesz, co Lubeckij? On mi w Radzie administracyjnej puszcza finfę, dobrze mówię, finfę, że według konstytucji należy się sąd sejmowy! Ot, gdzie konstytucję znalazł! Na oficera sejm chce zebrać. Ja mu o karności wojskowej, a on mi o konstytucji! Słyszałaś coś podobnego? Gryzipiórek, urzędniczek, co o obowiązkach szyldwacha nie ma pojęcia, będzie mi żołnierza sądził! No, gałgan, gałgan, powiadam ci, Nowosilcow febry dostał!

– Lecz ma się rozumieć, nie zezwoliłeś – wtrąciła Żaneta, która coraz lepiej zaczęła ogarniać niegodziwość ministra Lubeckiego.

– Ba! I tu zaczyna się *archiprochwość*?. Na przekór, w raporcie do Petersburga wyłożył swoje widzimisię, no i intryguje, na wszystkie strony intryguje. Wczoraj jeszcze kamrata z denuncjacjami wysłał, że ja wywołuję niechęć do korony, że ja oddalam wierne cesarzowi serca! Czort wie, czego nie napisał i myśli, że nie wiem!

– Ależ po prostu powinienes go usunąć.

Cesarzewicz namarszczył się.

– Po prostu to tak, lecz z tego mogłoby co gorszego wypaść! Na cztery łapy skoczy i zęby pokaże. On w Petersburgu, najmilszy. Mikołaj sam mi mówił, iż rad by go mieć przy sobie! Tego jeszcze trzeba! Nie, nie! Najpierw przycisnąć go muszę tu, na gorącym schwytać, pokazać Petersburgowi jaki to ptaszek, a dopiero gołąbeczkowi *piercu* zadać! On napisał i ja napi

sałem! Kołzakow ślicznie ułożył! Uu, Kołzakow to głowa! Karamzinem mógłby zostać, gdyby chciał. Mikołaj nie wykreści tym razem. Sprawa jasna: albo pójść ze mną, albo sobie samemu w twarz pluć.

– Sądzę i cesarzowi powinno zależeć na przyznaniu tobie racji

– Tak by wypadało, bo ja tu jestem, a nie on, bo drogo zapłaciłem za to moje prawo! Lecz on czai się mnie wykwitować! Zgaduję, przeczuwam. Wpadły mi w ręce pewne papiery, co aż do Berlina powędrowały. Ale nie mówmy o tym. On mnie próbował zaszachować, a ja mu mata. I na szczęście, na szczęście, inaczej wylecielibyśmy do Tuły w kilka lat. Najgorsze minęło. Lada dzień odpowiedź nadejdzie i skończy się mordęga. Sąd wojenny w dwadzieścia cztery godziny się rozprawi ze zbrodniarzami. I będzie spokój nareszcie.

– I plotki ustaną.

– A słyszałaś może?

– Mój drogi, trudno, aby i o moje uszy się nie obilo.

– No tak, tak! Gadają, strach, jak gadają.

– Mógłbyś temu z łatwością zapobiec.

Konstanty zerknął ciekawie ku żonie.

– Mógłbyś na przykład tych, którzy do spisku nie należeli, wypuścić.

Cesarzewicz zaśmiał się rubasznie.

– Duszyczko, Żanetko! Niepodobna! Co dzień coś przybywa do śledztwa, co dzień z niewiniątka wilk wyłazi. Siedzi sobie trusia i wzdycha. Za co siedzi? Za nic! A tu upłynie tydzień, dwa, sumienie go ruszy i dopiero poznajesz chłopaczka.

– Czy jednakże w zamęcie nie zdarza się, że niewinny ucierpi?

– Bywa, bywa, lecz na to nie ma ratunku, nie ma ratunku.

– Jeden niewinny sprowadza burzę, daje pozór do poczytywania i winnego za ofiarę.

– Niezawodnie, niezawodnie, lecz w takich sprawach lepiej, żeby stu posiedziało na chlebie i wodzie, niżby jeden miał ujść sprawiedliwości, bo jeden w rok stu zepsuje. Co robić, co robić?!

– Mogłabym ci pomóc w tym.

– Ty?!

Cesarzewicz tak szczerze się zdziwił, iż po wykrzykniku ust zapomniał zamknąć.

– Widzisz, chodzą słuchy, że ten i ów niewinny cierpi, że pokutuje za nic właściwie. Otóż, ja bym mogła dowiedzieć się, za kim mianowicie opinia się ujmuje, a ty byś mógł zarządzić sprawdzenie.

– Patrzaj, patrzaj...

– Z tego wiele dobrego, niejedna plotka by ucichła.

– Uu! Widzisz, no, widzisz! Że mi to nie przyszło! – mruczał cesarzewicz. – I masz już kogoś.

– Pojutrze będę wiedziała o kilku.

– A to pyszne, a to doskonałe! Tego mi brakło, ano tego!

Konstanty ją przechadzać się po komnacie.

Żaneta stropiła się, muskuły szczękowe drgały złowroźnie mężowi.

– Oczywiście nie ma mowy, aby każdy z tych niewinnych zasługiwał na uwolnienie! Da ci to jednak wskazówkę, kto wie, czy nie przypomni kogoś. Tylko, mój drogi, nie bierz mi tego wystąpienia za złe. Przyszło mi do głowy, że mogłabym być pożyteczną, lecz jeżeli znajdziesz...

– Hm, a dlaczegóż by nie? I owszem, i owszem!

Księżna nabrała otuchy i dosadniej zaczęła wystawiać Konstantemu, ile okazanie pewnej, niewielkiej łaskawości, względności przyczyni się do uspokojenia umysłów, do stłumienia kursujących baśni, a dalej nakręcając argumenty do listu dla Krzyżanowskiego, jęła dowodzić, że łagodne obchodzenie się z więźniami bardzo często zdolne jest do skruchy nakłonić.

Cesarzewicz stęknął z przejęciem.

- Uch, duszyczko. Co ja z nimi! Jak już ja z nimi próbowałem!
- Gdybyś mi pozwolił na małe ustępstwa.
- Ależ i owszem, i owszem!
- Na przykład, zobacz ten list, przeczytaj. Wyznanie kochającego serca, rzewna skarga duszy, poemat tęsknoty.
- Nu, poemat, poemat! – przyznał wielki książę, rozglądając podane mu przez Żanetę pismo.
- Otóż, mam do ciebie prośbę, żebyś ten list kazał doręczyć jednemu z więźniów. Widzisz sam, iż nie zawiera nic.
- Komu, komu?!
- Sewerynowi Krzyżanowskiemu.

Cesarzewiczowi oczy błysnęły i skryły się pod zwałami szczerkowatych brwi.

- Ale ciebie to gniewa?
- Mnie? Cha! Cha! Cóż znowu! I owszem! List miłosny – nu, ja mu dam list miłosny!
- Więc nie może być?
- A dlaczegoż nie? Doskonale! Będzie go miał. Będzie go miał!

Konstanty gorączkowiej zaczął się przechadzać. Żaneta straciła pewność siebie.

- Masz go od Białopiotrowiczowej? Nie ma wątpliwości! To ona wymyśliła tę historię o niewiniątkach! Nikt inny na podobny koncept by się nie zdobył. Chciała cię po prostu podejść.
- Mylisz się, jej ani się śniło, to ja...
- A ona chwyciła sposobności i wetknęła ci list do swego kochanka! Tak, tak! Do kochanka! Ona ci opowiedziała o Mycielskim. I o kim więcej? O kim?! Który jeszcze niewinny?!
- Nie umiem ci powiedzieć.
- Mówiłaś, że jest kilku.
- Lecz dopiero pojutrze.
- Cha! cha! I tobie się zdaje, że ona naprawdę! Zadrwiła sobie, list do kochanka przemyciła, ażeby cię otumanić, obiecała ci gwiazdkę na księżycu.
- Jestem przekonana, że dotrzyma.
- Tie, tie! I na oczy się nie pokaże! Nie znasz tej baby. O list jej szło. Zresztą ona tego nie potrafiłaby, bo wie doskonale, że ci, co siedzą w więzieniu, nie dla mojej uciechy siedzą! Oszukała cię, a ty myślisz, że świat zbawisz. Tak, duszyczko, żmii uwierzyłaś.
- A jeżeli dotrzyma słowa?
- Chcesz się łudzić? I owszem. Pojutrze nie wiek. Przekonasz się, wspomnisz. Uprzedzam cię. Ani, ani! Idzie ci o ten list! Dziś jeszcze pójdzie do karmelitów. Robi ci to przyjemność, i owszem! Sądzisz, że ja z nimi za surowo. Masz tu papier. Kto go pisał? Cioteczny braciszek! Kołaczkowski! Przyznaje się, należał do Towarzystwa. Był przyjacielem Prądzyńskiego! A kuzynek, podpułkownik! Włodzimierza czwartej klasy dostał, Annę z brylantami drugiej klasy i patrz, czym się zajmuje! I jest dyrektorem nauk w szkole wojskowej! Ot, i wzór dla złotychobów, ot, zbudowanie! No, spiskowiec, buntownik!
- Klemens? Klemens!

Cesarzewicz dźwignął ramionami.

- I on, i on! I cóż? Nic! Machnąłem ręką, powiedziałem reprimendę i sprawa skończona! Niech tam! Daj, trzeba to podrzeć. Ot tak, i w piec!

Żaneta przytuliła się do męża.

- Jakiś ty dobry, jakiś ty zacny!
- Robi się, co można i więcej niż można! I cóż z tego, kiedy i lada Białopiotrowiczowa potrafi choćby ciebie na mnie nasadzić.

– Konstanty! Czy godzi się coś podobnego przypuszczać? Białopiotrowiczową doceniam aż nadto, chociaż w tym razie pomówiłabym ją raczej o nieświadomość niż o złą wolę.

– Przekonasz się.

Ta rozmowa ostudziła Żanetę. Powzięty plan, który tak doniosłe zapowiadał rezultaty, teraz bladł, tracił świetność kolorów, nikił w oczach księżny. A jeżeli jeszcze pajęczymi liniami drogę swą znaczył, to jeno, aby tym żywiej błahość swą objawić, tym dzielniej uwydatnić słusność wywodów cesarzewicza.

Niemniej Żaneta pragnęła co prędzej doczekać się umówionego przybycia Białopiotrowiczowej i nie dla wiary, iżby ta ostatnia zdolna była coś więcej nad kilka urojonych historii zebrać, lecz dla przekory, dla swej ambicji, dla okazania cesarzewiczowi, że przecie lada Białopiotrowiczowej nie dała się w pole wyprowadzić, przecież ten list był tylko taktycznym ustępstwem.

Przepowiednie wielkiego księcia sprawdziły się tymczasem w zupełności i w sposób dokuczliwy dla księżny. Białopiotrowiczowa bowiem nie tylko, że nie stawiała się, nie tylko, że nie zdobyła się na jakiś wykręt towarzyski, ale bez słowa wyjechała na Wołyń do swoich posiadłości. I to w tak nieprzyzwoity sposób, iż gdy Żaneta znudzona czekaniem wyprawiła Rózię, niby to z przypomnieniem o rysunkach haftów, Rózia już żywego ducha w pałacyku Białopiotrowiczowej nie zastała.

Księżnę łowicką uraziła bardzo ta nieprzystojność i oczywisty podstęp, a równocześnie uzdrowiła, bo już w całej pełni okazała i przewrotność opozycji, i słusność zarządzeń cesarzewicza, i wartość bajek, rozsiewanych przez angielskie gazetki.

I Żanecie po prostu wstyd było. Wstyd przed mężem za swoją pewność, za swoją łatwo wierność i za to, że wątpliwościami zasmuciła Konstantego, że Białopiotrowiczowa dopuściła do konfidencji, że taka intrygantka, pod płaszczykiem obywatelki i Polki, skłoniła ją do zabiegania o doręczenie miłosnego madrygału.

Księżna przy tym nadto czuła się winną, aby nie uprzedzić wymówki męża, aby odwlec przyznanie się do błędu, aby serdecznym wylaniem nie nagrodzić płochego sądenia o sprawach. Jakoż, nie czekając wezwania na zwykłą poobiednią gawędkę, wprost od stołu za Konstantym poszła i jednym tchem zrzuciła ciężar z serca.

Cesarzewicz zmarszczył się i do biurka sięgnął.

– Nu, nu, dobrze, dobrze, ale najpierw powiedz mi, co było między tobą a Łukasińskim!

– Między mną i...

– Muszę wiedzieć o wszystkim.

Żaneta zmieszała się.

– Daruj, lecz nie pojmuję.

Wielki książę targnął się i zaskrzeczał chropowato:

– Nie pojmujesz! Nie pojmujesz! A może teraz pojmujesz! Patrz, jakie to świętości ten gałgan nosi.

Księżna struchlała. Cesarzewicz trzymał w ręku jej miniaturę, oprawną w mosiężny medalionik.

– Ależ... ależ...

Cesarzewicz zaśmiał się szyderczo.

– Cha! cha! Ano, taka sama, jak moja! Mnie prezent i jemu prezent!

– Konstanty, zastanów się...

– Mów całą prawdę! Zaniósłś mu na osłodę, żeby się cieszył tym obrazem. Znalazłś pozor, żeby się doń dostać? Co?!

– Nie rozumiem, nie wiem... – szeptała Żaneta, porażona jak gromem.

– Chcesz się zaprzeć. Więc może ta miniatura sama dostała się do barłoga więziennego? Gadaj! Miałaś z nim romans?

Księżna drżała, słaniała się, nie znajdowała odpowiedzi na te krzywdzące zarzuty. Cesarzewicz zastanowić się nie dał i nacierał coraz gwałtowniej, coraz gniewniej.

Żaneta w ostatku zmogła się. Głosem bezbarwnym, złamanym, urywanym jęła rozpowiadać szczegóły dotyczące relacji swych z Łukasińskim, jego wyznań daremnych, a dalej mówić o miniaturze, która zginęła przed powrotem Konstantego z koronacji, o daremnych poszukiwaniach, o tym, że nie ona, lecz adiutant de Cubière przypadkowo Łukasińskiego poznał, że nie pojmuje, skąd ta miniatura się wzięła, że Molinari robił dwie, ale iż pierwsza była w złoto oprawna, że Łukasiński budził w niej co najwyżej politowanie, że niczym nie zawińczyła.

Cesarzewicz wysłuchał w milczeniu tłumaczenia Żanety. A potem zadał kilka krzyżowych pytań i warknął:

– Pójdiesz do siebie i nie ruszysz się za próg. Ale pamiętaj, jeżeliś skłamała, jeżeliś prawdę zataiła, no, to ja potrafię ci ją spod serca wydostać!

– Więc pomawiasz mnie?

– Marsz do siebie i ani kroku!

VI

Zmierzch dżdżystego dnia marcowego zapadał. Księżna łowicka siedziała zapatrzona smutnie ku koronie targanej wichrem akacji, która mając za tło pasmo żółtego, wilgotnymi plamami znaczącego muru i szarą wstęgą nieba, była jednym urozmaiceniem monotonnego widoku, dającego się dosięgnąć z okna saloniku Żanety w pałacu Brühlowskim.

Myśli księżny snuły się leniwie, ociężale, beznadziejnie. Tydzień już minął od chwili, gdy owo okrutne posądzenie spiorunowało ją, gdy ją strąciło w niełaskę, przykuło do ścian dwóch pokoików. Tydzień już minął ponury, straszny tydzień niepewności, rozżalenia, daremnego spodziewania. Tydzień już minął, jak jedynymi istotami, które Żaneta oglądała, była Rózia Kochańska i wyprężony, skamieniały pod drzwiami wchodowymi, Pasternikow, strzelec cesarzewicza.

Zresztą, od tygodnia z zewnątrz ani odzewu, znaku życia, ani wiadomości o cesarzewiczu, ani poszmeru głosów ludzkich, jeno łopot smugi deszczowej o szyby okienne, jeno żwawsze odsapnięcie wielkoksiażęcego draba, jeno też same paplanie Rózi, ubolewającej nad „niedomaganiem” jej wysokości i nieraz nie umiejącej nic rzec o tym, co się dzieje w pałacu.

Żaneta z początku próbowała przełamać klauzulę: słała Rózię do Kuruty, do Fanshawe’a, pisała listy do cesarzewicza, wynajdywała gwałtowne sprawy, domagała się wezwania furiera, pokojowych, Jawickiego, doktora Kalischa, lecz gdy pomimo zapewnień Rózi o spełnieniu rozkazów, nikt się nie zjawił, zaniechała tych usiłowań.

A rezygnacja stłumiła w księżnie i bunt wewnętrzny, i obrażoną miłość własną, i lęk przed zapalczywością Konstantego, i świadomość krzywdy. Tonią smutku wypełniła, głuszą apatii przejęła, a jeno hen, w skłębionych myślach, rechotała dzikim śmiechem Łukasińskiego. Zmierzch ciemniejszymi woalami spłynął. Korona targanej wichrem akacji mocniej się ugięła, błysnęła u wierzchołka odblaskiem odchodzącego dnia i jęła topić w mrokach najpierw co smuklejsze witki, a potem i gałęzie, i sęki, a w ostatku, i pień zlewać z czerniejącym tłem.

Szelest żwawych kroków ocknął Żanetę. Odwróciła głowę. Strumień żółtoczerwonego światła lampy zmrużył jej oczy.

– A, to Rózia! Książkę! Daj książkę.

– Wasza Wysokość – mówiła półgłosem starsza pokojowa – Pasternikowa już nie ma! Żaneta uśmiechnęła się obojętnie.

– I kapitan de Cubière wrócił, był dziś u generała Kuruty,

– Zabawna jesteś z tymi nowinami, które mnie wcale nie obchodzą.

Rózia pochyliliła się konfidencjonalnie do ucha Żanety.

– Myślę, proszę Waszej Wysokości, że już wszystko dobrze.

Księżna zapłonila się i nie podnosząc głowy, rzekła sucho:

– Daj mi szal. Przysuń lampę. Możesz odejść.

Krochmalone spódnice Rózi zaszeleściły niepewnie i umilkły. Żaneta otworzyła książkę i przewracała machinalnie kartki. Lecz nim wzrok natężyła, nim zdołała pierwszy wyraz odczytać, jakaś biel przesłoniła jej litery, drobne rączki Żanety znalazły się w kurczowym ujęciu innych rąk.

Księżna nie rozumiała, co się z nią dzieje. Słyszała przyciszony, chropowaty głos cesarzewicza, czuła pałący jego oddech. Widziała i łzy, dobywające się spod obrzękłych powiek Konstantego, i głowę jego, chylącą się jej do nóg w spazmatycznych ruchach, i jeszcze mniemała, że śni, że roi, bo i skądże by Konstanty miał, bo i cóż by to znaczyć mogło.

Potok słów zerwał się z ust cesarzewicza. Księżna odgadła ich znaczenie. Przyszedł błagać przebaczenia, przyszedł dwakroć gorętszym wyznaniem okupić winę. On dobry, on szlachetny. Takim pragnęła go mieć, o takim zadośćuczynieniu marzyła.

I piękna twarzyczka księżny łowickiej zajaśniała, i drobne jej rączki zacisnęły się pieszczotliwie na rękach cesarzewicza.

– Mój najdroższy, nie bierz do serca... Toć nic, nic się nie stało!

– Bo ty nie wiesz wszystkiego! Nie tylko, że mi lampasy w konnicy skasował, ale i białe spodnie w piechocie! Pomyśl, pomyśl, co za niegodziwość! I on mnie, mnie śmie nadsyłać ukazy! Mnie waży się rozkazywać! Winnych według konstytucji pod sąd sejmowy oddaje! Lubeckiemu się spodobało, więc cóż jemu brat, któremu zawdzięcza tron, cóż jemu dane przyrzeczenia! Podlec, podlec! Gałgany wyją z uciechy! Wstyd ludziom na oczy się pokazać! Ha, mówiłem ci, że mi pazury pokaże! Ale jeszcze nie jego wygrana, jeszcze i ja mu potrafię! Jeszcze on inaczej do mnie zagada!

Księżna potrzebowała nie lada wysiłku, aby przerwycić się myślą w odmet skarg i żalów, przekleństw, goryczy i złości Konstantego, tym bardziej iż cesarzewicz od lampasów na rajtuzach kawaleryjskich do dziedzictwa tronu, się staczał, intrygi petersburskie z biadaniami nad pozbawieniem piechoty białych obcisłych spodni sukiennych, wystawiając niegodziwość Mikołaja, drwił z jego nieuctwa wojskowego, od cara Pawła do Lubeckiego przeskakował, od wściekłości do bezsilności, od polskiej konstytucji do rosyjskiego knuta, od zemsty do wyczerpania, od testamentu Aleksandra do parad na Saskim dziedzińcu.

Wreszcie księżna zdobyła się na kilka słów perswazji. Konstanty według zwyczaju poczytał je za bodźca do tym gwałtowniejszych wywodów. W ostatku własny impet osłabił go, wyczerpał, przygnębił.

– Ach, Żanetko, ciężko żyć, ciężko znosić! Ale i cóże robić, cóże? Uważ, w tym wszystkim pułapka! Dokuczyć mi, dopiec i do ustąpienia skłonić! Hm? Zdaje mi się. Może mi się zdaje? Lecz tyle wiem, że mnie stąd nie ruszą! On ze mną tak, to ja z nim inaczej! Uu! Pan Mikołaj zatańczy jeszcze! Sąd sejmowy? Znajdę i na sąd radę! Tylko ani pary! Chodź do salonu, musimy się pokazać... Czort wie, kto nas szpieguje! Donoszą mu o najmniejszej rzeczy! Daj oczko i podaj mi rękę.

Żaneta zawahała się.

– Nie wiem, czy mi wolno przestąpić próg!

Konstanty spojrział z wyrzutem na żonę.

—Duszycko! Ot, masz o co! Nu, nic, nic! Stęskniłem się. Daj jeszcze czoło. Jutro przenosimy się do Belwederu!

– Jutro?

– Koniecznie! Kazałem poprzerabiać zamki, urządziłem tak, że teraz i komar się nie wśliźnie! Tu człowiek niczego nie pewny. Mówię ci. Trzeba się strzec! Pamiętasz te papiery, które zginęły? Wykradli!

– Papiery nie wiem – odpowiedziała Żaneta z intencją – ale moją miniaturę z pewnością.

– Twoją miniaturę zabrała po prostu Chłapowska! – zdecydował porywczco Konstanty, a spostrzegłszy płomienie, które twarzyczkę księżny przebiegły, dodał:

– Nie upieram się, choć tak wygląda. Kto wie, czy jej nie namówili! Nic, nic! Przypuszczać wolno. Tak się złożyło, że akurat ona jedna! Mniejsza z tym, niech sobie. Ot, wielka historia, nu, zginęła i nie ma! Daj jeszcze oczko! Uu! Doskonale!

Księżna łowicka z niemałym ukontentowaniem powitała powrót do swego zacisznego apartamentu w pałacu Belwederskim. Brühlowski bowiem wiał dla niej pustką wielkich, stylowych komnat, raził czającymi się na byle głos echami sklepień i nie miał ani tak przytulnych kącików, ani izdebek tak zawsze pełnych słońca, ani tej dali parkowej, spływającej od tarasu, ani tej różnorodności widoków, ani tej kapliczki, jaśniejącej niebieskim obliczem świętej Jadwigi. I księżna z całym zapalem zajęła się swym belwederskim gospodarstwem i z większą niż dawniej stanowczością obiecywała sobie w swoim światku pracować: ubogimi się zając, zbożnemu kłopotarstwu się oddać i iść dawną drogą, prostą, niezawodną, a obcą temu, na co ani sił nie miała, ani woli zadość, ani wiary w powodzenie.

Lecz te postanowienia spełzły na niczym, wir spraw publicznych uniósł ją ponownie i tym razem już nie dla własnego planu, ale na życzenie Konstantego, na żądanie cesarzewicza.

Wielki książę toczył zajadłą walkę z ministrem Lubeckim o winnych zdrady stanu, o winnych spiskowania z grudniowcami petersburskimi, o winnych knowań rewolucyjnych, o winnych uwłaczania rządowi cesarzewicza.

Lubecki odniósł był częściowo zwycięstwo, bo zdołał skłonić Mikołaja do odrzucenia żądania Konstantego i wyjednał powierzenie losu oskarżonych sądowi sejmowemu; a więc gotowy wyrok, który był cesarzewicz dla wojennego sądu przygotował, zniweczył.

Konstanty przecież, pomimo tej pierwszej przegranej, ani myślał złożyć broni, ani myślał ulec, boć tu o coś więcej szło niż o kilka istnień ludzkich, o coś więcej niż o upokorzenie Lubeckiego a uradowanie Nowosilcowa.

Tu już szło o stanowisko cesarzewicza, o zaszachowanie godności wodza naczelnego wojsk polskich, o zachwianie władzy panującej i w Kongresówce, i na Litwie, o skradanie się ku temu co Konstanty tyłu ofiarami okupił, a co było mu najdroższym najmilszym, co było mu i żywiołem, i życiem samym.

Sądu sejmowego, nakazanego przez Mikołaja, juści niepodobna było zwalić. Lecz można było dopilnować, aby sąd sejmowy wydał równie surowy wyrok, aby wyrokiem swym dowiódł, że cesarzewicz miał słuszność, że alarmy Lubeckiego o porywczosci Konstantego, porywczosci kopiającej przepaść między tronem i Polakami, były kłamstwami Makiawela, że wielki książę jeden docenił zbrodniarzów, że on nawet i na drodze konstytucyjnej umie okazać swą rację.

To zadanie było z pozoru dosyć łatwym. Boć senatorowie, mający utworzyć sąd wojenny, musieli zważać na życzenie tego, którego wola sięgała głębiej, niż ubogie paragrafy konstytucji. A dalej, przyszedł sąd sejmowy miał gotowe akta komisji śledczej, akta pełne zeznań kompromitujących. A więc starczyło zmusić sąd do oparcia się na tych zeznaniach, by wyrok co do litery zgodził się z wyrokiem cesarzewicza.

Konstanty niczego nie zaniedbał, co by sąd poddało jego wpływowi. Więc najpierw pozbył się prezesa senatu, Zamoyskiego, który jako członek komisji bruździł i tak kręcił, że trzeba było na nieobecność jego polować, aby akta lepiej wypełnić. Powód znalazł się wyborny: kto zasiadł w komisji, temu nie wypadało należeć do sądu. Prezesem został Bieliński, marszałek, człek nie mniej od Zamoyskiego niepewny, ale za to stary bardzo, schorowany, przeto niedołęga.

Następnie, tuż po kwestii, kto ma przewodniczyć sądowi, wynikła kwestia, czy dopuścić do zasiadania biskupów.

Cesarzewicz waży się, lecz w ostatku doszedł do wniosku, że łatwiej infulata przekonać, niż sobie z ukrytym w senatorskiej skórze jakobinem poradzić. I dlatego bez wysiłku dał się nakłonić do historycznych przykładów, dowodzących praw biskupich nie tylko do sądenia, ale i ferowania wyroków śmierci.

A następnie, żeby radykalnie i bez zwracania uwagi infulatów zjednać sobie, wpadł na myśl użycia wpływów Żanety.

Księżna z ochotą podjęła się misji, dotarła do każdego z biskupów, z całym przejęciem wyłożyła każdemu, jak bardzo musi cesarzowicz upierać się przy sprawiedliwej surowości. I otrzymawszy od każdego solenne zapewnienie, wraz z mniej więcej uroczystym błogosławieństwem, zdała raport mężowi.

Cesarzowicz zatarł ręce na te pomyślne wiadomości, obstawił wojskiem gmach sądu, resztę wojska skonsygnował i dał znak na rozpoczęcie debatów. Ba, i jeszcze się zabezpieczył na figle licha, bo zniewolił Radę Rządzącą do oświadczenia, iż gdyby sąd sejmowy uniewinnił oskarżonych, to wyrok ten dotąd nie może być wykonany, dopóki cesarz nie zatwierdzi go we wszystkich szczegółach.

Kiedy pod tak dobrymi wróżbami sąd sejmowy się zebrał, naraz złe przyniosło księcia Adama Czartoryskiego.

Czartoryski siedział ku zadowoleniu cesarzowicza we Włoszech i znaku życia nie dawał. Sąd oczywiście bez tego wytwornego a chytrego dyplomaty, którego Konstany nienawdził, a który swoją pasją cedzenia każdego wyrazu już jako minister Aleksandra, nieraz do irytacji cesarzowicza doprowadzał, mógł tylko zyskać. Lecz Czartoryski akurat wycelował i o należne mu krzesło senatorskie się upomniał.

Na pozbycie się Czartoryskiego sposobu nie było. Konstany przeto jeno czujność zaostrzył, bo gdzie taki, jak eks-minister się pokazał, tam dwakroć łatwiej było o pogrzebanie najlepszej sprawy.

Sąd tymczasem żółwim krokiem zaczął wlec swoje obrady, rozpraszać się nad rozstrzygnięciem zasadniczych intencji statutu, a w dodatku, miast poprzestać na gotowych zeznaniach, zabrał się do nowego badania, sporządzania nowych protokołów.

Konstany pienił się, kłął prokuratora na czym świat stoi za to, że na podobne uchybienie zezwolił, wzywał do siebie członków sądu na rozmowy, słał Żanetę do biskupów i gniewem próbował i dobrocią, ale uchwały tej zwalić nie zdołał.

Następstwa tej uchwały były klęską. Oskarżeni wypierali się dawnych zeznań, rozpowiadali duby smalone o torturach.

Cesarzowicz liczył jeszcze na świadków. Toć był Skrobecki, był Karski. Hauke generał słyszał na własne uszy, jak przyznawali się kolejno do winy. Ale najważniejszym, najbardziej groźnym dla oskarżonych świadkiem był dawny major czwartego pułku

Łukasiński, dawny faworyt, a potem niewdzięcznik, zdrajca, buntownik i więzień.

Łukasiński był niegdyś za pan brat z głównym zbrodniarzem Sewerynem Krzyżanowskim, który przyznał się do spiskowania z dekabrystami i gotowania rewolucji wojskowej na Ukrainie. Łukasiński, choć ujęty zawczasu, teraz dopiero, na śledztwie zagadał, teraz dopiero skruszał po latach więzienia, teraz dojrzał.

Szło więc o to, aby Łukasiński powtórzył toż samo na sądzie, boć jedno zeznanie dawnego majora starczyło za wszystkie inne, za najcięższy dowód prawdy.

Cesarzowicz pamiętał o tym i wydelegował generała Kurutę do zaopiekowania się Łukasińskim.

Kuruta najsumienniejsz wywiązał się z zadania. Osadził Łukasińskiego w więzieniu u karmelitów, w widnej a obszernej celi. Sprowadził doń lejbmedyka Kalischa, bo więzień czegoś chorzał mocno. Troszczył się, czy mu na czym nie zbywa; starał zadowolnić każde jego życzenie; znosił mu urywki gazet do czytania; mówił mu o łaskawości, którą obudziło ostatnie serdeczne zeznanie majora. Tłumaczył, iż wypada teraz powtórzyć toż samo, a łaskawość wzrośnie. A chcąc już całą swoją elokwencję wyczerpać, odpowiedział o tym, jak to cesarzowicz Konstany przez carową Katarzynę na greckiego cesarza był wychowan i jak to byłby nim został, gdyby nie to, że caryca nie zdążyła odebrać Turkom Konstanytopola, bo nagle oddając w „komórce” co innego, oddała zarazem i ducha.

Łukasiński przyjmował czynione mu atencje, jadł, pił, dopominał się różnych udogodnień, lecz gdy stawiano go przed sądem, miast potwierdzić zeznania, okazał nie zagojone jeszcze blizny po torturach, którymi zmuszano go do świadczenia o tym, o czym ani wiedział, ani słyszał.

Był to śmiertelny cios dla rachub cesarzewicza, sąd zatrząsł się zgrozy. Warszawa burzyła się. Okrzyki zapалу witały odtąd eskortowanych co dnia na sąd więźniów. Tłumy wokół pałacu Krasieńskich, w którym się sąd odbywał, stawały się coraz natarczywsze, coraz niesforniejsze, coraz trudniejsze do utrzymania w karność.

Cesarzewicz już po ostatnie ładunki sięgnął. Patrolami niesforną stolicę obesłał, wzmocnił strażę, dom każdego z sędziów na łaskę tajnej policji oddał. Lubowidzki policmajster siekł na ratuszu gawieź uliczną, Różniecki czyhał na byle ślad współczucia między wojskiem, a byle pozór zamieniał w denuncjację, golibroda Makrot uwijał się dzień i noc, a księżna łowicka raz po raz odbywała z biskupami narady.

Położenie, mimo wszystko, było beznadziejnym, bo nawet Żaneta, która zawsze z pocieszającymi wieściami wracała od infułatów, teraz plątała się w zdaniu sprawy, bo i sama nie rozumiała, jak sobie tłumaczyć te zagmatwane naraz zdania, naszpikowane podmiotami, a orzeczenia kryjące w niedomówieniach i domyślnikach.

Konstanty łudził się chwilami, że jeżeli tu przegra, to wygra w Petersburgu, bo Mikołaj nie odważy się zatwierdzić uniewinniającego werdyktu. I w tym celu wielki książę już teraz Kołzakowa zasadił do pisania referatów dla cesarza o gwałceniu prawa, o sponiewieraniu sprawiedliwości, o złym wpływie, jaki tak pojmowany sąd wywiera i o wszystkim, co tylko zdolnym było zohydzić senatorów Królestwa.

I Kołzakow pisał wciąż oskarżenia, pisał zaś z taką precyzją piekielną, z taką kunsztowną przebiegłością, iż prawdziwym pocieszeniem był wielkiemu księciu. Ale juści pocieszeniem platonicznym, bo choć Kołzakow Karamzinem mógłby być zostać, gdyby chciał, przecież na zakute łby petersburskie, na petersburską przewrotność słaby to był oręż.

Księżna łowicka brała żywy udział w tych utrapieniach męża, wspierała go wedle sił i krzepiała na duchu. Konstanty, co prawda, nie zawsze dość dokładnie mówił o tym, co się działo w sądzie, lecz i pobieżnie nieraz, ogólnikowych rysów starczyło Żanecie na docenianie obłudy i niegodziwości ludzkiej, która tyle bólu zadała cesarzewiczowi.

I Żaneta nienawidziła Lubeckiego, i razem z Konstantym przeżywała i niepewność, i rozczarowania, i nadzieje. I Żaneta sromotała się serdecznie tych zakusów na uchybienie sprawiedliwości i nie wahała się głośno o tym mówić i szczerze mówić. Z tego powodu przyszło nawet do oziębłości z Beauperkiem.

Księżna, będąc u matki na śniadaniu, chciała właśnie dać wyraz swemu oburzeniu na niedołęstwo sądu sejmowego, który czwarty miesiąc debatuje nad oczywistą winą, gdy niespodziewanie marszałek sponad udka kapłoniego ozwał się sentencjonalnie:

– Żebym był senatorem, to bym i tego źdźbła nie zdołał dziś przełknąć.

Żaneta zagadnęła o znaczeniu tej definicji. Pani Sobolewska, siostra ministra Grabowskiego, wyręczyła Beauperka.

– Marszałek chciał wyrazić, że zafrasowany trudnym położeniem, nie miałby apetytu.

– Wątpię, bo niezawodnie nie siliłby się na rozmyślne stwarzanie sobie trudności, jak to czynią inni.

– Tak, kochanie – wtrąciła się pani Brońcowa – lecz doprawdy niełatwo wybrnąć, bo środka nie ma, a każde przechylenie bądź na jedną, bądź na drugą stronę...

– Zależy, jak kto się zapatruje – przerwała z naciskiem księżna. – Tam gdzie jest wina, tam musi być i kara.

Po tym oświadczeniu, gdy brzęk sztućców dał oczywisty znak do zmiany przedmiotu rozmowy, Beauperek, sięgając po „pałkę” kapłonia, zauważył:

– I otóż węzeł. Bo wina jest, a kary nie ma! Ano tak! Błażeju, pokaż mi po drodze perliczkę! Ano tak! Wina mi też nalej! Wina, ponieważ wiedzieli o spiskowcach rosyjskich, a kary nie ma, bo nie ma przymusu oskarżenia! Błażeju, pokaż mi po drodze kompot!

– Więc Beauperek dowodzi niewinności przestępców? – rzekła księżna, nie mogąc ukryć podrażnienia.

Marszałek skonfudował się.

– Ja? To jest, ja nie dowodzę, tylko że słyszałem i ten... Błażeju, podaj mi sałatę! Powiadam!

– Bez intencji! – dopomogła mężowi marszałkowa.

Księżna napomknęła coś o nieoględnym dawaniu wiary lada opowieściom i rzecz skończyła się na tym, że Beauperek z wielkiej alteracji nie tylko perliczkę z kapłonem na jednym talerzu zmieszał, ale i kompot z sałatą.

Żaneta jednak zrozumiała znaczenie konfuzji, którą ta rozmowa wywołała przy śniadaniu i wrażliwe jej serce spłynęło goryczą ku Beauperkowi.

Fatalność w dodatku zrządziła, że ta gorycz utrwałała się, ile że połączyła się bezpośrednio z rankorem do pułkownika Turny, starszego adiutanta cesarzewicza.

Turno tuż po śniadaniu przyjechał do Brońców, aby księżnie towarzyszyć w wycieczce do obozu piechoty, gdzie Konstanty dnia tego odbył inspekcję i dokąd Żanetę był zaprosił.

Księżna pod wrażeniem żalu do Beauperka, zagadała do Turny o sędzie sejmowym.

Turno, jak przystało na adiutanta służbistę, potakiwał uprzejmie Żanecie. Ale kiedy ta do zgoła stanowczej niewoliła go opinii, uwiązył na jakimś dwuznacznym domyślniku. Księżna atoli nie poprzestała na tym i rzekła:

– Niech mi pułkownik powie szczerze, jakie jest jego zdanie?

– Wasza Wysokość, tak mało znam się na prawie i statutach, które podobno główną odgrywają rolę.

– Lecz wiesz pan, co się dzieje! Wiesz, na co się zanosi! Jego cesarzewiczowska mość i ja poważamy wielce opinię pułkownika, ile że przekonaliśmy się, że obowiązki łączysz z niezachwianą sumiennością i oddaniem.

– Wasza Wysokość.

– Pojmuję, że wobec cesarzewicza mogą pułkownika krępować względy, ale nie wobec mnie! Idzie mi o promień światła, o bezstronny pogląd. Więc co byś pan uczynił w położeniu wielkiego księcia?

Turno potarł z zakłopotaniem czoło.

– Porozumiałbym się z Czartoryskim.

– Z Czartoryskim, ależ...

– Czartoryski ma swoje wpływy, orientuje się szybko, ma zachowanie w senacie.

– Ależ, chyba nie wiesz, pułkowniku, że Czartoryski wcale się nie kryje z dążeniem do uwolnienia winowajców.

– Z tego pewność, że porozumienie złagodziłoby wiele.

Żaneta uraziła się na tak dziwną radę tego, wierności którego cesarzewicz ufał bezgranicznie, i słowa Turny powtórzyła Konstantemu. Wprawdzie księżnie żal potem było pułkownika, bo cesarzewicz zirytował się, a nie poprzestając na zrobieniu Turnie wymówki, ciągłymi docinkami go dręczył, lecz trudno, na razie nie mogła znieść podobnej niezyczliwości.

Tymczasem obrady sądu sejmowego, mimo kunktatorstwa, dobiegały kresu. Liczba senatorów, na których cesarzewicz polegał, zmniejszyła się w toku posiedzeń. Jeden generał Wincenty Krasiński trwał niewzruszenie w przekonaniu o winie oskarżonych, ale i on nie zawahał się uprzedzić księcia, że o ile jakaś szczęśliwa okoliczność nie zdarzy się, to większość gotowa ulec sentymentowi i naciskowi bezkrytycznemu ulicy.

Była to zapowiedź niechybnego zwycięstwa Lubeckiego. Nowosilcowowi plamy wątrobiane ukryły stroskane oblicze. Fanshawe wyrzekał przed Kurutą na zmarnowanie akt śled-

czych. Różniecki spijał się z Gendrem, Hauke piorunował, aż cała komisja wojny dygotała; nawet tak skromny człek, jak imć Puchała-Cywiński, posmutniał, bo Lubowidzki, zwierzchnik jego najbliższy, wszystkie swe niehumory na głowę Puchały zwał. I parady na Saskim dziedzińcu, zda się, odczuły ten nastrój, a choć co dnia po staremu łomotały i generałmarszem, i wybijały „zbór austriacki”, i huczały wiwatami, i brzmiały echemi częstszych wybuchów gniewu naczelnego wodza, przecież szeptniały czegoś, przecież utraciły wiele ze swego wdzięku. Prawda, że Saski dziedziniec poniósł był dopiero co nie lada straty. Bo komendant placu Aksamitowski, ten z krwi i kości paradzista, zmarł był właśnie, bo co boleśniejsze, znikły bezpowrotnie białe, obcisłe spodnie w piechocie i piękne lampasy na płóciennych rajtuzach kawalerii. Lecz przecież, i poza Aksamitowskim, i poza spodniami i rajtuzami, nie dostawało czegoś Saskiemu dziedzińcowi.

Naraz, w przededniu wyroku, cesarzewiczowi błysnął plan stworzenia tej właśnie „szczęśliwej okoliczności”, o której mówił Krasieński. Plan cesarzewicza polegał na skłonieniu Łukasińskiego do ponowienia zeznań wobec sądu. Nie był to plan nowy, boć w tym kierunku pracował i Fanshawe, i Gendre, i Hauke, i Kuruta, ale żaden z nich nie mógł poruszyć w upartym więźniu tej struny, która Konstantemu przyszła do głowy.

Cesarzewicz niezawodnie wolałby był tej jedynej struny nie dotykać, tej jedynej uniknąć, ale w obliczu porażki i tej ostateczności się chwycił.

Jakoż, nie tracąc czasu, poszedł Konstanty do Żanety i wystawiwszy jej doniosłość złamania zaciętości majora, zakonkludował stanowczo:

– Ano tak, od tego nicponia zależy wszystko, wszystko! Pasy bym darł z szelmy, żeby się na co zdało! Ot, położenie, ot, miła sytuacja!

Księżna łowicka, choć od czasu swej pokuty w pałacu Brühlowskim strzegła się imienia majora wypominać, tym razem ośmieliła się wyrazić swą wątpliwość.

– Czy nie mylisz się? Bo skądże człek tak mizerny, więzień, wydany na łaskę skinienia najlichszego ze sług...

– Ooo! I otóż w tym położenie! Robak, lizka, komar z pozoru, a widzisz, co by mógł! Widzisz, do czego przywiódł mnie „pan” Mikołaj!

Konstanty dokładniej rozpowiedział żonie o wartości zeznania Łukasińskiego, o jego uporze i o śledztwie, które zdołało już raz zmóc majora, lecz dla intryg Lubeckiego przez sąd uległo sprawdzeniu, czyli doprowadziło więźniów do zaparcia się własnych słów.

Księżna łowicka nie zdołała pojąć, dlaczego w miarę argumentów Konstantego nędzna postać majora potężniała jej w oczach, urastała na jakąś tajemniczą siłę, fantastyczną moc, gdy cesarzewicz rzekł z przekonaniem:

– Musisz na niego wpłynąć.

– Ja?

– No tak, no tak, ty masz wpływ, musisz mieć wpływ. Albo ciebie usłucha, albo nikogo nie usłucha!

Żaneta zatrwożyła się.

– Klnę się, że jesteś w błędzie. Raczej niechęć ma do mnie..

Konstanty odwrócił się ku oknu.

– Hm, jeżelibyś do niego uprzejmiej się odezwała, jeżelibyś umiała... Co tu w bawelnę obwijać, kochał się przecież w tobie na zabój!

– Nie neguję, objawiał mi, za panińskich czasów... ale to dawno... przy tym odprawiłam go stanowczo... okazywał mi widoczną gorycz, zresztą to bardzo dawno...

– Cóż to znaczy! Nu, on się i dziś jeszcze kocha w tobie!

– Łukasiński! – szepnęła spazmatycznie Żaneta.

– Mówię ci! Wiesz, z tą miniaturą... kiedy ją znaleźli i zabrali, trzy dni wył, trzy dni rozpaczał!

Księżnę łowicką dreszcz przeszedł. Cesarzewicz dodał po pauzie:

– Spróbować można! Czort wie, czym taki wisielec da się skruszyć! Pamiętasz, ten list Białopiotrowiczowej do Krzyżanowskiego? Gendre sobie palce poparzył, a nic zeń nie wydo-
stał; a jak mu pokazał skrawek listu, to od razu zaśpiewał, nie tak wiele, ale coś zawsze. I on jeden powtórzył zeznanie przed sądem! A tu szło o list tylko. Białopiotrowiczowej ani się
śniło, jak się przydał! Trzeba, abyś napisała do niego dwa słowa... albo nie. Urządzi się to po
prostu: każę go sprowadzić na górę i rozmówisz się.

– Lecz cóż mu powiem, jak? Nie, Konstany, ja nie potrafię, nie chcę, nie mogę... Mylisz
się, to niepodobna, aby on...

Cesarzewicz zachnął się.

– Uu! Dopiero historia! Spróbujesz wytłumaczyć mu, obiecasz, przemówisz. Niech się do-
brze spisz – puszcze, niech idzie na cztery wiatry i pieniędzy dam, i jeszcze co trzeba dam.
Ale ty od siebie gwarantuj, niech wie, że ty... Zaczynaj, od miniatury, dowiedziałaś się i wzru-
szyło cię, i pragniesz dobra! Zresztą, o czym tu gadać. Odrobina kobiecego zmysłu i rezultat
niezawodny. Nieprzyjemne spotkanie! A dla mnie, dla mnie? Może nie wolałbym z tym roz-
bójnikiem inaczej, może nie wolałbym Pasternikowa doń wyprawić!

Żaneta usiłowała się bronić przed tą misją, usiłowała przedstawić mężowi jej niewłaści-
wość: daremnie. Cesarzewicz nalegał, argumenty księżny przeciwko niej samej zwracał, aż
wyczerpaną, znużoną, skłonił.

I nie dość na tym, Żaneta ani ochłoneła, ani zdążyła się oswoić z myślą spotkania się z Łu-
kasińskim, gdy wielki książę wrócił i powiódł ją na górę do swojej kancelarii, i wskazując na
boczne drzwiczki, ozwał się półgłosem:

– Jest tam, w drugiej komnatce.

Żaneta instynktownie cofnęła się w przeciwną stronę, Konstany skrzywił się.

– Nie masz się czego, obawiać, jest w kajdanach, a zresztą Pasternikow czuwa w pobliżu!

– Jednak...

– I ja nie wierzę w powodzenie, lecz niech mam pewność, niech i to jeszcze. Czekać, weź
tę miniaturę, daj mu, nic nie szkodzi, odbierze się z powrotem. Śmiało, tylko śmiało. Tędy i w
drugiej komnatce. Uch! Nie róbże takiej płaczącej miny, ot, wielka rzecz!

Żaneta znalazła się po chwili w małej, niskiej izdebce, zastawionej szafami. Lecz tu, czy
jej sił zabrakło, czy odwagi, bo o krawędź muru się zaparła i nie ruszyła dalej.

Ale cesarzewicz baczył przez uchylone drzwi kancelarii i napomniał żonę. Księżna ujęła
za klamkę następnych drzwi i weszła.

Drzwi zamknęły się za księżną z przeciągłym zgrzytem, lekki brzęk kajdan mu odpowie-
dział.

Żaneta stała bez ruchu z oczyma otwartymi i widziała jak tuż przed nią, o dwa kroki, stał
on, stał major Łukasiński, wyprostowany hardo, pyszny w swym nieskazitelnym uniformie, z
ustami wygiętymi, niby gotowymi do ironicznego skurczu. I widziała Żaneta, jak chmury
myśli ślizgały mu się po jasnym, wyniosłym czole, jak pierś mu falowała, jak na żółtych wy-
kładach rysowała momentalne załamy i jak krótko strzyżone bokobrody ujmowały twarz ma-
jora w swe równe półwygięcia, i jak srebrne buliony perliły mu się na naramiennikach, i jak
złota blacha łunami biła od czapy, jeno oczy Łukasińskiego zdały się Żanecie jakby inne, jak-
by nie też same, jakoby przyćmione, jakby zawoalowane, jakby zamarłe.

Przeciągły brzęk łańcucha zgasił, a raczej też same oczy majora dał twarzy ziemistej, cier-
pieniem napiętnowanej, zmiętoszonej, okolonej rozwichrzonym, bezładnym a szronem przy-
prószonym zarostem. Ponad tymi samymi oczyma zawiesił czoło bruzdami zorane, poźółkłe,
jak zwiędły liść zmarszczone. Nieskazitelny uniform przeistoczył w łachman brunatny, obwi-
sły, a piękną postać majora czwartego pułku zgarbił, ku ziemi pochylił.

To nowe widziadło już niknęło, jak pierwsze, lecz trwało, lecz stawało się wyrazistszym,
pełniejszym, uchwytniejszym.

Księżna poruszyła wargami.

Widziadło kiwnęło głową przyjaźnie i rzekło znanym Żanecie głosem:

– Myślałem, że chciano zadrwić sobie... nie spodziewałem się zaszczytu...

– Łukasiński, major Łukasiński! – wyjąkała Żaneta, odzyskując po trosze władanie nad sobą.

– Ten sam, Mościa Księżno, ten sam, jeno nieco podstarzały, choć czas wolno mu się wlecze. Daruj, że siedzę, ale to wina tych ostróg, których mi na uroczystość oglądania cię przykrócono. Racz, Mościa Księżno, może na tym krześle, a może już nasyciłaś ciekawość.

– Pragnęłam z wami mówić...

– Ze mną, ze mną? Wasza Wysokość...

– Tak, mam waszmości coś przedłożyć...

– Jeżeli, Mościa Księżno, zamierzasz przekonać mnie do wspaniałomyślności cesarzewicza, to szkoda trudu.

– Pozwolisz wszakże?

– Proszę, proszę, bodaj dla przyjemności, że wolno mi na coś pozwolić, bodaj dla słuchania głosu ludzkiego, bodaj dla napawania się twym widokiem, Mościa Księżno.

Żaneta zastanowiła się, odetchnęła głębiej i zaczęła wykladać dzieje sądu sejmowego.

Na pierwsze słowa Łukasiński skurczył twarz do ironicznego uśmiechu. Lecz gdy księżna porwana sprawą, która jej samej tyle udręki przyczyniła, wpadła w zapał i z wiarą, i przekonaniem dowodzenia swoje roztaczała, dawny major czwartego pułku spoważniał i jeno przebłyskami zdumienia każdy śmielszy wyraz Żanety witał.

A potem rzucił raz i drugi pytanie tak bystre, tak obosieczne, a tak z pozoru niewinne, że nim księżna spostrzegła się, już powiedziała za wiele, już powiedziała więcej, niż chciała.

Lecz Łukasiński snadź ani myślał zwracać przeciwko Żanecie jej własnych odpowiedzi, bo bez słowa protestu dał jej do konkluzji dotrzeć, a gdy księżna urwała na zapytaniu, rzekł spokojnie:

– Mościa Księżno, tak sobie twe przekonania wyobrażałem. Nie przypuszczałem tylko, by można słuszności ich tak ufać, by można znaleźć dla nich tyle apostrof do sprawiedliwości, do cnoty obywatelskiej, do Boga.

– Dobra sprawa bez trudu znajduje sobie oparcie.

– Nie zawsze. Patrz, Mościa Księżno, na tych, których potępienia się domagasz! Czyż zdołasz im coś więcej zarzucić nad miłość ojczyzny, nad to, że wolą sami cierpieć, niż wydawać dziesiątki innych na męki?

– Ludzie ci złamali przysięgę, spiskowali przeciwko monarsze, szli przeciwko prawu, gwałcili konstytucję!

– Konstytucję! Mościa Księżno, wierzysz w nią? Odwołujesz się do prawa! Wskażże mi tu statut, który zezwalał mi, skazanego i osądzanego, żelazami palić, siec do krwi batami, na tortury wlec! Darowali mi życie! Ha, i nie dopuszczają, abym je sobie odebrał! Im trzeba, bym wieki konał, bym lata wił się, bym na to spoczywał, aby mi na zasklepionych ranach nowe rany zadawać! A ty, Mościa Księżno, powiadasz mi o prawie, o sprawiedliwości, o konstytucji!

Major targnął kajdanami. Żaneta pochyliła głowę.

– Mości Łukasiński, nie bierzcie z siebie przykładu. Wasza doła zmieni się, zmieni na lepsze, byleście chcieli, byleście powtórzyli to, co zeznaliście sami, byleście własnym słowem nie przeczyli. Ja wiem, ja rozumiem pobudki, które waszmość do oporu niewolą, lecz pomimo wszystko odwołuję się do was, odwołuję do tego, co było... do tego... o czym, o czym i ja... zachowałam...

Żaneta umilkła raptownie. Oczy jej przysłoniły się firankami długich, jedwabistych rzęs, usta rozchyliły się i pobiełały.

Major odetchnął z trudem i zagadnął cichym, bezdźwięcznym głosem:

– Do czego, Mościa Księżno, odwołujesz się?

Żaneta skinęła głową, jakby w ruchu tym sił do zdobycia głosu szukając.

– Odwołuję do tego, co było... odwołuję do waszych wspomnień o Joannie Grudzińskiej.

Łukasiński zapatrzył się smutnie na księżną i szepnął po chwili:

– Prawda, prawda... masz do tego prawo, Mościa Księżno, masz... Czyż podobna znaleźć wierniejsze wcielenie, bardziej łudzące podobieństwo! Jedno by można ci zarzucić, żeś bodaj od tamtej piękniejsza, bodaj czarowniejsza! Jesteś, Mościa Księżno, wobec tamtej jak róża, która obok siostrzanego a zwarzonego pączka roztuliła swe listki i tchnienie i oko wabi, i odrywa, i odrywa myśl od pączka, co zanim ziścił swój kwietny kielich, już zamarł! Przebacz mi to porównanie, choremu wiele nie trzeba.

Księżna obrzuciła zgarbioną postać majora dobrym, łagodnym spojrzeniem.

– Więc mogę spodziewać się, mogę polegać!

– Możesz, Mościa Księżno, być przekonaną, że ten obraz, który dźwigam w swym skołatany sercu, nie powstydzi się go, jak i dotąd.

– A zatem?

– Zdrajcą i sprzedawczykiem nie zostanę.

– Zeznałeś wszakże raz.

– Mylisz się, Mościa Księżno! Przypiekano mi nogi. Gendre komponował, ryczałem z bólu i godziłem się na to, co mi kat podpowiadał! Było to zeznanie Gendra, a nie moje!

– Tyle tylko masz waszmość dla Joanny?

– I aż tyle! Mniemasz, Mościa Księżno, iż we mnie już wszystko pleśnią lochu żyje, iż wszystko zmurszało w prochu, w którym się tarzam, że nie pragnę ani słońca, ani nieba, a bez skargi, bez żalu, dla szalonej zawziętości trwam?

– Lecz chyba i nie dla Joanny?

Łukasiński brzęknął kajdanami.

– I dla niej. Nie znasz jej, Mościa Księżno.

– A moja do waszmości instancja, moje tu przybycie?

– Zdumiewa mnie. Nie przypuszczałem, że powolność Jej Wysokości aż tak zniżyć się umie.

– Posądzasz mnie...

– Że nie dobra wola przywiodła cię, Mościa Księżno.

Żaneta zarumieniła się i odrzekła cicho:

– Lecz dobra wola do was przemawia.

Księżna odrzuciła głowę, oczy jej spotkały się z oczyma Łukasińskiego i zmogły je, bo major ku stalowym obręczom, opasującym mu wyschłe przeguby rąk, się pochylił.

– Dobra wola! – powtórzyła księżna ciszej.

Łukasiński podniósł czoło.

– Więc słuszna, aby odebrała szczerą odpowiedź! A więc tak, Mościa Księżno! Mocen jestem pogrzebać żywcem tych nieszczęśliwców, mocen jestem zmusić sąd sejmowy do potępiającego wyroku! I nie dość! Mocen jestem setki ludzi wydać na kajdany, mocen jestem wskazać tych, którzy zdołali ująć losu Pestela i Rylejewa i tych, którzy zgubę gotują satrapom i tych, którzy szubienicę stawiają dla katów, i tych, co na to przy was trwają, aby was pewniej dosięgnąć, i tych, co na to janczarów udają, aby broń rewolucji w silniejszym mieć uchwycie, aby kule raziły celniej, aby bagnety krwawiej pierś ciemieźców darły! Mocen jestem! Mocen jestem zgasić płomień! Mocen jestem stłumić to, co rozsadza mury, co wre już, co wybuchnie strumieniami krwi, a co sztandar wolności rozwinie! Lecz do tego, abym chciał, nie zmusi mnie nikt! Nikt tajemnicy mi nie wydrze! Nikt nie wyłudzi, nikt z żył mi nie wypruje!

Żanecie zimny pot wystąpił na czoło.

– Pomsta waszmości unosi! Upijacie się rozpaczą. Gdyby miało się tak stać, to w ostatku znów niedola większa, znów ofiary daremne.

– Nie do tyła daremne, co dzisiaj.

– Według was miłować ojczyznę, znaczy wydać ją na ogień i żelazo!
– Aby nie znikczemniała, aby nie obmierzła, aby jeżeli wolną być może, była w męczeństwie czystą, była świętą!
Księżna dźwignęła się.
– Odchodzę. Pamiętaj, majorze, że dobrowolnie wyrzekasz się przebaczenia.
– Przebaczenia? Czyjego?
– Najpierw tego, pod władzą którego jesteś, a potem i boskiego.
Łukasiński zgrzytnął kajdanami. Księżna westchnęła z politowaniem i dodała, zwracając się ku wyjściu:
– Modlić się za was będę.
Major wybuchnął dzikim, szyderczym śmiechem.
– Cha! Cha! On mi przebaczać! Cha! Cha! Może zdaje mu się, że zrobi ze mnie drugiego Morenheim! Módl się, księżno, nie za mnie, ale za bliższego ci zbrodniarza, za tego, co wraz z Aleksandrem zbirów na ojca nasłał, za tego, który Morenheimównę własnymi łapami zadławił, a bratu orderami i faworami zapłacił za trupa siostry i za tego się módl, co... cię... splu...
Major nie dokończył, bo dwoje żylastych rąk porwało go za gardło i wywlekło z izdebki.
Księżna dopiero w kancelarii cesarzewicza przyszła do siebie i rozeznała twarz Konstantego.
– Napij się jeszcze wody, napij!
– Nie, dosyć.
Cesarzewicz odstawił szklanekę.
– Masz teraz pojęcie, co taki pies... Słyszałaś go! Ugryźć nie może, to pianą bluzga! Pasternikow da mu, co należy, ale co to pomoże, co to pomoże! Rozstrzelać, powiesić? Ba, jemu w to graj! Zwierzę, bydlę! Nie ma się czym przejmować.
– Albo już obłąkany.
– Oo! Właśnie! Wariat! Najpewniej, bo po prostu sensu nie ma! Sensu ani drobinę!
Konstanty odwrócił się ku oknu.
Żaneta natarła sobie skronie wódką kolońską i spokojniej odetchnęła.
– Żądałeś tego... Mówiłam ci...
– Hm, zawsze i to mógł być sposób! Fryderychsowa by potrafiła – cesarzewicz cmoknął ustami i mruknął po przestanku – Uu! Fryderychsowa...

VII

Wyrok sądu sejmowego zapadł nareszcie.

Stało się.

Senatorowie zdradzili, wszyscy zdradzili, wszyscy za niewinnością zbrodniarzów się opowiedzieli. Jeden Wincenty Krasieński wytrwał, on jeden przestępców widział, on jeden przeciw wszystkim.

I jemu tylko cesarzewicz rękę uściskał, serdecznie uściskał.

Krasieńskiemu, na tę uroczystą podziękę naczelnego wodza, twarz szkarłatem zapalała, żyły wypęczniła na skroniach i aż ku białkom nabiegła. A potem spłynęła raptem taką trupią bledością, jakby już pomruk złowrogi ludu zasłyszała, jakby już dostrzegła padalce, skradające się na zatrucie mu każdej chwili jasnej, każdej myśli obywatelskiej, jakby już dojrzała widmo klątwy, która miała i jego porazić, i synowi cierń zgotować, a krew zeń wysać.

Wielki książę ani mógł dociekać wrażenia, które podzięką na twarzy Krasieńskiego wypisała. Konstancy miał wobec wyroku huk spraw, huk rozkazów, huk papierów do wygotowania. Boć szło teraz nie tylko o zwalenie wyroku, nie tylko o dalsze zapasy z Lubeckim, nie tylko o zabezpieczenie się w Petersburgu przed intrygami, ale o ukaranie senatorów, o ukaranie sędziów dopuszczających się zdrady stanu.

Była to otchłań pracy; ale na szczęście cesarzewicz niejedno zawczasu przewidział, zawczasu przygotował; stąd, ledwie sąd sejmowy wyrok swój podpisami stwierdził, Konstancy już odwołał się do decyzji Rady Rządzącej, która wymagała zatwierdzenia wyroku przez cesarza i zabronił i ogłosić go, i wykonać.

Dalej, nim ten i ów z senatorów a biskupów zdążył manatki spakować, a o wyjeździe z Warszawy pomyśleć, już przytrzymało go rozporządzenie cesarzewicza, zakazując wyjazdu aż do rozstrzygnięcia kwestii wyroku.

Oczywiście i o „uniewinnionych” wielki książę nie zapomniał, bo wskutek werdyktu sądu sejmowego, przeniesiono ich do ciemniejszych izb pod lepsze zamki i liczniejsze strażę.

Dopieroż teraz zaczęła się syzyfowa praca nad ułożeniem memoriału. Morenheim śleczął, Nowosilcow koncypował, książę poprawiał, a Kołzakow wiązał, przedziwnie wiązał, „Karamzinem przecież mógłby być zostać, gdyby chciał”, Pugaczewowi umiałby historią Rosji dogodzić „gdyby chciał”.

Była to ciężka, mrówcza praca, ale owocna. Memoriał był zabójczym i dla uniewinnionych, i dla sędziów, i dla krętaństw Lubeckiego, i dla statutów konstytucyjnych.

Memoriał był przy tym tak subtelnym w argumentacji, iż Mikołaj miał do wyboru albo piorunem w sąd cisnąć, albo samemu wziąć odeń policzek.

Cesarzewicz, po wygotowaniu memoriału i wyprawieniu go do Petersburga, nabrał otuchy i wiary w pomyślne zakończenie sprawy. Bo nawet gdyby Lubecki zdołał pogmatwać, toć jeszcze

na głównego winowajcę, Krzyżanowskiego, posiadał Konstanty niezawodny sposób w rezerwie. Krzyżanowski urodził się na Ukrainie, więc choćby go sto razy w Kongresówce uwolniono, cesarzewicz mógł go zawsze pod jurysdykcję sądu rosyjskiego oddać i tam bez hałasu, bez rozpraw z byle kauzyperdą konstytucyjnym, po bożemu na „wieczną” katorgę na Sybir zesłać.

Naturalnie, byłaby to częściowa satysfakcja, byłaby to ostateczność. Konstanty ufał, że do niej nie przyjdzie. Petersburg bowiem, pod wpływem energicznych listów cesarzewicza, zaczął widocznie ustępować z placu, ulegać.

Więc najpierw poszło o zmianę w wyrażaniu stopni oficerskich przez kształt i deseń epoletów.

Wielki książę, nie mogąc zapomnieć Mikołajowi białych spodni i lampasów na raj tuzach płóciennych, a obawiając się, aby jakiś Jermołow lub Benkendorf znów podobnie bezsensownej reformy nie wynalazł i carowi nie podszeptał, postanowił samemu zmiany w umundowaniu wojska polskiego projektować i tym dowieść, iż wódz naczelny i o to się troszczy i że Petersburgowi do tego zasię.

Epolety wybornie nadawały się do wszczęcia akcji, bo różniły się bardzo od epoletów korpusu litewskiego, pozostającego również pod dowództwem Konstantego. A tedy ujednostajnienie ich na modłę rosyjską było niejako i symbolem politycznym.

Cesarzewicz wystosował o naramiennikach sążnisty referat i gotował się batalię stoczyć o swoją rację. Aliści, odpowiedź nadeszła i szybko, i przychylna.

Oficerowie wojska polskiego dostali nową kombinację kolorowych pasków na naramiennikach i konstelację gwiazdek.

Po epoletach zaatakował wielki książę Petersburg o to, żeby oficerowie przy małym mundurze miał szerokiej kolorowej rabaty przy zakończeniu rękawów nosili wypustkę na wysokości mankieta.

Petersburg i na to się zgodził.

Następnie przyszła kolej i na guziki. Kłopot był z tym nie lada, bo trzeba było coś praktycznego wynaleźć i narysować, i przygotować wzory, i wypróbować.

Minchajmer, dostawca guzików dla wojska polskiego, dwa tygodnie piął się nad dogodzeniem wodzowi, dwa tygodnie to zaostrzał brzegi, to je zaokrąglął, to rozpląszczał powierzchnię, to ją wyginał, to pod orzełkiem wybijał dla inżynierów granat płonący, to nad orzełkiem, to po prostu płonący granat bez orzełka, to jednakowy guzik dla całego wojska, to dla każdej poszczególnej broni inny i dla każdej dywizji inny, raz żółty, raz biały.

Zachód, mitręga, mordęga! Ale za to, kiedy cesarzewicz dwóch żołnierzy obok siebie postawił, jednego w nowych guzikach a drugiego w starych, i kazał im się rozpiąć na komendę, to nowe guziki, jakby same wysuwały się i wsuwały w pętelki, a stare z miejsca tak się zachłyśnęły, że Konstanty aż przysiadł z uciechy.

– Nu, i nie grzeb palcami, bo nowym nie nastarczysz, dziurkę rozerwiesz i na tornister pójdziesz! Widzisz, widzisz! Jak się nazywasz?

– Dziubiński!

– He, he! Nie wydziubiesz, bratku, starym guzikiem! Co?

Żołnierz, któremu w udziale przypadła rola przedstawiciela starych guzików, odparł bez zajknięcia.

– Nie wydziubię, Wasza Cesarzewiczowska Mość!

– Uhu! Nu, dać mu rubla i drugiemu rubla! Pan Minchajmer się popisał! O, popisał się! Mała rzecz, a dużo znaczy. Ot, my pokażemy, jakim powinien być guzik, żeby go naprawdę można guzikiem zwać! Takich guzików jeszcze na świecie nie było! Jermołow udaje znawcę generała, a o takich pojęcia nie ma!

Guziki ledwie rozpoczęły podróż do Petersburga, gdy wielki książę zawezwwał do kancelarii Reszkego, głównego fabrykanta kapłonich pióropuszków do kapeluszków stosowanych i kazał mu „coś nowego” wymyśleć, ale co by w zasadzie zachowało dotychczasowe barwy i było nieodwołalnie kapłonim pióropuszem.

Reszke ani w ząb nie pojął, o co mianowicie szło, lecz że cesarzewicz sobie życzył, tedy zabrał się potulnie do przerabiania kapłonich pióropuszków na pióropusze kapłonie.

Ale ani jeden z nowych wzorów Reszkego nie spodobał się Konstantemu.

– Pan Reszke! Co wy! Przecież to kita grenadierska, a nie pióropusz! A to pędzelek, a ja panu, mówiłem, że ma być pęczek, żeby się „wuiwał” a nie „rozwiuwał” na pojedyncze pióra. Ten? No, za długij! Na kokardę zachodzi! A kokarda to nie podszewka, żeby ją pod spodem nosić. A to po prostu „pompon” wołyżerskij! Albo cóż to za pióropusz! Jakby pies zębami kogutowi wyrwał. Na nic, na nic, trzeba co innego!

Reszke zebrał swe wzory niefortunne i nad rozwiązaniem tego równania bez wiadomych się głowił. A widział już w perspektywie utratę dostawy pióropuszków, gdy wraz z zapowiedzią wojny z Turcją nadeszło żądanie Mikołaja, aby Królestwo uzupełniło armię rosyjską dywizją piechoty i dywizją kawalerii.

Cesarzewicz posiniał z przerażenia i o kapłonich pióropuszkach zapomniał.

Żądanie Mikołaja było głupotą, było niegodziwością, było przestępstwem, było nadużyciem, było... było... podłością!

– Jak to, więc do tego doszło, by jemu, naczelnemu wodzowi, odbierać dwie dywizje? I na co? Aby wlekły się na koniec świata, aby tu odsłaniały granicę, aby może zmarniały, może dały się wybić co do nogi? Aby... aby cały trud cesarzewicza poszedł na marne, aby pierwszy lepszy bałwan petersburski zepsuł, zdemoralizował żołnierzy? A cóż to, mało ma Mikołaj „kacapów”? Ot, czego mu się zachciało! A może jeszcze dać mu czwarty pułk? A może grenadierów? Wojsko! Wojsko polskie, hm, jest do wojny! No, jest! Ale nie do wojny z Turcją! Ono ma tu dosyć do bronienia! Dopieroż pięknie by wyglądały parady na Saskim dziedzińcu! Mikołaj ma Prusaczkę za żonę i święte przymierze, więc o zachodnią granicę jest spokojny! Czort go bierz! A on, Konstanty, cesarzewicz, nie jest spokojny; on pod granicą siedzi, lepiej wie, jak należy! Zresztą, on nie pozwoli, za żadne skarby! Jest konstytucja, a konstytucja o Turcji nic nie mówi! Polacy nie na to rodzą się w Europie, żeby do Azji chodzić. Nauka? Wojsko polskie może się tylko złego nauczyć! Braterstwo broni? Cesarzewicz sam o tym pamięta, sam nad tym pracuje! Bo kto zaprowadził epolety rosyjskie? Ano on, bo on w reformach swoich nie przyczepia się do białych spodni lub do lampasów na płóciennych rajtuzach! Gdyby w rezultacie niebezpieczeństwo groziło państwu! Ale wojna z Turcją... To wstyd, wstyd, żeby wojsko rosyjskie nie umiało się rozprawić z tak nędznym nieprzyjacielem! Udział Polaków obniży zaufanie do rosyjskiej armii! Z korpusu litewskiego można batalion wyznaczyć, choć i to wkracza w prawa Konstantego który jeszcze do tego nie doszedł, by musztrować żołnierzy dla jakiegoś Gejsmara albo Dybicza!

I cesarzewicz, jak lwica broniąca swych szczeniąt, podał pierś na żądanie Mikołaja i drogę do polskich dywizji mu zagroził.

Korespondencja między braćmi szła gwałtowna, zapalczywa, skrami sycząca, pełna wymówek i groźnych aluzji.

Mikołaj żądał, Konstanty się opierał.

Tymczasem, jakby na utrapienie większe naczelnego wodza, spora garść oficerów polskich deklarowała się iść na wojnę.

Konstanty oburzył się i zakazał wszelkich w tym kierunku wystąpień. Jakoż szara brać oficerska umilkła, lecz krom niej, byli w tej garści i utytułowani oficerowie, i posiadający wpływy, i ci, mimo zakazu, na wojnę się napraszali. Duszą tej gromady był podporucznik strzelców konnych gwardii, syn prezesa senatu a siostrzeniec Czartoryskiego, Władysław Zamoyski.

Cesarzewicz nacisnął wprost niesfornego podporucznika.

– Zamoyskij! Gdzie się to pan wybierasz? He?! Na wojnę. Ot, pana grafa tam tylko brakuje! Ot, jeszcze czego! Ot, zuch się znalazł, ale obejdzie się bez pana, pułk pański zostaje, to i pan zostaniesz! Nu, nu, gdzie rozum! I po co, i na co?

– Wasza Cesarzewiczowska Mość – odrzekł rezolutnie młody podporucznik – chciałbym nauczyć się, nabrać doświadczenia, mógłbym jako adiutant.

Konstanty parsknął.

– Nauczyć się? Niczego się nie nauczysz, a zapomnisz to, co umiesz! Nu, nu, głupstwo, dzieciństwo! Ani myśli o tym, ani mowy! I komuż pan będziesz adiutantował, komuż?!

– Ojciec rad by mnie do sztabu cesarskiego.

– Co? Jak? Do... do... cesarskiego?

– Tak jest.

– Dosyć! Ani słowa! Będziesz moim adiutantem polowym! Do mego sztabu idziesz! Dziś jeszcze przedstawiś się pułkownikowi Trębickiemu i generałowi Kurucie.

Ta niespodziewana nominacja podporucznika na adiutanta polowego, którym dotychczas mógł być najmniej kapitan, a w drodze szczególniejszej łaski porucznik, udaremniła udział w wojnie Zamoyskiemu, ale nie stłumiła gawęd wśród oficerów.

Gawędy zaś te wobec nalegań Petersburga, który argumenty Konstantego wciąż zbijał, były zgoła niebezpieczne.

I cesarzewicz na wsze strony zabiegał, byle żadnego słyhu o ochotnikach nad Nową nie puścić, a nawet wręcz przeciwnie nastrój wojska polskiego przedstawić.

W trakcie tych zapasów nadszedł rozkaz cesarski, aby Rada Administracyjna zbadała akta sądu sejmowego i orzekła, czy wyrok przypisać należy „błędym wyobrażeniom o zbrodni stanu, czy też dążności do wspierania jej”.

Takie postawienie kwestii było niezaprzeczoną dowodem, że memoriał cesarzewicza podziałał i że teraz opinia Rady, jako ciała urzędniczego, składającego się głównie z ministrów i referendarzów, z łatwością ulegnie życzeniu wielkiego księcia.

Konstanty atoli, pochłonięty zatargiem o wojsko, aczkolwiek przedsiębrał wszystko, co mu Nowosilcow podpowiadał, a Hauke zalecał, przecież energii swej wyteżyć w tym kierunku nie mógł, boć ważniejszą sprawę miał. Przy tym cesarzewicz obiecywał sobie, że zdąży uporać się lada dzień z Mikołajem, a więc dalej do Rady się już całkowicie zabierze i mataczyny Lubeckiego na miązgę zetrze.

Aliści w ręce wielkiego księcia „wpadł” odpis listu – wysłanego przez Lubeckiego do Petersburga – listu, w którym minister rozwodził się o korzyściach, wynikających z wysłania dwóch polskich dywizji na plac boju.

Konstanty struchlał. Zbyt dobrze znał dyrektora komisji skarbu, by wmieszanie się jego lekceważyć. I stąd postanowił rozmówić się z nim wprost.

Lubecki przybył na zaproszenie do Belwederu ani mniej niż zazwyczaj uśmiechnięty, ani mniej uprzejmy, ani mniej spokojny. Nawet kiedy cesarzewicz od pogody do wyroku sądu sejmowego wskoczył i przemówił ministrowi, że jeżeli Rada nie potępi wyroku, toć wiadomo, za czyją namową, minister odrzekł flegmatycznie:

– Z ochotą wziąłbym na siebie odpowiedzialność!

– Za zdradę stanu?

– Nie, tylko za wykazanie nieudolności prawodawstwa obowiązującego dotychczas. Sąd sejmowy nie mógł uznać tego za zbrodnię, czego kodeks nie przewidział.

– To są kruczki prawne, ot, co! Gdybyś pan, panie ministrze, dbał więcej o kraj, którego jesteś obywatelem, tobyś wiedział, jakie następstwa mogą wyniknąć z tej krętaniny.

– Mniejsze niżby wyniknęły wówczas, gdyby Rada potępiła wyrok!

– Idzie panu o osłonięcie sędziów?

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, idzie mi o kraj, o spokój, o przywiązanie do korony, o zachowanie tego, co jest, o trwanie.

– I z tej wielkiej troskliwości rad byś swoich ziomków wysłać na kule tureckie! Co, he? Nu, nu, rad byś!

– Przyznaję – odparł chłodno Lubecki – że gdyby ode mnie zależało...

– No, co tego, to się nie spodziewałem! I co? I co jeszcze? Może najlepsze pułki? I jakież cel, jakąż myśl? Zmarnować, zaprzepaścić, bo nic więcej, nic!

– Ale moja główna zasada by została.

– Jaka znów zasada?

– Zachowanie istniejącego ładu, zabezpieczenia się przed fermentem.

– Ogołocenie kraju z wojska zwiesz pan zabezpieczeniem!

– Dla mnie wojsko przedstawia siłę, którą pożytecznie byłoby zająć, dobyć z beczczynności.

– Chyba pan żartujesz! A musztry, a rewie, a parady, a inspekcje!

– Mam na uwadze beczczynność inną, nazwałbym ją duchową. W wojsku bywały objawy niepożądane, związki niezgodne z pojęciem karność, skłonności do mieszania się do polityki. Wojna turecka by to złagodziła.

Konstanty na to przymawianie wojsku polskiemu rzucił się gniewnie.

– Nu, nu, to jest po prostu przywidzenie! Gra słów i złośliwość! A tak, tak! Więc dlatego, że się jakiś smarkacz, nicpoń znajdzie, to już całe wojsko nic niewarte! Co, może widziałeś pan lepsze?

– Oddaję sprawiedliwość!

– Uu! Oddajesz pan na palec, a zabierasz na całą rękę! Taki rachunek akurat do waszego banku.

– Uważam sobie za obowiązek odpowiedzieć szczerze na zadane mi przez Waszą Cesarzewiczowską Mość pytanie. Uczyniłem zaś to jedynie dlatego, że pragnę jak najdłużej widokiem dzielnego wojska polskiego się napawać.

– A ja pana, panie ministrze, proszę, abyś kwestii wojskowych raczył unikać! – mruknął groźnie wielki książę.

– Mój urząd i bez unikania wyklucza wszelką z mej strony możliwość – odparł zimno Lubecki.

– Wyklucza! A ja, pomimo tego, pana proszę! Pan lubi, panie ministrze, pan ma szerokie relacje, niech je pan używa w każdym kierunku, byle nie w wojskowym. Pan trzyma się już tej zasady? Doskonale! Pan ma swoje przekonania i owszem, a ja mam wojsko. Jak dwie dywizje mi zabiorą, to połowa pracy dla mnie, a że bez pracy nie mogę, to pójdę do banku, do komisji skarbu! Cha! cha! I cóż, do Belwederu tymczasem wciąż bliżej niż do Petersburga.

Lubecki wyprostował się.

– Jak mam rozumieć słowa Waszej Cesarzewiczowskiej Mości?

Konstanty pomiarkował się.

– Że pana proszę, żebyś mi w tym dopomógł. Uczyni to dla mnie.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość raczy polegać, iż gdyby, czego się nie spodziewam, zagadnięto w tej mierze, odpowiem według jego życzenia, choć obawiam się, aby Wasza Cesarzewiczowska Mość sam tego nie żałował.

Pomimo zapewnienia Lubeckiego, jeszcze kilka tygodni upłynęło, zanim nareszcie Mikołaj ustąpił i wojnę z Turcją postanowił prowadzić bez udziału wojska polskiego, zadowolając się powołaniem na plac boju kilkunastu oficerów kwatermistrzostwa generalnego i paru adiutantów polowych.

Cesarzewicz rozpromieniał i wystosował entuzjastyczne podziękowanie do cesarza, nie zważając na dziwny ton ostatniego listu Mikołaja i w ogóle puszczając w niepamięć wszystkie zgrzyty, którymi gorączkowa korespondencja braci była w ostatnich czasach wypełniona.

Równocześnie teraz dopiero Konstanty, zaalarmowany przez Nowosilcowa, że Rada chce wyrok sądu uznać za zgodny z prawem, przyśpieszył tylko katastrofę. Rada zdecydowała, że sędziowie mieli słuszność i że winę można przypisać niedostatkom kodeksu karnego.

Konstanty zbyt wielce cieszył się jeszcze z odniesionego zwycięstwa, by nadto do serca brać orzeczenie Rady. A że w dodatku odebrał był właśnie przychylną odpowiedź w kwestii zmiany guzików, więc nawet z humorem przyjął wyrzekania Nowosilcowa.

– Nu, nu, nie ma o czym! Całe to zapytanie nie miało sensu! Co robić? Wysłać podsądnych do Petersburga, do Pietropawłowskiej fortecy i napisać, żeby sobie z nimi zrobili, co im się podoba! A Krzyżanowskiego pod sąd rosyjski!

– A senatorów?

– Bielińskiego, on najgłówniejszy, bo prezesował, też pod sąd! A innym dymisję!

– Wypadałoby umotywić, oprzeć się na punkcie!

– Uch, Nowosilcow! Ot, dopiero ważna rzecz! Kołzakow, co chcesz, ułożyć. Punkt, żeby cesarz cesarzem chciał być! A tam reszta – drobiazg! *Byt' po siemu* i konstytucja gotowa!

Księżna łowicka, zasklepiona w swym świątku belwederskim, nie brała bezpośredniego udziału w tych zmaganiach się cesarzewicza. Juści współczuła im, bolała nad przewrotnością ludzką, ale i cóż więcej uczynić mogła? Toć zawód spotkał ją i tam, gdzie ostatnio pewna była pomocy! Toć biskup Bierzyński, który tak uroczyście przyrzekł Żanecie nie zważać na względy partyjne, dał na sądzie hasło do rebelii, pociągnął za sobą i Woronicza, i innych.

Konstanty bardzo się tym przejął, nie pożałował gorzkich napomknień Żanecie, a na te napomknienia nic, nic rzec nie mogła, nic odpowiedzieć.

Księżna nie chciała sądzić biskupów, nie chciała potępiać, pragnęła bodaj wytłumaczyć ich, oczyścić, jeno nie posiadała mocy na powstrzymanie potoku żółci, zalewającej jej wrażliwe serce. Ileż bo zła to postępowanie biskupów wyrządziło, ileż na marne poszło, ileż odstręczenia do katolicyzmu zrodziło! Dziw, dziw, iż ten wzgląd nie stanął żadnemu z infułatów przed oczyma, iż żadnego nie otrzeźwił!

I księżna szukała ukojenia w modlitwach i żwawych korespondencjach z ojcem Franciszkiem, kapucynem, i w pełnych uduchowienia pobożnego listach wymienianych z księdzem Hohenlohe.

Tu była krynica księżny łowickiej, tu źródło ożywczy, godzący ją z przeciwnościami, tu co dnia nowe siły do wpływania na Konstantego, do uspokajania go, hołubienia i do tłumienia rozterki która Żanetę opanować usiłowała.

Ach tak, złym duchem tej rozterki był Łukasziński. Ten upiór który tylekroć razy odepchnięty, zawsze obcy jej, nigdy miły, nachodził księżnę od chwili ostatniego widzenia bezustannie i w snach, i na jawie, i przy wymówieniu wyrazów „czwarty pułk”, i przy wyrazie „major”, i na widok żółtego napierśnika, i na widok szarej siermięgi, i na odzew tarabanów, i na dźwięk trąbki, i na brzęk ostróg, i na szczęk pałasza.

I rzecz niepojęta. Ten upiór nie groził, nie straszył, nie pomstował, nie wyrzekał, nie skarżył się, nie mówił ani o cesarzewiczu, ani o rewolucji, lecz zawsze jakąś pieśń czarowną snuł, zawsze niebiańskim uśmiechem spływał, zawsze wytworną postawą i pięknnością jaśniał i wabił ku sobie, pociągał w objęcia i tulił.

Był zaś tak przewrotnym, iż w chwili gdy Żaneta, aby złudzić się oprzeć, wypomnieć go chciała złamanym, nędznym, bluzgającym podstępными obłudnymi zdaniem, Łukasziński jeno wspanialszymi zdobił się szaty, bardziej pogłębiał, potężniał i dwakroć zawrotniej upajał.

I księżna broniła się temu upiorowi, i modliła się, i zasięgała rady ojca Franciszka, i z księdzem Hohenlohe dyskutowała o widziadłach, i z panią Zielonkową, lubiącą mówić o iluminatach, duchach, zmorach i sposobach na czary, często spędzała wieczory.

Po kilku tygodniach skutek zbawiennej tej obrony objawił się. Upiór bowiem, prześladowający księżnę, umitygował się i obecnością swą dystrakcji jej nie czynił. Przychodził i znikał, witany bez lęku, a żegnany westchnieniem żalu. Aż, w ostatku wpływ upiora na księżnę ograniczył się do gwałtownej potrzeby wynurzania Konstantemu swej miłości, swego przywiązania i zapewnienia go, że jedynie kochała, kocha i coraz więcej kocha.

Zresztą nic w tym godnego zastanowienia nie było. Cesarzewicz tyle czułości okazywał Żanecie, a tyle składał dowodów pamięci i zacności serca, że sentyment księżny musiał sam się wzbierać.

Choćby ta kwestia wysłania dwóch dywizji na wojnę! Gdybyż widzieli go z bliska, ci niewdzięcznicy, ci... ci patrioci! Gdybyż mieli wyobrażenie, ile wysiłku trzeba było na wyjednanie tego dobrodziejstwa! Gdybyż porachowali, ileż łez, ile nieszczęścia wywalczył Konstanty, ile kobiet od wdowieństwa ocalił, ilu dzieciom sieroczej doli oszczędził, ile matek od bólu uchronił, ilu żołnierzom uratował życie, a ilu ustrzegł od kalectwa, chorób, ran, niewygód, cierpień! I księżna już nie tylko miłować musiała męża jako żona, lecz i jako Polka!

W tym czasie jeden jedyny raz śmieszny skądinąd zbieg okoliczności zakłócił Żanecie na marginesie czystość linii, którymi nawykła kreślić pobudki i intencje każdego czynu, Konstantego.

Lecz ten zbieg okoliczności był doprawdy tak bardzo śmiesznym, że księżna sama go się zawstydziła.

Oto pewnego wieczoru w rozmowie z Morenheimem, nie wiadomo skąd, zagadnęła go, czy miał siostrę.

Radca tajny zmieszał się, ale odrzekł:

– Miałem, Wasza Wysokość.

– I utracił ją pan? – dodała ze współczuciem księżna.

– Tak.

– Umarła! A może nieszczęśliwy przypadek?

– Przypadek! – przytwardził Morenheim, lecz tak zmienionym głosem, iż księżna mimo woli podniosła oczy. Radca był siny, dolna szczęka dygotała mu febrycznie.

Żaneta skleciła naprędce jakieś przeproszenie za sięgnięcie do bolesnych wspomnień, ale nie zdążyła go jeszcze wypowiedzieć, gdy przyszły jej na myśl słowa Łukasiewskiego. Pod wrażeniem tego śmiesznego skojarzenia, urwała rozmowę i wprowadziła siebie w zakłopotanie, a Morenheimowi dodała jeszcze wzruszenia, bo resztę wieczora był jak z krzyża zdjęty.

Tymczasem, po zapadnięciu uchwały Rady Administracyjnej i wyprawieniu raportu do cesarza, znów błoga cisza nastąpiła w świątku belwederskim.

Konstanty po dawnemu wyrzekał na starość i zmęczenie, lecz za to ze zdwojonym zapałem odbywał rewie i parady, bo akomodował je do nowin, nadchodzących z placu boju.

Więc, na przykład, dowiedziawszy się o zdobyciu przez wojska rosyjskie Braiły, zaimprovizował na Powązkach, pod Marymontem, fortecę najeżoną bastionami i dowiódł, iż wojsko polskie nierównie znakomiciej wykonało szturm i że w ogóle Wittgenstein o podobnej dokładności spełniania rozkazów nie ma wyobrażenia.

Lub kiedy nowiny przyszły o czworobokach Pahlana, którymi Turkom stawiał czoło, cesarzewicz kazał batalion w czworoboki stawać i manewrować. No, i juści czworoboki Pahlana na psy zeszyły.

W ogóle Konstanty starał się dla każdego wybitniejszego czynu, wojsk rosyjskich wynaleźć niezbity dowód, że polskie wojsko sto razy lepiej by się wywiązało z tego lub innego zadania.

Niepowodzenie rosyjskiej armii było dla cesarzewicza jeno dowodem, że niewiele jest warta, powodzenie było znów argumentem, że Turcy nie mają ani wodzów, ani broni, ani wojska i że wojnę można by z kijem w rękę rozstrzygnąć.

Tych przekonań, z głębokiego znawstwa pochodzących, Konstanty pod korcem nie krył. Pouczał zarówno własny sztab, jak i główną kwaterę rosyjską. A po wzięciu Warny, winszując Mikołajowi, nie omieszkał zdziwić się, iż cesarz potrzebował aż dwóch miesięcy na opasowanie fortecy i nie zapomniał rozpowiedzieć mu o wielkich zaletach piechoty polskiej, która z taką fortecą załatwiłaby się trzy razy prędzej.

To pismo wywołało cierpką odpowiedź Mikołaja, jeżeli istotnie piechota polska jest tak znakomitą, to na Konstantego spada odpowiedzialność za wojnę, bo on uporem swym pozabawił ją właśnie tej znakomitej piechoty.

Cesarzewicz wzruszył ramionami i przez odwrotnego feldjegra wystawił Mikołajowi niewłaściwość uwagi, boć ani on, Konstanty, ani „jego” wojsko nie może mieć nic wspólnego z Kaukazem i Morzem Czarnym, a tym mniej z nieudolnością sztabu cesarskiego.

Ta replika musiała przekonać Mikołaja, a jak przypuszczał wielki książę, po trosze zawstydić, bo cesarz nie tylko nie odpisał na nią, lecz i w ogóle zaniechał odręcznych listów do Konstantego.

Żaneta zaniepokoiła się tym, ale cesarzewicz rozśmiał się dobrodusznie.

– I jeszcze lepiej! Na to jest kancelaria, żeby pisała. Na to on ma pod bokiem sekretarza stanu, Grabowskiego, a ja mam Nowosilcowa. Ot, niech każdy sobie. Ja za stary jestem, żeby się przed nim uniżać, a on za pyszny, żeby starszego brata słuchać.

Aliści i kancelaria cesarska nagle zhardziała, bo komunikatów skąpiła, a w wielu kwestiach odnosiła się bądź wprost do ministrów polskich, bądź do Rady Administracyjnej i dekretowała tak, jakby Konstantego nie było lub jakby wodza naczelnego nic dana kwestia nie obchodziła.

Cesarzewicz z początku udawał, że nie spostrzega tej zmiany, lecz gdy coraz częściej go pomijano, wysłał gwałtowny list do Opocznina, prosząc go, by cesarzowi przedstawił niestosowność podobnego ładu. Opocznin odpowiedział bez mała traktatem o miłości braterskiej i zagmatwanymi przestrogiąmi o potrzebie unikania rozdzwieńców, które mogą jedynie zapracować „na triumf złych ludzi”.

Konstanty jeszcze głowił się nad rozwiązaniem rebusu Opocznina i łudził się, że protest swoje zrobi i kancelaria cesarska ustąpi, gdy niespodziewanie i komunikaty dyplomatyczne, nadsyłane od lat wielkiemu księciu przez zagraniczne ambasady, urwały się raptem, nie nadchodziły.

Cesarzewicz został odcięty od świata politycznego. Konstanty tego nowego uchybienia swym przywilejom, swym prawom, jakby nie spostrzegł, jakby nie zauważył. I ani użalił się, ani poskarżył, ani rozgniewał, ani przed kim wynurzył. Jeno częściej do przeszłości sięgał, częściej dawne dzieje wypominał, dłużej wysiadywał w swym bawełnianym szlafroku. A jeżeli ożywiał się, jeżeli osowiałości się wyzbywał, to chyba na paradę, chyba gdy na rewie jechał, chyba gdy na Saskim dziedzińcu się jawił, chyba gdy mu żabki pogodę na jutrzejszego generałmarsza wróżyły.

I niby wszystko w Belwederze szło tym samym trybem. Też same raporty, też same konferencje z Lewickim i Fanshawem, też sama drobiazgowość Konstantego, posunięta do rozpatrywania i podpisywania paszportów, urlopów i dymisji nawet dla prostych żołnierzy, toż samo światelko, migocące w noc późną w oknie sypialni cesarzewicza, toż samo słońce, tylko że w promieniach pożółkłe, może refleksami mgieł wędrownych osłonięte, a może już przygasłe, już szczeżające.

Wszystko w Belwederze jak bywało, jak wskazywał wciąż ten sam rygor, jak książę chciał, jak lubił. Tylko że na wszystkim coś niby nalot zmęczenia, znamię wyczerpania, pył czasu, piętno skradającego się uwiadu.

W marcu roku 1829 zdawało się, że Belweder wyzbędzie się zobojętnienia, ocknie z ociężałości, a ozwie pełnią chropowatego głosu swego pana. Gdzie tam.

Warszawa wrzała. Śmierć Bielińskiego, prezesa pamiętnego sądu sejmowego, a dalej rozkaz cesarza, który na koniec wyrok uznał, wyrażając zaledwie niezadowolenie senatorom, a więc i odrzucając przedłożenia Konstantego, poruszyły ludność stolicy.

Pogrzeb Bielińskiego zamienił się w demonstrację patriotyczną i starcie młodzieży akademickiej z pacholkami Lubowidzkiego. Posypały się pisemka tajne na cześć zmarłego prezesa, a na pohybel niegodziwościom Konstantego. Jakieś mowy pogrzebowe urastały na programy

narodowe. Uniwersytet rozbrzmiewał waśniami na tle politycznym. Złośliwe wierszyki drwiły sobie z „miłościwego niezadowolenia” i winszowały senatorom, że nareszcie po półtorarocznej niewoli, mogą z czystym sumieniem do dom wracać. Słowem, do czynienia tyle było, że jeno rękawy zakasać, sforę gończych wypuścić i karać do zapamiętania.

Cesarzewicz ledwie drgnął na te wieści, ledwie szczerinowate brwi zwarł i nie zatroszczył się o resztę.

I nie wiadomo, co by z tej obojętności wynikło, gdyby nie rzesza wiernych sług, wiernych towarzyszy, gdyby Fanshawe, Gendre, Lubowidzki, Lewicki i Makrot z jednej strony a Różniecki i Nowosilcow z drugiej nie przedsięwzięli starań ku podtrzymaniu tradycji, ku czuwaniu nad ładem i spokojnością.

Konstanty nie dał się poruszyć nawet raportami o niezwykle urodzajnym śledztwie policji tajnej. A poza nieuniknionymi napomnieniami, których musiał udzielić osobiście kilku dygnitarzom za wmieszanie się do zatargu między manifestantami i władzą, cały i niezbyt groźny swój niehumor wywarł na najmłodszym adiutancie Zamoyskim.

Zamoyski bodaj nie spodziewał się, aby na nim się skrupiło niezadowolenie księcia i w dodatku w chwili, gdy zaproszony na pokoje bawił rozmową księżną Łowicką. Cesarzewicz atoli, snadź nie mógł zapanować nad rankorem do adiutanta, bo usłyszawszy, że mówi o swym pobycie w Berlinie i o znajomości, którą go dzisiejszy monarcha, a wówczas wielki książę Mikołaj zaszczycał, ozwał się raptownie:

– A tak, a pański wujaszek miał mowę u Przyjaciół Nauk. Śliczna mowa, Bielińskiego męczennikiem zrobili! Uu! Pan Czartoryskij powinien zostać, jak i ojciec, austriackim feldmarszałkiem! He? Co?

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, nie czuję się na siłach odpowiedzieć, jako podporucznik gwardii.

– A na wojnę panu było pilno! A pewnie, pewnie! Grywałeś pan w piłkę, mógłbyś tam akurat znaleźć partnera! Nie tłumacz się pan! Towarzystwo Przyjaciół Nauk, a nauki nie pilnuje! I pan Czartoryskij! He?

– Łączył go ze zmarłym węzeł przyjaźni!

– Co go łączyło, to pana nie obchodzi! Nie pańska rzecz o tym sądzić, o czym nie możesz mieć wyobrażenia! Ot, jeszcze tego trzeba, żeby podporucznicy mieszały się do polityki.

Zamoyski się zaczerwienił.

– Pozwól, Konstanty – ujęła się księżna – hrabia nie ma zamiaru.

– Ja też nie mówię, tylko niech służby pilnuje, niech awansu patrzy, a reszta nie powinna go obchodzić! A pan graf siedzi w ordynansowym pokoju i gryzmoli listy.

Podporucznik pobladł. Cesarzewicz udobruchał się.

– Mnie to nie przeszkadza! Lepsze to, niż w ćwika grać. Nic, pojedziesz pan jutro ze mną do Góry Kalwarii!

To błahe zajście było jedynym, bezpośrednim objawem niezadowolenia cesarzewicza z wrzenia stolicy. Poza tym Konstanty nie był ciekaw ani raportu wygotowanego dla Petersburga, ani doraźnych kar wymierzonych na manifestantów. A na zadawane sobie w tej sprawie pytania, odpowiadał:

– Wiecie, jak należy! Róbcie, co chcecie! Ja nie mam czasu! Podpisać? Starczy pieczętka Morenheima.

W rezultacie wrzenie stolicy, miast rozruszać cesarzewicza, przygnębiło, powiększyło jeszcze jego apatię.

Księżna łowicka starała się na wszelki sposób wpływać na męża a rozpraszać chwile mrocznej zadumy, która nachodziła Konstantego już i podczas zebrań i podczas przyjęć, a która wytwarzała wokół atmosferę przymusu, chłodu, nudy i zmęczenia.

I księżna niekiedy po mistrzowsku wywiązywała się z zadania i usposabiała tak cesarzewicza, że gdy w salonie się ukazywał to, zda się, świeczniki żwawiej płonęły.

Ten zbawienny wpływ Żanety polegał na niepoślednim znawstwie księżny na wojskowości, nabytym dzięki otoczeniu i dzięki szerokim rozprawom, które od dnia zamążpójścia wokół siebie słyszała. Przy tym księżna nie potrzebowała się wysilać, jedno, drugie słowo, skierowane ku paradzie, rewii, inspekcji, orzeźwiało cesarzowicza, podniecało rozmowność. A dalej, już odrobina uwagi, jeszcze wyraz, umiejętnie wplątany, i Konstanty wpadał w świetny humor.

Pewnego popołudnia księżna, wspomniawszy na liczniejsze zebranie wieczorne, które tego dnia miało się odbyć, podążyła jak zwykle do komnatki męża, aby się zabezpieczyć, czyli niezawodnego środka zażyć.

Aliści cesarzowicz na pierwsze zagajenie księżny nie odpowiedział i omotał się z taką rezygnacją szlafrokiem, jakby nie o grenadierów gwardii szło. Żaneta nie dała się jednak zniechęcić i zagadnęła przebiegle.

– Wszak to drugi batalion czwartego pułku idzie jutro na służbę?

Konstanty stęknął.

– Nu, drugi, drugi! Ale wiesz, Żanetko, co nam Aleksander zapisał w testamencie? Pieczętąkę i cztery konie!

– Jak to, czy miałeś wiadomość?

– Miałem! Napisał mi w testamencie, że jestem niedołągą, niezdatnym do noszenia korony i nic więcej! Widzisz, tak za moje dobro!

– Ależ, prawdopodobnie, znając twoje intencje, chciał uregulować...

– Nic nie uregulował! A może skrzył dopisek! Kto ich wie! Chociaż to kopia z senatu. Podlec, podlec, a nie brat! Co robić, co robić! Chwała Bogu, że go diabli wzięli. Inaczej gorszego by coś ułożył! Uu! Bo fałszywy był. Jak sobie rozważam, to teraz dopiero mi się przedstawia.

Żaneta musiała zażyć całej swej perswazji na uciszenie gwałtowniejszego niż zazwyczaj rozdrażnienia księcia i wyrwanie go ponurym myślom. Jakoż, kiedy zwróciwszy się do czwartego pułku, jęła przymawiać się, aby Konstanty pozwolił jej jechać na jutrzejszą paradę, która to prośba zawsze niezmiernie zadowolenie mu sprawiała, cesarzowicz uśmiechnął się.

– I owszem, duszyczko, i owszem! Pojedziemy razem! Każę batalion dodać na twoją cześć. Masz rację, masz sto razy rację. To jedno, co człowieka krzepi.

Jednakże zwycięstwo Żanety nie było zupełnym, bo podczas zebrania cesarzowicz był małomównym i roztargnionym. Na szczęście generał Diakow zasiadł do fortepianu, i towarzysztwo na poziomie przyzwoitego ożywienia utrzymał.

Nazajutrz księżna wstała wcześniej, aby nie chybić ani na sekundę wyjazdu na Saski dziedziniec i tym samym zniecierpliwienia Konstantego nie wywołać. Różia uwinęła się szybko z czesaniem, służebne na prześcigi poszły, tak że gdy kabriolet przed pałacem stanął, Żaneta już po czekoladzie, strojna w czarną, aksamitną amazonkę i maleńki kapelusik, wdziewała rękawiczki.

– Kabriolet zaszedł – uprzedziła Różia.

– Dobrze, idź powiedzieć, że czekam na jego cesarzowiczowską mość.

Różia wyszła i po chwili wróciła.

– Jego cesarzowiczowską mość zaraz nadejdzie. Jakiś generał jest na audyencji.

Żaneta dla skrócenia sobie oczekiwania usiadła w buduarze i przerzucała francuskie poezje.

Upłynęło kilkanaście minut. Żaneta po raz wtóry wysłała Rózię. Różia przyniosła wiadomość, że ten generał jest wciąż jeszcze na audyencji i że jak tylko wyjdzie z gabinetu, to Kochański zawiadomi jego cesarzowiczowską mość.

Wybiła dziewiąta. Konstanty się nie pokazał. Księżna nie mogła pojąć takiego opóźnienia i aby dojść przyczyny, ruszyła sama przez salony do bocznej komnaty przy antykamerze, gdzie zazwyczaj gromadzili się adiutanci.

Tu napotkała Kurutę.

– Generale, przecież już dziewiąta!

Grek zrozumiał uwagę.

– Wasza Wysokość, sam nie mogę pojąć! Czekamy właśnie!

– Lecz któż to jest na audyencji?

Kuruta zniżył głos:

– Hrabia Orłów, Aleksy Teodorowicz, generał-adiutant.

– Orłów! – powtórzyła księżna, niemile uderzona dźwiękiem tego nazwiska.

– Tak, z Petersburga. Musi coś ważnego!

Księżna powróciła do buduaru i zaczęła machinalnie zdejmować kapelusik, a przepasujące go woale odwijając.

– Proszę Waszej Wysokości, ten generał już odjechał – zaraportowała Rózia.

– Ach! Więc dajże mi kapelusik! Ktoś puka do drzwi! Zobacz!

Rózia podbiegła ku drzwiom, uchyliła je i zamieniwszy kilka słów, nadeszła wolno ku księżnie.

– Przepnij mi woal tu, w tym miejscu, żeby się nie ześliznął.

Rózia nie poruszyła się.

– Czegóż się tak zamyśliłaś? Rózia!

– Nic, proszę Waszej Wysokości. Był generał Gendre.

– A!

– Parady dziś nie będzie, odwołana. Jego Cesarzewiczowska Mość zasnął.

Księżna odrzuciła kapelusik i bez słowa odpowiedzi wybiegła na korytarz, a stąd po schodach na piętro, do komnatek męża. Lecz tu zagroził jej drogę lejbmedyk Kalisch z generałem Kurutą.

– Wasza Wysokość raczy się uspokoić. Sekundę cierpliwości. Przystański opatruje właśnie Jego Cesarzewiczowska Mość razem z Piglem. Ale to nic nie jest – przekrwienie naczyń.

– Wasza Wysokość raczy spocząć – dodał Kuruta, podsuwając fotel.

– Lecz, panowie, na Boga, co się stało?

Kuruta wykrzywił się płaczliwie.

– Jego Cesarzewiczowska Mość był najzdrowszy!

– Utrudził się nad miarę, podobno wczoraj długo w noc pisał – objaśnił Kalisch.

– Wchodzę do Jego Cesarzewiczowskiej Mości zapytać, czy parada ma czekać z rozesłaniem wart, a Jego Cesarzewiczowska Mość na fotelu zmieniony, na szyję mi wskazuje i powiada: „Przystański!” Przystański akurat był i Figiel.

– Ja nadbiegłem co tchu – dorzucił Kalisch – ale kolega Przystański ma ambicję, że zna lepiej ode mnie usposobienie Jego Cesarzewiczowskiej Mości!

Żaneta jeszcze długo udrękę niepewności przetrwać musiała, zanim ukazał się sztabslekarz strzelców gwardii.

– Złe minęło, Jego Cesarzewiczowska Mość po pijawkach zasnął. Nie należy go budzić. A i potem lepiej nie trudzić rozmową. Może wypaść gorączka, zresztą nie wiadomo.

Księżna zasiadła u wezgłowia chorego. Dwóch medyków czuwało w sąsiednim pokoju. Pałac Belwederski spowił się głuszą śmiertelną. Cesarzewicz leżał bez ruchu z oczyma przykniętymi i dyszał ciężko. Pod wieczór medycy opatrzyli chorego. Żaneta wyszła za medykami, aby dowiedzieć się, co wykryli. Przystański był zafrasowany czegoś.

– Wasza Wysokość, powiem szczerze, że nie wiem, nie pojmuję; wydaje mi się, iż to proste osłabienie.

– Albo wstęp do poważnej choroby – wmieszał się Kalisch.

– Co do mnie, zapowiedzi tej nie widzę.

– Dla mnie jest ona widoczną!

– Nie mam żadnego środka do zaaplikowania.

- Na noc radziłbym dać na poty, może to zdeklarować chorobę – zaopiniował Kalisch.
- A ja śmiem prosić o wezwanie naczelnego lekarza! – zakonkludował Przysański.
- Żaneta, choć do Kalischa miała większe zaufanie, kazała posłać po Szturmera, aby diagnozę medyków ujednostajnić.
- Tymczasem, ledwie księżna wróciła do wezgłowia cesarzewicza, ten poruszył się energicznie i spojrzął wokół.
- Żanetko!
- Jestem, kochanie...
- Powiedz tym, niech się wynoszą i zamknij drzwi.
- Ależ, Konstanty! – zaprotestowała księżna i spełniając łatwiejszy z rozkazów, zamknęła drzwi do pokoju, w którym siedzieli medycy.
- Podaj mi szlafrok! Mam dosyć tego leżenia!
- Konstanty, nie podnoś się. Uczyni to dla mnie, lekarze zalecili zupełny wypoczynek.
- Et, tam! Zatknęło mnie i nic więcej! Co to? Bandaże na karku! A, pijawki. Bardzo dobrze, myślałem, że mnie krew zaleje.
- Nie baczysz na zdrowie. Kalisch mówi, że to z tego ślęczenia po nocach nad papierami.
- Durny Niemiec. No, to tak. Zostałem generał-gubernatorem pana Mikołaja.
- Nie mów! Przysański prosił.
- Psyt, Żanetko! Zamknęłaś drzwi, zobacz! To dobrze! Nachyl się. Pełno szpiegów Mikołaja. O najdrobniejszym wie. Tego zbója mi przysłał, Orłowa!
- Błagam cię, jesteś chory.
- Nu, nu, ja ci też o mojej chorobie! U, i Orłow. Wiesz z czym, wiesz z czym? Koronacja! Za sześć tygodni będziemy mieli koronację! Tak! Pan Mikołaj będzie się koronował na polskiego króla! A jakże! Konstytucję zaprzysięgnie, diabłu się zaprzeda, a ukoronuje się! A ja zrzekłem się, wszystkiego się zrzekłem, byle być na łaskawym chlebie u pana Mikołaja. Paulucci w Rydze poszedł do dymisji, to i mnie wolno. Ot, moje prawo!
- Nie patrz tak czarno! Zobaczysz, że się to ułoży! Wszak i tak nie chciałeś żadnej korony..
- Żadnej, żadnej! Ale czego on, czego on tu się pcha! Myśli, że go tu kto pragnie! Czy on potrafi z Polakami? Zdaje mu się, iż do Warszawy przyjechać to też samo, co do Wiaźmy! Daj mi się czegoś napić! Ziółka? Niech będą! Uf! Ciężko, Żanetko! I co teraz? Nic, nic, zaprzeć się samego siebie i ani pisać. On na wszystko gotów.
- Mam przeczucie...
- Konstanty przerwał Żanecie gwałtownym ruchem ręki.
- Psyt, nie tak głośno! I ja mam! Trzeba się strzec jak ognia! U niego Orłow na pierwszym miejscu! Orłow i synowie Pahlana, wiesz, tego, co cara Pawła... On z nimi idzie. Powie słowo, a ukoronują nas, że i do trumny nie będzie co włożyć.
- Konstanty, proszę, zaklinam cię na wszystkie świętości, nie mów tak.
- I owszem, bezpieczniej milczeć.

VIII

Wiadomość, iż cesarz Mikołaj zjeżdża do Warszawy, aby na króla polskiego się koronować, radosnym drżeniem przejęła Królestwo Kongresowe.

Ha, toć wiadomość ta niweczyła wszystkie ponure słuchy, które od śmierci Aleksandra pracowały na obudzenie nieufności do tronu, niewiary w cesarskie przyrzeczenia, trwogi o jutro, o kruche podwaliny bytu politycznego, tego cudacznego skrawka dawnej niepodległej Polski.

Toć wiadomość ta była dokumentem, była zaprzeczeniem tych groźnych poszeptów, co od lat dwóch głosiły, że Mikołaj za czapkę Monomacha zaprzedał Konstantemu wszystkie ziemie polskie zaboru rosyjskiego, że oddał jemu na niewolę, na ofiarę, na zabawę, na pastwę! Wiadomość ta dowodziła nadto i wielkiego poczucia do zadośćuczynienia obowiązkom króla konstytucyjnego i chęć zaskarżenia sobie miłości polskich poddanych i dążności do osobistego zbadania ich potrzeb i, co najważniejsze, do utrwalenia zasad autonomicznych.

I Królestwo Kongresowe rozchmurzyło oblicze. A choć nie zdołało zeń zetrzeć śladów cierpień, przeżytych w ciągu ostatnich kilku lat, przecież na przyjęcie Mikołaja umiało na taką pogodę, na taką jasność spojrzenia się zdobyć, że żadnej bruzdy, żadnej zmarszczki nie mógł „król jegomość” wziąć do siebie, że nawet lzy nie zaschły wołały ku niemu „Nie ty byłeś ich przyczyną!”

Trzeba przyznać, że obocześnie nowy król mile zdumiał Polaków swym obejściem, a jeżeli nie obalił doszczętnie pogłosek o pysze niezmierniej, zimnym okrucieństwie, wyrachowaniu i skrytości, które rzekomo miały go cechować, to lwiał ich część unicestwił.

Najczerwieńsi patrioci zapomnieli krwawych opowieści o tym, jak nielitościwie obszedł się Mikołaj z dekabrystami, jak ich tortuował, jak kwiat inteligencji, kwiat młodzieży rosyjskiej, kwiat bojarskich rodów podał siepaczom na zagładę, jak otoczył się plugawym pokoleniem bękartów, faworytów i kochanków dawnych caryc, jak zbójców ojca własnego i dziada w zachowaniu miał, jak wspaniałomyślność była mu obcą, a jak despotyzm każdym jego kierował krokiem.

A dopieroż ci, którzy za lada błyskiem purpury, za lada skinieniem majestatu, za lada miłościwszym słowem najohydniejszą zbrodnię tłumaczą racją stanu, nieuniknionym gniotem polityki, którzy jak słoneczniki gotowi sterczeć samotnie wśród zwarzonej żarem niwy, byle płonąć w słońcu! A dopieroż wzięli, słabi, szukający ościeni, przystani. A dopieroż łatwowierni i zapalni. A dopieroż statyści!

Tych wszystkich było zadość, aby w chwili, gdy Mikołaj w mundurze polskiego generała w murach Warszawy się ukazał, zgotować mu gorące przyjęcie i tych wszystkich było zadość, aby i maruderów porwać i rozważnych oszołomić i trzeźwych odurzyć.

A kiedy w tę podnieconą falę ludzką padły pierwsze echa z Zamku Królewskiego, kiedy ruszyły rozhowory o tym, jak to cesarz uprzejmie do deputacji się odezwał, jak cesarzowa się uśmiecha, jak mały książe Aleksander uczy się po polsku, a kiedy nareszcie heroldowie koronację obwieścili, a potem, kiedy hukowi armat zawtórzyły dzwony katedry Świętego Jana, a król polski z polską królową ukląkł w gronostajach przed ołtarzem – ha, to już nie jakieś tam wiwaty, nie jakieś ułożone zawczasu zawołania, lecz łomot wezbranych wdzięcznością serc, lecz huragan okrzyków zagrzmiał Mikołajowi.

I gdyby w dniu tym powiedziano jednemu z tych dobrodusznych mieszczuchów, którzy z takim zapalem króla witali, lub jednej z tych wielkich dam, które przygotowaną dla nich na drodze procesji koronacyjnej trybunę okryły jedwabiami, adamaszkami, koronkami a drogimi kamieniami swych strojów, jednej z tych wielkich dam, które na widok pary królewskiej ocierały z patriotycznym przejęciem napudrzone noski, rozumiejąc, że bez mała Jagiellona oglądają, gdyby takiej damie powiedziano, że szkoła podchorążych, tworząca honorowy łańcuch, wczoraj jeszcze zakładała ostre ładunki do karabinów, że gdyby nie sentyment, co między spiskowych się wmieszał, to na czerwonym suknie usłanej drodze nie rozpoznałaby nawet, który trup jest powłoką Mikołaja, a który Konstantego, który królowej, a który księżny łowickiej – temu by ani jedna z tych wielkich dam nie uwierzyła, temu by nie uwierzył ani jeden z tych dobrodusznych mieszczuchów! A przecież tak było.

Warszawa kipiała weselem, ochotą, pulsowała różnym zgiełkiem, grała przepychem uniformów, dudniła sznurami pojazdów, girlandami, cyframi i herbami w dzień się bramowała, potokami światła zdobiła się w nocy, fajerwerkami a raketami chmury krajała, sprawiała bale i przyjęcia, rewiami i paradami budziła śpiochów; cały ten mieniący się barwami obraz ujmowała w ramy pięknych, bo wiosennych promieni. Lecz Warszawa miała już swoich mścicieli, miała swe widma odwetu, miała swoich karbonarów.

Ale cóż, karbonarowie warszawscy nie posiadali nic z mroku włoskich rewolucjonistów, nic z zawziętości sekciarzy, nic determinacji sankiulotów. Karbonarowie warszawscy miłowali ojczyznę, lecz szanowali za wiele autorytetów, by działać samotrzeć; lecz nadto byli rycerzami, aby się nie skłaniać do myśli uniknięcia mordy; nadto młodzieńcami, by podjąć zadanie mężów, by nie oglądać się za przewodem, by nie ulec perswazji, by nie zwałać, iż są tylko szkołą podchorążych. I stąd chwilieli się, i stąd wykonanie zamachu odkładali z procesji koronacyjnej na Saski dziedziniec, z Saskiego dziedzińca na plac zabaw ludowych i stąd pokolenie Pawłowiczów ocalało.

Warszawa, pochłonięta uroczystościami i rozgardiaszem dworskiego życia, nie poczuła podziemnego kołysania. Nie zauważył go ani Mikołaj, ani Konstanty, ani tajna policja Różnieckiego, ani zbirowie golibrody Makrota, ani szpiedzy Nowosilcowa.

I monarcha uśmiechał się i chwalił ład, porządek, piękną postawę wojska, strukturę nowych gmachów publicznych, i aktorów na teatrze, i inwalidów w koszarach, i talenty Niemcewicza, i piękność Sapieżanki, i religijność księżny łowickiej, i pomysłowość Brońca, i dekorację miasta, i buldogi Konstantego.

I może by Mikołaj na wzór Aleksandra podbił sobie raz na zawsze „całą Warszawę”, może by ją zjednał sobie do ostatka, gdyby nie blade, lodowate spojrzenia jego stalowych oczu, które mroziły uśmiechy cesarskie, które przeczyły słowom, co gorsze, gdyby nie małżonka cesarza, księżniczka pruska!

Polacy bowiem szklistą powłokę oczu Mikołaja radzi byli poczytać za znamię majestatu, nawykłego wszystko wiedzieć, o wszystkim decydować, nawykłego być i papieżem, i głową państwa, i pomazańcem bożym, i zastępcą Boga na ziemi i bogiem. Ale za to ani rusz nie umieli się poznać na majestacie Charlotty, karmnej, białej jałoszki, powagę i godność swoją

streszczającej w leniwych ruchach i miarowym chwianiu pełnymi wymionami, ani rusz nie potrafili przekonać się do zawsze spóźnionych komplementów, do złej francuszczyzny, do odymania policzków i do wdychanego z piskiem okrzyku „jha”.

Lecz mimo to para cesarska wywarła wrażenie dodatnie, bezwzględnie dodatnie.

Entuzjazm, zapal, uniesienie, porywy juści zgasłyby równie szybko, jak fajerwerki koronacyjne, jeżeliby zabrakło namacalnych dokumentów intencji monarchy.

Owóz dokument taki właśnie był, był tylko jeden, ale niezbity, niezawodny i najgoręcej przez Polaków upragniony. Mikołaj stanął między nimi i Konstantym. Konstanty znikł w blaskach purpury Mikołaja, Konstanty sunął się, jak cień chmurny, pochylony ku ziemi, milczący, korny. Konstanty zapadł się między mundury świty i pozostawał na uboczu i wówczas, gdy król z ministrami konferował, gdy czynił zarządzenia, gdy rozstrzygały się ważne sprawy, gdy zdanie cesarzowicza powinno było zaciężyć.

I nie tylko Konstantego dotknęła niełaska, ale i jego dwór, i jego święte, i jego ulubieńców, i jego popieczników. Mikołaj, jakby nie spostrzegł Kuruty, jakby nie widział Fanshawe'a, jakby nie znał Nowosilcowa. Deszcz orderów, awansów i odznaczeń, którymi cesarz pożegnał Warszawę, nie osiągnął nikogo z otoczenia wielkiego księcia; pominął i tych, których Konstanty do nagrody przedstawił. Zresztą rozdźwięk między braćmi był tak widocznym, tak niezaprzeczoną, że aż brutalnym, aż uchybiającym godności cesarskiej.

O rozdźwięku tym zagadali więc Polacy, zagadali z radością, bo rozdźwięk ten zwiastował im kres rządów znienawidzonego satrapy, bo rozdźwięk ten zapowiadał wyzwolenie, bo rozdźwięk ten dobywał ich z rąk szaleńca.

O rozdźwięku tym dzielniej jeszcze zagadali statyści, którym nieobce były echa rozmów Mikołaja z Lubeckim, którzy głębiej sięgali, szersze ogarniali horyzonty.

Zdanie było jedno: dni rządów Konstantego są policzone, Mikołaj dobra Polaków pragnie, Mikołaj samowolę cesarzowicza ukróci, bo Mikołaj chce święcie dotrzymać konstytucji.

Stąd rzeczą nie do wiary zdawać by się mogło, że o tych wszystkich oczywistościach księżna łowicka nie miała najmniejszego pojęcia, że w ogóle pobyt pary cesarskiej w Warszawie unicestwił i to słabe pojęcie, które księżna powzięła o stosunkach rodzinnych synów Pawła i że właśnie ten pobyt, to pogłądanie z bliska na obcowanie Mikołaja z Konstantym, rzucił księżnę w odmet niezrozumiałych zagadnień i sprzeczności.

Wszak cesarzowicz odchorował wiadomość o koronacji, a potem, choć uległ, choć przygotowaniami na przyjazd pary cesarskiej się zajął, przecież wrzał, przecież groził, przecież gotował się do jakiejś strasznej rozprawy z Mikołajem! Przecież układał sobie, jak to warunki Mikołajowi podyktuje, a jak to ze swoich praw cesarzowiczowskich na włos nie ustąpi. I księżna łowicka trwożyła się i nakłaniała męża do zgody i łagodziła.

Konstanty przyrzekł panować nad sobą, ale przy rozprawie upierał się jeszcze w dniu przyjazdu pary cesarskiej, jeszcze po przyjęciu wstępnym na Zamku, jeszcze po pierwszym obiedzie.

A kiedyż tego dnia wieczorem Mikołaj sam do Brühlowskiego pałacu przybył i z Konstantym na rozmowę w cztery oczy poszedł, to Żanetę takie przerażenie zdjęło, iż nawet modlić się nie mogła, iż nawet sił nie miała, aby ogarnąć, do czego może dojść, jeżeli cesarzowicz da upust nurtującej go złości. I dalej, ileż mocy potrzebowała zażyć, ileż natężenia woli, aby gdy jej dano znać o odjeździe cesarza, przestąpić próg gabinetu Konstantego! Zastała cesarzowicza wijącym się w paroksyzmie bólu, rozpacz, żałości.

I księżna pocieszała męża i krzepiła na duchu. Słowom Żanety brakło niezawodnie świadomości, co koić, co hołubić, bo cesarzowicz wył, zębami zgrzytał, a nie poskarżył się, aleć przecież uspokoił się i ozwał z rezygnacją:

– Podły świat, podli ludzie!

I od tej chwili Konstanty był zgoła innym, jakby nie tym samym.

Mikołajowi na zadawane pytania odpowiadał monosylabami, godził się bezkrytycznie na każde jego zdanie, na uśmiech cesarza uśmiechał się, na skrzywienie się frasował, na każde podniesienie głosu brata wtulał głowę w ramiona i zachowywał się tak, iż Żaneta mniemała czasami, że Konstantemu przyszedł figiel generała Kurutę naśladować.

O zamiarze swym dawnym rozprawienia się z Mikołajem wielki ksiązę ani nie wspomniał. A na zręczną apostrofę księżny, odparł wymijająco.

– Nu, nu! Usłuchałem cię i owszem! No, i ten...

O cesarzu Konstanty albo nie mówił wcale, albo mówił z dworackim przejęciem o ukontentowaniu cesarza, o tym, co mu się podobało lub co mu przypaść do gustu powinno.

Rewie i parady tylko jakby wracały cesarzewiczowi dotychczasową postać, one jedne po dawnemu upajały go, porywały i wyprowadzały z bierności wobec Mikołaja.

Żaneta martwiła się tym stanem duchowym swego małżonka, martwiła się, bo ta jego rezerwa dochodziła do śmieszności, bo osowiałość Konstantego była plamą wśród powszechnego wesela.

Ach tak, ach tak. Księżna łowicka wyczuwała przyczynę. I jej samej te okrzyki, te wiwaty, te owacje, które towarzyszyły stale parze królewskiej, które pamiętały i o małym księciu Aleksandrze, które i dla księcia Michała, najmłodszego z Pawłowiczów, potrafiły znaleźć nawias, a które ani razu imienia Konstantego nie wymówiły – wydawały się do zbytku przesadzone, do zbytku niesprawiedliwe. Lecz księżna wybaczała to uchybienie motłochowi. Czegóż bo żądać od tałałajstwa ulicznego? Nie ten u niego drogi, kto od rana do nocy jego pomyślnością się trudzi, ale ten zawsze, kto nowy, nieznan, obcy.

No tak, i przy tym Konstanty naraził się hałastrze. No tak, naraził się, gdy podczas pobytu Mikołaja zarzucił swój uniform polskiego generała i w ulubionym strzeleckim mundurze się nie pokazał, a na przekór chodził w stroju rosyjskiego generała i w pamiątkowych epoletach z cyfrą cara Pawła.

Księżna z początku sama nie zrozumiała symbolu ukrytego w przebraniu cesarzewicza i próbowała go skłonić do pięknych barw i haftów naczelnego wodza wojsk polskich, lecz Konstanty wskazał jej epolety.

– Widzisz, Żanetko, chcę być tym, czym byłem za życia ojca i co mam od niego, a nie z niczyjej łaski.

Księżnie bardzo spodobała się delikatna aluzja, była z niej po trosze dumną, no, ale czyż hołota warszawska zdolna była wznieść się do tej aluzji, czyż bodaj jakobińskie warcholstwo mogło poznać się na symbolu?

Więc niezawodnie i to wpłynęło na cesarzewicza, i to go zadrasnęło, a jednak niepodobna, żeby tylko to!

Żaneta w głowę zachodziła i nie znajdowała odpowiedzi.

Cesarstwo oboje byli dla księżny niewyczerpane serdeczni, a co Mikołaj zawstydział ją komplementami i uprzejmościami. Nie zawahał się powiedzieć jej wprost, iż cała rodzina monarsza ocenia, ile dobrego wpływu na charakter cesarzewicza ma już do zawdzięczenia „Żanecie Antonownie”. A ileż miłości braterskiej objawił, gdy w rozmowie z Żanetą wspominał o Konstantym i troszczył się o jego zdrowie, które niszczy, marnuje, trawi, podczas kiedy powinien zażywać rzetelnie zapracowanych wczasów. A z jakimż przejęciem interesował się sprawami religii, jak stanowczo godził się, iż religia jest dźwignią państwa, jest podporą korony. A jak zaciekawiły go wspomnienia Żanety o sympatii Aleksandra dla katolicyzmu i jak sam zauważył, iż połączenie kościoła rzymskiego ze wschodnim wiele dobra by przyczyniło, wiele knowań politycznych by udaremniło, wytrąciłoby oręż niejednemu buntowi.

Księżna łowicka niezdolna była uprzytomnić sobie tych wszystkich czarujących momentów, których tyle przeżyła w ciągu kilkunastu dni pobytu monarchów.

Zapewne, cesarzowa była nieco za *simple*, nadto *silencieuse*, trochę *raide* w „obserwacjach”, ale cesarz, cesarz! Mniej giętki. w obejściu niż Aleksander (ach, bo ten był wyjątkowy), ale i w tej ostrości, w tej lekkiej bezwzględności prawdziwie wspaniały, prawdziwie majestatyczny!

Niezapomniane momenty, nieprzebrzmiałe.

I ten dwór, i ta wyszukana oprawa, i ten poetyczny ceremonial!

Wszystko, wszystko harmonijne, piękne, tylko gdyby Konstanty... Czyż miał powód do skarżenia się na brak zachowania ze strony braterstwa?

Nie. Stanowczo nie. Księżna patrzyła własnymi oczyma i jeżeli co dostrzegła, to chyba cierpkość cesarzewicza, to chyba niedostatek pewnej *complaisance* z jego strony.

Mikołaj wielokrotnie dawał dowody, iż rad by przełamać małomówność cesarzewicza, zagadywał doń często i żartobliwie, i dowcipnie, ale Konstanty osadzał na miejscu każde półsłówko kategoryczną odpowiedzią lub milczał i tak osobliwie zezował, że księżnie aż przykro było.

Na domiar, w ostatnim dniu pobytu cesarstwa, przy śniadaniu zaszło między Mikołajem i Konstantym niemiłe przemówienie.

Mianowicie, cesarz najspokojniej w świecie wspominał, iż wypadnie mu za rok przybyć do Warszawy o tej samej porze, ile że ma zamiar zwołać sejm.

Na to Konstanty zaczerwienił się i mruknął porywczo:

– Chyba na to sejm, żeby były nieporządki!

– Tych się nie ulęknę, powiedziałem.

– Bo nie znasz opozycji, opozycja nie dopuści, co zechce, zrobi!

– Proszę! Warto się przekonać! Słyszałem coś o nowym prawie rozwodowym, które chce rozluźnić więzy kościelne! Na nic podobnego nie zezwolę, z rozwodów tylko nieład i lekceważenie obowiązków rodzinnych.

Cesarzewicz zaperzył się. Mikołaj dodał tonem łagodnej wymówki :

– Jestem przekonany, że i ty tak myślisz, boć jesteś szczęśliwy w małżeństwie. Odwołuję się do zdania Żanety Antonowny.

Księżna chciała się wtrącić pojednawczo, lecz Konstanty uniósł się i miast po rosyjsku, odezwał się po polsku:

– Uu! Konstytucji nie znasz i sejmu nie kosztowałeś. Póki go nie ma, to licho śpi, a jak się zbierze, to będziesz Tadeuszka gwizdał! Ot, dobre polskie wyrażenie! Tam pan Ostrowskij, a tam pan Zamoyskij, a tam pan Czartoryskij, a jak mówę ci wyciągnie...

– Za pozwoleniem – przerwał niecierpliwie Mikołaj – widzę, że zapomniałeś po rosyjsku.

Konstanty skonfudował się, lecz się odciął:

– Jak do króla polskiego mówię, to... to zapominam! I bardzo mi z tym dobrze!

Mikołaj uśmiechnął się.

– Byłeś sam nie odwoływał się do konstytucji, bo za królem stoi cesarz, samowładny i tylko samowładny...

– Moją konstytucję car Paweł pisał!

– Niezawodnie – odparł chmurnie Mikołaj, poglądając badawczo na Konstantego – ale że Aleksander ją uzupełnił...

Konstantemu ruda czupryna się zjeżyła na ciemieniu.

– Lecz wiesz... wiesz, że ani słowa prawdy... – jękał cesarzewicz ledwie chroboczącym głosem.

– Wiem, lecz – hm – mogę nie pamiętać, a to od ciebie zależy...

Konstanty odsapnął i miast pojednawczo się ozwać, aby z błahej gry wyrazów niesmaku nie zostało, zapadł znów w posępne milczenie.

Żaneta aż zmartwiła się tym dziwacznym zachowaniem cesarzewicza.

IX

Po wyjeździe cesarza Mikołaja z Warszawy Kongresówkę zaległa skupiona, pełna namaszczenia cisza.

Nasycono się słowami, obietnicami, wytłumaczono najpoczciwiej każde skinienie monarchy, „poczytano mu ku sprawiedliwości” każdy grymas, o nic nie obwiniono, wszystko złe przypisano Konstantemu i teraz czekano, spodziewano się, wyglądano.

Czego?

Mnóstwa dobrodziejstw, mnóstwa łask, mnóstwa przywilejów, mnóstwa nadań! Takiego mnóstwa, iż dało się ono zawrzeć w jednym kilkuwierszowym dekreście, mianującym nowego namiestnika, usuwającym cesarzewicza i nakazującym ściśle trzymanie się tego, co Mikołaj zaprzysiął.

A że były to czasy, że ufano wartości przysiąg nie tylko carów rosyjskich, ale i pruskich królów, tedy byle zwłoki nie brano do serca i potulnie a skromnie patrzono, rychło Mikołaj okazaną pieczołowitość w czyn zamieni, rychło „król jegomość” najmiłościwiej odezwać się raczy.

Zresztą do czekania i cierpliwości ziemie polskie zaboru rosyjskiego były już zahartowane. Tym razem wysiłek był łatwiejszym niż kiedykolwiek, bo cesarzewicz siedział, niby trusia, w Belwederze i nawet na paradach nie dokazywał.

I czekano, czekano długo. Mikołaj wojnę z Turcją dalej wiódł, więc czekano, póki Turków nie pobije. Czekano na wzięcie Szumli, Silistrii, Erzerumu i Anapy, wreszcie czekano na wzięcie Sztambułu. No, a kiedy o pokoju zagadano, czekano na jego zawarcie; gdy go zawarto w Adrianopolu, czekano jeszcze na powrót zwycięskich wojsk, na przyjazd Dybicza do Petersburga i znów na coś tam jeszcze, co cesarzowi bruździło w zniszczeniu polskich spodziewań.

Czekano by i dłużej jeszcze, choćby do sejmu, a choćby i lat kilka, ale już pod jesień zauważono, że wódz naczelny wojsk polskich do dawnych wraca nawyknień. A zanim Nowy Rok nadszedł, nie potrzebowano czujności wysilać, bo Gendre, Różniecki, Lewicki i Makrot hulali, jak za na j świetniej szych dla siebie czasów, bo Saski dziedziniec truchlał ze zgrozy na widok cesarzewicza, bo Konstanty znów katował, rozczulał się, lżył, skakał z radości, wył z gniewu, nagradzał bez przyczyny i karał bez powodu, bo Konstanty znów trząsł Kongresówką i Litwą.

I Polacy zaniechali spodziewań.

Tam, między legitymistami układano podobno arcydoniosłe plany dyplomatyczne, jakieś zabiegi przedsiębrano. Mrowie atoli już stygło, już przejrzało i nie myślało nawet zastanawiać

się, skąd mizerny dotąd konsul pruski Schmidt na personata urósł, skąd do takiej z księciem doszedł zażyłości, a do takiej amicycji z Nowosilcowem.

Tymczasem co dla mrowia polskiego było mrokiem, zachłannością bezgwiazdnej, głuchej nocy, to dla pałacu Belwederskiego, niby dla zdeklarowanego antypody, stało się słońcem, rozobłoczeniem lazurów niebieskich, zerwaniem z ociężałością, przebudzeniem.

Księżna łowicka promieniała. Cesarzewicz otrząsnął się, nabrał życia, ochoty i wiary w przyszłość. Wszystkie obawy Konstantego prysły, znikły. Ten, ku któremu takim rankorem pałał, takim niesłusznym rankorem, zmógł wielkiego księcia swym taktem, swym dostojnym zachowaniem. Mikołaj zwyciężył! Szlachetny, zacny Mikołaj!

Wszak cesarzewicz pomawiał brata o nieszczerłość, za obłudnika go miał; wszak podejrzewał, iż chce go pozbawić naczelnego dowództwa, że chce go z Warszawy usunąć, iż chce mu odebrać samodzielność, iż chce go sponiewierać w oczach Polaków, iż chce, aby Konstantego zabrakło!

Żaneta nigdy tych obaw cesarzewicza nie podzielała, zawsze je zwalczała. Żaneta poznała Mikołaja i Żaneta nie zawiodła się, triumfowała!

Cesarz wyjechał, nadesłał z drogi podziękowanie bratu za serdeczne przyjęcie, jakie mu w Warszawie zgotował i życzył dalszych, równie owocnych trudów.

Konstanty jeszcze się boczył, jeszcze nie ufał, jeszcze podstępów szukał w tym odezwaniu.

Lecz Mikołaj umiał wspaniałomyślnie wytrwać w podniosłym uczuciu. Kancelarię petersburską zmusił do podwojenia uprzejmości względem kancelarii cesarzewicza. A przy pierwszym zatargu wystosował wprost do Konstantego dobre, miłości pełne pismo, w którym prosił, by cesarzewicz zaniechał oficjalnych przedstawień, by o ile możności sam decydował o wszystkim, co nie wymaga nieodwołalnie podpisu Mikołaja, gdyż nikt nad Konstantego potrzeb i spraw polskich lepiej znać i rozstrzygać nie jest w stanie.

Ku zupełnemu odrodzeniu się Konstantego niemało przyczynił się i konsul pruski, Schmidt. Bardzo miły i delikatny człowiek. Żaneta nie znała dokładnie istoty owego przyczynienia się Schmidta, ale z relacji męża wiedziała, jak konsul pilnie znosił mu wiadomości z dworu petersburskiego, jak skwapliwie powtarzał mu pochlebne wyrażenie cesarzowej o wielkim księciu, jak budził jego czujność na konszachty wartogłowów, jak troszczył się, by zobojętnienie Konstantego nie ośmieliło złych duchów polskich i nie stało się sposobnością do niepokoju.

Tak, czy owak, konsul był najlepszym w świecie człowiekiem. Lejbmedyk Kalisch nie miał słów dla Schmidta. Wreszcie skutki wpływu konsula stanowiły, mówiły same za siebie.

Co zaś do polityki, od tej Żaneta stroniła, bo życie nauczyło ją stronić od spraw publicznych i od wszystkiego, co wionęło intrygami, plotkami, oszczerstwami, zwalczaniem niewdzięczności, ścieraniem się ambicji, partii, współzawodnictwem, chroniącym się pod płaszczykiem cnót obywatelskich, i tym całym obłąkaniem, które demagogia polska zwała umiłowaniem ojczyzny, poświęceniem dla kraju i patriotyzmem.

Polski patriotyzm! A sensem jego nic, tylko niweczenie dobrych zamierzeń władzy, tylko rycie przepaści między ludem i koroną, tylko bunty, tylko zbrodnicze podszepty, tylko spiski, a krom tego, obojętność religijna, wolnomularstwo i herezje!

Księżna łowicka tuż po koronacji w pamiętniku swoim, w którym co głębsze sentencje notowała, napisała te pełne melancholii słowa:

„Rosjanie mówią o Polakach: *biezmozgije Poliaki, mon Dieu, mon Dieu, serait ce vrai?!?*”

I ten trójjęzyczny aforyzm, opatrzony znakiem zapytania, miała sobie Żaneta i za pieczęć pod swą działalność polityczną, i za odpowiedź.

Ale owo wycofanie, usunięcie się księżny bynajmniej nie zniechęciło jej do własnych planów, własnych pragnień politycznych, do drogi, którą sobie obrała. Przeciwnie. Nigdy ta droga właśnie nie zdała się Żanecie pewniejszą, nigdy niezawodniejszą!

Toć byle sił starczyło, byle błogosławieństwo Boże sprzyjało – a to, co teraz wciąż cherła, utyka, skowyczy, a zamiera pod skrzydłami Kongresu Wiedeńskiego, to zakwitnie zgodą, rozżarzy się miłością u stóp jednej wiary Chrystusowej, jednego krzyża, jednego Kościoła. Księżna zdobyła nawet poważne atuty dla swych zamysłów. Po Leonie XII na stolicy Piotrowej zasiadał Pius VIII. Papież pojednania, papież przebaczenia... Żaneta otrzymała odeń błogosławieństwo i więcej niż błogosławieństwo. Lecz to była jej tajemnica ukochana, najmilejsza, o której jedynie u stóp ołtarzyka świętej patronki dumać się ośmielała.

Juści, ku ziszczeniu planów trzeba było jeszcze bardzo, ale to bardzo wiele czasu, bardzo wielu sprzyjających okoliczności, bardzo wielu starań i jeszcze czasu na uprawienie grunta pod siew.

Żaneta się tym nie zrażała. Gdy potężne idee bladły, grzęzły w drodze; zastępowała je cichą pracą dobrodziejki ubogich, opiekunki i pocieszycielki bezdomnych i chorych.

Mroczny, dżdżysty dzień marcowy rozwarł leniwie powieki i ołowianym spojrział wzrokiem.

Cesarzewicz obudził się i zaklął.

Drugi tydzień trwały słoty, od dwóch tygodni widok Saskiego dziedzińca do pasji go doprowadzał. Wichura z deszczem marnowała Konstantemu parady, udaremniała inspekcje. I w czasie, kiedy na przyjazd Mikołaja należało dwakroć pilniej żołnierza musztrować, trzykroć baczej lądu strzec. No i jeszcze z Mikołajem pół biedy. Po rosyjskich ciurach polskie wojsko zawsze jest dlań specjałem. Ale tu pruski następca tronu, się zapowiada i z nim gromada pruskich sztabowców, a i Habsburg, który gotów nadciągnąć! Tym trzeba pokazać, tych nauczyć, co wojenna sztuka, co karabin, co mundur, co palce u nóg w maszu, a co podniesienie nogi! A tu słota!

Wczoraj, pod wieczór, niebo się przecierało. Gwiazdy były! Pogoda, mówili! Cesarzewicz dla powetowania nakazał wielki przegląd artylerii. A tu, znów słota!

I naczelnny wódz swój zły humor zaczął wyładowywać. Lecz, że zły humor cesarzewicza miał własność kuli toczącej się po wyboistej pochyłości, przeto wyładowując się, nabierał pędu, coraz zawzięciej raził, coraz gwałtowniej. Stukanie Kochańskiego kamerdynera zamieniło się w kopnięcie dla buldoga, w wymysły dla golibrody Makrota i dalej, niby lawina rosło, miotło przed sobą wszelkie żywe stworzenie pałacowe, a nie przebaczało nawet stołkom, ośmielającym się grozić przestwór osobie naczelnego wodza.

Z Belwederu zły humor ruszył do pałacu Brühlowskiego, kędy w dolnej sali odbywało się przyjmowanie raportów, meldunków i pieszych posyłek i tu już złością zacharkotał.

Konstanty pomstował na niedbalstwo. Ani jeden posyłka nie umiał trzymać karabinu, ani jeden patrontasz nie był przypasany należycie, haftki i guziki rwały się za lada „dotknięciem” palców cesarzewicza, tornistry zwisały krzywo, a na dobytek, podoficerowie stać z bronią u nogi nie potrafili.

Książę zębami zgrzytał. Musztrował posyłki na posadzce woszczonaj, komenderował obroty i pienił się, że mu się żołnierze ślizgali i oficerów szamerował, i po stopniach idąc, generałom wymówki robił, aż sypanwszy gradem „aresztów” i „odwachów”, poszedł piechotą na Saski dziedziniec na paradę. Parada przedstawiała obraz nędzy i rozpaczy.

Żołnierze, stojący od dwóch godzin na ulewnym deszczu, a od godziny już bez płaszczów, wyglądali jak jedna wielka, napęczniała, sina z zimna, dygocąca, pstra, z kałużą wystająca bryła. Nigdzie ani lustru blachy na czapie, ani błysku wypolerowanego ostrza. Kolorowe napierśniki wilgotnymi plamami okryte, aksamitne rabaty artylerii niby szronem przyprószone, konie ociekające wodą, nawet tarabany głuche, bulgoczące, zda się, takt deszczowemu poszumowi.

Książę dosiadł konia, mruknął jakiś rozkaz placmajorowi Daszewskiemu i muzyki zagrały do defilu. Wstęgi wojska drgnęły, poruszyły się i jęły brnąć w kałużach a symulować zawzięcie marsową zadzierzystość a ochotę.

Lecz na pluchę sposobu nie było. Deszcz ciął, smagał, ostrza bagnatów zlewał ze swymi smugami, mrużył powieki żołnierzom, zmuszał do pochyleń, do podawania się ku przodowi. Kolumny chwiały się na oślizgłym gruncie, okrywały bryzgami błota, dobowanego podwójnym krokiem, zamieniały się w sflażone, szarogliniaste, zmiętoszone mrowie.

Cesarzewicz pochylony na koniu poglądał na defil, na zniszczenie uniformów, na karykaturę parady, na ruinę ładu i z pasją słowa wymówić nie mógł, poruszyć się nie był w stanie. Konwulsyjny skurcz twarzy mu wykrzywił i usta zacisnął. Jeny oczy Konstantego, spod płoworudych, szczecinowatych brwi krwawiły się złowrogo, a piorunowały maszerujących żołnierzy, a dziesiątkowały plutony.

Już po trzykroć cesarzewicz szarpnął konia i do skoku go nacisnął, i po trzykroć bluznął wypryskami błota spod kopyt na adiutantów, i po trzykroć osadził go na miejscu.

Konstanty co chwila dostrzegał uchybienia, co chwila widział wołające o pomstę przestępstwa, najbezcenniejsze niedbalstwo, lekceważenie wszystkiego, nad czym tyle lat pracował, co z dnia na dzień przykazywał.

– Ha, lecz tym gałganom sam Lucyfer dziś dopomógł do oszukaństwa! Ha, toć ta wichura, ta ślota wstrętna to właśnie woda na ich młyn! Gęby nawet błotem unurzali, żeby ich nie rozjechać, żeby tym lepiej załgać, otumanić, niedołęstwo i flejtuchostwo przemycić!

Cesarzewicz już znieść nie mógł dłużej widoku maszerującej piechoty.

– Daszewskij! Dostyc tych mord zamorusanych! Artyleria!

Trąbki ozwały się długo, na strunach dżdżu rozpięły swe dźwięki i umilkły, zmożone monotonnym jego poszumem.

Artyleria dzwignęła się, świsnęła batami i potoczyła się, wlokąc na wyciągniętych szlejach spizowe cielska armat, a żłobiąc dla kałuż głębokie bruzdy.

Książę łaskawiej spojrział ku zielonym dzwonom potworów. Ba, lecz i te wymówiły snadź posłuszeństwo, bo ledwie pierwsza armata nadeszła, już ludzie i konie, i lawety, i jaszczurki zginęły pod brudnożółtą powłoką.

Cesarzewicza gniew żgnął. Wpił krwią nabiegłe oczy w mijających go oficerów i zakrzyknął nagle:

– Szkaradowskij!

Porucznik saperów, który przykomenderowany do artylerii gwardii jechał za dzwonem pierwszej armaty, zdarł konia.

– Jak wyglądasz?! – chrypiał z wzrastającą wściekłością głos Konstantego.

Porucznik mimo woli spojrział po zbryzganym mundurze.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość – odrzekł niepewnie – błoto...

Książę rzucił się na siodło.

– Błoto?! Błoto?! Tyś sam jak błoto! – i wpadł koniem na Szkaradowskiego i ręką za kołnier munduru go chwycił.

– A haftka to u ciebie też błoto! *Durak! Padlec!* Taki syn! – wrzasnął książę i uderzył porucznika pięścią pod szczękę.

Saski dziedziniec stęknął.

Nieszczęsny porucznik słańał się na siodle, jakby wraz z koniem chciał się pod ziemię zapasać, jakby chciał w miażdżący pocisk się zmienić. Cesarzewicz atoli już pod świtę odjechał.

– Marsz! Marsz! – ryknął Konstanty ku skamieniałej w bezruchu baterii.

Bateria świsnęła kańczugami i ruszyła z wysiłkiem, i wlokła się, i chrzęściła, i bluzgała błotem, i całym natężeniem końskich karków dźwigać zdawała się Szkaradowskiego.

Tak, niby pochód żałobny-z zapartym oddechem, z pochylonym ku ziemi spojrzeniem dotarła bateria pod bariery Saskiego pałacu.

– Porucznik Szkaradowski na odwach! – zabrzmiał stłumiony, smutny głos nadjeżdżającego adiutanta.

Szkaradowski drgnął, powiódł dokoła błędnym wzrokiem, zsunął się z konia, dobył szpady, zaparł ją rękojeścią o barierę, ostrze do piersi przyłożył i rzucił się ku przodowi, nadział się i runął bez życia...

Bateria wydała okrzyk zgrozy. Saski dziedziniec zadrżał bez komendy. Konstanty zawył z furii.

– Aresztować całą baterię! Na odwach wszystkich! Precz, precz! Bij zbór austriacki! Bij zbór! I tarabanom jeszcze starczyło sił.

X

Była już jesień roku 1830, a żar lipcowej rewolucji francuskiej jeszcze nie wygasł. Jeszcze płomienie przerzucał za góry i lasy, jeszcze gorzał, jeszcze żagwie wyzwolenia zapalał, jeszcze bratniej niedoli hasła niósł.

Nawałnica znad Sekwany dosięgnęła Belgii i załomotała rozpaczliwą wojną na śmierć i życie. Taż sama nawałnica wstrząsnęła Alpami i krwią ludu szwajcarskiego pisała demokratyczne ustawy. Taż sama nawałnica chmurzyła italskie lazury; taż sama nawałnica marszczyła toń szafirową greckich wód; taż sama nawałnica darła się na Pireneje; taż sama nawałnica szła i na północ i na południe, i na wschód.

Trony drżały, „pomazańcy” rozmaitego kalibru i rozmaitych bogów, jedyni, prawi, bo w koronach chodzący dziedzice tracili zaufanie do Opatrzności, a woleli szukać oparcia w karabinach, łańcuchach i więzieniach. Wszystkie naraz rządy jeły wystawiać podwładnym narodom, iż dla nich cierpią męki, iż dla nich się poświęcają, że każdy autorytet jest cierniem dla tego, kto go zażywa, że najlepiej być pariasem i niewolnikiem, że tylko nędza daje królestwo niebieskie, że oni, dygnitarze a potentaci, są wielbłędami skazanymi na tortury przeciskania się przez „ucho igielne”. Wszyscy naraz monarchowie zaczęli się uśmiechać, kłaniać uprzejmie, siwieć z troski o przysporzenie dobra swoim poddanym, ba, zgadywać ich myśli, uprzedzać je, a obiecywać więcej, niż przyziemne mózgi pigmejów zdołały zapragnąć.

Nawałnica szła, lecz nie wszędzie jednaką wzniecała pożogę i nie wszędzie ją wznieciła.

Więc gdy w Belgii na przykład na wielką wojnę się zaniósł i aż zbrojną interwencję mocarstw miała wywołać, w Szwajcarii od razu zajaśniała zorzą, gdy w Hiszpanii na podziemnym skonała wrzeniu, w Italii to wrzenie podziemne było jej nabraniem sił do tym gwałtowniejszego wybuchu w rewolucjach Parmy, Modeny i państwa kościelnego; gdy w Grecji zadowolniła się rozruchami, Szwecję i Anglię ominęła.

Lecz nawałnica szła jeszcze, na wschód szła, szła na Berlin. I tu jakby przystanąła, jakby nadśluchiwała; pruskie piskłę chrapało opite pod grzebieniem bagnetów w harmonii z fiukaniem fletu, na którym niegdy Fryderyk „Wielki” umiał i trele wyciągać i grzbiety swych, nie dość uprzejmych na królewskie „upodobania”, grenadierów okładać.

I nawałnica mruknęła pogardliwie i posunęła się ku Odrze i Warcie; ku ziemi smutnej, ku ziemi rozszarpanej, rozdartej na części, ku ziemi, toczącej walkę nie tylko z pięścią ciemnicy, ale i z gangreną, i z trądem padalczym polityki najeźdźców, i z kajdanami, i pręgierzami oprawców, i ze zgniłym, zarażonym oddechem tych, co nie mogąc tej ziemi ogniem i żelazem zniweczyć, kusili się, by ją spodlić, by ją swym robactwem stoczyć, ku łzawej, pragnącej, ku Polskiej Ziemi.

Ziemia Polska powitała nawałnicę głuszą przepastną, śmiertelną.

Czyżby Ziemia Polska zapatrzyła się na swego pruskiego sąsiada-zaborcę? Czyżby ulewa orderów, które z racji sejmu Mikołaj hojną rzucił ręką, zgasła płomienne porywy? Czyżby cesarskie rewie, parady i festyny wdrażyły Polakom nowe zapasy cierpliwości?

Na te pytania jeden człowiek bodaj odparłby bezwzględnie, twierdząco, a człowiekiem tym był cesarzewicz, wielki książę, wódz naczelny wojsk polskich. On, jak zwykle, najlepiej o wszystkim wiedział, najlepiej się rozumiał, najlepiej na Polakach się znał.

No, tak, we wrześnie były jakieś wybryki smarkaterii, co nawet kartelusze po mieście przylepiała, a głupimi konceptami, o tym, że pałac Belwederski jest do wynajęcia, potrafiła tak przstraszyć i Nowosilcowa, i Szaniawskiego, iż umknęli w świat.

– Hm, cesarzewicz juści tych psikusów nie lekcewał i co należy zarządził.

– Ba, ba, i potem, kiedy mu Lewicki z Gendrem i Makrotem istne zapowiedzi o mającej wybuchnąć rewolucji zwiastowali, chętnie potrajał patrole, ładunki ostre rozdawał szyldwachom, a nawet ułożył z Kurutą i Różnieckim plan drobiazgowy do alarmowania załogi.

Pyszny plan, znakomity plan. Każdy generał, każdy pułk, każdy oddział miał z góry wyznaczony punkt, który w razie rozruchów miał zająć, strzec, bronić. Niechby motłoch ośmielił się drgnąć! Tożby go wymietli!

– Ho ho! Żeby Karol X takim planem rewolucję lipcową powitał, toby sobie z Bogiem w Paryżu siedział. Hm, ale naturalnie trzeba, żeby i plan, i takie wojsko do wykonania planu, miał.

– Uu! Polskie wojsko! Na pierwszy sygnał rwie na swój punkt alarmowy, na sekundę nie chybi, a tak się stawi, że bodaj go na generałmarsza prowadź.

– Juści, z takim wojskiem można było spać spokojnie. Tymczasem na utrapienie wielkiego księcia Gendre, zastępujący chorego Fanshawe'a, co dnia przy raporcie frasował się jakimiś urojonymi spiskami i Lubowidzki rozruchy wietrzył, i Makrot przy goleniu strachy co kroku widział. Cesarzewicz na to krakanie, gołosłowne z początku, irytował się, a w ostatku się śmiał. Z gorliwości bajali i koniec, a że przy tym hołotę ładowali za byle co do więzień, to i owszem, ind mniej obdartusów cywilnych, tym lepiej.

Najgorzej zaś gniewało księcia, że minister Lubecki, co jakiś projekt reformy Kongresówki dla cesarza układał, również napomynał o dusznej atmosferze i twierdził, że wysłanie dwóch dywizji polskich z korpusem rosyjskim, który Mikołaj na uśmierzenie belgijskiej rewolucji Holandii chciał ofiarować, mogłoby ferment uciszyć!

– Ot, zakuty łeb kancelaryjny, co na wojsku się nie zna, ot sposób na ferment! Masz jedną nogę, o kuli musisz chodzić, więc utnij sobie i drugą, a będzie ci lżej.

– Dwie dywizje wysłać. W głowie im się przewróciło z tymi dwiema dywizjami! Gdyby Lubeckij był naprawdę takim mądrałą, za jakiego mają go w Petersburgu, toby powiedział, że należy jeszcze dwie dywizje polskie sformować i wówczas naprawdę byłby w całej Polsce porządek.

– Hem! Alboż na ten korpusik gwardii rosyjskiej można liczyć? Zapewne, są to najlepsze pułki, jakie w ogóle kiedykolwiek Rosja posiadała, bo mają wzór przed oczyma, bo składają się w znacznej mierze z Polaków, bo Konstanty ma je pod rozkazami, lecz pomimo wszystko daleko im do Polaków, dalej niż z Warszawy do Tweru!

Na szczęście Petersburg liczy się ze zdaniem cesarzewicza, inaczej Mikołajowi roiłoby się, że Bóg wie co się dzieje w Warszawie, a tu nic się nie dzieje. Pan Lewicki się szasta, aż do kozy pójdzie i pan Chłopickij, jak będą o nim wiersze pisać, także pójdzie. Jeden bodaj był człowiek, który na jesień roku 1830 godził się bezwzględnie z przekonaniem wielkiego księcia, bo i jeden konsul pruski, Schmidt, równie nie cierpiał Lubeckiego i równie dobrze znał Polaków.

Konsul Schmidt na słowo „rewolucja” śmiał się tak serdecznie, tak dobrodusznie, iż cesarzewiczowi zdawało się, jakby mu kto żyły balsamem smarował, tak Konstantemu miło było słuchać wywodów pruskiego konsula.

Bywało jednak, że i naczelnemu wodzowi brakowało pewności siebie. Bywało, że zrywał się śród nocy z posłania i do Żanety biegł; bywało, że paroksyzm lęku go nachodził i wypędzał go z Belwederu do Brühlowskiego pałacu i z Brühlowskiego pałacu do Belwederskiego, to znów niósł go pod pozorem inspekcji do Kalisza, do Skierniewic, to gnał aż do Drezna.

Księżna łowicka dzieliła wszystkie niepokoje męża i jego zadufanie, a jeżeli pierwsze więcej niż drugie, to dlatego, że i do jej malutkiego światka widma się zakradły i prześladowały, i spędzały sen z powiek.

Żaneta od powrotu z Drezna, od tej ucieczki przed upiorami spiskowców, nie wyjeżdżała z pałacu i nie przyjmowała prawie nikogo, nawet marszałkostwa nie widywała. Bo też ostatnia jej bytność w Zamku, u matki, przyprowadziła księżnę o rozstrój z powodu, że Beauperek przy pożegnaniu rozplakał się jak dziecko, a pani Brońcowa, miast go zreflektować, poszła za jego przykładem. Żanetę samą naszła żalność. I z tego wynikła scena, która choć w rzeczywistości nic tragicznego w sobie nie zawierała, przecież ją czegoś zgryzła, czegoś udreńczyła.

A na domiar po niespokojnej nocy, gdy cesarzewicz zaalarmował załogę i oficerów pułku strzelców konnych gwardii, którzy najpierwsi ze szwadronem pod Belweder przybyli, ugaszczał do świtu, jakiś dziad, którego księżna kilka razy zaopatrzyła jałmużną, wetknął jej zwitek papieru z napisem: „Niech cesarzewicz ani dziś, ani jutro nie jedzie na paradę” – i czmychnął.

Żaneta pod wrażeniem sceny u marszałkostwa i nocnego alarmu, przejęła się tajemniczym ostrzeżeniem dziada i zaklęła Konstantego, aby parad przez dwa dni zaniechał.

Cesarzewicz uległ prośbom żony. Kuruta zastąpił Konstantego i juści, ostrzeżenie było wymysłem, bo parady odbyły się w największym porządku, a ludu na Saskim dziedzińcu licho co się zebrało i wcale nie podejrzano. Dziad zaś jak pod ziemię się zapadł.

Rzecz skończyła się na żartach Konstantego, którymi szczególnie wobec konsula Schmidta Żanecie dokuczał, a co konsul z należytą delikatnością, lecz i dobrodusznym humorem, przeczytał za najlepszą odpowiedź na tajemnicze ostrzeżenie.

Wieczór zapadał szary, boreaszem tchnący, listopadowy wieczór. Księżna łowicka, zasunięta w poręcz fotela, przed płonącym rażno kominkiem ścigała myślą cesarzewicza, który dopiero co poszedł na swoją ulubioną drzemkę.

„Biedny on, stokroć biedny. Znów całą noc oka nie zmrużył, znów alarmy, znów popłoch, znów te dziwaczne strachy.

Lubowidzki z Gendrem zaprzysięgali prawie, że rewolucja gotuje się na dwudziestego ósmego! I dwudziesty ósmy minął, dzięki Bogu, że minął, i śladu nigdzie spiskowych, i ani znaku rebelii.

Przesada, a obok niej poczciwa twoga wiernych sług o życie pana, a dalej wpływ gazet zagranicznych, które jeno same okropności rewolucyjne podają.

Żaneta strzeże się tych piśmideł i odkąd się strzeże, lepiej jej z tym, spokojniej, zaciszniej. Przedtem bezwiednie francuskich czy belgijskich desperatów przenosiła do Warszawy i pograżała się w ponurych obrazach, które podniecona imaginacja przędła z opowieści o Maratach, o Robespierre’ach, powstaniu Kilińskiego rzezi dziewięćdziesiątego trzeciego roku, cierpieniach Marii Antoniny, śmierci męczeńskiej króla Ludwika i tym podobnych okropnościach.

I jakież tu podobieństwo może być z Polską? Żadne! Niegodziwców i tu nie brak, nie brak pospólstwa do wywołania zamieszki, ale zresztą, któż bodaj i z tych opozycjonistów, z tych patriotów waży się na bunt przeciw Konstantemu, przeciw Mikołajowi? Komuż z nich starczy odwagi, starczy nikczemności na zmijową wdzięczność za miłość, za kochanie, za łaski, za dobrodziejstwa?

Nie, nie, Polacy do tego są niezdolni. Ach, i rewolucja nie ma po prostu celu politycznego. Niepodległość, więc znów wojna na trzy fronty z trzema największymi potencjami i znów toż samo, co było po trzecim rozbiore! Konsul Schmidt bardzo kunsztownie tę rzecz księżnie wyłożył. Tymczasem w braterstwie z Rosją, jakaż przyszłość wielka, piękna, podniosła, jakież pokój niezmierny, wiecznotrwały!”

Żaneta uśmiechnęła się z rozczuleniem.

„A jednak tym puszczykom straszącym zawdzięcza wiele, bardzo wiele. Podczas pierwszego alarmu, gdy modliła się w swej kapliczce, opiece swej patronki oddając i męża, i siebie, i cały dwór, przyszedł Konstanty, pochylił się i przeżegnał. A potem, gdy Żaneta wzruszona do głębi loretańskim szkaplerzykiem krzyż na jego czole nakreśliła, ucałował go i poprosił nieśmiało, aby mu szkaplerzyk dała. I nosi go odtąd, nosi na piersiach pod mundurem, i nie rozstaje się z nim, i wierzy w niego. Płakała ze szczęścia! Boć w tym znak, znak nieomylny, znak błogosławieństwa bożego, znak ku wytrwaniu! A może już chwila nawrócenia jest niedaleką, może bliską...”

Echo lekkich kroków w pobliżu przerwało dumania księżny.

– Rózia? A!

– Dzwonili na odwachu, proszę Waszej Wysokości, pożar na Solcu. Mówią, że jakieś magazyny się palą, choć nie wiadomo.

—Byle nie budzili jego cesarzewiczowską mość.

– Właśnie, proszę Waszej Wysokości, generał Gendre koniecznie chciał meldować, lecz Fryze generałowi powiedział, że Jego Cesarzewiczowską Mość dopiero co się ułożył.

– Dobrze się stało! Cesarzewicz niezawodnie do pożaru by się wybrał, a po niewywczasowaniu z tego przeziębienie gotowe. Czy deszcz pada?

– Obeschło trochę, na przymrozek się zanosi, a powiadają, że i na śnieg!

Rózia uklękła przy kominku i narzucała drewno.

– Myślałam, że twój mąż jest na służbie dzisiaj.

– Jest w drugiej antykamery z psami, a u cesarzewiczowskiej mości na posługach jest Fryze.

– Idź, powiedz ode mnie, aby nie budził cesarzewicza.

Rózia wysunęła się z komnaty. Po chwili wróciła.

– Powiedziałam, proszę Waszej Wysokości! Przyjechał pan Lubowidzki. Browar pali się na Solcu. Na dole, w białej sali od tarasu, widno jak w dzień, cały park się czerwieni.

Żaneta podniosła się.

– Podaj mi szal, pójdę zobaczyć.

– Pan Lubowidzki mówił, że nie ma co ratować, bo to drewniana rudera. Mam poświecić Waszej Wysokości?

– Nie trzeba.

Księżna ruszyła na korytarz, a stąd przez boczne drzwi do białej sali. Lecz nim próg ostatniej przestąpiła, przystanąła.

Wielką salę pałacu Belwederskiego zalewały czerwone, fantastyczne blaski. Pająk brązowy pod sufitem płomiennymi zwojami się mienił. Złote bramowania ścian łyskały złowieszczo. Portret Aleksandra I zdał się zwęgloną płachtą w gorejących ramach. Wazon na konsolach przeistoczyły się w kule ogniste.

Żaneta podeszła do okna.

Piękny, malowniczy widok grozą przejmował.

Jak okiem sięgnąć, jedno morze czarnych, żałobnych konturów, pławiących się w krwawym świetle, bijących hen, spoza Łazienek, spoza gąszcza bezlistnych drzew.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie czerwień jarząca, a choć w dali zamglonej rozwodniana, przyćmiona, wciąż złowroga, wciąż oślepiająca.

Na lewo, pod stropem widnokregu dawały różowego dymu, ujęte w pióropusz rozigranych skier.

I skry biły ku niebu, i buchały snopami, i dźwigały płomienne języki, i języki wypalały w obłokach miedzianą ranę, i rana gorzała, i na każdy nowy snop skier krwawiła się mocniej, silniej, boleśniej.

Ukryty za gąszczem bezlistnych drzew krater zajadle trysnął. Wężowe wstęgi stawów parkowych zaszklily się łunami. Park ogniem spłynął.

Żaneta przymknęła oczy, jakby wytchnienia dla nich szukając. Lecz krwawy blask przeniknął zasłony powiek księżny i poza nimi oczu jej dosięgnął.

I teraz pożar runął wezbranym potokiem i palił przed sobą wszystko, i płynął korytem Wiśły, i stawy rozpalał do białości, i po koronach drzew się ślizgał, i lizał już stopnie tarasowych schodów pałacu Belwederskiego, i tuż przed Żaneta, na przezroczu białawych mgieł, rysował piorunowymi zygzaki postać upiorną, mściwą, szyderczą.

Księżnę dreszcz przeszedł. Postać rozwiała się.

Park mrokami znów się spowijał. Łuny zgasły. Jenó w dali, pod stropem niebieskim, czerwieniła się pochodnia świetlna.

– Proszę Waszej Wysokości! Proszę Waszej Wysokości! Furier starszy czeka na rozkaz, gdzie ma nakryć do herbaty.

Żaneta potarła czoło.

– Wszak to dziś ma być konsul Schmidt? A i hrabia Nesselrode?

– Nie, proszę Waszej Wysokości, jutro.

– Prawda, że to jutro. Przypomnij mi jutro, aby nuty dla hrabiny Nesselrode posłać, inaczej generał Diakow nie będzie miał akompaniamentu.

– Uważam, więc herbatę podać...

—U mnie, w zielonym buduaraku, tam cesarzewicz najwięcej lubi.

Księżna wróciła do komnatki swej przed kominek. Ogień pozdrowił Żanetę ochoczym prychnięciem, jakby chcąc wyrazić, że nie ma nic wspólnego z tamtym niszczycielskim w pożodze.

Wokół panował miły, przytulny poszmer. Od strony garderoby furkotały krochmalone spódniczki panien pokojowych. Przez drzwi otwarte na prawo z głębi amfilady sąsiednich pokojów skradał się dyskretny brzęk zastawianych przyborów do herbaty. Niekiedy chichot krótki, żwawy rozlegał się i milkł raptownie, poddając się powadze mentorskiego szeptu.

Niekiedy szum wichrem kołysanych drzew ozwał się żalniej spoza okna. Niekiedy pałasz zadzwonił na stopniach podjazdu pałacowego i dźwiękiem swym aż do komnatek księżny łowickiej, razem z echemi rwanych, służbowych wyrazów, się meldował.

Żaneta wsłuchiwała się z upodobaniem w te szmery pałacowe. Lubiła je nawet, gdy swawoli nadużyły, gdy nieco uchybiły książęcej powadze. Lubiła je razem z tymi komnatkami belwederskimi, razem z tymi kącikami zacisznymi.

Nigdzie Żanecie nie było tak dobrze, tak pogodnie, jak w Belwederze – nigdzie. Konstancy wspomniał znów o wyjeździe do Skierniewic. Nie, nie, musi go uprosić, musi wyperswadować. W lecie w Skierniewicach ledwie wysiedzieć może, a dopieroż w zimie! Nie, nie! Bez Belwederu niepodobna!

Chichot w garderobie parsknął kaskadami tłumionego śmiechu.

Księżna poweselała.

– Pewnie to ten trzpiot Andzia Tomaszewska! Ciekawa rzecz, co znów wykoncypowała.

I Żaneta podniosła się cicho, aby fraucymer swój złapać i ubawić się niewymyślnością humoru panien i ich konfuzją na widok jawiącej się niespodziewanie księżny łowickiej.

Gdy wtem jakiś okrzyk straszny, wściekły, zapamiętały uderzył o szyby okienne, porwał za sobą dziesiątek innych głosów i hucząc runął na pałac.

Pałac wypełniał się piekielną wrzawą, brzękiem tłuczonego szkła, trzaskaniem wysadzonych drzwi i odgłosem bieganiny.

Stało się zaś to tak szybko, tak gromowo, że nim księżna zdołała drgnąć, poruszyć się, już do komnaty wpadł trupio blady hajduk, wołając od proga:

– Napad! Bunt! Mordercy!

Panny służebne otoczyły Żanetę.

– Do garderoby, do bocznego wyjścia! – komenderował rezolutnie hajduk.

Służebne rzuciły się ku garderobie, porywając księżnę.

Żaneta teraz dopiero zdołała posiniałymi wargami poruszyć:

– Na Boga, mówcie, co się dzieje!

– Bunt! Zbóje!

– Cesarzewicz! Gdzie cesarzewicz?!

– Śmierć tyranowi! – zawyły w odpowiedzi korytarze pałacowe.

Księżnie w oczach pociemniało, zachwiała się i osunęła na ramię Kochańskiej.

– Uchodźmy stąd, uchodźmy – nalegała Rózia.

– Strzelają w parku! Są na piętrze! Jezu! Ratunku! Pomocy! Uciekajmy! Zagasić światło! – wołały strwożone głosy służebnych.

Żaneta dzwignęła się i powlokła. Lecz siły odmówiły jej połuszeństwa, dech zamął w piersiach. Z oczyma rozwartymi szeroko, z rozchyłonymi ustami czepiała się kurczowo służebnych i ślaniała bezwładnie.

Aż w głębi zabłysło ku Żanecie bladozielone światełko lampki i ukazało się niebiańsko łzawe oblicze. Księżna wyprężyła się, wydarła służebnym i padła krzyżem u stóp swego miłowanego ołtarzyka. Pałac drżał jeszcze, dygotał, trząsł się w posadach, gdy naraz przejął go łomot miarowy salw karabinowych, który wraz z echem parkowych jął na szybach grać a skowyczeć.

Żaneta nie słyszała, nie czuła, nie pojmowała, co się z nią dzieje, cała jej dusza stężała, skrzepła w zaciśnięciu modlitewnym kiści rąk.

– Wasza Wysokość! Cesarzewicz! Ocalony! Zdrow! Nietknięty! Jego Cesarzewiczowska Mość!

Te słowa wróciły księżnie przytomność. Podniosła się i spojrzała.

Tuż przed nią w białym, zbrukanym szlafroku stał Konstanty, skulony, blady, z rozwianym włosom, z oczyma rozbieganymi błędnie.

Żaneta schwyciła Konstantego za ręce i łkaniem wybuchnęła.

– Bogu niech będą dzięki! O, mój najdroższy! Módlmy się. Ona nas zachowa od złego, ona nas ustrzeże!

Cesarzewicz kiwnął się, jakby coś rzec chciał, lecz jeno klapnął zębami i przysiadł na stopniu ołtarzyka. Żaneta uklękła i jęła w głos litanię odmawiać. Rózia z Andzią Tomaszewską, które z całego fraucymeru dotrwały przy swej pani, zaczęły powtarzać za księżną. Do litanii przyłączył się i hajduk, co był zwiastował napad, i drugi kamerdyner, Fryze, co z cesarzewiczem tu dotarł.

I kapliczka wypełniła się żalonym, zawodzącym poszmerem modlących się.

Konstanty siedział zgarbiony na stopniu ołtarza i klapał zębami, i mrugał gorączkowo obrzękłymi powiekami, i z małpią nerwowością ciągle coś na sobie poprawiał, to znów kiwał się ku odmawiającym litanię, jakby im takt na każde odezwanie wybijając.

Tymczasem pałac ucichł, salwy karabinowe rozpadły się na odchodzące, rzędzące strzały tyralierskie. Litania w kapliczce Żanety pełniej, wyraźniej zabrzmiała, lecz na krótko, bo tuż pod pałacem ziemia zadudniła od kopyt pędzącej kawalerii.

Kamerdyner Kochański nadbiegł zdyszany.

– Kirasjerzy i ułani! Czekają na rozkazy Waszej Cesarzewiczowskiej Mości!

Cesarzewicz wyszczerzył nadpróchniałe zęby i zachrypiął ze zdumieniem.

– Aaa! Na rozkazy?

– Generał Gendre zabity! Prezydent Lubowidzki skłuty bagnetami. Szkoła Podchorążych napadła na koszary gwardii rosyjskiej, mnóstwo rannych.

Konstanty cmoknął ustami i mruknął z przekonaniem:

– Uu! I szkoła.

XI

W niespełna pół godziny Belweder gorączkowymi światłami trysnął, mrowiem wojska się otoczył i zawrzał bojowym zgielkiem.

Park i dziedziniec pałacowy, szeroka droga ku miastu i gościniec w stronę Sielc i Czerniakowa opadający, aleje łażeniowskie i mokotowskie ścieżki wypełniły się zwartymi szeregami kawalerii rosyjskiej; wedetami obstawiły wszystkie swoje przeguby, załamy, pagórki, zarosła i zakamarki rozrzuconych budowli i pękami skwierczących na mżącym deszczu pochodni zatoczyły szeroki krąg wokół, siedziby cesarzewicza.

I krąg ten chrząścił marsowo, i obwoływał się rzeniem koni, i tłumionymi komendami pokrzykiwał, i łopotał galopowaniem adiutanckich wierzchowców, i zawodził na trąbkach, i łyskał ponuro kirasami, i rozpinał światła pochodni na ostrzach szabel, i zgrzytnął opatrywanymi zamkami karabinów, i poglądał ku swemu sercu, ku łunami bijącemu pałacowi Belwederskiemu; ku dziedzińcowi, kędy wśród czworoboku ułanów litewskich, a w gromadzie adiutanckich, generalskich i sztabowych kapeluszków, widniała zgarbiona, pochylona na siodle postać naczelnego wodza wojsk polskich.

Tu dążyli zewsząd posłańcy, feldjegerzy i ordynansi, tu nadciągali generałowie i stąd wyrwali się jeźdźcy, i pędzili w dal, i niknęli w czarnej płachcie nocy.

Tu padały spazmatyczne, rwane słowa raportów; tu wieści złowrogie snuły swe nici; tu chrypiała zdławiona krtań cesarzewicza; tu niepewność, osłupienie, zgroza i lęk jednakimi brzdami wszystkie zryły oblicza; tu wszystkie oczy poprzez zawaly szabel, lanc, kasków i pochodni zwracały się ku przepastnej ciemni, w którą spowiły się mury Warszawy.

Niekiedy w tę gromadę wciskał się oficer na spienionym koniu i rzucał jakieś wyrazy straszne.

I gromada kołysała się, chwiała pióropuszcami i rozsuwała się, bo wierzchowiec Konstantego wspinał się, darł wędzidło.

– Czwarty pułk! Kłamstwo, fałsz! Wszyscy prócz czwartego pułku! Kapitan Gresser! Jedź pan pod arsenał! Gogel! Do koszar sapieżyńskich! Służbowe oddziały czwartego pułku niech strzegą odwachów! Dwa bataliony z koszar niech tu maszerują! Gogel, powiedz im pan, że czekam na nich! Uu! Czwarty pułk!

I wierzchowiec cesarzewicza uspokajał się i gromada oficerów wracała do bezruchu, do poszmerów, do krzyżujących się pytań, do wypomnień o ataku szkoły podchorążych na Belweder, na koszary gwardii, do ucieczki sztyldwachów sprzed pałacu, do niepewności, do zgrozy, do osłupienia, do lęku.

Nagle, na drodze od Warszawy rozległ się tętent z początku głuchy, zlany, jak daleki grom, a potem coraz pełniejszy, wyrazistszy, bijący szalonym łoskotem, dobywający spod ziemi grobowe dudnienie.

Ten tętent był tak gwałtowny, tak wściekły, tak błyskawicznie potężniejący, że gwardie rosyjskie szczęknięły odwodzonymi kurkami, że pochodnie przyćmiły swe ognie, że gromada, otaczająca cesarzewicza, na rękojeściach zacisnęła dłonie.

Gdy wtem, z pomroki huczającej tętentem wyrwał się jeździec i brzuchem rozpędzonego konia oślizgł miotąc drogę, runął w dziedziniec i huknął gromko:

– Pułk strzelców konnych gwardii!

Cesarzewicz na to zawołanie spał konia ostrogami i ku bramie poskoczył.

Ale nim bramy dosięgnął, już nadbiegająca fala koni i ludzi jeła zwijać się, równać, szwadrony wyciągać, szyk sprawiać frontem do dziedzińca, na gościńcu grzebień szabel i strzelców czap formować.

Głos Konstantego zachrypiał rażno.

– Kto prowadzi? Kurnatowski! Bóg zapłać! Jak się macie, dzieci? Na zdrowie wam, na zdrowie! Uu! Jest i Zielonka, i Skarzyński. Bóg zapłać! Sercem was witam! O, dobrze, bardzo dobrze! Pierwszy szwadron maluteczko na prawo! Tak, tak, doskonale! Nu, i Kurnatowski! Ot, polskij generał! Ot, wzór! Ot, przykład i powiadaj, generale! Co? Motłoch, smarkateria, ulicznicy?

– Nie wiem, proszę Waszej Cesarzewiczowskiej Mości, kapitan Trębicki zaalarmował korszary mirowskie, pędziliśmy co koń wyskoczy. Na placu Aleksandra minęliśmy generała Stanisława Potockiego z piechotą.

– Więc to Trębickij! Kaziu! Uu! Trębickij, daj rękę! A gdzie brat wasz? Gdzie generał?

– Nie wiem, myślałem, że tu jest – odrzekł kapitan.

– Powiadają, że generała Trębickiego podchorążowie zagarnęli, uciekając z Łazienek – odezwał się z boku po rosyjsku jakiś oficer.

Konstanty szarpnął koniem.

– Powiadają! Zagarnęli! Nu, a generał Trębickij zada im *piercu*! Ot, co! Kto to?! A to pułkownik Zass. Nu, pułkownik Zaas niech jedzie szukać generała Trębickiego.

Koń Zaasa zestrachał się i zatupotał niepewnie.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość...

– Naprzód! – zachrypiał Konstanty. – Dowiedz się, pułkownik, nie co powiadają, lecz co się dzieje.

Wielki książę radował się jeszcze przybyciem szaserów konnych a naradzał się z Wincentym Krasieńskim, Kurnatowskim, Kurutą i Fanshawem nad wysłaniem mocnych patroli ku miastu, gdy mu dano znać o nadciąganiu sześciu kompanii piechoty polskiej.

Cesarzewicz na ten dowód wierności umiłowanego wojska rozczulił się, a posłyszawszy bębienie tarabanów, pokłusował naprzeciw nadchodzącym.

– Jak się macie, zuchy?

Kompanie piechoty odpowiedziały niepewnym chórem ledwie kilkunastu głosów.

Konstanty ani zważał na tak oziębłe powitanie;

– Pozdrawiaju! Winszuju! Takiej służby od was się spodziewałem! Po rublu na głowę! Niech żyje polskie wojsko! Niech...

Cesarzewicz nie dokończył, bo z lewego skrzydła pierwszego szeregu wyskoczył porucznik, wydarł najbliższemu żołnierzowi karabin, zmierzył i wypalił do Konstantego.

Anglez wielkiego księcia zdarł się, kula chybiła.

Porucznik z flegmą nabił karabin. Książę zawrócił konia i ku Belwederowi pomknął. Dwie kule jeszcze pogoniły za nim daremnie. Czereda adiutantów spadła na piechotę.

– Kto strzelał? Wołoszyński! Szukać go, schwytać!

Piechota stała z bronią do nogi, milcząca, zimna z pozoru, a może ogniem wewnętrznym trawiona.

Wołoszyński zapadł się w mroki.

Nikt go nie ścigał, bo ani mógł, ani chciał, ani śmiał się zanurzyć w czeluść grozą wiejącej drogi, drogi wiodącej do Warszawy, do serca Polski.

Bo serce to, w godzinie wyzwolenia, w godzinie kruszenia pęt, nie miało zachowania ani dla adiutanckich akselbantów, ani dla generalskich bulionów, ani dla butnych napomnień, ani dla ojcowskich przedłożeń, ani dla szwadronów gwardii rosyjskiej, ani dla zakłęb, ani dla pogroźek, ani dla półsprzyjania, ani dla niezdecydowania, ani dla dobrych intencji, ani dla intencji w ogóle.

Serce Polski biło czynem, biło zmartwychwstaniem, biło na zgubę tyranom, na śmierć sprzedawczykom, na pohybel małoduszny, na przebudzenie śpiącym, na odrodzenie ludu, na przeoranie ziemi ojczystej krwią bohaterów.

I serce Polski w noc czarną, przepastną, listopadową noc, łomotało na rozświt, na brzask.

Młodzież szła, młodzież zdobywała, młodzież zwyciężała, bo młodzież zapaliła żagiew rewolucji, bo jej to zabrakło polityki na znoszenie hańby, bo młodzież swym piorunowym porywem osiągnęła więcej niż mózgi co najtęższych mężów patriotów zdołały przewidzieć, bo młodzież tej nocy była i lawiną, i huraganem, i gromem.

Warszawa szamotała się, wiła w bólach, kipiała nieogarniętym zamętem. Karabinowymi salwami rozświeciła ulice; huk armat zlewała, z jękiem dzwonów, łoskotem tarabanów, zewami trąbek, i okrzykami zbrojnych oddziałów.

Na każde mgnienie miała dziesięć bitew, sto starć, tysiąc wahań, sto tysięcy zapartych oddechów, dziesięć rozpaczy, a jedno i wciąż toż samo zawołanie.

I pękały wrzeciady, i ustępowały zawory, i uciekały rotty rosyjskie i polscy żołnierze już nie pozwalali się wieść gorliwym sługom Konstantego, bo już trupy tych gorliwców tarzały się pod stopami rewolucji.

I zginął generał Gendre za nikiemność, generał Hauke za spodlenie, generał Trębicki za ślepe dla cesarzewicza wierność, generał Blumer za podpisywanie niesprawiedliwych wyroków, generał „Staś” Potocki za niedołęstwo starcze, które go przywiodło do odwodzenia żołnierzy od powstania, generał Siemiątkowski za to, że się dał namówić do pójścia przeciw fali, pułkownik Męciszewski zginął za niegodziwość, a generał Nowicki legł niewinny, czysty, legł powalony fatalnością, która dała mu nazwisko podobne brzmieniem do nazwiska zbira Lewickiego.

Te były najważniejsze trupy nocy listopadowej, trupy nadto nieliczne na czeredę łotrów wielkoksiażących, ale już za mnogie na dzielne dusze młodzieży, która do boju szła, która walczyć pragnęła, a nie mordować.

Tymczasem szamotała się Warszawa, echa salw karabinowych i strzałów armatnich przeraziły główną kwaterę naczelnego wodza.

Patrole strzelców konnych gwardii wracały w popłochu, adiutanci i ordynansi wysyłani na zwiady ginęli, przepadali. Dygnitarze rosyjscy, którzy pod Belweder przedostawali się, szukając schronienia, rozpowiadali dziwy o rzezi, o wycięciu w pień rosyjskich grenadierów, o pospólstwie, które domy rabują, o szubienicach na Starym Mieście, o jakiejś piekielnej, przepięknej sile, co już idzie, już ciągnie tu, pod Belweder, już rwie i burzy przed sobą wszystko.

Konstanty zebrał generałów na błyskawiczną naradę. Generał Danenberg, zagadnięty przez cesarzewicza, zaczął wyklądać, że należałoby dwa pułki kawalerii puścić w Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, lecz Konstanty zaperzył się:

– Mamy tylko jeden pułk strzelców?

– I trzy gwardii rosyjskiej.

– Gwardia rosyjska nie na to jest, żeby się między Polaków mieszała! Ot, tego mi trzeba, żeby powiedzieli, iż rosyjska gwardia była się z Polakami! Nu, i Danenberg! Wy się do tych rzeczy nie wtrącajcie! To należy do Kurnatowskiego, do Krasińskiego! Już oni będą wiedzieli, kiedy! Kuruta! Ty powiedz!

– Cofnąłbym się...

– Oo, właśnie! I tak trzeba, bo tu siedzimy w kleszczach, ani się gdzie wykręcić, ani linii sprawić! Gerstenzweig, ruszaj pan z huzarami na pole Mokotowskie i wysuń wedety za Wierzbno! A my za wami! Jutro się zobaczy!

– *Mais, monseigneur...* – ozwał się nieśmiało Fanshawe.

– *Pour le moment je ne m'en mêle pas – que les Polonais s'arrangent, c'est leur affaire!* Kurnatowski, a wy z szaserami do miasta patrolami osłaniać, co się da! Zresztą pan wie lepiej jak! Hem, hem! Tylko ot, czego nam trzeba, wiadomości nam trzeba! Kogo by posłać? Kogo?

Cesarzewicz odwrócił się ku sztabowcom.

– Kto z panów podejmie się dotrzeć do koszar wołyńskich grenadierów?

Sztabowcy spojrzeli po sobie i milczeli. Konstany zachnął się, gdy niespodziewanie z szarego, końca sztabowej czeredy wysunął się smagły jeździec.

– Ja dotrę!

– Graf Zamoyskij! Uu!

– Dotrę, proszę Waszej Cesarzewiczowskiej Mości i wrócę.

– Doskonale i owszem! Nu, i podporucznik! Jedź pan z Bogiem! Więc do wołyńców, a jak będziesz mógł, to i do sapieżyńskich koszar!

– Według rozkazu!

Podporucznik przyłożył dwa palce do kapelusza i ruszył z kopyta.

Sztabowcy spojrzeli za Zamoyskim, żegnając w nim nową ofiarę obowiązku i ani przypuszczając, że podporucznik najmłodszy adiutant cesarzewicza, lala pałacowa, przedmiot westchnień całego fraucymeru księżny łowickiej, jedzie nie tylko ordynansu dokonać, ale i nowy rząd polski w stolicy formować; ale i bezładowi rewolucyjnemu tworzyć areopag ze statystów; że jedzie, by wrócić i jako poseł rady, i jako dyplomata, i jako negocjator warunków układu z cesarzewiczem, i jako ten, na sprawę którego już i rewolucja innym potoczyła się szlakiem, i książe Czartoryski nową erę polityczną rozpocznie, i Konstany niejedno przedsięwzięcie, w niejednym ulegnie.

Rozkaz cesarzewicza o cofaniu się do Wierzbna dosięgnął komnat pałacowych, służbowych oficyn, stajen i wozowni.

Dwór zbierał się co tchu do drogi, łądował kufry, zwijał toboły, trząśł się z przerażenia, odchodził od przytomności.

– Już pierwsze dwa wozy potoczyły się pod eskortą ułanów litewskich, już wierne cesarzewiczowi kompanie piechoty polskiej odeszły w stronę Pola Mokotowskiego wraz ze szwadronem kirasjerów, już kawaleria na gościńcu przed dziedzińcem sformowała się, tak aby karety murem ludzi i koni otoczyć, gdy nagle z bocznej sieni prawej oficyny wysunął się pochód dziwny, osobliwy.

Więc przodem strzelec cesarzewicza, Pasternikow, za nim dwóch drabów, za drabami konwój ze spieszonych kirasjerów z dobytymi pałaszami, a w środku konwoju kilkanaście czarnych, chwiejących się sylwetek ludzkich, zagłuszających poszczękiwaniem kajdan nawet przeraźliwe brzęczenie kirasjerskich ostróg. Pochód zmierzał ku bramie.

Cesarzewicz na widok pochodu do Fanshawe'a się pochylił.

– Wyprowadzić ich na tyły wojska.

Fanshawe pośpieszył ku pochodowi. Książe zwrócił się do stojącego pod filarem portyku doktora Kalischa.

– Kalisch! Kalisch! Wsiądziesz pan z Jej Wysokością do karety! Obawiam się, żeby nie odchorowała tego alarmu!

– Namówiłem Jej Wysokość na uśmierzające krople.

– To dobrze, to dobrze! Pojedziesz z księżną!

– Z całą gotowością zastosuję się do rozkazu – odparł potulnie lejbmedyk – lecz poważę się prosić Waszą Cesarzewiczowską Mość, aby raczył zważyć na swą dostojną osobę: ziąb, wilgoć...

Konstanty rozśmiał się sucho.

– Uhm, uhm! Kalisch, a co, może i mnie chcesz kropli? Nu, ja mam tu swoje krople, greckie krople! Hej, Kuruta! Pokaż, co masz w olstrach! Uu! Pewnie zamiast jednego pistoletu zasadziłeś manierkę!

Kuruta skonfudował się, sięgnął do olster i podał manierkę cesarzewiczowi. Konstanty podniósł do ust, przechylił, zaczęł odchrząknąć i splonął.

– Na! Zabierz Kuruta! Uraczyłem się! Tfy! Jak pod Jeną!

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, gdzie mam wyznaczyć główną kwaterę dla sztabu? Można by zająć folwark Mittona pod Wierzbnem.

– Doskonale, folwark Mittona!

– Tylko nie wiem, czy dla dworu Jej Wysokości będzie tam wygodnie, zabudowania liche. Chyba w Mokotowie, w pałacyku pani Wąsowiczowej.

– Co? U tej baby, intrygantki! Ani myśli. No, i za blisko.

– Gdyby Wasza Cesarzewiczowska Mość pozwolił – wmieszał się Kalisch z ukłonem.

– Co, co?!

– Właśnie za folwarkiem Mittona jest ustronna kolonijka pana Schanela, mego dobrego znajomego, byłby rad, serdecznie rad. Domek maleńki, lecz schludny.

– A cóże, cóże i owszem! Więc sztab do Mittona, a my do dobrego znajomego!

Cesarzewicz chciał się zaśmiać, lecz jeno cichy chrobot zakotłował mu się w gardle. Na schodach ukazała się księżna łowicka.

Różia podtrzymała Żanetę; Kalisch skoczył do drzwiczek karety. Stangret zebrał lejce. Oficerowie salutowali.

Księżna zesza powoli ze schodów, przystanąła, odrzuciła woal, spojrzała ku stłoczonej pod portykiem służbie pałacowej, zaczęła chwycić nerwowo za ramię karety i zasunęła się w jej głąb.

Różia, a za nią Kalisch zajęli miejsca naprzeciw księżny. Marszałek dworu Sokołów zatrzasnął drzwiczki. Hajduk wspiał się na kozioł. Cesarzewicz zdarł konia.

W drogę!

Kareta ruszyła. Sztab, świta i generalicja z Konstantym na czele otoczyła karete pierścieniem i powiodła między szwadronami kawalerii.

Rozwartym szeroko oczom Żanety mignęły się jeszcze ciemne, czarne plamy okien jej komnatek przytulnych; jeszcze biel murów pałacu Belwederskiego spojrzała ku nim swym zrębem; jeszcze złocona krata dziedzińca łysnęła im w świetle pochodni, aż całun ponurej nocy wszystko przed nimi skrył, wszystko zgasił, wszystko pochłonał.

Kareta toczyła się leniwie, bo tłum eskortujących ją jeźdźców, a z nimi poprzedzająca go kawaleria natrafiła na ciągnące w stronę Wierzbna treny wojskowe i pojazdy uchodzących z Warszawy Rosjan. Co chwila więc musiano i szyk pochodowy wojska zmieniać i treny usuwać, a i samą karete z największą uwagą bokami gościńca przeprowadzać.

Tak, względnie dość szybko, kareta księżny łowickiej dosięgnęła Mokotowa, lecz tu, pod palisadami parku pani Wąsowiczowej natrafiła na taką zawałę wozów, koni i ludzi, iż musiała przystanąć.

Głos cesarzewicza zachrypiął wzburzeniem, dziesiątki innych głosów rzuciło w mroki nocy komendami, wszczął się tumult i zamieszanie.

Żanetę w karecie drzenie przejęło.

– Na Boga, tam się coś stało!

Kalisch odsunął szybę i wyjrzał.

– Jej wysokość zapytuje...

– Nic, nic! Wozy się splątały – ozwał się cesarzewicz ku karecie, po czym zakrzyknął znów – Kuruta! Niech zapalą pochodnie! Po omacku do ładu nie dojdą!

– Pochodnie! Zapalić tam pochodnie! Hej! Pochodnie! – zawołano dokoła.

Księżna przysunęła się do otwartego okna i poglądała nieruchomie. Tuż przed nią zawała koni i ludzi kotłowała się, chrzęściła, prychała, tupotała, rzucała rwanymi zdaniem.

Księżna ani teraz słyszała tego tumultu, ani widziała, ani rozumiała. Toń bezbrzeżna nocy wlokła ją, ciągnęła w swą pustkę nieskończoną i szeptała ku niej: „Tyś moja, tyś rodzona, tyś siostrzyca”. Karetą ruszyła znów. Żaneta nie zwróciła na to uwagi.

„Co teraz? Co dalej? Co jutro? Nic, krom tej otchłani, kirami wysłanej, dusznej, tłoczącej wilgocią; i już nigdy, nigdy ani błysku, ani ognika”.

Naraz pęk czerwonych języków rozdarł przed oczyma księżny bok drogi, w miejscu, kędy widniały szczątki dopiero co sforsowanego zatoru.

Księżna łowicka zmrużyła powieki przed oslepiającym światłem pochodni, lecz gdy je po wytchnieniu źrenic rozwarła, już ani drgnąć nimi nie mogła, nie miała sił.

Bo tuż pod płotem chruścianym, w chaosie splątanych bryk i wozów, między ostrzami szabel i łunami pijących kirasów stał on, stał major czwartego pułku, stał Łukasiński, stał dumny, groźny, straszny.

Żaneta uległa się i twarz ukryła w dłoniach, aby nie widzieć, aby ująć temu upiorowi, temu widziadłu, tej marze zawziętej, tej zjawie potępieńczej. Gdy wtem, tuż przed kareta huknął znany księżnie głos Łukasińskiego:

– Niech żyje rewolucja! Śmierć tyranowi! Śmierć katom! Śmierć sprzedawczykom!

– Śmierć im! – zawtórowały ponure głosy.

Ale, nim przebrzmiały, już cesarzewicz zachrypiał, już głos Łukasińskiego stęknął rozpaczliwie, już warknęły wściekle obelgi, już świst kańczugów oddalał się, ginął i już toń mglista skryła języki pochodni.

Jeszcze przed północą kolonijka fabrykanta serów w Wierzbnie, pana Schanela, wedle sił i rozmiaru swych małych, zaduchem jakiegoś mlecznego zakwasu przesiąkniętych izdebek, jęła symulować siedzibę naczelnego wodza wojsk polskich.

Ano, i bodaj na zimnisko a pluchę nocy listopadowej całe zgrabnie udałoby się kolonijce pana Schanela z tej śmiałej imprezy obronną wyjść ręką, gdyby nie to, że kazano jej być nie tylko Belwederskim pałacem, ale i dworskimi oficynami, i zajazdem dla mrowia rodzin rosyjskich oficerów i urzędników, i przytułkiem dla zbiegłych przed zamętem warszawskim, i traktiernią zdolną tysiąc ludu od razu obsłużyć, i stajnią, władną tabun koni zmieścić.

Stąd kolonijka pana Schanela przeistoczyła się w ul na wyroju, stąd fuchtlami pałaszy musiała bronić się przed inwazją ciągnących wciąż wozów i powozów i stąd wyglądała nie lepiej od folwarku pana Mittona, gdzie już nie cesarzewicz z małżonką, lecz pospolici generałowie kwaterowali.

Księżna łowicka przy pomocy Rózi i służebnych, które z Belwederu nadjechały, ulokowała się w saloniku i tu zapadła w półsen, półodrętwienie.

Cesarzewicz za to roztarasowawszy się z Kurutą w alkierzyku, zabrał się do gorączkowej czynności, która polegała głównie na chłonięciu herbaty i słuchaniu coraz to innych wersji o warszawskim buncie, gdyż, co zresztą, to zanim Konstany pomyślał, już Kurutą właśnie był wykonał.

Wiadomości były chaotyczne, splątane jeszcze, choć i ustalające pewne szczegóły, pewne fakty. Lecz Konstany póty burzył się i smucił danym szczegółem, póki wieść nie zamieniła się w dowód prawdy.

– Zabili Gendra! Nu, i podlec był! I owszem, potrzebny, przydał się nieraz, robak też się przydaje! Zdobyli arsenał? Cóż mieli zdobywać? Może teatr? Potockiego szkoda! Dobry człek, ale jemu dawno czas było do dymisji się podać, a nie udawać na stare lata generała dywizji! Hauke! Uu! Ot, głowa! Ze dwanaście lat starszy ode mnie i wątroba! Był chory na

wątrobę! Mówiłem mu, żeby się strzegł! I tak by był umarł! Czwarty pułk się zbuntował? Ale przeciwko komu się zbuntował? Macie śmierć Blumera! Czwarty pułk z jego brygady! Co tu gadać! Kto temu winien? Blumer winien!

Tymczasem nie brakło cesarzewiczowi okazji do prawdziwego zadowolenia i uciechy, bo coraz liczniejsze gromadki dostojników zjeżdżały z zapewnieniem księcia o swej wierności, bo oddział polskich bombardierów przybył sprowadzony przez strzelców konnych, bo już sztafeta z Góry Kalwarii przywiozła wiadomość, że artyleria piesza rosyjska jest w drodze, bo pułk litewskich grenadierów nadchodził, okalając Warszawę, bo i sympatyczny duch w osobie konsula pruskiego Schmidta stawiał się przed cesarzewiczem.

Konstanty rozśmiał się i nawet żartować począł, gdy niespodziewanie generał Danenberg rozgniewał cesarzewicza.

Danenberg mianowicie obliczył, że ściągnawszy pułki rosyjskie i artylerię ze Skierniewic, można mieć na dziesiątą rano łącznie z pułkami i oddziałami wiernych Polaków siedem tysięcy wojska, czyli że w ciągu dwóch godzin można Warszawę zdobyć, bo buntownicy w najlepszym razie mają cztery tysiące pięćset.

Konstanty posiniał.

– Co pan chcesz zdobywać? Warszawę? A czyjaż jest? Co?! Tatarska? Dlatego że kilkudziesięciu smarkaczów awanturę zrobiło, to chcecie miasto burzyć! Żeby potem mówili, że Rosjanie wojnę wszczęli? Ot, rozwiązanie, ot, koncept!

– Wasza Cesarzewiczowska Mość...

– Dostyć! To do pana nie należy! Polacy dadzą sobie sami radę z buntem! Wojsku rosyjskiemu nic do tego! Dobranoc panom!

Danenberg, a z nim i inni generałowie, którzy zalegali izdebkę księcia, poszli jak zmyci. Został tylko Kuruta.

Cesarzewicz przed swoim naczelnikiem sztabu resztę złości wylał, aż i jego chciał odprawić, lecz Kurutą wtrącił niepewnie:

– Kołzakow czeka, Wasza Cesarzewiczowska Mość mówił, że do Petersburga...

Konstanty strzepnął palcami.

– Hm! Dobrze, że mi przypomniałeś! Kołzakow niepotrzebny! Napisz sam po prostu, że ten... no, że się pokłócili i że są rozruchy... zwyczajne rozruchy! Ale, czekaj! Uu! Schmidtowni muszą powiedzieć! Wołaj Schmidta! Ten mi gotów narobić alarmu! Wołaj!

Konsul pruski stawiał się natychmiast. Cesarzewicz ledwie bąknął kilka słów, Schmidt już zrozumiał.

– Zupełnie podzielam zdanie Waszej Cesarzewiczowskiej Mości. Właściwie nie mam o czym zawiadamiać ambasady, a tym mniej Berlina. Zamieszki, zwyczajne zamieszki. Ode mnie ani słowa, aż do chwili, kiedy mi pan Morenheim zadyktuje.

Cesarzewicz uradował się temu gestowi konsula i nagadawszy się o „zwyczajności” zamieszek, najprzyjaźniej go pożegnał, zapraszając na jutrzejsze śniadanie polowe.

Schmidt zgiął się w pałąk i wyszedłszy z dworku, skierował się do zapadłej w ziemię kołszawej oficynki, kędy w parobczyńskiej izbie kolonista pan Schanel podejmował lejbmedyka Kalischa.

Na widok wchodzącego konsula, Schanel podniósł się zza stołu i podał mu co prędzej krzesło.

Schmidt usadowił się przy Kalischu, sięgnął po swoją nadpitą szklanekę piwa i mruknął po niemiecku:

– Panie Schanel! Potrzeba mi jeszcze dwóch ludzi, jednego do Petersburga, a drugiego do Berlina.

– Jest tylko Herman i Karolina.

– Bardzo dobrze! Niech się zbierają natychmiast!

Fabrykant serów wysunął się na palcach.

Kalisch spojrział pytająco na Schmidta.

– Są nowiny! Ważne! Ma ochotę przystąpić do rewolucji!

Kalisch zaklął.

– Całe szczęście, że Polacy go nie przyjmą! Inaczej byłoby źle! Rewolucja poszłaby do Rosji! W każdym razie to bardzo ważne! Będą musieli go sprzątnąć.

– Byłem pewnym, że rewolucja się z nimi załatwi i od razu rozwiąże ręce Mikołajowi.

– Bah! Panie von Kalisch! Czy oni tu co potrafią? Patrz pan! Tego Lubowidzkiego dziesięć razy bagnetem pchnęli i nic, żyje!

XII

Od czterech już godzin armaty grały pod Grochowem, od czterech godzin armia feldmarszałka Dybicza szerokim półksiężycem parła wojsko polskie ku Wiśle, ku murom Warszawy, ku kłesce. Od czterech godzin bój wściekły, zażarty bój toczył się w obliczu stolicy Polski. Od czterech godzin od Białoleki po Karczew i od Pragi po Ząbki, Kawęczyn i Wawer wyły baterie, trzeszczały tyralierskie ognie, łomotały karabinowe salwy, łyskały bagnety, warczały tarabany, a błękitne woale dymów spowijały krwawe polany, ryte ołowiem i żelazem w kolumnach następujących na się pułków.

Od czterech godzin ważyły się losy bitwy grochowskiej i nie bitwy tylko, lecz i losy narodu polskiego, i losy ziemi Piastów i Jagiellonów, i losy Litwy, i Żmudzi, i Wołynia, i Podola, i Ukrainy, i Rusi, i marszałka Dybicza, i cara Mikołaja, i nawet ludu rosyjskiego.

Ważyły się! A bodaj że i przed bitwą grochowską już się rozstrzygnęły, już przechyliły; bodaj że bitwa ta była sama jeno skutkiem, jeno wynikiem, jeno następstwem tego, na co od dwóch miesięcy z całej mocy pracowali statyści, dyplomaci, zacni niedoładzy, najszanowniejsi krótkowidze polityczni polscy.

Młodzież w noc jedną opanowała Warszawę. Wojsko polskie, pomimo „perswazji” swych dygnitarzów sztabowych, ruszyło ławą. Cesarzewicz uciekł. Rewolucja była dokonana.

Młodzież polska atoli, nazbyt zaprawiona do czci dla licznego zastępu żyjących bohaterów napoleońskich i w zasługach dla ojczyzny posiwiiałych mężów, nie pojęła, że „nie leje się nowego wina w stare statki” i powagom ustąpiła przewodu.

Ludzie zacni uczynili wszystko, na co niedoładów stać, obrali dyktatora, uspokoili wzburzenie manifestami, ułożyli się z Konstantym, aby sobie poszedł z wojskiem rosyjskim i działając „w imieniu króla Mikołaja”, posłali deputację do „cesarza Mikołaja”, stawiając warunki. A podczas, w osobie dyktatora Chłopickiego, nie wierzyli w powodzenie wojny z Rosją. Naród polski tymczasem słuchał razem ze swą armią Chłopickiego i rozpowiadał sobie, ile to ten generał w roku 1808, a więc przed dwudziestu laty, cudów waleczności i dzielności dokazał.

O zbrojenie i mnożenie sił licho się troszczono i nie zezwalano nawet, aby „buntownicy” ważyli się udawać żołnierzy lub tworzyć „ruchawkę”, a więc tym zaostrzać waśń „króla Mikołaja” z „cesarzem Mikołajem”.

Chłopicki dyktaturę swoją zaczął więc od wysłania posłów do Petersburga. Cesarz Mikołaj jednak zawziął się na swego imiennika króla i dał mu do wyboru: albo wojnę, albo zdanie się na łaskę i niełaskę samowładcy.

Negocjacje z Petersburgiem wzburzyły stolicę. Rząd musiał zetrzeć się z dyktatorem i nalegać nań, aby wyznał, co właściwie zamierza na przyszłość. Chłopicki zaklął się, iż „z Moskalami bić się nie będzie, bo nie ma czym”, że „pozostanie wiernym swemu monarsze”, że przyjął władzę „jedynie dla uśmierzenia anarchii” i że władzy tej piastować dłużej nie myśli.

Ośmnastego stycznia zrzekł się Chłopicki dyktatury. Dwudziestego dowództwo naczelne objął zacny niedołęga, o dowództwie pojęcia nie mający, Radziwiłł. A piątego lutego feldmarszałek Dybicz wkroczył do Kongresówki w sto ośmdziesiąt trzy tysiące ludzi i sześćset sześćdziesiąt cztery działa.

Polacy zaś mieli sto czterdzieści tysięcy żołnierza i sto czterdzieści sześć armat, a w tym siedemdziesiąt tysięcy nowozacieżnych.

Więc szala Mikołaja przeważała! Dybicz jednym uderzeniem obiecywał zgnieść Polaków, jedną bitwą rzucić ich pod stopy samowładcy.

Ale na szali Polaków był duch, była miłość ojczyzny, była wola okupienia wolności własną miazgą, był zapal, było poświęcenie. Rosjanie szli wojować z nakazu cara. Polacy szli bronić ziemi. rodzonej. Rosjanie walczyć mieli o pychę despoty, o zdobycz, o rację rozboju, o słuszność łupieżcy. Polacy o triumf sprawiedliwości o godność, o wyzwolenie, o niepodległość, o byt. I szala Polaków zaciężyła znowu tak mocno, tak gwałtownie, iż zdawało się, że kohorty carskie w proch się rozsypią, że kunktatorstwo i niedołęstwo tych, którym na stare lata młodzieńcze laury się roiliły, nie zaważy, nie umniejszą miazdzących sił polskich! Co więcej, że właśnie to niedołęstwo będzie głosem doświadczenia, umiejącego zapalczywość i gorącość przekuć na oręż dla głębokich kalkulacji, arcydoniosłych planów!

Planów zaś tych był cały bezmiar, zatrzęsienie, las cały. Więc najpierw dyktowanie warunków carowi Mikołajowi przez króla Mikołaja, dalej powstanie Litwy, dalej interwencja Francji, dalej poparcie Anglii, dalej wypowiedzenie wojny Rosji przez Turcję, dalej jeszcze pieśń łabędzia konsula pruskiego, pana Schmidta, który przedziwnie w Warszawie działał, a rad i kieszeńią pruskiego skarbu służył. I jeszcze dalej mnóstwo kombinacji, mrowie „szans” aż do tej, że naród rosyjski zrozumie, iż tu nie z nim wojna, lecz z ciemnością i despotą, iż naród ten wspomni na świeże mogiły dekabrystów, iż się ocknie i wspólnie z Polakami chorągiew praw człowieka rozwinie!

I przecież do tych planów przepotężnych, z których każdy sam przez się wskrzeszał Polskę, i co najmniej w granicach Augusta II, było jeszcze wojsko polskie, dzielne, miłujące swe zawołania wojsko!

Tymczasem wyroki losu miały dowieść, że Polacy na przełomie roku trzydziestego i trzydziestego pierwszego nie mieli w rzeczywistości nic, krom tego wojska i wojska bez wodza.

Lecz juści, w chwili gdy Dybicz wkraczał do Kongresówki, nikt z tego nie zdawał sobie sprawy, nikt czarno nie spoglądał, bo i sceptycy widzieli jeno zasmucone oblicze Mikołaja czekającego, aby krnąbrne dziatki bez żadnych układów, ale szczerze, miłośnie w objęcia ojcowskie mu padły, by je znów do kochającego serca przycisnął.

I to zaufanie było Dybiczowi tyle, co drugie siedemset armat, a brak wodza zdeterminowanego, wodza, rozumiejącego się na zawołaniu żołnierzy „umrzem lub zwyciężym”, starczyło Dybiczowi za trzecie siedemset armat.

Ha, ale i pomimo tego inna rzecz z muskularni się zmagać, karabinami i paszczami dział siły mierzyć, a żołnierzy na liczbę głów liczyć; a rzecz inna walczyć z tym, co jest duchem, co jest uniesieniem, ofiarnością, co w chwili krytycznej urasta, mnoży się, co nie da się ogarnąć rachunkowi, co jest i z rozpaczą, i z cudu, co jest z ducha.

Stąd Dybicza Zabałkańskiego spotkała niespodzianka. Piątego lutego wszedł do Kongresówki, siódmego pochwalił się carowi, że gdyby „rokoszanie” odważyli się przyjąć bitwę, to w ciągu dwudziestu godzin armię zewrze i cios śmiertelny „insurekcji” zada. Aliści, po tej pięknej zapowiedzi w pierwszym spotkaniu, dnia czternastego, już rejterował pod Stoczkiem i sześć armat stracił. Piętnastego, pod Pniewnikiem wziął niemilego szturchańca. Szesnastego,

pod Kałuszynem, choć z przeważającymi w dwójnasób siłami, ani ugryzł Polaków, a sam gorzej od nich się lizał i tegoż szesnastego, pod Dobrem znów daremnie szczyrzył armaty na Polaków i znów więcej Rosjan do nieba wyprawił niż „rokoszan” do czyścica. Następnie, dnia dziewiętnastego, pod Wawrem rosyjski marszałek już sam osobiście do owego „ciosu śmiertelnego” się zabrał, trzy tysiące siedemset trupów prawosławnych położył. Olszyny Grochowskiej, która już wówczas w grę weszła, nie zdobył i westchnąwszy żałośnie na losu niegodziwość, budował znów „śmiertelny cios”.

Tedy korpus Szachowskiego, który dopiero nadchodził, umyślił niepostrzeżenie na prawe skrzydło i tyły polskiej armii rzucić i tu wyłom zabójczy uczynić.

Lecz z tego zamysłu Dybicza Szachowski się nie wywiązał i wszczął dnia 24 lutego bitwę pod Białoleką, tyleż poniósł strat, ile zadał, i w ostatku utknął naprzeciw Krukowieckiego.

Dnia 25 lutego bój pod Białoleką znów się rozpoczął. Dybicz strwożony o los Szachowskiego, gdyż sądził, że cała armia polska na Szachowskiego następuje, natarł na Polaków od strony Okuniewa i Miłosny. I tak, wbrew rachubom i kombinacjom marszałka Dybicza, zgola przypadkowo zaczęła się pamiętna bitwa grochowska.

Wodzem polskim był Radziwiłł, a w istocie nie wodzem, lecz automatem powtarzającym machinalnie to, co mu ubłagany przezeń nieoficjalny wódz Chłopicki podpowiadał.

Ten ład dowodzenia armią był nieco uciążliwym, lecz jakoś przez pierwsze cztery godziny się udawał; ba, nawet obecność pana w popielatym cylindrze i piaskowym surducie ze szpicrutą w ręku, który pod gradem kul stawał, niby na polowaniu z chartami, miała swój urok, miała podwójny urok, ile że panem tym był Chłopicki, napoleoński generał, żołnierz nad żołnierzem! Lecz ta obecność miała i swoje złe strony, bardzo złe, ponieważ generałowie polscy takie incognito uważać musieli za chęć nieodpowiedzialności i ponieważ rozkazów Chłopickiego wprost, jak od człeka cywilnego i postronnego pochodzących, spełniać się wzbraniali.

Od czterech godzin armaty grały pod Grochowem, od czterech godzin bój wrzał o Olszynę, o tę samą, o którą już w bitwie pod Wawrem Dybicz naszczerbił sobie pułków, o tę samą, o którą od rana daremnie szturmował, a która stała się raptem i punktem głównym bitwy, i punktem honoru Dybicza, i uporem Polaków, i sławy Chłopickiego zmartwychwstałym błyskiem, i grobem tysięcy. Tu, ku Olszynie bluzgały baterie rosyjskie, tu szły zajadłe ataki, tu topniały pułki, tu rodzili się i umierali bohaterowie.

Ledwie generał Rosen, rzuciwszy w Olszynę jedenastu batalionami piechoty i wparłszy je trzema pułkami, wtargnął do Olszyny i już z zasiekami, za które cofali się Polacy, chciał się rozprawiać, gdy dywizja Żymirskiego spadła nań jak fala, zdziesiątkował Rosenowi żołnierzy i rozbitych odparła. Lecz za Rosenem czuwał Pahlen z trzecią dywizją, a nadto tuż warowała druga dywizja grenadierów. Rosjanie drugi atak do Olszyny przypuścili.

Żymirski padł ranny śmiertelnie, dywizja polska po rozpaczliwym oporze ustąpiła Olszyny.

Dybicz już ręce zacierał z ukontentowania, ale nie jego jeszcze była Olszyna.

Chłopicki rozgrzał się – nie takie pozycje z bagnetem w ręku brał – i brygadę Bogusławskiego dźwignął. Pułki ósmy i czwarty pochyliły karabiny.

Rozprawa była krótka. Dywizja Żymirskiego natarła na Rosjan z frontu, a Bogusławski z lewego boku żądła bagnatów wysunął i czego ósmym pułkiem nie wygniótł, to czwartakami na miazgę rozszarpał. I Chłopicki znów stanął w Olszynie.

Dybicz pięście zacisnął. Hen, od Białoleki szedł wciąż spazmatyczny zew armat Szachowskiego. Marszałek znów adiutanta wyprawił, aby Szachowski zaniechał niefortunnej bitwy, a pod Grochów zawrócił, kędy Dybicz się potykał. Za czym dopiero do nowego, trzeciego ataku na Olszynę się zabrał.

Więc wzmocnił baterię, armat natoczył i podwoiwszy ogień, ściągnął dziesięć świeżych batalionów i z całym szóstym korpusem uderzył na Olszynę, a Tolla z artylerią i żytomirskim pułkiem wysunął na obejście pozycji polskiej z prawej. Nejhardta zaś z niemniej silnym oddziałem na obejście pozycji z lewej.

Ruch ten był ruchem potwora, który pierś podaje na zmiżdżenie przeciwnika, ażeby go pewniej dosięgnąć, ramiona do uchwytu wydłuża.

Świeże bataliony rosyjskie natarły z furią i odrzuciły Polaków za rów w Olszynie i pod zasieki, a równocześnie zagroziły oskrzydleniem. Ale w Chłopickim krew zagrała, rzygnął tak piekielnym ogniem, iż zmieszał i Nejhardta, i Tolla, i szósty korpus, i świeże bataliony – i atak odparł.

I nie dość że odparł, bo grenadierów gwardii sformował i w cylindrze, ze szpicrutą w ręku na czele ich stanął i poprowadził w odmet.

Grenadierzy mazurkiem Dąbrowskiego zawtórowali nieprzyjacielskim kartaczownicom i runęli jak burza na Rosjan. Czwartacy tyralierami już baterii rosyjskich dosięgnęli, już dwa działa zdobyli i wymierzili je na sztab Dybicza. Ósmy pułk od lewej wpijał się w Tolla. Rosjanie uchodzili z Olszyny ku lasowi, cofnęli się w nieładzie.

Lecz Dybicz miał jeszcze nowe pułki, miał brygadę grenadierów, miał Gerstenzweiga z rezerwą artylerii, miał zastępy konnicy na oskrzydlenie lasku. Chłopicki nie miał już rezerw, nie miał kawalerii, bo choć posłał rozkaz Łubieńskiemu, ten odrzekł, iż nie zna „pana” Chłopickiego. A manekina do powtórzenia rozkazu Łubieńskiego nie było w pobliżu, bo Radziwiłł w dali, poza linią bojową, skracał sobie chwile niepewności odmawianiem pacierzy.

O ile jednak to zachowanie wodza Polaków mogło być wytłumaczonym, gdyż Radziwiłł tylko dla świętego spokoju rolę wodza odgrywał i z niemałym dla samego siebie utrapieniem, o tyle nierównie dziwniejszym wydać się musiało zachowanie się wielkiego księcia Konstantego, który między lasem Okuniewskim a folwarkiem Wygodą, przejeżdżał się między sztabami w towarzystwie Kołzakowa i Bezobrazowa.

Prawda, że cesarzewicz, a niedawno wódz naczelny wojsk polskich, nie miał i nic lepszego do roboty, boć odgrywał jeno podrzędną rolę dowódcy rezerwowego korpusu i to dowódcy, któremu bez pardonu, zabierano pułki i innym generałom przydzielano. Prawda, że w ogóle marszałek Dybicz starał się jak najmniej jego cesarzewiczowską mość trudzić i jak najrzadziej narzucać się ze swoją osobą jego cesarzewiczowskiej mości – ba, kiedy jego cesarzewiczowską mość ani weź spocząć nie chciał i znów teraz pod Grochowem sztaby rosyjskie objeżdżał i znów do wszystkiego się mieszał, dogadywał, krytykował i ubolewał.

Generalicja rosyjska jużci wiedziała doskonale, że cesarzewicz nie ma już ani głosu, ani władzy, ani wpływu, że w ogóle wojnę z Polakami poczytuje za zbrodnię napastowania spokojnych ludzi, którzy niczego nie pragną krom zgody, i że z przymusu wlecze się z armią, iżby obecnością swoją zaprzeczyć pogłoskom o swej z bratem Mikołajem, co do postępowania z Polakami, dysharmonii. Niemniej przecież obawiała się Konstantego, gdyż ten imponował jej i tytułem cesarzewicza, i zrzeczeniem się tronu, i epoletami z cyfrą cara Pawła, i Suworowem, z którym na Alpy się dał, i nieokiełznaniem w odezwaniu, i pobłażliwie lekceważącym tonem, jakim do feldmarszałka zagadywał. Generalicja nadto obawiała się cesarzewicza i dlatego jeszcze, że rozumowała sobie po gospodarsku, iż gdzie się Mikołaj z Konstantym wadzi, tam lepiej palca między drzwiami nie kłaść, ile że „panowie” się pogodzą i chłopasojusznika za łeb, że się do waśni pańskiej wtrącał. Tedy zasadą generalicji rosyjskiej było schodzić z drogi cesarzewiczowi.

I zasada ta jakoś dotrwała szczęśliwie do grochowskiej bitwy. Lecz tu ani sposobu nie było ująć Konstantemu, bo ledwie nadszedł z Miłosny ze swoim korpusem, już w sztabie marszałka larum podniósł na intendenta generalnego Abakumowa, że ten po prostu rąbnie spokojną ludność, a pieniądze chowa do kieszeni.

Dybicz aby kres położyć irytacji wielkiego księcia, irytacji niewczesnej, bo wśród wrzącej już bitwy wszczętej, zakonkludował z perswazją:

– Boleję niezmiernie i zażądam od senatora Abakumowa tłumaczeń, ale pozwolę sobie stwierdzić, że wojna ma zawsze nieuniknione konsekwencje.

– Wojna! Ale nie taka wojna! Polacy nie mają nic wspólnego z buntownikami. Polacy mają najlepsze zamiary! Marszałek wskazał na baterie polskie pod Olszyną.

– Chyba nie dla nas!

– Oni wojny nie zaczynali, oni nas nie szukali, nie oni do nas przyszli, tylko my do nich! Bronią się i ot, cała historia! Bez wystrzału można się z nimi porozumieć.

– Lecz skoro Jego Cesarskiej Mości podobało się w ten sposób do porozumienia dojść, przeto Jego Cesarzewiczowska Mość daruje, ale nie mam czasu ani prawa dyskutować.

– I owszem, i owszem – zaperzył się Konstanty – bo tu idzie o to, aby niewinni nie cierpieli, aby wojnę skończyć.

– Właśnie kończę ją – odrzekł dumnie Dybicz – przęając swą małą, niepozorną figurkę.

Na te słowa nadjechał adiutant Rosena z wiadomością o odparciu przez Polaków pierwszego ataku na Olszynę.

Cesarzewicz skrzywił się ironicznie i bąknął:

– Nu, nu, i oni też skończyć potrafią!

Marszałek, nie zważając na słowa Konstantego, ruszył pod osłoną eskorty huzarów ku linii bojowej, cesarzewicz zaś dopadł z kolei hrabiego Tolla, naczelnika sztabu.

– Co wy dziś! Głupstwo za głupstwem! No i bitwa!

Toll, który dla cesarzewicza żywił wielką atencję i poczytywał go za powagę wojskową, westchnął:

– Tłumaczyłem, żeby bitwy nie zaczynać bez planu. Marszałkowi idzie o Szachowskiego!

– Uch! Ważna rzecz! Nogi zbierać Szachowskiemu nie nowina! Rozmaite bitwy widziałem, lecz o podobnej nie miałem pojęcia! Od Austerlitzu nie było równej! A wy, grafie, powinniście się wdać, bo potem kto będzie odpowiadał – naczelnik sztabu!

– Prawda, że wszystko złe na niego.

– A Kałuszyń! Dybicz do mnie: „Toll, Toll piwa nawarzył!” Co to? Podolski pułk idzie do ataku? Patrz pan, jak liżą! O maszerowaniu nie mają pojęcia! Zdaje im się, że bandy tureckie będą rozpędzali! Uu, i dostaną za swoje! Kołzaków, proszę o lunetę! Drugi pułk strzelców! Nu, nu! Wystrzelają wam podolców co do nogi! Toć to pułk Wolskiego! A Wolskij! Uuu! A kapitan Herstopskij z pierwszej kompanii! Takiego drugiego strzelca i na księżycu nie znajdziesz! To dopiero strzelec, „panie dobrodzieju”. Wiesz, grafie, co znaczy „panie dobrodzieju”? Nie wiesz! To żałuj, bo to bardzo dobre polskie wyrażenie!

Gdy znów zabrakło cesarzewiczowi Tolla, jął Rosenowi, dowódcy szóstego korpusu, wykladać pośród największego zamętu, że Toll Tellem się nie urodził i że, choć w słońce celuje, a i świece nie dosięgnie.

Po Rosenie Pahien dowiedział się od księcia, że Rosen nie ma wyobrażenia o rozwijaniu frontu. Następnie znów Nejhardt usłyszał, że Pahlen jest tylko synem Pahlena, co znaczyło mordercy cesarza Pawła, i że co innego bezbronnego człeka napaść, a co innego z najlepszym w świecie żołnierzem za bary się brać.

Aż, kiedy po drugim, zwycięskim po części ataku Rosjan na Olszynę, ta ostatnia znów odzyskana została przez Polaków, dzięki szalonej brawurze dywizji Bogusławskiego z czwartakami na czele, Konstantego takie poruszenie ogarnęło, że już nie zważając na Nejhardta, pogalopował na wzgórek pod wsią Wygoda i przez lunetę zaczął Olszynę rozpatrywać, a dzielić się wrażeniami z towarzyszącym mu Kołzakowem i Bezobrazowem.

– Uu! Ot, stoją! Ot, wzór! Ot, piechota! Bezobrazow! Patrz na prawo – ten pluton! Czyj to pluton?

– Nie mogę rozeznać.

– Kapitan! Co co? Porucznik Masłowski kapitanem został? A tu coś nowego! Hm, hm! Czekajcie, czekajcie ładunki gryzą. Pa! Uhu, hu! Przygrzali!

Granat syknął w pobliżu cesarzewicza i skorupami prysnął. Bezobrazow pochylił się do Konstantego.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, stoimy pod ogniem działowym!
Cesarzewicz uważniej lunetą wodził.

– To i cóże! – odezwał się po polsku. – Nie cudze kule, a swoje!
Bezobrazow spojrział na Kołzakowa, Kołzakow wzruszył ramionami.

Naraz spośród łomotu bitewnego, poprzez wycie armat dobyły się od strony Olszyny zawadiackie, rozgulane dźwięki krakowiaka, który czwartaków wiódł na bagnety.

Cesarzewicz pokraśniał, drgnął i jął lewą ręką takt na udzie wybijać i wykrzykiwać po polsku:

– Tra-tata! Trata-ta! Tra-titi! Tra-tata! Tra-titi! Tra-tata! Raz dwa! Raz dwa! Dobrze chłopcy! Tak tak tak! I jeszcze! Brawo! Doskonale! Pozdrawlaju! Winszuju! Ot, czwarty pułk! Ot, ozdoba! *Prelest*, *prelest*! Po rublu na...

Tu cesarzewicz spostrzegł się i mruknął do Kołzakowa:

– Co pan myślisz?

– Bardzo dobrze się stawia, ale nie wiadomo, czy wytrzymają, mamy jeszcze cztery dywizje nie tknięte oprócz posiłków.

– Uch! Więc to dopiero byłaby sztuka! Stu na jednego! Nu, nu, na taką strategię nie potrzeba żołnierzów, dosyć szczurów posłać. Trzystu zdechnie, a trzysta pierwszy w nogę ugryzie!

– Jednakże i nasi nie najgorzej. Brak im może impetu, ale idą, karnie idą.

– Bo pod batem, a tamci sami idą! Nu, nu! Kołzakow, nie znasz się pan. Zdaje ci się, że twoja marynarka, że po morzu pływasz, a zapominasz, że na ziemi stoisz!

Kołzakow zmilczał, lecz gdy tumany piechoty Dybicza stoczyły się na Olszynę i nie ustępowały, dorzucił:

– Nasi wypierają! Widzę nasz sztandar w Olszynie!
Cesarzewicz spochmurniał.

– Nasi, nasi! Najlepszy pułk mi zmarnują! Czort bierz taką strategię! Jedźmy stąd! Szkoda czasu! Szkoda czasu!

I cesarzewicz zawrócił konia na tyły ku swojemu korpusikowi, kędy generał Gerstenzweig zbierał artylerię konną gwardii i do niej zagarniał dwadzieścia armat korpusiku cesarzewicza.

Konstanty obruszył się na Gerstenzweiga.

– Co, mało wam armat?

– Rozkaz feldmarszałka!

– Rozkaz! Kiedy rozkaz, to rozkaz! A cóż, mnie wszystko jedno! Rezerwa już idzie na zmarnowanie! I owszem! Niech je sobie jakiś Dwernicki zabierze!

– Ruszamy natychmiast na pozycję pod Ząbki, żeby wesprzeć generała Tolla.

– Wesprzeć! Doskonale! A patrzcie, żeby wam samym podpórki nie zabrakło.

– Pójdziemy ze wszystkimi kirasjerami i ułanami.

– Co? Nu, to jest dzieciństwo! To... to lepiej ich do szlachtuza zaprowadzić! Przecież tu błota, trzęsawiska!

– Jest przymrozek...

– W błocie takim nie ma przymrozku, z wierzchu krzepnie, a pod spodem woda.

– Rozkaz!

Cesarzewicz stęknął.

– Ech, i Gerstenzweig! Dobrze było ci w Górze Kalwarii siedzieć? He?

– Lepsze były czasy!

– Oo, pewnie.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość daruje, muszę, rozkaz!

– Proszę bardzo!

Gerstenzweig salutował i konia chciał zawrócić, gdy adiutant artylerii cesarzewicza przybliżył się doń i zniżonym głosem pytanie rzucił. Gerstenzweig skinął adiutantowi i ku Konstantemu się przegiął.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość pozwoli... Tego więźnia przy pierwszej armacie każe rozkuć?

– Ani myśli!

– Lecz...

– Obiecałem pokazać szelmie, ile nieszczęścia narobił swymi zbrodniami! Nic, niech się wlecze na pozycję! Zginie, no, to jego szczęście.

Gerstenzweig odjechał ku artylerii. Cesarzewicz powlókł się ku taborowi i odnalazłszy swe bagaże podręczne, w opuszczonym domku się rozlokował i zabrał się do posiłku, ani troszcząc się o łomot armatni, który szedł wciąż od Grochowa, i ani odzywając się do swych adiutantów.

Aliści armaty zagrały naraz tak gwałtownie, że domek, w którym śniadał książę, sypnął złomami tynku i zaczął dygotać a resztkami szyb dzwonić.

– Pewnie atak – zauważył Bezobrazow.

– Może byś pan pojechał dowiedzieć się – mruknął Konstanty.

Bezobrazow ruszył spełnić rozkaz. Cesarzewicz żuł dalej kawał szynki, a popijał flegmatycznie winem.

Ale armaty jakby uwzięły się na śniadanie cesarzewicza, bo ryknęły tak przeraźliwie, tak piekielnie, tak ogłuszająco, że Konstanty się zachłysnął.

– Decydująca chwila – rzekł Kołzakow, poglądając ku obłokom dymu, które kłębiły się w rozbitym oknie.

– Uhu – krztusił się książę – decydująca! Na świecie nic decydującego nie ma i nie-było! Pod Friedlandem Benigsen też decydował, aż go Bonaparte wydecydował. Ale gdzież to Bezobrazow się zasiedział? Bądź pan tak dobry i dotrzyj do sztabu feldmarszałka.

– Tylko nie siedzieć długo! Nie siedź!

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, będę się starał jak najprędzej!

Po oddaleniu się Kołzakowa cesarzewicza niepokój zdjął. Skinął na ordynansów i lokaja, aby zbierali puzderka, a sam przed domek wyszedł.

Tu wszystko wokół kłębiło się zwałami dymu, wszystko zdawało się wyciu armat wtórować. Nigdzie ani przestworu, ani konturu, ani linii wyraźnej, ustalonej, jeno zwoje szarobłękitne, zwoje, drgające oddechem dział, zwoje rozigrane, przenikające wskroś każdy zakamarek opuszczonej wioski.

Konstanty stanął oszołomiony. Ziemia pod jego stopami jęczała, zawodziła. Od prawej szedł jakiś okrzyk stłumiony, skotłowany, bezładny, armatnimi salwami poszarpany i mieszał się z łoskotem bębnow i rwanym chrapaniem trąbek.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość każe cofnąć się z bagażami, kawaleria tu nadchodzi.

Cesarzewicz odwrócił się ku mglistej sylwetce, mówiącej do niego.

– A, nadchodzi! Dobrze! Konia!

Konstanty wgramolił się ociężale na siodło zestrachanego wierzchowca i pokłusował w stronę lasu. Ale, nim o staję się oddalił, granat ryknął w powietrzu, w domek się zarył i bluznął strzypami murów i miazgi ludzkiej.

Cesarzewicz ani się obejrzał i parł naprzód, w las.

Las powitał Konstantego deszczem murszu drzewnego i zeschniętych gałęzi, a równocześnie tak żalosnym a przejmującym skowykiem, że cesarzewicz ku skrajowi, ku tyłom armii Dybicza skręcił i brzegiem jechał, a raczej przeciskał się przez łańcuchy terenów wojskowych, ambulansowych polan, szare, pijane gromady żołdactwa, wstęgi kawalerii, przez jakieś szmaty ludzkiego ciała pełznące po ziemi, przez odmęt zgiełku, zamętu, skarg i przekleństw.

Niekiedy ku cesarzewiczowi padała obelga, niekiedy pogrożka rozpasanego ciury, którego wierzchowiec księcia naparł, niekiedy kolba karabinu, dźwigała się ku osobie niedoszedłego dziedzica tronu.

Konstanty nie zważał na te uchybienia. Toć i Kutuzowowi własni żołnierze w bitewnym gwałcie pięściami wygrażali! On znał, dobrze znał to wszystko! Jemu wojna nie nowina! Choć dawniej inaczej bywało, inaczej! Tam, gdzie cesarzewicz, brat cesarza i następca tronu, spozjrzał, gdzie łeb konia zdarł – tam dwa szwadrony gwardyjskie rozpedzały nawet mgły dymów, tam chmara adiutantów gotowa była własnymi ciałami mościć drogę!

A dziś, a teraz!

– Gdzie jedziesz, włóczęgo?! – warknął tuż przed księciem jakiś cień dymem spowitego jeźdźca.

Konstanty zachnął się z wściekłością.

– Jak śmiesz, coś za jeden?!

– A ty coś za jeden?! – wrzasnął z pasją cień. – Chcesz oberwać! Precz stąd! Równania szwadronu mi nie psuj, bo dzielę!

Cesarzewicz spał konia ostrogami i ku cieniowi się rzucił.

– Wiesz do kogo mówisz, łotrze! Ja wielki książę, ja cesarzewicz...

– A ja drugi książę, wiesz, hyclu! – ryknął cień.

– Aleksandrow! Aleksandrow! – upomniał jakiś głos z boku. – W łeb go!

Jeździec porwał za pałasz i ciął, lecz koń mu się targnął, pałasz spadł na zad wierzchowca Konstantego. Anglez, jak szalony, poniósł.

Cesarzewiczowi krew uderzyła do głowy. Słyszał za sobą rechot dziki, szyderyczy, skomlaący, wśród huku piekielnego, słyszał głos syna baronowej Fryderychs i pędził na oślepie, nie mogąc ani myśli zebrać, ani konia opanować, ani go zwrócić.

Anglez tymczasem rwał jak wichur. Pruł kolumny piechoty, sadził przez wyrwy, kupy miazgi ludzkiej, zasieki i rowy, i płynął, wśród obłoków dymu, i płatami krwią splamionej piany pierzył każdą piędź ziemi. Aż w ostatku zapadł się w czarne wstęgi karych koni i błyszczące pasma kirasów. Tu jeszcze kłusował, jeszcze kopytami żłódź wypryskiwał, aż ustał, aż zachwiał się na prawym skraju baterii Gerstenzweiga.

Konstanty miał tyle przytomności, że się zsunął z siodła. Anglez jakby czekał na uwolnienie go od ciężaru, bo zwinął pęciny i padł u nóg wielkiego księcia.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość! Wasza Cesarzewiczowska Mość tutaj?

– Gerstenzweig, a, Gerstenzweig! – mruknął książę.

– A co, a co?

Generał Gerstenzweig pochylił się do ucha cesarzewicza i jął krzyczeć z całej mocy a rozpowiadać.

– Wyparli nas ze szczętem. Dwie armaty zabrali! Pięć zagwoździli. Trzecia dywizja wycięta! Z szóstego korpusu ledwie strzępy!

– Ale z nimi koniec! Rozpoczynamy pogrom! Nie mają już rezerw! Brygada grenadierów uderzy lada chwila. Idziemy całą piechotą! Ja tu z baterią osłaniam szarżę kawalerii! Pójdziemy klinem na oskrzydlenie! Wprost mnie, na czole, kirasjerzy Wojennego Znak, na prawo starodubowcy, na lewo nowogrodzcy, lewe skrzydło trzy pułki kirasjerów księcia Alberta, prawe trzy pułki ułanów. Artyleria konna za nami! Wszyscy ruszają! Dybicz pojechał na spotkanie Szachowskiego! Nadchodzi nareszcie! Dziś nocujemy w Warszawie!

Konstanty odetchnął ciężko.

– Konia mi dajcie!

– Konia! Szapoznikow, konia dla Cesarzowiczowskiej Mości!

Zanim ordynans Gerstenzweiga wrócił z wierzchowcem, bateria już sieknęła, już szarpnęła armatami, już plunęła żelazem, już zawyła, złała się w takcie z dawnymi bateriami.

Gerstenzweig pod nasypem stanął i lunetą rozglądał mroki dymów. Konstanty powlókł się za Gerstenzweigem. Lecz ledwie do spiżowych potworów się zbliżył, oczy jego padły na szarą, zgarbioną sylwetkę ludzką, słaniającą się bezwładnie u lawety pierwszego działła.

Cesarzewicz pięści zacisnął. Ha, toć tam, skuty łańcuchami, a do armaty uwiązany stał ten zbrodzień, ten potępieniec, ten spiskowiec, ta zakąła, ten padalec – Łukasiński! Ha, toż jego to dzieło! On buntował! On to sprawił! On pracował na to zniszczenie, na ten mord najdzielniejszych ludzi, na ten rozlew krwi, na zagładę najlepszych jego pułków!

I Konstanty zatoczył się jak pijany, i poskoczył ku Łukasińskiemu z zaciśniętymi pięściami, i potokiem obelg bluznął, i szarpał go za łachman więzienny, i piorunował rozpalonym wzrokiem.

Ogniomistrze obsługujący działą struchleli na widok uniesienia cesarzewiczowskiego. Bo choć słowa wielkiego księcia ginęły w łomocie armatnim, choć jeno usta jego szczyrzyły się, drgały sinymi wargami, a śliną się bielily, przecież każdy ruch Konstantego, każde mrugnięcie powiek, każdy skurcz obrzęklej, żółtoceglastej twarzy był jedną pasją, jedną wściekłością, furią jedną.

Milczenie uparte skrajnego działła baterii Gerstenzweiga ściągnęło porucznika, kapitanów, adiutanta, pułkownika, lecz i ci, na widok konwulsyjnych ruchów cesarzewicza, ani ważyli się zbliżyć, ani ważyli ogniomistrzów do strzelania napędzić.

Jeden więzień zdawał się pasją cesarzewicza nie być ustraszonym. A jeżeli z początku zjawieniem Konstantego był jakby przejęty, jakby zdumiony, to ledwie cesarzewicz tknął jego siermięgi, wyprostował się, głowę dźwignął i spojrzał dumnie a pogardliwie. A potem i on przemówił, i on wargami poruszył, i on na dal wskazywał, i on skrami ócz odpowiadał.

I ta niema rozmowa trwała, przedłużała się.

Wtem, z mgieł otulających krze zagajnika, zerwało się stado bezładne jeźdźców i popędziło w obłąkanym popłochu wprost na baterię Gerstenzweiga.

Bateria przywarowała i już miała pełzającą salwą znieść jeźdźców, gdy zawołano dokoła:

– Ułani cesarzewicza! Rozbici, rozbici!

Bateria podniosła paszcze. Lecz w tejże chwili karabiny zatrzeszczały poza ułanami, a chrapliwy pisk fajfrów ponad tarabany i zew armat się dobył i rzucił kilka taktów piosenki zawadiackiej.

Łukasiński szarpnął się przy armacie, ręce kajdanami skute ku dali wyciągnął i huknął gromko:

– To mój pułk! To czwartacy!

Naraz zabłąkana ołowianka zadzwoniła po spiżu, przy cielsku którego był uwiązany major, zrekoszetowała i ostatkiem sił kiści Łukasińskiego dosięgnęła i uwiezia w lewej dłoni.

Major na widok kuli rozśmiał się do niej przyjaźnie, wyrwał ją sobie z rany i, zakrzyknawszy z zapalem:

– Niech żyje wolność! – kulę bratnią, rodzoną, umiłowaną, poniósł i ucałował.

Stało się to zaś tak prędko, tak błyskawicznie, że zanim Konstanty na ten nowy dowód zapamiętałości zbrodniarza zdołał głosu dobyć, bateria Gerstenzweiga już gromami wszystko wokół zgłuszyła.

Dzień chylił się ku zachodowi.

Olszyna była wzięta, linia polska podarta, wgięta ku Pradze. Chłopicki ranny w obie nogi wił się w gorączce. Radziwiłł uszedł do Warszawy, aby nie słyszeć zapytań, na które nie umiał odpowiedzieć. Wojsko polskie atoli i bez wodza trwało na polu bitwy, i bez wodza po-grzebało raz na zawsze kirasjerów Wojennego Znaku, i bez wodza kirasami a białymi koltetami pułków księcia Alberta, starodubskiego i nowogrodzkiego uszło pola Grochowa, i bez wodza wytrzymało atak kawalerii, i bez wodza zwierzało szeregi, marło, lecz nie ustępowało.

Wojsko polskie nie miało wodza, nie miało już rzutów planowych, nie miało już strate

gicznych zwrotów, marszów oskrzydających, lecz wojsko polskie miało zapamiętałość trwania, miało męstwo fanatyków wiary w hasło walki za ojczyznę, miało poświęcenie bez granic żołnierzy i bohaterstwo oficerów.

Więc cóż, iż mu wodza brakło, cóż że na jedną armatę polską Dybicz odpowiadał trzema, a na jeden pułk ułanów trzema szarżował – gdy Mycielski kazał w „mordy kłuc kirasjerów”, gdy Bem na polu bitwy armatami jak kabrioletami na spacerze zawijał, gdy Prądzyński z Miłbergiem w szeregu do ataku na bagnety szli, gdy Skrzynecki czworoboki tak zwierzał, jakby pod Arcis Bonapartego chronił, gdy Kicki pięcioma szwadronami dwadzieścia pędził!

Lecz Dybicz miał jeszcze posiłki, miał Szachowskiego, miał nowe zastępy grenadierów, miał chmury kozactwa.

Polacy stracili dwanaście tysięcy żołnierza, więc jedną czwartą bez mała armii walczącej pod Grochowem, więc mieli już tylko czterdzieści cztery tysiące zmordowanego bojem wojska. Dybicz stracił piętnaście tysięcy, a miał więcej, niż gdy bitwę rozpoczynał, bo rezerwy szły mu wciąż.

Dzień chylił się ku zachodowi. Polacy ku szancom ściągali swe siły, pod ogniem przeciągali armaty na nowe pozycje.

Lada chwila bój miał zdecydować już nie o zwycięstwie, lecz o losie narodu.

Jakoż bębny zadudniły na linii rosyjskiej i już mrowie grenadierów Szachowskiego nadchodziło i brygada Murawiewa już od Ząbek tyralierskim ogniem drogę sobie torowała, już rosyjska artyleria konna wlokła po zawałach trupów swe groźne dzwona, gdy naraz cała ta masa ludzi, koni, stali i ołowiu zastygła w bezruchu, umilkła. Dybicz kazał zaniechać bitwy!

Skąd? Dlaczego? Przecież dotąd bitwa nie była ani wygraną ani rozstrzygniętą! Przecież takie zakończenie bitwy nie licowało ani ze sławą feldmarszałka, ani z zaręczeniami wyprawionymi do Mikołaja. Wszak dość było Polaków ku nurtom Wisły odeprzeć, aby jeden jedyny most, który mieli na tyłach, stał się ich grobem. Wszak jeżeli zamysł ten nie był bezwzględnie pewnym, to przecież, zrachowawszy siły, prawie pewnym, bo nareszcie można było tyle jeszcze terenu, zdobyć, by armatami Warszawy sięgnąć, zbombardować ją, a więc i wojsko polskie paniką zdemoralizować. Cóż tedy skłoniło Dybicza do zaniechania bitwy? To pytanie zadawała sobie nawet rosyjska generalicja.

Toć feldmarszałek sam grenadierów Szachowskiego zagrzewał do ataku i sam ich doprowadził.

Aż raptem, z naczelnikiem sztabu Tollem się spotkał i z cesarzewiczem.

I potem snuł się z nimi po Olszynie, rozglądał po szlaku kirasjerami zasłanym i gestykulował, i sprzeczał się, i lunetę zwracał ku wzgórzom warszawskim – i w końcu kazał zaprzestać bitwy.

Stąd, kiedy generalicja pod noc ściągnęła z pola bitwy, pod Miłosne i tu w karczmie na rozstaju szukała wczasów, a obocześnie i ujścia wzroku feldmarszałka, który w Grochowie nocował – juści przerwanie bitwy stało się przedmiotem nie lada sporów.

Nejhardt mianowicie szczególnie czarne przepowiadał następstwa. Młody generał brygady, Murawiew, wypominał wciąż Jermołowa, pod którym służył. Meyendorf mówił o potrzebie oblegania Warszawy. Pahlen zaś co chwila rzeź wyprawiał i Polakom, i stolicy ich, i konstytucji.

A że przy tym po zaspokojeniu pierwszego głodu, kubki z ponczem krążyły bez wytchnienia, tedy i spór strategiczny zaostrzał się, a w miarę odurzenia gwałtowniejszymi słowami wybuchał.

W ostatku zamienił się w gwałtowną sprzeczkę między Nejhardtem i Pahlenem.

– Co mi wy kraczecie! – uniósł się Pahlen. – Ot, wielka rzecz polska piechota! Jeden szturm jutro, bom nie nietoperz, żebym się po nocy rozbijał, a kamień na kamieniu nie zostanie z Warszawy!

– Albo z pańskiej dywizji!

– Ho ho! Ale najpierw moja dywizja czapkami wszystkich „panów” nakryje!
Nejhardt chciał odpowiedzieć, gdy niespodziewanie w rogu izby rozległ się cichy pomruk nuconego mazurka i wybijanie taktu na stole.

– Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żywiomy...

Pahlen na dźwięk mazurka uderzył pięścią w stół i wrzasnął:

– Milczeć tam, bo łeb roztrącę!

Ledwie wrzask Pahlena przebrzmiał, oczom uczujących generałów ukazała się twarz cesarzewicza.

– Precz stąd! – zachrypiał Konstanty ku Pahlenowi. Pahlen zbladł.

– Ja nie...

– Precz!

Pahlen zachnął się, lecz się pomiarkował.

– Będę miał honor złożyć raport!

– Do dymisji natychmiast! Pod sąd oddam, w dyby zasadzę!

– Nie służę Waszej Wysokości!

– Waszej Wysokości! A nie przysięgałeś mi?! Ty, ty...

Cesarzewicz zachłysnął się. Murawiew odciągał Pahlena ku drzwiom.

Nejhardt chciał Konstantego ułagodzić.

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, generał...

– Milczeć! – rozkazał wielki książę i za rękojeść pistoletu porwał. – Ja was nauczę! Ja was wszystkich nauczę! Precz!

Izba karczemna w okamgnieniu opustoszała.

Cesarzewicz z pistoletem w rękę wodził dokoła krwią nabiegłymi oczyma, aż osunął się na ławę wyczerpany, bezsilny.

Noc szara odbłaskami lodem ściętych kałuż spowiła szeroki gościniec Brzeski i uśpiła na koniec legowisko markietantów, ciurów i włóczęgów, którzy hienim krokiem za armią Dybicza ciągnęli.

Lecz sen tego legowiska był tej nocy krótki, bo jeszcze przed północą na Brzeskim gościńcu ukazały się łańcuchy Kozaków i wiły się spoza lasu i rozmotywały w nieskończone pasma zgarbionych na kulbakach postaci i jeżyły się grzebieniem pik i potrzasały knutami i skradały się. Dybiczowi posiłki szły.

Legowisko markietantów i wszelakiego śmiecia obozowego zaroilo się od rozgwaru.

Kozacy szli. Ćma Kozaków. Ćma wilków, ćma łupieżców i złodziei, ćma zbójów. Teraz dopiero będzie się czym pożywić, teraz nareszcie.

I szły posiłki dla Dybicza. I takie, o których istnieniu nawet historycy nie mieli wiedzieć, nawet uczeni kronikarze mieli myśleć, że ta ćma kozactwa wliczona została do oficjalnych wykazów armii rosyjskiej.

A przecież nie dość, że to mrowie wielotysięczne stanowiło drugą armię, bezimienną armię cara, nie dość, że groziło już i dzieciom, i niemowlętom, lecz wlekło za sobą zarazę, wlekło hydrę stugłową, zdobytą na zgniliznach Chiwy i Karso, wlekło tę najpotężniejszą z chwał Mikołajaja, wlekło nieznaną nigdy ziemi polskiej zagładę, na całego zachodu wieloletnią udrękę – wlekło cholereę.

XIII

Żółty, rozplaszczony dom gubernatora Chowańskiego w Witebsku pławił się w promieniach czerwonego słońca, a przymkniętymi okiennicami poglądał obojętnie ku tumanom kurzu i pyłu, swawolącym nie tylko na rozłożystym, drewnianymi domkami okolonym placu od strony głównego wejścia, lecz i pośród zaniedbanego ogródka na tyłach domu wyprawiającym nie lada harce.

Te ostatnie właśnie musiały zbytnio dokuczyć młodej jeszcze damie, która w spróchniałej altance szukała cienia ożywczego dla swej bladej, zgaszonej twarzy, bo podniosła się z ławki i ozwała do siedzącej w pobliżu swej towarzyszki.

– Chodźmy stąd, Róziu!

Nazwana Rózią wstała szybko i ujęła damę pod ramię.

– Pozwól, sama pójdę!

– Wasza Wysokość się utrudzi.

– Dojdę sama!

Rózia cofnęła się posłusznie o krok w tył. Dama postąpiła ku oszklonym drzwiom domu, ale snadź siły odmówiły jej posłuszeństwa, bo przystanęła i zadyszała się.

– Wasza Wysokość pozwoli.

Dama w odpowiedzi wskazała ruchem głowy na ubogi, wycieńczony krzak jaśminu, którego całym bogactwem był jeden jedyny biały kielich.

– W Belwederze było ich tyle!

Rózia ujęła teraz bez pytania ramię damy i powiodła ją ku domowi.

– Uch, proszę Waszej Wysokości – zagadała żwawo – alboż na tym pustkowiu jest co poczciwego! Furier mówił, że na wagę złota niczego dostać nie można. Żeby nie zapasy z Białegostoku i Grodna, to strach! Bieda wszędzie i ta... cholera...

– Jakże Gawryło ?

– Dziś nad ranem!

– Biedny człowiek!

– Sam sobie winien. Jadł na umór! Szczotkami go natarli i było lepiej. Tymczasem gorączka mu dokuczyła, i wody się napił. Skręciło go, że niepodobna!

Rózia wprowadziła damę do wielkiego, zielonym papierem wyklejonego pokoju i usadowiła na fotelu przy oknie.

– Tu lepiej, niż na tym piachu w altanie.

– Nie było dziś nikogo u Jego Cesarzewiczowskiej Mości?

– Pan Trębicki, pan Kołzakow i ten gubernator.
– Doktor Kalisch powinien by już być z powrotem!
Różia wydeła niechętnie usta.
– Akurat bez niego Jego Cesarzewiczowska Mość zdrowszy!
Dama uśmiechnęła się pobłaźliwie.
– I w tym zasługa Kalischa! Od grochowskiej bitwy dzień i noc wielkiego księcia strzegł.
Rada bym, żeby już był, żeby już wrócił.
– Może gdzie natrafił na bitwę; mówili, że wczoraj pod miastem znów cała dywizja szła na Warszawę.
Dama pochyliła głowę i rozpatrywała wychudzone palce swych smukłych, małych rąk.
Różia dodała po przestanku:
– Strach, ile tych żołnierzy idzie i idzie, a nasi wciąż się trzymają!
– Z tego bodaj większa klęska!
Różia westchnęła.
– Niezawodnie, proszę Waszej Wysokości. Ten ordynans, co od generała Kuruty przyjeżdżał, powiadał, że w Oszmianie taka rzeź była, że nie tylko kobiety, ale i dzieci wymordowali kozacy!
Dama drgnęła.
– Moja Róziu, już ci tyle razy mówiłam, żebyś nie powtarzała plotek. Każda wojna ma sama przez się dosyć okropności.
– Ordynans kłął się, że kozacy...
– Przestań! Nie ciekawam! Idź dowiedzieć się, czy Jego Cesarzewiczowska Mość jest sam.
Różia odęła się za plecami swej pani i odparła:
– Jego Cesarzewiczowska Mość wyszedł.
– Przez Boga, co mówisz?!
– Z panem Trębickim do baraków, gdzie wzięci w niewolę...
– Ależ tam cholera!
– Wczoraj przyprowadzili znów partię. Jego Cesarzewiczowska Mość życzył sobie...
Różia nie zdążyła dokończyć, gdy od proga drzwi zachrypiało rażno przytłumiony głos:
– Księżna łowicka przyjmuje? – Nu, nu, przyjmuje, duszyczka! A co, a co, Żanetko?! Mamy dziś odrobinę słońca! Daj oczko, niech pucnę.
– Konstanty, Konstanty nie szanujesz się, nie uważasz!
– Ja, ja? Uu! Zdrow jestem jak ryba! Miodu starego, pocziwego łyknąłem i patrz! Miałem wysypkę na twarzy, nie ma wysypki! Ot, kropla! Ot, lekarstwo! Kalisch oczy postawi, jak mnie zobaczy!
Różia wysunęła się z pokoju. Cesarzewicz zasiadł naprzeciw Żanety pod oknem.
– Ale ty, kochanie! Lepiej! Doskonale! Hu, hu! Za tydzień będziemy już w drodze do Dreżna. Lada godzina powinien feldjeger z Petersburga nadjechać. Tam odetchniemy! Uu! Bo tu szwagierek gotów mnie naprawdę do niewoli zabrać! I pan Chłapowski! Patrzaj, jakim generałem został! Pod Lidą cały batalion rozbroił, baterię zabrał i na Wilno maszeruje! Phy, phy, nie spodziewałem się. Kuruta będzie się pocił. I Chłapowski!
– Dezyderemu brać za złe nie można. Rewolucja uniosła go, porwała.
– Ja też nie mówię! I owszem! Chłapowski po rycersku! Kazał mi się wynosić ze Słoniemia! Miał rację! Przecież ja nie wojuję. Dobry oficer, przyjemnie, iż do rodziny należy! Nie dziwię mu się. Eh, Żanetko, gdybym dłużej w Wierzbnie siedział, to sam byłbym do rewolucji przystał.
– I co by z tego wynikło?
– Czort wie, przepraszam, Bóg wie, ale pewnie nie siedzielibyśmy na tej cholerycznej wydmie i nie czekali na miłościwe rozkazy! Widzisz, pamiętasz, co ci mówiłem? Pół roku trwa wojna i co? Nic! Ludzi namarnowali, kraju naniszczyli i biednego Dybicza struli ze złości!

– Ależ chyba niepodobna!

– Struli, duszyczko, struli! Przekonasz się. Kalisch wróci z Kleszewa, z głównej kwatery, to ci powie. Umyślnie go wyprawilem! A Kalisch to mądra sztuka, na trupa spojrzysz i rozeznasz, co cholera, a co trucizna! Nikczemnie z Dybiczem się obeszlisi. Prawda, prawda, głupstw narobił, pojęcia o służbie wojskowej nie miał, ale dobry stary był. Bo i cóże, i cóże mógł przeciw takiemu wojsku? Piętnaście lat od rana do nocy niańczył! Mikołaj Paszkewicza wodzem mianował. Nu, nu, Paszkewicz stary żołnierz, już pod Borodinem ciągi brał i pod Lipskiem nie lepiej się spisał! Posłałem znów list do Michała. Żeby on Mikołajowi od siebie wyłożył. To że Skrzyneckij do Dybicza posyłał już, więc teraz kiedy feldmarszałka nie ma, to Paszkewiczowi zgrabniej jeszcze układ zawrzeć i zgodę podpisać. Gdzie im z takim wojskiem się mierzyć...

Cesarzewicz urwał nagle i zapatrzył się smutnie.

– Chodziłeś znów do baraków! – szepnęła z wyrzutem księżna.

Konstanty ożywił się.

– Bo nic nie wiesz! Wyobraź sobie, Pieniążka widziałem! – Kozacy go złapali na rekonesansie! No, gamoń, gamoń, natarłem mu uszu, co się zmieści!

– Pieniążek, nie przypominam sobie!

– Żanetko! Czy być może? Pieniążka nie pamiętasz! Skrzydłowy podoficer drugiego szwadronu, pierwszego pułku ułanów, kompanii Kozuchowskiego. Toć brat Pieniążka starszy jest podporucznikiem w drugim pułku piechoty liniowej. Daruj, ale żeby tego nie pamiętać. Zresztą w partii same żółtodzioby z ruchawki. Nu, nu, nagadałem im, co się zmieści, i po rublu na głowę.

Do pokoju wsunęła się Różia.

– Proszę Waszej Cesarzewiczowskiej Mości, doktor Kalisch!

Powrót lejbmetyka Kalischa z wyprawy do głównej kwatery wojsk rosyjskich nappełnił dom gubernatora w Witebsku wesołym rozgwarem. Lejbmetyk bowiem nowin moc przywiózł, i to dobrych nowin i tak dobrych, że radował im się nie tylko wielki książę, lecz i księżna łowicka, i adiutant Trębicki, i Kołzakow, i gubernator Chowański, i Różia ochmi-strzyni, i mąż jej kamerdyner Kochański, i furier Bielajew, i cały, nieliczny już zresztą dwór naczelnego wodza wojsk polskich.

Juści łatwo było Kalischowi ucieszyć takiego na przykład Bielajewa, któremu szło jedynie o dopytanie się w głównej kwaterze, co dzieje się z jego młodszym bratem, cyrulikiem nowoingermanladzkiego pułku. Ba, ale za to czarodziejstwem trzeba było nazwać, że lejbmetyk potrafił i zryte głębokimi bruzdami czoło cesarzewicza wygładzić, i wypędzić gnieźdzące się w kątach ust Konstantego gorzkie załamy, i schorowane lica księżny rumieńcem okraszyć.

Niemal ku temu przyczyniło się zapewne, że od ucieczki z Warszawy, a więc od chwili gdy radca tajny Morenheim za żoną Mostowską poszedł i do rewolucji niemal przystał – doktor Kalisch awansował na pierwszego sekretarza wielkiego księcia. A ponieważ już przed tym zaufanie Żanety posiadał, stąd wpływ i znaczenie lejbmetyka było bezwzględnie utrwalo-nym.

W początkach jeszcze Kuruta i Fanshawe byli Kalischowi przeciwwagą, gdy jednak pierwszego mianowano dowódcą korpusu, a drugiego z artylerią przydzielono do gwardii księcia Michała Pawłowicza, lejbmetyk urósł na pierwszą osobę dworu cesarzewiczowskiego.

Inaczej nawet być nie mogło. Konstanty bowiem od nocy listopadowej był odcięty od świata. Petersburg nie troszczył się on, a na gwałtowne listy wielkiego księcia odpowiadał cierpkimi depeszami, aby cesarzewicz do Dybicza się zwracał, jako do swego najbliższego zwierzchnika. Bitwa Grochowska, a raczej awantura z Pahienem, a za nią plotki, że Konstanty feldmarszałka do przerwania bitwy skłonił, że Konstanty demoralizująco wpływał na generałów, że Konstanty uchylał armii rosyjskiej, że Konstanty dla buntowników sympatie swoje manifestował, że Konstanty przyczynił się do dezercji i rozprężenia w korpusie litewskim –

ostatecznie pogrzebały cesarzewicza, sprowadziły nań niełaskę cesarską. W Białymstoku przyjeżdżał do Konstantego jeszcze Opocznin, jeszcze brat, wielki książę Michał z nim konferował i skłaniał do poprawy – aż od Słonimia ustało wszystko, zabrakło nawet wiadomości od generała Kuruty.

Owóż, wśród głuszy tej, wśród braku nowin z placu boju, wśród widocznego unikania wszelkich relacji z Konstantym, dźwignął się Kalisch. On jeden miał dla księcia i rozkazy dzienne feldmarszałka, i warszawskie gazetki, i berlińskie dzienniki, i zakulisowe wiadomości, plotki ucieszne, i ważne pomowy, i horoskopy polityczne. Kalisch zaś nie krył się bynajmniej, że źródło, z którego czerpał, sięgało konsula Schmidta, a tym samym i pruskiej ambasady w Petersburgu, i Berlina, i pruskiego króla, i carowej, i Mikołaja. To mu właśnie dodawało powagi.

I lejbmedyk czuwał odtąd nie tylko nad ciałem wielkiego księcia, lecz i nad duchem.

Powrót Kalischa z misji do głównej kwatery rosyjskiej był znów dowodem, że lejbmedyk posiada i stosunki, i wpływy, i co ważniejsze – prawdziwie szczęśliwą rękę.

Więc nade wszystko lejbmedyk rozpowiedział księciu o śmierci Dybicza i dowiódł jak na dłoni, że pogłoski o struciu feldmarszałka były wymysłem, bo Dybicz umarł najzwyczajniej w świecie i nie na żadną truciznę, ale po prostu na... śmierć.

Dybicz miał pięćdziesiąt sześć lat, a wyglądał na sto i w tym sedno, bo reumatyzm, rozstrój żołądka, katarów kilka i jeszcze różności miał, o czym nie wypada mówić. Owszem, hrabia Orłow był na inspekcji armii, jadł obiad z marszałkiem, chwalił ogromnie wszystko, co widział, najdelikatniej powiadomił Dybicza o woli monarszej, aby ustąpił ze swego stanowiska. Wyściskali się z feldmarszałkiem, wycelowali, no i nad ranem Dybicz raptem umarł. Czewkin, adiutant, nie odstępował go ani na sekundę. Dybicz czuł zgon, pojednał się z Bogiem, błogosławił cesarza i nawet nie konał, po prostu zasnął sobie gołabek na cholere.

Właściwie ta pierwsza część nowin Kalischa była nieco sceptycznie przez cesarzewicza przyjęta, ale Kalisch takimi argumentami sypnął, że Konstanty przyznał.

– Hm! Nie wskresimy go, więc niechże i tak będzie. Najważniejsze, że wojna wlecze się i że Dybicz traktował o zgodę z Polakami, a teraz kto wie? Otóż mam i w tej mierze pomyślnie wiadomości: zbliżamy się do pojednania.

Konstanty aż się porwał z krzesła.

– Więc przekonali się?! Więc baranie głowy przejrzały?

Lejbmedyk jednym tchem zaczął mówić o pokojowych krokach, które ma Paszkiewicz podjąć; o bitwie ostrołęckiej, która w rezultacie, pomimo rzekomego zwycięstwa, dowiodła znów, iż wojna z Polakami może trwać do nieskończoności. I interwencji mocarstw, żądających wszczęcia rokowań; o zabiegach konsula Schmidta ku przysposobieniu gruntu w Warszawie; o znamienych rozmowach, prowadzonych w głównym sztabie i o tym, że Paszkiewicz jedzie umyślnie przez Memel do Polski, by w drodze nabrać lepszego wyobrażenia o pokojowym nastroju dyplomacji pruskiej.

Cesarzewicz na te wywody wpadł w świetny humor.

– Uu! Kalisch, Kalisch! Toś mnie ucieszył! Powiedziałem od razu! Polacy chcą mieć trzy razy tyle wojska. I owszem! Dać im dwa razy więcej konstytucji, buntowników pod klucz i skończona historia! A sejm – to już moja w tym głowa! I czas, wielki czas, bo komu pożytek z tego wojowania? Chyba Abakumowowi, bo spokojnych ludzi ograbia a intendenturę kradnie! Hm, hm, czy to aby nie plotki?

– Wasza Cesarzewiczowska Mość, to pismo niezawodnie lepiej objaśni, proszę.

– Pismo, do mnie?

Konstanty wziął z rąk Kalischa pismo, złamał pieczęć, rozłożył papier, machinalnie ku podpisowi spojrzął i zmieszał się.

– He? To... to...

– Hrabia Orłow! – dokończył Kalisch. – Dowiedział się od lekarza dywizji, Hirsza, że wracam do Witebska, i doręczył mi to pismo z poleceniem wyrażenia najniższych służb.

Cesarzewicz odchrząknął i podniósł do oczu papier.

Hrabia Orłow w wyszukanych słowach zawiadamiał Konstantego, iż z polecenia monarchy będzie miał zaszczyt prosić osobiście o udzielenie mu rozkazów w kwestii, którą jedynie Jego Cesarzewiczowska Mość władny jest zadecydować.

Wielki książę zasepił się. Żółte, obwisłe policzki cesarzewicza pociemniały.

– Tyle pisze, że tu ma przyjechać, ale ten... ja nie mam o czym z nim... On tu w ogóle niepotrzebny – mruzczał książę.

– Schmidt wypominał mi w ostatnim liście, że podobno brak zdania Waszej Cesarzewiczowskiej Mości co do warunków pokoju. Nawet wręcz oświadczył mi, że bezpośrednio z Polakami traktować niepodobna, ile że najpierw żądać będą słowa swego naczelnego wodza.

– Nu, nu, ja myślę! Ale... ten... na cóż Orłow do mnie? Ja... ja nic do Orłowa nie mam! Podobno się cesarzowi zrobić go swoim faworytem, ulubieńcem, to mnie nic do tego. Bezobrazow pojechał wczoraj do Fanshawe'a i do Michała. Michał powinien się ze mną porozumieć albo Toll, jako zastępca dowodzącego armią, a nie ten, ten Orłow! Zresztą, rozważę sam i napiszę z Drezna. Najpierw do Drezna muszę. Feldjeger może dziś nadjedzie, a jak nie nadjedzie, no to dłużej czekać nie będę. Hrabia Orłow... Orłow, Orłow! Dla mnie niech sto lat żyje! I owszem! Jest sobie bękartem Teodora Orłowa, cóż to szkodzi! Dużo bękartów jest na świecie. Adiutantował mi kiedyś, no, a Pahlen był ministrem cara Pawła! Nawet dziwię się, że Orłow tylko hrabią jest, należy mu się mitra! Ale on tu niepotrzebny, tu i tak cholera panuje.

Kalisch niemało czasu potrzebował na zwalczenie tej dziwnej niechęci cesarzewicza do widzenia się z Orłowem. Lecz w ostatku rozumne przedłożenie lejbmedyka podziałało. Konstanty uspokoił się, nabrał otuchy i dał się unieść jasnym myślom.

A że przy tym Kalisch – czarodziej przywiózł plikę gazetek warszawskich, a nawet list, list od pani Brońcowej, tedy w domu gubernatorskim w Witebsku na trzy dni było gawęd, wspomnień żalobnych o poległych oficerach polskich, żwawych dysput, gdzie Dybicz popełnił głupstwa, a gdzie Skrzynecki pokpił wygraną bitwą; rozmów o Saskim dziedzincu, o czwartym pułku, o Żymirskim, co legł pod Grochowem, o napadzie na Belweder, o guwernerze Jawickim, co w Petersburgu archiwistą został; o Kurnatowskim, no i Krasińskim, którzy, wierni bezgranicznie cesarzewiczowi, z wojska polskiego ustąpili; i o tym wszystkim, co zdawało się krzepić, nawet gdy smuciło, co mieszkańcom domu gubernatorskiego w Witebsku było przedłużeniem przeszłości, powrotem minionych chwil, słońcem wczorajszego dnia.

Na czwarty dzień przed dom gubernatorski zajechała kareta otoczona Czerkiesami.

Przyjechał hrabia Orłow.

Cesarzewicz ubrał się pośpiesznie w swój generał-adiutancki mundur z epoletami cara Pawła i wpadł do pokoju Żanety.

– Jest, jest Orłow! – zaczął gorączkowo. – Nu, nu, zobaczysz, duszyczko, za dwa miesiące będziemy w Łazienkach, bo w Belwederze nie chcę!

– Mój Konstanty, co do mnie, wołałabym jak najdalej.

– Zobaczymy, zobaczymy! Czekaj, muszę szarfę skrócić. Znów schudłem! Nie było czasu się tuczyć! Dziękuję ci, już już! Tylko, jeżeli moich warunków nie przyjmą, usuwam się, umyвам ręce.

– Błagam cię, abyś się nie unosił. Dlaczego, wszak i przy różnicy zdań można znaleźć punkt wyjścia. Przy tym sam powiedziałeś, że od Orłowa wiele zależy, więc należałoby.

– Nu! Naturalnie! Naturalnie! Orłow i owszem. Trębickij powiada, że w pełnym paradnym uniformie czeka, bardzo grzeczny, bardzo. Wypadnie go zatrzymać na obiad, więc może byś i ty? Czujesz się na siłach? Doskonale! Mam znów czerwone oczy? Głupstwo! Pozwól szyjkę, uu! Dobra szyjka! Czekaj no, co masz tutaj?

– Tu? – Drugi szkaplerzyk loretański, taki sam, jak twój.

– Dru... drugi... to mi go pożycz na dziś – zawsze dwa!

Księżna z rozczuleniem zdjęła szkaplerzyk z szyi i zawiesiwszy Konstantemu drobnymi paluszkami, zasunęła mu pod kołnierz munduru.

– Niech cię łaska Boska nie opuszcza! Niech cię wspiera.

– I owszem, kochanko, i owszem! – bąknął cesarzewicz i wybiegł z pokoju.

Żaneta patrzyła długo ku drzwiom, za którymi zniknął Konstanty, aż padła na kolana i wyciągnęła ręce ku niebu.

Poblądłe usta księżny łowickiej spłynęły modlitwą, przygasłe oczy rozgorzały i pomknęły hen pod iskrzący się strop niebieski.

I twarzyczka Żanety promieniała, i serce jej łomotało nową wiarą, nową nadzieją, nową mocą. Żaneta modliła się.

– Wasza Wysokość! Wasza Wysokość! — zawołał stłumiony, drżący głos w pobliżu.

Księżna poruszyła się niechętnie, ociążała, jakby ze snu czarownego zbudzona.

– Kapitan Trębicki?

– Wasza Wysokość, tam dzieje się coś okropnego! Jego Cesarzewiczowska Mość z Orłowem. Drzwi zamknięte... słychać... szamotanie!

Księżna rzuciła się ku drzwiom i wpadła do antykamery w tejże samej chwili drzwi przeciwnie, prowadzące do salonu, rozwarły się z łoskotem. Z salonu, wybiegł trupio błądy mężczyzna w potarmoszonym mundurze generała świty i nie zważając na Żanetę, umknął do sieni. Księżna, a za nią Trębicki rzucili się do salonu.

Tu, wśród porzrzuconych w nieładzie mebli, leżał na podłodze cesarzewicz i wił się w konwulsjach, i pianę z ust toczył, i bełkotał jakieś wyrazy bez związku, i zębami zgrzytał, i jęczał. Trębicki zakrzyknął na służbę. Kalisch namieszał lekarstw, poniesiono cesarzewicza na łóżko. Konstanty uspokoił się, jakby zasypiać chciał, aż wymioty go porwały. Po wymiotach snadź paroksyzm nań przyszedł, bo klęcząc u wezłowania Żanetę za rękę chwycił i wybuchł z pasją:

– Wiesz, czego żądał?! Żeby cesarzewiczowskiej godności się zrzekł, żebym w następstwie tronu nie przeszkadzał, żebym tu gnął, żebym tu! W pysk dałem zbójowi! Mordercy!

Księżnę płacz serdeczny zdjął.

– Konstanty... Konstanty...

Lejbmedyk szklankę z napojem podał cesarzewiczowi.

Konstanty wzdrygnął się, ale przełknął.

Lekarstwo zbawienny wpływ wywarło na chorego, bo zmrużył powieki i oddychał spokojnie. Po czym zmógł się i szeptał cicho:

– Żanetko, nie wierz... nikomu nie wierz! Oni oszczerstwo chcą... nie ja cara ojca kazałem... nie ja! Mikołaj gorszy od tamtego! Wszystko, wszystko mi wydarł... przeklęty i on... i oni wszyscy! Duszno mi... mdło... powietrza!

I znów senność nasza na cesarzewicza, i znów jeno wargami poruszał, jeno pięście zaciskał.

Noc zapadła.

Witebsk zaskrzeczał wozami bielonymi wapnem i jał daninę składać zarazie...

I szły wozy, i kluczyły krętymi uliczkami, a krzyżami znaczone domki wyrzucały z siebie zwłoki ludzkie.

Niekiedy okrzyk rozpaczliwego protestu złączył się w ponury akord z nawoływaniem grabarzy, niekiedy bat mlasnął nad głową wycieńczonych a sennych koni i wozy dźwigały się i toczyły, i plonem cholery wypełniały swe drabiny.

Ksiądz proboszcz Boreyko po gwałtowniejszej niż zwykle rozprawie ze starą Agatą, która ani rusz nie znała się na potencjach i gwałtem dowodziła, że czego „konne strzelce” pana Piusa nie spiorą, to „toto moskalstwo” precz dokuczać będzie, zabierał się do wieczornych pacierzy.

A zabierał się dziś wcześniej niż zazwyczaj, bo siła intencji miał do wniesienia, siła suplik do przedłożenia.

Tedy najpierw jako na proboszcza przystało dla duszyczek, co zawzięta zaraza nakosiła, a których ani sposobu ni pogrześć, ni poświęcić, bo gubernator nakazał do jednego dołu katolików z moskałami sypać i popom raz na dzień ryczałtem kropić – należało czyścić modlitwami umniejszyć.

Dalej, dla tych, co polegli o światłość wiekiustą się upomnieć, a dopiero za księcia Witolda, jako fundatora kościoła Świętego Antoniego, co wypada zmówiwszy, od umarłych do żywych się zabrać i tu dopiero litaniami sypnąć a koronkami, bo chmara, chmara prósb.

I ksiądz Boreyko ukląkł, świeczkę przy klęczniku objaśnił, brewiarzyk rozwarł i zapatrzył się ku czerwonym intytulacjom. I tu, w arabesce antyfony nalazł dzielną twarz Piusa Boreyki, porucznika drugiego pułku strzelców konnych. Ksiądz Boreyko aże pokraśniał, bo imć pan Pius, bratanek, co go uchował po Piotrze, jeno blachą na czapie łyskał, jeno białymi rabatami się mienił, a prał bez spocznienia, prał na odlew, prał spod ręki, prał a gwoździł armaty, a dziurawił kirasjery, a skórę garbował.

Ksiądz cmoknął z przejęciem, bęcnął sobie zdrowaškę na skupienie, tabaczki wącznął, palcami strzepnął, machnął chustką po nosie i kichnął siarczyście.

– Na dobrą wróżbę, na kapitańskie szlify dla pana Piusa, na zwycięstwo panu Skrzyneckiemu; na tego diabła wcielonego, co aż tu, nad Dźwinę, przed rejmentami polskimi „ucik”, spod Dźwiny do Ostrobramskiej przemówić. I dopiero upokorzenie, że też święta ziemia takiego kata, takiego bezecnika nosi! Zaraza poczciwego luda niszczy, a taki jak ten Konstany chodzi! Ogień wieczny go juści nie minie! I jego, i ją, i całą rodzinę. A sprawiedliwi na to są, aby cierpieć za życia, a potem w chwale chadzać. Te a juści, te niby, chocia i za życia należałoby i im trocha dobrego, a tamtym trocha kary Bożej! Jakże bo ma być wciąż wszystko po śmierci?

Ksiądz Boreyko kichnął i zawstydził się takich heretyckich myśli. I grzotnął się w pierś wyschłą i na tęższe skupienie całą koronkę palnawszy, zaczął za choleryczne duszyczki się wstawiać.

Gdy naraz Agata wpadła obces do alkierza.

– Dobrodziejaszku! Oficer polski! Polski oficer do dobrodziejaszka!

– Co?! Gdzie? Wszelki duch! – zakrzyknął ksiądz i porwał się do sieni. – Co to? Kto?!

– Jestem Trębicki, adiutant wielkiego księcia! Przychodzę po księdza proboszcza. Cesarzewicz umierający. Księżna łowicka prosi o przybycie z kapłańską posługą.

Ksiądz Boreyko osłupiał.

– Ja... jak to... to... Przecież...

– Księżna łowicka życzy sobie spełnić wielokrotnie przez cesarzewicza wyrażany zamiar przyjęcia wiary katolickiej...

– Kato... lickiej?

– Nie ma chwili do stracenia! Powóz czeka... Umiera!

Ksiądz stęknął, trzepnął desperacko rękoma i zaczął zbierać się gorączkowo, a wołać na Agatę, a po organistę ślać.

Ale kiedy po kilkunastu minutach już w białej komeżce i stule po puszkę z olejami miał iść do kościoła, nagła wątpliwość go zdjęła.

– Bo to, panie adiutancie, nie kalkuluję dobrze.

Trębicki się zniecierpliwiał.

– Powinno księdzu proboszczowi wystarczyć, że umierający chce się z Bogiem pojednać.

– Te juści, te juści – mnie wystarczy, ale, ale... czy... Panu Bogu wystarczy, to nie wiadomo,

– Obliguję księdza...

– A... a popi?

– Chyba osoba księżny łowickiej...

– Niechże tak, wola Boska! Agato, brewiarzyk z półki! Ano lecę po Pana Jezusa! Bądź wola Twoja ode złego... amen!

W pół godziny niespełna ksiądz Boreyko już stał u wezłowania cesarzewicza i odmawiał modlitwy, i *in articulo mortis* absolucji udzielał, i maścił olejami, aż w końcu przy gromnicy ukląkł i zatopił się w brewiarzyku, i ani patrzył więcej ku wykrzywionej bólem twarzy wielkiego księcia.

Konstanty podczas, nieprzytomny od kilku godzin, walczył ze śmiercią. Dwa razy wpadł w czkawkę, dwa razy oczy kołem mu stawały, dwa razy oddech rwał mu się na spazmie konwulsyjnym, ale jeszcze przemógł się, jeszcze żył.

Lejbmedyk strapiony kazał Pasternikowowi nacierać cesarzewicza, a sam do apteczki sięgnął i w zaciśnięte usta chorego wsączył napoju. Cesarzewicz zabulgotał gardłem, zarzęzał, wyprężył się i skonał. A ksiądz Boreyko czytał dalej swój brewiarzyk i ani zważał na to, co się wokół niego działo, ani widział, jak adiutant Trębicki przemocą prawie księżnę łowicką wyprowadzał z komnaty, ani zauważył, jak gromadka mundurów zebrała się w rogu pod drzwiami i jak tę gromadkę lejbmedyk wyprawił czym prędzej. I zdawało się, że ksiądz proboszcz skamieniał, że w gromniczym świetle zastygł, że wrósł oczyma w litery brewiarzyka.

Wtem zaburczały dzwony cerkiewne i zbudziwszy sforę przeraźliwie wrzaskliwych dzwoneczków, wszczęły z nimi hałaśliwą rozmowę.

Ksiądz Boreyko drgnął na to brzęczenie schizmy i uważniej wpatrzył się w brewiarzyk, lecz naraz pot kroplisty wystąpił mu na łysinę... Zamiast brewiarzyka odczytywał egzorcyzmy, które mu Agata z prędkości wetknęła do kieszeni.

– Księżę proboszczu! – ozwał się przyciszony głos po rosyjsku. – Czas!

Ksiądz Boreyko dźwignął się i spojrzał pytająco na granatowy mundur mówiącego.

– Jestem Kalisch, lejbmedyk. Ksiądz daruje, musimy przedsięwziąć środki ostrożności: z cholera nie ma żartów.

– Aa! Pewnie! A co księciu było?

– Jak to, co? Cholera!

Ksiądz Boreyko spojrzał ku zwłokom i zakonkludował.

– To nie cholera!

Kalisch poruszył się niepewnie.

– Niech mi pan wierzy! Z pół tysiąca cholerycznych śmierci oglądałem! Księżę konał, a w choleryze nie ma konania. Człek niby kurczę gaśnie, a i tu plamy żółte! Dość spojrzeć, widać, widać! Oho, znam się na tej poczwarze!

Lejbmedyk zaśmiał się szyderczo.

– Cha, cha! Winszuję znawstwa. Proszę, niech ksiądz pozwoli, tędy, tędy, na prawo. Już i tak czekają na księdza.

– Na mnie? – zdziwił się ksiądz.

– Żeby proboszczowi podziękować, żeś nieprzytomnego księcia krwi, wbrew jego woli i bez rozkazu monarchy do katolicyzmu chciał przypisać.

Ksiądz Boreyko nie zdążył odpowiedzieć, bo w tejże chwili zarzucano mu płachtę na głowę i nim proboszcz targnąć się zdołał, związano go w pałąk i zakneblowano usta.

– Z tym na Wyspy Sołowieckie! – rozkazał zimno stalowy głos. – Zwłoki do trumny z wapnem i do cerkwi! Kolzakow! Opieczętujesz pan wszystkie papiery.

I znów noc listopadowa nadeszła, noc przepastna, bezgwiezdna, dusznymi oparami brzemnienna, noc ponura, groźna, listopadowa noc.

I głuszą śmierci, głuszą rozpaczcy tchnęła ziemia polska.

Harde zawołanie wiernych jej synów zamarły, mogilne kurhany nie zieleniły się jeszcze, zgrzyt kajdan, tęsknota wygnańców, skargi zrabowanych, spalonych, krwią bezbronną zlaných sadyb, wsi i miast, dopiero zawodzeniem piastunek nowemu pokoleniu testament ojców wykładały.

Pierwszy rok mijał.

I szczęśny, kto w tej godzinie spał snem wiecznym na polu zwycięskiej bitwy, kto legł na murach Warszawy, i szczęśny, kto mógł w spokoju ducha do przeszłości sięgać i widzieć siebie zawsze nieugiętym, zawsze ofiarnym, nigdy słabym, nigdy chwiejnym, nigdy samolubnym, i szczęśny, kto zdolen był rzec sobie, iż nie zbłądził, iż wytrwał i dokonał.

Pierwszy rok mijał.

Księżna łowicka przeżyła śmierć Konstantego, przeżyła pogrzeb cesarzewicza, pogrzeb smutny, paradą karabinów otoczony, pogrzeb tygodniami ku fortecy Piotropawłowskiej się wlokący, pogrzeb kordonami kwarantanny odpychający nawet gawieź, nawet lud, pogrzeb zmarłego na „cholere”.

Księżna łowicka przeżyła całe pięć miesięcy miłościwych czułości rodziny cesarskiej, przeżyła i najwyższe odwiedziny w pałacach i Gaczyńskim, i Carskosielskim, gdzie do jej komnat wkraczały zimne, apatyczne twarze i przyglądały się ciekawie łzom Żanety Antonowny.

Księżna łowicka przeżyła i smutną konieczność, która nie zezwoliła uznać przejścia Konstantego na katolicyzm.

Księżna łowicka przeżyłaby jeszcze wiele lat swego półwięzienia, półwdowieństwa po cesarzewiczu, półpokrewieństwa z samowładcą wszechrosyjskim, gdyby lata te mogły nie mieć listopada, gdyby mogły wykreślić rocznicę strasznej nocy.

Tej nocy jednak księżna łowicka przeżyć nie zdołała, umarła dwudziestego dziewiątego listopada...

Różia Kochańska załkała, adiutantowi Trębickiemu łzy zakręciły się w oczach, a lejbmedyk Kalisch wyciągnął z kieszeni gotowy papier z diagnozą „cholera” i poszedł dla Benkendorfa z raportem.

W cztery tygodnie potem eks-marszałka zamku królewskiego powołano do kancelarii namiestnika Paskiewicza i zawiadomiono go, że księżna łowicka nadane jej Księstwo Łowickie zapisała cesarzowi Mikołajowi, kosztowności zaś rodzinie.

W miesiąc przywieziono w dom marszałkostwa skrzynię pod eskortą wojskową, skrzynię pełną drogich kamieni. Skrzynię, stanowiącą spadek po Joannie Grudzińskiej, nadesłaną przez cara szwagra.

Wszystkie kamienie były fałszywe.

I minęły dziesiątki lat i już syn Mikołaja rządu sprawował, i już nowe pokolenie Polaków wrzało hasłami wyzwolenia, i już na nowe boje się gotowało, a w lochach szlisselburskich męczeńskie łańcuchy jeszcze szczękały na zeschłych przegubach starca-więźnia, jeszcze w tych lochach biło serce majora czwartaków, Walerego Łukasińskiego, jeszcze w tych lochach płonęła ruda głowa Konstantego, jeszcze tu snuła się piękna twarzyczka Żanety. Dziesiątki lat jeszcze.

Carowie nie przebaczą.

Paryż, w kwietniu 1908 roku.

KONIEC